PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY. — TOM LXXX.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1903.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1903.

NAJNOWSZE WYKOPALISKA NA KRECIE.

W czerwcu bieżącego roku znowu wypadło mi wyjechać na Kretę w sprawach misyjnych. Korzystając ze sposobności, zwiedziłem świeżo odkryte pałace książęce w Festos i Knossos, sięgające epoki drugiego i trzeciego tysiąclecia przed erą chrześcijańską. Jakkolwiek wykopaliska w obydwu tych miejscowościach nie są jeszcze ukończone, i prawie dzień każdy przynosi nowe zdobycze naukowe, sądzę że już to, co znaleziono, może zainteresować czytelników *Przeglądu Powszechnego.*

Dla oryentacyi przypominam, że Festos (Phaestos, Φαίστος) znajduje się na południowej stronie Krety, w pobliżu morza libijskiego, Knossos (Κνώσος) na północnej stronie tej wyspy, w pobliżu dawnej kreteńskiej stolicy Kandyi — dziś jak i za czasów starożytnych Heraklejonem nazwanej.

Przypadkowo złożyło się, że zwiedziłem wpierw wykopaliska na południowej stronie wyspy, a następnie Knossos i świeżo założone muzeum zabytków przedhistorycznych w Kandyi. W tym samym więc porządku opiszę, jak je zwiedzałem.

I.

Do Festos droga jest trudna i mozolna. Wobec braku komunikacyi parowcami, któreby okrążały Kretę od południa, obecnie trzeba całą wyspę z Kandyi lub Retimno (Ρεθεμνος) przebyć konno. Przed 4-ma laty było to rzeczą wprost niemo-

żliwą, gdyż rozruchy panujące jeszcze wewnątrz tego państewka nie dozwalały na podobną wycieczkę.' Obecnie po uspokojeniu się ludności i zaprowadzeniu żandarmeryi lustrującej bezustannie wszystkie wsie i miasteczka, niebezpieczeństwa bezpośredniego nie ma. To też za poradą i przy pomocy wicekonsula angielsko-austryackiego i komendanta żandarmeryi kreteńskiej w towarzystwie przewodnika i służącego konno wyruszyłem z Retimno w pierwszej połowie czerwca do Festos.

Droga prowadziła w okolicę górzystą przez posiadłości najsławniejszych tutejszych monasterów Arkadi i Asomatos; następnie grzbietami niebotycznych gór łańcucha ψηλωρείτης, którego najwyższe szczyty Ida i Timios na wysokości 2498 m. nad powierzchnią morza bieliły się śniegiem.

Przejechaliśmy przez kilka wiosek, z których 3 były tureckie, lecz od niedawna wyludnione, zabudowania zniszczone. Tak jak na wybrzeżach, gdzie muzułmanie byli liczebnie silniejszymi, kreteńscy chrześcijanie ucierpieli od mordu i pożogi: podobnie w głębi wyspy, gdzie Turcy byli w mniejszości i tylko niektóre mieli tam swe wioski: w czasie rozruchów przed pięciu laty ulegli temu samemu losowi ze strony kreteńskich ortodoksów. Mówiono mi, że nie szczędzono sobie wzajemnie ani starców, ani słabych niewiast, ni dzieci. Niejednokrotnie w licznych tutejszych pieczarach, jakie pod łańcuchem gór olbrzymie groty i labirynty tworzą, ludność przez całe tygodnie chroniła się ze swym dobytkiem, dopokąd śmierć lub niespodziewana pomoc nie uwolniła od tego dobrowolnego więzienia. Wspomnieliśmy zresztą o tem obszerniej na tem miejscu w swoim czasie [1].

W drugim dniu podróży — koło południa — dostaliśmy się na ostatni grzbiet górski, który tworzy z drugiem równoległem mu pasmem wąwóz olbrzymi, a łącząc się szczytami, formuje naturalną bramę. Stamtąd otworzył się przed nami widok wspaniały: Jakby u stóp widać morze Śródziemne — tutaj libijskiem zwane — na którego widnokręgu oko daremnie się sili, aby

[1] *Przegląd Powsz.* z r. 1899, tom III.

dojrzeć afrykańskie wybrzeża. Między pasmem gór, na którego szczytach stoimy, a morzem rozpościera się rozległa równina Messara najbogatsza na Krecie. W połowie stoku góry wioska Klimao (Κλημαο) lśniąca w słońcu od białych jak śnieg zabudowań o płaskich wybielonych dachach. Z trudnością schodzą konie ścieżkami na równinę, bo prawdziwych dróg tu niema. Po małym wypoczynku w cieniu rozłożystego oliwnego drzewa, udałem się do wioski Woroi (Βόροι), położonej w pobliżu wykopalisk Festosu i Św Trójcy (Ἁγια Τριάδα), a zarazem miejsca zamieszkania Komisyi archeologicznej włoskiej. W jej skład wchodzą profesorowie Drowie: Halbherr jako przewodniczący, Aloizy Pernier, Robert Paribeni i Ewaryst Breccia. Żadnego z nich nie zastałem w domu, wszyscy byli na polu poszukiwań, dokąd i ja zaraz się udałem.

Do niedawna miejsce ruin Festosu było zupełnie nieznanem. Wprawdzie Homer w dwu miejscach wspomina o Festosie [1], Strabon (X, 479) podaje nawet położenie tego miasta, mówiąc, iż jest odległem od Gortyny na 60 stadiów, 40 od portu Metala, a 20 stadiów w prostej linii od najbliższego wybrzeża morskiego, lecz wobec zaniku ruin, nie można było odszukać właściwego miejsca, gdzie się znajdowało starożytne miasto. Dopiero kapitan angielski Teodor Spratt powziął zamiar w r. 1856 bliżej określić położenie starych miast kreteńskich, a także Festosu. Dokonał tego idąc śladem starożytnych pisarzy greckich. Były to jednak badania czysto topograficzne, które wymagały stwierdzenia możliwemi wykopaliskami. Podjął się tego młody archeolog rzymski Dr. Halbherr. Podczas wyprawy naukowej w r. 1884 znalazł w okolicy Festosu bogate groby z epoki przedhelleńskiej i doszedł do przekonania, że topograficzne badania Spratta nie były iluzyą. Rozmaite przeszkody odwlokły dalsze poszukiwania do r. 1894, w którym tenże prof. Halbherr wraz z prof. Taramellim udali się na Kretę, a raz jeszcze zmierzywszy odległość, przybyli do wioski Kamilari (Καμηλάρι), położonej zaledwie 2 kilometry drogi na południowy zachód od Festosu. Tutaj znaleźli

[1] Iliada B, 648, Odyssea Υ, 296.

oni ułamki rozmaitych naczyń przedhistorycznych — nie tylko z epoki zwanej mikeńską, ale i z dawniejszej zwanej Kamares[1]. Podobnie, jak od zabytków znalezionych przez Schliemanna w pałacu Agamemnona — w Mikenach, o wszystkiem, co nosi cechę podobieństwa w architekturze, malarstwie, ceramice, wyrobach kruszcowych, i t. d. z tymi przedmiotami mówimy, iż pochodzą z epoki mikeńskiej (około r. 1500 do 1100 przed Chr.): tak od przedmiotów znalezionych na Krecie w Kamares, wszystko co jest dawniejsze, od epoki Mikeńskiej, nazywa się dziś przedmiotem z epoki Kamares, która odpowiada mniej więcej latom 2200 do 1500 przed Chrystusem.

Po tych odkryciach słuszna była nadzieja archeologów, że się znajdują na tropie starych ruin Festosu. To też w komisyi archeologicznej rzymskiej zapadła uchwała, aby prowadzić dalsze gruntowne poszukiwania. Wojna grecko-turecka i rzezie na Krecie znowu je odwlokły. Dopiero we wrześniu r. 1899 udali się na tę wyspę profesorowie Savignani i De Sanctis, a owocem ich zdobyczy naukowej było znalezienie drugiego i trzeciego akropolisu Festosu — pierwszy i najważniejszy pozostawał jeszcze w ukryciu. Dla wyjaśnienia przypatrzmy się bliżej położeniu tego miasta. Rozległa równina Messara, zamknięta od północy łańcuchem gór Ida, od strony morza libijskiego pasmem gór Katoriza: przez sam środek przecięta jest rzeką Gerospotamos. W tem właśnie miejscu, jakby w samem *centrum* równiny wznosi się nad nią od wschodu ku zachodowi maleńki łańcuch wzgórz wysokości 150 do 200 metrów, długości 3 do 4 kilometrów. Na wschodnim krańcu znajdują się trzy akropolisy wznoszące się w kilkuset metrowej odległości jeden nad drugim. Pierwszy z nich, kończący łańcuch wzgórz od strony wschodniej, był właściwym pałacem książąt Festosu; dwa inne jakby forty, prawdopodobnie służyły do obrony mieszkańców miasta, osiadłego na tych wzgórzach. Otóż ślady pierwszego

[1] Cfr. Luigi Pernier: „Scavi della missione italiana a Phaestos 1900—1901 rapporto preliminare. Estratto dai Monumenti Antichi publicati per cura della R. Accademia dei Lincei" Vol. XII, 1902. *Roma Tipogr. della R. Accademia dei Lincei* 1902.

z tych akropolisów odkrył dopiero na wiosnę r. 1900 prof. Aloizy Pernier (Rzymianin), a już w czerwcu tegoż roku Komisya archeologiczna przystąpiła do ścięcia góry, która na tych ruinach w ciągu tysiącleci urosła na parę metrów.

Na zachodnim końcu wzgórz, o których mowa, ciż sami archeologowie włoscy znaleźli drugi pałac z tej samej epoki na wiosnę bieżącego roku (1903) w miejscowości zwanej przez tutejszych mieszkańców Ἅγια Τριάδα, Św. Trójca, od małej bazyliki sięgającej czasów bizantyńskich, zbudowanej nad ruinami przedhistorycznej budowli.

Położenie obydwu pałaców zarówno piękne jak strategiczne. Z Festos widok wspaniały na wschodnią część rozległej równiny Messara, dominuje on nad całą okolicą. Strategiczne położenie jest wzmocnione dwoma zameczkami, aby nieprzyjacielowi nie dozwolić na napad z zachodniej strony. Pałac w Ἅγια Τριάδα zwrócony frontem ku zachodowi — ku libijskiemu morzu: broni wstępu na dolinę Messara, gdyby nieprzyjaciel chciał z okrętów wojsko wysadzić na urodzajne okolice Krety.

Z Woroi udałem się najpierw do najświeższych wykopalisk Św. Trójcy — rozpoczętych z wiosną bieżącego roku. W niespełna pół godziny znalazłem się na szczycie pagórka wśród dołów, grobów, ruin, około których zajętych było kilkudziesięciu ludzi. Robotami kierował Dr. Paribeni. Po przedstawieniu się doznałem najmilszego przyjęcia ze strony młodego archeologa, który, pomimo bardzo pilnych zajęć (był to dzień wypłaty robotnikom) znalazł czas na oprowadzanie po zabytkach przeszłości.

Stanęliśmy najpierw przed grobem z epoki mikeńskiej, w którem znaleziono szczątki kości ludzkich, a między niemi pieczęć maleńką ze znakiem hieroglificznym. Po odczytaniu przekonano się, że była pieczęcią królowej Ti (Teje), żony Amenefisa III króla egipskiego, panującego około r. 1400 przed Chr. Prócz pieczęci przechował się naszyjnik złoty, którego pojedyncze ogniwa prócz innych ozdób, składały główki wole (3 okazy) i lwy śpiące (2 okazy). Wyrób tych główek wolich około 3 ctm. wysokości — jest tak misterny i proporcyonalny, że zdawałoby się, iż wyszedł z rąk dzisiejszego złotnika artysty.

Na innem miejscu tegoż pałacu znaleziono sfinksa z ciemnego marmuru, długości mniejwięcej 18 ctm. Wszystko to nam mówi o wpływie i stosunkach Krety z Egiptem w epoce mikeńskiej i Kamares, a równocześnie oznacza epokę ruin.

Przejdźmy do samego pałacu. Chociaż jeszcze nie odkopano całości — już dziś można rozpoznać niektóre jego części. Tak od strony południowo-zachodniej widzimy obszerny dzie-

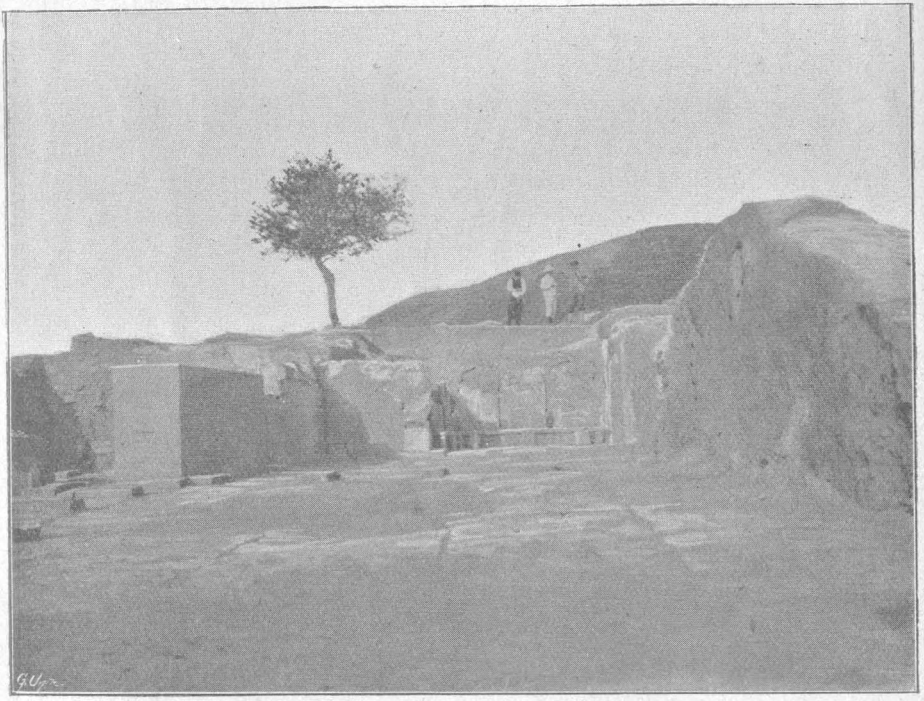

Ἁγ. Τριάδα (Św. Trójca). Widok pałacu od strony południowo-zachodniej.

dziniec z *atrium* prowadzącem do sali zebrań — może do sali tronowej. Ławki kamienne w półkolu, ściany tynkowane są ozdobione freskiem. Schody kamienne wewnątrz pałacu są dowodem istnienia kiedyś drugiego piętra. Na parterze znajdujemy wiele pokoików otynkowanych z freskami i bardzo skomplikowanem wejściem na korytarze. W niektórych znaleziono olbrzymie urny z gliny palonej, w innych wielką ilość kul z terrakotty roz-

maitej wielkości: od 12 do 3 ctm. średnicy, z otworem pośrodku na wylot (jak w paciorkach); do czego miały służyć, niewiadomo. W jednem miejscu znaleziono rodzaj ołtarza, w kilku innych podstawy do świeczników lub ołtarzy, i lampę z przykrywką z marmuru, doskonale zachowaną. Obok pokoików są łazienki wyłożone alabastrem z osobnem wejściem schodkami i otworem do wypuszczania zużytej wody. Znanemi tu były sutereny i schowki rozmaite, w których znaleziono niektóre przedmioty z bronzu. Wielka ilość pieczęci i tabliczek z archaicznem pismem podobnem do tych, jakie znaleziono w Festos i Knossos, świadczą o jednej epoce wszystkich tych trzech pałaców. Pod fundamentami mikeńskiego tego pałacu przechowały się ruiny dawniejszego, spalonego pałacu, jak poznać po okopceniach kamieni i resztkach węgli kolumn cyprysowych. Stąd uzasadniona hipoteza, iż to miejsce było rezydencyą książęcą już w bardzo odległej epoce.

Gdym opuszczał Św. Trójcę, słońce zachodziło, olśniewając swym blaskiem srebrzyste fale morza, i barwiąc powietrze bladofioletową powłoką. Widok na morze — na równinę — na góry od strony północnej był prześliczny. Widocznie, że i wówczas umiano znać się na pięknie natury, gdy w tem miejscu pałac budowano.

Zaproszony przez włoskich archeologów, stanąłem w ich domu, najwygodniejszym we wiosce Woroi i w najobszerniejszym ich pokoju — profesora Halbherra, który dla interesów wyjechał na dni kilka do Kandyi.

Nazajutrz rano zaproponował mi prof. Pernier zwiedzenie Festosu. Nie mogłem mieć lepszego przewodnika, jak tego, któremu nauka zawdzięcza znalezienie wspaniałej budowli, dającej obraz cywilizacyi z przed 4000 lat. Udaliśmy się konno od zachodniej strony na wzgórze, skąd przedstawił się jak na dłoni pałac obejmujący około 10000 metrów □ przestrzeni. Architekt umiał wyzyskać nierówność terenu, i zamiast go zupełnie zniwelować, porobił terasy, zniżające się z północy ku południowi, przez co pałac zyskał na okazałości, a pokoje i kurytarze na świetle. Całość dzieli się na cztery części: 1) pawilon książęcy

ze salą dla przyjęć, poprzedzony westibulem, z całym kompletem pokoików, łazienkami, skarbcem i t. d.; 2) pawilon dla niewiast *(ginajkonitis)* i służby; 3) pawilon męski *(andronitis);* 4) magazyny.

Przed pałacem były dwa dziedzińce: od wschodu i zachodu. Główne wejście było w głębi wschodniego dziedzińca przez portyk z kolumnami. Szeroki korytarz był wyłożony płytami

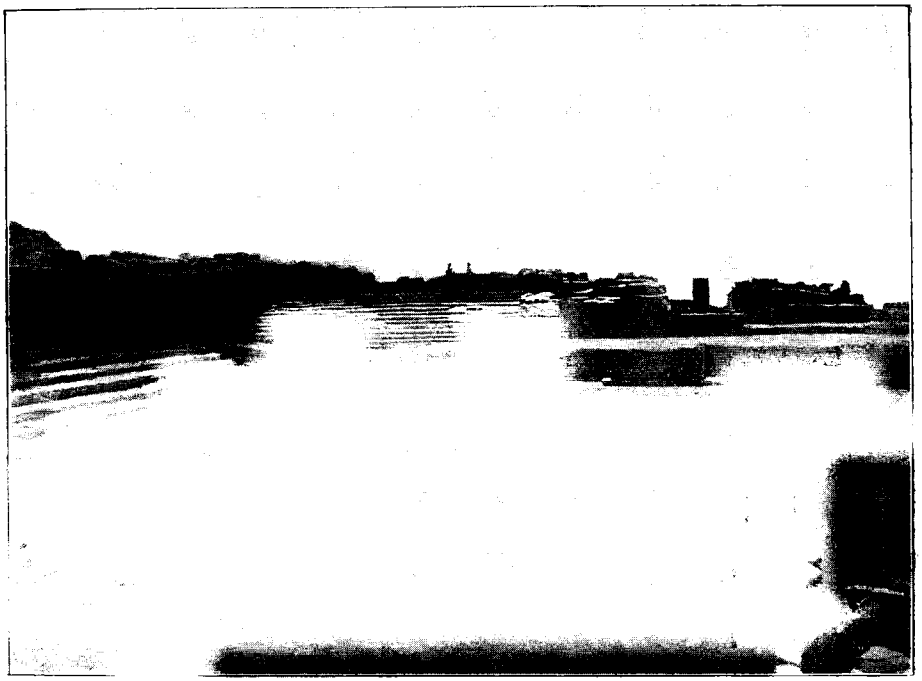

Zachodnia część pałacu w Festos. Arena i wejście do książęcego pawilonu. Obok korytarz z magazynami.

z egzotycznego marmuru inkrustowanego w desenie. Tam, gdzie od chodzenia mógłby on uledz zniszczeniu, zamiast dywanu, zrobiono chodnik z płyt kamiennych. W głębi znajdowały się dwie bramy: jedna prowadząca do *ginajkonitis,* druga do poprzecznego korytarza, oddzielającego po prawej stronie *andronitis* i pokoje gościnne — po lewej kompleks magazynów. Na końcu tego poprzecznego kurytarza przechodzi się przez *prodomos*

na wygodne schody — a raczej siedzenia amfiteatralnie ustawione, skąd widzowie przypatrywali się zabawom lub ceremoniom religijnym, jakie się odbywały na zachodnim dziedzińcu, boć i ślady ołtarza tu znaleziono. Obok *prodomos* równolegle do korytarza magazynów wspaniałymi schodami wchodziło się do najwyższej części pałacu do sali tronowej, poprzedzonej westibulem, i na najwyższy balkon, skąd wspaniały widok na stronę południową i dziedziniec zachodni.

Budowniczy posługiwał się materyałem zarówno miejscowym, jak zagranicznym, stosownie do potrzeby. Do fundamentów, które w razie konieczności nawet na 5 metrów są głębokie, od strony południowej — użył miejscowego kamienia, równo w sześcienne bryły pociętego. Z tegoż materyału po większej części są ściany zewnętrzne i wewnętrzne pałacu. Wapno, gips i alabaster miał pod ręką na wyspie — za to kosztowne różnobarwne marmury sprowadzał ze stron dalekich. Niektóre pokoje były otynkowane i ozdobione freskami, inne wykładane alabastrem. Bryły kamienne równo w sześciany ociosane i wygładzone spajano rodzajem cementu. Wyrobami z bronzu i złota zdobiono pilastry, kolumny i odrzwia z drzewa cyprysowego. Spalone na węgiel resztki kolumn są tego dowodem.

W magazynach znajdują się dziś jeszcze olbrzymie stągwie (πίθοι) i wazy służące na przechowywanie skarbów i żywności dla książęcego dworu; w innych najrozmaitszej formy i ozdób naczyniach znaleziono ślady spalonego chleba, oliwek, fig.

W innych częściach pałacu również przechowały się wazy, kubki, lampki, dzbanki i najrozmaitsze inne przedmioty w części do użytku codziennego, w części do ozdoby służące, a między innemi figurki niewieście z wielkiemi malowanemi oczyma: bałwanki ulepione z gliny, którym cześć składano.

W jednym z pokoi *andronitis'u* znalazłem kamienie z wyrytymi znakami, zupełnie podobnymi do tych, jakie widziałem w Ἅγ. Τριάδα i później w Knossos na tabliczkach glinianych, jakie przechowały się także na tem miejscu. Nie wiadomo dotychczas, na co służyły setki pieczęci w jednym i tym samym

pałacu, a każda z nich delikatny, piękny i inny deseń, scenę z życia, człowieka lub zwierzę przedstawia.

W znalezionych przedmiotach daje się spostrzegać zasadnicza różnica nie tylko w staranniejszem lub mniej starannem wykonaniu, lecz w sposobie malowania, użyciu deseni i materyału — co naprowadziło na domysł, iż nie pochodzą z jednej i tej samej epoki mikeńskiej. Przypuszczenie, iż może i sam pałac jeszcze dawniejszych sięga czasów, niebawem poparte zostało gruntowniejszemi badaniami fundamentów. I tutaj przekonano się, że podobnie jak w Ἅγ. Τριάδα, pałac festoski zbudowano na ruinach spalonego olbrzymiego gmachu z epoki Kamares. Resztki okopconych kamieni pod fundamentami i węgle ze spalonego drzewa użytego do budowli, prawie niezbitym są tego dowodem.

Co więcej: pod resztkami tego ostatniego pałacu z epoki Kamares znaleziono ślady jeszcze dawniejszego mieszkania, a w niem przedmioty z epoki neolitycznej. Łatwy stąd wniosek, że na zamku festoskim mieszkali książęta panujący nad tą okolicą na dwa i trzy tysiące lat przed naszą erą. Jaka była kultura narodu w owej dobie, poznamy dokładniej z zabytków w świeżo założonem muzeum w Kandyi.

II.

Z Festos do Knossos wypadło znowu jechać konno wzdłuż rzeki Gerospotamos przez dolinę Messara. W miejscu gdzie ta rzeka łączy się z dopływem Argiropotamos, droga zbacza w stronę północną ku miasteczku Ἅγ. Δέκα, (Św. Dziesięciu) zbudowanem obok dawnej stolicy rzeczypospolitej Γόρτυς (Gortis). Stosunki z Festosem dawno ją łączyły. Wzajemna rywalizacya doprowadziła do walki, w której Festos ogniem został zniszczony. Gdy konsul Metellus podbijał wyspę dla cesarstwa rzymskiego około r. 67 przed Chr., Festos było maleńką wioską.

Z tej opoki pozostał ledwo słaby ślad panowania rzymskiego. Przeciwnie w Gortynie, która kwitła jeszcze za czasów rzymskich, ślady z tej epoki pozostały po dziś dzień w napisach łacińskich, statuach, ułamkach kolumn rozrzuconych wzdłuż drogi

w nieładzie i zapomnieniu. Najcenniejsze rzeczy przewieziono do muzeum w Kandyi, niektóre posiada w swym dziedzińcu mieszczanin z Gortyny, Manoli Iliakis, do którego na popas i wypoczynek przybyłem. Nabrał on zamiłowania do starożytnych zabytków swej ojczyzny, gdy go zaangażowano do czuwania nad robotnikami najętymi w wykopaliskach Gortyny i Festosu. Gdy pod jego dach przybyłem, nie mogłem się oprzeć namowom oglądania gortyńskich wykopalisk, i tak zwanego „Labiryntu“, dokąd sam ofiarował swoje usługi. Chociaż było to poza programem wycieczki, chętnie zwiedziłem okazałe ruiny bazyliki św. Tytusa, apostoła Krety, świątynię Apollina, i najstarszy kodeks prawny republiki gortyńskiej, wyryty na płytach kamiennych. O nim w ostatnich latach już wiele pisano, w całości przytaczając tekst grecki. Sam Labirynt nic interesującego nie przedstawia: jest to naturalna grota w skale, jakich wiele innych na Krecie, tem się od innych różniąca, że jest dłuższą od wszystkich innych. Fantazya ludzka dorobiła do niego wiele znanych legend. Rzeczą jest dziś już prawie stwierdzoną, że „labirynt“, o którym starożytne źródła podają, nie była to owa tajemnicza grota pod Gortyną, lecz raczej sam pałac w Knossos, który dla swego ogromu i misternego składu najrozmaitszych pokoi, korytarzy, westibulów, dziedzińców, dla tego, kto po raz pierwszy doń się dostał, był prawdziwym „labiryntem“, przedstawiającym wielką trudność w oryentacyi.

Z Gortis ścieżka prowadziła przez pasmo najwyższych szczytów Krety — po wschodniej stronie góry Ida — tak samo jak i ze strony zachodniej pokrytej śniegiem. Dopiero znika on z końcem sierpnia, lecz już w październiku znowu ją okrywa białym płaszczem. Nocleg wypadł nam w Ἅγ. Βαρβάρα w hanie stojącym na pustkowiu, gdzie prócz jaj, wina i czereśni niczego więcej nie było można dostać, ani nawet kawałka chleba.

Nazajutrz o świcie wyruszyliśmy w dalszą drogę, a po krótkim popasie w Dafnos w południe przybyliśmy do Kandyi. Tutaj odprawiwszy mych ludzi i konie, wyjechałem powozem, wygodną, świeżo przez Anglików zbudowaną drogą do Knossos

(Κνώσος). Przestrzeń z Kandyi do Knossos niewielka, zaledwie $^3/_4$ godziny potrzeba do jej przebycia. O istnieniu pałacu Minosa w pobliżu dzisiejszego Heraklejonu od dawna wiedziano, lecz dopiero w roku 1900 udało się Anglikowi prof. Arturowi Evans'owi znaleźć miejsce prastarej budowli. Miłośnik zabytków przedhistorycznych na własną rękę i własnym funduszem rozpoczął w tym kierunku badania na Krecie. Dopiero po wydaniu 150000 franków na ten cel, gdy z pod ziemi wyrósł olbrzymi pałac Minosa: towarzystwo archeologiczne angielskie, do którego i król Edward VII należy, postanowiło zwrócić Evans'owi włożony grosz, a nadto własnym nakładem, lecz pod jego kierunkiem, dalsze przedsięwziąć poszukiwania. Do końca czerwca bież. roku wydano wprawdzie na odkopanie pałacu w Knossos 10000 funtów szterl., lecz też i rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania.

Stajemy przed ruinami. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że raczej miasto nie pałac mamy przed sobą. Olbrzymia przestrzeń 22000 metrów □ dziś jest już odkrytą z pod kilkumetrowej warstwy ziemi i gruzów. Podobnie jak w Festos, także i tutaj nierówny teren wyzyskał budowniczy, i na terasach stanęła rezydencya książęca. Wchodzimy od strony północnej korytarzem na obszerny dziedziniec (60×25 m.), dzielący pałac na dwie główne części, z których każda posiada cały kompleks najrozmaitszych sal, pokoików, korytarzy, dziedzińców misternie ze sobą połączonych. Na końcu głównego dziedzińca, po lewej stronie — oryentując się od północnego wejścia — znajdujemy wygodne schody, które, po małej naprawce, zupełnie bezpiecznie służą do wejścia na pierwsze piętro. Tam ślady dalszych schodów dotychczas zachowane, każą przypuszczać istnienie drugiego piętra. Lewa część pałacu (od wschodu) jeszcze niezupełnie odkryta — zato prawa, zachodnia, przedstawia formalny labirynt, w którym, nawet dziś, łatwo się zgubić. Na starych monetach współczesnych znajduje się rysunek labiryntu, przypominający plan niektórych części minoskiego pałacu. Podobnie jak we Festos i tutaj znajdujemy osobny pawilon przeznaczony na magazyny. Jest ich 18. Pierwszych 13 mają wejścia od dłu-

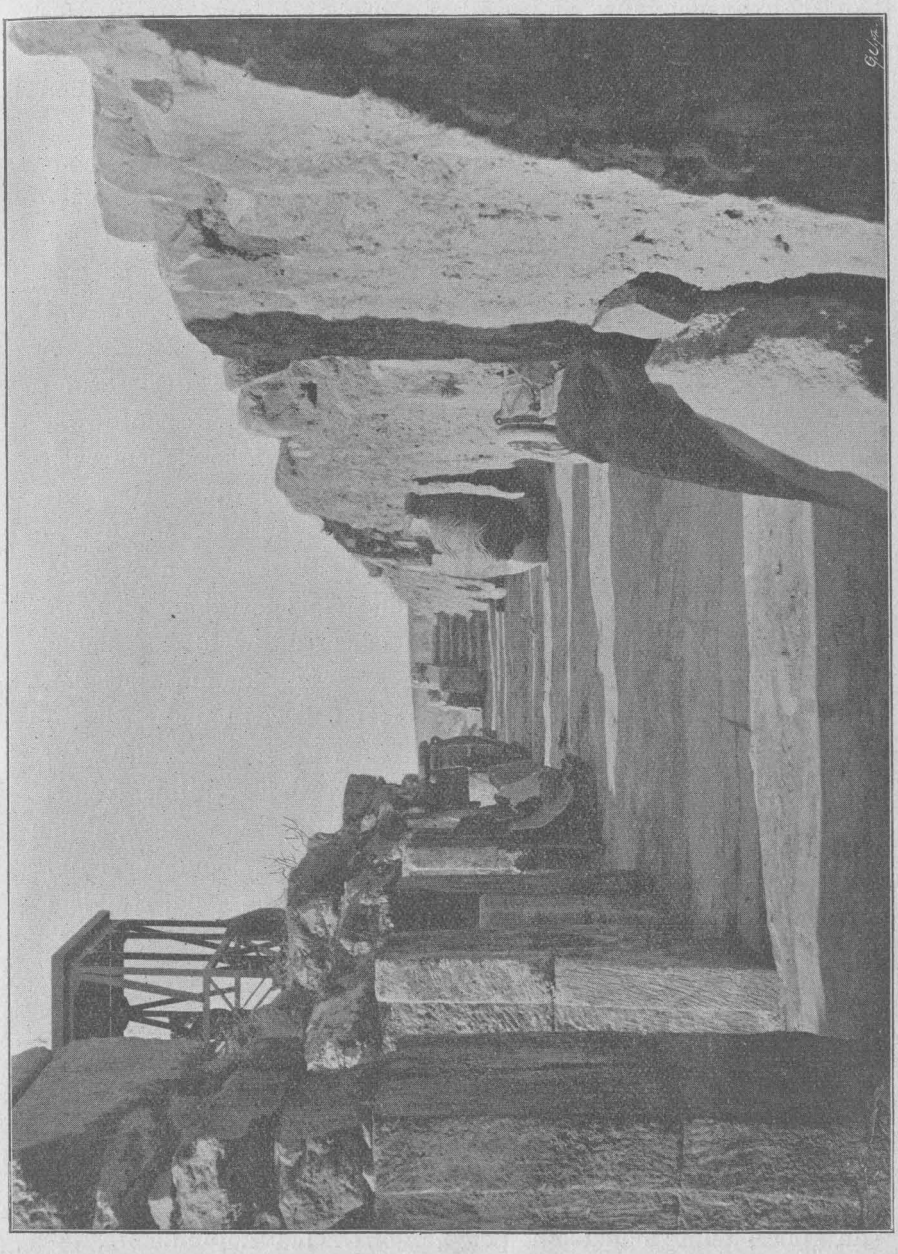

Korytarz pałacu w Knossos — w dali schody prowadzące na 2-ie piętro. (Podł. fotogr.).

giego korytarza dzielącego na dwie części prawą stronę pałacu, dalsze 5 magazynów mają wejście osobne z innej strony i są połączone ze sobą. Tam znaleziono olbrzymie naczynia gliniane pięknego kształtu z wyciskanym deseniem, z kilku uchami u dołu i góry dla łatwiejszego podnoszenia sznurami. Służyły one zarówno na zboże, jak na oliwę lub wino. Obok tych πίθοι znajdują się przed każdą małe cysterny ocembrowane, mające służyć za zbiornik płynu na wypadek pęknięcia lub rozbicia tych urn.

W samym korytarzu są schowki prawdopodobnie służące za skarbce, o ile można sądzić z niektórych przedmiotów złotych, jakie w nich znaleziono.

Przy otwieraniu niektórych płyt z chodnika dostrzeżono rury gliniane, prowadzące do większych otworów ocembrowanych, lub do olbrzymich urn w magazynach. Idąc śladem tych rur, znaleziono w części pałacu przytykającej do magazynów gospodarskie zabudowania, a w nich kamienną tłocznię do wyciskania oliwy. Inne kanały odprowadzały wodę zużytą. Po drugiej stronie tego pawilonu znajdują się mieszkania królewskie, a w nich sala jadalna, szatnia i łazienki wyłożone alabastrowemi płytami do połowy ścian — wyżej zdobne freskami. Jest tu sala do przyjęć i teatr dworski z lożą: podwyższeniem dla rodziny królewskiej; dla gości miejsca na marmurowych schodach, ustawionych po obydwu bokach amfiteatralnie. W innej części pałacu osobne mieszkania dla niewiast i dzieci, a dla nich odrębne łazienki z wannami większemi i maleńkiemi. Tutaj także łazienki są wyłożone do połowy alabastrem, dalej stiukiem z freskami.

Jako znak władzy życia i śmierci nad poddanymi widzimy tu na kilka metrów głębokie więzienia, równo wyłożone ciosem kamiennym, skąd wyjścia żadnego niema. Słabe światło mogło dostawać się tylko górnym otworem, którym po sznurach spuszczano skazańców.

Z całego pałacu najlepiej zachowaną jest tak zwana „sala tronowa“. Z głównego dziedzińca schodzi się czterema schodami do „poczekalni“ oddzielonej od niego trzema kolumnami. Nazwano ją dlatego „poczekalnią“ ponieważ otaczają ją z dwu

Πίθοι w magazynach pałacu w Knossos.

stron ławki kamienne. Z tego pokoju jest wejście do 7-miu wązkich pokoików, które kolejno wszystkie trzeba przejść, zanim się dostanie do ostatniego. Tam znaleziono kamienny fotel, nadający się swym kształtem do wygodnego siedzenia raczej dla niewiast niż mężczyzn. Ponieważ nie było innego wyjścia z tych zagadkowych ubikacyi, wróciliśmy do przedpokoju, aby się dostać do „sali tronowej", dlatego tak nazwanej, ponieważ po prawej stronie znajduje się tron kamienny, obliczony swą strukturą na wygodne siedzenie dla mężczyzny. Po bokach są ławki kamienne, stosunkowo niskie jak i sam tron — widocznie przeznaczone dla ludzi co najwięcej wzrostu średniego. Naprzeciw

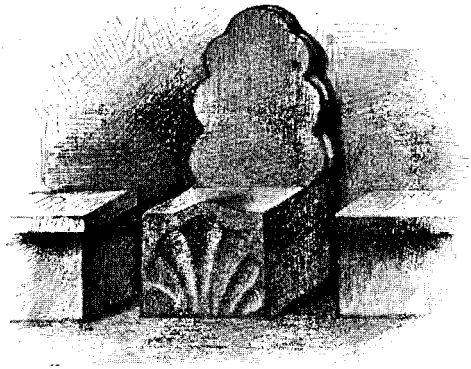

Tron kamienny w Knossos. (Rysunek z natury).

tronu również takie same znajdują się ławki kamienne, których oparcie służy równocześnie za odgraniczenie sali tronowej od zbiornika wody. Schodzi się do niego wygodnemi schodkami. Basen ten wyłożony alabastrowemi płytami nie posiada żadnego otworu do spuszczania wody. Jedni mówią, że była to łaźnia, gdyż swym kształtem i budową przypomina łazienki tak w tymże pałacu, jak w Festos i Ἁγ. Τριάδα, lub rodzaj *impluvium*, jakie się w Pomei znajduje. Inni twierdzą, że był to raczej zbiornik na wodę, w którym przechowywano rzadkie okazy rybek dla przyjemności pana domu, a równocześnie dla chłodzenia powietrza wśród letnich upałów. Ostatnia hipoteza wydaje się pewniejszą, gdyż łazienki znajdowały się już w innej stronie

pałacu, a do odprowadzenia wody nieczystej z *impluvium* niema żadnego otworu w basenie.

Między basenem a „salą tronową“ znajdowały się trzy kolumny z drzewa cedrowego, podtrzymujące wiązania dachu. Kamienne podstawy doskonale się zachowały. Wskutek pożaru drewniane kolumny spłonęły, pozostawiając na podstawach ślad swej grubości; z resztek węgli rozpoznano drzewo cedrowe. Prof. Evans wedle pozostałych śladów kazał dorobić nowe drewniane kolumny i ustawić na miejsce dawnych spalonych, i pociągnąć je ceglasto-brązowym pokostem, ściany zaś nieco odrestaurowane farbą niebieską, t. j. takimi kolorami, jakimi były pierwotnie.

Szumną nazwę „sali tronowej“ nie trzeba brać wedle naszych obecnych pojęć. W rzeczywistości jest to mały pokoik 2 metry wysokości, 6 m. długości na 4 szerokości. Nie znano jeszcze wówczas sklepień ani dzisiejszych belek żelaznych. Cała budowla była tu z kamienia wapiennego, znajdującego się w pobliskich skałach. Podobnie jak Festos, także tutaj równo ociosane sześcioboczne głazy doskonale spajano rodzajem cementu. Ściany w niektórych pokojach, jak już wspomnieliśmy, wykładano alabastrowemi płytami lub tynkiem, na którym gdzieniegdzie zachowały się freski. Mamy więc przed sobą zabytki wysokiej materyalnej kultury ludów zamieszkałych na Krecie w czasach, kiedy żył Abraham i Mojżesz. Nie brakowało też i kultu oddawanego bogom opiekuńczym. W pałacu przechowało się parę świątyń małych — jedne w pawilonie książęcym, druga tam, gdzie służba miała swe mieszkania. Rozmaitego rodzaju bóstwa były tu czczone, a stosy naczyń, w których składano im libacye, świadczą o pobożności ludu.

Przejdźmy do muzeum kandyjskiego, gdzie nagromadzone wykopaliska z Festos, Ἅγ. Τριάδα, Knossos, Gurnia, dadzą nam dokładniejszy obraz kultury odległych czasów.

(Dok. nast.)

Ks. Marcin Czerminski.

ORGANIZACYA I ZASADY DOBROCZYNNOŚCI
W PIERWOTNEM CHRZEŚCIJAŃSTWIE.

Nieprzeliczone cuda i chrześcijańska miłość dobroczynna przyczyniły się przedewszystkiem do rozszerzenia się chrześcijaństwa mimo przeszkód olbrzymich pośród wysoko ucywilizowanego świata pogańskiego. Cuda te liczne bardzo, przejmujące jakąś tajemniczą grozą i majestatem, a przytem pełne nieziemskiej dobroci i niebieskiego spokoju, zmierzały wyłącznie i nieodparcie do jednego celu, t. j. do założenia i rozszerzenia królestwa Chrystusowego wśród Żydów i pogan.

„Bóg[1] przemawia w wizyi, we śnie, w ekstazie do misyonarzy i odsłania przed ich oczyma rzeczy najwznioślejsze i najdrobniejsze, kieruje ich zamysłami, wskazuje im drogę, którą obrać i miasto, do którego wstąpić i osoby, do których się zwrócić mają. Wizye te przedewszystkiem mają miejsce po rzezi męczeńskiej: męczennik zmarły ukazuje się znajomym w najbliższych tygodniach po śmierci, jak Potamiena (Euseb. II, 5), jak Cypryan i wielu innych".

Bóg wyraźnie i dojmująco przemawia, do serc Żydów i pogan. „Podczas kazań misyjnych apostołów i ewangelistów, podczas nabożeństw odprawianych w powstających gminach kościel-

[1] Ustępy poniższe wyjmujemy z ostatniego dzieła prof. Harnacka *Die Mission*, w którem głośny, niechrześcijański teolog berliński usiłuje rozproszyć tajemnicze mroki początkowej historyi chrześcijaństwa.

nych pojawiają się nagłe i często przejmujące zarazem zjawiska: już to wstrząśnienia pełne trwogi i grozy wnętrzności duszy, już to uniesienia pełne tryumfu radością wezbranego serca, które widzi niebo otwarte. Z siłą też elementarną narzuca się ludziom proste to pytanie: ‚cóż mam czynić, abym był zbawion?'"

Bóg hojną ręką rozdziela pomiędzy wiernych dary Ducha św. t. zw. charyzmaty. Powstają prorocy i ludzie mówiący nieznanym językiem, zrozumiałym tylko dla niektórych. Wierni w natchnieniu improwizują modlitwy, hymny i psalmy. Duch św. zmusza ich do mówienia, wciska im pióro do ręki, aby pisali. „Chorzy, których przynoszą, bywają uzdrowieni przez misyonarzy lub świeżo nawróconych chrześcijan; dzikie wybuchy trwogi Bożej znajdują ukojenie i szatani w imię Jezusa uchodzą z opętanych". Dziwne też są objawy i skutki działania Ducha św. w wizyach i rozkoszach niebiańskich, wypełniających duszę i zmysły po brzegi.

Co najdziwniejsza atoli Duch św. „potęguje siły religijne i moralne do tego stopnia czystości, mocy i energii, że stygmat ich Boskiego pochodzenia rzuca się w oczy. Siłami temi są: heroiczna wiara i ufność w moc Bożą tak potężna, że góry przenosi i zwyczajną wiarę właściwą chrześcijanom o wiele przewyższa; ludzie się kwapią do miłości ofiarnej tak potężnej, że miłość ta więcej przeraża i wstrząsa, niż cuda wszystkie; widać wszędzie przezorne kierownictwo i troskliwą opiekę, które działają tak niemylnie, jak Opatrzność Boża. Charyzmaty te, obok darów apostołów, proroków i nauczycieli rzucają fundamenta pod gminy kościelne i wyciskają na nich piętno „Kościołów Bożych".

„Na wszystkie te tu przytoczone rysy — mówi prof. Harnack — znajdziemy na kartach chrześcijańskiej literatury od najdawniejszych począwszy kronik aż do Ireneusza najliczniejsze dowody; apologeci wskazują na nie jak na fakta znane i uznawane. Że fakta te dla misyi i propagandy religii chrześcijańskiej niezmiernej były doniosłości, jest jasne jak na dłoni" [1].

[1] Mimo wszystkich tych w oczy rzucających się objawów mocy Bożej

Drugą przyczyną nader szybkiego wśród pogan rozwoju chrześcijaństwa jest miłość dobroczynna. Dary Ducha św. i różne „posługi“ i różne „sprawy“ Boże są bez wątpienia wielkie i wielmożne bardzo mocy i potęgi, pracujące nad założeniem i rozszerzeniem królestwa Bożego tu na ziemi, ale jest jeszcze inny dar z nieba rodem, potężniejszy od nich, jest jeszcze inna „droga“ Ducha św., droga zacniejsza od tamtych, która prowadzi do rzeczy wielkich i poświęceń nadzwyczajnych w królestwie Chrystusowem. „Jeszcze zacniejszą drogę wam ukazuję“ — mówi św. Paweł do prastarych chrześcijan w Koryncie po uprzedniem wyliczeniu darów i cudów Ducha św. Drogą zaś tą jest miłość i tu następuje ten wielki i potężny i głęboki hymn miłości, który świat cały na nowych oparł podstawach i który zawsze i wszędzie ze wszystkich serc wielkich i dusz żarliwych dobywać się będzie, jako źródło odrodzenia wszelkiego i żywota wiecznego.

Ale bo też miłość społeczna i dobroczynna przedewszystkiem była tą cechą promienną i w oczy rzucającą się, która znamionowała i po której poznawano chrześcijan w świecie pogańskim: „Troska o tych, którzy są pozbawieni pomocy — mówi Tertullian — i dobroczynność nasza stały się w oczach naszych przeciwników cechą, po której nas poznawają: Patrz tylko — mówią oni — jak chrześcijanie się nawzajem miłują, jak jeden

---

i widocznych cudów, racyonalistyczny prof. teologii rzuca pod koniec swoich wywodów myśl, która obala to, co uprzednio był jako historyk z taką siłą logiki historycznej wymownie stwierdził. „Was anderswo (t. j. w innych religiach) — mówi on — in einigen stereotypen Erscheinungen stückweise vorhanden war, zeigte sich hier in einer Fülle der Manifestationen, in der jede geistige, seelische und sittliche Funktion *über sich selbst hinaus gesteigert erschien*“ (str. 150). Nadto uczony profesor jako bezstronny historyk uprzednio był zręcznie wyeliminował te zjawiska cudowne, które już z góry żadnego przyczynowego tłumaczenia empirycznego nie dopuszczają, jak np. natychmiastowe uzdrowienie i odrestaurowanie odciętych członków ciała, pogruchotanych kości i t. d. Kto rozmyślnie zamyka oczy na moc Bożą, nie ujrzy światłości Bożej. Mimowoli nasuwają się tu słowa Chrystusa Pana wyrzeczone do śleponarodzonego po cudownem przejrzeniu: „Na sądem ja przyszedł na ten świat: aby ci, którzy nie widzą, widzieli: a którzy widzą, ślepymi się stali“ (Jan IX, 39).

za drugiego gotówby umrzeć. Poganie zaś między sobą się nienawidzą i byliby raczej gotowi się nawzajem pozabijać!"

Miłość społeczna i dobroczynna była przedewszystkiem tym potężnym czynnikiem, który torował drogę królestwu Chrystusowemu do samolubnych serc pogańskich i narzucał cezaryzmowi rzymskiemu chrześcijańskie ideały społeczne. To też Julian Apostata chcąc natchnąć konający poganizm nową mocą ideową i nową siłą odrodzenia moralnego usiłuje wznowić dawną świetność neoplatońskiej filozofii i zapoczątkować za przykładem chrześcijan rozległą akcyę dobroczynności wśród pogan[1]. Trzy potęgi, mówi on w pamiętnym liście do arcykapłana pogańskiego Arsaciusza, przyczyniły się do rozszerzenia chrześcijaństwa, tej religii bez bogów: dobroczynność, opieka nad umarłymi i świętość życia choć udana. Te rzeczy też trzeba przenieść do religii pogańskiej. Czyż to nie jest jawne wyznanie czy przyznanie się do tego, że poganizm już najzupełniej zbankrutował, że świat na przyszłość nie obejdzie się bez chrześcijaństwa? A wyznanie to robi jeden z najsubtelniejszych umysłów swego wieku i najzaciętszy wróg chrześcijaństwa, Julian Apostata.

Ale bo też czemże jest chrześcijaństwo dla społeczeństwa pogańskiego? Nową nauką, która wśród powszechnego sceptycyzmu spływa z objawienia niebios i wyrywa się z najgłębszych wnętrzności duszy, nauką, która chłonie w siebie i opiera się na wiekowej pracy geniuszu greckiego i cywilizacyi pogańskiej, programem społecznym, który buduje sobie wśród społeczeństwa opartego na krwawym egoizmie nowe społeczeństwo, idealne pod wielu względami, oparte na wszechpotężnej miłości Boga i bliźniego. Pod ożywczym prądem tej nowej nauki rozwiewają się powoli wiekowe dogmata społeczne świata pogańskiego, niewolnictwo i cezaryzm, jak mgła przed promieniami wschodzącego słońca. Pod ciepłem tchnieniem tej nowej nauki o miłości, znikają w społeczności chrześcijańskiej lenistwo, rozpusta

---

[1] Wiktor Schulze: *Geschichte des Unterganges des griechisch-römischen Heidentums.* Jena 1887, tom I, str. 161—165.

i nędza, skutki i równocześnie najgłówniejsze źródła całego szeregu złego wszelkiego rodzaju, zamykają się bezboleśnie rany cierpiących współbraci [1].

Przejdźmy się po tej krainie cierpień i nędzy, i przypatrzmy się bliżej, jak chrześcijanie walczyli z nędzą i łagodzili cierpienia ludzkości.

Widzimy tam naprzód wdowy i sieroty, które w pierwotnem chrześcijaństwie szczególniejszą otaczano opieką. U chrześcijan, mówi pogański pisarz Lucyan, wdowy i sieroty pod względem dobroczynności pierwsze zajmują miejsce. Położenie ich bowiem za czasów pogaństwa było okropne. Opuszczone od wszystkich, były pomiotłem wszystkich. Dopiero nauka Chrystusa, wynosząc kobietę na wyżyny równości, godności i wolności społecznej, zajęła się z całą troskliwością smutną dolą wdów. W ciągu krwawych prześladowań zwłaszcza wdowy i sieroty troskliwą otaczano opieką. „Bóg dlatego nakazał mieć staranie o nie, mówi Laktancyusz [2], aby nikt ze względu na najbliższe sobie istoty nie lękał się ponieść śmierci męczeńskiej dla sprawiedliwości. Kto bowiem wie, że żona i dzieci pozostaną na opiece Bożej, i że nigdy zbywać im nie będzie na obronie i pomocy, pójdzie bez ociągania się i odważnie na męczeństwo". W rozumieniu pierwszych chrześcijan wdowy były ołtarzami ofiarnymi Boga samego i nosiły razem z sierotami zaszczytny przydomek „ołtarzy Bożych" [3]. Marya na Golgocie patrząca się na mękę i konanie Syna Jednorodzonego, oto obraz i ideał bohaterskich kobiet w pierwotnem chrześcijaństwie. Serce ich jest naprawdę ołtarzem ofiarnym, płonącym miłością Boga i ludzi i bezgranicznem poświęceniem się a jałmużna im świadczona jest rodzajem szczególniejszego aktu religijnego: „nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga i Ojca to jest: nawiedzać

---

[1] Patrz Ratzinger: *Geschichte der kirchlichen Armenpflege.* Freiburg 1884. Str. 79 i dalej.

[2] *Inst.*, VI, 12.

[3] Tertull. ad uxor. I, 7; *Const. Apost.* II, 26.

sieroty i wdowy w ucisku ich: a siebie zachować niezmazanym od tego świata“ [1].

Liczba wdów będących na utrzymaniu gminy kościelnej i w służbie cierpiących braci w Chrystusie była niekiedy wielka bardzo. Euzebiusz pisze, iż Kościół rzymski według biskupa Korneliusza utrzymuje „1500 wdów i potrzebujących wsparcia“ [2]. Ogromna stosunkowo liczba wdów tłumaczy się po części i tem, iż powtórne wyjście za mąż w myśl pierwotnego Kościoła było niechętnie widziane.

Sieroty po męczennikach znalazły zwyczajnie przytułek po rodzinach chrześcijańskich. Konstytucye apostolskie usilnie i gorąco to zalecają: „Pięknie czyni ten, kto będąc bezdzietnym, przyjmuje sierotę po chrześcijaninie czy chłopca czy dziewczynę do domu swego jako dziecko własne. Kto tak czyni, wielkie spełnia dzieło, bo staje się ojcem sieroty i otrzyma od Boga za tę usługę wynagrodzenie“ [3].

Sieroty zaś opuszczone wychowywano pod okiem biskupa na koszt gminy kościelnej: Dziewczęta, gdy dorosły, oddawano za mąż za chrześcijan, chłopców kształcono na rzemieślników. Po wdowach i sierotach idą chorzy.

W pierwszych czasach chrześcijaństwa nie znano szpitali; chorych pielęgnowano i obsługiwano po domach. Posługę tę pełniły przedewszystkiem kobiety, a z urzędu dyakoni i wdowy. Zadaniem i obowiązkiem ich w pierwszym rzędzie było dowiedzieć się, czy rodzina dotknięta chorobą, czy chory ma z czego opędzić najgwałtowniejsze potrzeby życiowe i zaradzić biedzie w sposób najlepszy. Zresztą o wszystkich chorych dbano z troskliwą miłością. Panie rzymskie obchodziły domy chorych, roznosząc wszędzie obok pomocy materyalnej, pociechę i ukojenie w cierpieniach i boleściach. W Kościele zaś modlono się wspólnie za wszystkich współbraci ciężką dotkniętych chorobą [4].

Prócz chorych zajmowano się grzebaniem umarłych. Być

[1] List św. Jak. I, 27.
[2] Euseb. VI, 43.
[3] *Const. Apost.* IV, 1.
[4] I Klem. 59, 4.

pozbawionym uczciwego pogrzebu było w oczach pierwszych chrześcijan rzeczą straszną, a być wykluczonym z wspólnego cmentarza — jedną z kar największych. To też kto może, mówi Arystydes[1], stara się własnym kosztem pogrzebać zmarłego ubogiego, a Tertullian dodaje[2], iż koszta pogrzebowe ubogich braci opędzano z wspólnej kasy kościelnej. Ostatniej posługi pogrzebowej nie odmawiano też poganom, gdy się ku temu nadarzyła sposobność. „My nie ścierpimy, woła Laktancyusz[3], aby obraz i dzieło Boże rzucono na pastwę dzikim zwierzętom i ptakom. Niech ziemia odbierze to, co wzięte z ziemi. I nieznanemu człowiekowi oddajemy ostatnią posługę zamiast krewnych, w imię ludzkości". Tak miłość chrześcijańska czyni dobrze, gdzie tylko może: w Imię Chrystusa żegna martwe ciało, które ma kiedyś zajaśnieć w blaskach zmartwychwstania, okazuje współczucie i ociera łzy wdowie i sierotom; przez modlitwę, ofiarę mszy św. i różne uczynki dobre zanosi ulgę duszom przebywającym w czyścu. Krainę cierpień na ziemi i w czyścu ogarnia dobroczynna miłość. A przemyślną była ta miłość i heroiczną bardzo, gdy ciężkie klęski nawiedziły *imperium* rzymskie. „Gdy się coś wydarzy, co ich wspólnie dotyka, mówi Lucyan szyderca, rozwijają oni nieporównaną działalność, nic im wtedy nie jest za drogie", ani utrata majątku, ani poświęcenie się aż do heroizmu, ani utrata zdrowia lub życia.

I tak w Kartaginie podczas pomoru chrześcijanie zajaśnieli heroizmem poświęcenia się wobec zadżumionych, podczas gdy poganie na najcięższe zasłużyli sobie zarzuty św. Cypryana, jak to czytamy w liście jego, pisanym do poganina Demetryana (c. 10): „oskarżasz, pisze on, dżumę i pomór, podczas gdy z dżumą i pomorem wyszły na jaw lub się spotęgowały tylko zbrodnie; bo chorym nie okazywano miłosierdzia, a nad umarłymi rozdziawiła paszczę chciwość i rabunek, bo ci sami, którzy są bojaźliwi, gdy idzie o miłosierdzie, są nieustraszeni, gdzie

---

[1] Arystydes, apol. c. 15.
[2] Tertullian, apol. c. 39.
[3] *Instit.*, VI, 12.

idzie o zbrodnicze zyski; ci sami, którzy uciekają przed pogrzebaniem umarłych, cisną się do nich, aby ich obłupić".

Podobnie działo się w Aleksandryi podczas pomoru. Euzebiusz podaje nam sprawozdanie biskupa Dyonizego o zachowaniu się mieszkańców tegoż miasta podczas dżumy. „Większość naszej braci, mówi on, nie oszczędzała się zgoła. Przejęci wielką miłością bliźniego trzymali się razem, bez bojaźni nawiedzali chorych, obsługiwali ich troskliwie, pielęgnowali dla Chrystusa i razem z nimi z radością żegnali się z tem życiem... Bo wielu zmarło przy posłudze, podczas gdy chorzy, których pielęgnowano, wyzdrowieli. Tak jad śmiertelny przenosił się na otoczenie... i zmarło w ten sposób dużo najszlachetniejszych z braci, niektórzy księża i dyakoni i wielce poważani laicy... U pogan zaś całkiem przeciwnie się działo. Kto zachorował, tego odtrącano, uciekano od najdroższych osób napół umarłych wyrzucano na ulicę i umarłych nie grzebano".

Za cesarza Maksymina gdy pomór i głód nawiedziły miasto, jedni tylko chrześcijanie zbierali jałmużnę i rozdzielali i spieszyli z pomocą bez różnicy tak poganom, jak chrześcijanom. „Oni okazali się podówczas, pisze Euzebiusz (X, 8) wszystkim poganom w najjaśniejszem świetle; chrześcijanie bowiem jedni pośród tak mnogich i wielkich uciążliwości okazali czynem swoje współczucie i miłość. Jedni zajmowali się dzień za dniem posługą i grzebaniem umarłych (było trupów bez liku, o których się nikt nie troszczył); inni zbierali z całego miasta ludzi trapionych głodem i obdzielali wszystkich chlebem. Gdy to głośnem się stało, wychwalano Boga chrześcijan i mówiono głośno, iż chrześcijanie jedni są naprawdę pobożni i boją się Boga, bo dowiedli tego czynem".

Pamiętano też troskliwie o wiernych skazanych na ciężkie roboty do kopalń: rejestrowano starannie ich imiona, utrzymywano z nimi częste stosunki, wysyłano do nich osobnych posłańców, by im wyrobić jakąś ulgę w ciężkiej doli i pokrzepić ich na duchu. Gdy zaś okazała się możliwość wydobycia ich na wolność, nie szczędzono ani wielkich sum, ani uciążliwych i niebezpiecznych zabiegów na dworze cesarzów. Hipolit opo-

wiada[1], iż papież Wiktor miał dokładny rejestr skazanych do Sardynii chrześcijan na ciężkie roboty do kopalń, których później udało mu się wydobyć na wolność za wstawieniem się Marcyi u cesarza Komoda. Kościół zaś kartagiński w krótkim niezmiernie czasie zebrał 100 000 sestercyi (przeszło 20 000 kor.), aby wykupić chrześcijan popadłych w niewolę Arabów[2]. Znaczne też sumy pieniędzy wysłał Kościół rzymski w trzeciem stuleciu do Kapadocyi, dokąd Goci zawlekli w niewolę dużo chrześcijan. Ale tu już doszliśmy do usług, jakie sobie świadczyły solidarnie prastare kościoły chrześcijańskie.

Z wielką troskliwością też zajmowano się niewinnie zasądzonymi, którzy już to dla wiary, już to z powodu długów niezapłaconych jęczeli po różnych więzieniach i po wszystkich kopalniach. Obowiązek odwiedzania więźniów ciężył przedewszystkiem na dyakonach, choć w rzeczywistości wszyscy chrześcijanie przesadzali się w oddawaniu usług więźniom. „Gdy usłyszą, opowiada w swojej apologii Arystydes[3], iż kto z nich dostał się do więzienia albo prześladowany jest dla Imienia Chrystusa, ujmują się za nim wszyscy w nędzy i jeżeli to możliwe, usiłują go wydobyć na wolność". A o Oryginesie opowiada Euzebiusz[4], iż tenże jeszcze młodzieniaszkiem będąc, zakradał się do więzień i przebywał tam z męczennikami aż do ogłoszenia i wykonania wyroku. Wogóle troska i staranie o więźniów były tak wielkie, że dzieci i kobiety z narażeniem własnego życia i wolności zakradały się częstokroć do tego kościoła nędzy i śmierci, by otrzymać błogosławieństwo od cierpiących współbraci i ucałować ich okowy. To też ostatni z cezarów, który przed Konstantynem krwawe zarządził prześladowanie, Licyniusz, takie w tej mierze postanowił prawo okrutne: „aby nikt nie poważył się okazywać litości nieszczęśliwym po więzieniach przez podawanie im jadła, oraz aby nikt nie litował

[1] *Philos.* IX, 12.
[2] *Epist.* 62, St. Cyp.
[3] *Apol.* 15.
[4] Euzeb. VI, 3.

się nad tymi, którzy będąc w okowach, z głodu przymierają“ [1], i to pod karą tej samej kaźni i tych samych oków.

Jednym z najpiękniejszych objawów miłości bliźniego w pierwotnem chrześcijaństwie były gościnność i opieka nad podróżnymi. Obowiązek ten ciężył przedewszystkiem na biskupach, którzy z urzędu podejmowali gości i podróżnych i emigrantów przybyłych z dalekich krajów lub uchodzących przed prześladowaniem. Biskupi, „którzy zawsze chętnie i bez obłudy podejmowali w swoim domu sługi Chrystusowe“, mówi Hermes, stanowić będą osobną kategoryę świętych w niebie.

Obok biskupów i wierni odznaczali się w szczególniejszy sposób cnotą gościnności. Można bez przesady powiedzieć, iż w pierwotnem chrześcijaństwie każdy dom stał otworem dla podróżujących braci, iż każdy chrześcijanin gdy ujrzy obcego, podejmuje go w domu swoim i cieszy się, jak gdyby brata podejmował“ (Arystydes).

Ale bo też chrześcijanie tworzyli tę społeczność Bożą, której członkowie pozdrawiali się życzeniem pokoju, nazywali się braćmi i odznaczali — co miano za stygmat Boży — cnotą gościnności, jak mówi Tertullian [2]. W myśl nauki Chrystusa, dla pierwszych chrześcijan gość był drugim Chrystusem, posłańcem i przedstawicielem odległej gminy kościelnej. On rozpowiadał o krwawych prześladowaniach i świetnych zwycięstwach, o niedoli cierpieniach, o kwitnącym stanie, o darach i łaskach i cudach Bożych rodzinnego Kościoła. Zdarzało się też nieraz, że chrześcijanie chcąc uniknąć krwawego prześladowania, albo zdobyć sobie lepsze warunki życia, przesiedlali się do innych krajów. Doznawali oni natenczas ze strony wiernych lub władzy kościelnej takiej samej opieki, jak robotnicy, którzy pozbawieni byli pracy. Dwa albo najwyżej trzy dni podejmowano ich jako gości, a następnie wyprawiano do pracy lub w dalszą drogę. Ażeby zaś uchronić się przed włóczęgami i oszustami, baczną zwracano na to uwagę, czy podróżny jest

[1] Euseb., x, 8.

[2] Tertullian: *De praescriptione*, c. 20.

praktykującym chrześcijaninem i domagano się listu polecającego z gminy rodzinnej. I tu doszliśmy do tego, co stanowi rdzeń i istotę pauperyzmu, mianowicie, jak pierwotny chrześcijanizm walczył z żebractwem i włóczęgostwem, jak się opiekował robotnikami pozbawionymi pracy?

W stosunku do biednych robotników takiej trzymano się zasady: „zarobek należy dać tym, którzy mogą pracować, jałmużnę tym, którzy są niezdolni do pracy“ [1]. Obowiązek ten ciążył na gminach kościelnych, które miały ubezpieczyć utrzymanie przez zapomogi, czy też dostarczenie zarobku tym, którzy mogli i chcieli pracować. Losem mistrza sztuki aktorskiej, który z pobudek religijnych zmuszony był wziąć rozbrat z swoim zawodem, powinna gmina kościelna się zająć, pisze św. Cypryan w drugim ze swoich listów. Ale czy praktyka ta była powszechną, czy gminy kościelne poczuwały się wszędzie do obowiązku dostarczania zarobku ubogim, jak postępowano sobie z tymi, którzy pracować nie chcieli — na te i tym podobne pytania nie umiano odpowiedzieć wobec braku jaśniejszych i pewniejszych przepisów kościelnych w tym kierunku. Dopiero „odkąd znamy, mówi prof. Harnack, ‚naukę apostołów‘, zniknęły wątpliwości. Żaden wierny, czytamy tam (c. 12), nie ma być więcej jak dwa do trzech dni przez gminę kościelną wspierany. Istnieje więc prawo gminy kościelnej pozbywania się takich braci. Prawo to atoli ma swoją odwrotną stronę obowiązku „jeżeli wierny umie rzemiosło jakie, niech pracuje aby sobie zarobił na jedzenie, jeżeli zaś żadnego nie zna rzemiosła, należy się postarać, aby żaden chrześcijanin nie żył bezczynnie pomiędzy wami. Gdyby zaś się wzbraniał pracować, to znak, że frymarczy Chrystusem (Χριστέμπορος). Trzymajcie się zdala od takich“. A zatem nie ulega wątpliwości, wnioskuje prof. Harnack, iż każdy chrześcijanin miał prawo domagać się od gminy kościelnej pracy. Na pierwotnych gminach chrześcijańskich ciążył obowiązek wspomagania wiernych i dostarczania im pracy, gdy zabrakło zarobku. Fakt ten, mówi prof. Harnack, jest wielkiej doniosłości

[1] Homilia pseudo-Klemensa 8. Harnack: *Mission*, str. 128.

pod względem socyalnym. „Gminy kościelne były zarazem społecznościami ekonomicznemi. Fakt o którym Cypryan wspomina, dowodzi, że tu nie idzie o jakąś tylko retoryczną zasadę. Dla ludzi, którzy chcieli pracować, a w nędzę popadli, była zatem gmina kościelna rodzajem przytułku. I to powiększyło jej siłę atrakcyjną. To też pod względem ekonomicznym musimy bardzo wysoko postawić taką społeczność, która ludziom zdolnym do pracy dostarczała zarobku, a ludzi niezdolnych do pracy chroniła przed nędzą". Zbyt wielki tylko tu nacisk kładzie uczony profesor na to, jakoby każdy chrześcijanin miał prawo domagać się od gminy kościelnej pracy. Prawa do pracy w ścisłem tego słowa znaczeniu prastary Kościół ani nie znał ani nie uznawał. Wynika to już stąd, że składki były najzupełniej dobrowolne i cała organizacya dobroczynności opierała się wyłącznie na miłości społecznej.

Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach kraina cierpień, ubóstwa i nędzy, i różne kategorye cierpiących i potrzebujących, którym dobroczynność chrześcijańska przychodziła ze skuteczną pomocą. Teraz zobaczymy, jaka była organizacya akcyi dobroczynnej, jakie były środki materyalne i zasady, któremi się kierowała?

Walkę z cierpieniami i nędzą prowadziła w pierwszym rzędzie cała społeczność chrześcijaństwa zorganizowana w gminy kościelne. Kto należał do tej społeczności wzajemnej miłości, kto był chrześcijaninem, poczuwał się do obowiązku przyłożyć rękę do akcyi obronnej i do każdego czynu dobrego, który zdolny był choć w części tylko ułagodzić cierpienia i niedolę współbraci. Wspaniały obraz dobroczynności pierwotnych chrześcijan roztacza w liście do Koryntyan papież Klemens (r. 46), stawiając im przed oczy kwitnący stan ich pierwotnej gminy kościelnej z przed niewielu laty. „...Któż, będąc u was w gościnie, nie doświadczył waszej wiary, bogatej w cnoty i mocnej? Któż nie podziwiał waszej pobożności chrześcijańskiej rozumnej i dzielnej? Któż nie wychwalał wspaniałych objawów waszej gościnności, nie wynosił waszej znajomości pewnej i doskonałej? Przecież wszystko czyniliście, nie oglą-

dając się na względy osobiste... dalej odznaczaliście się wogóle pokorą, nigdzie nie znać było dumy, chętniej słuchając, niż rozkazując, chętniej dając, niż biorąc. Będąc zadowoleni darami, które Chrystus wam dał, i trzymając się ich, zachowywaliście słowa Jego w głębi duszy, a męka Jego stała wam zawsze przed oczyma. Wszyscy cieszyli się tak głębokim i czystym spokojem, a nieugaszone pragnienie, aby dobrze czynić, pchało was wciąż naprzód... dzień i noc chcąc się nawzajem prześcignąć, myśleliście tylko o tem, aby wszystkiej braci było najlepiej i przez miłosierdzie wasze i troskliwe zabiegi liczba wybranych Bożych osiągnęła zbawienie. W prostocie i bez fałszu życie wam płynęło. Żadnego żalu do bliźniego nie nosiliście w sercu, wszelka waśń, wszelki rozdział był dla was czemś strasznem. Gdy bliźni się potknął, ocenialiście jego potknięcie się tak jakby to wam samym się przydarzyło. Żadnego czynu dobrego nie żałowaliście, i każdy przykładał rękę chętnie tam, gdzie o rzecz dobrą chodziło".

W szczególniejszy zaś sposób odznaczały się na polu dobroczynności kobiety chrześcijańskie. Tertullian przestrzegając gorąco chrześcijanki przed mięszanemi małżeństwami z pogany, tak rozumuje: „Kto z pogan pozwoli na to, aby żona (chrześcijanka) chodząc od ulicy do ulicy, nawiedzała chrześcijan po obcych i to najnędzniejszych domach? Kto pozwoli na to, aby się zakradała do więzień i całowała okowy męczenników? A chrześcijanin obcy czy znalazłby gościnne przyjęcie w takim domu?" [1]. A więc nie tylko wdowy, które z obowiązku i jakby z urzędu pracowały na polu dobroczynności, ale i kobiety zamężne były na służbie miłości bliźniego. I chodzenie po najbiedniejszych chatach najnędzniejszych zaułków i zakradanie się do lochów więziennych, by choć drobną przynieść ulgę świętym więźniom, należało do zwyczajnych zajęć i obowiązków kobiet chrześcijańskich. Ileż to zabiegów przemyślnej miłości

[1] Tertull. *Ad uxor.*, II, 4.

i niewyczerpanej cierpliwości, torujących sobie drogę do więzień, ileż to niebezpieczeństw, heroicznych poświęceń i heroicznej odwagi i jasnej chwały i twardej cnoty nie mieści się w tych kilku słowach Tertulliana o kobietach chrześcijańskich. To też nic dziwnego, że poganie nie mogli pojąć takich kobiet. Ci chrześcijanie, mówiono, jakie kobiety oni mają!

Obok wiernych zajmowali się dobroczynnością z urzędu biskup i dyakoni. Taka była tradycya apostolska. W społeczeństwie miłości biskup był z urzędu i obowiązku opiekunem i ojcem ubogich wdów i sierót, i kierownikiem wszelkiej akcyi dobroczynnej. Przydani mu byli do pomocy dyakoni, których zadania i obowiązki Konstytucye Apostolskie w ten sposób określają: „oni mają dobrze czynić, dzień i noc wypatrywać, gdzie czego nie dostaje, nie gardzić ubogim, nie podchlebiać się bogatym, nędzę wyśledzić i starać się o to, aby nędzarz otrzymał wsparcie z kolekty kościelnej, bogatych zaś mają zniewolić, by dawali jałmużnę".

Kasę ubogich zasilano drogą składek dobrowolnych. Św. Justyn, który najdawniejszy pozostawił nam opis prastarych obrzędów kościelnych, tak mówi o składkach kościelnych: „I zamożni i chętni dają, każdy dowolnie, ile zechce; co się zaś zbierze, składa się u biskupa, który wspiera wdowy i sieroty i tych, co w biedzie są, tak chorych i niedostatek cierpiących, jak więźniów i obcych przybyszów".

Tertullian zaś dosadnie maluje poganom cel i zadanie tej kasy:

„Rodzaj kasy, którą mamy u siebie, nie powstaje przez wkładki wstępne. Byłby to sposób kupczenia religią, ale każdy daje w pewnym dniu miesiąca swój skromny datek albo też kiedy zechce i ile zechce i ile może. Nikogo się nie przymusza, każdy daje dobrowolnie swój datek. Są to jakby oszczędności bogobojności. Nic bowiem z tego nie idzie na biesiady i hulatyki i bezcelową ucztę wyżerczą, lecz na utrzymanie i pogrzeby ubogich, na wychowanie sierót, chłopców i dziewcząt pozbawionych majątku, na starców, którzy już z domu się nie wychylają, na rozbitków i braci znajdujących się w kopalniach, na wy-

spach lub po więzieniach, skoro tylko przynależność do społeczności Bożej była przyczyną prześladowania — wszyscy tacy zasługują na wsparcie współwyznawców" (Apolog. c. 39).

Prof. Harnack na podstawie rozległych badań przedstawia obraz dobroczynnej działalności pierwszych chrześcijan w następujący sposób: Co niedziela albo raz na miesiąc albo dowolnie kiedybądź przynoszono na nabożeństwo różne dary (pieniądze lub różne rzeczy: *stips*) i oddawano je do rąk starszego, który składał je na ołtarzu. Oznaczało to, że dary te są własnością Bożą i że ubogi otrzymuje je z ręki Boga samego. „Łaska i dobroć Pana ich utrzymuje — mówi biskup Korneliusz. — Starszy decydował kto i jaką miał każdy otrzymać jałmużnę. Dopomagali mu w tem dyakoni, którzy dobrze byli obeznani ze stosunkami. Oni też rozdawali dary już to bezpośrednio po nabożeństwie, już to roznosili je ubogim do domów. Datki, które zawsze były dobrowolne, zbierano regularnie, niekiedy tylko zarządzano i nadzwyczajne składki. Gdy Marcyon w roku 139 przeniósł się na stałe do Rzymu, wniósł do kasy jako dar 200.000 sestercyi (około 40.000 marek). Imiona tych, którzy mieli otrzymać wsparcie wciągano do książki *(matricula)*, aby nikt nie został przez nieuwagę pominięty.

Wyborny znawca dobroczynności w pierwszych wiekach chrześcijaństwa protestant Uhlhorn[1] taki przedstawia nam obraz dobroczynnej działalności Kościoła prastarego.

„Wspierano tylko rzeczywistych ubogich, którzy dla podeszłego wieku albo choroby nie byli zdolni zarobić sobie na chleb. Twarde rządy Kościoła były potężnym środkiem zapobiegającym roztrwonieniu majątku ubogich pomiędzy niegodnych. Zapomogi były przeważnie w naturaliach i ograniczały się do tego, co najpotrzebniejsze. Kto zawsze był w biedzie otrzymy-

[1] Uhlhorna *Geschichte der öffentlichen Armenpflege* w *Handwörterbuch der Staatswissenschaften*. Szkoda tylko, że cenne prace historyczne Uhlhorna o dobroczynności chrześcijańskiej a zwłaszcza źródłowe dzieła pod tytułem: *Die christliche Liebesthätigkeit in der alten Kirche, im Mittelalter* i t. d. nacechowane są protestancką stronniczością i raz po raz zawziętą przeciwko Kościołowi katolickiemu niechęcią.

wał regularnie miesięczną zapomogę. Lista ubogich *(matricula)*, w której dokładnie notowano stosunki potrzebujących, służyła do tego, aby nikogo nie pominięto przy rozdawaniu oraz aby nikt nie otrzymał wsparcia, zanim położenie jego było zbadane. Pomoc dyakonów oraz drobne rozmiary gmin kościelnych (jeszcze Cypryan, który umarł w roku 258, znał osobiście całą gminę kościelną w Kartaginie) sprawiły, że stosowano się w wielkiej mierze do potrzeb indywidualnych. Usiłowano przyjść każdemu z pomocą w ten sposób, jak tego właśnie stosunki wymagały. Przedewszystkiem starano się o to, aby ubogich znowu uczynić zdolnych do pracy i pod względem ekonomicznym ich postawić na nogi. Dostarczano im pracy i zaopatrywano ich w narzędzia do pracy. Sieroty wychowywano pod okiem biskupa, obcych, którzy się listem polecającym wykazali jako bracia, przyjmowano gościnnie, wszelako tylko przez dni kilka. Kto dłużej zabawił musiał zapracować na utrzymanie. Kto się uchylał od pracy, tego miano za brata obłudnego, który chrześcijaństwem frymarczy. I w istocie tego rodzaju opieka nad ubogimi osiągnęła swój cel. W gminach chrześcijańskich nikt nie był w nędzy, żadnego nie było tam żebraka".

Teraz jakiemi zasadami ekonomicznemi kierowali się chrześcijanie w swej działalności dobroczynnej?[1]

Jasna jest w tej mierze nauka św. Pawła. W mieście Thessalonike niektórzy chrześcijanie z rzekomej pobożności oddawali się próżniactwu i dewocyjnej zadumie, licząc na miłosierdzie współbraci. Otóż tym rozmyślnym czy bezmyślnym zwolennikom dewocyjnego próżniactwa rzuca Paweł św. te żrące ironią słowa: kto nie pracuje niech też nie je[2]. Według nauki apostoła leniuch i próżniak nie wart jałmużny. Ażeby zaś przywarę tę wyrwać z korzeniem, poleca wiernym, by nikt z takim człowiekiem nie przestawał, dopóki się nie poprawi[3]. Dbać też należy i starać się troskliwie (według nauki apostoła) o utrzy-

[1] Porównaj Ehrle: „Beiträge zur Geschichte und Reform der Armenpflege" str. 1—36.

[2] 2 Tes. 3, 10.

[3] 2 Tes. 3, 14—15.

manie rodziny i przedewszystkiem domowników, aby nie stali się ciężarem dla drugich i nie powiększali szeregu ubogich będących na Opatrzności Bożej. „Kto nie dba o swoich i przedewszystkiem domowników, zaparł się wiary i gorszy jest, niż poganin“ [1].

Zgodnie z nauką Apostoła postanawiają Konstytucye apostolskie, iż żaden próżniak, choćby głód cierpiał, nie zasługuje na pomoc ani godzien jest, „aby był członkiem Kościoła“ (l. 2, c. 4). Warto tu dorzucić kilka objawień z Ojców Kościoła.

Ciekawy jest w tej mierze list Heraklidesa do swego przyjaciela w sprawie dawania jałmużny. Byłem — czytamy tam — w sławnym szpitalu św. Bazylego w mieście Cezarei w Kapadocyi i zgadnij, co mi powiedział ten wielki jałmużnik o jałmużnie? Chcesz wspomagać ubogich, czyń to przez ręce tego który ma powierzoną opiekę nad ubogimi. Dlaczego? Bo chcąc odróżnić ubogiego od włóczęgi i żebraka uchylającego się od pracy, dużo potrzeba doświadczenia. Kto daje bez różnicy każdemu żebrakowi, który się nawinie, nie kieruje się miłością bliźniego; taki podobny jest raczej do tego, który kawałek chleba rzuca psu ujadającemu nań, by się odczepił [2]. Czyż to nie rozumnie? Szpital Bazylego jest wielki bardzo. To miasto całe otaczające kościół z ulicami i dobrze urządzonemi mieszkaniami. Podróżni, ubodzy i chorzy mają tam w różnych dzielnicach przytułek i opiekę.

A w jednej ze swoich homilii [3] radzi ten wielki Święty wprzód dobrze się poinformować, zanim dasz jałmużnę. Tak postępowali wierni w dziejach apostolskich. Żebrak bowiem rzadko żebrze według potrzeby, najczęściej z nałogu, bo uważa żebraninę za swoje rzemiosło, bo żebranina stała się dla niego źródłem podłej chciwości. To też pierwsi chrześcijanie mając to na względzie ustanowili osobnych prokuratorów, którzy zbierali jałmużnę i według potrzeb ją rozdzielali pomiędzy ubogich.

---

[1] 1 Tim. 5, 8.
[2] *St. Basilius M. ep.* 150 n. 3.
[3] *Hom.* 1, in ps. 14, 6.

Kto wspomaga hojnie żebraków, którzy dla poruszenia litościwych serc niewieścich przerażające opowiadają historye lub zmarniałe i okaleczałe ukazują członki, nie czyni dobrze. Taka hojność bowiem utwierdza ich tylko w lenistwie.

Jeszcze dobitniej wyraża się w tej mierze św. Hieronim [1]. Tylko w to, co niezbędnie jest potrzebne, jak ubranie i chleb i co nieodparcie rzuca się w oczy, mówi on, należy zaopatrzyć ubogiego. Chleba dzieci Bożych nie trzeba rzucać psom. Bo nikt nie jest właścicielem jeno szafarzem i zarządcą majątku swego. Uważaj przeto, abyś nierozumnie nie roztrwonił tego, co jest Chrystusowe i bezmyślnie nie rozrzucał pomiędzy pozornie tylko ubogich dziedzictwa rzeczywiście ubogich.

Powtóre w prastarem chrześcijaństwie zwracano uwagę przedewszystkiem na to, aby ojciec rodziny dbał o domowników i o wychowanie dzieci. Kto nie dba o dzieci — mówi św. Paweł — kto nie troszczy się o domowników, „zaprzał się wiary i jest gorszy, niźli niewierny“ [2]. Konstytucye zaś Apostolskie postanawiają pod tym względem, aby dzieci wyuczono rzemiosła, ażeby nie spuszczając się na pomoc ludzką samodzielnie mogły sobie zapracować na kawałek chleba (l. 4, 2).

We wszystkich przepisach i ustawach i urządzeniach na polu dobroczynności w dawnem chrześcijaństwie przebija tedy jedna myśl i jedna zasada polegająca na energicznej walce z przyczynami ubóstwa. W czem zaś tkwi główna przyczyna nędzy? W lenistwie i w braku odpowiedniego wychowania dzieci. Z zaniedbanych i opuszczonych dzieci, przyuczanych niekiedy od najwcześniejszej młodości do żebractwa, rekrutują się przeważnie wszyscy żebracy i włóczęgi. Z tego źródła wypływa w znacznej mierze ubóstwo i nędza i cały szereg wszelkiego złego. A więc zatkać to źródło, zwalczać bezustannie te przyczyny złego, a będzie mniej nędzy na świecie. Hasłem w tej walce są słowa św. Pawła: Kto nie pracuje niech nie je; kto

[1] Ep. 58 ad Paul. 6, 7.
[2] 1 Tym. 5, 8.

nie dba o dzieci i o domowników „zaprzał się wiary i gorszy jest niźli poganin".

Drugą zasadą dobroczynności w prastarym kościele było śledzić i ścigać wszędzie ubóstwo i cierpienie tam, gdzie one wyrosły. Dyakoni i wdowy, którym z urzędu poruczono opiekę nad ubogimi mają „dzień i noc wypatrywać" gdzie nędza zachodzi w gościnę, aby w porę z skuteczną pośpieszyć pomocą. Chrześcijanki, kobiety wielkiego serca i poświęcenia, snuły się, jak cienie po najnędzniejszych zaułkach miast, zakradały się do najuboższych chat, jak mówi Tertullian, roznosząc wszędzie pociechę, pomoc i ukojenie. Bo nędza niezawiniona i cierpienia największe ukrywają się zwykle wstydliwie po zapadłych zakątkach i nie proszą o jałmużnę, chyba nędza ostatnia lub miłość jaka ich do tego przynagli. Jaka zaś wdzięczność musi napełnić serce ubogiego, jaka otucha wstąpić do duszy, gdy widzi, że są jeszcze serca dobre, które służą mu jako anioły opiekuńcze i że czuwa nad nim wszystko w miłości ogarniająca Opatrzność Boża. A w końcu wszelka pomoc dobroczynna powinna się stosować do potrzeb i położenia i charakteru potrzebującego czyli innemi słowy powinna być indywidualna. I to jest trzecia zasada dobroczynności pierwszych chrześcijan. Gdy dajesz jałmużnę — mówi św. Ambroży — patrz na wiek ubogiego i na jego zdolność do pracy i na to, czy on swego ubóstwa się wstydzi, coby wskazywało na jego wyższe położenie społeczne. Niezdolnym do pracy starcom, którzy już nie mogą sobie zapracować na kawałek chleba, hojniejszy należy się datek. Podobnie też chorzy doraźnej potrzebują pomocy[1]. Każde bowiem ubóstwo i cierpienie ma odrębną i właściwą sobie fizyognomię i z innego pochodzi źródła, to też środki zaradcze różne być muszą. Kto zaś traktuje ludzi szablonowo jak liczby, rozgorycza tylko serca ludzkie i zamiast miłości szerzy waśń społeczną. Nie w biurze i na kartach protokólnych rozwiją się i rozkwita kwiat miłości społecznej, ale wyłącznie tylko na gruncie serca pełnego miłości Bożej. Ubogi nie powinien odczuć, że się go traktuje, jako niemiłego

[1] *De officiis ministrorum* l. 1, 30, n. 158.

i natrętnego żebraka — tak pierwsi chrześcijanie dobroczynności nie pojmowali. W ich rozumieniu służba dobroczynna w krainie nędzy była wielką sprawą Bożą. Oni szli do ubogiego, jak do brata cierpiącego w przekonaniu, że sprawują poselstwo Boże, że są narzędziem w ręku Opatrzności Bożej. Anioł promieniejący dobrocią Bożą, który podaje kielich Chrystusowi przywalonemu ogromem cierpień na górze oliwnej: oto obraz dobroczynnej miłości chrześcijańskiej.

To też nic dziwnego, że z prastarych kościołów chrześcijańskich miłość społeczna wygnała wszelką nędzę i wszystkich żebraków.

Ks. Leonard Lipke.

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

W OPRACOWANIACH PROFESORÓW BRÜCKNERA, CHMIELOWSKIEGO I TARNOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Pojmowaniem zadań i celu historyi literatury, a także układem różni się na pozór dzieło Chmielowskiego od książki Brücknera. „Historya literatury jest nauką, dążącą do wykrycia praw rozwoju myśli, uczuć i ideałów ludzkich wogóle, lub narodowych w szczególności, wyrażonych za pośrednictwem pięknego słowa". Taką definicyę daje nam Chmielowski w swej „Metodyce" (str. 38). Dodatek końcowy ogranicza pole badania, wyłączając zeń dzieje umiejętności. Co więcej, w myśl zapatrywań prof. Chmielowskiego „historya literatury nie powinna wchodzić w dziedzinę dziejów cywilizacyi, wyrażającej się za pośrednictwem instytucyi religijnych, politycznych, społecznych, ekonomicznych, objawów artystycznych i t. p." [1]. Otóż nie da się zaprzeczyć, że książka prof. Brücknera wkracza często w sfery wyłączone przez prof. Chmielowskiego i w swej całości sprawia złudzenie historyi cywilizacyi. Co do mnie, bardzo chętnie zgodziłbym się z tym ostatnim uczonym, gdyby on sam szedł ściśle i konsekwentnie za swą zasadą. Ale nie idzie. Wystarczy rzucić okiem

---

[1] „Metodyka hist. lit. pol.". Warszawa. 1899. Str. 40.

na końcowy spis nazwisk, aby się przekonać, że nie pomija milczeniem nauk ścisłych. W istocie omawia uczoną działalność bardzo wielu mężów od Witelliona w XIII w. począwszy, aż do w. XIX; zajmuje się ich dziełami, opowiada życie bez względu na to, czy ważnej treści dzieł towarzyszyła piękna forma. Zasada była dobra, tylko w wykonaniu i zastosowaniu okazały się zboczenia od niej. Podobnie i w układzie całości.

Całość dzieli się na trzy epoki: Literatura kościelna, średniowieczna, literatura szlachecka, literatura ogólno-narodowa. Pierwsza epoka dzieli się na dwa okresy: Kościół w zależności od władzy monarchicznej i Potęga Kościoła. W epoce drugiej rozróżnia autor cztery okresy, a nadto w drugim i trzecim okresie po trzy doby, w czwartym zaś dwie doby; w dobach znowu mnogie rozdziałki. W epoce trzeciej, obejmującej XIX wiek, znajduje czytelnik okresów pięć, w okresie zaś trzecim i czwartym po dwie, a w piątym trzy doby i liczne rozdziałki. Epoka pierwsza zamyka cztery wieki od 966 r. do 1400, a omawia je historya literatury na 25 kartkach małej oktawy; epoka druga zamyka pięć wieków literatury, a omawia je prof. Chmielowski na czterystu dwudziestu stronach; epoka trzecia natomiast obejmuje jeden wiek, któremu poświęca autor cztery tomy, łącznej objętości tysiąca stu stronic. Zdaje mi się, że taka nierównomierność rozkładu dzieła wynikła z intencyi wszechstronnego oświetlenia XIX wieku, tak blizkiego współczesności, co było tem łatwiejszem do osiągnięcia prof. Chmielowskiemu, iż jest specyalistą w znajomości tej właśnie epoki. Trzebaby to przyjąć z wdzięcznością i uznaniem, gdyby nie sztuczne kryterya, jakie służyły uczonemu badaczowi do skonstruowania budowy. Głosi on, że historya literatury nie powinna wchodzić w dziedzinę dziejów cywilizacyi, wyrażającej się za pośrednictwem instytucyi religijnych, a sam wciąż opiera pracę swą o tło walki racyonalizmu z katolicyzmem; śledzi walki polityczne, społeczne i religijne od średniowiecza aż po chwile końcowe XIX wieku, a nawet czyni to z daleko większem upodobaniem, niż dochodzenie rozwoju pierwiastków czysto artystycznych, wytwarzających główne prądy w literaturze i sztuce.

Prof. Chmielowski jest zresztą w samem dziele konsekwentny. Wprawdzie definicya jego w „Metodyce“ wyklucza nauki ścisłe z literatury, ale skoro wbrew tej definicyi w swojem opracowaniu je przyjął, musiał też przyjąć i zasady podziału całości takie, żeby zawarły w sobie usprawiedliwienie bytu w „Historyi literatury“ i dla ksiąg, ze ściślejszym jej zakresem nie związanych. A tymczasem sztuczność tych zasad ogólnych jest uderzająca. Życie społeczne, wzięte jako całość, bywa w każdym momencie swego rozwoju mechanizmem tak skomplikowanym, że niepodobna jakiegoś społecznego prądu uznać za główny i najwybitniejszy, chociaż się nawet widzi pozorną jego wybujałość ponad inne. Któż np. może apodyktycznie zawyrokować, który z prądów dziś bijących w naszem narodowem życiu, jest głównym: chrześcijańsko-socyalny, socyalno-demokratyczny, czy t. zw. wszechpolski lub narodowo-demokratyczny? Wszystkie są w danym momencie pozornie silne, żaden nie jest głównym, a żaden też nie może rościć pretensyi do tego, aby swojem piętnem nacechował wiek, dwa wieki, trzy wieki. Obok nich w żyjącym organizmie społecznym tętnią setki mniejszych prądów i tworzą potężne życie, podobnie jak setki strumieni spływają z szumem w główne łożysko, aby zlewem wód nasycić rzekę. Czy słusznie przeto uczynił prof. Chmielowski, że — na wzór Jana Majorkiewicza — liczył się z taką skrupulatnością w rozpatrywaniu dziesięciu wieków literatury z zasadą przewagi racyonalizmu lub religijności? Czy epoka pierwsza da się z jaką taką ścisłością określić mianem tylko „literatury kościelnej“? Czy druga może przyjąć nazwę zgoła zewnętrzną „literatury szlacheckiej“, skoro już Brückner uznał za właściwe w siedmnastym wieku w literaturze przyznać roli mieszczaństwa takie znaczenie? (T. I, zesz. 2). Czyżby, mianując trzecią epokę „ogólnonarodową“, chciał autor przez to powiedzieć, że już nie duchowni, jak w pierwszej, nie szlachta, jak w drugiej, ale i ci i owi, i inni prócz nich zabierają głos w piśmiennictwie? Taki domysł nasuwa dodatek „o g ó l n o - narodowa“, a byłoby to zaprawdę jedyne w swoim rodzaju pojmowanie narodowości

w literaturze. Nazwy okresów są tak samo sztuczne, często formalne, jak nazwy epok.

Pierwszy okres drugiej epoki nosi nagłówki: Budzenie się żywiołu świeckiego. Świt humanizmu. Prąd kulturalny europejski podszyty zatem miejscowym, ale w jakim one do siebie związku i stosunku pozostają, trudno dociec. Okres trzeci tej epoki ma tytuł: Czasy reakcyi katolickiej i swywoli politycznej. Znowu osobliwe zestawienie pojęć: jakgdyby stulecie 1625—1740 oznamionowało się w równie ujemnej mierze zjawiskami życia, zawartemi w dwóch tych pojęciach. A gdybym to nawet uznał za pewnik dziejowy, pytam, dlaczego te właśnie zjawiska natury moralnej i politycznej dały wykładnik dla dzieł literackich całego wieku? Gdzie się podziały prądy artystyczne, które tworzyły złoty wiek we Francyi? Jak można reakcyą katolicką i swywolą polityczną wyjaśnić barok w poezyi Morsztyna, Naborowskiego lub Herakliusza Lubomirskiego, narodowe epos Potockiego, różnorodność i kunsztowność zwrotki Kochowskiego? Okres czwarty, doba pierwsza epoki trzeciej zatytułowana: Panowanie reakcyi — oczywiście, jak bliżej wyjaśnia pierwszy rozdziałek — katolickiej. I oto w tej dobie szan. autor omawia: Pola, Syrokomlę, Lenartowicza, Deotymę, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Szajnochę. Na cóż zdał się wywód ogólny (na str. 29—32, t. VI), stwierdzający parę zjawisk tej wrzekomej reakcyi, skoro rozpatrywanie działalności literackiej całego szeregu pisarzy niemiłosiernie zbija ten wywód, bo sam autor ocenia Pola w początkach twórczego rozwoju, Kondratowicza, Lenartowicza, Kaczkowskiego i t. d. zgoła nie jako reakcyonistów katolickich, jak się też rzecz ma istotnie.

Słowem układ całości wysnuwa się w dziele prof. Chmielowskiego przeważnie z czynników społecznych i cywilizacyjnych naszego życia przeszłego i obecnego. W przeglądzie dziejów ducha narodowego wciąż spotykamy tytuły: „Boje pozytywistyczne i stańczykowskie“, „Spotęgowanie dążności społecznych“, „Rozwój reform“, „Czas reform politycznych“ i t. p. Tak mści się wciągnięcie przez autora do literatury także historyi nauk i czyni jego dzieło cząstkową historyą cywilizacyi

ze szczególnem uwzględnieniem literatury pięknej. Jednolitość tego układu psują niekiedy czynniki artystyczne, jakby nawiasem i przygodnie wtrącane w kanwę społeczną, np. w okresie trzecim, dobie drugiej epoki II: „Przeciwieństwo talentu i poczytności“, albo też w okresie piątym, dobie trzeciej epoki III: „Uroszczenia indywidualizmu“; jednolitość układu jeszcze bardziej psują czynniki miejscowe, np. w okresie trzecim epoki trzeciej: „Literatura w kraju. Poznańskie. Śląsk, Prusy“ i t. d. Rozdziały te snują się już zgoła nie z ducha literatury i życia, lecz przyjęte niewiedzieć dlaczego — odgrywają w całokształcie układu rolę zmartwiałych cząstek na żywym organizmie.

Trzeba nakoniec jedną okoliczność podnieść, gdy się mówi o podziale literatury prof. Chmielowskiego. Wychodził on z tego założenia, że w naszem życiu narodowem piękna literatura nie wyodrębniała się, zajęta marzeniami o niewcielonych światach, lecz bywała proroczą i wieszczą, spełniając kapłańską rolę przodowania i dowództwa. Najwybitniejsi pisarze są — że tak powiem — działaczami narodowymi, podają ucha troskom chwili, szukają środków zaradczych na niedostatki w ciele społecznem, gromią wady i ułomności rodaków. Forma utworu, styl, piękno i sztuka nie tyle ich obchodzą, co myśl, doniosłość idei, ważność roztrząsanej kwestyi. Stąd wynika, że historyk naszej literatury musi się w rozleglejszej mierze liczyć z pierwiastkiem myśli i treści dzieł literackich, niż historyk literatury np. francuskiej; stąd także wynika uzasadnienie podkładu społecznego, o ile nie jest narzucone gwałtownie, dowolnie i sztucznie danym momentom w rozwoju piśmiennictwa, lecz wysnute jako konieczna, nieodzowna synteza z całego szeregu rozpatrywanych dzieł i pisarzy. Tymczasem już sam porządek rozdziałków wykazuje, że prof. Chmielowski nieraz narzuca okresowi lub dobie jakiś ton ogólny. Każdą epokę, każdy okres, każdą dobę poprzedza jeden lub więcej rozdziałków ogólnej treści, i w nich określają się nie przyczyny rozwoju literatury, lecz jej charakter, czasem poparty szczegółowym przeglądem, czasem jednak zgoła nie. A to już należy do metody krytycznej szan. autora, której właściwościom pozwolę sobie poświęcić parę uwag.

Najpierw jedna ogólna.

Myślę, że historyk literatury nie koniecznie musi być wciąż od stóp do głów uzbrojony w prokuratorskie lub adwokackie argumenta, nie koniecznie musi pozywać przed sąd lub bronić dzieła i pisarza. Sądzenie i ferowanie wyroków nie leży w jego obowiązkach i przywilejach. Nie chwalić lub ganić wciąż i nieustannie, lecz analizować i objaśniać, szukać w dziełach sztuki śladów ducha artysty i duchów pokrewnych mu — to zadanie krytyka. Analiza polega na rozbiorze środków, jakimi dzieło sztuki posługuje się, aby działać na czytelnika. Skoro przez umiejętny i dokładny rozbiór rozpoznaliśmy te środki, należy dzieło zapomocą wskazania analogii i pokrewieństw rozpatrzeć na szerszem tle dzieł o tej samej idei zasadniczej, o podobnych środkach artystycznego oddziaływania, zrazu u pisarza, o którym mowa, potem u innych pisarzy współczesnych. Tak tworzą się grupy i wyłaniają się znamiona literackiego prądu, panującego w danym czasie.

Sądzenie i ferowanie wyroków wydaje mi się o tyle ryzykownem, że dzieło lub pisarz zanadto podlega opiniom samego krytyka. Bardzo trafną myśl wypowiedział raz w tej mierze Henryk Sienkiewicz z powodu głośnych w swym czasie artykułów Spasowicza o Polu i Syrokomli. „Na jego sądy estetyczne — pisał idący wówczas ku sławie nowelista[1] — możnaby się zgodzić, ale sądy te rzadko bywają czysto estetycznymi. Najczęściej są one tak zabarwione pierwiastkiem społecznym, a nawet i polityką, że ów społeczno-polityczny charakter znakomicie w nich przeważa. Nie tylko więc baczy się na to w krytyce, z jaką siłą talentu poeta wypowiada swe przekonania, ale jaki wpływ mogły one wywrzeć na rozwój idei postępowych. Inaczej mówiąc, poeta bywa sądzony nie tylko jako *artifex*, ale jako obywatel, jako myśliciel, jako polityk. Taka metoda wiele wyświeca, a przytem jest ogromnie żywotna, choć z drugiej strony mało przedmiotowa, ten sam bowiem poeta może być stawiany bardzo wysoko lub bardzo nizko wedle tego, jaka

[1] „Zbiór feljetonów“ wyd. Hösicka, str. 294.

społeczna partya go sądzi". Cennem uzupełnieniem tego zdania jest myśl prof. Chmielowskiego w „Metodyce" (str. 269) o ścisłej przedmiotowości wykładu. „Historyk starać się powinien o to, ażeby fakta przezeń przytoczone same mówiły za siebie, ażeby czytelnik widział przed oczyma swej duszy rozwijające się pasmo dziejów takiem, jakiem ono było w rzeczywistości. Osoba historyka zniknąć powinna jako osoba. Przedstawianie drogi, którą historyk doszedł do swych wyników, spory z przeciwnikami, zestawianie tekstów celem udowodnienia słuszności swego mniemania, a tembardziej wysuwanie naprzód swoich zamiłowań i wstrętów, powinny stanowczo zniknąć z tekstu"...

W praktyce teorya okazała się zawodną, i dzieło prof. Chmielowskiego nie może służyć za wzór przedmiotowości. Jest on racyonalistą i demokratą, o ile więc w przeszłej historyi i literaturze górę brały prądy religijne i zachowawcze, o tyle krytyk ostrem i dosadnem słowem lubi je piętnować — jako ujemne i szkodliwe. Z jakiemże ubolewaniem zaznacza przewagę duchowieństwa w pierwszych wiekach po przyjęciu chrześcijaństwa. W dziedzinie ducha nie mogło ono wytworzyć nic samoistnego (I, 28); zatarg między Bolesławem Śmiałym a św. Stanisławem mianuje „straszną zawieruchą, poskramianą przez tego króla" (I, 31), cieszy się, że „dzielność i rozum Bolesława Krzywoustego nie pozwoliły rozwinąć się wpływom kleru" (I, 31), gani nauczanie duchowieństwa, jako mechaniczne i t. d. Charakteryzując mrok i zastój epoki drugiej, okresu i doby trzeciej (II, 114—15) nie ma dość słów gniewu i pogardy pełnych na potępienie „bezmyślnych bigotów" i przytacza długie wywody „jednego ze spółczesnych, mające odsłonić całą szkaradę nieszczerej, płytkiej, maskującej stek występków i wszeteczeństwa religijności u białychgłów i kleru w końcu XVII i początku XVIII wieku. Zestawiając oświatę okresu IV (II, 124) u nas zagranicą, ubolewa nad tem, że na zachodzie krytycyzm, zrodzony z humanizmu i reformacyi, bywał stosowany do religii, państwa, zwyczajów i obyczajów, podstawiając na miejsce rozmaitych powag — doświadczenie i zdrowy rozsądek; u nas

powierzchowna bigoterya, płytki fanatyzm i naiwna łatwowierność krzewiły się tak, jak w najciemniejszej dobie wieków średnich".

Mówiąc o sporze zakonu Jezusowego z Konarskim, co krok wylicza „napaści", „zemsty", „niegodne matactwa", zwrócone przeciwko „dobrej sprawie" (II, 142). Oceniając działalność akademii w Połocku na początku wieku XIX, powiada: „Miała ona charakter mocno klerykalny, a nawet średniowieczny; była raczej seminaryum duchownem, aniżeli szkołą wyższą na poziomie ówczesnej nauki; starano się w niej osłabiać zaufanie względem wyników wiedzy". (III, 16).

Nie chodzi mi zgoła o wykazywanie, czy te wywody są błędne; muszę atoli stwierdzić, iż są one nieprzedmiotowe i stronnicze. Stronniczą jest ujemna charakterystyka pobożności wieku XVII i XVIII, bo wzięta z ust wrogich katolicyzmowi, a przytem nie tolerująca prostej i szczerej wiary, która się ujawniła np. w takiem dziele, jak ks. Floryana Jaroszewicza „Matka Świętych Polska". Niema o niem nawet wzmianki u Chmielowskiego, a jednak dzieło to wyłoniło się z głębi ducha polskiego i należy przynajmniej o tyle do naszej literatury, o ile Konarskiego: „O religii poczciwych ludzi" (Warszawa 1769). Stronniczą jest ocena sporu Zakonu Jezusowego z Konarskim, gdyż nie uwzględnia obu głosów w sporze literackim, jaki się niegdyś toczył [1]; staje na stanowisku jednego we formie ostrej i stanowczej. Jak wypadły sądy o niektórych pisarzach, z tego jednostronnego stanowiska traktowanych, wskazują karty Krasińskiemu poświęcone. Chmielowski sam wyznaje zasady demokratyczne, staje chętnie jako ludowiec w obronie praw ludu do rządzenia społeczeństwem [2], stąd też nie lubi arystokracyi i przy każdej sposobności wytyka błędy tej sfery. Nie lub też i Krasińskiego, kreacye tego poety tłumacząc na swój sposób. Kalectwo Orcia wydaje mu się „symbolem fizycznego zwy-

[1] *Gazeta Narodowa.* 1875. Ks. Stan. Załęski: „O Stanisławie Konarskim". *Przegląd Lwowski.* 1875.

[2] Ob. III, 6—7.

rodnienia arystokracyi“ (IV, 213). W portretowaniu Henryka i Pankracego cały mrok ujemności spływa na pierwszego, podczas gdy drugiego widocznie oszczędza, osłania i ozdabia. Cytuje piękny ustęp ze wstępu do części trzeciej, tak silnie malujący oddziaływanie Pankracego na tłumy środkami suggestyi i postaci, ale nie uważa za potrzebne uzupełnić rysopisu tem, co się mieści w „Niedokończonym poemacie“. Tam Pankracy sam mówi o sobie:

„Kto sądzi, że świat ukoi, temu winszuję. Świat zgniły, szlachta polska zgniła. Rady niema — być albo nie być. Ja chcę być. Kto godzi w cel, ten środków się jak strzał zatrutych chwyta. Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów, leniwym i uczonym, miłosiernym i czystym. Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości, zasady niech żyją, a niech ginie pół Europy“.

Aligier zaś powiada o nim: „Ten człowiek genialny jest, duch ten potężny, ale możny zmysłami, namiętnością i siłą jakąś okropną, utajoną w nim, lecz nie potrafi rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani z sobą samym wiarą i przekonaniem. Ty, co powtarzasz tylko Lud, Lud, a nigdy Naród nie powiesz, co chcesz wielkich rzeczy od siebie się doczekać, a od Boga nie poczynasz; co za podstawę przyszłej budowy stawiasz mężobójstwo; ty, co zawiścią zdjęty starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej imię konieczności — wierzyszli sam temu, coś tu oświadczył przed nami?“

Należało dla równowagi potępienia obu wodzów przytoczyć tę przedziwną sylwetkę moralnej fizyonomii Pankracego, skoro się już nie krępowało w wywodach, mających zdegradować hr. Henryka na poziom nędzników. Tymczasem szan. autor niezadowolony z chwilowej przewagi hr. Henryka nad Pankracym podczas sławnej ich dyskusyi, kiedy Pankracy nie ma odpowiedzi na słowa szlachcica, że szlachta dawała zboże pospólstwu, stawiała świątynie i szkoły, – sam podpowiada mu argument na odparcie służyć mający, że „owe szpitale, świątynie i szkoły

w znacznej części powstały z pracy rąk tej ‚trzody zwierząt'" (IV, 216). Czy to przedmiotowość?

Tak samo z niechęcią ku Krasińskiemu, przedstawia charakter jego słaby i spór ze Słowackim. Przytoczywszy piękne myśli z *Przedświtu*, wraca do kreślenia życia poety w następujący sposób. „Jakimże okropnym zgrzytem w zestawieniu z temi słowy w a r k n i e rzeczywistość, spółczesna drukowaniu *Przedświtu*. Kochając się w Delfinie i marząc wzniośle, popełniał wprost nieuczciwość słabego charakteru, gdy na życzenie ojca starał się o milionową pannę"... (IV, 235). Popełniał n i e u c z c i w o ś ć: zarzut zbyt ostry i znowu nieprzedmiotowy. Przedewszystkiem warto skonstatować, że stanowcze oświadczenie Branickiej nastąpiło w Rzymie w 1843 w styczniu, pożegnalny wiersz do Delfiny pisze w początkach maja w Genui, ślub zaś w lipcu w Dreźnie. Przez to półrocze Krasiński bardzo choruje, przenosi się z miejsca na miejsce do Montpellier, Nizzy, Cannes, Aix, znów do Rzymu, tak, że aż o n i e u c z c i w o ś c i mówić chyba nie można. Powtóre wobec srogości tego wyrażenia godzi się przytoczyć wyjątek z listu poety do Sołtana (Monachium 24 września 1841), pisanego pod wrażeniem obietnicy, danej ojcu, że się będzie starał o Branicką. Serce mu pęka skutkiem tej obietnicy. „Rozpacz ojca, zwątlone jego zdrowie zmusiły mnie. Nie miałem czem sił i życia mu dodać. Jedyne to lekarstwo było dla niego. A więc? Cóż było robić? Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk go zabijało! Czyż i z mojej dłoni ostatnie, najgłębsze cięcie miało paść mu na serce? Nie! nie! Gdym ujrzał, że doprawdy tem tylko ratować i krzepić go mogę, westchnąłem ciężko, alem postanowił siebie zabić, a jego wskrzesić, jemu radością życia naddłużyć". Tak tedy wygląda owa n i e u c z c i w o ś ć; a że na dnie jej znajduje się nieco szlachetnej ofiarności, przeto bezstronny krytyk powinienby nie przybierać się w togę oskarżyciela. Ale Krasiński nie wyzwolił włościan, nie popierał „czynów 1846 roku", przeto jest mu niechętny prof. Chmielowski [1]. I w sporze dwóch wieszczów bierze szan. krytyk stronę demokraty — Słowackiego.

[1] Ten surowy sędzia dla Krasińskiego jeszcze pobłażliwszym jest

W „Psalmie żalu“ Krasiński „zatryumfował i zwycięstwo swoje wyraził, a występując przeciwko Słowackiemu, nie okazał się szlachetnym. Słowacki zarzucił mu tchórzostwo i wstecznictwo; ale Krasiński dotknął o wiele boleśniej swego przeciwnika, odmawiając mu wprost miłości kraju, a wmawiając najniesprawiedliwiej w tym razie tylko miłość własną, próżność, chęć popisania się błyskotliwem słowem“ (IV, 237). Takie przedstawienie rzeczy jest nieprzedmiotowe, bo nie uwzględnia cudownej pokory i miłości ustępu:

Bodajbyś, wieszczu byś wieszczył prawdziwie,
Bodajbym
Był kłamcą — ty natchnionym wieszczem
I plam nie było na ojczystej niwie.

„Bodajby Polska twe pieśni uwielbiała, a z moich marnych na gardło się śmiała; bodajbym zapozwan przed sąd za potwarz na nieskalany lud, usłyszał wyrok: na śmierć, a ty z twą złotą harfą urągał mi i wiódł do rusztowania śród przekleństw gminu, co tobie się kłania, I milionowym dziękuje poklaskiem, Żeś odgadł świata wschód czysty przed brzaskiem. Szlibyśmy oba — i szczęśliwsi oba!“...

Czy te słowa można nazwać zatryumfowaniem i głoszeniem n i e s z l a c h e t n e m własnego zwycięstwa? Czy taki sąd jest bezstronnym? Czy można powiedzieć w myśl przekonań samego autora, że nauka „ani prześladuje ani przebacza: — stwierdza i wyjaśnia?“ Zdaje mi się, że to bliższe jest prześladowania, niż wyjaśnień. Ale bo też Chmielowski wszystko, o czemkolwiek pisze, traktuje głównie ze stanowiska przekonań, myśli i treści, formę sobie małowaząc. Stąd w jego dziele niekiedy inne odczuwa się tchnienie, niż w dziele prof. Brücknera. Tam świadomie usuwano ludzi i życiorysy na plan najdalszy, mówiono o dziełach — a jeśli wbrew intencyom różnorodne względy klasowe lub wyznaniowe dawały zabarwienie sądom, to działo się to jakoś mimowiednie. Tutaj natomiast nazbyt często psychologiczna

dla Wojkowskiego i Molińskiej, którzy „nie uważali za potrzebne uświęcić związku swego błogosławieństwem kościelnem“. Ale ta para należała do obozu ultrapostępowego. (v, 20 i d.).

charakterystyka pisarza wypełnia ramy literackiego szkicu, a uświadomienie działalności jego literackiej spada na plan dalszy. Przyczyny i skutki tego zjawiska zrozumiałe. Przyczyną jest to, że prof. Chmielowski za mało bywa estetykiem, a upodobanie ma do psychologii. Jako autor psychologicznego studyum p. t. „Geneza fantazyi“, jako wielbiciel metody krytycznej H. Taine'a przez długie lata swojej wszechstronnej, płodnej, działalności literackiej i krytycznej zżył się z przekonaniowem, myślowem i psychologicznem traktowaniem twórczości, badał życie pisarza analizując dzieła jego — i metodę tę zastosował w kapitalnej swej sześciotomowej pracy. Skutki zaś tej metody krytycznej w danym razie są dodatnie i ujemne. Rozległą pamięcią ogarnia on niezliczoną ilość stosunków, faktów, wydarzeń, podobieństw i kontrastów literackich, miejsc i myśli w książkach, a zwłaszcza w czasopismach, rozprawkach i artykułach, zazwyczaj mało przez naszych badaczy wyzyskiwanych. Pod tymi względami dzieło prof. Chmielowskiego wydaje mi się niewyczerpaną skarbnicą. On wie, że na Kępie Zaniemyskiej, o której Berwiński napisał utwór, zastrzelił się z armaty w roku 1845 Edward Raczyński (V, 37); on wie, w kim się kochał Z. Wasilewski, przytoczy niejeden wierszyk, pleśnią zapomnienia okryty, namaluje zajmujący obrazek przyjaźni Wasilewskiego i Szukiewicza (V, 58); on tylko powie, kto po raz pierwszy użył kształtu poetycznego „gazeli“ (V, 79); od niego można dowiedzieć się o treści tak rzadko czytywanych dziś utworów, jak „Krwawy chrzest“ Magnuszewskiego (V, 87); on poinformuje, skutkiem jakich antagonizmów jednego wydawcy czasopisma ku drugiemu powstawały i rozwijały się między r. 1840 a 1850 tygodniki i miesięczniki (V, 126); on udzieli nawet takich wiadomości, że Kaz. Wójcicki miał za żonę siostrę Magnuszewskiego (V, 131), że Karola Balińskiego opuściła narzeczona z powodu oszpecenia przez chorobę (V, 152), że Leopold Sztyrmer miał w dzieciństwie i w latach szkolnych w usposobieniu pewne znamiona nieśmiałości i zahukania, które wsnuł do swego „Pantofla“ (V, 210), że aniołem opiekuńczym Szajnochy w więzieniu była Amelia Radziszewska, (VI, 121), że rodzice Kaczkowskiego

różnili się temperamentem i jak się różnili (VI, 103), że Józef Sikorski uczył Deotymę muzyki, Antoni Waga polszczyzny i nauk przyrodniczych, ale obaj źle uczyli (VI, 69) i t. p. Wszystkie te drobiazgi, nie tyle literatury ile literatów dotyczące, sprawiają, że dzieło prof. Chmielowskiego wypełnia się sylwetkami ludzi. Mniej idzie mu o to, aby dać o ile można jasny obraz prądu, jak się on odzwierciedla w dziełach, niż o to, aby odtworzyć życie pisarza, nakreślić psychologię talentu—czy przeważa w nim rozum, uczucie, wyobraźnia... Obraz literatury wygląda jak zbiór sylwetek, opatrzonych portretami; więcej mówi się tu o ludziach, niż o dziełach. Prostą konsekwencyą tego jest, że jeżeli pisarz życiem swojem i działalnością literacką sympatycznym wydaje się autorowi, poświęca mu się więcej uwagi; w przeciwnym razie zbywa się go pobieżnie. I tak Kochowskiemu w XVII w. poświęca autor cztery strony: formę jego liryków pomija, na barok obrazowania nie zwraca uwagi, tylko obrazowanie „Psalmodyi“ zaznacza słówkiem: b e z z a r z u t u; całość wypada kuso i jednostronnie. Wacławowi Potockiemu przeznacza siedmnaście stron, głównie zaś życiu i przekonaniom (II, 83—100). Jeżeli powiem, że w historyi literatury XIX wieku Antoniemu Wojkowskiemu i Julii Molińskiej, którzy wyznawali skrajne zasady i żyli bez ślubowań kościelnych, wydziela cztery strony (V, 20—24), aczkolwiek znaczenie tej pary w literaturze chyba problematyczne, że o Fabianie Birkowskim znajduję dosłownie dwa wiersze (II, 20), że działalność literacka takich pisarzy, jak Berwiński, Żmichowska, Żeligowski wyłożona obszernie na dziesiątkach stronic, a pochwały i epitety, dawane np. Żmichowskiej, o wiele przewyższają stopniem zachwytu oceny pierwszorzędnych poetów[1], to dostateczną dam miarę, jak niedoceniają się jedni, a przeceniają drudzy. Wszakże o Henryku

[1] „Jej proza poetyczna należy do najpiękniejszych, jakie w literaturze posiadamy“, „‚Poganka‘ jest wspaniałym poematem prozą“, „w ‚Pogance‘ musielibyśmy widzieć genialne upostaciowanie pomysłów“, jest ona „wielkiem dziełem sztuki“, Żmichowska jest „pierwszorzędną przedstawicielką naszej poezyi“, „okazała głębokie pojęcie duszy ludzkiej, wysoką zdolność wtajemniczania się we wszystkie jej zakątki, subtelność analizy“ i t. d. (V, 167—178).

Sienkiewiczu znajduję skąpe półtorej strony (VI, 244—5), t. j. o połowę mniej, niż np. o lichym poemacie Jana Damascena Kalińskiego p. t. „Wiennida“ oraz poemacie „Lechus“ z początków XVIII wieku (II, 119), albo o rozprawie Jana Samuela Kaulfussa p. t. *Warum ist die deutsche Sprache und Litteratur als Hülfsmittel zur Fortbildung der französischen vorzuziehen?* (III, 102—105). Konia z rzędem temu niespecyaliście, który o wymienionych poematach lub rozprawce słyszał; rozparły się one jednak szerzej w Historyi literatury prof. Chmielowskiego, niż cała twórczość Sienkiewicza.

Dalszym ujemnym skutkiem tej psychologicznej metody ocen jest, jak już wzmiankowałem, zsunięcie na podrzędny poziom estetyki i formalnych piękności dzieł literackich. Prof. Chmielowski wytworzył sobie w tej mierze pewien szablon, wedle którego mierzy talent; szablon to dawno wskazany przez estetykę psychologiczną, a estetyk, który się nim posługuje, nie szuka w dziele i pisarzu indywidualnych znamion, wyodrębniających je wśród innych, lecz pyta: jak w dziele lub twórczości pisarza ujawnia się uczucie, jak wyobraźnia, jak rozum, jak logika i konsekwencya w upostaciowaniu pomysłów, jaki wzajemny stosunek tych władz duszy, jaki podkład doświadczalny dzieła, ile w niem prawdy życiowej, ile bystrych spostrzeżeń i t. d. Jeżeli odpowiedzi na kwestyonaryusz wypadną pomyślnie, — dzieło dobre i talent znaczny. Stąd jednak w szeregu ocen wytwarza się pewna jednostajność, a nadto nie wszystkie dzieła tak się dadzą podporządkować pod ten szablon, że odkryją swoje i twórcy tajemnice. Dla przykładu zestawiam niektóre oceny. U Woronicza uczuciowość była silna i głęboka. Zapału, uniesienia, natchnienia nie znajdujemy (III, 50, 51). Niemcewicz: uczuciowość szczera, serdeczna, silna i wytrwała, wierna ideałom, choć lubiąca i poswawolić (III, 61). Godebskiego „Wiersz do legionów polskich“ przeniknięty silnem i żywem uczuciem (III, 63). Osiński Ludwik: w „Zbiorze zabawek wierszem“ poezya rozumowa; uczucia a mianowicie zapału niewiele; w pieśniach miłosnych i sielankach niema świeżości i tkliwości uczucia. Za to w „Wierszu na powrót zwycięskiego wojska do sto-

licy“ żywość uczucia, podniosłość wyrażenia, przeważnie retoryczna... (III, 77). U Kajetana Koźmiana w pieśniach „my dzisiaj istotnego zapału i natchnienia dostrzedz nie możemy“ (III, 82). Otóż z tych paru przygodnych próbek widać, jak ocenianie obraca się w kole uczuciowości i jej stopni, uczucia, zapału, natchnienia — czy ich jest dużo czy mało, czy silne i żywe, czy suche i retoryczne; przytem trudno wyrozumieć, czy sz. krytyk uważa uczucia za co innego, niż zapał, skoro Woroniczowi przyznaje uczucie, odmawia zapału, o L. Osińskim zaś twierdzi, że u niego uczucia a mianowicie zapału mało, jak gdyby je utożsamiał. Niełatwo też wyrozumieć, czy prof. Chmielowski uwzględnia mniemanie spółczesnych o dziełach, czy też traktuje je z dzisiejszego stanowiska; niekiedy rzeczywiście powołuje się na opinię spółczesnych, najczęściej atoli przykłada do dzieł dawnych ostry nóż dzisiejszej krytyki psychologicznej. Tak mówi o Koźmianie: „my dzisiaj...“, tak postaciom „Barbary“ Felińskiego zarzuca „brak naturalności i pogłębienia psychologicznego“, jak gdyby naturalność i psychologia były właściwościami np. teatru Kornela, tak ocenę „Pamiątek“ Rzewuskiego rozpoczyna słowami: „dziś nie jesteśmy tak entuzyastycznie usposobieni...“ i t. d. (V, 207). W syntezach umysłowości i talentu lubi krytyk określenia ujemne, z których musi sobie czytelnik, jeśli podoła, wytworzyć pojęcie, czem był talent, skoro się wie, czem nie był. Oto np. W. Pol „słynął jako poeta“ (VI, 32) — to zasada. Z rozbioru wynika: Na przeszłość spoglądał z zaślepieniem, nierozważnie (VI, 34); „płytko i powierzchownie rozwodzi się nad animuszem Polaków“ (VI, 35); „poezyi w tem wszystkiem jest bardzo mało, a często brak jej zupełny“. Jako liryk „własne radości i smutki chował w głębi duszy“ (VI, 40); „przyznać mu jednak trzeba, że mówił po prostu, szczerze i bez ogródek to, co w danej chwili myślał i czuł“ (VI, 41). „Nie był poetą subtelnych uczuć, nie zapuszczał się w głębiny myśli; nie rozporządzał skarbami wyobraźni, która była bierna i w wieki odległe przenosić się nie umiała; nie można go nazwać mocarzem języka i stylu“ (VI, 40).

Podobnych ocen przez negacyę znajdzie się spora wiązka

w sześciu tomach dzieła; mają one tę właściwość, że pozostawiają u czytelnika wrażenie krytyki bezwzględnej i surowej nad miarę i wymagają nader umiejętnego i pilnego wczytywania się, iżby z tych negacyi wyłuskać i wydobyć ziarno twierdzenia, istotny rodzaj talentu określające.

Kiedyindziej znowu bywa i tak, że dzieło nie odsłoni swoich subtelności krytykowi, który doń przystępuje z aparatem rozumu, przekonań, myśli, psychologii. Są utwory, których analiza staje się herezyą krytyczną. Weźmy dla przykładu „W Szwajcaryi“ Słowackiego. Prof. Chmielowski mówi: „musimy ten rodzaj miłości nazwać fantazyjnym, gdyż nie bezpośrednie szczere, serdeczne uczucie, lecz raczej wymarzona w wyobraźni, nią przeniknięta na wskroś, zarówno radość jak i smutki z niej czerpiąca skłonność jest jej źródłem“. Zatem sąd zgodny z tem, co Krasiński pisał, że „nic podobnego w miłości marzonej nie zna“, z tem, co Nehring orzekł, że to „poemat fantastyczny“, a nawet i z tem, co Słowacki raz do autora „Irydiona“ mówił: „Ile razy zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć, albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach“. Kilkanaście wierszy potem pisze jednak prof. Chmielowski: „Jest to niby spowiedź poety, w której jaśniejsze a nawet najjaśniejsze chwile szczęścia widzimy poprzez rozłzawioną kaskadę smutków“ (IV, 165). Jakto spowiedź? Skoro fantazya, to nie spowiedź, bo nikt się nie spowiada z urojonych i wymarzonych przewinień i smutków. A przytem jak można nazywać nastrój „W Szwajcaryi“ kaskadą smutków i katuszami. Oba wyrażenia kryją w sobie stopień bólu ostrego, intenzywnego i głębokiego. Tymczasem Słowacki sam w liście z r. 1835 znalazł na określenie tych smutków wyraz „słodka melancholia“. Melancholia to „łza, która nie wysycha, lecz wciąż śród źrenic lśni się pod uśmiechem słońca i nigdy do ust nie spływa, by je napoić słoną goryczą“. Otóż cały poemat tchnie taką słodką melancholią, pieśnią dziewiczego uczucia pierwszej miłości i na wieki pozostanie cudownym głosem miłosnej melancholii — bez katuszy i bez kaskad smutków.

Niekiedy w sądach okazuje się brak jasności, jakieś urwanie myśli lub niedomówienie faktu, zapewne mimowolne i z przeoczenia pochodzące, niemniej dotkliwe w „Historyi literatury“, dla szerszych kół przeznaczonej. Mówi np. prof. Chmielowski o działaniach literackich Towarzystwa Przyjaciół Nauk: Dzieje Naruszewicza miały być dokończone. „Podobnie rzecz się miała z kursem literatury; pewne z niej części zostały obrobione i ogłoszone drukiem; jedna z powodu nowości poglądów odrzucona“ (III, 21). I nic więcej. Taka wzmianka wydaje się zagadkową i mało uświadamia. Albo: „Był czas, kiedy drwiono z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale niesłusznie“ (III, 21). Kto drwił, dlaczego drwił i dlaczego niesłusznie — pozostaje zagadką. Albo: „ożenienie się trzech księży Pijarów w ostatnim roku zeszłego (XVIII) stulecia wywołało pewne wrażenie i krótkotrwałą polemikę, ale bardzo rychło zapomniano o tym fakcie, a ci żonaci Pijarzy wogóle cieszyli się, jak i dawniej, wielkiem uznaniem“ (III, 24). Radzibyśmy wiedzieć — czyjem? Odpowiedzi brak. Albo: „Do wolnomularstwa należeli wszyscy głośniejsi uczeni, poeci, obywatele“ (III, 24). Jakto wszyscy i głośniejsi? Którzy? Nazwiska ani jednego. Albo: „Mickiewicz od dzieciństwa wchłaniał wrażenia niezbyt złożone, niezbyt drażniące, które duchowi jego pozwalały rozwijać się normalnie“. Jakie wrażenia są zbyt drażniące i złożone? Czy to nie zależy od konstytucyi jakiegoś osobnika? Czy pod wpływem takich samych wrażeń niezbyt drażniących dwie indywidualności nie będą się rozwijały rozmaicie, jedna normalnie, druga anormalnie?

Jeżeliby mię kto spytał po tem wszystkiem, co powiedziałem o obu dziełach prof. Brücknera i Chmielowskiego, które z nich za lepsze uważam, to odpowiedziałbym, że oba są niezwykłe, jednakże dzieło prof. berlińskiego może wprawdzie dać pochop dla nowych dochodzeń, ale nie poinformuje tak gruntownie, dokładnie i na pewno, jak dzieło prof. Chmielowskiego. Temu można zupełnie zaufać. To, o czem mówi, nie tylko widział, ale czytał i rozpoznał. Jeżeli znów chodzi o informacye o wewnętrznej zawartości książek, to nie znam pisarza, któryby potrafił tak wybornie wyróżnić w dziele myśli mniej ważne i za-

sadnicze, wszystkie główne uwzględnić, zebrać je w logiczny tok zwięzły i przejrzysty tak, iżby się ze streszczenia można było dowiedzieć, jaki jest myślowy zasób książki. Pusty frazes jest w sześciotomowem dziele prof. Chmielowskiego rzadkością, a zdaje mi się, że trudno o wyższą pochwałę nad tę dla jakiejkolwiek pracy. Skutkiem tego czytanie tej Historyi literatury, lubo wymaga dojrzałego umysłu, skupienia uwagi i niejakiego krytycyzmu, poucza i bogaci wiedzę nawet znawców literatury. Takie artykuły, jak o Kadłubku, Sarbiewskim, Potockim, Konarskim, Krasickim, Brodzińskim, Malczewskim i t. d. dają wyborny pogląd na działalność pisarską, oraz istotę talentu pisarza. Tak samo różnią się dzieła co do chronologii. O ile tam podkład chronologiczny nie miał systemu, polegał na przygodności i przypadku, o tyle tu daty stanowią koścień, na którym się wspiera budowa. Czyż potrzebuję dodawać, że zwłaszcza dzieje literatury XIX w. zaopatrzone są w ogrom szczegółów, świadczących o erudycyi niezrównanej. Jak u prof. Brücknera wiek XVII, tak u prof. Chmielowskiego wiek XIX znalazł pierwszorzędnego znawcę i tłumacza. W traktowaniu tego okresu znać źródłową znajomość, długoletnie studya samodzielne, a wiele artykułów weszło tylko, jako kwintesencya — że się tak wyrażę — obszernych monografii szanownego autora. Cztery tomy, oddane na użytek temu wiekowi, w innym układzie i ugrupowaniu szczegółów dałyby najpełniejszy obraz literatury XIX wieku aż po dobę najnowszą. Już one same stanowią nader bogaty wkład do ogólnego zasobu krytycznego w dziejach piśmiennictwa. Erudycya nie szuka tu pola do popisu w kierunku wydobycia z mroku nazwisk i dzieł mało lub wcale niedostępnych dla szerszego ogółu; natomiast te, które uwzględnia, rozpatruje w znacznej bardzo części gruntownie, unikając hipotez, prawdopodobieństw i domysłów — osobliwie rzeczowych. Najsłabszą częścią dzieła jest jego układ, najgruntowniejszą analiza przekonań i pojęć, jakie się w toku wieków ujawniły i rozwijały w duchowym postępie społeczeństwa polskiego.

(Dok. nast.)

Antoni Mazanowski.

KULTURALNE STOSUNKI WSI ZACHODNIO-GALICYJSKIEJ[1].

Druga połowa XIX wieku pozostanie na zawsze niesłychanie ważną w historyi Europy, ponieważ jest to epoka najszybszego postępu i najgłębiej sięgających zmian. Drobna tylko część tych olbrzymich przemian dokonanych we wszystkich formach i stronach życia ludzkości udzieliła się i naszemu ludowi wiejskiemu i oddziałała słabo na niego. A jednakże jest to dla niego epoka nader szybkiego życia zwłaszcza w porównaniu z dawniejszymi czasami. Kto nie przebył całej drogi sam, ten istotnie patrząc na obecny stan naszej ludności wiejskiej, z trudnością mógłby zdać sobie sprawę z tego, jak daleko posunęła się ona w ciągu ostatniego półwiecza, jak gorączkowy był jej rozwój w tym czasie.

W niniejszej rozprawie będziemy się starać dać krótki, a więc niewyczerpujący obraz zmian, jakie przeszedł lud wiejski w zachodniej Galicyi w ciągu ostatniego półwiecza w zakresie przemysłu i handlu, oświaty i stosunków politycznych. O reszcie spraw piszemy w innem miejscu.

---

[1] Umieszczając niniejsze studyum znanego już na tem polu badacza, zaznaczamy, że jest to tylko część większej pracy p. t. „Pół wieku życia wsi zachodnio-galicyjskiej“ (z cyklu odczytów „Wieś polska“, urządzonego staraniem „Towarzystwa dla popierania nauk społecznych w Krakowie“). Całość ukaże się w najbliższym numerze *Przeglądu prawa i administracyi* we Lwowie. *Redakcya.*

I.

Przemysł i handel.

Położenie przemysłu w Galicyi przed pół wiekiem. — Znaczenie jego dla ludu. — Kierunki handlu i udział w nim ludu. — Rola Żydów. — Sklepiki ludowe.

Utarte poglądy głoszą, że w Galicyi nigdy nie było przemysłu, bo tłumił jego rozwój rząd austryacki, tudzież że lud wiejski dopiero teraz zaczyna się brać do handlu, wydzierając tę sferę działalności ekonomicznej Żydom. Nie jest to jednakże prawdą.

Rządy austryackie początkowo nie tylko nie tamowały rozwoju przemysłu, ale popierały go czynnie przez zakładanie licznych przedsiębiorstw w dawnych królewszczyznach i skonfiskowanych dobrach kościelnych, w których początkowo państwo na własny rachunek gospodarowało, a oprócz tego popierały go pośrednio przez budowę od wieków zaniedbanych dróg. Na uwagę zasługuje dbałość rządu, aby lasów nie niszczono masowo na wyrób potażu i smoły, ale zakładano intratniejsze fabryki (huty szklanne i żelazne) lub drzewo exportowano.

Książka Kalinki o Galicyi jest jaskrawo zabarwionym aktem oskarżenia pełnym przesady i goryczy za rok 46. Dopiero w 1811 po raz pierwszy uwidocznia się chęć traktowania Galicyi jako kraju przedewszystkiem rolniczego, dopiero po roku 1830 pod rządami arcyksięcia Ferdynanda d'Este i barona Kriega widać chęć traktowania Galicyi pod względem ekonomicznym po macoszemu i wyzyskiwania jej dla państwa. W pierwszej połowie XIX w. Galicya nie mogła się wprawdzie równać pod względem przemysłowym z krajami czeskimi i naddunajskimi, ale miała stosunkowo wcale pokaźny przemysł, który także na eksport produkował. Jeszcze około 1850 r. najbardziej zachodnie powiaty chrzanowski, bialski, wadowicki, myślenicki, sandecki, a poniekąd także nowotarski miały w daleko większej mierze charakter przemysłowy, niż obecnie, a przemysł był wówczas źródłem utrzymania dla znacznej części ich ludności. W dalszym ciągu przemysł był rozwinięty w dzisiejszych po-

wiatach krośnieńskim, jasielskim, sanockim, które również i teraz pod tym względem wybitniejsze w kraju zajmują stanowisko.

Przedewszystkiem kwitnęło sukiennictwo i tkactwo; grube sukno zwane sierakiem i drelichy krajowe miały pierwszeństwo przed obcymi wyrobami. Próbowano nawet wyrobu materyi jedwabnych i bawełnianych, flaneli i t. d. Wyroby andrychowskie w wielkich ilościach szły poza granice kraju, dochodziły nawet do Konstantynopola i Egiptu. Dziś tkactwo i sukiennictwo w tych samych co dawniej utrzymuje się okolicach, ale suchotniczy prowadzi żywot.

Prawo propinacyi dawało możność produkcyi spirytusu. W r. 1836 było w Galicyi prawie 4800 gorzelń, tak, że $^3/_4$ wsi posiadało własne gorzelnie, które produkowały w znacznej części na eksport. Z powodu ulepszeń technicznych w 10 lat potem zamknięto $^3/_4$ gorzelni. W r. 1864 było już tylko 695 gorzelni i to przeważnie we wschodniej Galicyi. Dalsze ulepszenia spowodowały w następnych czasach nowe zamykanie gorzelń; między pozostałemi gorzelnie rolnicze drobną tylko część stanowią. Na podstawie bogactwa, które kraj posiadał w lasach rozwijały się inne gałęzie przemysłu. I tak było około 1850 roku 40 hut żelaznych, kilkadziesiąt hut szkła i kilkanaście papierni, kilka wielkich fabryk skór, kilkanaście cukrowni, kilka fabryk potażu[1]. Co prawda, wszystkie te rodzaje przemysłu zaczęły po r. 1850 szybko upadać. Około 1870 pozostały już tylko gruzy z niego. Jedne rodzaje przemysłu zabiła wprost obca konkurencya uła-

[1] Oto ślady przemysłu w Galicyi zachodniej zebrane na podstawie książki Hipolita Stupnickiego: „Galicya pod względem geograficznym i topograficzno-historycznym". Lwów 1849.

Obwód krakowski: Liczne kopalnie. — Pisary fabryka naczyń fajansowych.

Obwód wadowicki: Mieszkańcy tego obwodu trudnią się po największej części chowem bydła, wyrabianiem płótna, drelichu i sukna, mniej zaś rolnictwem dla nieurodzajności gruntu. — Andrychów: 3.000 mieszkańców, którzy prawie wyłącznie trudnią się drelicharstwem i sukiennictwem. — Kęty: znaczne fabryki sukna, płótna i skór. — Żywiec: 3.500 mieszkańców, którzy trudnią się tylko tkaniem płótna i sukiennictwem. — Czaniec: wyłącznie tkanie drelichu. — Inwałd: wyłącznie biegli drelicharze. — Osiek: drzewa morwowe. — Roczyny: drelicharstwo. — Skotniki: gips. — Sułko-

twiona przez budowę kolei, drugie upadły też wskutek budowy kolei, gdyż podniosła się przez to wartość lasów, które dostarczały materyałów opałowych. Większa część tych przedsiębiorstw powstała właśnie celem użytkowania na opał nie przynoszących innych dochodów lasów.

Oprócz tego kwitnął w całej Galicyi zachodniej wiejski przemysł domowy. W każdej parafii, jeżeli nie w każdej wsi, znajdziemy ślady tego przemysłu. Najbardziej rozpowszechnionym był wyrób sukna i płótna, następnie garncarstwo (np. w Porębie Żegoty, Strzyżowie, Kobylance), garbarstwo, kuśnierstwo (Błażowa), krawiectwo, wyrób sit i przetaków (Sanockie), wyrób sprzętów domowych z drzewa (okolice Tarnowa, Kolbuszowej, Żywca), wyrób desek, węgla drzewnego, smoły, mazi, oleju lnianego i konopnego, suszenie śliw i gruszek. Wszystkie te gałęzie zarobkowania były zazwyczaj w pewnych okolicach wyspecyalizowane i rozwinięte do tego stopnia, że przekraczały zapotrzebowanie poszczególnych gospodarstw zajmujących się niemi. Szewstwo, powroźnictwo, murarstwo było najczęściej w ręku mieszkańców miast i miasteczek.

Podstawy do tego wyodrębniania poszczególnych gałęzi wytwórczości przemysłowej tkwiły w ustroju wsi polskiej na prawie niemieckiem osadzonej. Kmieć posiadający 30 do 100

---

wice, Targanica, Wilamowice: drelicharstwo. — Sucha i Maków: hamernie miedzi i żelaza. — Swoszowice: torf, węgiel kamienny, siarka.

Obwód bocheński: Bochnia: fabryka wyrobów cynkowych, gips. — Podgórze: fabryka skór. — Wieliczka: kąpiele solankowe.

Obwód nowosandecki: Ciężkowice: handel płótna. — Muszyna: sukiennictwo i farbiernia. — Nowy Targ: handel płótna. — Piwniczna: wałkownia sukna. — Kamienica: huta szklana, papiernia. — Zakopane, Kościelisko, Poronin: hamernie. — Kunowa: łomy marmuru. — Poręba Wielka, Szczawnica: huty szklane.

Obwód jasielski: Dukla, Dębowiec, Gorlice, Jodłowa, Żmigród, Ropa, Rosenbark, Lipinki, Libusza, Odrzykoń, Załawie, Racławice, Rzepiennik: wyrób płótna i sukna. — Kołaczyce: blichy obszerne, wyrób koców. — Czudec: kuśnierstwo. — Strzyżów: garncarstwo. — Gogołów, Polany: huty szklane. — Nawsie: fabryka bławatnych wyrobów. — Źródła mineralne: Głęboka, Nawsie.

Nadto były fabryki sukien w Jarosławiu i Przeworsku, fabryka wyrobów bawełnianych (baje) w Leżajsku.

morgów ziemi zbyt był gospodarowaniem i pełnieniem pańszczyzny zajęty, aby mógł się zatrudniać wyrabianiem sobie wszystkich potrzebnych w gospodarstwie domowem rzeczy, tembardziej, że w sąsiedztwie jego mieszkał chałupnik lub zagrodnik, który chętnie mu swe usługi ofiarował, a wobec którego był obowiązany poniekąd odgrywać rolę wyższej klasy. Jednem słowem, ludność włościańska zachodniej Galicyi była więcej niż w innych stronach zróżniczkowana pod względem głównego zatrudnienia. W pierwszej połowie XIX w. Galicya zachodnia nie była korzystnym terenem dla importu wyrobów przemysłowych z zachodnich krajów austryackich, bo tam nie był przemysł dostatecznie rozwinięty, nie miał dogodnej i taniej komunikacyi, a tu był własny przemysł, który potrzeby ludności miejscowej po największej części zaspakajał, z wyjątkiem chyba najwybredniejszych potrzeb kilkudziesięciu tysięcy szlachty i biurokracyi. Siedzibą przemysłu była głównie wieś, a nie miasteczko lub miasto. Ludność miast mniejszych do połowy XIX w. przeważnie, a do dni naszych w znacznej części trudni się i utrzymuje z rolnictwa i handlu. Miasta i miasteczka miały znaczenie jako miejsca targowe, miejsca zborne dla wyrobów drobnego przemysłu wiejskiego. Prawie każdy wytwórca wiejski sam sprzedawał swój towar, obnosił go, względnie obwoził po bliższych i dalszych targach i jarmarkach, co mu kilkadziesiąt dni w roku zajmowało. Tak więc przemysł domowy powodował u naszego ludu handel, któryby najlepiej może nazwać można wędrownym.

Obok handlu bezpośrednio z produkcyi przemysłowej wynikającego był handel także samoistny, opierał się on na handlu solą, zbożem, zwłaszcza siemieniem lnianem i konopnem, dalej na handlu bydłem i nabiałem. W niektórych okolicach wytworzyła się specyalna grupa handlarzy wyrobami miejscowego przemysłu. Byli także kramarze wiejscy, handlujący świecidłami, wstążeczkami i tym podobnymi drobnostkami. Wprawdzie w handlu brali żywy udział także mieszczanie i Żydzi, ale z naciskiem stwierdzić należy, że i ludność wiejska trudniła się handlem i że nie dopiero teraz w ostatnich latach do niego się zabiera przez

zakładanie kółek rolniczych, czyli właściwie sklepików chrześcijańskich. Był to, co prawda, bardzo mizerny handel, bardzo drobnymi kapitalikami prowadzony, ale był. W przeważnej części zarobek z niego w gruncie rzeczy był tylko wynagrodzeniem za transport.

Górale mieli przez długie czasy wiele zarobku jako przewoźnicy rudy z Węgier, i wyrobów hut żelaznych do różnych miast w kraju[1]. Mieli oni także zarobek jako przewoźnicy soli z Wieliczki i Bochni do Węgier. Z solą co tydzień kilkaset wózków góralskich przechodziło około 1850 r. przez Jordanów na Orawę. Huty żelazne w Makowie, Suchej, Żywcu i t. d. przetapiały rudę, ze Spiża na góralskich wózkach przywożoną. Ruch kołowy był w niektórych częściach kraju bardzo znaczny i stanowił niepoślednie źródło utrzymania dla ludności. W okręgu krakowskim, tudzież w wielu okolicach górskich (koło Krosna i Sanoka), ludność wsi królewskich nie odrabiających pańszczyzny, albo bardzo małą, trudniła się przewożeniem towarów na silnych wozach zaprzężonych w 4 konie. Woźnice ci rywalizowali z niemieckimi w obrębie Galicyi, a nadto zapuszczali się często do Rumunii, Węgier, Istryi i Królestwa Polskiego.

Handel bydła kierujący się na Morawy i do Wiednia, posługiwał się zwykłemi drogami wozowemi, i zatrudniał też nie mało ludzi.

Dziś z przemysłu domowego pozostały tylko strzępy, z handlu wiejskiego tylko drobne okruchy w najbardziej zachodniej części kraju. Przyczyny wyschnięcia tych źródeł utrzymania dla ludności wiejskiej były po większej części nieuniknione, t. j. rozwój przemysłu fabrycznego i kolei żelaznych. Na lata siedmdziesiąte przypada chwila upadku dla przemysłu i handlu wiejskiego. Jest to razem czas największych zmian w życiu wsi. Wyroby fabryczne dostają się wszędzie w ręce ludu. Czynnikiem agitacyjnym na rzecz obcego przemysłu, łamiącym konserwatyzm ludu, byli Żydzi. Od karczem i gorzelni tudzież od

[1] Według sprawozdania Dyrekcyi hutniczo-górniczej zakopiańskiej z 20 grudnia 1846 do c. k. urzędu górniczego miało na Podhalu 21—22.000 osób zajęcie przy górnictwie i przewózce, zarabiając rocznie 85—90.000 złr.

niektórych rzemiosł rzucili się głównie i przeważnie do handlu. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, aby przedtem Żydzi handlem się nie zajmowali, owszem handel wyrobami obcego przemysłu był już dawno w ręku Żydów, ale mniejsze miał znaczenie i głównie miał siedziby w większych miastach; chcę tylko zaznaczyć, że w drugiej połowie XIX w. szybko i konsekwentnie pochwycili handel Żydzi we własne ręce i zmonopolizowali go. Wszędzie, w każdem miasteczku galicyjskiem znajdziemy ślady, że przed kilkudziesięciu laty istniały sklepy i przedsiębiorstwa handlowe mieszczańskie albo należące do niemieckich przybyszów, z których do dziś nic zgoła się nie ostało.

Żydzi odegrali pod tym względem typowo-handlarską rolę wobec ludności wiejskiej, żyjącej w pierwotnych prawie stosunkach ekonomicznych. Gospodarstwo włościańskie nie było przygotowane do wydawania tak wiele pieniędzy na tak różnorodne nowe towary, których użycie po największej części szerzyło się drogą mody a nie rzeczywiście odczuwanych potrzeb. Dla potrzeb swego handlu wywołali Żydzi szybkie, lekkomyślne i bardzo zgubne zmobilizowanie własności ziemi u chłopów przez dostarczanie im kredytu. Chłopom trzeba było dać gotówkę do ręki, aby mogli nabywać nowe towary. Żydzi więc prowadzili z nimi dwojakie interesy: kredytowe i handlowe, oba bardzo dla nich korzystne a dla chłopów więcej szkodliwe, niż pożyteczne. Żydzi stali się dla ludności wiejskiej niemal wyłącznymi pośrednikami w zdobyczach kultury materyalnej, wprowadzili ją na pełną wodę gospodarstwa pieniężnego. Nie można bynajmniej samego tego faktu uważać za ujemny, ujemne były tylko formy i tempo tego procesu, który zbyt bezwzględnie i zbyt pośpiesznie przeprowadzili Żydzi. Ale ostatecznie, jeżeli się z dalszej perspektywy na to zapatrywać będziemy, to musimy skonstatować, że fala już szczęśliwie przeszła i szkód wielkich ludności nie wyrządziła. Możemy nawet być zadowoleni, że się obecnie już tak daleko w kulturze materyalnej posunęła. Że szkód wielkich niema, że ludność z tej nauki za drogą cenę udzielonej skorzystała, zawdzięcza to równolegle a usilnie rozwijanej oświacie ludowej.

Handel małomiejski powstrzymał dalszy rozwój rzemiosł, ale i jego położenie już się zmieniło. Groźnym dla niego współzawodnikiem jest handel wiejski, ostatnie stadyum rozwoju handlu, który dopiero teraz za przykładem rzemiosła poszedł na wieś szukać konsumenta nie chcąc się ograniczać do schadzek na targach.

Obecnie widzimy, że budzi się wcale obiecujący ruch handlowy wśród całej ludności wiejskiej w zach. Galicyi. Liczba sklepików chłopskich wynosi obecnie do 2.100, niema bowiem ludniejszej wioski bez sklepiku a w wielu większych wsiach jest ich 2, 3 i 4. Obok nich są także żydowskie sklepiki ale w mniejszej ilości. Do rozwoju sklepików wiejskich przyczynia się głównie fakt istnienia po wsiach licznych rodzin, które w znacznej części żyją z zarobków swych członków pracujących poza granicami wsi i kraju. Oprócz tego przyczynia się do tego wzrost potrzeb ogółu ludności i większe, niż dawniej, poszanowanie czasu, wskutek czego ogół nie biega po lada drobnostkę do miasta o 1—2 mil drogi oddalonego, ale woli ją nabyć na wsi, w sklepiku o kilkadziesiąt kroków. Handel wiejski rozporządza jednakże z natury rzeczy zbyt małym kapitałem i wykształceniem, aby mógł wejść w bezpośrednie stosunki z producentami, musi się więc zaopatrywać w składach, którymi są dla niego najczęściej większe sklepy w najbliższych miastach i miasteczkach. Tak więc ten współzawodnik pozostanie na długo jeszcze w zależności od handlu małomiejskiego i musi się z nim dzielić zyskami. Nie tylko zresztą zakłada chłop sklepiki, ale, o ile sądzić można, zaczyna brać się coraz więcej do innych gałęzi handlu; widoczne to jest zwłaszcza w góralskich stronach powiatu żywieckiego i myślenickiego. Tam także coraz poważniej rozwija się przemysł wiejski opierając się na dawnych podstawach. Wyrób desek w kilkudziesięciu tartakach, wyrób taczek i rękojeści do grubych narzędzi, takich jak siekiery, łopaty, wyrób mebli giętych lub przygotowywanie materyału do tego wyrobu. W każdej wsi w tych stronach znajdzie się kilka lub nawet kilkanaście gospodarstw, których podstawą nie jest ziemia, ale czynności przemysłowe lub handlowe.

II.

Oświata.

Szkolnictwo ludowe dawniejsze i obecne. — Potrzeba naukowych instytutów dla ludu. — Wydawnictwa ludowe. — Czytelnictwo. — Wzrost inteligencyi pochodzącej z ludu.

O postępach oświaty wśród ludu w Galicyi wszyscy dobrze wiedzą. Oświata ludowa jest to jedna z nielicznych niestety rzetelnych zasług rządu polskiego w Galicyi, Sejmu i Rady szkolnej krajowej. To, co się w tej sprawie zrobiło w krótkim stosunkowo czasie ery konstytucyjnej jest naprawdę olbrzymim czynem.

Dawniej, od początku XIX wieku starano się o szkoły ludowe. Według urzędowych wykazów umieszczanych w szematyzmach dyecezalnych, albowiem szkolnictwo ludowe w zupełności podlegało duchownej władzy, było ich w kraju około r. 1850 z półtora tysiąca, ale w znacznej części tylko na papierze. Większość to były szkółki, w których przez kilka zimowych miesięcy organista lub chłop zwyczajny uczył na bardzo niedołężnie ułożonym elementarzu, zwanym z powodu taniości „groszówką“ lub nawet wprost na książce do modlenia sylabizować i czytać. Książka do modlenia była też najczęściej jedyną książką, którą miał w ręku uczeń takiej szkółki. Nauka pisania i rachunków zazwyczaj niedaleko postępowała, ogół nielicznych uczniów (bo przymusu szkolnego nie było) do umiejętności napisania listu nie doprowadzał. Do szkółek tych chodziło bardzo mało dziewcząt, ale przeważnie chłopaki. Nauczyciele małych dzieci przyjmować nie chcieli, bo nie mogli mieć z nich żadnej pomocy w gospodarstwie, do czego bardzo chętnie swych uczniów używali. Płace tych nauczycieli były bardzo małe: wielu dostawało po kilka garncy zboża od rodziców każdego ucznia, w innych wsiach wybierano składkę z całej wsi; uzyskana suma wahała się między 20—100 złr.

W rezultacie u progu ery konstytucyjnej lud wiejski był pozbawiony oświaty. W ciągu 35 lat autonomii szkolnictwo ludowe, które należy w zupełności do sfery działania Sejmu, poczyniło ogromne postępy.

Obecnie doszło do tego, że jest w Galicyi czynnych szkół ludowych, na ogół jako tako spełniających swe zadanie, 3.726, z czego polskich 1900. Sił nauczycielskich jest 7.500. Do szkół ludowych uczęszcza 600.000 dzieci na naukę codzienną a 100.000 na naukę dopełniającą. Jedna szkoła ludowa wypada na 1900 mieszkańców. Niestety jeszcze więcej niż $^1/_4$ dzieci w wieku szkolnym nie pobiera nauki. Przeważna część nie pobiera jej z powodu braku szkół, albowiem daleko do tego jeszcze, aby wszystkie wsi miały swoje szkoły ludowe. W Galicyi zachodniej w większej części powiatów tylko $^1/_8$ część dzieci w wieku szk. nie pobiera nauki, albowiem Galicya zach. znacznie lepiej jest w szkoły ludowe zaopatrzona. Obecnie niema prawie wsi w zach. Galicyi, aby niechętnie odnosiła się do szkoły, aby nie pożądała oświaty. Jeżeli mimo to pewna część wsi nie ma szkoły, to winien temu brak środków ze strony kraju na utrzymanie szkoły a ze strony wsi na zbudowanie budynku szkolnego. Brak dotąd sił nauczycielskich tak dalece, że 450 szkół istnieje nominalnie, ale nie funkcyonuje z braku nauczycieli. W szkołach wiejskich panuje przepełnienie, bo na jedną siłę nauczycielską wypada po 100 i więcej dzieci.

Szkoła ludowa daje tylko podstawy oświaty, daje możność jej pozyskania, ale samej oświaty nie daje i trudno od niej tego wymagać. Tego, co na prawdę ważne jest dla praktycznego życia, dziecka 7—14-letniego niepodobna uczyć, a jeżeli się uczy nie należy się spodziewać, aby ono z tego rzetelnie mogło skorzystać. Dlatego też powinno sobie społeczeństwo nasze należycie uświadomić, że obowiązki oświatowe względem ludu nie ustają z nauką czytania i pisania, tudzież nauką rachunków. Nasze władze autonomiczne muszą dojść do świadomości, że należy koniecznie powołać do życia instytucye naukowe dla ludu, w którychby on zaczerpnął prawdziwej wiedzy, w którychby on dowiedział się o organizacyi państwa i społeczeństwa, o swych prawach i obowiązkach, gdzieby się nauczył rozumieć naukowe podstawy rolnictwa i chowu zwierząt domowych, gdzieby wreszcie będąc dostarczycielem swej pracy lub swych wyrobów dla zagranicy miał możność dowiedzenia się

o warunkach dla zbytu swej pracy i produktów czyli o geografii ekonomicznej, To nie są rzeczy niedostępne dla inteligencyi naszego chłopa, a z pewnością są rzeczy dla rozwoju jego dobrobytu niezbędnie potrzebne.

Tymczasem zadanie to częściowo i niedostatecznie spełnia literatura ludowa, t. j. pisma tygodniowe, zbiorowe i luźne wydawnictwa broszur i książek tudzież biblioteczki zakładane przez dwa wielkie towarzystwa oświatowe w całym kraju działające. Ruch wydawniczy książek dla ludu przeznaczonych bardzo był ożywiony około roku 1880, kiedy we Lwowie zajmował się tą sprawą Kazimierz Okaz. Były to jednak rzeczy słabe w wykonaniu, mdłe w tendencyi. Ruch wydawniczy ożywił się na nowo około r. 1890, kiedy „Macierz polska“, założona przez Kraszewskiego a pozostająca pod opieką Wydziału krajowego, żywszą rozwinęła działalność, zwracając uwagę głównie na obrazki z historyi polskiej. Przed paru laty „Macierz polska“ nowy zwrot wykonała, starając się wydawać rzeczy bardziej aktualne i pożyteczne. Zwrot ten zaczął się przez wydanie krótkiej Encyklopedyi, którą się także chętnie inteligencya posługuje. „Macierz polska“ wydrukowała do końca ubiegłego roku 600.000 egzemplarzy swych wydawnictw. Prawie wszystko to wsiąknęło w naszą wieś. Obok „Macierzy polskiej“ mniejsze już znaczenie mają patryotyczne wydawnictwa Kaspra Wojnara, Sokalskiego tudzież inne.

W ciągu dziesięciolecia 1891—1900 wydano w Galicyi książek i broszur dla ludu przeznaczonych przeszło 500, gdy w zaborze rosyjskim wydano około 550 a w zaborze pruskim około 250. Nie wliczono tu katechizmów i innych książek czysto dewocyjnych. Zestawieniem tej bibliografii zajęło się Akademickie Koło Tow. Szkoły ludowej w Krakowie.

Galicyę cechują wydawnictwa z zakresu prawa i polityki tudzież historyi polskiej i życiorysy sławnych ludzi. W dziale powieści obyczajowych, przeróbek ze znakomitszych powieści współczesnych i nauk przyrodniczych, przewyższa ją zabór rosyjski, zaś stosunkowo najwięcej drukuje zabór pruski powieści historycznych.

Z ogółu wydawnictw Galicyi stanowią pisma:

Z zakresu rolnictwa	5%
„ prawa i polityki	10%
„ powieści historycznej	8%
„ historyi i życiorysów	16%
„ powieści obyczajowych	15%
„ poezyi i teatru	12%
Inne działy stanowią	34%

Z tego widzimy w jakim kierunku rozwija się oświata ludowa. Lud szuka w książce, jak zresztą ogół czytających ludzi, przedewszystkiem ładnej, interesującej fabuły, którą mu daje opowiadanie historyczne i powieściowe; mniej ceni wydawnictwa naukowe na celu mające szerzenie wiadomości pożytecznych. Wydawnictwa broszurowe przełamują jedną z najważniejszych wad naszego ludu, t. j. brak uświadomienia narodowego, brak poczucia polskości. Nie miał on dotąd udziału w historyi, ani tradycyi historycznej, jednak teraz silnie odczuwa jej potrzebę i przywiązuje się do tradycyi historycznej obcej mu w gruncie rzeczy. Wszak świat trylogii Sienkiewiczowskiej, którą chłop gorliwie czyta, jest dla niego obcy, bo tylko bardzo blado i ubocznie element ludowy tam przegląda. Wielka szkoda i bardzo przykro, że tak jest.

O działalności i zasługach Towarzystw oświatowych t. j. starszego, konserwatywnego Tow. Oświaty ludowej i młodszego, demokratycznego Tow. Szkoły ludowej nie będę tu mówił, bo przypuszczam, że powszechnie są one znane. O bibliotekach zakładanych przez nie[1] można wspomnieć, że zazwyczaj w krótkim czasie po początkowem zainteresowaniu bywają przez lud zaniedbywane. Bardzo intenzywny ruch czytelniany jest zazwyczaj wywołany przez ciekawość do nowości, która potem przestaje działać. Aby podtrzymać taki ruch, trzebaby, naszem zdaniem, zdolnego i stale działającego agitatora, któryby planowo podtrzymywał zainteresowanie. W wielu wypadkach może dopiero kilkunastoletnia działalność takiego agitatora utrwaliłaby zamiłowanie do czytania książek. Wogóle w działalności wśród

[1] Krakowskie Tow. Oświaty ludowej w ciągu 19 lat założyło 835 czytelni, z których 89 upadło.

ludu potrzeba zawsze systematyczności, konsekwencyi i wytrwałości.

Aby biblioteczki spełniły swoje zadanie, potrzeba, aby treść ich stanowiła uzupełnienie nauki szkolnej, tudzież, aby z nich korzystała młodzież dorastająca, która ma i wrażliwość na nowe wiadomości i możność poważnego przetrawienia ich i przyswojenia sobie. Niestety w bardzo wielu okolicach młodzież ta stroni od książki, zapomina nawet, czego się w szkole nauczyła i wchodzi w okres samodzielnego życia gospodarczego i obywatelskiego prawie tak, jakby się nie otarła o szkołę.

Pokrótce wspomnieć jeszcze należy o prasie ludowej.

Szereg pism ludowych o charakterze politycznym, wydawanych przez demokracyę szlachecką i miejską około 1848 r. i kilkunastu następnych, w niewielkiej tylko ilości docierał do ludu i nie wywarł żadnego donioślejszego wpływu z powodu niekorzystnych warunków pracy i braku wprawy w niej. Między 1860—1875 wielkie zasługi zdobył sobie *Dzwonek,* wcale dobrze, jak na owe czasy, redagowany przez duchowieństwo. *Dzwonek* usiłował podnieść moralnie chłopa przez nauki, przykłady i powiastki w tonie ludowym pisane (ks. Michno). Następnie pojawiła się *Chata* i *Nowiny* również mające głównie charakter oświatowy. Pod koniec ósmego dziesięciolecia zaczęły wychodzić *Wieniec* i *Pszczółka* wydawane przez ks. S. Stojałowskiego, który do swych pism wprowadza element polityczny i rozpoczyna pracę nad uświadomieniem politycznem chłopa. Około r. 1890 staje obok pism Stojałowskiego *Przyjaciel ludu,* założony we Lwowie przez B. Wysłoucha, który wkrótce daje początek stronnictwu ludowemu. Niedługo potem powstał *Związek chłopski* wydawany przez Potoczków, jako organ lokalnej organizacyi zamożnych chłopów, dalej *Prawo ludu,* organ socyalistów, którzy w pierwszym okresie szybkiego swego rozwoju myśleli także o zdobyciu placówki wśród ludu wiejskiego, wreszcie głównie w okolicach Krakowa mająca czytelników i zwolenników *Obrona ludu,* wydawana przez M. Danielaka i ks. Szpondra, należących pierwotnie do obozu Stojałowskiego. Między temi pismami i partyami politycznemi zarazem ciągle wre walka i zawierają się przymierza i sojusze

w najrozmaitszych kombinacyach. Wśród tych sporów nieustających w ciągu 10 lat ostatnich wytworzyła się mimo pewnych różnic programowych jednolitość duchowa między temi pismami. Taktyka polityczna i metoda redakcyjna, środki walki i strawa duchowa czytelnikom podawana są w nich wszystkich jednakie.

Równocześnie z tamtemi pismami działa *Niedziela*, wydawana przez Wydział krajowy, która po *Chacie* spadek objęła; w zakresie spraw politycznych informuje lud w kierunku konserwatywnym, a wyłącznie dba o rozwijanie umysłów. W ostatnich czasach otrzymała *Niedziela* lepszą redakcyę i zdobyła sobie parę tysięcy czytelników przeważnie we wschodniej Galicyi. Obok tego wychodziło kilka pism konserwatywnych, wydawanych przez duchowieństwo, z wyjątkiem stańczykowskiego *Krakusa*. Pisma te, z wyjątkiem czysto dewocyjnej *Intencyi*, wydawanej przez Jezuitów, znikają po kilkuletniem istnieniu z powodu braku czytelników i funduszów i znowu pod nowemi nazwami się pojawiają. Rozróżnić można w nich dwa odłamy, t. j. pisma zostające w zależności i pod wpływem Jezuitów i pisma zależne głównie od episkopatu.

Charakterystycznym był krótkotrwały *Głos ziemi sandomierskiej*, jako pismo wyszłe z inicyatywy chłopskiej i służące interesom ludowym paru powiatów między Wisłą a Sanem. Spadek po nim objęła *Ojczyzna*, organ stronnictwa narodowo-demokratycznego, występującego świeżo do działalności na gruncie galicyjskim.

Wszystkie pisma ludowe, z wyjątkiem ogromnie rozpowszechnionej i wpływowej *Intencyi*, drukują razem najwyżej 20.000 egzemplarzy, niektóre z nich tylko po kilkaset.

Chłop nasz nie rozwinął się jeszcze do tego stopnia, aby czuł potrzebę codziennej gazety, jak w zaborze pruskim, choć już trafiają się z rzadka jednostki czytające dzienniki i to nie tylko otrzymywane od księży i nauczycieli, ale także prenumerowane.

Dla uzupełnienia szkicu oświaty ludowej przytoczę jeszcze tymczasowe rezultaty zestawionej przezemnie statystyki stanu rodziców studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otóż w r. 1850/1

chodziło na Uniwersyt Jagielloński tylko 24 synów wieśniaków, w r. 1860/1 chodziło ich 28, wzrost więc nieznaczny, w 1870/1— 55, a więc dwa razy więcej niż przed 10 laty; w r. 1880/1 — 122, w 1890/1 — 143, w 1900/1 — 225. W ciągu 50 lat wzrosła liczba synów włościańskich w dziesięcioro. Cyfry te jednak nie są dokładne; prawdopodobnie należałoby je o 25% powiększyć, wielu bowiem młodych ludzi wstydzi się swego pochodzenia i podaje w rodowodzie jakikolwiek „szlachetniejszy“ stan rodziców, albo tylko zapomina wypełnić tę rubrykę. W r. 1900/1 synowie chłopscy stanowili $^1/_5$, a prawdopodobnie właściwie $^1/_4$ ogólnej liczby studentów Uniwersytetu. Jest to znakiem widomym postępu kultury u ludu a przedewszystkiem świadectwem, jak wielki przypływ z ludu wiejskiego otrzymuje sfera inteligencyi i biurokraci w Galicyi.

III.

Sprawy polityczne.

Zasadniczy pogląd ludu na państwo. — Wzrost świadomości narodowej. — Dawny udział w sejmie i obecny. — Główne wady ruchu ludowego. — Ustrój gminny przed rokiem 1848. — Zmiany do r. 1866. — Próby naprawy obecnej ustawy gminnej. — Potrzeba podręcznika do zarządu gminnego.

Z kolei przejdźmy do charakterystyki stosunków politycznych.

Lud nasz w latach ośmdziesiątych nie miał jeszcze pojęcia o państwie, do którego przynależy, ani o swej ojczyźnie, której służyć powinien. Poglądy narodowe i polityczne mniejwięcej były następujące: Galicya pozostaje pod władzą najbogatszego na świecie człowieka, cesarza, który dba o dobro swych poddanych, i chętnieby ulżył biedzie chłopskiej, gdyby panowie siedzący po urzędach na prowincyi i we Lwowie chcieli mu przedstawić chłopską dolę, ale ci panowie zamiast tego, coraz to nowe wymyślają prawa, aby tylko z chłopa pieniądze drzeć. Są oni gromadą ludzi bezbożnych i hulaszczych, więc chcieliby na nowo zaprowadzić pańszczyznę, aby całkowicie żyć z pracy chłopskiej. Chłopi jednakże są ostrożni i strzegą się przed podrywkami pańskimi, papiery gminne pilnie w skrzyniach chowają i do

zmian w urządzeniach gminych i w stosunku do władz i do dworów starają się wszelkimi sposobami nie dopuścić. Na żadnych papierach, na których władze nie każą pod grzywnami przybijać pieczęci, nie wolno wójtowi podpisywać się, ani pieczęci przyciskać. Cesarz nie dowierza jednakże swoim wysokim urzędnikom, ale od czasu do czasu przebiera się i idzie między chłopów, aby się przekonać, jak ciężko muszą pracować, i stara się czasem osłaniać ich przeciw krzywdom urzędników.

Dotąd jeszcze w wielu okolicach nie wierzy ogół ludności w śmierć arcyksięcia Rudolfa, który zdaniem ich chodzi po kraju przebrany i bada stosunki, aby potem jak wstąpi na tron, wiedział, jak ma rządzić. Jest to kult dynastyi wytwarzany z dawna i podtrzymywany w wojsku a do niedawna i w galicyjskiej szkole ludowej. Lud nasz jest do tego dosyć podatny. Gdyby w XVIII w. można było wytwarzać podobny kult monarchy i dynastyi, to nie miałby upadek Rzeczypospolitej przynajmniej tak sromotnego przebiegu. Bo wierność dla monarchy i zaufanie do niego, to najelementarniejszy sposób wzbudzenia patryotyzmu w ciemnym ludzie. Nasz lud dotychczas jeszcze stoi na tym stopniu rozwoju, że może potrzebuje jeszcze personifikacyi dla pojęcia: Ojczyzna. W ostatnich dopiero latach nastąpiła zmiana na lepsze; coraz więcej widać jednostek, które umieją poza osobami dopatrzeć się samej organizacyi państwa, a obok państwa widzą także naród. Gdy przed dwudziestu jeszcze laty w wielu okolicach można było uledz poturbowaniu za przekonywanie chłopa, że jest Polakiem, to obecnie w każdym prawie zakątku kraju spotkać można między ludem gorących patryotów, którzy siłą uczucia i podniosłością jego imponują. Jak taki człowiek mówi o niewoli narodu lub o powstaniu, to się zżyma i trzęsie od passyi.

Dziś minęły już te czasy, kiedy „Polak“ był synonimem szlachcica, i był tak samo jak on nienawidzony; minęły czasy, kiedy każdy ubrany czarno, był „panem“, a już tylko w bardzo zapadłych kątach zwie się lud „cesarskim“. Zmiana pod tym względem odnosi się nie tylko do młodszego pokolenia, które przeszło przez szkołę ludową polską, ale także do starszych.

Znam w paru wsiach powiatu brzeskiego starych ludzi, którzy jeszcze pańszczyznę pamiętają, a nawet sami ją odrabiali, którzy jeszcze przed 15 laty unosili się gniewem na wspomnienie Polski, którzy zupełnie solidaryzowali się z rzezią 1846 roku, a we wszystkich zmianach politycznych wietrzyli dążności szlachty do przywrócenia pańszczyzny. Dziś ci ludzie jakby zapomnieli o tem, zbladło w ich oczach krwawe widmo przeszłości, mgłą się okryło pod wpływem słyszanych i czytanych artykułów patryotycznych w *Przyjacielu ludu* i w Kalendarzu K. Wojnara. Ból pańszczyźnianych chłopów ukoiły wnuki śpiewające: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i inne narodowe pieśni.

Życie polityczne chłopa rozpoczęło się dopiero kilkanaście lat temu, i doszło już w tym krótkim czasie do wcale poważnych rozmiarów, atoli daleko mu do zdrowego i pełnego rozwoju. Przedtem był chłop jedynie biernym pionkiem w ręku jego dawnych dziedziców. Wobec jego ciemnoty inaczej nawet być nie mogło. Przed r. 1873, tj. przed wprowadzeniem bezpośrednich wyborów posłów do parlamentu wiedeńskiego popularnem było nawet hasło wśród sfer politycznych dopuszczania chłopów, tak polskich, jak ruskich, do sejmu i parlamentu wiedeńskiego.

Od tego jednak czasu radykalnie zmieniono pogląd. Okazała się potrzeba silnego klubu polskiego w parlamencie, i dla tego celu trzeba było skupić w ręku pewnych ludzi jak największą ilość mandatów. Chłop nawet najgłupszy, nie był pewny, a nawet im głupszy, tem mniej był obliczalny. Wartość tych chłopów w parlamencie była żadna, bo wcale nic nie mówili, ani nie robili (nawet interpelacyi nie wnosili, bo to zwyczaj nie dawny, masowe wnoszenie interpelacyi) w sejmie z ich zdrowego rozsądku chłopskiego najczęściej śmiechy wybuchały. Kowbasiuk i inni ze swojem stereotypowem *najbude, jak buwało* (z wyjątkiem, gdy im przyszła na myśl obawa możliwego przywrócenia pańszczyzny) żyją jeszcze w tradycyi humorystycznej.

Wykluczenie chłopów z ciał ustawodawczych było zupełnie słuszne ze stanowiska szlachty, a całkiem pożyteczne dla kraju i dla samych chłopów. Chłop analfabeta wówczas nie dorósł do

parlamentu, pierwej musiał pójść do szkoły ludowej, następnie przejść stadyum przygotowawcze, musiał zdobyć się na jakąś myśl polityczną, na jakiś surogat programu, bo bez tego to się robi farsę, nie działalność polityczną. Musiał wreszcie dopominać się o głos, dążyć do praw politycznych, walczyć o udział w stanowieniu o swym i kraju losie. To rzecz dla każdego obeznanego z ustrojem społecznym wiadoma, że prawa należą się tylko temu, co umie ich używać i umie je zdobyć. Wszelkie prawa zdobywają się siłą, przedewszystkiem siłą moralną. Usunięcie chłopów od udziału w życiu politycznem było rzeczą korzystną, bo dopiero w walce i pragnieniu rozwinęli się i uświadomili politycznie do tego stopnia, na jakim obecnie się znajdują. Obecnie ruch ludowy jest już tak silny, że go niepodobna zniwelować. Stanowi on przytem w pewnej mierze o wartości wewnętrznej samego ludu.

Ponownie weszli chłopi do sejmu i Rady państwa dopiero 1890 r. Ale ogół ich nie razi w sejmie; że w parlamencie nie mogą sobie dać rady, to przeważnie z nieznajomości należytej języka niemieckiego pochodzi. W szczupłym zakresie spraw bliżej lud obchodzących umieją rozumnie zabierać głos, i są nawet niezbędnie potrzebni w naszym sejmie, w którym tak wiele się mówi o sprawach wiejskich, i w którym tak wielu jest posłów lud reprezentujących, ale mających z nim styczność tylko przy wyborach i patrzących na sprawy jego najczęściej przez szyby dworu lub zamkniętej karety. Polityczny duch ludowy ma jednak duże wady. Przedewszystkiem zbyt jest rozdrobniony bez racyi i celu.

W Klubie Unii ludowej było reprezentowane stronnictwo ludowe z kierownikiem moralnym Wysłouchem a agitacyjnym Stapińskim, stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, którego programem jest osoba Stojałowskiego, stronnictwo Związek chłopski zwane pod wodzą zamożnych i wykształconych kmieci Potoczków z pod N. Sącza, wreszcie byli tam chłopi konserwatywni niezorganizowani a stronnictwo chrześcijańsko-ludowe (odłam stronnictwa Stojałowskiego) reprezentował ks. Szponder.

Rozdrobnienie to wynikające z egoizmu i animozyi przy-

wódców powołuje utratę sił na walkę wewnętrzną i zatratę idealniejszych popędów w politycznych sprawach u ogółu chłopów. Hasła i ludzie się brudzą, i z ruchu politycznego na każdym kroku wyłazi robota polityczna. Wreszcie szkodliwym jest kierunek wyłącznie agitacyjny, co wynika stąd głównie, że zbyt mało ludzi chce wielkich rzeczy dokonać. Garstki ludzi puszczają fajerwerki wyborcze, a do porządnej codziennej konsekwentnej pracy obywatelskiej pracowników niema. Dalej wadą jest to, że wszystkie stronnictwa ludowe mają charakter klasowy; w ich ramach niema miejsca na całokształt społeczeństwa, owszem, świadomie inne klasy poza swym obrębem zostawiają.

Na polu politycznem pozostaje jeszcze wiele do zrobienia, tylko nie trzeba się łudzić, że wszystko można osiągnąć agitacyą. Dla agitacyi zawsze potrzebny jest odpowiedni grunt, to nie ulega wątpliwości. Jedną z tych rzeczy, których samą agitacyą się z pewnością nie uleczy, jest sprzedajność ludu przy wyborach.

Najważniejszym atoli czynnikiem dla rozwoju spraw politycznych w naszym kraju byłoby przekonanie się inteligencyi, że obecnie nie wielka własność ziemska, ale mniejsza własność chłopska ma przewagę w kraju, i że daleko więcej słusznem jest, aby interesa ludu były punktem wyjścia w ocenianiu spraw krajowych, niż interesa większej własności ziemskiej. Zjawiskiem dosyć powszechnem w życiu społeczeństw jest zatrzymywanie przewagi politycznej przez pewien jeszcze czas przez grupy, które utraciły już przedtem podstawy, na których ta przewaga była opartą.

Ale przyjrzyjmy się sprawom mniejszej polityki, sprawom gminnym.

Do r. 1848 miejscowa władza sądownicza i administracyjna należała w Galicyi w miastach mających własną jurysdykcyę do magistratów, we wszystkich innych miejscowościach do tak zwanych dominiów. *Dominium* to był majątek ziemski obejmujący osady poddańcze, obowiązane do powinności poddańczych. Do władzy dominikalnej należała jurysdykcya cywilna sporna

i niesporna nad wszystkiemi osobami zamieszkałymi w obrębie *dominium* z wyjątkiem osób stanu szlacheckiego, które podlegały w pierwszej instancyi sądom szlacheckim *(fora nobilium)*. W sprawach karnych należały pod jurysdykcyę dominikalną ciężkie przestępstwa policyjne, a w sprawach o zbrodnie tylko skonstatowanie czynu i wstępne śledztwo, gdyż dla rozpoznawania i wyrokowania w tych sprawach istniały osobne państwowe sądy kryminalne.

W zakresie administracyi należała do *dominium* policya miejscowa, utrzymanie ksiąg konskrypcyjnych, pobór i ściąganie podatków bezpośrednich, pomoc w rekrutacyi. W stosunkach z poddanymi wypływającymi ze związku poddańczego, miały władze dominikalne prawo przynaglania ich do należytego spełniania powinności i mogły karać nieposłuszeństwo aresztem do dni 8, kajdanami, robotą przymusową, wreszcie wyrzuceniem z gruntu. Do sprawowania tych czynności byli powołanymi właściciele, ale zwykle musieli się dać zastępywać osobnym ukwalifikowanym urzędnikom, którzy się nazywali mandataryuszami. Mandataryusze byli często równocześnie oficyalistami dworskimi, a prawie zawsze pełnili także urząd sędziów policyjnych. Dla sprawowania sądownictwa cywilnego byli osobni urzędnicy: justycyusze, którzy zresztą zatwierdzali po większej części załatwienie wielu spraw przez mandataryuszów przedewszystkiem dotyczących się gruntu i spadków. Często i tę godność łączyli mandataryusze w swej osobie. Obok tych władz była we wsi starszyzna miejscowa złożona z wójta, tudzież 2 lub więcej przysiężników, którzy byli organem wykonawczym i pomocniczym dla dominiów, własną ich agendę stanowił tylko obowiązek łagodzenia sporów, nimby one doszły do władzy dominikalnej.

Patent znoszący pańszczyznę z 17 kwietnia 1848 r. zapowiedział zwolnienie dziedziców od sądownictwa i administracyi, tudzież od ponoszenia kosztów z tem połączonych. W roku 1849, 17 marca wydano prowizoryczną ustawę gminną, ale ta w Galicyi nie weszła w zastosowanie i dawne urządzenia przetrwały aż do 1856 roku, w którym pozostawiono je w zasadzie nadal w mocy, z znacznemi jednak zmianami ze względu na

zniesienie poddaństwa i zaprowadzenie władz powiatowych. Wtedy dopiero wyodrębniono obszar dworski jako odrębną jednostkę administracyjną z przełożonym obszaru dworskiego. Zwierzchność miejscową dla wsi stanowił wójt z przysiężnikami, których wybierają gospodarze płacący podatek gruntowy i przemysłowcy płacący podatek zarobkowy. Wójt był także władzą wykonawczą — z polecenia wyższych władz czuwał nad spokojem, bezpieczeństwem i wykonywaniem ustaw. Administracya majątkiem gminy należy do wójta, jeżeli nie ma osobnych do tego pełnomocników — zawsze atoli pod nadzorem władzy powiatowej. Celem naradzenia się nad sprawami gminnemi może gmina zbierać się na wezwanie wójta lub władzy powiatowej. Dla porozumiewania się z władzami miały się gminy postarać o pisarzy. Z tego prawa zgromadzania się dosyć często robiła „gromada“ użytek; w wielu okolicach wójt we wszystkich sprawach do gromady się odnosił. Urządzenia te przetrwały aż do wejścia w życie obecnie obowiązującej ustawy gminnej z 12-go sierpnia 1866 r.

Nie będę się tu rozwodził nad treścią tej ustawy, przypuszczam bowiem, że czytelnik zna przynajmniej poglądowo obecne galicyjskie urządzenia gminne, polegające na obszernych podstawach samorządnych. Ustawa gminna z r. 1866 jest ustawą krajową wprawdzie, ale wciśnioną w ramy podobnej ustawy państwowej z r. 1862, opartej na przesłankach na wskroś liberalnych. Otóż była ona dla Galicyi przedwczesną, lud zbyt był ciemny i zbyt zahukany i pod kuratelą do ostatnich prawie lat trzymany, aby mógł rozumieć istotę samorządu i umiał z niego korzystać, aby zdawał sobie sprawę z budżetu. Wreszcie zbyt był upojony świeżo uzyskaną wolnością, aby się zdobył na karność, aby rozumiał znaczenie policyi miejscowej i t. d. To też ustawa gminna była przez cały czas swego istnienia i jest dotąd jedną z najbardziej kłopot sprawiających Wydziałowi krajowemu, sejmowi i rządowi. Nie było prawie sesyi sejmowej, w ciągu której nie poruszanoby tej sprawy. Jedni chcieli ją poprawiać, inni zupełnie zmienić albo nawet zmienić cały ustrój administracyi kraju; wniosków w tej sprawie zgłoszono kilkadziesiąt,

poprawek uchwalono kilkanaście, ale w rezultacie dotychczas niewiele zmieniono.

Wydział krajowy za pomocą swego biura statystycznego przeprowadził bardzo gruntowne studya nad tą sprawą. Głównym tych studyów rezultatem jest praca niedawno zmarłego prof. Uniw. Jag. J. Kleczyńskiego pod tytułem „Życie gminne w Galicyi", w której poddał on gruntownej krytyce samorząd gminny. Wykazał, że samorząd ten w gruncie rzeczy nie istnieje, że gmina, jako najniższa jednostka administracyjna, zadań swych nie spełnia — albo spełnia je licho, że brak jej ludzi, brak urzędników, że gospodarka finansowa gmin pozostawiona jest najczęściej dyskrecyi wójta lub pisarza gminnego. Jednem słowem z pracy Kleczyńskiego okazało się, że istnieje przepaść między praktyką a teoryą ustawy gminnej w Galicyi. Krytyka była prawdziwa, ale niezupełnie słuszna. Przedewszystkiem było nieuniknionem, że ciemna ludność wiejska w Galicyi nie mogła od razu wejść w tryby normalne samorządu. Z tem ustawodawca się liczył i przypuszczał z góry, że przez pewien czas trzeba wychowywać ten lud do rozumnego korzystania z tej ustawy. Materyał, na podstawie którego opracował prof. Kleczyński, zebrany został w r. 1875, a więc w 8 lat po wejściu w życie ustawy gminnej. Nie można się było spodziewać przecież, aby w tak krótkim czasie ludność zupełnie nieprzygotowana mogła się wszystkiego nauczyć, co ustawa z góry przypuszcza. Prawie wszystkie zarzuty, które skierowuje Kleczyński przeciw życiu gminnemu, należało skierować przeciw ogólnemu stanowi kulturalnemu ludności. Z postępem kultury nastąpiła i w życiu gminnem zmiana na lepsze. Dowodzą tego w 10 lat później ogłoszone badania Lewickiego, dotyczące tych samych kwestyi. Od ogłoszenia pracy Lewickiego upłynęło już 15 lat, ten czas przyniósł dalszy postęp, którego nikt nie agitujący z urzędu za gminą zbiorową zaprzeczyć nie może.

Do tego jednakże, aby duch ustawy i wynikające z ciągłego rozszerzania działalności administracyi obowiązki gminy były zupełnie zadawalniająco spełniane jeszcze daleko, ale daleko lepiej jest i racyonalniej starać się o to, aby ludność podniosła

się do wysokości wymogów ustawy, niż obniżać tę ustawę do poziomu kulturalnego ludności, boć przecież celem państwowej organizacyi jest rozwijać ludność. Nie zachwycam się obecną ustawą gminną, owszem uznaję, że ma wiele braków, ale uważam ją za daleko lepszą od najnowszego projektu gminy zbiorowej, której autorowie łudzą się, że przez wytworzenie większych jednostek wytworzą lepszą organizacyę gminną. Tak niewątpliwie, lepiej będzie gmina odrabiać kawałki do władz wyższych, ale bez ogromnego zwiększenia kosztów nie osiągnie się przez nią spodziewanych korzyści, t. j. lepszej policyi miejscowej. Kwestya to zbyt zawiła i pełna szczegółów, aby ją tu w kilku zdaniach można rozwinąć i należycie uzasadnić. Obecnym niedostatkom administracyi gminnej mógłby bardzo łatwo zapobiedz niezbyt obszerny podręcznik dla zarządu gminnego, uzupełniony formularzami. Dziwna rzecz, że dotychczas o tem nie pomyślano. Taka książka dobrze i jasno napisana uczyniłaby nawet zbytecznemi urządzane przez Wydział krajowy kursa dla pisarzy gminnych, które obecnie bardzo wiele się przyczyniają do poprawy administracyi, a nadto niepotrzebnemiby się okazały projekta nowej organizacyi gminnej. Książkę taką o ileby nie była zbyt droga, nabywałby lud w wielkiej ilości i masowoby z niej korzystał, oczywiście powinnaby być wydana przez władze krajowe lub pod ich powagą.

Przecież jeżeli się od kogoś wymaga pełnienia jakichkolwiek obowiązków, należy go o tych obowiązkach pouczyć, oczywiście pouczyć w sposób dla niego dostępny. Fakt jest, że w obecnych warunkach do sprawowania urzędu wójta gminy potrzebne byłoby porządne prawnicze przygotowanie czyli uniwersyteckie wykształcenie. Zakrawa to niemal na złą wolę żądać od chłopa, aby on wiadomości tyczące się kierowania gminą czerpał z Dziennika ustaw państwa i kraju, a jednak faktycznie tak jest w naszym kraju.

Oto kilka ważniejszych rysów pod obraz półwiekowego życia wsi zachodnio-galicyjskiej.

Fr. Bujak.

JEZUICI W KRÓLEWCU.

(Dokończenie).

Nowy elektor Fryderyk III, od 1701 r. król Fryderyk I zostawił Jezuitów królewieckich w spokoju aż do r. 1708, superiora ich przyjął nader łaskawie w Brunsberdze 1690[1], przyrzekł opiekę nad misyą tem potrzebniejszą, że nadworni jego radcy: Dohna, Ilgen, Wartenberg, nienawidzili katolików, mszą św. nazywali „publicznem bałwochwalstwem". Zresztą starając się o tytuł i koronę króla pruskiego przez Jezuitów Votę i Wolffa[2], już tem samem względnym być musiał dla ich współbraci w Prusiech, ale zawsze o tyle tylko, o ile tego pakta 1611 i 1657 r. wymagały.

Podczas wojny północnej od połowy maja 1702—1706 r. Królewiec stał się schroniskiem nie tylko dla biskupa warmińskiego, Jędrzeja Chryzost. Załuskiego i 3 jego braci, ale dla dwóch innych biskupów, dwóch wojewodów, wielu panów i szlachty, dla wysokich pań z Polski i Litwy, dla kanoników, księży i obywateli z Warmii, zalanej w grudniu 1703 r. i złupionej przez Szwedów, tudzież z województwa chełmskiego i płockiego, a także Jezuici teolodzy z Brunsbergi i Reszla salwowali się przed Szwedem w Królewcu. Jakież to obfite żniwo dla pracy misyonarzy. Urządzili wspaniałe nabożeństwa

[1] Dlaczego nie w Królewcu, dokąd elektor właśnie jechał? Bo rejencya nie dopuściłaby superiora do audyencyi u elektora, jak to już raz za pobytu wielkiego kurfürsta uczyniła.

[2] Patrz: „Jezuici w Polsce", tom III, 369—384.

w kościele, na których potyfikował często i miewał kazania uczony i przykładny biskup Załuski, dawali rekolekcye księżom, w których brał udział tenże biskup, osobno panom i szlachcie, słuchali dniami całymi spowiedzi, katechizowali nie tylko w kościele, ale po domach polskich, odwiedzali chorych, w czem im pomagał znów biskup Załuski. Przez tych lat kilka Królewiec stał się na pół polski, elektor tolerował to, bo polskie pieniądze zostawały w mieście, kazał jednak rejencyi dozorować bacznie, zwłaszcza senatorów, a najwięcej biskupa Załuskiego i przysyłać sobie często raporty. Brzmiały one o biskupie pochlebnie, że nie przekracza w niczem paktów z 1611 i 1657 r.

Rzecz jasna, że poniewolni ci goście, patrząc na poświęcenie misyonarzy, nie skąpili jałmużn dla misyi. Jeden z nich, sędziwy Jan Pieniążek wojewoda sieradzki, tłumacz na łacińskie kazań Skargi, odwdzięczając się za dwuletnią gościnność, ofiarował 1709 r. na wycieczki misyjne i podróże do chorych, najprzód 6000 talarów, potem 6000 złp., a także biskup Załuski przeznaczył na ten cel 1000 złp.

Wnet po ustąpieniu Szwedów z Polski i rozjechaniu się gości z Królewca, zawitał doń niepożądany gość, zaraza *(carbunculus)*, grasowała w lipcu 1709 i 1710 r. i uczyniła znienawidzonych dotąd Jezuitów popularnymi w Królewcu — dla ich poświęcenia. W trzech barakach umierali katolicy zarazą dotknięci, w jednym umarło 90, w drugim 110, w trzecim 120, potem już nie liczono: a wszyscy opatrzeni Sakramentami przez Jezuitów. Nawet innowiercy wzywali ich do śmiertelnego łoża, i umierali katolikami. Pastorzy bowiem opuścili ich zupełnie, a gdy magistrat upomniał ich i wskazał na przykład Jezuitów, obruszyli się, wołając: „nie możemy narażać życia, bo mamy żony i dzieci, których Jezuici nie mają". Więc rejencya przyzwała do miasta nauczycieli wiejskich i kazała im „pastorować". Pod srogością zarazy a nawałem pracy padł po dwóch miesiącach (d. 27 września 1709), pierwszy O. Wawrzyniec Gostowski; 25 listopada padł O. Jędrzej Brandt. Przybyli na ich miejsce dwaj inni z Brunsbergi i służyli katolikom zarówno, jak innowiercom. Ci zdumieni poświęceniem, a może zawstydzeni, gdzie

tylko spotkali Jezuitę, na ulicy, czy w baraku, pozdrawiali najuprzejmiej, dziękowali, wielbili prawie. Magistrat kazał kościół zamknąć z obawy przed zarazą, zbory zostawił otwarte, ale puste. Oparł się pleban Drescher: „każcie zamknąć i zbory“, i przez cały czas zarazy odbywali Jezuici nie tylko zwyczajne nabożeństwa, ale nadzwyczajne suplikacye, nowenny, wotywy na przebłaganie karzącej sprawiedliwości bożej. Z obawy rozwleczenia zarazy, pozamykano bramy miejskie, katolicy po wsiach umierali bez sakramentów, więc Jezuici, zakupiwszy z fundacyi Pieniążka wóz i konie, wyjeżdżać chcieli do nich. Nie pozwolił magistrat, dopiero pod koniec 1710, gdy zaraza ustała, wolno im to było. Miasteczka Rybaki, Piława, Labiewo, Fryląd i wsie na 6—8 mil w promieniu od miasta, oto teren ich misyjnych wypraw, które uorganizowali, czas i miejsce zborne naznaczając dla każdej. W Pilawie, porcie obronnym znaleźli zawsze kilkuset żołnierzy katolickich, ale po innych miejscach po kilkadziesiąt, a nawet po kilkanaście tylko osób. Co roku opatrywali po 50 i 60 chorych po wsiach, o kilka mil odległych, przyczem nie obeszło się bez przykrości. Raz dziedzic wsi, luteranin, zabrał wóz, konie, a misyonarza zamknął do aresztu; inną razą wójt nałożył karę 100 złp. na gospodarza, który dom swój na nabożeństwo misyjne otworzył; częściej jednak panowie dziedzice, lubo innowiercy, zapraszali misyonarza do dworu i podejmowali uprzejmie.

Od 1698 r. pięciu misyonarzy mieszkało w Królewcu; w roku 1710 byli OO.: Daniel Friedrich, Jerzy Cariger, Piotr Link, wszyscy trzej Warmińczycy, Wilhelm Schoenemark Prusak i Paweł Bieraszkiewicz z Rusi. Zacny przyjacielski pleban Drescher cieszył się ich pracą, do której i sam się nie lenił. Powołany na kanonika do Fromberka, opuścił 1712 r. Królewiec z żalem katolików i uznaniem rejencyi i innowierców. Na jego miejsce przysłał biskup warm. Teodor Potocki za zgodą i nominacyą króla pruskiego, Dra Floryana Białkowskiego, proboszcza z Gutsztadu, uczonego i zgodliwego kapłana, i świadomego wielu języków.

Wśród tych prac i poświęceń zawisł znów nad misyą miecz

Damoklesa. Król Fryderyk I utrzymywał swego rezydenta w katolickiej Kolonii, który 1708 w mieszkaniu swem urządził kaplicę i nabożeństwo protestanckie. Zabronił mu tego magistrat, a studenci, głównie akademiccy, ale i jezuiccy odgrażali się zburzeniem domu rezydenta. Fryderyk na dwa zawody, w lutym i maju 1708 r. zagroził królewieckim, a także i świętolipskim Jezuitom dekretem wypędzenia, jeżeli kolońscy studenci jakikolwiek despekt jego rezydentowi wyrządzą. Napróżno dowodzili superiorowie, że to studenci akademii odgrażali się w Kolonii, acz nie wyrządzili nic złego, jezuiccy zaś studenci, jak o tem przekonać może pismo kolońskiego rektora, zachowali się i zachowują spokojnie. Na nieszczęście 1711 r. w Warszawie biskup poznański Bartłomiej Tarło zabronił mieszkańcom Warszawy uczęszczać na luterskie nabożeństwo w prywatnej kaplicy pruskiego rezydenta. Urażony tem Fryderyk znów zagroził Jezuitom w Królewcu i św. Lipce wypędzeniem, jeżeli u biskupa odwołania edyktu nie wyrobią. Superior dowodził rejentom, że biskup w swem prawie, bo konstytucye rzeczypospolitej nie dozwalają uczęszczać na innowiercze nabożeństwa, zresztą niech użyją na biskupa interwencyi świeckich księży z jego kuryi. Na to odebrali odpowiedź: „Wy tam więcej możecie jak cały kler świecki, tylko chciejcie“. Na pogróżkach się jednak tylko skończyło.

Następca Fryderyka I, Fryderyk Wilhelm I (1713—1740), uważał się bardziej niż jego poprzednicy i uważany był przez polskich zwłaszcza dyssydentów za protektora protestantyzmu, więc przestrzegając niby to bardzo skrupulatnie paktów 1611 i 1657 r. i chełpiąc się swoją tolerancyą dla katolików pruskich, narzucał się królowi polskiemu i jego ministrom z protekcyą dyssydentów polskich, ile razy zbór jaki np. w Rydzynie 1715, dekretem trybunalskim lub biskupim został zamknięty, albo sejmy np. 1717 i 1734 r. surowsze prawa przeciw dyssydentom uchwaliły, grożąc przytem represaliami względem katolików pruskich, a wypędzeniem Jezuitów, którym wszystko, co się nie tylko w Polsce, ale i w innych katolickich krajach przeciw różnowiercom działo, jako sprawcom przypisywał. Jakoż 1716 r.

nakazał konfiskatę dóbr w św. Lipce, ale że te były własnością kapituły, więc dekret nie miał skutku; 1720 r. skazał Jezuitów królewieckich na wygnanie; 1722 r. odebrał sądowym wyrokiem katolikom w Lisnowie kościół; w tymże roku zakazał Jezuitom królewieckim dalszej budowy domu i wszelkiej naprawy kościoła, jeżeli nie wyjednają u biskupa wileńskiego pozwolenia na naprawę kalwińskiego zboru w Lubczy; 1723 r. zagroził Jezuitom zamknięciem kościołów w Królewcu, Tylży i Lipce, jeżeli w 6 tygodniach nie postarają się o zniesienie wyroku trybunalskiego, skazującego zbory luterskie w Piaskach i Wągrowie na zamknięcie; w następnych latach zarządził szereg represaliów na Jezuitów w św. Lipce, jak: zakaz procesyi, dzwonienia, publicznych pogrzebów i t. d. Gorzej było po toruńskim wyroku 1724 r.; studenci i gmin odgrażali się zemstą na Jezuitach, wpadali do kościoła hałasząc i złorzecząc; kaznodzieję polskiego, idącego ulicą, uderzył jakiś młokos laską, innemu Jezuicie w podróży zdarto kapelusz, innemu jeszcze zabrano konia; nie wspominam o przezwiskach, paszkwilach, piosnkach ohydzających Jezuitów, — a król zamknąć kazał proboszczowi pensyę, zamknąć roczny datek na utrzymanie kościoła, zamknąć 3 szkółki katolickie i jezuicką, liczącą ledwo 15 uczniów, nie dopuścić, broń Boże, do otwarcia kolegium w Królewcu, Jezuitom zagrozić wypędzeniem. Rejencya dochodziła, już nie wiem po raz który, jakiem prawem, w czyich domach Jezuici mieszkają, co posiadają, z czego się utrzymują i t. d. — a jednak Jezuici nie tylko pozostali w Królewcu, ale 1731 i to za pozwoleniem kamery wojny i domen a nawet samego króla, zburzywszy dwa stare domy, wybudowali dwa nowe. Jakże się to stało? Ujmowali się za nimi biskupi: warmiński Teodor Potocki, kujawski Felicyan Szaniawski 1716 r., prymas wspomniany wyżej, Teodor Potocki 1724 r., uproszony przez nuncyusza poseł cesarski w Berlinie, Virnond 1717, cesarski kapelan nadworny, Jezuita Jerzy Tennemann, którego król pruski wysoko cenił i będąc na dworze cesarskim, odwiedził (1732).

Bardziej niż te intercesye, wpływał wzgląd inny. Król pruski wnet się przekonał, że jego protekcye dyssydentów na

dworze polskim i represalia przeciw pruskim katolikom pogarszają tylko dolę polskich jego współwierców, bo ich prymas Potocki i biskupi, kanclerz, sejmy, trybunały, szlachta, uważają za zdrajców, szukających pomocy u obcych mocarstw i tem surowiej z nimi się obchodzą. Wypisał to obszernie prymas Potocki w memoryale 9 stycznia 1729 r. do króla Augusta II, który ów memoryał przesłał pruskiemu królowi. Także kalwini litewscy trwożliwi o 50 swoich zborów, kilkakrotnie przez rezydenta pruskiego w Warszawie i przez rejencyę pruską ostrzegali i błagali króla, aby nie tykał Jezuitów, bo oni to srodze odpokutują. Więc ich nie tykał, ograniczał tylko o ile mógł ich działalność „propagandę katolicką“ i z gabinetu swego rozsyłał od czasu do czasu (1731, 1732, 1737) „okólniki do królewskich urzędów i konsystorzy“, aby nie dopuścili proboszczowi i Jezuitom „namawiać i uwodzić“ protestantów do katolicyzmu, ale gdy się kto do nich dobrowolnie zgłosi, aby wpierw uwiadomili o tem konsystorz lub magistrat, ten przesłucha protokolarnie kandydata i wyda orzeczenie, ażali przyjęty do Kościoła katolickiego być może. Było to jawnem naruszeniem paktów 1611 i 1657 r., więc proboszczowie i Jezuici zasłonili się nimi, ile razy ich za donosem pastorów do regencyi lub konsystorza zapozwano. W odpowiedzi usłyszeli pogróżkę, że proboszczowi zamkniętą zostanie pensya, a Jezuitów spotka banicya. W 1737 r. nowy cyrkularz zabraniał im uczyć katechizmu dziatwę katolicką lub akatolicką, ale oni uczyli dalej.

To znów zachciało się królowi, jak dawniej ojcu jego, zabawić się w biskupa, więc kazał, aby katolicy modlili się publicznie w kościołach za niego i za dom królewski tak samo, jak protestanci w zborach. Już 1704 r. wyszły w tym duchu rozkazy, ponowione 1718, 1724, 1725 r. Proboszcz Herr i Jezuici zasłonili się zakazem biskupa warmińskiego, król nalegał, *iura episcopalia* jako najwyższy rządca państwa sobie uzurpując, przepisywał formułę tej modlitwy, ale biskup Szembek powołując się na prawa swoje paktami zagwarantowane, i na przykład Rzymu i Wiednia, gdzie się za innowierców publicznie nie modlą, zakazu nie odwołał, proboszcza i Jezuitów przed

królem pochwalił. Więc król z początkiem 1726 r. polecił rejencyi zaniechać tej sprawy, za to rozpoczął z biskupem spór o tytuł biskupa sambijskiego (pruskiego) i jurysdykcyę w sprawach małżeńskich, który nas tu nie obchodzi, a do katolickich księży wydał 1732 r. surowy zakaz, aby żołnierzom katolikom nie ważyli się ślubów dawać i chrzcić ich dzieci, bo to należy do kapelanów wojskowych (lutrów), gdyż król wyjął żołnierzy z pod praw proboszczowskich. Wogóle pobożny po swojemu król Fryderyk Wilhelm prawa biskupie *ius supremum in ecclesiasticis* względem protestantów rozciągnąć usiłował także na katolików, ale tu spotkał się z oporem biskupa warmińskiego, proboszczów i Jezuitów, a obawa odwetu na dyssydentach polskich zmuszała go do miarkowania swych roszczeń [1].

Poza tymi zamachami pruskiego króla i rządu, misya jezuicka w Królewcu rozwijała się pomyślnie, do czego przyczyniła się bardzo ta okoliczność, że proboszczowie Floryan Białkowski, Franciszek Herr (1721—26) i Antoni Pietkiewicz, zachowywali z Jezuitami zgodę i pozwalali im pracować swobodnie. I tak w maju 1714 r. jubileusz założenia kościoła; obchodzono go w 4 niedzielę po Wielkiejnocy sumą, kazaniami, w których wysławiano tolerancyę króla pruskiego, portret jego umieszczono na tronie w kościele, wieczorem procesya przy iluminacyi wieży i dachów kościelnych i biciu salw moździeżowych. Podobała się ta „wdzięczność“ katolików rejencyi, stawiała ją za wzór pastorom. Liczono co roku chrztów dzieci 70—95; pierwszych komunii dzieci, a często i dorosłych w 20—30 roku życia, 38—92; słuchano spowiedzi 9800—14809; nawróceń z herezyi 4—14; z schizmy 2—18. Konwertyci doznawali od rządu pruskiego, pomimo paktów, wiele szykan i prześladowań, Hrabinę Schwerin z domu Heiden, kalwinkę, która u wiedeńskich Jezuitów przyjęła katolicyzm, separował rząd pruski z mężem, internował ją na wsi, a potem w Królewcu, gdzie opiekowali się nią szczerze Jezuici i wyjednali pomoc pieniężną u ka-

[1] *Hist. Col. Brunsb. et dom. Regiom.* 1713—40. — *Lit. Annuae Col. Brunsb. et dom. Regiom.* 1713—1740. Dittrich II, 547—739.

pituły warmińskiej. Więc biskup, miłosierny Teodor Potocki, założył 15 września 1722 r. przy kolegium brunsberskiem „dom dla konwertytów“, w którym się i przygotować do wyznania wiary mogli, i po wyznaniu czas jakiś przebywać, dopokąd odpowiedniego zajęcia lub miejsca sobie nie znajdą.

Prace misyi popierali skutecznie świeccy katolicy Królewca jak: lekarze Michał Kunter i Jodok Elert, adwokat Jan Horning, kupiec Jakób Heinigk, i brat jego Dawid, wdowa Haumann, młodo zmarły 1730 r., dzielny katolik Kalkstein, Piotr Bertram, Adolf Saturgus „filar misyi“ zamożny a dobroczynny kupiec, i Jan Lupia, który wielu księży i mnichów i mniszek apostatów Jezuitom przyprowadził. Nawracało się ich co roku prawie po kilku, cóż, kiedy roczniki *(Litterae annuae)* nie podają nazwisk i bliższych szczegółów. W r. 1730 Jakób Kohenberg z lutra katolik, a nawet nowicyusz jezuicki, porzucił zakon i wiarę i umarł lutrem.

Nie obeszło się bez przykrości także ze strony predykantów. W październiku 1717 r. obchodził protestancki Królewiec drugi jubileusz wystąpienia Lutra i reformacyi, a w czerwcu 1730 r. drugi jubileusz konfesyi augsburskiej festynami publicznymi, iluminacyą i kazaniami, w których nie szczędzono napaści na papieża, Kościół i Jezuitów. Lecz oni rozumnie milczeli, pomimo że kilku żołnierzy i dziewcząt pochwałami Lutra i jego konfesyi uwiedzeni, przeszło na protestantyzm. W r. 1731 arcybiskup solnogrodzki, Leopold Firmian skazał na wygnanie 15.000 upornych protestantów. Oni udali się pod opiekę Fryderyka Wilhelma I, ten zaś przyjął ich „chrześcijańskiem i królewskiem sercem“ i zaludnił nimi pruską Litwę. Przychodzili grupami po 800 mężczyzn i kobiet — Królewiec urządzał na cześć tych „męczenników“ uczty, festyny, złorzecząc nietolerancyi katolików i Jezuitów. Ale surowy klimat i surowsze jeszcze prawa pruskie, ograniczające swobodę kolonistów, spowodowały gęstą wśród nich śmiertelność i niezadowolnienie, iż się nawet wynosić chcieli, ale nie dozwolił im tego rząd pruski.

W latach 1730—31 o mało nie przyszło do zerwania zgody między Jezuitami a proboszczem Pietkiewiczem o niemieckie

śpiewy kościelne, zapożyczone od protestantów z Hamburga, i niektóre „nowości protestanckie“, jak śpiewanie *Te Deum* w przekładzie Lutra podczas mszy św. od Podniesienia do Komunii. Wprowadzili je zacni skądinąd katolicy Saturgus, Lupia, Paniewski, ale proboszcz pozwolił, pomimo że Jezuici, zwłaszcza superior Jerzy Brisich i polsko litewski kaznodzieja, Antoni Jurewicz odradzali i jako „naleciałość luterską“ wręcz potępili. Wielu katolików poszło za ich zdaniem. Urażony proboszcz, zerwał przyjaźń z Jezuitami, a nawet zaskarżył w konsystorzu o niepotrzebne szkrupuły i rozdwojenie umysłów i uzyskał kanclerski przeciw nim dekret. Tryumfował Lupia, główny tych nowości sprawca, a nawet w Brunsberdze i Frauenburgu przeciw Jezuitom usposabiał umysły. Więc superior Brisich wygotował obszerny memoryał, przesłał go do kanonika Herra z prośbą, aby doręczył go biskupowi Krzyszt. Szembekowi, a przynajmniej kanonikom Grzymale i Schulzowi. Niezadługo odebrał proboszcz Pietkiewicz bardzo stanowczy reskrypt biskupi, aby bezzwłocznie zaniechał wprowadzonych nowości, przywrócił dawny, w katedrze warmińskiej używany sposób nabożeństw i bez poprzedniego pozwolenia biskupa żadnych nowości nie wczynał. Usłuchał proboszcz, ale „Jezuici musieli połknąć niejedną gorzką pigułkę“, zanim umysły przyszły do równowagi [1].

Nie brakło misyi i na zacnych gościach. Król Fryderyk Wilhelm na dwa zawody gościł w Królewcu 1714 r. i 1721, w którym wracając z manewrów, niespodziewanie z licznem gronem urzędników i wojskowych zwiedził kościół katolicki, witany przez proboszcza i superiora. Gniewało to protestantów, bo w żadnym zborze król nie był.

W styczniu 1718 r. wracał z Indyi z znacznym królikiem katechumenem Jezuita Józef Martineti, misyonarz przez lat 10 w Ameryce, Afryce i Azyi, a przez 6 miesięcy w Petersburgu, dokąd przybył z Mongolii morzem z Ormusu do perskiej zatoki, przeszedł Persyą, był w Ispahanie i przepłynąwszy kaspijskie morze, dostał się do państwa cara Piotra, zawsze

[1] *Hist. Col. Brunsb.*, 1731.

jako kapelan karawany kupców lub posłów. Do 14 lutego zatrzymał się w Królewcu. Prezydent rejencyi, hr. Dohna, rajce rejencyjni zapraszali go na obiady, aby od naocznego a poważnego świadka dowiedzieć się co o ludziach i dziejach dalekich światów.

W lipcu 1727 r. zjechał dzielny, pobożny biskup Szembek na wizytę kościoła i misyi „zwyczajem magnackim“, w otoczeniu 8 kanoników, licznego dworu, gwardyi konnej i pieszej, zawiadomiwszy wpierw króla. Więc konnica pruska wprowadziła go do domu misyjnego, gdzie powitali go profesor szkoły O. Jan Fischer i studenci „malutkiej akademii katolickiej“ łacińskiemi mowami. Przez 3 dni bierzmował, odprawił 24 czerwca pontyfikalną sumę, podczas której przemówił po niemiecku i to w obecności rejentów, jenerałowej księżnej holsztyńskiej z córkami, pani kanclerzyny pruskiej von Ostau, i wielu protestantów. Wieczorem po bierzmowaniu przemówił po polsku, a między słuchaczami znaleźli się burgrabia smoleński Scipio z synem, podkanclerzy lit. Kazim. Czartoryski z bratem Floryanem, proboszczem płockim. Złożył wizyty jenerałowi księciu Holsztyńskiemu, prezydentowi Dohnie, kanclerzowi von Ostau i uraczył ich obiadem; dnia 27 czerwca w asyście proboszcza, Jezuitów, znaczniejszych katolików i konnicy pruskiej opuścił Królewiec zadowolony z przyjęcia, a bardziej jeszcze z pomyślnego stanu misyi.

D. 28 grudnia 1730 r. książę Don Emanuel portugalski, jeden z licznych aspirantów do tronu polskiego, wracając z Petersburga, był na mszy św., po której zwiedził szpital i misyę. W następnym roku odbywał się w kościele chrzest chłopca żydowskiego, ojcami chrzestnymi byli Karol książę Holsztyński i młoda hrabina von Schlieben.

Wiemy, że Stanisławowi Leszczyńskiemu, gdy uszedł z Gdańska 1735 r., ofiarował gościnność król pruski w Królewcu. Zjechali z królem Stanisławem wojewoda miński Krzysztof Zawisza, biskupi, wileński Zienkowicz, smoleński Gosiewski, podskarbi lit. Pociej, podskarbi nadw. Sołłohub, kilku starostów, 30 księży i zakonników i do 125 szlachty. Przybywało ich coraz

więcej. W środę popielcową król był pierwszy raz na mszy św. potem przez cały rok każdej niedzieli i święta słuchał mszy i kazania kapelana swego, O. Ubermanowicza. Odwiedził kilkakrotnie misyonarzy królewieckich — byli wtenczas OO. Schmidt, Roth, Szałowski, Plath i Lahmsheft, profesor szkoły. Ci, nie mogąc podołać pracy w konfesyonale — wysłuchano 1735 roku 18.474 osób — przyzwali do pomocy kilku brunsberskich Jezuitów. Dopiero koło Wielkiejnocy 1736 r. król Stanisław z szczupłem gronem sług wiernych udał się do Augerburga, stamtąd do Francyi; liczni jego towarzysze uznali Augusta III królem i wrócili do Polski [1].

Fryderyk II, król pruski 1740—1786, lubo wychowany w pietyzmie protestanckim przez hr. Frankensteina i pułkownika Kalksteina, już w młodym wieku drwił z Lutra i Kalwina, wyszydzał dewocye luterskie, żadnej w gruncie nie mając religii krom elastycznej etyki, „która nie z religijnych jakichś pojęć i dogmatów, ale z równości potrzeb ludzkiej natury i społeczności wyrosła". Filozofy francuskie Voltaire i d'Alembert większą u niego miały powagę, jak Luter, a nawet sam Chrystus Pan. Katolicy, jak protestanci i kalwini, byli mu równie obojętni, a jednak faworyzował tych, usuwał i gnębił, gdzie mógł, tamtych. Dlaczego? *Ratio status,* wzgląd na władzę jego monarszą, która i prawa biskupie *supremum ius in sacris* sobie przywłaszczała; wzgląd na korzyści absolutnego państwa, na przesądy i upodobania poddanych. Otóż katolicy pruscy z jurysdykcyą biskupów i papieża, z prawami na mocy paktów 1611 i 1657 r. uzyskanemi, nie dadzą się tak łatwo wcisnąć w ramy absolutyzmu monarszego, jak protestanci i kalwini, dlatego ani tak ślepo oddanymi królowi urzędnikami, ani tak potulnymi podwładnymi, jak tamci, nie będą. Nie można ich więc nie tylko forytować, ale nawet na równi z tamtymi traktować; lecz przeciwnie, zachować należy wobec nich ostrożność do nieufności posuniętą, trzymać w karbach i na każdym kroku

[1] *Historia, Litterae annuae Col. Brunsb. et Dom. Regiom.* 1714—36. — *Boyé, Stanislas Leszczyński,* 291.

dawać im uczuć rękę rządu absolutnego. Tak rozumował Fryderyk i dlatego on, który cesarza Józefa II, dla jego reform kościelnych, nazywał „swoim zakrystyanem“, nie okrył się podobną śmiesznością, nie mięszał się do dogmatów, modlitw, nabożeństw, procesyj, świec, organów, dzwonów katolickich, ale chciał, aby wszystko, co poza tem: proboszczowie w duszpasterstwie, kościoły, szkoły, małżeństwa od niego i jego rządu zależały, bo on *summus in sacris* także wobec katolików. Z tej racyi tolerancya, którą się chełpił, pozorną tylko była.

Jezuitów poznał Fryderyk bliżej podczas wojny szląskiej 1741 r. w Głogowie, Wrocławiu, Nissie, gdzie mieli kolegia, szkoły, akademią, a jako utalentowany i wykształcony, dla ich nauki i uprzejmości powziął ku nim szacunek i pewną życzliwość. Wnet jednak 1742—43 r. dowiedziawszy się o rzeczywistych czy tylko domniemanych knowaniach Jezuitów szląskich na dworze wiedeńskim, zniechęcił się do nich i oświadczył swemu rządowi, „że wcale nie myśli Jezuitów zatrzymać w Prusiech“. Kontenta z tego rejencya pruska, do dawnej taktyki niepozwalania „rozszerzać się“ Jezuitom nawykła i częstemi skargami pastorów drażniona, dokazała tego, że król nie pozwolił, aby nowo rozpoczęty kościół w Tylży, ich kosztem już w części wybudowany, dostał się Jezuitom. Ograniczył im misyonarską działalność w Insterburgu i indziej, do służby Bożej „w izbie przy drzwiach zamkniętych“. Odmówił wbrew paktom odbudowania kosztem skarbu spalonego 1764 r. kościoła w Królewcu. Ale zato Jezuici świętolipscy i królewieccy, przez lat 40 wolni od nagabywań rejencyi, mogli swobodnie prowadzić swe prace kapłańskie i utrzymywać szkołę [1], co przecie nie małem było dobrodziejstwem.

---

[1] Pracowali jako kaznodzieje i misyonarze w mieście i na prowincyi 1740—48 r. OO. Piotr Schonemberg, Jerzy Radeland, Jakób Szturman, Tomasz Płatuść, Jan Steiner, Józef Poschmann, Jakób Krüger, Józef Bartcz, Józef Franciszkowski, Wiktor Stawecki, Maciej Lilienthal, Piotr Samsonowicz.

W r. 1756 OO.: Poschmann, Jędrzej Wohlgemuth, Jędrzej Bordhyn, Stawecki.

R. 1769—73 OO.: Ant. Klein, Ant. Pacewicz, Jakób Popin, Józef Reppert, Jan Schwarz, Ant. Budzyk, Jan Wagner.

Magistrat królewiecki zaraz po wstąpieniu na tron Fryderyka II. 1740 r. wykluczył ubogich katolików z miejskiej opieki i kasy ubogich. Król 4 paźdz. 1740 r. zatwierdził tę uchwałę, a rekurs proboszcza Kajetana Sietza 1750 r. pozostał bez skutku. Ucierpiał na tem bardzo szpital katolicki na Sackheim, przez Jezuitów koło 1650 r. założony, bo dochód jego ograniczony został do jałmużn 2000 katolików, a nie całego miasta, które liczyło wtenczas do 50.000 mieszkańców. Więc wybrano dwóch jałmużników, którzy chodząc po domach katolickich, zbierali „składkę na ubogich“ i co roku składali z nich rachunek prowizorom kościoła.

Ten zbyt oszczędnie, więc słabo zbudowany, łatany i naprawiany być musiał niemal co roku kosztem rządu, zwłaszcza 1669, 1718, 1730, 1746, 1748 r., ale była to troska i kłopot proboszcza, nie Jezuitów. Ponieważ podczas siedmioletniej wojny Moskwa pod Sołtykowem i Daunem posiłkując Austryę, zalała 1759—60 r. Brandenburgią i Prusy, więc katolicka gmina udała się do carowej Elżbiety I o zapomogę na restauracyę walącej się zakrystyi i szkoły i otrzymała ją w kwocie 965 tal.

Na odnowionej 1764 r. wieży zawiesił proboszcz Franc. Zahn trzy wielkie dzwony odlewu Siewerta, ale w tymże roku 11—13 listopada straszliwy pożar, poczęty na Starem mieście dotarł przez Loebenicht do Sackheim, spalił do cna dwa zbory, katolicki kościół z wieżą, stopił dzwony, obrócił w perzynę probostwo i siedm domów należących do misyi. Proboszcz Zahn, Jezuici Poschman, Willich znaleźli na razie schronienie u farbiarza, prowizora kościoła Poincheval; OO. Pacewicz i Bludau w domu hr. Buttlera, katolika, a w domowej jego kaplicy odbywało się nabożeństwo parafialne. Wnet jednak rząd przeznaczył połowę pałacu holsztyńskiego na mieszkanie dla księży, sług kościelnych i na szkołę. Z wiosną 1765 r. postawiono tymczasową, drewnianą kaplicę, a Jezuici Schwarz i Pacewicz pu-

---

Uczyli w szkole *(professor classium* aż do retoryki) od 1740—48 r. Józef Schroeter, Józef Kolberg, Abraham Kretschman, Jan Steiner, Józef Bartcz. R. 1756: Franciszek Korkowski; r. 1769: Jan Wagner; r. 1773: Wilhelm Wincza. — *(Catalogi breves Prov. Lith.).*

ścili się do Polski „na kwestę“; ten ostatni dotarł aż do Ukrainy i oprócz pieniędzy przywiózł 4 konie i dwa wozy, bardzo dla misyi użyteczne. Więc za wyżebrane pieniądze Jezuici z pruskiego muru wybudowali na prędce dom mieszkalny dla siebie. Rozszerzono potem 1767 kaplicę cmentarną, postawiono wieżę z czterema nowymi dzwonami i tam odprawiano nabożeństwa i jubileusz Klemensa XIV r. 1769, przyjmowano sufragana warmińskiego von Zehmen, który dzwony poświęcił i wiernych bierzmował.

Według paktów 1611 i 1657 r. rząd pruski miał obowiązek odbudowania swym kosztem kościoła i budynków parafialnych, jakoż rejencya obliczyła je „bardzo oszczędnie“ na 14.208 tal., 58 groszy, ale tolerantny Fryderyk II na podanym sobie kosztorysie dopisał: „ponieważ dyssydentom w Polsce praw ich zaprzeczono (na sejmie 1766 r.), to niech Polacy w Królewcu sami sobie kościół budują“ i uparł się przy tem pomimo przedstawień ministrów i rejencyi, pozwolił tylko na zbieranie składek w Prusiech i za granicą. Po trzechletniej żebraninie, którą nie zajmowali się Jezuici, acz jej pomagali, bo żebrać musieli na wybudowanie własnej obszernej rezydencyi, ukończonej 1772 r., ale proboszcz z prowizorami; rozpoczęto 1769 budowę nowego kościoła z wieżą, którą ukończono 1777 r., wyłożywszy na nią przeszło 200.000 złp. *(Gulden)* ze składek, kilku znaczniejszych datków i zaciągnionej na mury kościelne pożyczki. Wnet stanął i wielki organ za 3.210 talarów i odmalowanie kościoła *al fresco* przez Jakusza za 1467 złr. było gotowe, a z spalonych 7 budynków odbudowano 4 nowe. Rząd tolerantnego Fryderyka II, który na odbudowanie dwóch spalonych zborów wypłacić kazał 70.613 tal., katolikom nie dał feniga. W niedzielę 4 po Wielkanocy, 27 kwietnia 1777 r. proboszcz Zahn benedykował kościół, „wspaniałe“ kazanie wygłosił Jezuita Jan Wagner.

Z odbudowaniem probostwa i szkoły był kłopot niemały. Cały fundusz kościelny na utrzymanie proboszcza, wikarych, służby, razem 31.029 złr., lokowany u zamożnego kupca, i prowizora kościoła, Fryderyka Saturgusa, wskutek bankructwa jego, przepadł 1777 r. Szkołę wybudowała gmina ze składek i z po-

życzki 1784 r., probostwo dopiero z początkiem XIX wieku. Wikaryuszami byli Jezuici, a ponieważ kapitał na ich utrzymanie, 18.400 złr. przepadł u Saturgusa, przeto żywili się z jałmużn i datków brunsberskiego kolegium.

Ale z końcem czerwca 1780 r. Jezuitom ogłoszono za pozwoleniem króla *breve* kasacyjne, trzech z nich zostało przy kościele, jako świeccy wikaryusze, gmina płaciła ze składek po 550 złr. każdemu. Dwaj młodo pomarli; O. Jan Chryzostom Wagner 10 maja 1782 w 44 roku życia, podarowawszy piękną swą bibliotekę kościołowi, O. Reppert umarł 1 grudnia 1783, w 49 roku życia, O. Wolfeil przeniósł się do Gdańska. Na ich miejsce wezwano świeckich księży, którzy razem z proboszczem Schmidtem zamieszkali w pojezuickiej rezydencyi.

Taki był koniec 130 letniej misyi jezuickiej w Królewcu, która podparła dzielnie wiarę katolicką w tem mieście i w Prusach książęcych [1].

Ks. St. Załęski.

---

[1] Dittrich: *Geschichte des Katholicismus in Altpreussen*, II, 733—739, 779—797.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Pisma polityczne. *Stanisław Koźmian.* Kraków 1903.

W dzisiejszym okresie nadzwyczajnej wybujałości literatury peryodycznej znalazłby się niewątpliwie niejeden publicysta, któryby mógł zebrać z szeregu lat gorączkowej pracy swojej tyle poważniejszych i cenniejszych artykułów, że powstałby z tego tom olbrzymi jak Koźmiana „Pisma polityczne“ (str. 756!) Jeżeli jednak wysuniemy na pierwszy plan nie rozmiar książki, lecz jej poczytność, to możemy już postawić wprost pytanie, czy jest dziś w Polsce drugi publicysta, którego artykuły przedrukowane w olbrzymim tomie byłyby czytane z takiem zajęciem, jak gdyby stanowiły nowość senzacyjną, w poważnem i dobrem tego słowa znaczeniu? A że książka Koźmiana budzi takie zajęcie i odpłaca się za nie czytelnikowi sowicie treścią swoją od początku do końca, to fakt oczywisty dający się stwierdzić na każdym kroku tak w prasie, idącej w swoich sprawozdaniach z nowych książek za rozciekawieniem publiczności, jak i w rozmowach z ludźmi, dla których rychłe poznanie każdej nowości czy literackiej czy publicystycznej stanowi konieczną potrzebę. Co pewnie świadczy o zasłużonej poczytności nowej książki Koźmiana a zarazem o jej niezwykłej wartości, to fakt, że autor tej recenzyi, świadek działalności publicystycznej Koźmiana od lat 30 a zarazem świadek działalności wszystkich osób i wszystkich wypadków publicznych jego książką objętych, więc czytelnik, dla którego książka ta ściśle rzecz biorąc stanowiła tylko odświeżenie w pamięci rzeczy znanych, więc niejako rekapitulacyę; dorwawszy się raz do lektury nie przerwał jej dla innej książki a skoń-

czywszy lekturę tego tylko żałował, że po tomie o 756 stronicach nie następuje drugi równie wielki albo jeszcze większy.

Książka Koźmiana zaczyna się i zamyka dwiema pracami („Bezkarność“ i „Monarchia Habsburgów i wojna wschodnia 1877—1878“), które zakrojem swoim wyróżniają się pośród reszty rozdziałów tem, że sięgają poza miarę zwyczajnych artykułów i stanowią dwa studya, jedno treści społecznej a drugie treści politycznej. To ostatnie studyum stanowi w konstrukcyi i całem opracowaniu rzecz najznakomitszą pod względem literackim w całym tomie „Pism politycznych“. Jest to po mistrzowsku skreślony jeden rozdział historyi nowożytnej. Cały ten chaotyczny tok wypadków z lat 1877—78, na które patrzało współczesne pokolenie w ciągłem naprężeniu oczekiwań, obaw, nadziei a w końcu rozczarowań, przedstawił autor w obrazie jasnym i wyrazistym, z zacięciem poważnego historyka w ugrupowaniu wydarzeń, z głęboką przenikliwością polityka, umiejącego znaleźć i uchwycić główny wątek powikłanej akcyi dyplomatycznej poza jej kulisami, wreszcie z subtelnym zmysłem spostrzegawczym psychologa w charakterystyce głównych aktorów doniosłego w następstwach swoich epizodu dziejowego i w odsłanianiu ich motywów i aspiracyi. Gdyby dziś w chwili groźnego zaostrzenia się sprawy wschodniej studyum to pojawiło się w przekładzie francuskim lub angielskim w jakim paryskim lub londyńskim przeglądzie przyniosłoby niezawodnie nowy tryumf publicystyce polskiej w osobie Koźmiana.

Wielka aktualność społeczna i to taka aktualność, która nie przemija po jednem lub drugiem głośniejszem wydarzeniu, lecz owszem wzmaga się i wzrasta z dnia na dzień nie tylko u nas lecz wogóle w całem społeczeństwie współczesnem, cechuje umieszczone w książce na pierwszem miejscu studyum p. t. „Bezkarność“. Jest to rzecz głęboko pomyślana, ale w rozwinięciu może wskutek tak właściwego Koźmianowi aforystycznego traktowania tematów nadto ścieśniona, co w tym wypadku krytyce uprzedzonej lub tendencyjnej, szukającej sposobności do obniżenia wartości książki, mogłoby oddać wielką przysługę. W takiem ścieśnieniu bowiem czy skondensowaniu tematu, wkraczającego w znacznej części także w zawichrzony dziś różnymi śmiałymi projektami a jeszcze śmielszymi konceptami reformatorskimi zakres kryminologii, autor nie należący do zawodowych prawników a tem samem nie obeznany ani z pozytywnem prawem karnem ani z jego historyą, wystawiał się nawet mimo takiej rozległej a wszechstronnej wiedzy, jakiej świetne dowody w każdem dziele swojem złożył, na ko-

lizye nawet z krytyką gotową zresztą do przyklaśnięcia założeniu i dążności wszystkich wywodów autora.

Tak się też rzecz ma w tym wypadku. Zupełnie zgadzamy się z twierdzeniem autora, że dziś „na murach gmachu społecznego coraz wyraźniej odrysowuje się bezkarność, która nie jest nieznacznym i bez doniosłości porysowaniem ścian, lecz szczeliną idącą od fundamentów do szczytu“, że dalej „bezkarność coraz bezczelniej się rozwielmożnia i zdobywa sobie przeważne miejsce już nie w jednym narodzie, lecz w całym ustroju społecznym żyjącym dzisiejszą cywilizacyą“, że wreszcie jeżeli nie godzi się straszyć mieszkańców gmachu fałszywemi wróżbami co do powierzchownego zarysowania się murów, to „z drugiej strony zbrodnią jest nie przestrzedz ich o porysowaniach świadczących, że podwaliny zgniłe lub że się rozpadają“ (str. 9). I na to także zgoda, że owa bezkarność stanowiąca niebezpieczne rysy na gmachu społecznym, stanowi jeden z gorzkich owoców tego posiewu indyferentyzmu religijnego, po którym liberalizm tyle dobrodziejstw zapowiadał ludzkości.

Jeżeli dyagnoza złego ma doprowadzić do trafnego wyboru dróg i środków zaradczych, to trzeba dokładnie określić jego znamienne symptomaty i źródła a przedewszystkiem dać jasną odpowiedź na pytanie, czy owa bezkarność dzisiejsza spostrzegać się daje głównie w zakresie prawa i idzie na jego rachunek albo świadczy tylko o rozluźnieniu i osłabieniu prawnego aparatu wykonawczego, czy też chodzi o bezkarność poza sferą prawa, w zakresie stosunków, co do których samo społeczeństwo wykonuje judykaturę z mocy nie ujętego w paragrafy i nie zaopatrzonego klauzulą państwowo-sankcyjną, ale za to osłoniętego tarczą przykazań Boskich kodeksu moralności? Prawo karne, chociażby najlepsze, nie wyczerpuje tego ostatniego kodeksu, lecz stanowi niejako *minimum* etyczne, które z powodu swojej doniosłości dla interesów społecznych wymaga gwarancyi i osłony państwowej.

Autor nie rozgraniczył ściśle tych dwóch zakresów bezkarności: w pierwszej części rozprawy zajął nawet takie stanowisko, jak gdyby wszystkie wywody skierowane być miały tylko ku sferze prawnej, w której wrzekomo „humanitarne i filantropijne popędy zastąpić miały nadal wszelką wiarę i religię“ a tem samem otwarły bezkarnie drzwi na oścież. „Rozstrojona i obałamucona społeczność dzisiejsza — mówi autor — wysila się we wszystkich kierunkach, aby złoczyńcę ochraniać i skutki zbrodni jego uczynić mu jak najmniej przykrymi. Nietylko w prawodawstwie, w całej działalności sprawiedliwości widoczną, wy-

rażną jest ta dążność, począwszy od filantropijnych urządzeń więzień aż do narzucającego się wszędzie obcesowo społeczeństwu zniesienia kary śmierci. Te względy rozliczne, ta pobłażliwość czułostkowa, ta nieroztropna wspaniałomyślność dla złoczyńców, ta troska o ich wygody zarówno jak o bezpieczeństwo ich gardeł, ta bezkarność prawna, uznana, uchwalana przez sejmy, to już na dzisiejszem społeczeństwie zdobyty niejako przez złoczyńców przywilej; a tak w skutku dziwnej lecz słusznej sprawiedliwości, owej wyższej rzeczy ludzkich, wiek, który zniósł wszystkie i wszystkich przywileje, stworzył je jedynie dla złoczyńców. Gorsza jednak i bardziej przerażająca bezkarność innego gatunku i treści świta już na widnokręgu dzisiejszego ustroju. Mamy tu na myśli dążność w samym wymiarze sprawiedliwości uniewinniania lub przynajmniej oszczędzania już nie oskarżonego, ale winnego, dążność ułagodzenia i doprowadzenia do *minimum* kary" (str. 16). Jeszcze więcej, bo jeszcze bliżej granic paradoksalności unosi autora ferwor w oskarżaniu dzisiejszego prawa karnego i jego aparatu wykonawczego w ustępie omawiającym dzisiejsze „nieograniczone zaufanie przestępców i zbrodniarzy do sprawiedliwości". (!) Oto słowa samego autora: „Rozczulającem jest dzisiejsze zaufanie przestępców do sędziów, rozczulającemi są coraz częstsze oddawania się w ręce sprawiedliwości i szczere, otwarte, odważne zeznanie winy. Nikt i nic nie obudza większego zaufania w winowajcy jak sprawiedliwość. Dawniej przestępca, zbrodniarz krył się, uciekał, szukał schronienia w nieprzystępnych miejscach, w lasach i górach między dzikiemi zwierzętami, przepływał ocean i uciekał do Ameryki; dziś przeciwnie, zbrodniarz czuje się niejako bezpiecznym i nie ma nic pilniejszego do zrobienia, jak oddać się w ręce sprawiedliwości, jak zapisać się do więzienia, jak szukać schronienia, prawnej opieki tam, gdzie dawniej czekała go sroga lub straszna kara... Zbrodniarze i przestępcy szukają bezpieczeństwa i schronienia na łonie samej sprawiedliwości, bo ono przepełnione współczuciem i pobłażaniem dla nich. Zamiast grozy i przerażenia, które w winowajcach obudzała sprawiedliwość, widzimy teraz między nimi a jej trybunałem jakieś poufałości, pewną zalotność i zamianę oznak dziwnego, niepojętego pociągu... I kiedy wszystko to dzieje się i rozkrzewia pod godłem ludzkości, to zaprawdę mniemaćby można, że ludzie i bogi tej cywilizacyi i tego świata, w którym do tego stopnia skrzywione są wyobrażenia, już szaleją. Ileż to bowiem ofiar pociąga za sobą pobłażanie dla jednego zbrodniarza, a ileż ubywa bezpieczeństwa dla ludzkości, w imieniu której wstrzymuje się ręka sprawiedliwości w wymia-

rze kary. Daremne usiłowania! Wasza bezkarność nie oszczędzi ani jednej ofiary, nie ujmie jednej klęski, mnożyć tylko będzie i pierwsze i drugie i już zagraża nowemi karami, nowymi przewrotami ludzkości, w imieniu której chcecie ją wznieść do wysokości zasady. W okresie dziejowym, w którym więcej niż kiedykolwiek wojna tysiące pochłonęła i w danym razie pochłonęłaby ofiar, kiedy niezliczone narzędzia postępu dziennie znaczną liczbę ludzkich istot poświęcają na jego ołtarzu, wy boicie się przez ludzkość ściąć głowę zbrodniarza lub zawiesić na nim kajdany. Sofiści w teoryi i sofiści w zastosowaniu, nie jesteście nawet litościwymi, ale po prostu miękkimi, rozstrojonymi, bezsilnymi duchowo i we wszystkich niemal kierunkach, przerażająco niedorzecznymi!“ (str. 24—26).

Żaden prawnik, choćby największy pesymista, nie zaprzeczy nam tego, że powyższy obraz jest za czarny, że tak wyglądałby stan społeczeństwa chyba wtedy dopiero, gdyby w ustawodawstwie na całej linii zwyciężyły owe liczne, jedne dziwaczniejsze od drugich teorye kryminalistyczne, które od wypłynięcia na widownię dziś już odartego z dawnej aureoli Lombrosa zamąciły naukowy widnokrąg, a według których niema zbrodni, niema przestępstwa, lecz jest tylko przestępca, t. j. istota chora lub anormalna z natury albo za wpływem środowiska, pozbawiona wolnej woli a tem samem i odpowiedzialności moralnej, nie zasługująca na karę, której wogóle niema, lecz tylko na takie traktowanie, aby nie mogła być szkodliwą. Ale wszystkie te dziwolągi wypełniające współczesną literaturę kryminologiczną, zwłaszcza na Zachodzie, dziś dalsze są od zwycięstwa niż kiedykolwiek, bo już wywołały zdrową reakcyę naukową. Nawet ojczyzna Lombrosa i jego następców *eiusdem farinae* nie poważyła się w nowym kodeksie karnym zejść na takie bezdroża, jakie jej książkowi reformatorowie jako postęp ku doskonałości zalecali.

Stawiając w ten sposób kwestyę bynajmniej nie zamierzamy utrzymywać, że dzisiejsze prawo karne stoi na wysokości swojego zadania cywilizacyjnego, że zatem autor niesłusznie zarzucił dzisiejszej epoce szerzenie się bezkarności. Gotowiśmy owszem sami ilustrować przykładami tę niedostateczność prawa karnego. Czyż nie jest to np. anomalią, albo nawet i skandalem, żeby mimo piętna zbrodni wyraźnie na pojedynku wyciśniętego prokuratorya puszczała tę zbrodnię płazem nawet wtedy, gdy jak się to niedawno zdarzyło, dopuścił się tego jej urzędnik w sposób rozgłośny? Czyż dalej nie jest to skandalem, że tak

ohydna zdrożność, taka plama na współczesnej cywilizacyi jak kwitnący wszędzie handel żywym towarem, wywóz dziewcząt do domów rozpusty po całym świecie, nie natrafił dotąd na odpowiednią, odstraszającą represyę karną? Nie jestże wreszcie rażącym fakt, że pod maską interesu, spekulacyi i t. p. dokonywa się dziś mnóstwo oszustw o pomstę wołających, że cała zgraja patentowanych szalbierzy ze świata spekulacyjnego naigrawa się po prostu z kodeksowego rygoru a bezkarność na tem polu znajduje potężną podporę nawet w polityce, tym wielkim rozsadniku wszelkiej demoralizacyi z współczesnej doby? Jeden z najznakomitszych współczesnych prawników i myślicieli we Francyi, Tarde, wprost powiedział, że wprawdzie powiodło się prawu i państwu wytępić brygantów w Abruzzach, ale za to w giełdach powstały zabezpieczone przybytki brygantyzmu nowego pokroju!

Dotąd postępowaliśmy zgodnie z autorem a nawet poniekąd rozszerzyliśmy jego zarzuty przeciw prawu karnemu. Za to tem śmielej teraz zastrzedz się możemy wobec zarzutów, które uważamy za nieusprawiedliwione. Przedewszystkiem kwestya zniesienia kary śmierci, która od wieków stoi na porządku dziennym dysputy prawno-filozoficznej i nigdy z niego nie zniknie, tak samo jak tyle innych spornych zagadnień filozoficznych, nie wchodzi w grę w temacie o bezkarności. Owe zaś względem uwięzionych popędy humanitarne i filantropijne, nie zawsze mogą być stawiane, jak w książce Koźmiana, jako antiteza religijnych podstaw ustroju społecznego. O ile one w postępowaniu karnem rozszerzyły zakres obrony a w wykonywaniu kary uchyliły barbaryzmy dawnych wieków, zgodne są z kierunkiem i tradycyą cywilizacyi chrześcijańskiej, która nawet w zbrodniarzu szanuje sponiewieraną wprawdzie ale zawsze jeszcze doszczętnie nie zgładzoną duchową godność człowieka, a w karze z wszelkim rygorem zasady ekspiacyjnej łączy zawsze cel poprawy. Najlepszym wyrazem dążności Kościoła do uszlachetnienia kary przez nadanie jej celu poprawczego, był napis na jednem z więzień rzymskich, z czasów świeckiej władzy Papiestwa: *Parum est improbos coercere poena, nisi probos efficias disciplina!* Jeżeli dziś wreszcie zbrodniarze zamiast uciekać lub ukrywać się, częściej sami oddają się w ręce sprawiedliwości, to nie jest to oznaką ich zaufania do zachwianego wymiaru sprawiedliwości, więc nie jaskrawym objawem bezkarności, jak autor twierdzi, lecz przeciwnie dowodem znacznego spotęgowania się rękojmi bezpieczeństwa publicznego. Mniej dziś uciekają i kryją się zbrodniarze po prostu dlatego, że szanse ucieczki

lub ukrycia się zmalały zupełnie wobec wydoskonalonego aparatu pościgowego. Nie brak pewnie i dziś usiłowań w tym rodzaju, lecz albo rozbijają się one już w stadyum pomysłu, albo kończą się na samej próbie.

Że dziś często zapadają wyroki przyjmowane przez opinię ze zdumieniem, czasem nawet ze zgorszeniem, to prawda, ale pamiętać należy o tem, że dziś judykatura odbywa się jawnie a wobec wydoskonalonej reporterki zbyt głośno. Dziś słyszymy o każdym wypadku „wyrąbania się“ winnego dzięki sprytowi adwokackiemu obrońcy lub pobłażliwości sędziowskiej ale nie wiemy, ile za dawnemi kulisami biurokratycznej judykatury tajnej rozgrywało się scen niesprawiedliwej kondemnaty lub arbitralności? Co jest lepszem albo raczej co jest gorszem? O dobrem bowiem myśleć trudno wobec niedoścignionego dla ułomnej ludzkości ideału sprawiedliwości.

Autor pisał rozprawę swoją o bezkarności widocznie pod deprymującem wrażeniem jednego lub kilku wyroków, gorszących uniewinnieniem oskarżonego mimo jawnego przestępstwa dzięki tak często dziś występującej i rzeczywiście gorszącej a nawet niepokojącej pobłażliwości sądów przysięgłych. Domysł ten wprowadza nas znowu w harmonię z autorem co do głównej myśli jego rozprawy. Niepokojącym jest rzeczywiście objaw, jeżeli wymiar sprawiedliwości szwankuje dlatego, że sąd fachowy zasilając się współudziałem czynnika społecznego, zamiast znaleźć w nim oparcie, natrafia na przeszkody w normalnych funkcyach. Świadczy to już bowiem o zwątleniu tego moralnego rygoru, który w czerstwem społeczeństwie winien wspierać a nawet uzupełniać judykaturę prawną, nawet w zakresach dla niej niedostępnych, lub z pod niej się wymykających, rozporządzając tak skutecznym ku temu środkiem, jak wzgarda publiczna. Koźmian podnosi ten smutny symptom i uderza na bezkarność w tym zakresie dobitnie, ale niejako w drugim dopiero rzędzie.

Oto słowa autora (str. 18): „W prostem następstwie tegoczesnej plagi bezkarności dojść musimy do tego, że zbrodnia się rozwielmożni, zyska niejako prawo obywatelstwa, zbrodniarze mnożyć się będą, a w końcu zabraknie kata... Bezkarności w samej sprawiedliwości towarzyszy inna, ściśle z nią złączona, jeszcze może groźniejsza, jeszcze wyraźniej zwiastująca niebezpieczeństwo, bezsilność duchową i rozstrój, bezkarność ze strony opinii publicznej. Ona to oddziaływa tak zgubnie, tak haniebnie na wymiar sprawiedliwości. Dzisiejsza tak nazwana opinia

publiczna staje niezmiennie po stronie nie tylko obwinionego, ale winnego, nie tylko winnego, ale skazanego, nie tylko skazanego, ale i unikającego kary, ona go otacza swemi skrzydłami opiekuńczemi i w imieniu wolnomyślności i filantropii zdaje się wołać do sędziów: nie karzcie, jeżeli nie chcecie być potępionymi. W każdym niemal procesie głośniejszym znika wnet z widowni pokrzywdzony, a głównym bohaterem, który skupia całe współczucie widzów, staje się krzywdziciel. A tam i w tem, gdzie zwykła sprawiedliwość dosięgnąć nie może, lecz gdzie opinia publiczna ma moc karcenia i karania, czyż widzimy wymiar sprawiedliwości! Zaniechano go i niema już ludzi, którymby nie podawano ręki, nie dlatego zaiste, aby nie było takich, którymby ręki podać nie należało, ale dlatego, że niema już takich, którzyby jej nie podawali".

Ponurego obrazu powyższego nie myślimy bynajmniej łagodzić tak, jak to uczyniliśmy co do prawnej judykatury. Raczej zaostrzyć wypada ten obraz w ten sposób, że nie na karb wolnomyślności i filantropii, lecz daleko gorszych przyczyn, na karb stępienia się zgoła moralnego, niejako znieczulenia moralnego w społeczeństwie położyć należy fakt codzienną kroniką skandaliczną ilustrować się dający, że dzięki połączonemu z bezczelnością sprytowi w wyzyskaniu sekrecików popularności towarzyskiej, snuje się bezkarnie tylu nikczemników, którzy albo już wchodzili w kolizyę z prawem karnem, a wymknęli się z niej tylko zręcznem krętactwem, albo nawet mimo zupełnej kwalifikacyi do piętna kryminalnego nawet w taką kolizyę nie weszli dlatego, że umieli zgrabnie przemknąć się na tej wązkiej i ślizkiej ścieżce, jaka oddziela interes, spekulacyę i t. p. od pospolitego oszustwa nie moralnemi kryteryami, lecz tylko formalnościami paragrafowemi.

Z tej to bezkarności społecznej a nie prawnej „wyrabia się dziwna a zgubna nauka o okolicznościach zwalniających, które w wysokim stopniu pogarsza bezkarność. Przeszłość zaszczytna człowieka, jego wykształcenie, wpływ, który wywierał, zaufanie, które wzbudzał, stanowisko jego poprzednie, są to zwykle dziś nie obciążające, lecz zwalniające okoliczności. A przecież im stanowisko było wyższe, tem upadek jest większy, im wpływ był znamienitszy, tem odpowiedzialność jest większa, im zaufanie było znaczniejsze, tem krzywda jest większa, tem samem bezkarność zgubniejsza; tak jest, bo im wyżej się ona wznosi, tem głębiej dosięgają jej skutki w społeczeństwie a przykład złego z góry jest mniej szkodliwym i niebezpiecznym, jak przykład

bezkarności. Wykształcony, prawy, duchowo wyższy, obudzający zaufanie człowiek popełnia zbrodnię, odpowiedzialność jego za nią jest tem samem niezaprzeczenie większa jak tych, którzy niżej od niego stoją duchowo, osłaniająca go bezkarność jest szkodliwsza“ (str. 23).

Wszystkie te słuszne uwagi zwracają się przeciw społeczeństwu. Prawo, stosując do ludzi ostatniej kategoryi niższy, a choćby najniższy wymiar kary ze swojej skali, liczy się z tym faktem, że winowajca taki już przez samo pociągnięcie do odpowiedzialności i przez wyciśnięcie piętna kryminalnego na jego czynie, dotknięty jest srogim ciosem, gdyż cała jego przeszłość, całe stanowisko i wogóle cały dorobek społeczny zostaje zniszczony, a natomiast otwiera się przed nim droga nie do zupełnego odzyskania tego, co stracił, lecz w najlepszym razie tylko do wywalczenia sobie ciężkim trudem tolerancyi społecznej i materyalnej egzystencyi. Jeżeli rygor moralny w społeczeństwie tak osłabł, że nie może ono spełnić w powyższym kierunku i w sposób powyższy swojej pomocniczej i uzupełniającej wobec prawa funkcyi, to trzeba chyba zawołać z prawnikiem starorzymskim: *quid vanae sine moribus leges!*

Ostatni rozdział rozprawy poświęcony jest bezkarności dzisiejszej w Galicyi. „Największej bo nieograniczonej bezkarności używa tutaj głupota we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach, w polityce, w samorządzie, w gospodarczych sprawach, w szkołach, w literaturze, szczególniej w dziennikarstwie; rozsiada się swobodnie, nawet zuchwale, wszędzie i zawsze. Karać głupoty u nas nie tylko nikt nie śmie, ale nawet nie umie. Kto jest bez winy, niech rzuci na nią kamieniem, zdaje się być godłem pokolenia“ (str. 39). Cytat ten niech służy na próbę, jak czarno wypadł obraz bezkarności w Galicyi i to nie tylko pod względem politycznym, lecz także moralnym. Trudno wyrzec się pokusie do złagodzenia tego ponurego obrazu chociażby tylko tem jednem zastrzeżeniem, że staropolska bezkarność nie była tak „poczciwą a głupią i dobroduszną“, żeby tak jasno odbijać miała od naszej nowoczesnej „bezczelnej, opartej na fałszu a tak głęboko w swych ostatecznych celach demonicznej“ (str. 32). Wystarczy tutaj powołanie się na ogłoszone w ostatnich czasach pamiętniki z ostatnich dwóch wieków naszego bytu państwowego. Zbytnie obciążanie siebie samego wiedzie prędzej do desperacyi niż do poprawy.

Z największem zajęciem czyta się w książce Koźmiana rozdział zatytułowany: „Galicya i jej ludzie“, a zawierający listy autora pisane

przed niespełna 30 laty do *Gazety Polskiej* w Warszawie. Ten rozdział stanowi właśnie najlepszą ilustracyę do naszej wstępnej uwagi o książce. Jest to barwna kronika wypadków życia politycznego i towarzyskiego, oraz ruchu literackiego i dziennikarskiego w Galicyi w latach 1875—6. Lata te stanowiły okres wyjątkowo ożywionego, czasem nawet wzburzonego życia politycznego w Galicyi. Powodem tego ożywienia było pojawienie się słynnego artykułu Stanisława hr. Tarnowskiego p. t „Porcye", i głośny proces Offenheima. Na obu naczelnych w kraju stanowiskach publicznych nastąpiły zmiany osób wskutek ustąpienia marszałka krajowego, Leona księcia Sapiehy i śmierci namiestnika, Agenora hr. Gołuchowskiego. Także i na widowni politycznej w Wiedniu dokonywał się wtedy ważny dla kraju zwrot polityczny. W pierwszej po zaprowadzeniu bezpośrednich wyborów Radzie państwa Koło polskie znalazło się wobec arcytrudnego położenia, z którego, dzięki dzielności takich znakomitych członków swoich jak Grocholski, Dunajewski i inni, nie tylko wyszło zwycięsko w obronie praw kraju, lecz nadto zdobyło dla polskiego żywiołu wpływowe, niemal rozstrzygające w państwie stanowisko. Były to czasy obfitujące w wybitne indywidualności we wszystkich kierunkach naszego życia publicznego. Sylwetki tych indywidualności skreślił autor *con amore* tak, że powstała świetna galerya szkiców, którym po nadzwyczaj trafnem oddaniu głównych, znamiennych rysów potrzeba tylko wypełnienia i uzupełnienia, aby zmieniły się w galeryę portretów skończonych. Ktoby się chciał podjąć tego zadania wdzięcznego, zasłużyłby się około historyi kraju w jednym z najważniejszych jej okresów. Ważność takich wizerunków ocenił najlepiej sam Koźmian na innem miejscu swojej książki (str. 457, w życiorysie Jana hr. Tarnowskiego) temi słowy: „Niceby nie było pożyteczniejszego, bardziej nauczającego, jak ująć dzieje polskiej dzielnicy pod berłem Habsburgów od wypadków, które ją na nowe wprowadziły tory, w wizerunkach ludzi, co jej przewodniczyli, i na różnych polach streścili w sobie jej życie".

Z tych listów Koźmiana należy podnieść dwa szczegóły ważne dla historyi stosunków galicyjskich. Przed 28 laty autor jako publicystyczny reprezentant stronnictwa krakowskiego pisał ciągle o reformie stosunków wiejskich jako o najpilniejszej sprawie krajowej, jako o kwestyi, której rozwiązanie szczęśliwe stanowiłoby pierwszy i najważniejszy krok do podźwignięcia kraju. Tyle lat upłynęło od tego czasu, a reforma gminna stanowi ciągle bierną pozycyę w bilansie spraw krajowych. Ta tylko zachodzi różnica, że dziś nie samo stronnictwo krakowskie,

lecz całe społeczeństwo uznaje naglącą potrzebę rozwiązania kwestyi. Trudności jednak wzrosły od tego czasu niezmiernie, wskutek czego ta bierna pozycya przechodzi z jednego sejmu na drugi. Dalszy szczegół godny podniesienia stanowi sprawa włościańska. O ile w sprawie reformy gminnej stronnictwo krakowskie dało zaszczytny dowód szerszego poglądu na sprawy krajowe już w pierwszym okresie niejako w nowicyacie samorządu, o tyle dziwnym wydać się musi brak przenikliwości czy optymizm w traktowaniu sprawy włościańskiej. Już wtedy w kraju widniała postać ks. Stojałowskiego, a jakkolwiek początkowa akcya iego nie zapowiadała późniejszej rozstrojonej propagandy, to jednak baczność była wskazana. Tymczasem stronnictwo krakowskie nie przewidując, żeby w chłopie z wzrastającą oświatą ozwać się mogła żyłka polityczna, patrzało spokojnie na szastanie się agitatorów i na ich posiew kąkolu na niwie przez sejm nowemi ustawami szkolnemi uprawionej. Tak było spokojnie, że nie tylko przy wyborach z r. 1876 (str. 195), lecz i później uważało jak najmniejszą liczbę włościan w sejmie za niewątpliwy dowód ich zaufania do szlachty. Marszałek Ludwik hr. Wodzicki, otwierając nowy sejm w r. 1877, powiedział to samo, co przedtem wśród wyborów sejmowych Koźmian do *Gazety Polskiej* napisał: „Po długich latach podejrzeń i niechęci ufność włościan do więcej wykształconych warstw społeczeństwa jest zmianą szczęśliwą i od nas tylko teraz, od tego sejmu zależy ufność tę pomnożyć i utrwalić. Jeżeli Sejm, w którym włościanie wyrzekli się własnego głosu, będzie dbał troskliwie o ich dobro, umiejętniej opiekował się nimi, niżby oni sami zdołali, znikną bezpowrotnie te społeczne rozterki, które dotąd nas w tych razach ubezwładniają".

Sejm z r. 1877 i późniejsze sejmy postępowały tą drogą a jednak kurya włościańska za wpływem ruchu ludowego dziś jest niemal straconą dla tych „więcej wykształconych warstw społeczeństwa", dla których w r. 1876—7 według zapewnień Koźmiana i Wodzickiego, więc według mniemania stronnictwa krakowskiego, „włościanie dobrowolnie wyrzekli się własnego głosu". Jak wytłumaczyć tę fatalną pomyłkę, to przerachowanie się stronnictwa, które w głównej swojej myśli politycznej, w utorowaniu dzisiejszych stosunków Galicyi do państwa złożyło taki świetny dowód przenikliwości i szerokiego poglądu na sytuacyę? Chyba tylko w ten sposób, że z wielką inteligencyą polityczną, z wielkim rozumem nie łączyła się w tem stronnictwie wielka zręczność, ani nawet zdolność do działania. Sam Koźmian pośrednio przyznał to już przed 28 laty w liście do *Gazety Polskiej*

temi słowy (str. 86): „Do zalet panów Stańczyków dodać wypada i niemałe wady. Główną była ta, iż mając wiele rozumu, nie umieli nigdy obchodzić się z rozumem społeczeństwa, w którem żyją, może zgoła odnaleźć go nie mogli; dość, że zbyt rażąco, dobitnie i wyzywająco okazywali swoją wyższość, jeżeli już nie z zarozumiałością, to przecie z tą pewnością siebie, która odstręcza ludzi i mnoży nieprzyjaciół, szczególnie wśród rzeszy mierności. Zbyt czuć było w całem ich postępowaniu, w tem, co wygłaszali, lekceważenie jeżeli nie wszystkich, to wielu".

W czasie, kiedy Stańczycy w ten sposób postępowali, lwowskie pismo humorystyczne raz temi słowy apostrofowało pewnego lwowskiego introligatora, wysuwającego się w pierwsze szeregi tromtadratów: „Polityka, panie majster, to nie smoła i nie klajster!" A jednak praktyczne rezultaty wykazały, że biorąc sukces na miarę, polityka na gruncie galicyjskim bliższą była smoły i klajstru, aniżeli katedry uniwersyteckiej! Stańczycy *ex cathedra* rozwijali świetne programy reformy stosunków wiejskich, oparte na zaufaniu włościan do szlachty i ich wrzekomo dobrowolnem zrzekaniu się głosu, a tymczasem ludzie nieskończenie niżsi od nich inteligencyą polityczną i ogólną, ale za to wyposażeni energią i zdolnością do działania poszli pomiędzy lud z żywem słowem i — pobili mędrców! Trzeba to stwierdzić i uznać, bo od poznania popełnionych błędów zaczyna się naprawa i poprawa wszędzie, a więc i w polityce.

W rozdziale: „Ze szkoły stańczykowskiej" umieścił autor własne ustępy z *Teki Stańczyka* i niektóre artykuły później w jej duchu pisane. Nie potrzebujemy objaśniać historycznego znaczenia tych prac. Mają one jednak nadto i znaczenie aktualne. W porę przypomniał je autor, gdyż owe prądy i aspiracye, którym w swoim czasie *Teka Stańczyka* zwycięską walkę wypowiedziała, dziś właśnie, jak świadczy dzieło Scriptora o naszych stronnictwach skrajnych, głośniej się odzywają.

„Dwóch marszałków życiorysy" (Jana hr. Tarnowskiego i Ludwika hr. Wodzickiego) pisane są z prawdziwym pietyzmem dla tych dwóch mężów zasłużonych, z którymi autora łączyły oprócz przyjaźni także wspólna praca publiczna i publicystyczna w ciężkich czasach po r. 1863. Życiorys Ludwika hr. Wodzickiego jest więcej szczegółowo i staranniej opracowany, ale mimo to jako materyał do historyi kraju nie posłuży bez zastrzeżeń. Autor bowiem starał się działalność publiczną Ludwika hr. Wodzickiego tak przedstawić, jak gdyby ona do końca jego życia pozostawała na tej samej wyżynie, a nawet wzno-

siła się coraz wyżej. Tak jednak nie było. Ludwik hr. Wodzicki był takim świetnym posłem i marszałkiem, jak go Koźmian przedstawił, ale jako gubernator Laenderbanku nie mógł oddać krajowi takich usług, jakie oddać pragnął. Nie jego to wina, że okoliczności złożyły się inaczej, aniżeli sobie twórcy tego banku układali. Raczej żałować należy Ludwika hr. Wodzickiego, że jako gubernator banku znalazł się w położeniu arcyprzykrem, widząc niemożność ziszczenia tych niewątpliwie podniosłych planów i szlachetnych aspiracyi, z jakiemi szedł z marszałkowstwa na gubernatorstwo bankowe. Autor zadał sobie wiele pracy, aby szczegółowemi datami poprzeć twierdzenie, że Laenderbankowi, oczywiście za sprawą jego gubernatora, Galicya bardzo wiele zawdzięcza. Moglibyśmy mimo tych dat, albo nawet i z temi datami w odpowiedniem oświetleniu obronić powyższe twierdzenie nasze, ale powstałaby w ten sposób formalna rozprawa polemiczna. A czyż warto dziś jeszcze spierać się o historyę i znaczenie Laenderbanku dla Galicyi?

Szkoda, że autor nie napisał przytem życiorysu trzeciego marszałka, Zyblikiewicza. Wymagała tego niejako całość artykułu, bo Wodzicki—Zyblikiewicz—Tarnowski, to jeden zamknięty okres historyi kraju. Wodzicki był pomysłowym, pierwszy podniósł potrzebę założenia Banku Krajowego i biura melioracyjnego. Ale obu pomysłów nie zdołałby był przeprzeć w sejmie, bo do tego potrzebna była taka impetyczna, zapamiętała energia i siła woli, jaką posiadał Zyblikiewicz. Przeprowadził on nietylko te pomysły Wodzickiego, lecz nadto z własnej inicyatywy zainicyował wielką akcyę krajową około podniesienia przemysłu. Wszystko to dokonywało się w tak przyśpieszonem tempie, że po nadzwyczajnych wysiłkach prawie niezbędnym był dla kraju taki okres spokojnej równowagi, jaką Tarnowski w administracyę autonomiczną wprowadził. O Zyblikiewiczu jako prezydencie miasta Krakowa, pisał Koźmian wiele w listach do *Gazety Polskiej*, i tam właśnie naszkicował jego sylwetkę po mistrzowsku. To jednak nie wystarcza. Zyblikiewicz, jako marszałek, zasłużył na portret wykończony, na monografię skreśloną piórem najznakomitszego publicysty polskiego w Galicyi.

Dr. Bronisław Łoziński

Słowacki i nowa sztuka (modernizm). Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Studyum krytyczno-porównawcze. *Ignacy Matuszewski.* Warszawa. Kraków. 1902.

Temat ogromnie interesujący. Przytem bardzo „aktualny“, na czasie.

Z jednej strony Słowacki. Poeta ten nieraz wypowiadał w różny sposób to samo zdanie, które już w wieku szesnastym skrystalizowało się w owym znanym dwuwierszu Kochanowskiego:

A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Myśl, która się tak doskonale łączy z kolejami poetyckiej sławy Słowackiego. Za żywota nieuznany, lekceważony, wyszydzany, po śmierci znalazł zadośćuczynienie, wysunął się na czoło poezyi polskiej obok dawnego współzawodnika, którego przewyższyć daremnie usiłował. Młodzi poeci wzięli go sobie za wzór, i to jeszcze wtedy, kiedy o modernizmie naszym nie było słychać. W czasach ostatnich zaś wysunął się jeszcze bardziej. Najmłodsze pokolenie poetów, a poetów takiej miary, jak Wyspiański lub Kasprowicz, widzi w nim „swojego" poetę, „swojego" mistrza, widzi w nim nie tylko przewodnika w dziedzinie samej brylantowej formy poetyckiej, ale i w zakresie idei, w zakresie poglądu na świat, na nieskończoność. Za życia stawiany daleko niżej (trzema mistrzami poezyi polskiej byli dla Koźmiana Mickiewicz, Krasiński i Zaleski!), Słowacki dziś dla wielu jest większy od Mickiewicza. Nie wdając się w roztrząsanie pytania, czy to jest słuszne czy nie, w każdym razie należy fakt ten zanotować, bo to jest jeden z ważnych momentów literackich dzisiaj.

Z drugiej strony znowu „modernizm". Już zdaje się minął czas, w którym ten prąd musiał walczyć o swoje prawo do bytu. Dzisiaj, kiedy wydał on trzech takich poetów, jak Wyspiański, Kasprowicz i Żeromski, traktować go z wielkopańskiem pobłażaniem już nie można. Zaczynamy go spokojnie, naukowo badać. Nie mówię tu już o samych współtwórcach modernizmu, którzy zasady nowej sztuki rozszerzali, ale o historykach literatury, o krytykach „naukowych". Możemy już zanotować — mniejsza o to, czy się na sposób traktowania przedmiotu zgodzimy albo nie — takie np. próby, jak Chmielowskiego lub Porębowicza.

Widzimy więc, że niepośledni temat obrała sobie książka Matuszewskiego. Pokazać, w czem Słowacki podobny jest do modernizmu, o ile do niego należy, o ile jest jego poprzednikiem, to przecież rzecz, która ważną będzie zawsze, dzisiaj zaś do tego jeszcze i tak aktualną, tak żywo interesującą. Książka, która sobie takie postawiła zadanie, musi z natury przedmiotu swego być syntetyczną, musi obejmować całość, poruszać momenta najważniejsze i najistotniejsze. Takie książki niebezpiecznem są dla autorów przedsięwzięciem, ale gdy się udadzą,

czytelnik ma rozkosz prawdziwą. Książka Matuszewskiego musi nam dać charakterystykę, próbę przynajmniej wyjaśnienia, wytłumaczenia modernizmu; chcąc zaś pokazać związek Słowackiego z tym prądem, musi określić rodzaj twórczości poety. Proste zestawienie tych dwóch faktów, tych dwóch rzeczy, których określenie spodziewamy się w książce znaleźć, świadczy, z jakiem zajęciem do książki tej się zabieramy, jakie ona w nas budzi nadzieje. I cały dotychczasowy nasz wstęp, może trochę przydługi, dlatego jest, aby to tem silniej zaakcentować.

Ale Matuszewski nie jest „modernistą", choć go Chmielowski ciągle pasuje na rycerza krytyki „subjektywnej" w Polsce. Więc znowu tak bezwzględnym czcicielem modernizmu nie jest, od czasu do czasu usiłuje z tym lub owym poglądem polemizować (por. np. co mówi o indywidualizmie Nietzschego, str. 40), często spotykamy zastrzeżenia, zaczynające się od „swoją drogą" i t. p. Z drugiej zaś strony Matuszewski chce być modernistą, nie chce w tem być pośledniejszym od innych. Stąd pochodzi jego zapatrywanie się na „Króla-Ducha", zapatrywanie niedalekie od tego, które słyszałem raz z ust modernisty: dla „Króla-Ducha" tworzyć będą osobne katedry, jak niegdyś dla Dantego; zapatrywanie jednak, które, jak dotąd przynajmniej, nie bardzo zdaje się rozpowszechniać. Zdaje się też, że chęć „modernizowania" wywołała styl „Słowackiego i nowej sztuki". O takim przedmiocie warto pisać pięknie. Z krytyków nowszych, młodych, wielu pisze bardzo dobrze i pięknie. A zatem i książka, traktująca i o Słowackim i o modernizmie, powinna mieć odpowiednią szatę zewnętrzną. Stąd pochodzi druk książki, niby to oryginalny i „nowy", a na prawdę przypominający owe dzieła „nowożytnej" literatury, sprzedawane na dworcach kolejowych niemieckich. Stąd też i język książki. Matuszewski pisze wogóle sucho, boję się powiedzieć banalnie. Używa on zwykłych pospolitych wyrazów i ich kombinacyi. Jego książki dlatego w czytaniu robią takie wrażenie, jak rozmowa z człowiekiem, który mówi zawsze głosem jednakim, jednostajnym, który myśli nieraz mądre ubiera w szaty znoszone. Autor sam to czuje; od czasu do czasu chciałby się z tego otrząść i napisać coś niezwyklej. I wtedy pegaz utyka. Powstają takie naprzykład kwiatki:

„Są pisarze..., u których ‚myśl, lecąc z duszy prosto', nie łamie się w słowach, jak w pryzmacie, lecz koncentruje w nich, jak w soczewce, tworząc zwarty snop jasnych i ciepłych promieni" (str. 5).

„Autor ‚Króla-Ducha' jako artysta nie dał się wziąć życiu w niewolę, ale przeciwnie, opanował je, poskromił, skrępował wstęgami tęcz,

wysnutych z własnej wyobraźni, zakuł w girlandy słońc i komet stworzonych własną myślą, przystroił w purpurę własnej krwi“ i t. d. (str. 54).

„I na cel ostateczny sztuki zapatrywał się Słowacki podobnie, jak nowocześni artyści, którzy widzą w niej nie przyjemną igraszkę, nie moralizującą guwernantkę, lecz wieszczkę, rozświetlającą otchłanie absolutu, oraz mistyczny motor ewolucyi ducha“ (str. 62).

Tam — tam! podszeptuje złośliwa wieszczka.

Ale ostatecznie to rzeczy drobne; w formie, która nas może razić, mogą być rzeczy bardzo dobre i ciekawe. Cóż przynosi nam nowego, dobrego i ważnego książka, o której mówimy?

Przynosi dwie rzeczy: nowe określenie twórczości Słowackiego, oparte o wyniki, do których doszła dzisiejsza psychologia i estetyka, i pierwszą u nas poważną, mniej więcej całkowitą a rozumną charakterystykę modernizmu. W szczegółach może nieraz z autorem się nie zgodzimy; wytykać mu będziemy pewną połowiczną, wynikającą nie tyle z odmienności przekonań ile raczej z braku cywilnej odwagi literackiej; wiele szczegółów będzie objaśnionych nienależycie; w określeniu Słowackiego zauważymy jeden zasadniczy dosyć błąd. To wszystko prawda, ale to wszystko nie obniży wartości książki do tego stopnia, aby ta wartość nie była jeszcze bardzo znaczną.

Autor rzecz swoją w ten sposób rozłożył. We wstępie zastanowił się nad pytaniem: dlaczego Słowacki ani za życia ani później w szerokich masach narodu nie osiągnął tej popularności, co Mickiewicz, a dlaczego modernizm polski wziął go sobie za przewodnika i mistrza? Odpowiedź, dana od razu, mówi, że „przyczyn tego zjawiska należy szukać nie tylko w normalnem działaniu czasu, który prędzej czy później naprawia krzywdy wyrządzone geniuszom przez współczesnych i kasuje ich niesłuszne wyroki“, ale „do stałych warunków i sprężyn ewolucyi dołączyły się tym razem bodźce specyalne, a mianowicie: samoistny zwrot sztuki i estetyki nowoczesnej nie tylko u nas, lecz w całej Europie, ku ideałom, których większość znalazła wcielenie artystyczne w twórczości poetyckiej Słowackiego“. Otóż dowodzeniem tezy o wspólności, o jednakowości (do pewnego stopnia) Słowackiego i modernizmu zajmuje się autor w dziewięciu księgach swojego dzieła.

Ugrupowaniu materyału w tych dziewięciu księgach zrobił jeden z krytyków zarzut pewnej chaotyczności. Byłbym może innego zdania: ogólne, główne linie myśli idą bardzo logicznie i prosto, łamią się dopiero w szczegółach. Słowacki jest romantykiem. Więc punkt wyjścia

jest doskonały: w czem romantyzm i modernizm są do siebie podobne, w czem jest niejako tożsamość obu kierunków (wszak Porębowicz np. uważa modernizm wprost za dalszy ciąg romantyzmu); ale że czas przynosi rzeczy nowe, że epoka pozytywizmu nie mogła nie wywołać pewnych skutków, przeto modernizm w stosunku do romantyzmu będzie krokiem naprzód. Tu jest najważniejsza może myśl tej pierwszej księgi: dawna sztuka zajmuje się typami, romantyzm rozłożył typy na indywidua, modernizm indywidua na nastroje. Stąd rozwija się treść księgi drugiej: Istota i rola „nastroju"; w związku zaś z tą najwybitniejszą (według autora) cechą sztuki nowej, nastrojowością, pozostają i inne cechy modernizmu, jak suggestyjność i symbolizm i t. d. Słowem cała ta druga księga daje więcej, niż obiecuje napis, bo tu znajdujemy mniej więcej pełne (o ile to w tych rozmiarach możliwe) określenie sztuki „nowej" w przeciwieństwie do sztuki „starej". Do tej drugiej księgi należałoby może od razu dodać dziewiątą („Rzut oka na ewolucyę modernizmu"), która ją zaokrągla i uzupełnia, zwłaszcza przeglądem historycznym. Po analizie sztuki nowej następuje (Ks. III) „Analiza psychologiczno-estetyczna twórczości Słowackiego", w której — jeżeli się nie mylę po raz pierwszy w naszej nauce, przynajmniej na większe rozmiary — autor zastosowuje klasyfikacyę Ribota różnych typów wyobraźni twórczej, i charakteryzuje z tego punktu widzenia liryczno-rozlewną wyobraźnię Słowackiego. W dalszych znowu księgach znajdujemy kwestye szczegółowsze: Słowacki i Wagner (ks. 4), Słowacki i malarstwo nowoczesne (ks. 5), Stosunek formy do treści u Słowackiego (ks. 6), Związek mistycyzmu z symbolizmem w sztuce nowoczesnej i w poezyach Słowackiego (ks. 7), Indywidualizm, Słowacki i Nietzsche (ks. 8).

Widzimy więc, że plan ogólny jest i jasny i logiczny. W szczegółach jednakże jest pewna chaotyczność. Jest naprzód przeładowanie szczegółów barokowe, zamiast najkrótszego i najprostszego zdążania do celu. Jest dalej powtarzanie się — poszło ono stąd, że Matuszewski nie daje właściwie osobno wizerunku Słowackiego, osobno charakterystyki modernizmu a dopiero w końcu zestawienia, lecz to zestawienie odbywa się nieustannie przez całą książkę. Ostatecznie jak kto chce — i jedna i druga metoda jest dobrą, ale druga jest niebezpieczniejszą, bo koniecznie zmusza do powtarzania się; przez rozdrabnianie zaś na szczegóły obraz ogólny trochę się zaciera. I staje się przez to rzecz dziwna: książka mówiąca o tak interesujących tematach, nie jest przez swą formę interesująca, czyta się ją dosyć ciężko.

W szczegółowe streszczenia lub w drobiazgową analizę zapuszczać się nie sposób. Tyle w książce ciekawych momentów, tyle ważnych myśli, że trzeba ją samą przestudyować i to nie raz, a nie zadowolnić sprawozdaniem. Tu tylko tyle nadmienić trzeba, że jest to książka jedna z najbardziej pouczających, jakie się w ostatnich czasach u nas pojawiły. Myślę, że na tem przedewszystkiem polega wartość dzieła. Człowiek staje wobec nowego zjawiska, wobec nowego kierunku literatury i sztuki wogóle. Nie bije na niego, nie zamyka się też przed nim w okopach, ale jako *animal rationale*, stara się to nowe zjawisko poznać, zrozumieć, wytłumaczyć sobie a potem innym. Widzi kult dla Słowackiego i to dla tych jego dzieł, które przedtem pomijano: musi być jakaś przyczyna. Tę przyczynę stara się znaleźć i znajduje: to samo dążenie do sztuki syntetycznej u Słowackiego, co w modernizmie, ta sama przewaga nastrojowości, liryki, muzyki nad plastyką, ta sama wybujałość indywidualizmu i t. p. Te wszystkie fakta poddaje badaniu objektywnemu, spokojnemu, poważnemu, a rezultat z tego taki, że odsłaniają się nam rzeczy, które przedtem były przed nami zakryte, rozjaśniają, które przedtem były ciemne.

Na wiele rzeczy nieraz trudno się zgodzić. Więc naprzód na to, że autor widzi Słowackiego przedewszystkiem jako autora „Króla Ducha". Czy to jest stanowisko słuszne? Przed „Królem Duchem" Słowacki chyba dosyć innych rzeczy napisał. Prawda, że i w tamtych objawiają się te same cechy jego twórczości, widzi się, że to jest ten sam rodzaj, tworzony przez tego samego ducha. Ale pewne różnice, i to znaczne, muszą być, skoro tamte dzieła stały się już dawno popularnemi, a „Król Duch" jeszcze nie. Więc albo należało pracę rozszerzyć w znaczniejszej mierze i na inne dzieła, albo też w tytule zaznaczyć: Słowacki jako autor „Króla Ducha". Co do traktowania tego poematu przez Matuszewskiego, to tutaj książka budzi najmniej — jakby to powiedzieć — zaufania. Za dużo entuzyazmu gołosłownego. Nie jestem wcale przeciwnikiem entuzyazmu; jeżeli dzieło tego warte, to tem lepiej, że on u krytyka się znajdzie. Ale zważmy, że poemat ten dotąd mało był czytany, a jeszcze mniej o nim pisano. Niejasności było i jest bardzo dużo. Sądy o poemacie są jeszcze bardzo sprzeczne. W takich wypadkach krytyk naukowy, jeżeli się entuzyazmuje, ten entuzyazm powinien uzasadnić, i to nie wykrzyknikami uwielbienia, nie powoływaniem się na mało poważne powagi, ale — o ile to możliwe — dokładnem pokazaniem piękności utworu. Matuszewski w swej książce posunął ogromnie naprzód nasze zrozumienie „Króla Ducha" —

to należy przyznać i podkreślić, ale to są dopiero pierwsze kroki (pomijam tu rozprawę Żuławskiego); dopiero na tej podstawie będzie można budować dalej. A najlepiej tę budowę poprowadzi ten, kto na razie będzie wstrzemięźliwy w zachwytach.

„Istota i rola nastroju“: bardzo ciekawe i pouczające spostrzeżenia. Ale autor nie spostrzegł, że używa tego wyrazu w znaczeniu podwójnem. Zwykle rozumie się przez nastrój pewien stan duszy, wywołany pewnymi bodźcami w tym razie artystycznymi; ten lub ów poemat, obraz, rzeźba, symfonia, wywołuje w nas taki a taki nastrój. Autor omawianego dzieła mówi też prawie ciągle o takim nastroju. Ale od czasu do czasu wpada znaczenie inne, występujące najjaskrawiej w owym aforyzmie: romantyzm rozłożył typy na indywidua, modernizm indywidua na nastroje. Mamy tu albo logiczną nieprawidłowość, jeżeli nastrój rozumiemy w znaczeniu wyżej wskazanem, bo w takim razie nastrój nie może być cząstką składową indywiduum, tylko jego niejako czynnością lub stanem — albo też mamy drugie znaczenie nastroju, jako istotnej składowej części indywidualizmu. Zdaje mi się, że autor rozumie to drugie, bo w toku księgi drugiej nieraz spotykamy zdania i uwagi za tem świadczące. Ale takie pojmowanie nie zdaje się być trafnem. Oczywiście, że indywiduum tworzące musi być w pewnym nastroju, aby taki sam wywołać w czytelniku, ale to nie jest cząstka jego duszy, tylko czynność lub stan jej, to nie jest podmiot, tylko przedmiot.

Trudno się też zgodzić na to, aby nastrój, nastrojowość, były tak wybitną, może najwybitniejszą cechą modernizmu. Nie ma cech wybitnych, bo przecież od wieków dusza ludzka jest w zasadzie ta sama, i od wieków sztuka jest w zasadzie ta sama, działa tymi samymi właściwie sposobami. Tylko kombinacye tych właściwości i sposobów rozstrzygają o znamionach pewnego kierunku sztuki. Najwyraźniej widać to w romantyźmie, który jest tak złożonym procesem literackim, a wszystkie części tego złożenia, nawet te, które się uważa za jego „wybitne“ cechy, można odkryć w najrozmaitszych epokach. A jeżeli romantyzm ma swoje piętno, swój wyraz, to dzięki oryginalnej i jego własnej kombinacyi tych znamion. To samo jest i z modernizmem. Sam autor nieraz mówi o nastrojowości dramatów staroindyjskich. Twórczość nastrojowa zdarza się i u plastyków, naodwrót plastykę taką plastyczną, jak u plastyków najprawdziwszych, spotyka się u nastrojowych modernistów, że przypomnę tu Wyspiańskiego. Ale to są

już rzeczy sięgające do zapatrywań na istotę sztuki wogóle, więc tylko mimochodem.

Gdyby chcieć wdawać się w kwestye szczegółowe, to oczywiście dyskusya jest otwarta; przedmiot książki jest tak aktualny, tak zresztą jest opracowany, że materyału do dyskusyi nastręcza dużo. Tutaj przecież nie mamy do czynienia z historycznem pokazywaniem samych dat i faktów, którym zaprzeczać nie można, ale z omawianiem spraw, które są na prosekcyjnym stole krytyki (estetyki, filozofii) od czasów Arystotelesa, i tem się właśnie odznaczają, że ciągle można się o nie spierać.

St. Dobrzycki.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego wydawany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego,* przy współudziale Józefa Krzywickiego, według planu Filipa Sulimierskiego. Tom XV, część I. Warszawa. 1900—1902. (W 8-ce więk., str. 640).

W czternastu poprzednich tomach wiele cennych nagromadzono rzeczy i wiadomości pouczających, ale naturalnie, jak zwykle w takich wydawnictwach, nie mogło się obejść bez omyłek i opuszczeń; przeto szanowny wydawca postanowił dopełnić, sprostować to wszystko, i w ten sposób powstał tom piętnasty, dodatkowy, którego część pierwszą już mamy, zaczynając od litery A do Januszowa w powiecie kowieńskim.

W tych czternastu tomach, jak wiadomo, niektóre części kraju bardzo dobrze są opracowane, obfitują w wyczerpujące opisy i dokładne informacye; lecz tego nie można powiedzieć o innych znowu stronach, opisanych pobieżnie, z opuszczeniami wielkiemi i niedokładnościami. Powiat starokonstantynowski w gubernii wołyńskiej należał do najbardziej upośledzonych, a jednakże nie brak tam miejscowości historycznych, o których zapominać nie można; potrzebę tę odczuł sam szanowny „Słownika“ wydawca i postanowił to powetować w tomie XV. Życzenie nader słuszne, ale uczynić jemu zadość nie tak łatwo, bo statystyka i historya wołyńskiej gubernii w rządowych wydawnictwach nie jest bardzo obfita i trudno bardzo z niemi się spotkać; a z naszej strony nikt dotąd osobnych nie robił studyów i nasi historyografowie z małymi wyjątkami, pisząc o Wołyniu, nie dochodzili do powiatu starokonstantynowskiego, chociaż w ostatnich czasach przybyło nam źródeł historycznych, powiat ten uwzględniających (jak Archiwum Sławuckie, Katalog rękopisów w bibliotece Sławuckiej, Wydawnictwa

kijowskiego centralnego Archiwum, prace Jabłonowskiego, Bonieckiego i inne), ale dotąd nikt nie zapragnął literacki z tego zrobić użytek. Jest jedna nowa rosyjska p. Teodorowicza publikacya, tycząca się powiatu starokanstantynowskiego, wprawdzie z zupełnie innego względu rzecz traktująca, mająca inne cele, dotykająca przeszłości Wołynia, ale przedstawiająca fakty historyczne w oświetleniu właściwem autorowi, często z prawdziwą historyą nic wspólnego nie mającem [1].

Otóż współpracownicy „Słownika" korzystają z pracy p. Teodowicza, jednak nie zawsze należycie i oględnie, i z tego powodu są niedokładności i nawet błędy.

Prawda, idąc za Teodorowiczem, Słownik znacznie posunął wiedzę naszą o powiecie starokonstantynowskim, uczynił wiele dodatków, uzupełnień potrzebnych, lecz z drugiej znowu strony wcisnęły się tu rzeczy i informacye nieprawdziwe, braki, których pracą Teodorowicza niepodobna było uzupełnić. Ale nie tylko ten powiat wołyński, lecz także różne inne części kraju w tym tomie znacznie obszerniej opisane, bardziej wyczerpująco reprezentowane i mnóstwem nowych szczegółów wzbogacone.

Wołyniak.

Geschichte des allmäligen Verfalls der unirten ruthenischen Kirche im XVIII und XIX Jahrh. Von *Bischof Eduard Likowski,* mit Genehmigung des Verfassers ins Deutsche übertragen von *Apollinaris Tłoczyński,* Domvikar in Posen. Krakau, in 8-vo, 1903. I—XV + 304, II Bd VII+339.

Najczcigodniejszy ks. biskup Likowski wydał w Poznaniu 1880 r. swoje głośne i znakomite dzieło p. t. „Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku", a ks. Apolinary Tłoczyński, zmieniwszy nieco tytuł, przetłumaczył je i wydrukował w Krakowie w dwóch tomach.

Praca ks. biskupa Likowskiego już dawno wyczerpana i niema jej w handlu księgarskim.

Pomimo tego, że nam przybyło dużo nowych prac i statystycznych wskazówek w kwestyi dziejów Unii [2], dzieło jednakże ks. biskupa

[1] Cf. *Istoriko-Statističeskaje opisanie cerkvej i prichodov volynskaj eparchii, ujězd starokanstantinovskij.* Poczajów. 1899.

[2] Po wyjściu jej w świat zjawiło się niemało dzieł, traktujących o tej samej materyi; zacytujemy niektóre: „Pamiętniki Siemaszki". Petersburg 1883, — 3 tomy; „Pamiętniki Łużyńskiego", Kazań 1885; P. Bobrowskiego,

Likowskiego dotąd nie straciło swojej wartości i ważności (chociaż naturalnie niektóre jego twierdzenia powinnyby być teraz trochę zmodyfikowane) i należy się wdzięczność ks. Tłoczyńskiemu za przetłumaczenie, o którem słów kilka powiedzieć pragniemy.

Tłumaczenie jest znakomite; widocznie ks. Tłoczyński oba doskonale posiada języki; czyta się łatwo, z zajęciem i zainteresowaniem wielkiem.

Na wszelkie pochodzące od tłumacza uwagi i przypiski zgadzamy się zupełnie; tylko objaśnienie „kasztelan", str. 3, wydaje się nam niedostatecznem. Tłumacz powiada: *der polnische Titel Kasztelan hat eine andere Bedeutung, als im Deutschen; die Wojewodschaft war in Bezirke abgetheilt und an der Spitze eines Bezirkes stand ein Kastellan, dessen Würde ungefähr derjenigen des heutigen Regierungspräsidenten gleichkam.*

Przekręconych nazw znajdujemy wogóle nie tak bardzo wiele, ale są: np. str. 25, archimandrya około Połocka nazwana Hlobobryń (zapewne Borysohlebsk); potem następuje Uszatyń? (może to Uszacz); Berezew? (czy nie Berezwecz); Zakajce, to już widocznie mowa o zna-

---

Greko-uniatskaja cerkow pri Aleksandre I, Petersburg 1890 (i polemika z Kojałowiczem z powodu tej pracy: Krytyka jej przez M. Kojałowicza, odpowiedź Bobrowskiego w tymże roku); nadto tegoż Bobrowskiego: *Upraždnienie supraslskoj eparchii i wozstanowlenie wilenskoj mitp. eparchii*, Wilno 1890; *K biogarafii B. J. Sosnawskiego*, Wilno 1891; *Protiwodejstwie Bazilianskago ordena stremleniu biełago duchowenstwa k reformam uniatskoj cerkwi, Litewskie eparch. wiadomości* z r. 1888; jeden z tryumwirów brzeskiej kapituły, Antoni Sosnowski, także w *Lit. eparch. wiadomościach* z r. 1889; Strelbicki: „Unickie sinody od 1595—1839", w *Lit. ep. wiad.* z r. 1888; Szczerbicki: *Wileńskij sw. Troickij monastyr*, Wilno 1886; S. Pajewski: „O cerkwach brestskaj kapituły w połowie XVIII w.", Wilno 1887; N. Odincow: *Uniatskoje bogosłużenie w XVII i XVIII w.*, Wilno 1886; S. Runkiewicz: *Istoria minskoj archiepiskopii od 1793—1832*, Petersburg 1893; Pamiętnik ks. Micewicza, wydany przez ks. prałata Chotkowskiego, Poznań 1888; w kwestyi unii w Kongresówce: „Prześladowanie Unii w dyecezyi chełmskiej" przez ks. J. P. B., Lwów 1885; ks. E. Bańkowski: „Ruś Chełmska od czasu rozbioru Polski", Lwów 1887; do tego należą: „Listy Unitów wygnanych do orenburskiej gubernii", wydane staraniem ks. Chotkowskiego, Kraków 1893; ks. Adama Słotwińskiego: „Unia podlasko-chełmska", Czaca 1894; oprócz tego w t. zw. *Eparchialnych wiadomościach* kijowskich, wołyńskich, podolskich w ostatnich czasach, szczególnie około r. 1895. Dużo jest prac, artykułów, statystycznych dat, tyczących się Unii w tych stronach (np. o klasztorach bazyliańskich na Podolu, o stanie Unii w województwie Bracławskiem 1776—1782, o stanie Unii na Ukrainie przed upadkiem kraju) i t. d. i t. d.

nym klasztorze w Zahajcach na Wołyniu (str. 87); Zagorów — my to nazywamy Zahorów, także na Wołyniu w powiecie włodzimierskim. Klasztor ten za Siemaszki, jak wiadomo, służył za więzienie dla prawowiernych Unitów; tu np. Bogu ducha oddał O. Słobodzki, niegdyś opat kobryński, zamęczony przez Dziubińskiego, zausznika Siemaszki; wymieniona jakaś wcale nieznana Lubawa (str. 88) i jeszcze parę innych.

Usterek, że tak powiem historycznych, niewiele, ale się je spotyka; tak (str. 188) jest mowa o Kapucynach w Berdyczowie, a toć przecie wiadomo, że w tej Częstochowie ruskiej tylko Karmelici Bosi byli; na str. 132 czytamy: dekanat Nepel! O ile nam wiadomo (i Słow. geograf.) to takiej miejscowości na Białej Rusi wcale niema, lecz jest Lepel, teraz miasto powiatowe w witebskiej gubernii, i zapewne to o nim mowa; znajdzie się jeszcze jakich parę mniej znaczących usterek.

Ks. biskup Likowski dużo robi zarzutów OO. Bazylianom i ich działalności względem świeckiego kleru, że go nie wychowali, nie wyszkolili należycie, że nie podtrzymywali dla niego seminaryów i t. d. Zadanie zakonu św. Bazylego rzeczywiście było bardzo trudne w tym względzie: musieli pamiętać o potrzebach swego zakonu i jego rozwoju, a przytem nie zapominać o świeckiem duchowieństwie bez celibatu, często nie mającem wyższych ideałów, familią przykutem do potrzeb materyalnych; podwójna ta praca ogromna, niekiedy nad siły i środki była Bazylianów, którzy, nie dziw, nie mogli temu wszystkiemu podołać w należyty sposób.

Ale to nie ulega zaprzeczeniu (a wyjaśniają to, ilustrują świetnie takie pamiętniki Siemaszki, Łużyńskiego, dzieła Bobrowskiego i t. d.), że najgorliwszych i najwytrwalszych miała Unia zwolenników pomiędzy Bazylianami. I co było rzadkością pomiędzy klerem świeckim (taki np. ks. Micewicz), to w świecie i sferze bazyliańskiej stawało się niemal rzeczą zwyczajną — wytrwać do końca przy Unii.

Teraz zwrócimy uwagę na treść tego dzieła.

Pierwszy tom zamyka w sobie dzieje Unii w XVIII w. i po krótkich wstępnych objaśnieniach składa się z dziewięciu rozdziałów. I, 13—40, zawiera wiadomości o stosunku Piotra I do Unii w Polsce, a więc: krwawe gwałty w Połocku na Bazylianach spełnione, opieka cara nad schizmatykami polskimi, apostazya Cyryla Szumlańskiego, działalność Ignacego Rudakowskiego, Sylwestra Czetwertyńskiego i t. p. fakty opisane.

II, 40—65, poświęcony synodowi zamojskiemu, który przedstawiony doskonale, wyczerpująco.

III, 65—90, opowiada o władyctwie mohylowskiem, głównem ognisku schizmy w Polsce od r. 1727—1754; występują tu na scenę: Arseni Berla, Józef Wołczański, Kayserling, Gołębiowski, Hieronim Wołczański, zatargi Bazylianów z klerem świeckim.

IV, 91—135, mówi o stanie Unii od r. 1755—1768, t. j. o działalności Jura Koniskiego, jako episkopa mohylewskiego, o konfederacyi radomskiej, przebiegu sejmu nadzwyczajnego zaraz potem, charakterystyce owoczesnego episkopatu polskiego, szkodach Unii wyrządzonych przez Koniskiego.

V, 136—184, przedstawia prześladowanie Unii na Ukrainie i czyny władyków perejasławskich 1760—1783; mamy tu intrygi władyków z Perejasławia i ihumena głośnego Melchizedeka, bunt hajdamacki, więzienie w Berdyczowie, działalność metropolity Wołodkowicza, restytucya częściowa Unitom i zasługi Jazona Smogorzewskiego.

VI, 185—209, obejmuje Unię na Białej Rusi pomiędzy pierwszym i trzecim kraju rozbiorem, agitacye Koniskiego i postawę Smogorzewskiego wobec tych agitacyi, apostazye duchowieństwa i ludu, opłakany stan unickich dyecezyi aż do wstąpienia na arcybiskupstwo Herakliusza Lissowskiego.

VII, 210—283, zajmuje się działalnością Wiktora Sadkowskiego, archimandryty słuckiego i namiestnika metropolity kijowskiego, 1783—1796 r., opisuje ją bardzo szczegółowo z mnóstwem niezmiernie ciekawych i pouczających faktów i szczegółów.

VIII, 284—293, obejmuje ogólny pogląd na wewnętrzne niedostatki Kościoła unickiego: nizki stan oświaty duchowieństwa, szczególnie parafialnego, niedbałość biskupów ruskich i rządu polskiego względem Kościoła zjednoczonego, zaniedbanie kształcenia duchowieństwa świeckiego przez Bazylianów, zatargi pomiędzy zakonnikami i klerem świeckim.

IX, 294—304, podaje prawne i społeczne stanowisko Rusinów i ich duchowieństwa w Polsce: co sądzić należy o rzekomem upośledzeniu szlachty ruskiej w Rzeczypospolitej; rzeczywiste pokrzywdzenie episkopatu unickiego; poniżenie parafialnego duchowieństwa ruskiego.

W drugim tomie znajdujemy trzy rozdziały, w których opisana historya Unii w ciągu dalszym aż do r. 1875 i anneksa.

W I, 3—41, mowa o chwilowej w prześladowaniu przerwie za panowania Pawła I i Aleksandra I, 1796—1825; autor opowiada o stanie unickiego Kościoła za Pawła, o organizacyi t. zw. kolegium w Petersburgu z sekcyą dla Unii, o wskrzeszeniu godności metropolity,

o metropolitach Kochanowiczu i Bułhaku, charakteryzuje głośne w Wilnie seminaryum, i daje rys ówczesnych ruskich seminaryów, roztrząsa sprawę arcybiskupa połockiego Krassowskiego i jej następstwa.

II, 42—147, wypełnia ucisk Unii za Mikołaja I i gwałtowne jej zniesienie w dyecezyi wileńskiej, połockiej, brzeskiej i łuckiej. Plan wytępienia Unii poprzedza rewolucyę 1830 roku; Siemaszko jest autorem tego planu. Różne reformy i rozporządzenia ku temu dążyły, osłabiono zakon Bazylianów i zniweczono ich wpływ; dogmatycznie i etycznie podkopywano Unię; śmierć Bułhaka rozwiązuje ostatecznie ręce Siemaszce i jego satelitom, co prowadzi do katastrofy w 1839 r. Ale Siemaszko nie mógł wszystkich w swoje sieci oplątać; opór pewnej części duchowieństwa świeckiego, a szczególnie Bazylianów, postawa Europy zachodniej wobec tych gwałtów, wystąpienie metropolity lwowskiego Lewickiego sprzeciwiło się temu. Jest tu także poruszona kwestya Matki Makryny Mieczysławskiej. Autor twierdzi, że Siemaszko od r. 1838 trzykrotnie wzywał Bazylianki w Mińsku, na czele których miała stać Makryna Mieczysławska, ażeby porzuciły Unię i że w 1839 sam przybył do Mińska i gdy zakonnice opór stawiły, deportował je do Witebska do monasteru schizmatyckiego. Źródła nie są tu zacytowane, a skądinąd wiadomo (*Istoriczeskoje opisanie minskoj eparchii* przez archimandrytę Mikołaja, Petersburg 1864), że w Mińsku były dwa klasztory Bazylianek: św. Ducha, fundacyi metropolity Sielawy, skasowany w 1795 roku, i św. Trójcy, istniejący już w XVII wieku; ten zabrany został Bazyliankom 1834 roku, a wszystkie Bazylianki przeniesiono do Miadziolskiego, pokarmelickiego klasztoru wileńskiej gubernii, gdzie się one jeszcze czas jakiś trzymały. Sprawa ta dotąd nie wyjaśniona dostatecznie... Opowiadania Matki Makryny o prześladowaniu Unii są prawdziwe i nie mogą ulegnąć zaprzeczeniu, ale kwestya historyczna w tej sprawie potrzebuje jeszcze wyjaśnień i uzupełnień.

III, 148—285, mieści w sobie historyę Unii w dyecezyi chełmskiej od trzeciego rozbioru zaczynając: są tu opowiedziane rządy biskupa Ciechanowskiego, Szumborskiego, Taraszkiewicza, biskupa nominata Jana Kalińskiego, intruza Wójcickiego, biskupa Kuziemskiego i urzędowe Unii pogrzebanie za M. Popiela.

W anneksach wydrukowane: Kongregacya grecko-ruska dyecezyi lwowskiej odbyta we Lwowie 1694 roku, 285—290; relacya ks. Jana Oleszewskiego, superyora witebskiego, o zamordowaniu Bazylianów połockich, 290—303; plan wytępienia unii wypracowany przez Siemaszkę

a Mikołajowi przedłożony przez Szyszkowa, 303—325; ukaz cara Aleksandra II z d. 18 czerwca 1866, dotyczący się dotacyi probostw unickich i nominacyi dziekanów, 325—332; spis księży chełmskich wywiezionych do Rosyi i tych, którym się udało do Galicyi schronić, 332—339.

Szkoły, utrzymywane przez Bazylianów, nie były w tem dziele należycie uwzględnione.

Wołyniak.

Z piśmiennictw obcych.

Czego nas uczą dzieje sztuki? Przez *Karola Woermana.* Przekład *Jana Kasprowicza.* Z przedmową *prof. d-ra Jana Bołoz-Antoniewicza.* (Tom VIII i IX wydawnictwa „Wiedza i życie"). Lwów 1902. Str. 201.

Autor tej książeczki zamierzał w niej, jak sam pisze w przedmowie, „rzucić pomost między dawnymi a nowymi poglądami na sztukę": chciał on wykazać, jakie są „wewnętrzne przymioty sztuki wieczystej" (rozdział IV) i podać profanom pewne wskazówki oryentujące w zakresie malarstwa (o innych bowiem sztukach pięknych nic tutaj nie mówi). I tak stwierdza on najpierw, że dzieje sztuki udzielają nam nauk następujących: 1) „Przedwstępnym warunkiem każdej twórczości jest pewne mistrzowstwo w opanowaniu techniki i pewna doskonałość w pojmowaniu i przedstawianiu przedmiotu, który nam podaje duch i natura". 2) Dzieła sztuki prędko niszczeją, jeżeli artysta nie używa przysposobionego dobrze materyału i nie postępuje należycie przy tworzeniu. 3) Całkiem bezowocny jest spór, dotyczący pytania, której ze sztuk pięknych albo której gałęzi tej lub owej sztuki mamy przyznać pierwszeństwo. 4) Sprawiedliwym sędzią dzieł sztuki jest dopiero potomność, która najlepiej odróżnia prawdziwe, „klasyczne" arcydzieła od utworów mniejszej wartości. W dalszym ciągu zwraca się autor przeciw estetykom, którzy twierdzą, że „piękno jest tylko jedno", wskazuje na ogromne różnice, na przeciwieństwa, jakie istnieją pomiędzy największemi arcydziełami, między Fidyaszem a Duererem, między Janem van Eyck a Michałem Aniołem, między Leonardem da Vinci a Rubensem i t. d., poczem tak określa znamiona wszystkim mistrzom wspólne: „Oni zrośli się jak najściślej z duchem swego na-

rodu, tkwili najgłębszymi korzeniami w ziemi ojczystej, są więc twórcami narodowymi w całem słowa tego znaczeniu; — zarazem jednak byli przywódcami swych czasów, których zdobycze techniczne i pojęcia duchowe jako śmiali nowatorowie zużytkowali i wyrazili w swych dziełach; — przedewszystkiem zaś tkwili silnie nie tylko w swoim narodzie i czasie swoim, ale także w samych sobie, byli twórcami samodzielnymi z wyraźnem piętnem własnego życia duchowego. Wszyscy oni umieli naturze, będącej alfą i omegą ich sztuki, spojrzeć nie tylko w oczy ale i w duszę, nie potrzebowali i nie znosili żadnego innego pośrednika między sobą a naturą oprócz własnego sposobu pojmowania" (str. 39). Krócej wyraża autor główną myśl swoją w słowach: artysta prawdziwy patrzy na przyrodę własnemi oczyma, ale zarazem oczyma swego czasu i swego narodu (str. 106).

Otóż nie można, jak sądzę, odmówić wszelkiego uzasadnienia tym wnioskom, które autor wysnuwa z historyi malarstwa. Trzeba też przyznać, że jest on znawcą unikającym wszelkiej jednostronności, umiejącym ocenić najrozmaitsze rodzaje talentów i kierunków, które w różnych epokach i krajach zdobyły sobie uznanie. Kiedy np. wielu pisarzy najnowszych (jak u nas Witkiewicz a w Niemczech Muther w swojej 3-tomowej historyi malarstwa w wieku XIX) występuje przeciw tematom historycznym, uznaje Woerman uprawnienie tych tematów (w rozdziale 11), przestrzegając tylko przed błędami, które już nieraz w dziedzinie tej popełniono, w szczególności zaś zalicza słusznie do najwdzięczniejszych tematów sceny biblijne (str. 94). Czyż nie jest to jednak błędem oczywistym, kiedy autor twierdzi, że niema żadnej miary absolutnej do oceniania dzieł sztuki, że one wszystkie równą mają wartość, jeżeli tylko ich twórca był mistrzem oryginalnym, a zarazem pozostał synem swego narodu i czasu? Czyż mylą się ci, którzy stawiają wyżej Rafaela od Rubensa, Tycyana od Teniersa, Michała Anioła od całej plejady „geniuszów" modernistycznych? Prawda, że byłoby niedorzecznością, gdybyśmy jakiemuś artyście zrobili z tego zarzut, iż nie wznosi się na niedostępne dla niego wyżyny, że maluje „tylko" pejzaże zamiast wielkich obrazów religijnych, że niczem nie przypomina mistrzów XVI wieku i t. d., ale z drugiej strony czują to zapewne wszyscy miłośnicy piękna, nie wyjmując Woermana, że w samej istocie rzeczy tkwi jakaś skala, wyznaczająca wyższe i niższe stopnie wartości dziełom artystów ze względu na treść i formę każdego utworu, na rodzaj i siłę wyobraźni, której one zawdzięczają swoje powstanie. Nie można się dziwić, że sami artyści słuchają niechętnie o tej skali i że

bywają skłonni do przeceniania swojej specyalności, ale nigdy ogół wykształcony nie da w siebie wmówić, że powinien się w równym stopniu zachwycać Fidyaszem i Courbetem albo Israelsem (o których z takiem uwielbieniem rozpisuje się wspomniany już Muther). Niejeden patrzy własnemi oczyma i wiernie odbija charakter swojej epoki a przecież tworzy same rzeczy płaskie i odpychające wstrętnym naturalizmem.

A cóż powiedzieć o takich zdaniach Woermana, jak to, że Duerer i Holbein są „twórczymi świadkami wewnętrznej, głębokiej miłości prawdy w epoce reformacyi niemieckiej", Murillo zaś jest „płomiennym przedstawicielem odrodzonej, gorącej wiary papieskiej kontrreformacyi"? (str. 83). Dlaczego przydomek „świadków miłości prawdy" przyznany jest dwom mistrzom protestantom a odmówiony katolikom wierzącym? Więc autor sądzi, że geniusz Duerera mniej byłby zdziałał, gdyby był pozostał wraz z Rafaelem i tylu innymi w zgodzie z Kościołem?

Gdzieindziej znów (str. 86) twierdzi autor, że do rozwoju pejzażu w pierwszej połowie wieku XVII przyczyniła się filozofia panteistyczna: „Jeden i ten sam duch czasu w rozmaitych objawiał się kierunkach, a przyrodoznawstwo naukowe, panteizm filozoficzny i przeduchowione malarstwo pejzażowe to rodzeństwo, z jednego i tego samego pochodzące gniazda" (?!) Jest to dla mnie przynajmniej rzeczą całkiem niezrozumiałą, jak można dopatrywać się jakiegoś związku przyczynowego pomiędzy spekulacyą Spinozy a dziełami Ruisdael'a, Claude-Lorrain'a i innych.

Rozdział XV poświęcony „pierwiastkowi artystycznemu w sztuce", zawiera tylko niejasne ogólniki i cytaty z pism kilku artystów. Malarz powinien dopatrywać się w przyrodzie „czegoś czystszego, głębszego, wyższego", niż zwyczajny śmiertelnik, — to znaczy, że prawdziwa sztuka nie obejdzie się bez pewnego idealizowania natury; — bardzo dobrze, ale jak z tem pogodzić pochwały, oddane Courbetowi? (str. 129) Czy i ten pojmuje sztukę w sposób „szlachetny", „czysty" i wyższy ponad wszelkie zarzuty?

Jeszcze mniej może zadowolić rozdział, traktujący o „malarstwie niemieckiem w czasach co dopiero minionych", a wymieniający pobieżnie kilkanaście nazwisk z dodatkiem takich frazesów, jak np. że Lenbach, Angeli, Fryd. Aug. Kaulbach i inni „unieśmiertelnili dzięki swej sztuce niejednego z śmiertelników, których portretowali". Całkiem niespodziewanie znajdujemy tu wśród Niemców także nazwisko Munkacsy'ego (str. 151). W rozdziale XVIII uderzają przesadne pochwały, któremi autor obsypuje Uhde'go. Czytamy tu między innemi, że „nie-

miecki tylko malarz mógł malować i odczuć takie obrazy, jak „Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem“ w berlińskiej Galeryi narodowej i „Puśćcie do mnie dziateczki“ w Muzeum lipskiem“ (str. 159). A przecież i w samych Niemczech nie może zgodzić się większość miłośników sztuki z takiem pojmowaniem malarstwa religijnego, jakie napotykamy w dziełach Uhde'go. Dalej zaś popada Woerman w pewną sprzeczność ze samym sobą, kiedy zalicza do najznakomitszych twórców Maksa Liebermanna, chociaż przyznaje, że „typowej niemieckości trudno się dopatrzeć w jego malowidłach“ (str. 161). Jakże to pogodzić ze zdaniem, że każdy artysta prawdziwy patrzy na przyrodę oczyma własnego narodu? Za to czysto niemiecką ma być sztuka Boecklina, Hansa Thomy i Maksa Klingera; Franciszek zaś Stuck i Ludwik Hofmann nie przejęli się jeszcze należycie duszą swego ludu (str. 180). Zdaje mi się jednak, że żądanie to jest zbyt nieuchwytne i wymagałoby bliższych określeń. Wszakże i między Niemcami napotykamy takie różnice usposobień i tak różne ideały, że nie łatwo orzec, co najlepiej odpowiada duchowi całego narodu i nie łatwo zrozumieć, co znaczą słowa: „niemiecka czystość, głębia i ciepło uczucia“? (str. 183). Czy malarz innej narodowości nie jest zdolny do równie czystych i głębokich uczuć? W każdym razie wątpię bardzo, czy Stuck i inni najmłodsi wśród Niemców zechcą i potrafią z uwagi tej jakąś wyciągnąć korzyść.

Na końcu książki dodany jest list autora do prof. Antoniewicza. Z listu tego dowiadujemy się, że Niemcy posiadają obecnie dosyć liczny zastęp „mistrzów“ przejętych duchem „narodowym“, że „najwięcej niemieckim“ jest Franciszek Thoma (? ma być, zdaje się, Hans, bo o Franciszku dotąd nie czytałem), że Antoni (? Muther zna tylko Wilhelma) Leibl należy do największych (?) twórców nieśmiertelnych wieku XIX, że hrabia Kalkreuth jest także „przejęty duchem prawdziwie narodowo-niemieckim“, że szkoła schlierseeńska posiada w Karolu Haiderze „wysoki stopień niemieckim duchem owianej doskonałości“ i t. d. Czy też wielu znajdzie się znawców, którzy te zdania przyjmą bez zdziwienia?

Przekład p. Kasprowicza nie jest wolny od germanizmów i rażących błędów stylistycznych, które narzucają nawet pytanie, czy zawdzięczamy go rzeczywiście samemu poecie? I tak czytamy na str. 26: „Leighton za bardzo tkwi w świecie romańskim“ i t. d., na str. 31: „prowadzenie pendzla“; 36: „pytanie, z odpowiedzi na które spodziewamy się“ i t. d.; 48: „dukt linii“; 72: „ścisła szkoła“, „kawał rozwoju“; 81: „plainairyzm nie przeszkodzi żadnemu mistrzowi

w pozostaniu wiernym duszy swego narodu"; 89: „próbować, jeden po drugim"; 90: „policzkujący zadanie"; 94: „mający być przedstawiony"; 101: „rozbił się o powrót do naśladownictwa sytego (?) wydoskonalenia sztuki włoskiej"; 106; „na drogę twierdzenia"; 114: „zaprawdę (?) bardziej znany" i t. d.; 124 (por. 170 i inne): „czucie z naturą"; 141: „skutek patrzenia na zjawiska w zależności ich" i t. d.; 162: „czyste li kopie"; 165: „dążność w wyszukiwaniu"; 171: „najabstraktcyniejszym"; 174: „dążność, ażeby być", — „na drodze zostania"; 183: „dalecy jesteśmy od tego, ażeby sądzić, że" i t. d., „zamkniętą wielkość rysu ogólnego"; 195: „jako germańską trzeba nazwać" i t. p.

Ks. Aleksander Pechnik.

Zette (Histoire d'une petite fille). *Paul et Victor Margueritte.* Paris. Libr. Plon. 1903. (Str. 294).

Bratnia para autorów znana zwłaszcza ze swych opisów wojennych, ale — jak świadczą choćby same tytuły powieści — wkraczająca i na różne inne pola, próbuje od dwóch lat literackiej eksploatacyi dziecka. Nie można powiedzieć, aby praca była daremną, wyniki wszakże zostają daleko w tyle poza ślicznymi obrazkami dziecinnymi Anglików, a nawet i słynnego *Petit Bob* Gyp'a. W angielskich, nieprzeliczonych, o wiele więcej wdzięku, prostoty, swobodnej atmosfery rodzinnej; u Gyp'a więcej pogłębienia i myśli: jestto może jedyne *livre à thèse* dość lekkiej autorki. Wykazuje z odcieniem smutku, co życie paryskie robi z bardzo szlachetnego dziecka — może rodzicom wśród serdecznego śmiechu dać wskazówkę, czego przed dziećmi mówić, lub im pokazywać nie trzeba. Naprzeciw „Boba" postawili pp. Margueritte wizerunek swojego *Poum'a*, nakreślony w tym samym guście, ale z mniejszym talentem. Czytanie o tyle znów milsze, że Pouma nic nie psuje, że nie znać walki prądów, tylko spokojne słoneczne obrazki z życia chłopięcego. *Zette* — historya dziewczynki, może ma więcej zacięcia i cieniowania, ale jest, razem wziąwszy, niesmaczna. W dziecinie wziętej pod obserwacyę od chwili urodzenia autorowie zaznaczyli wszystkie rysy (przeważnie ujemne), które później znaleźć można w kobiecie takiej, jakie się zbyt często spotyka w romansach, ale jakoś rzadziej w życiu. A więc samowola kapryśna i nielogiczna, humory, niestałość, okrucieństwo w dokuczaniu słabszym a tchórzliwość wobec przemocy fizycznej, próżność bez granic, sporadyczne poświęcenie na ogólnym tle samolubstwa. Poum, który i tu występuje, wy-

daje się małym rycerzem wobec tej mało sympatycznej figurki. Wielkim błędem w obrazie jest całkowite pominięcie rzeczy, około której kręci się przez 10—12 lat życie dziewczynki lub chłopca: t. j. stosunku dziecka do nauki i nauczycieli. Gorszym, bo moralnym błędem jest brak uwidocznienia w dziecku i dokoła dziecka wszelkiej pracy etycznej. Zetta i Poum pod względem duchowym wyrastają na dziko; stary wuj w domu umiera, a rodzice dzieciom zasłaniają wszystko i śmierć i pogrzeb, dzieci zaś, które oczywiście widzą więcej, niżby chciano, zostawione są domysłom własnej wyobraźni... Czytelnik oczekuje niecierpliwie na 1-szą Komunię w nadziei wyższych a zwłaszcza głębszych wrażeń: w istocie znajduje je ale przelotne a raczej ich intencye, takie nieprzymierzając, jakiemi według francuskiego przysłowia „wybrukowane jest piekło".

Zetta nie umie z siebie wydobyć dość szlachetnego, serdecznego uczucia, aby — jak jej spowiednik przykazał — porządnie przed Komunią przeprosić starą swą nianię, murzynkę o złotem, poczciwem sercu, najmilszą postać w książce. Idąc do kościoła, gniewa się na nią, że się wystroiła jaskrawo, „radaby widzieć ją umarłą", potem w chwili żalu przyrzeka Panu Bogu, że za pokutę wyrzeknie się obiecanego wieczoru w teatrze, i znów po chwili żałuje obietnicy, a gdy jej każą powtórzyć formułę wyrzeczenia się „szatana i wszystkich spraw jego", wyjmuje w myśli z tych spraw ulubiony teatr. Ostatni rozdział ukazuje ją jako dorastającą panienkę anemiczną, znudzoną, pełną nieokreślonych marzeń i pragnień zupełnie poziomego rodzaju, bez jednej myśli wyższej, jednego szlachetniejszego porywu. Bez wątpienia, w poszczególnych ustępach książki dużo jest prawdy, dużo obserwacyi, lub może domyślności — szkoda tylko, że przedmiot nie wyzyskany, nie pogłębiony na dobry sposób; charakterystyka w wielu wypadkach wierna, ale bezcelowa.

T. Wodzicka.

Lettres de Mme Julie Lavergne, publiées par son fils, Joseph Lavergne. Paris. Taffin Lefort.

Przed kilkoma laty zdawaliśmy na tem miejscu sprawę z życia niewiasty mężnej, której wizerunek, wysnuty z jej zapisków i rodzinnych pamiątek pobożną ręką syna, robił po trochu wrażenie jednego z tych pięknych witraży kościelnych, których zatraconą tajemnicę odnalazł małżonek Julii Lavergne. Książka od razu zdobyła sobie niebywałe powodzenie. Rozrywano ją sobie, mnożyły się wydania, mno-

żyły i pochlebne sprawozdania. Słyszeliśmy o jednym z proboszczów paryskich, który nawykł każdej parze oblubieńców w swojej parafii, jako podarek ślubny, składać życie pani Lavergne. Książeczka przeszła za morze, w Ameryce znalazła czytelników, zacna Polka, pani Modrzejowska-Chłapowska obrała sobie za temat do publicznej konferencyi postać tej wyjątkowej kobiety, która strzegąc własnego ogniska, ideał rzymskiej matrony, hołdującej zasadzie i hasłu: *Domi mansit — lanam fecit*, podniosła jeszcze chrześcijańskim duszy polotem. Młodym Amerykankom, zarażonym mrzonkami nowoczesnego feminizmu, ideał ten nie bardzo trafiał do przekonania, bo za dni naszych, kobiety rwące się do czynności poza domem, coraz mniej rozumieją obowiązujące w domu powinności i zajęcia. Stąd pan Józef Lavergne powziął myśl przedłożenia raz więcej oczom świata niewieściego macierzyńską spuściznę, tym razem nie już opowiadaniem jej życia, lecz wprost ogłoszeniem jej korespondencyi, bardzo wdzięcznej i bardzo jędrnej zarazem, obraz duszy mężnej i duszy szlachetnej, pełnej zarazem i wielkiej wiary i ślicznej poezyi i głębokiej roztropności. A że stylistycznie są to listy bardzo powabne, że przypominają najlepsze wzory francuskiego języka, że przypominają nieraz wdziękiem barwne pióro autora Filotei, a swobodnem zacięciem innych mistrzów ginącej dziś sztuki listowania, to dopełnienie życia pani Lavergne jej korespondencyą jest cennym nabytkiem i dla domowych bibliotek i dla literatury powszechnej.

Już listy dziewczynki, później panienki dorastającej, zapowiadają przyszłą umysłu dojrzałość. Macierzyńskie listy do brata wojskowego pełne są dzielnych pobudek. Na trudne początki służby, krzepi go słowem serdecznem: „Licząc na najgorsze, czeka cię dziesięć ciężkich miesięcy. Czas to niedługi. Dobre czy złe lata nie mają nigdy więcej od dwunastu miesięcy, a i te rychło zatoną w wieczności. Utrzymuj fizyczne siły moralną krzepkością. Powiedz sobie, że c h c e s z, a wszystko potrafisz. Wraz z próbą przychodzi i siła. A zresztą rzeczy widome są tylko przesłoną niewidzialnych... Kara Adamowa nad wszystkimi z nas ciąży, trzeba nam w pocie czoła dobijać się chleba, a kto się z pod tego wyłamuje prawa, różnorodne ściąga na siebie klęski".

Nastrój książki się podnosi w miarę, jak przybywa odpowiedzialności życiowych. W macierzyństwie pani Lavergne upatruje rękojmię własnego zbawienia. „Nie dostanę się inaczej do nieba, jak na sposób tej matki Kleobisa i Bitona, którą synowie ciągnęli do świątyni. Nigdy też ich nie ma za wiele... Liczba tych dzieciątek Bożych mnie nie przestrasza. Ojciec niebieski dość posiada dostatków, aby swoją cze-

ladkę wyżywić, utrzymać na prawej drodze, a może i zaszczycić nas wyborem którego z dzieci naszych na wyłączną służbę swoją. Ufam, że wszystkie te dzieci wyrosną na uczciwych ludzi, czego za dni naszych potrzeba".

Dzielna ta dusza nie znała zwątpienia. Gdy raz córka jej, zakonnica, wspominała o swem życzeniu, aby młodo umrzeć, zgromiła ją za to matka; „Nie przypuszczałam w tobie podobnego tchórzostwa. Powinnaś raczej palić się do walki, do służby, do czynu, aby Bogu i ludziom w zakonie się wysługiwać. Stój więc mężnie, moje dziecko, krzątaj się z Martą, klękaj z Maryą".

Przez długie lata pani Lavergne nie miała poniekąd świadomości talentu przejawiającego się wyłącznie w korespondencyi rodzinnej. Rok klęski, *l'année terrible,* miał wprządz jej pióro w służbę ojczystą. Kilka jej listów, pisanych w czasie oblężenia Paryża, Ludwik Veuillot ogłosił w wydawanym naonczas w Wersalu *Universi*'e. Odtąd jęła dużo pisać i dużo też drukować, czyste, piękne, urocze obrazy wysnuwając z ojczystych dziejów, pomników, pamiątek. Nowelki jej i opowiadania urosły w dość bogatą spuściznę, nie przyćmiewając wdzięku poufnych zapisków i korespondencyi. Zwłaszcza gdy przyszły dni ciemniejsze, dni próby, z duszy jej trąconej bólem i miłością, dobywały się coraz podnioślejsze dźwięki. I tak np. listy pisane po utracie córek obfitują w słowa nadziemskiej pociechy dla dusz podobną, macierzyńską dotkniętych żałobą. I znów listy pisane do syna odsługującego lata przymusowej wojskowości, złożyły się w istny katechizm rycerski. Przedewszystkiem wskazuje ona, że ten czas, niby stracony dla ludzi, którzy nie robią karyery wojskowej, powinien stać się porą ukrzepienia nie tylko ciała lecz i samejże duszy, zaprawieniem w obowiązującej karności: „Miło będzie kiedyś znać rzemiosło wojskowe, gdy przyjdzie walczyć za dobrą sprawę". A kto wie? „Jeżeli wrócił się okres pielgrzymek, dodaje pani Lavergne, może i krucyaty powrócą".

Oparta na własnem doświadczeniu, nie radziła młodzieży zbyt wczesnego wkraczania na arenę publiczną, żądała dłuższego przygotowania nawet do służby dziennikarskiej, stawiając przed oczyma młodych zapaśników przykład Zbawiciela, który trzydzieści lat spędził w ciszy i pracy Nazaretu, zanim wyszedł na połów dusz i podbój świata.

Listy pani Lavergne nie mroczą się życia zachodem. Do końca pogodna i dzielna, w kłopotach materyalnych powtarzała, iż „sto lat melancholii nie upłaci ani szeląga długów". Liczyła na Opatrzność,

której mężnem zaufała sercem. „Skoro ostatecznie zawsze przyjdzie nam zrobić to, czego Bóg żąda, lepiej od razu i z góry z wolą się Jego pogodzić“.

Życie potoczne i powszednie prześwieca w tej korespondencyi, ale szarą onego przędzę przetykają wciąż złote nici głębszego uczucia i wyższego polotu. Opowiadają o jednym z francuskich myślicieli, iż dzieckiem bawiąc się z rówieśnikami na morskiem wybrzeżu, w niemym zachwycie w daleką zapatrzony falę, powtarzał: Tamci nie dojrzą tego, co ja widzę! Otóż pani Lavergne widzi więcej, patrzy dalej, czuje głębiej a przedewszystkiem, wedle rady poety, pije błękit duszą, „aż jej wszystko błękitnieje“. Ten odblask nieba w życiu dzielnej chrześcijanki, stanowi wyższe znaczenie potocznego listowania, składającego się w dwa tomy świeżo przez syna wydane.

M.

Die Weltsprachen des Altertums in ihrer geschichtlichen Stellung. *E. Schwyzer.* Berlin. Weidmannsche Buchhandlung. 1902.

Pierwszym językiem powszechnym, światowym był — o ile nam historya podaje — starobabiloński. Posługiwały się nim w dyplomacyi państwa wschodnie w połowie drugiego tysiąclecia przed Chrystusem, a zatem podówczas, kiedy ludy greckie i italskie dopiero zajmowały późniejsze swe siedziby. Z upadkiem monarchii babilońskiej utracił jej język dawne znaczenie, ale na jego miejsce nie wszedł żaden z języków wschodnich. Dawne stanowisko języka starobabilońskiego miał zająć dopiero język grecki κοινή, który pracą kilku wieków wytworzył się z licznych dyalektów a stał się uniwersalnym językiem dla całego Wschodu cywilizowanego, odkąd Macedonia, skupiwszy Greków, podbiła Wschód.

W tym samym czasie język łaciński wyszedł już poza granice Rzymu i stawał się językiem urzędowym podbijanych przez Rzymian krajów. W tym pochodzie zdobywczym wstrzymał go dopiero język grecki; Rzymianie podbili cały Wschód pod swoje panowanie, ale nie potrafili obalić znaczenia języka greckiego Ostatecznie rzeczy tak się ułożyły, że na Wschodzie używano w czynnościach urzędowych także języka greckiego, a na Zachodzie, gdzie tylko łacina była językiem urzędowym, wykształcenie wymagało znajomości greki. Istniały więc obok siebie dwa języki uniwersalne, ogólnie rozpowszechniane w całem imperyum, a nic dziwnego, że w tych warunkach inne narody pozo-

stające w obrębie wpływów cesarstwa, coraz więcej romanizowały się lub hellenizowały.

To dominujące stanowisko obu języków podkopał najpierw rozdział między językiem ludowym a literackim, a powtóre rozdarcie cesarstwa na wschodnie i na zachodnie. Odtąd na Zachodzie zanika znajomość greki, z łaciny ludowej wyłaniają się języki romańskie, język literacki pozostaje językiem urzędowym Kościoła, państwa, nauki przez całe średnie wieki i długo w nowożytnych. Na Wschodzie o wiele gorzej; język ludowy rozwija się w nowogrecki, ale tak on, jak i literacki, już na długo przed upadkiem Konstantynopola schodzą z dominującego stanowiska uniwersalnego języka, a przed nimi jeszcze łacina.

To treść pracy Schwyzera. Jej zasługą i wartością jest zestawienie najważniejszych momentów w historyi rozwoju języków światowych, narzucenie ogólnych konturów, które dokładniejszemi i bardziej szczegółowemi badaniami wypełnić pozostaje. Jak dotąd bowiem, gruntownego dzieła w tym zakresie niema.

M. B.

Die Wunderblume von Woxindon. Historischer Roman. *Joseph Spillmann S. I.* 2 t. V Aufl. Freiburg im Br. Herder. 1903.

Wolken und Sonnenschein. Novellen und Erzählungen. *Joseph Spillmann S. I.* 2 t. VI Aufl. Freiburg im Br. Herder. 1903.

Ein Opfer des Beichtgeheimnisses. Frei nach einer wahren Begebenheit erzählt. *Joseph Spillmann S. I.* VII Auflage. Freiburg im Br. Herder. 1903.

Aus fernen Landen. Eine Reihe illustrierter Erzählungen für die Jugend. *Joseph Spillmann S. I. — A. v. B. — Alfons Geyser S. I. — A. Huonder S. I. — Alexander Baumgartner S. I. — J. S.* 18 tomów. Freiburg im Br. Herder.

Autor, o którego dziełach mamy kilka słów skreślić, jest dzisiaj jednym z najbardziej wielostronnych i najpilniejszych katolickich pisarzy niemieckich. Zawodowo uprawia on powieść historyczną, której treść czerpie z zamiłowaniem z czasów prześladowań za Kościół i cnotę; zajmuje się i nowelą i daje nam obrazki, które krytyka pochlebnie przyjęła; pisze zajmujące powiastki dla młodzieży, które powoli zdobywają sobie przystęp do domów nietylko katolickich; w dziełach podróżniczych zaznajamia swoich czytelników ze wszystkiem, cokolwiek w świecie znaleźć można interesującego; nie pomija też i historyi. Czy taka wielostronność wychodzi autorowi na korzyść, o tem możnaby wątpić; faktem jest, że między jego utworami znajdują się takie, które

zasługują na wszelkie uznanie, i takie, które nie przekraczają miary zwyczajnej.

Najwybitniejszem dziełem Spillmanna jest powieść *Die Wunderblume von Woxindon*, opisująca tragedyę Maryi Stuart, fatalnie oddziałującą na losy możnego angielskiego rodu. O wartości jej świadczy choćby ta czysto zewnętrzna okoliczność, że w przeciągu kilku lat pojawiła się w piątem wydaniu i została przetłumaczoną na kilka języków. Jest to powieść historyczna w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Czasy, któremi się zajmuje, są autorowi dobrze znane; od wielu lat badał tę epokę, napisał nawet dwa dzieła historyczne, do których zaczerpnął treści właśnie z prześladowań angielskich. Dlatego powieść daje nam obraz wierny a trafny i artystyczny epoki; idee, dążności, duch czasu, walki, otoczenie, sposób przedstawienia, wszystko to dorzuca po cegiełce do wyrobienia jasnego pojęcia o tych groźnych latach. Wielką zasługą autora jest to, że utwór jest ściśle historyczny a główne zdarzenia przez historyę stwierdzone; większą jeszcze zasługą, wartość powieści podnoszącą, jest okoliczność, że to, co jest tylko owocem wyobraźni, że i to prawie logiczną koniecznością z samego tła wypływa i każe sądzić czytelnikowi, że ma przed sobą rzeczywiste zdarzenia. Dla tej też racyi nie możemy odmówić wartości nawet takim ustępom, którebyśmy potępili w powieści malującej życie współczesne. Mamy tu na myśli niektóre epizody romantyczne, sensacyjne, które jednak w duchu czasu leżały; jakkolwiek nieprawdopodobnie a może trochę naciągane brzmią one, faktem jest, że w tak niespokojnych czasach były na porządku dziennym a historya niejedno takie zdarzenie zapisuje; stąd też przyczyniają się i one do charakterystyki epoki [1]. Tło to historyczne uwydatnia się niemało w archaicznym języku autora. Ta okoliczność i druga jeszcze, że w całej powieści kronikarz sam zawsze opowiada, dodaje dziełu niesłychanie wiele uroku i przez stosowną illuzyę wprowadza czytelnika wprost w owe odległe czasy.

W to trafnie namalowane tło wstawia autor bogatą galeryę typów i charakterów. Niektóre z tych charakterów dała mu w drobnych nawet szczegółach historya; inne rozwinął logicznie z jakiegoś rysu, czynu lub słowa przechowanego o odpowiedniej osobistości w starych kroni-

[1] Nie znaczy to jednak, że wszystkie tego rodzaju ustępy są bez zarzutu. W niektórych, jak np. II, 121 sq. poszedł autor, zdaje się, trochę za daleko.

kach, inne jeszcze wyprowadził z dobrze i prawdziwie odczutego ducha czasu. Naszkicować te charaktery jest niepodobieństwem; rozwinąć je tu i wyliczyć prowadziłoby za daleko; wystarczy wskazać tylko np. na postać ministra Walsinghama, który głębokie wywołuje zainteresowanie się i mimo swych czynów pewne współczucie, lub na świetnie wykonane sceny, w których na przemian pojawiają się dwie królowe-rywalki, Marya i Elżbieta. Wielka rozmaitość sceneryi, krajobrazów, typów, osobistości, czynności trzyma uwagę czytelnika na uwięzi i budzi ciągłe zainteresowanie.

Dzieło posiada jednak nie tylko wybitną artystyczną wartość, celuje ono i swą wartością moralną. Autor nie moralizuje wprawdzie, ale za to sam przedmiot mówi za siebie, tyle zawiera on w sobie motywów pouczających, podnoszących, pocieszających. *Die Wunderblume* jest świetną lecz i przekonywującą, bo opartą na pierwszorzędnych a nietylko katolickich powagach, rehabilitacyą Maryi Stuart, jest wzruszającą epopeą prześladowań wiernych katolików a zarazem w czynach pojawiającą się apologią Kościoła, tem skuteczniejszą, że unika wszelkiego podrażnienia uczuć religijnych innowierców.

Skąd jednak pochodzi tytuł powieści? Kroniki opowiadają[1], że w Woxindon, starym szlacheckim dworze o trzy mile od Londynu odległym wyrosła w pierwszych dniach kwietnia 1586 r. na powale gipsem i wapnem pokrytej dziwna roślinka o pięciu gałązkach; na końcu każdej gałązki rozwinął się czerwony kwiat formy krzyża, a kiedy te kwiaty zwiędły, pozostało na ich miejscu pięć krwawych jagód. Dzieje tego cudownego kwiatu łączą się ściśle z dziejami starej szlacheckiej rodziny, która dla swego stosunku do Maryi Stuart a jeszcze więcej dla swej wiary i stałości w niej cierpiała więzienie, wygnanie i śmierć. Nie można zaprzeczyć, że pomysł zużytkowania tego motywu był na prawdę szczęśliwym, ponieważ całe tło pewną tajemniczością osłonił.

Streszczając nasz sąd o powyższej powieści, musimy stwierdzić, że cechuje ją trafne pojęcie i przedstawienie epoki, treść kształcąca umysł i serce, rozmaitość i wierność charakterów a nadewszystko pojedynczy lecz zajmujący i żywy sposób przedstawienia, co wszystko sprawia, że, jak się wyraziła krytyka niemiecka, „wartość książki pozostanie trwałą".

Niewiele niżej stoi tegoż autora dwutomowy zbiór nowel *Wolken und Sonnenschein,* drukowany obecnie po raz szósty. Nie pisalibyśmy

[1] F. William Weston: *The Life.* Ed. by J. Morris. Ser. II, p. 187 sq.

się wprawdzie na zdanie krytyki niemieckiej, że te „nowele i opowiadania należą bezsprzecznie do najlepszych, na tem polu stworzonych rzeczy“ [1], nie możemy im jednak odmówić wysokiego znaczenia. I tutaj czerpie autor raz po raz treść do swych nowel z czasów angielskiego prześladowania, które w silnych, do głębi przejmujących obrazach, przedstawia. Przedmiot działa nietylko na umysł, ale silniej jeszcze na serce i uczucia religijne. Siła wiary i przekonania religijne, pogardzenie dobrami ziemskiemi z miłości ku Kościołowi, głęboka pobożność i niezłomna cnota, to charakterystyczne rysy prawie wszystkich osób występujących w tych nowelach. Szczególniejszą uwagę zwraca na siebie ten sam przymiot, któryśmy zauważyli w poprzedniej powieści: doskonałość przedstawienia i wierna charakterystyka osób i czasu, objawiająca się między innemi tem, że i tu wprowadza autor często naiwnie i rzewnie opowiadającego kronikarza. Nie można pozostać obojętnym przy czytaniu tych pełnych fantazyi i uczucia obrazków, jakiemi są np. *Grossvater und Enkel* albo *Der Judenknabe von Prag*, nie można również powstrzymać śmiechu, czytając nowelę *Der lange Philipp* lub *Der Narren-Peter*. I ta zmiana uczuć i ich rozmaitość pomnaża urok tego zbiorku, odznaczającego się jak i inne Herderowskie wydawnictwa, wytwornością zewnętrznej formy.

Ein Opfer des Beichtgeheimnisses różni się niemało od poprzedzających a ta różnica wypada pozornie na niekorzyść utworu. Pozornie tylko, dzieło ma bowiem na oku cel dydaktyczny i jest w całem tego słowa znaczeniu popularnem, stąd też własności jego są różne od własności utworów poprzednich. Dużo aż za fałszywych rzeczy pisano ostatniemi czasy o spowiedzi a szczególniej o sekrecie, jaki ona nakłada, było więc zupełnie na czasie, że pióro wytrawnego teologa w formie opowiadania tej kwestyi dotknęło. Fakt sam jest historyczny. Kilkanaście zaledwie lat temu został pewien kapłan we Francyi oskarżony o morderstwo i wywieziony do Nowej Kaledonii; tajemnica spowiedzi wiązała mu usta i nie pozwoliła na wypowiedzenie uwalniającego wyjaśnienia. Spillmann, nie podając, rozumie się, nazwiska heroicznego kapłana, rozważa kwestyę z rozmaitych punktów widzenia i tym sposobem oświetla sam sekret dostatecznie. Do tego dydaktycznego celu dąży jednak drogą sztuki i daje nam obraz pojedynczy, ale mocno do serca przemawiający. Brak tu tej siły wyobraźni, jaka cechuje inne jego dzieła, tego bowiem nie dopuszczał ani cel ani tem więcej

[1] *Verzeichniss von Jugend- und Volksschriften.* Breslau 1901, zeszyt 3.

rzecz sama; za to rozwój akcyi i charakterów tak głównych jak i ubocznych postaci nie wiele pozostawia do życzenia. Opisy krajów i ludów są wcale udatne, a do zenitu dochodzi opowiadanie w przedstawieniu rozprawy sądowej i podróży do miejsca wygnania.

Zarzucono kiedyś temu utworowi, że sekret spowiedzi bierze za ostro i że bohaterski kapłan nie był tak ofiarą spowiedzi, jak raczej ofiarą nieznajomości teologii. O tem zapatrywaniu możnaby dysputować; zdaje się, że autor na prawdę poszedł za daleko, a jednak ostatecznie rozwiązanie jest psychologicznie prawdziwem. Oskarżenie przyszło na niewinnego zupełnie niespodzianie, stąd też usposobienie jego osobiste nie było normalne i tym sposobem, powodując się swem sumieniem delikatnem, widział tam zdradę tajemnicy, gdzie tej zdrady nie było. W każdym razie opowiadanie niejedno uprzedzenie rozwieje, niejeden sąd błędny sprostuje.

Na zakończenie powiedzmy jeszcze parę słów o seryi liczącej ośmnaście tomików a zatytułowanej ogólnie *Aus fernen Landen.* Serya ta zawiera drobne powiastki dla młodzieży, drukowane jako dodatki do katolickich Misyi niemieckich. Nie wszystkie powiastki wyszły z pod pióra Spillmanna, na wszystkich jednak wycisnął on swe znamię. Że utwory te posiadają wartość, o tem świadczy okoliczność, że doczekały się kilku wydań, niektóre nawet siedmiu, i że je przetłumaczono na języki: angielski i hiszpański. Nic tak nie więzi wyobraźni dziecka, jak opisy obcych krajów, narodów i zwyczajów; dlatego też literatura podróżnicza liczy tylu zwolenników między młodzieżą. Ma jednak to zjawisko swoją słabą stronę: za wielki zbyt często i niezdrowy wpływ na wyobraźnię, skutkiem czego następstwa takiej lektury są wcale smutne. Spillmann uniknął tego szkopułu. Prowadzi on duszę dziecka do wszystkich krajów, do Maurów Afryki i Indyan Ameryki, do Chin, Japonii, Indyi, do Huronów, Azteków i Maorinegrów. Przez pełne pulsującego życia przedstawienie i zmianę różnorodną sceneryi powstrzymuje uwagę; to maluje szaloną burzę na Oceanie, to dzikie walki obcych szczepów, rewolucyę negrów na Haiti, prześladowanie za wiarę, lub w głębi Kaukazu dwoje dzieci, przez uwięzionego a szlachetnego polskiego jeńca do Kościoła nawróconych. Wszędzie zaś pojawia się kojąco i uśmierzająco duch chrześcijański, wcielając się w gorącą miłość Boga i w praktykę najszlachetniejszych cnót. I w tem leży wartość zbiorku. Działa on na wyobraźnię, ale nie za silnie, tak iż jej szkodzić nie może, gdyż zarazem kształci umysł i uszlachetnia

serce, łącząc piękne z użytecznem. Że Spillmann dobrze rozumie i zna serce i umysł dziecięcy, o tem świadczy fakt, że na pierwszy plan wysuwają się w tych powiastkach charaktery dziecięce; powiastka zyskuje tym sposobem dla młodego czytelnika na aktualności, wskazuje mu na przykładzie żyjącym sposób postępowania i wywołuje w młodem sercu gorącą miłość wiary i głębokie współczucie dla tych, którzy jeszcze w nocy pogaństwa smutne swe dni pędzą. Tak więc mamy w *Aus fernen Landen* lekturę w dobrem tego słowa znaczeniu popularną, zajmującą i kształcącą młodociany umysł.

Ks. W. W.

Heinrich von Kleist. *Dr. Franz Servaes.* Leipzig. E. A. Seemann. (Dichter und Darsteller IX). (Str. 160).

W niedługim, co prawda szeregu monografii o Kleiście, największym poecie dramatycznym niemieckiego romantyzmu, pracy Servaesa bezsprzecznie należy się pierwszeństwo. Ta ostatnia z książek o Kleiście zawiera nietylko doskonałe przedstawienie smutnych zewnętrznych losów poety i rozbiór jego dzieł, lecz prowadzi czytelnika w głąb duszy nieszczęśliwego romantyka. Tak np. cytując listy Kleista do siostry Ulryki, lub narzeczonej, Wilhelminy Zeuge, autor pokazuje nam poetę zrozpaczonego po przestudyowaniu krytycznej filozofii Kanta, a jeszcze bardziej wzruszającą jest jego niedola, gdy wspaniały plan dramatu o Robercie Guiskardzie rozbija się o poetycką niemoc: „Niebo odmawia mi największego dobra: sławy, a ja jak swawolny chłopak, rzucam precz wszystkie inne". Wtedy to zrodziło się u niego pragnienie śmierci, którą, jak wiadomo, sam sobie zadał. Trafnem jest w książce wytłumaczenie, czemu Goethe tak wyraźnie nie lubił Kleista: oto zdaniem p. Servaesa nienawidził on w nim nowego Wertera, tego Wertera, którego sam niegdyś na świat wydał, lecz od czasów dokonanej we Włoszech zmiany nienawidził. — Obrazków jest w książce dużo; kilka niepotrzebnych, np. widoki miast, gdzie poeta przebywał, ale są i liczne bardzo cenne a przedewszystkiem odbitka niedawno przez dr. Lothara odnalezionego portretu Kleista.

J. Flach.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Wydawnictwo T-wa „Polska Sztuka Stosowana“: **Materyały**, nr. 2. Kraków. Nakładem T-wa. (4-ka mała, kart nlb. z rycinami 7, str. nlb. 1).

Młode to, nie rokujące rozgłośnej reklamy Towarzystwo, którego działalność oceniona została w zeszycie lipcowym *Przeglądu*, wystąpiło oto znowu z przepięknym plonem swej niestrudzonej pracy. Sądzę, że o wiele więcej prawdziwego pożytku osiągnie się z tego rodzaju wydawnictw, aniżeli z licznych dyskusyi, jakie gęsto prowadzi się na temat sztuki stosowanej. Przeważna część dysputujących ma bardzo niewielkie wyobrażenie o wzorach, które mogłyby posłużyć do wprowadzenia sprawy w praktycznem zastosowaniu na właściwą drogę. Z drugiej strony znowu — szeroki ogół, o którego uszy obijają się ciągle echa rozpraw rzeczonych, nie ma już najmniejszego pojęcia o rzeczy samej, ani o doniosłości sprawy narodowego renesansu w przemyśle artystycznym. Dać zarówno jednym jak i drugim możność zapoznania się z dokumentami niejako świadczącymi o rzetelnej wartości zdobnictwa ludowego w najszerszem tego słowa znaczeniu, a zatem i dyskusyę oprzeć na czemś trwałem, to nie tylko jest obowiązkiem, ale niemałą zasługą Towarzystwa P. S. S.

Co ważniejsze i co zwiększa tę zasługę — to fakt, o którym można się dowodnie przekonać z omawianego wydawnictwa, że służyć może ono i wyżej podanemu założeniu, nie w mniejszym jednak stopniu staje się nieocenionym materyałem dla badań etnograficznych, dla badań wreszcie nad historyą sztuki. Mamy więc tu okaz słupów podniesionych, dwa okazy bram drewnianych, nabijanych kołkami, oraz pazdur w zakończeniu szczytowem wiejskiego dworu. Z wyjątkiem pierwszego — reszta przyczynia się do zakreślenia granicy, w jakiej rozwijały się te szczegóły zdobnictwa ludowego właściwe tak wybitnie w Zakopiańszczyźnie. Wszystkie te okazy pochodzą z Królestwa Polskiego. Z pomiędzy okazów przemysłu ludowego mamy tutaj dwa łyżniki ze zbiorów Tow. tatrzańskiego, oraz siekierkę, czerpak do żętycy i uszka do czerpaków z Beskidu na Śląsku austryackim, wreszcie przecudny wzór ornamentyki chłopskiej na skrzyni. Materyał ludowy dopełniają dwa okazy wycinanek, które niedawno słusznie przypomniał etnografom p. Jerzy Warchałowski, dzielny sekretarz Tow. P. S. S.

Rozważając wzory zawarte w sztuce ludowej, musi się przyznać, że istotnie ma ona w sobie wiele takich momentów, które zmodyfikowane lub przerobione dałyby trwałą podstawę stylowi oryginalnemu — polskiemu. Naturalnie, na reformę taką trzeba czekać długo, bardzo długo, bo „nie odrazu Kraków zbudowano“. Można odmawiać temu lub innemu szczegółowi samodzielności, ale już trzeba być aż nadto upartym, ażeby kiwać ręką z lekceważącym uśmiechem na twarzy nad znaczeniem, jakie ma nasza ludowa sztuka dla przemysłu artystycznego, bo sama już ta garść wzorów mówi co innego.

Kończę życzeniem szczęścia Towarzystwu w dalszej owocnej pracy

Zwracam przytem uwagę na znane mi zbiory prywatne p. S. Udzieli w Podgórzu, który z dziwnem zaparciem się siebie, z niestrudzoną energią i zrozumieniem rzeczy zgromadził istne skarby z różnych działów sztuki ludowej. Możeby wreszcie po tylu latach pracy uznała jaka instytucya ważność sprawy i zajęła się ich opublikowaniem. Przedewszystkiem stosuję te słowa do Muzeum im. Dzieduszyckich i Kraj. Komisyi przemysłowej. Może te słowa bodaj w części znajdą życzliwy posłuch?

Dr. Z.

Huculszczyzna. Napisał *Szuchiewicz Włodzimierz.* (Muzeum im. Dzieduszyckich, tom VI—VII). Lwów. 1902. Nakładem i staraniem Muzeum im. Dzieduszyckich. Tom I, str. IX, 373, kt. nl. 1; tom II, kt. nl. 3, str. 277, kt. nl. 1; z licznemi rycinami, tablicami chromolitograficznemi i mapą.

Pomimo dość licznych stosunkowo u nas prac o Hucułach, nie mieliśmy dotąd, nie powiem już, wyczerpujących o tym górskim ludzie wiadomości, ale nawet nie wiedzieliśmy o nim niczego dokładnie. Znajomość rzeczy huculskich, tak bardzo potrzebną każdemu badaczowi Zakopiańszczyzny i Podhala wogóle, gdyż mają one wiele wspólnego z życiem naszych górali, ułatwił znakomicie p. Szuchiewicz w pracy omawianej. Dzieło to wszechstronnie rozświetlające wszystkie kwestye, mające związek z Huculszczyzną, wyszło przedtem w wydaniu ruskiem. Myliłby się, ktoby sądził, iż polskie wydanie było wobec tego zbędne, gdyż zawiera znacznie więcej od tamtego, zwłaszcza w dziale tak ważnego przemysłu domowego Hucułów. Ponadto przyniosło ono o wiele więcej rycin, które, jak wiadomo, nieporównanie lepiej objaśniają przedmiot, niż wszelkie najdokładniejsze opisy. W ogólności trzeba z góry zaznaczyć, że co się tyczy sumienności w zebraniu materyału etnograficznego i opracowaniu tego surowca, nie mamy nic ponad wszelkie uznanie. Dość będzie, jeśli na pochwałę dzieła p. Szuchiewicza powiem, iż literatura nasza etnograficzna ma bardzo mało prac, dorównywujących jemu pod każdym względem.

Niepodobieństwem byłoby podawać treść dokładną „Huculszczyzny", a nawet nie miałoby to celu. Widząc poza samym dokładnym opisem etnograficznym jeszcze coś innego, co uważam za ważniejsze przynajmniej dla naszej etnografii, pozwolę sobie zwrócić uwagę na zawarty tu materyał porównawczy, tak przydatny dla oceny kultury górali polskich. Co prawda — nie można wysnuwać z licznych podobieństw, jakie są między Podhalanami a Hucułami, dziś przynajmniej, jakichkolwiek wniosków, zmierzających do wyjaśnienia tego objawu. Trudno przecież materyał ten porównawczy pominąć milczeniem.

Już samo pochodzenie Hucułów dało pohop do przeróżnych przypuszczeń, zresztą zupełnie gołosłownych, w tym kierunku bowiem jedynie antropologia powołana jest do wydania stanowczego sądu. Jak ongiś o całej Zakopiańszczyźnie kursowały bajki o pochodzeniu jej tatarskiem, tak też i o Hucułach prawiono wiele niedorzeczności. Tymczasem okazało się, że zarówno górale polscy, jak niemniej ruscy, są rdzennie słowiańskiemi plemionami, zapożyczki zaś obojęzykowe dostały się do gwary ludowej drogą zupełnie naturalną. Siła plemienna Hucułów

jest wielka, skoro zdołali się utrzymać na pograniczu rumuńsko-węgierskiem, podobnie jak górale w Zakopiańszczyźnie na pograniczu słowacko-ruśniackiem. Pomimo odmiennego typu antropologicznego, obydwa te plemiona odznaczają się silną i piękną budową ciała, energią oraz swobodą w postawie i ruchach. To też osłaniają piękne ciało pięknym, wymyślnym ubiorem. Ale już tu zachodzi ogromna różnica kulturalna pomiędzy góralami zakopiańskimi a Huculami, która wykazuje niższość tych ostatnich. U Hucułów bowiem dbałość o ozdobne przedmioty w ogólności jest bardzo powierzchowna i pochodzi nie tyle z pewnej dozy poczucia estetycznego, ile z próżności. Również i w tem okazuje się ogromna niższość kulturalna Hucułów, że nie dbają wcale o czystość ciała: kąpią się bardzo rzadko, czeszą się raz w tygodniu, izby zaś myją trzy razy na rok, słowem — krzewią niechlujstwo w najwyższym stopniu, czyli stanowią najzupełniejszą antytezę zakopiańskich górali w tym kierunku. Mają jednak, jak ci, nader ambitną naturę, wrażliwą na wszelakie krzywdy i zniewagi, wywołującą o byle jaką błahostkę kłótnie, bójki, zabójstwa nawet, mają też inne pojęcie o uczciwości zbójnickiej. Niższa kultura umysłowa Hucułów sprawiła niesłychane ubóstwo pieśniowych melodyi, jeszcze większe od zakopiańskich. A jeśli w czem muzyka obu tych plemion jest podobna do siebie, to jedynie w jednostajności swej nużącej. Do cech wspólnych należy jeszcze ogromna luźność płciowa, jak jest i u Hucułów i u górali naszych, luźność jednak wcale nie większa od tej, jaką widzimy wśród sfer wyższych od ludu. Wydawać się ona może większą dlatego, że jest jawna podczas gdy tam ukrywa się ją najstaranniej. Przyszłość Huculszczyzny jest mocno zagrożona, nie taka jak naszych Podhalan, a to dlatego, że Hucuł daje się wyzyskiwać na każdym kroku, a nadto nie może pogodzić się z kulturą, szerzoną przez szkoły, koleje żelazne i t. p. czynniki. Smutny horoskop całej Huculszczyźnie postawił sam p. Szuchiewicz w słowach; „Ten Hucuł, dla którego koń i strzelba były do niedawna nieodstępnymi towarzyszami, ten Hucuł, który dźwiękiem trembity wita na połoninie wschodzące słońce i żegna nią towarzysza, złożonego do grobu, stanie się rychło mityczną postacią!“ Smutna to przepowiednia, ale bardzo prawdopodobna.

Z przykrością przychodzi mi pod koniec zauważyć, iż dzieło omawiane zawiera cały legion rusycyzmów i błędów językowych. Dla przykładu przytoczę kilka: I, 244: „marzyna“, I, 253: „podpuszczka“, I, 37: „znachodzimy“ (znajdujemy), II, 1: „narodzenie“ zam. „narodziny“, II, 6: „warczykowato“, II, 10: „pluwało“ (pluło), II. 45: „ażeby mąż ją nie uderzył“, II, 45, „starszować“, II, 98: „nie pretenduje na wierność“ (zam. „do wierności“, choć i sam czasownik jest już dziwolągiem), II, 98: „przykrasa“, II, 98: „sopiałkowy“ (od *sopiuka)*, i t. d. i t. d.

Dr. Z.

Juliusz Słowacki, odczyt wygłoszony na zjeździe „Ogniwa“ dnia 5 kwietnia 1903 r. *Dr. Kazimierz Jarecki.* Lwów 1903. Nakładem autora. (8-ka mała, str. 20).

Broszurka ta zawiera jeden błąd zasadniczy, ten mianowicie, że autor pisząc ją postanowił udowodnić

w niej pewne z góry powzięte założenie, dające się streścić w tych słowach, że w budzących się dzisiaj nowych siłach ducha największa jest część Słowackiego. Niestety — autor tendencyi tej nie zdołał dobrze uzasadnić, a sądzę, że takie uzasadnienie byłoby bądź co bądź naciągane. Tendencyę tę polityczną, nadzwyczaj szkodliwą wszelkim pracom naukowym, łatwo wytłumaczyć tem, że rzecz omawiana była czytana na zjeździe młodzieży, która podobnie, jak Sforka w „Horsztyńskim“ Słowackiego, chciała zadokumentować, że „zna się cokolwiek na polityzmie“. Wytykać innych błędów tej broszurki nie ma szczególniejszej potrzeby, bo możnaby o nich wiele napisać. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na kilka punktów nieudowodnionych wcale lub mylnie przedstawionych, mających mniej więcej zasadnicze znaczenie. Autor przedewszystkiem nie udowadnia wcale tego, co powiedział na wstępie, iż Słowacki należał do pokolenia, którego nie było jeszcze za jego życia. Sama bezpośredniość oddziaływania poezyi jego na współczesnych nam, nie jest jeszcze żadnym dowodem. Całkowite niezrozumienie uczucia, jakie Słowacki przyniósł na ten świat ze sobą, doprowadziło autora do wypowiedzenia takiego nonsensu, że miłość Słowackiego dla Ludwiki Śniadeckiej była prawdziwa, silniejsza od wszystkiego, kiedy nie trudno znaleźć dowód, że była ona tylko miłością marzoną. Również niepodobna zgodzić się na nieudowodnioną hipotezę, że Słowacki przez usta swoich bajronicznych postaci: Hugona, Mnicha, Araba, Mindowy, Lambra i Wacława przemawiał sam. Gdyby tak było — nie popadłby w takie sprzeczności w najogólniejszych rysach charakterów tych postaci, z których pięciu pierwszych sam nie rozumiał dobrze, o czem już tyle pisano. Słowem, sprzeczać możnaby się wiele, ale na to szkoda czasu. *wi.*

Z dziejów państwa kościelnego. 755—1846—1870. Ze szczególnem uwzględnieniem zaboru państwa kościelnego. Skreślił *prof. Alojzy Szarłowski.* Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1903.

Broszurka ta, zaledwie 30 stron licząca, która ukazała się bardzo na czasie, bo podczas trwania konklawe, powstała z odczytu, jaki prof. Szarłowski wygłosił w r. b. w Krakowie. Przedstawia ona w popularnych rysach trzy fazy w rozwoju państwa kościelnego, jego założenie, burze rewolucyjne i upadek. Rzecz cała napisana jest z prawdziwym talentem popularyzatorskim na podstawie najnowszych wyników badań historycznych. Tem większy jest ponadto jej pożytek, że u nas tak mało wie się wogóle o dziejach, jakie Kościół przechodził. Broszura ozdobiona została rycinami, przedstawiającemi Ojca św. Piusa IX, grobowiec jego, oraz Ojca św. Leona XIII niesionego na *sedia gestatoria* w bazylice św. Piotra.

R. J.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

PIUS IX, LEON XIII I MY.

Pius IX zwracał się do nas i przemawiał jak do królewskich sierót, jak do dziedziców berła i korony, odartych przemocą z władzy, odzianych nie w gronostaje, ale w strój nędzarzy pozbawionych oznak dawnej potęgi i nawet imienia pośród mocarzy. Takimi nas widział Pius IX, kiedy do nas przemawiał słowem pełnem otuchy.

Słowo takie płynęło dla nas z pociechą, głęboko wnikało w zbolałe dusze. Takich przemów słuchaliśmy wdzięcznie; rósł zapał, z którym tłumy naszych pątników szły do Stolicy wtedy państwa kościelnego, aby czerpać sił u Głowy chrześcijaństwa, przy której zgromadzone rzesze z różnych stron świata wyrażały nam nieraz żal miłosierny. Z iskrą dumy w oku powtarzaliśmy, że za nami w chwili pełnej grozy stanął obrońca prawdy i że z jego błogosławieństwem ruszyliśmy zbrojno w drogę, na której zamierzaliśmy poszukiwać praw nieprzedawnionych.

Miło nam brzmiała taka pobudka do pochodu z rozwiniętemi chorągwiami, bo do zwycięstw zaprawiły nas walki toczone przez tysiąc lat i przekazały nam od wieków myśl o chlubnych gonitwach na krwawem polu; do myśli zrośniętej

z naszem jestestwem przemawiała najlepiej zachęta do bohaterskich męczeństw, którą czuliśmy przy Piusie dziewiątym.

Ale dzieje, choć zwyciężać uczyły, nie nauczyły nas żyć. Nie nauczyły nas dzieje na porażki, klęski i nieszczęścia spoglądać jak na zaciągnięte po całem niebie chmury, które mogą na długie dnie słoty słońce nam zakryć, ale tylko zasłaniają je... nie gaszą. Przywykliśmy do dawnych dni chwały. Nie wdrożyły nas dzieje w stan duszy obytej z ciosami niepomyślnych wypadków. Szare niebo nad lodowatą zatoką krzepi jej mieszkańców: przyzwyczaja ich wyczekiwać powrotu słońca, przetrzymywać spokojnie zawieruchę żywiołów, trwać na stanowisku pełnem grozy i wyglądać wiosennych odrodzin przyrody. Szczęśliwym brak tej potęgi, która u wyrobionych przez nieszczęście stanowi niewyczerpaną siłę żywotną.

I nie nauczyły nas dzieje stać jak olbrzym wyższy nad przykre drobiazgi, nie nauczyły zdawać sobie sprawę, że mocarz rękawicę podnieść może, kiedy bohater ją rzuci, ale nie, kiedy dziecko wyzywa. W biegu tysiąca lat wyrabiana u nas jednostronnie dusza wojownicza wybujała na ochotę do bitki. W braku Jadźwinga, Tatara czy Szweda, brat przywykły bić zajeżdżał brata; śladami bitnej szlachty chodził lud zawadyacki. I cudzoziemcy, na pańszczyźnianem prawie osadzani między naszym ludem, przesiąkali duchem gotowym zawsze do odwetów choćby krwawych za jakąbądź urazę: uwierzyli w niejednej okolicy, że przez tę butę zapalną przyrośli do nas jako szczep odżywiany sokami z naszego korzenia.

I to piętno zapalne, wojacki nastrój i zakrój bohaterski stanowi treść naszej sławy ciągłej u postronnych, sławy dobrej u jednych, u innych wcale nie chlubnej.

Nie o tej już sławie na tem miejscu mówić wypada, którą nam przodkowie w dawnych czasach zdobyli: dziś rozsławiać nas albo zniesławiać umieją nasze świeże postępki. Zbyt wiele posiadamy znamion wybitnych, aby w postronnych tłumach niknąć a nie zwracać uwagi, jako żywioł odrębny. Zbyt często idą, zbyt gęsto zostają nasze zagony po świecie, aby tylko rzadko kiedy kto z nas mógł zdawać sprawę z dalekich po-

dróży i z przeróżnych sądów, jakie o nas słychać po świecie. Nieraz wspólna dola na obczyźnie nas zbiera do podobnej gromadki, jak jedna złożona z ludzi światłych, do której należały przez przedstawicieli swojej nauki także Francya i Anglia, Hiszpania i Irlandya, Chaldea i Stany Zjednoczone: słowem garstka naszych pracowników na polu umysłowem stanęła przed oczyma mieszkańców Europy, Azyi i Ameryki. Zgoda w tem gronie panowała spokojnie, ale nie zdzierała z nikogo jego piętn znamiennych: każdy wiedział, jakiego po którym towarzyszu mógł oczekiwać udziału we wspólnych zabiegach. I w czemże na nas liczyli? Dość prędko spostrzegli, że między sobą mają lepszych od nas pracowników, kiedy trzeba było cierpliwie pilnować ładu i składu, stać przy porządku, pamiętać o miejscu i czasie, liczyć wagę, czy miarę. Jako za pomoc któremuś z nas dziękowali czasem, kiedy na podobne pole nie spieszył z usługą. Ale kiedy wypadło o chłodzie i głodzie spędzać długie godziny na niebezpiecznej przeprawie, na to nie szukali ochotników poza nami: wiedzieli wkrótce, komu napomknąć, że trzeba w oczy śmierci spojrzeć, iść nocą po pniach przerzuconych nad przepaściami, mieć za przewodnika jedną myśl o obowiązku, dążyć do kresu bez trwogi o gorsze nieraz od śmierci kalectwo dozgonne. Na takiem polu nikt nam nie sprostał.

I zagadnął raz o nas Azyata Jankesa; pytał po co Pan Bóg stworzył nas pośród Europy, tak mało nam życzliwej? Obecny Europejczyk odpowiedział: nie po to oni stworzeni, aby z Europą żyli szczęśliwie, ale aby przodowali jej w bohaterstwach. Tak tą odpowiedzią opisał nas Niemiec.

Ci poznali nas ze strony najlepszej.

Z tem samem piętnem bohaterskiego nastroju poznają nas cudzoziemcy źle dla nas usposobieni. Szyderczo opowiadają, a Wołosi nawet w podręcznikach po uczelniach czytają o nas gadki, które opisują nasze bohaterstwo spaczone, nie przydatne na nic, prócz wyskoków i przesady, marnych wybuchów, śmiesznych wybryków i zbytków zuchwalstwa.

Być może, że wszyscy rodzimy się na bohaterów dziejo-

wych, ale oby rzadszy pomiędzy nami rósł na bohatera śmiesznych widowisk!...

Obyśmy nie tak łatwo przeskakiwali z jednej strony na drugą tej miedzy, co dzieli porywy wzniosłe od śmiesznych... myśli zbawienne od pomysłów niewczesnych...

Nie w porę rozwinięte chorągwie sprowadziły na nas straszną zawieruchę. I kiedy gromy nam huczały nad głową, kiedy piorun palił nam szczęście, kiedy wykolejeni szliśmy po omacku szukać drogi wśród mogił, z dalekich wzgórzy Watykanu spoglądał na naszą dolinę trupów Pius IX, i nie przestawał przemawiać słowem najzrozumialszem dla nas przy nastroju właściwego nam bohaterstwa.

Czuliśmy, że Pius IX kocha nas tak, jak chcemy być kochani: pokochał nas w śmiertelnych zapasach, i we więzach następnie coraz silniej ściąganych nad każdym z nas, i w jęku tej pieśni, co już nie znała dla siebie wtóru bez skargi, i w bezwładnej martwocie społeczeństwa strutego zawodem.

Pokochał nas! mówią nam ci z nas, którym korona siwizny dziś głowę srebrzy, i ci ich towarzysze, których rozproszyła zawierucha po tajgach, rozmiotła po kamieniołomach, rozniosła po siedzibach nędzy wychodźczej. O sercu Piusa zdolnem naszemi tętnami bić dla nas, świadczą ci, w których wielu ze zapałem czci wzory nasze i chlubę, bo z błogosławieństwem papieskiem stanęli pod białemi godłami na krwawem polu, na własnych wodzów rozkazy szli orężnym zastępem i piersiami nie gniecionemi jarzmem śpiewali pieśni nadziei... Nam już naszych godeł nie dano widzieć rozpiętych nad nami, ani ran odnosić z pola zwycięskiej potyczki, ani po wygranych doznać klęski i czuć, jak łza wstydu gorąco pali... Nam bez świtu chwały zeszły dnie pogrobowców, bezimiennych między państwami.

I tych z nas, co błysnęli, i nas pozostałych w nocy bez światła na manowcu dziejowym, wszystkich Pius IX podbijał, bo z nami powtarzał, że bezprawie straszne rządziło nad mocarstwami, kiedy między nimi zatarło nasze imię, okupione obroną chrześcijaństwa. A bezprawie nie zasługuje na zaszczyt, aby z niem wchodzić w umowę jakąbądź; z bezprawiem moż-

liwa rozprawa tylko orężna. Więc po naszej myśli działał Papież nam wspaniałomyślnie powolny, kiedy naszym gnębicielom wytknął w ostry sposób ich wiarołomstwo i jako z niegodnymi rozmowy, zerwał wszelkie układy; praw nam należnych przestał żądać w dziedzinie kościelnej, bo ją widział przedstawianą przez nas jako nieodłączną część naszego stanowiska, na którem staliśmy z hasłem: albo wszystko niech oddadzą, co zabrali, albo z nimi nie gadamy, chyba ołowiem.

Nie umieliśmy od razu iść jeszcze wyżej. Nie zaszliśmy wtenczas na stanowisko, na którem społeczeństwo wprawione w walkę z przeciwieństwami trwa nieruchomo wobec naporu nieprzyjaciela, zużywa jego siły i oczekuje śmiało chwili, aż odbierze piędź po piędzi swoje dziedzictwo, kiedy wydzierca zwolna wyczerpywany zacznie częściami puszczać z rąk łupy nieprawe. Społeczeństwo takie niejednostronnie zapatruje oczy w chwałę zwycięstw minionych, ale doświadczone zmiennemi kolejami walki, z góry spogląda na wroga, upojonego dumą dla chwilowej przewagi, nie roztkliwia serca uwagą wyłącznie zwróconą na rozmiar strat już poniesionych, krzepi ducha pamięcią o zasobach jeszcze przechowanych, i o jak najlepszy z nich użytek dba zapobiegliwie. Wie takie społeczeństwo, że co ma odżyć, jak ziarno w posiewie plonu, to pierwej zamiera w ziemi deptanej nogami, co ma z wiosną odrodzone puścić pęd nowy to ze smutną jesienią wystawia gałęzie pod nóż: i społeczeństwo, aby z upadku powstać odrodzone, musi odcierpieć swoją mękę poprawy, dziesiątkowane śmiercią, katowane w członkach niewinnych, ale wyciąga członki pod katownię z tą dumą, która zabrania przyznać się do bólu przed wrogiem i wołać: daruj! prędzej zawoła: katuj, a nie zmożesz!

W najnowszych czasach u nas już można spotykać nastrój, który nie pragnie roztkliwiać nikogo swojem nieszczęściem, owszem: cierpieć od wroga krzywdę poczytuje sobie za zysk. Już nas nie dziwi takie dziecko, jak dziewczynka, która niedawno płakała, jako nad krzywdą swoją, iż za sprawę naszego języka siostrzyczkę widziała bitą do krwi a sama z tej przyczyny jeszcze nie cierpiała.

Naród, który dziś już takie dzieci wydaje, mógłby zapragnąć teraz nazwy dzielnych, chciałby, żeby o nim życzliwy papież powiedział: *Questi miei bravi!* a już przyjąłby mniej wdzięcznem sercem litościwą nazwę biedaków, miłosierne wyrazy: *Voi miei poveri!* Za Piusa IX usiłowaliśmy jeszcze na dowód owej szczególnej łaski u papieża usłyszeć z jego ust miłosiernych właśnie tę nazwę: *poveri*...

Kiedyś nosiliśmy tę, którą dziś usiłujemy odzyskać, nazwę dzielnych.

Kiedyś... przed dawnymi wiekami... doznawaliśmy klęsk wojennych: po dwadzieścia tysięcy młodzieży naszej obojga płci porywał najezdca w jassyr, z miast zostawiał niedopalone zgliszcza, z wsi ślady. Bywało, że miewaliśmy pana z krwi albo nie swojej, albo spróchniałej już i zgniłej: zausznika panów cudzych... Bywało, że prócz jednej skały, co istnym cudem Jasna świeciła nad szeroką ziemią, wszystko u nas tonęło w powodzi krwi i podłego zuchwalstwa zdrady... Ale jeszcze nie żebraliśmy nazw miłosiernych. Przeszła nawała tatarska: dzielnie odbudowywaliśmy grody, zaludnialiśmy sioła, sprowadzaliśmy osadników, stawaliśmy na nogi. Przeciw panu z krwi niemiłej szedł z jaskiń ojcowskich książę z krwi rodowitej, a za nim lud poszedł i doszedł dokąd trzeba: koronę znalazł w Rzymie a nie nazwę *poveri;* czego szukał, to znalazł. Gdzie Szwed się panoszył, tam pokornie klękły posły zachodnich potęg z prośbą o pomoc dla Wiednia, dla chrześcijaństwa. Kiedy słońce zachodziło za chmury, czekaliśmy z otuchą zmiany wiatru i pogody; gdzie ubywało zapasów i niedostatek groził, tam rosła ochota do pracy i przybywało serca dzielnego. Za zwycięstwo uchodziła nie jedynie bitwa wygrana, kiedy szalonej odwadze jazdy naszej nie dotrzymała pola obca nawała; niemniej chlubny wawrzyn wieńczył za zwycięstwo w łonie społeczeństwa odniesione nad żywiołem rozstroju w piersi wroga wnętrznego albo nad własnym duchem niesfornym. Nie tyle tych zwycięstw nad sobą samymi odnieśliśmy, ile ich nam było potrzeba, aby zacząć sławnie drugie tysiąclecie dziejowe: ale przez całych tysiąc lat pierwszych jeszcze dziadom naszym starczyło zasobu, zebranego

przez ich zwycięstwa nad sobą samymi, aby kornieć wewnątrz i krzepnąć na zewnątrz, i zasłużyć przecie wobec świata na sławę przedmurza chrześcijan żywego.

W owych czasach umiała u nas przeważna część społeczeństwa nadeszystko żyć, a zatem zwyciężać.

W ostatnich czasach różne objawy przebudzonego ducha świadczą, że już jednostkom u nas coraz liczniejszym nie wystarcza obchodzić pamięć dawnych pogromców zewnętrznego wroga, że już wielu z nas przesycił widok pomników, stawianych przeszłym czynom żywotnym; nowych pragniemy i z odrodzonym zapałem chcemy żyć.

Już nie tylko w rozmowach ustnych, także w pismach spotykamy uwagę, że jeszcze na długo wystarczy nam sława wojenna już osiągnięta, że jeszcze niejedno pokolenie przejdzie, nim kto mógłby podejrzywać, czy nie jesteśmy tchórzami. Tymczasem dość nam głosić własnemi ustami zasługi zebrane przez stulecia ubiegłe i kwilić, utyskiwać, narzekać, iż sąsiedzi w Europie zapoznają te zasługi i postępują z nami jako z wywołańcami z pod praw. Zaczęli ci i owi iść naprzód z czołem podniesionem i jako pewni swojego dostojeństwa już przestają bojaźliwie żebrać miłosierdzia, tylko spokojnie wyrażają swoje potrzeby; nie umieją jak za łaskę dziękować za usunięte bezprawie, ale umieją przypominać, że spełniamy wiernie obowiązki, choćby niezdolne dodać nam blasku, względem drugich i od nich czekamy wzajemnego względu na potrzeby nasze i prawa. Wytaczamy rozprawę bezprawiu, osnutą na rozumowych wywodach, nie popartą wybuchami żalu ani czynami rozpaczy. Zaczynamy działać jako przeświadczeni, że prawda za nami, — żyć jako pewni zwycięstw nietylko orężnych.

Ocknęła nas i otrząsnęła ze zwycięskich snów rzeczywista niedola, u której krańców ujrzeliśmy się nakoniec, i wtedy jakby z nienacka obudzeni przecie uwierzyliśmy, że przeznaczeni na zagładę do niej własnowolnie dążymy.

Do ostatniej ćwierci zeszłego stulecia nie wsiąkała jeszcze w ogół myśl o obowiązku każdego z nas względem społeczeństwa. Rozumieli ją poważni myśliciele nieliczni; czuły ją głębsze

serca, bez doraźnego wpływu na ogół. Społeczeństwo słyszało pospolicie rozmowę starszych obywateli o niezaspokojonych potrzebach gospodarstwa domowego, młodszych o zabawie udanej albo nieudanej w zapusty. Rzadko która rozmowa wśród rodziców niezależnych majątkowo dotykała pytania, w jakim zawodzie dzieci ich zdołają spłacić swój dług względem społeczeństwa. Nie obowiązani służyć ojczyźnie wojskowo uważaliby samą wzmiankę o innym jakimś obowiązku względem rodaków za pomysł niegodny samoistnych stanowisk. Narzekaliśmy, że dla obcych rządów znaczymy tylko jako źródło podatkowe i dostawcy młodzieży poborowej, a u tych rządów żywotne potrzeby nasze nie doznają względów żadnych, a nie zakasywaliśmy rąk własnych do pracy, aby odrobić pole zaniedbane, i bez niczyjej pomocy wyzyskać nieocenione skarby złożone w naszej roli i naszych górach, zwłaszcza we wielu między nami umysłach zdolnych i sercach podniosłych.

Nakoniec wpływ rośnie tych jednostek, które pojęły potrzebę pracy samoistnej. Przewódców szukamy.

Tych, co szukają przewódców do pracy wnętrznej, spotykamy wielu i coraz ich więcej. Różnice poglądów między nimi ogromne. Przychodzi na myśl słowo arcybiskupa Felińskiego: kiedy w biednej rodzinie matka leży na śmiertelnej pościeli, łatwo o zamęt w domu; mąż biegnie po lekarza, córki po wiejskie zażegnywaczki, syn po księdza, krewna przy chorej zostanie, sługa płacze, a sąsiadki chętnie między sobą toczą spory, kto zawinił w chorobie, kto źle doradził, kto niepotrzebnie wzywał lekarzy albo zażegnywaczy, na których teraz chora narzeka. Łatwo w tym sporze weźmie udział rodzina chorej, każdy będzie drugim zarzucał szkodliwą jego radę, wszyscy chorą opuszczą, do zdrowia nikt jej nie pomoże. A przecie do bolesnych zarzutów nie miejsce: każdy szukał rady, jak najlepiej umiał; choćby zbłądził, przecie szczerze kochał matkę i chciał jej dopomódz. Ta biedna rodzina, to nasze społeczeństwo; kogo jak śmiertelnie chorą matkę kochamy, to oczywiste; kochamy ją i każdy z nas po swojemu radzi o jej powrocie do zdrowia, każdy wzywa pomocników pod swoje hasło, każdy ciągnie dru-

gich na drogi według niego najlepsze. Łatwa stąd rozterka a przy niej trudno pomódz naszej najdroższej na ziemi. Radź każdy jak kto umie, ale nie łaj opryskliwie nikogo za jego radę, kiedy każdy radzi ze serca, ani nie idź ślepo za nikim, bo każdy omylny.

Przewódców, rajców, lekarzy widzimy i słyszymy dużo i tylu z nas bez namysłu odrzuca jednych a biega na oślep za drugimi, tak bezmyślnie lubimy wierzyć w gotową już radę, że najmłodszy a najzasobniejszy z naszych dramaturgów zaklina nas słowem, silnem jak pieśń wieszcza, barwnem jak obraz, i wzywa nas do rozwagi i wskazuje, że winniśmy sami każdy swoim rozumem zdawać sobie sprawę z prawdy, która wyzwoli nas, zamiast szukać jej u kogobądź, kto zagadnięty zbędzie nas zagadką. Z tej wskazówki skorzystać nie każdy z nas chce: powtarzają uparcie, że przystąpią do pracy, pomyślnie już rozwijanej pod czyjembądź hasłem, ale sami nie odnajdą prawdy w haśle niczyjem.

Dla nich trzeba ustalonej powagi, za którą z wiarą pójdą w drogę każdą, choć z niej sobie nie zdadzą sprawy własnym rozumem.

Za takich przewódców przeważna część naszego społeczeństwa poczytuje i najprzemyślniejsi nasi przeciwnicy uważają pasterzy kościelnych na biskupich stolicach.

Potęgi, dbałe tylko o dochody z nas i o naszą młodzież poborową, zasadniczo cofają przed nami ręku z pomocą, zdolną wywrzeć dodatni wpływ na nasz rozwój; z tej zasady wcale wyjątku nie robią, kiedy trzeba u nas obsadzać stolice biskupie; szczęściem dla nas, mocarze miewają doradców omylnych: długim pocztem biskupi u nas zapisują nazwiska swoje w księdze bojowników o prawdę, których groźby nie trwożą, służalcze względy nie wiążą. Ale takich pasterzy mamy tylko w razie pomyłki ze strony urzędu doradczego, i zachowujemy ich tylko póty, aż pomyłka jaskrawo nie wyjdzie na jaw; następnie stolice przemocą osierocone, tak samo nie dają przewódców najlepszej części społeczeństwa, jak ich nie dostarczają stolice zajęte po myśli warstw przewodnich przez ich służalcze narzędzia.

Na tem polu pracował dla nas Pius IX bez wypoczynku i toczył o nasze stolice biskupie bój nieustanny, póki ciągle oszukiwany przez naszych gnębicieli nie ocenił stosunków zgodnie z wnioskiem, do którego przed nim byliśmy już doszli: z przedstawicielami obłudy i bezprawia zerwał wszelkie układy i u schyłku żywota widział prawie wszystkie stolice biskupie u nas albo owdowiałe po swoich rządcach prawowitych, albo w rękach nieszkodliwych dla naszych gnębicieli. Wyjątkowo tylko mogliśmy tu i ówdzie czcić mężnego przewódcę w pracy żywotnej, ale na drodze nowej potrzebujemy wielu świateł trwałych i rozjarzonych po obszarze dalekim, a nie wyjątkowych pochodni, widzialnych w najbliższem sąsiedztwie.

W następstwie tych stosunków niedola nasza sprowadzała nas nad brzegi przepaści drogą stromą, krokiem coraz śpieszniejszym. Brakło nam dostatecznej liczby przewodników, którzyby wczas chwycili nas silną dłonią i wstrzymali nas w zgubnym rozpędzie. Błyskały gdzieś dla nas rzadkie gwiazdy z nieba, jedyne już promyki światła, ale więcej błędnych ogników latało przy nas. Do konia i broni przywykliśmy i do wojennych obrotów a nie do zawrotnych dróg w metafizyce: odróżnić błędne ogniki, złudne wymysły od zdrowej nauki i światełek prawdy było dla nas trudno, nie zawsze dla nas wszystkich możliwe. I ostatnie z gwiazd roziskrzonych jeszcze wyjątkowo wyczerpywały swój blask, bladły, gasły nad nami.

Tak kiedyś, w zaraniu naszych dziejów, bladły i gasły gwiazdy nadziei dokoła nas, nad naszymi pobratymcami na południu, na zachodzie i na północy. Po słowackich kasztelanach i po ich dworach bogatych dziś zostało tylko widmo: przecudne tkaniny, złotem i perłami strojne, osnute na zamorskich jedwabiach, nieraz już jak pajęczyna kruche, zdobią skrzynię Słowaczki, pamiątka po jej prababkach, co przed wiekami na zamkach swoich przędły, tkały i tęskniły, kiedy ich mężowie poszli pogan wojować; prawnuczka dziś tęskni za mężem druciarzem albo synem czy bratem wychodźcą na zarobek do kopalń za Atlantykiem. Plemię kiedyś możne i rozsiadłe na ziemi dostatniej straciło z oczu przewodnie światła: dziś niknie w pomroce.

I na zachodzie z pobratymczych nam Serbów na Łużycach ślad tylko przypomina sławę ich przodków, co samych wojsk posiłkowych Pepinowi do Francyi posłali sto tysięcy zbrojnego ludu, a dziś do liczby nie o wiele większej stopnieli całem plemieniem, razem ze starcami, dziećmi i kobietami.

A na północy te szczątki zgoła bezimiennych plemion pobratymczych, co dziś schodzą do ledwo kilku osób, a jutro znikną, czyż nie przestrzegają, że stulecia mogą tylko odwlekać ostateczną zagładę, ale nie zapobiegną jej w społeczeństwie, dziś już wymazanem ze ziemiopisu, a nie odradzanem na żywot siłą wspólnej myśli wytycznej, nie powstrzymywanem w drodze pochyłej przewodnim głosem powag, zgodnie uznanych!

Nie dziw, że może na tem komuś zależeć, żeby nam zabrakło jedynych powag, za któremi jeszcze najprędzej poszlibyśmy dość jednomyślnie na pole pracy żywotnej.

Posępny mrok coraz mniej śladów drogi dozwalał nam dostrzedz przed sobą, kiedy, jak rozbitki na obcem urwisku, szukaliśmy schronisk przed burzą. Powtarzaliśmy jednak hasło: żadnych układów o cząstkę, bo nasze wszystko, co sięga daleko, jak szeroka ziemia od morza do morza!

Czy nie zaszlibyśmy tą drogą do zguby, gdybyśmy dalej tym krokiem dążyli? Czy wtedy już nie powinna nas była co rychlej ocucić groza niebezpieczeństwa?

Do śmierci Piusa IX nikt z nas nie śmiał jeszcze ani okiem zmierzyć głębin naszej niedoli, jeżeli nie chciał narazić swojej sławy.

Zmiana papieża pogrążyła nas w stanie bezwładnego żalu za rzecznikiem naszym, podziwianym zarówno kiedy orędował pierwej za nami głosem niezlękłym, jak kiedy uznał naszego przeciwnika niegodnym w końcu rozmowy.

W żalu za straconym obrońcą wielu z nas powiedziało sobie, że już nam nie oczekiwać drugiego papieża, równie nam przyjaźnego.

Leon XIII jednak zaraz zajął w sprawie naszej to samo stanowisko, na którem widział Piusa IX u schyłku rządów: nie zmienił postawy względem wiarołomnego przeciwnika, przez nas także uznanego niegodnym żadnych układów.

Istnieliśmy tedy dalej bez tych ognisk poważnych, które przy sobie skupiałyby najżywotniejsze prądy myśli i czynniki najpracowitsze. Przeciągaliśmy jeszcze byt swój, niby sen bezwładny, aż na ustroju naszym społecznym wystąpiły objawy podobne, jak na ciele we wstępnej dobie rozkładu. Coraz nowe środowiska powstawały i pokątnie i jawnie, w których żywioły i potęgi nam wrogie pozwalały bezkarnie bujać naszym przywarom, wylęgłym czy to na naszem gnojowisku, czy na cudzoziemskiem. Jeszcze długą chwilę powtarzaliśmy swoje znamienne: wszak nie u nas najgorzej! aż nakoniec rozmiar trucizny, umiejętnie wsączonej już w nas, zaczął ocucać drażliwsze umysły. Dokąd ich wpływ sięgnął, tam niebawem dosłyszeć mogliśmy szepty a potem głośny pomruk, że Pius IX wynalazłby radę dla nas, nie pozwoliłby nam dłużej usychać jakby odrzucona gałąź Kościoła bez dzielnych mężów na biskupich stolicach, że Leon XIII nie dba o nas pozbawionych wszelkiej podpory i ręki przewodniej, zajął względem nas postawę jakby ojczyma a nie orędownika naszego w nieznośnej niedoli.

Słowa te doleciały do naszych kół w Wiedniu, zetkniętych z ówczesnym przedstawicielem Apostolskiej Stolicy. Z jego ust własnych pochodzi opis dalszych wypadków, zaczerpnięty z rozmów z nim prowadzonych jeszcze przed dziesięciu latami, więc oczywiście już nie spamiętany dosłownie.

Od lat dłuższych już Leon XIII przy swoim nuncyuszu późniejszym tykał naszej sprawy, ubolewał nad jej stanem rozpaczliwym i nie podzielał od razu naszego poglądu, że z wiarołomcą, który umów nie dotrzymuje, darmoby wchodzić w jakiekolwiek układy. Ale wiedział Leon XIII, jak wdzięcznie, nawet z oklaskami zachwytu odpowiedzieliśmy Piusowi na jego przemowę, która zrywała wszelkie stosunki z nieprzyjaźnym nam dworem. Leon XIII nam nie chciał narzucać innego stanowiska; aby uszanować nasz sąd o zawiłych stosunkach, nam — jak przypuszczał — znanych najlepiej, wiernie szedł dalej śladem poprzednika i nie zabierał głosu o prawach nam należnych w dziedzinie kościelnej. Płynęły jednak do Rzymu nowiny o nas coraz smutniejsze i sprawiły w końcu swój skutek: Leon XIII

wraz z powiernikami wyczekiwał tylko od nas znaku, że czas już zawrócić z drogi obranej przez Piusa IX.

Wtedy przedstawiciel Watykanu usłyszał od naszych kół w Wiedniu najpoważniejszych skargę, że Leon XIII zaniedbuje nas, bezczynnie spogląda na naszych kilkanaście opróżnionych stolic biskupich, nie zapobiega zgubnym następstwom rozstroju nieuniknionego tam, gdzie społeczeństwo nie spotyka przy sobie żadnych przewodników z powagą uznaną przez swoich i obcych.

Czy nuncyusz usłyszał tę skargę wyrażoną grzecznie czy obraźliwie, tego szczegółu nie podkreślał z naciskiem: w każdym razie nie obrażony zarzutami, ale uradowany doniósł natychmiast telegraficznie Leonowi XIII, że dostał od nas pożądany znak; więc pyta się, czy ma nawiązać na nowo przerwane za Piusa IX układy? Niezwłocznie odtelegrafowana odpowiedź z Watykanu nagliła nuncyusza do dzieła.

Przez parę dni potem przez całą szerz Europy pracowały telegrafy z wysiłkiem: nastała po długiej przerwie wymiana myśli, żywsza niż kiedybądź, między dalekiemi stolicami. Z pożądanego toku narad wkrótce uchylił nieco tajemnicę nuncyusz uszczęśliwiony, iż może służyć za pośrednika przy poprawie opłakanych u nas stosunków.

Wieść o tem lotem błyskawicy dotarła u nas do kół szerokich, ale zadowolniła bardzo mało kogo.

Zaszumiało u nas od pomruku ludzi, zachowawczego w tej mierze pokroju. Ci narzekali, że to już nie nasz Ojciec Pius IX myśli o nas i zachowuje nieprzebłagalną postawę wobec naszych krzywdzicieli, dla nich teraz łaskawy papież już odnawia z nimi zerwane stosunki i przyzna im niechybnie ustępstwa dla nas szkodliwe...

Tak sarkały owe głosy i znalazły usłużne pióro, które w podobnym duchu pośpieszyło do żydowskiej prasy wiedeńskiej z opisem pułapki, w jaką prześladowcy Kościoła rzekomo chwycili nuncyusza, aby ściągnąć Leona XIII z nieprzejednanego stanowiska w naszej obronie.

Nuncyusz natychmiast w tymże dzienniku kazał odwołać opis obelżywy dla papieża i zdał z wypadku sprawę w świetle

właściwem. Do tych szczegółów, z ust jego zasłyszanych, dodać trzeba, że jego opis wypadku posłuchu nie znalazł w gronach niezadowolnionych z papieża, rzekomo gotowego wpaść do pułapki. Szmer zarzutów rósł i przybrał nakoniec wyraz zuchwały: Papież nas zdradza!

Cóż u nas długo wytrzyma w czterech ścianach, a nie wyleci w świat ze szkodą dla nas, choćby dotkliwą? i do uszu Leona XIII doleciały nasze sądy o nim surowe, i dla niego bolesne, i dla nas niezbyt zaszczytne: więc z jednej strony cierpkie wywody: jakiż to Papież, co milczy o nas przed ciemiężcą, a nie dobija się o jego względy dla nas? Czyż to nasz Ojciec? Nie! Pius IX umarł, teraz mamy ojczyma! a z drugiej strowy wybuchały okrzyki: Cóż to za Papież, co rozmawia z naszym ciemiężcą? z nim rozmawia, aby na nim wykołatać jakieś względy dla nas? aby przez to uznać jego nad nami władzę bezprawną? Czyż to obrońca praw naszych? Nie! to zdrajca!

I Leon XIII przez chwilę na nas smutno spoglądał i na któremś z posłuchań poufnych zagadnął z żalem: cóż dla was poczynę? Czy nie przemawiam za wami, czy przemawiam: zawsze dla was źle... Chyba, że już sami nie wiecie, co dobre dla was doprawdy?

W ostatniej myśli tkwił zarodek całego poglądu, na którym Leon XIII oparł długi rząd czynów dla nas zbawiennych.

Nie tkwiło w tej jego myśli nic ze zasady owego męża stanu, który szorstko powiedział, że dla nas z pożytkiem chyba może pracować, kto dobrze nam działa na przekór.

Ale coś podobnego wytknął nam Leon XIII łagodnie, a mianowicie, że nie zawsze to dla nas pożyteczne, jeżeli kto nas kocha tak, jak kochani być chcemy, bo jeszcześmy nie gotowi z odpowiedzią na pytanie, jak ma postąpić, kto dobrze nam życzy.

Więc już nie o to, co ma z nami począć, dopytywał się Leon XIII naszych pątników: nie radził się ich, do jakiego wniosku ma dojść z ich opisu naszej niedoli; samego tylko tego opisu żądał od nich, i każdego z nich, którego znalazł

dość światłym, wypytywał o każdy szczegół w zmianie naszych stosunków. Badał takich sprawozdawców jak najtroskliwiej jako świadków, których bez różnicy stanu i bez względu na barwę ich poglądu słuchał wszystkich o wszystkiem, z czego umieli zdać sprawę rzeczowo.

I ogromem wiedzy ścisłej o nas zgromadzonej, Leon XIII zadziwiał swoich sprawozdawców coraz bardziej, kiedy zadawał im pytania tak dokładnie, jak każdy, kto zagaduje o ostatni rozdział książki, której poprzednie rozdziały zna na wylot.

W taką osnowę szczegółów od nas zebranych Leon XIII zapuścił następnie samodzielną myśl swoją, aby odnaleźć naprzód wątek między zgromadzonemi ułamkami opisów, następnie pojąć treść naszej duszy i ocenić jej zasoby, a wkońcu postanowić, dokąd za sobą nas poprowadzi.

I przeniknął treść naszych zalet i zmierzył nam siły i zasoby, i obliczył, że na wiele nas stać; postanowił zaprowadzić nas wysoko.

Nie według naszych wybryków i przywar nas sądził, i nie z naszych wad wnosił, że dozna od nas oporu, więc że nam na przekorę musi dla nas z pożytkiem pracować.

Oparł stosunek swój do nas na bogactwie naszych pierwiastków szlachetnych, na dodatnich żywiołach naszej duszy zbiorowej i nie ukrywał, ale chętnie to objawiał, czego mile doznawał, kiedy bacznem okiem wypatrywał w nas myśl Bożą, i zadowolniony tem, co w nas dostrzegł, dalej zapuszczał wzrok na wzniosłą drogę posłannictwa naszego. Stąd to umiał podbijać nas sobie wyrazem twarzy mistrza, który na podatną glinę spogląda jakby z miłością ojcowską, kiedy ją urabia natchniony twórczym pomysłem.

A urabiał z nas społeczeństwo gotowe z bohaterskim spokojem wytrzymywać ucisk, zdolne pobłażliwym uśmiechem odpowiedzieć na dumę siepaczy rozpanoszonych chwilową władzą nad nami; tworzył Leon XIII w nas mocarstwo ducha, które członków ciała nie wyrywa daremnie z nieuniknionej już mocy kata, ani przed nim bólów nie zdradzi, pierwej wyzwie jego okrucieństwo w zapasy i zapowie: nie zmożesz! zużyjesz zdrowie

w próżnych wysiłkach; osłabły pierwej odemnie zaczniesz zostawiać w mojem ręku jedno po drugiem, nad czem z moją krzywdą panujesz, bo przelotne wesele z przemocy ciała to jeszcze nie całkowicie wygrana sprawa: rękojmię zwycięstwa wkońcu posiędzie, kto duchem przemoże.

Więc zaraz zaczął dla nas Leon XIII odzyskiwać piędź po piędzi dziedzictwo nasze w krainie praw ducha. Wprowadził wybranych dla nas przywódców na wszystkie stolice biskupie: spokojną mocą słów łagodnych i powagą wyboru zapanował sam nad przeszkodami i odrazu wyświetlił, dokąd za sobą nas wzywa. Do wymowy czynu dodał wykład pisemny: wysłał do biskupów list z napisem do nich. zbiorowym, w którym to napisie władcom i mocarzom przypomina, że zgodnie ze wszystkimi poprzednikami nie uznaje nas za bezimiennych między państwami. Pamiętna treść listu przekonała już niezrównanie znaczniejszą część społeczeństwa naszego, że nie my Leonowi XIII, tylko on nam umie stanowczo powiedzieć, co dla nas na każdy czas dobre, a co na dziś tymczasem ze wszystkiego najlepsze.

I po całem naszem społeczeństwie, po tem do niedawna zsypisku nie dopalonych zgliszczów-porywów, niedotarganych zbroi i serc, niedoniszczonych przepychów i niedotrzymanych obietnic, a w tem wszystkiem niezliczonych jeszcze skarbów ziemi i ducha, po całej naszej bezimiennej spuściźnie poczęły schodzić jakieś pączki dawno już nam nieznanych kwiatów; oczy niezmiernie tęskne a niewymownie bystre, po jakich można tylu z nas rozpoznać między tłumami, zaczęły śmiało spoglądać w chmury zaciągnięte nad niebem naszem: przenikały ich przeponę i wypatrywały słońce za niemi, zasłonięte tylko, ale nie zagasłe.

Nie długo wypadało czekać na wypadki i burze, przysłane, aby zmierzyć, czy przyrosło nam miary bohatyrskiej. Przewódcy nasi na wysuniętych stanowiskach pierwsi niebezpieczeństwo spotykali oko w oko; za chwilę na innych kolej przyszła; niezlękłym głosem wymieniali ustępy umowy papieża z władzą, na których oparci, nie uronili nic ze spuścizny naszej im po-

wierzonej; dobitnie wykazali w świetle ugody, podpisanej przez obu zwierzchników swoich, że wiernie oddają mocarzowi, co do mocarza należy, kiedy przestrzegają prawa, ułożonego za jego wolą zgodnie z papieżem. Nie poprzestali na obronie tylko stanowiska, na które wstąpili po swoich poprzednikach; zastawali je nieraz uszczuplone wbrew dawniejszym układom, podpisywanym przez obie władze; cierpliwie wyglądali najstosowniejszej chwili, aby prawnie postawionym krokiem wrócić choćby o piędź ziemi naprzód ku pierwotnym kresom stanowiska.

I nieruchoma postawa naszej warstwy naczelnej wobec naporu ciemiężców uderzać zaczęła tych ostatnich samych, i myślicieli w ich społeczeństwie co głębszych. Kościół nasz, zdolny poważnie krzepić swoje stanowisko i przewagą duchową pokonywać przeszkody, błysnął w owem społeczeństwie urokiem poprzednio nieznanym. Za arystokracyę ducha zaczęli uchodzić przedstawiciele naszego społeczeństwa wobec sąsiadów. Duch Leona XIII wpływał na jego braci biskupów na naszych stolicach, od nich spływał na ich orszak podwładnych im bojowników duchownych, spływał na wybitniejszych członków społeczeństwa, spływał na jego warstwy dalsze i głębsze, starsze i młodsze, dostarczył nam dzieci ochoczych na katowni... Przestajemy żyć nastrojem płaczliwym i uznawać za najlepszego, w czyich oczach uchodzimy za biedaków; jużby nam milej wyglądać na dzielnych.

I zaczął już Leon XIII widzieć, że rozumiemy jego myśl i oceniamy doniosłą wagę jego wskazówek: dostrzegł nasz wzrok z wrodzoną iskrą zapału utkwiony w potrzeby wewnętrzne, w cichą pracę nad poprawą stosunków społecznych. O pierwszych naszych próbach na tej drodze słuchał z uśmiechem już nietylko słodkim i, jak zwykle, życzliwym, ale już radosnym i jakby wdzięcznym; słuchał uważnie jak o początkach dzieła, do którego dzielnie stajemy. Liczył, że znajdzie w nas robotników tęgich, i naglił nas, zachęcał, nalegał, z naciskiem po nas wymagał, abyśmy kroczyli tym torem dalej i dalej... na małych zwycięstwach naszych w tej walce spokojnej nie zamierzał poprzestawać Leon XIII: zbyt nas cenił.

I już rozumiemy, że już nie tylko ten nas cenił wysoko i szczerze pokochał, kto duchem i sercem szedł przed nami na walkę z wrogiem zewnętrznym. Leon XIII nas już nie uczył zwyciężać, ale jak ojciec, jak mędrzec, jak namiestnik Chrystusów, uczył nas żyć.

Póki żył, słyszeliśmy i czytaliśmy nieraz okrzyki: papież już, już ustąpi wrogom naszym z krzywdą dla nas okropną. Dziś po jego śmierci kto nie wywoła uśmiechu przez skargę podobną? Które pismo, choć obojętne dla Kościoła, nie wylicza zwycięstw naszej sprawy pod wodzą Leona trzynastego?

I żywot według jego myśli nie rozsławi nas zaraz, nie błyśnie natychmiast przed światem, jak rozżarzona pochodnia, ale przyrzeka nam chwilę, kiedy z pod popiołów, przechowywany troskliwie żar, wybuchnie pożarem tem potężniej, im dłużej ogień tłumiony wzbiera z żywiołową potęgą.

I wracamy myślą w stulecie ubiegłe. Widzimy tę nam najdroższą, milszą nad wszystko na ziemi, szarpaną, rozdzieraną, podzieloną między sąsiadów.. Widzimy ją, jak nią miotają straszne dreszcze... co nowe pokolenie: nowy wybuch bólu, który szamoce, rwie ją, członkami targa i rzuca na noże... następuje martwy spokój, bezwładny sen... czy to już sen przedśmiertny po ostatnich dreszczach skonu?... Nowe pokolenie chwyta za żelazo z okrzykiem: jeszcze nie zginęła... I wraca doba, dla której

Jednym aż słów
Brak z podziwu, ci znów
Przeklinaliby prawie
Wzniosły ten szał,
Co niósł mienie, krew lał,
Aby zgubić nas w sławie...

I po ostatnim dreszczu padła wycieńczona ubytkiem krwi, i długo leży już senna bez ruchu... Czy śpi już snem śmierci nieuniknionej?

Oddech jej zaczyna wracać do miary spokojnej i swoją miarę zaczyna dobijać coraz częściej tętno jej krwi po żyłach. Śpi jeszcze, ale rumieniec jakiejś myśli już krasi twarz trupiobladą... z ust długo ściągniętych kurczem płaczu przeziera coś

jakby zawiązek uśmiechu... czy łagodnie szydzi z męki, której czuje, że sprosta? czy rada słyszy pieśń nadziei tej, co już nie zawiedzie? Czy sama własną nierozwagę karci tym uśmiechem, bo może poznała, że upojona długim rzędem zwycięstw nad złymi sąsiadami, zaniedbała gospodarstwa własnego i własne dzieci na polu... odwykła od pracy niepozornej, od zwycięstw nad sobą samą, od obowiązków domowych. I leciała ciągle w ogień, nie nasycona łunami sławy, łupem wawrzynów, zbieranych na dalekich wyprawach... Nierozważną trzeba było związać i ubezwładnić, aby dać czas do namysłu o mnóstwie obowiązków zaniedbanych w domu. Niech pojmie, że już jej wystarczą czyny, chlubne na polu krwawych zapasów... inne pole sławy odłogiem leży i wzywa ją na trud.

Ale kto rozezna ten sen? śmierci czy zdrowia to znak?...

Leon XIII tak z nami sobie poczynał, jakby z rodziną, której matka zdrowym snem po nadmiernych wysiłkach spoczęła. Zalecał pracę cichą, skrzętną, trudniejszą niż w rodzinach, gdzie matka czuwa i rządzi, ale pracę mimo przeszkód usilną i dzielną, chociaż cichą i spokojną koniecznie, aby matce snu przed czasem nie przerwać.

Tę naukę nam dawał ciągle, tak przy występach uroczystych, jak przy poufnych rozmowach z wybitniejszymi członkami naszego społeczeństwa. Przyjął raz na osobnem posłuchaniu wdowę po jenerale wojsk naszych z córką i synem. Jenerałową i jej syna skrzętnie stałym zwyczajem wypytywał o nasze potrzeby; córkę, co przy nim klęczała, mniej zagadywał, aż zauważył jej pocałunek, na jego ręce złożony ze serca wdzięcznego za jego żywą troskę o naszą sprawę. Ścisnął jej dłoń i zapytał: „a Ty tę sprawę czy gorąco miłujesz?“ Na jej odpowiedź, że „więcej niż wszystko na ziemi“, powiedział: „Przechowuj tę miłość, jak żar pod popiołem“.

Tę naukę nam dał i we wielu ją wpoił skutecznie.

Ks. K. Czaykowski.

Z ruchu społecznego.

XIII zjazd kat. stowarzyszeń robotniczych Niemiec w Ingolstadzie. — Zjazd socyalistów w Dreznie.

Na dniu 30 i 31 sierpnia i 1 września dał Związek południowych Niemiec w Ingolstadzie sprawozdanie ze swej działalności i obecnego stanu. Związek liczy 424 stowarzyszeń, a 62.200 członków; przyrost, choć niewielki, skonstatowano wszędzie prócz dyecezyi Wirceburskiej. Majątek wspólny wynosi pół miliona marek, w 117 stowarzyszeniach istnieją kasy oszczędności; w Monachium i sześciu innych większych miastach funkcyonują biura ludowe i sekretaryaty robotnicze. Bardzo korzystnem dla podniesienia i rozwoju związku okazało się zeszłoroczne ustanowienie sekretarza związkowego, jak i dzielenie stowarzyszeń dyecezyalnych na obwodowe i regularne konferencye i coraz częstsze kursa socyalne. Wzrasta również agitacya związku i trafia ogólnie na grunt podatny.

Każde stowarzyszenie ma prawo wysyłać na ogólny zjazd swego duchownego prezesa i jednego z robotników. Na zjazd tegoroczny stawiono się liczniej, jak na którykolwiek z poprzednich; przybyło 172 delegatów w zastępstwie 183 stowarzyszeń, w przeważnej liczbie delegaci świeccy. Wśród gości ze Związku berlińskiego był obecnym dr. Fleischer, kierownik ogólnego sekretaryatu katolickiego związku robotniczego w Berlinie. Po mowach powitalnych nastąpiła inauguracyjna Eckarta, generalnego prezesa ze Stuttgartu. Wspomniawszy o encyklikach Leona XIII, jako podwalinie pracy socyalnej, mowca zwrócił między innemi uwagę, że one odnoszą się do całego świata, że na ich gruncie mogą obok siebie i wspólnie ze sobą pracować katolicy z protestantami. W tych słowach dotknął sprawy żywotnej, która też na obradach wiecu miała wywołać najżywszą dyskusyę.

Właściwe obrady zaczęły się 31 sierpnia. Zagaił je w imieniu zarządu Bruckmayer, wybrano przewodniczących i przystąpiono do roztrząsania kwestyi: co mogą uczynić katolickie stowarzyszenia dla materyalnego podniesienia swych członków. Zaczem Walterbach, prezes z Monachium wystąpił z referatem o kasach chorych, kładąc główny nacisk na ich materyalne podniesienie, i proponując kasy lokalne przyłączyć do związkowej. W dyskusyi górowała dążność do centralizacyi kas, za nią przemówił dr. Fleischer, i ostatecznie powzięto rezolucyę:

„Zebranie delegatów z powodu korzyści płynących z centralizacyi

poleca usilnie stowarzyszeniom zakładanie filii związkowej kasy chorych. Samoistne kasy chorych wzywa do ustanowienia wkładek w odpowiedniej wysokości i wytworzenia funduszu rezerwowego".

W tym samym duchu centralizacyjnym zapadła druga rezolucya, tycząca kas pogrzebowych. Referował o nich Haubenthaler, a miał za zadanie wykryć przyczynę ciągłego ich podupadania. Zdaniem referenta, tkwi ona w przestarzałym systemie składkowym przy każdym wypadku śmierci, t. zw. *Umlagesystem*. Postanowiono więc urządzać kasy pogrzebowe na zasadzie towarzystw ubezpieczeń, i kasy lokalne przyłączać do związkowej.

Następny referat tyczył biur ludowych i sekretaryatów robotniczych. Miał go Königbauer, wykazując ich wielki pożytek dla rozwoju związku. W rezolucyi polecono stowarzyszeniom zakładać nowe biura, sekretaryaty i t. p. a stare energiczniej popierać.

Największe zainteresowanie i najżywszą wymianę zdań spowodował referat robotnika Trossmanna (Nürnberg) o stosunku związku do chrześcijańskiej organizacyi zawodowej. Kwestyę tę obrabiano już zeszłego roku na kongresie w Monachium *(Przegl. Powsz.*, maj 1903). Godzono się na to, że katolicy nie mogą wstępować do socyalistycznego związku zawodowego, chodziło jeno o to, czy można się zgodzić na taką organizacyę zawodową, do którejby należeli katolicy z protestantami; w Monachium aprobowano taką organizacyę. Otóż Trossmann przemówił w tym samym duchu, wsparł go też korreferent dr. Netzbach, odpierając zarzuty czynione ze stanowiska religijnego. Debaty nad referatami i proponowaną rezolucyą odbyły się w trzecim dniu zjazdu. Kilkunastu mowców starało się rozświetlić kwestyę z różnych punktów widzenia, ostatecznie jednak zgodzono się na rezolucyę Netzbacha:

„Zjazd delegatów poleca usilnie stowarzyszeniom Związku pouczać swych członków o konieczności organizacyi zawodowej i nakłaniać ich do przystąpienia do niej. Poleca się usilnie zarządowi okręgowemu, by zwracał pilną uwagę na stan stowarzyszeń zawodowych. Związek jednak może darzyć swą sympatyą tylko organizacye stojące na gruncie chrześcijańskim".

W dalszym ciągu obrad uchwalono wziąć udział w kongresie stowarzyszeń zawodowych w Frankfurcie, i przystąpić do związku prasowego. Z powodu choroby dotychczasowego prezesa Związku, obrono prezesem Walterbacha, a na miejsce przyszłego zebrania delegatów naznaczono Heilbrunn.

* * *

Niedługo potem odbył się nowy zjazd socyalistów niemieckich. Przypadał na wyjątkowo pomyślną dla nich chwilę, pod świeżem jeszcze wrażeniem odniesionego zwycięstwa do Rady państwa. Nic więc dziwnego, że socyaliści widzieli w nim rodzaj tryumfalnego obchodu, a okoliczności znowu tak zrządziły, że ten tryumf miał się odbyć w stolicy kraju, który w Kampanii wyborczej największą chlubę przyniósł socyalistom, w „czerwonej stolicy czerwonej Saksonii", jak się wyrażają teraz socyaliści.

Zjazd był liczny. Przybyło nań przeszło 300 delegatów stowarzyszeń socyalistycznych niemieckich, posłowie partyi do parlamentu, przedstawiciele socyalistów z różnych krajów, liczni korespondenci pism. Na miejsce posiedzeń obrano lokal socyalistów drezdeńskich; sala była wypełniona zawsze po brzegi.

Obrady otwarto 13 września w niedzielę wieczorem mowami powitalnemi; obrano przewodniczących, naznaczono czas i plan obrad, które miały trwać 6 dni. Dziewięć punktów obejmowało różne kwestye przedstawione Zjazdowi do omówienia i rozstrzygnięcia — wybieramy z nich te, które mają szersze znaczenie.

Kwestyą bezsprzecznie najważniejszą, a dla socyalizmu żywotną, bo tykającą jego zasad i stanowiącą o jego taktyce, było rozstrzygnięcie sporu powstałego w łonie samego socyalizmu. Jak wiadomo, istnieją od dawna w socyalizmie dwie grupy: t. zw. rewolucyonistów lub doktrynerów, i rewizyonistów albo ewolucyonistów.

Na tle ogólnych różnic ścierały się obie o pewne taktyczne środki. Nie wolno paktować z burzuazyą, a więc ani pisać do pism niesocyalistycznych, ani obsadzać stanowisk parlamentarnych pierwszego wiceprezydenta i jednego z sekretarzy, ani posłom partyi wchodzić na podstawie koncesyi w układy z innemi funkcyami w parlamencie: było przekonaniem rewolucyonistów; przeciwnie sądzili rewizyoniści. Zjazd partyjny miał te spory rozstrzygnąć.

Sprawa właściwa przychodziła pod obrady w punkcie czwartym, gdzie miano debatować o taktyce właściwej socyalizmowi i dążeniach rewizyonistów, ale dotykał już jej punkt pierwszy. Chodziło w nim o kwestyę: czy mogą towarzysze być współpracownikami pism niesocyalistycznych. Referował Pfaunkuch, i w imieniu zarządu partyi postawił wniosek, że towarzysze nie mogą być redaktorami ani współpracownikami pism, które z nienawiścią i złośliwością napadają na socyalistów; w innych pismach mogą towarzysze pracować, o ile nie są zmuszani pisać przeciw socyalizmowi; jest jednak w wielu interesie,

by nie piastowali żadnych stanowisk zaufania w partyi, bo prędzej czy później, popadliby w konflikt z partyą. Zaraz wywiązała się dyskusya, która miała wypełnić gwałtownemi mowami trzy dni.

Argumentacye rozwijano na tle faktów niektórych towarzyszy, przyczem kłótnie mowców między sobą i z przewodniczącym zabrały najwięcej czasu. Skutek był ten, że przyjęto rezolucyę większością 283 głosów przeciw 24.

We czwartek (17 września) wzięto pod obrady rezolucyę proponowaną przez Bebla, Kautsky'ego i Singera w sprawie taktyki rewizyonistów i wiceprezydenta. Uchwalono dać najpierw głos Beblowi i Vollmarowi, potem innym mowcom. Zaczął Bebel. Scharakteryzowawszy stanowisko partyi w parlamencie i obecne położenie państwa, przeszedł do rozwiązania pytania, jakiej ma się trzymać taktyki frakcya posłów socyalistycznych w Radzie państwa. Odpowiedź można było przewidzieć i brzmiała: niezmiennie wedle zasad partyi, a jeżeli mamy się zmieniać to tylko, by „jeszcze ostrzej, energiczniej, bezwzględniej występować". Sprawa wiceprezydenta robi nas niepotrzebnie zależnymi od większości, naraża nowego urzędnika na zatargi z prezydentem lub partyą, poniża zależnością od dworu. Potem zwrócił się mowca do rewizyonistów, głównie do Vollmara i począł ich siec swym złośliwym dowcipem, apelując ciągle do namiętności tłumów.

Mową swą wypełnił Bebel trzy godziny, na nią odpowiedział Vollmar dłuższą jeszcze mową, w której dał znakomitą charakterystykę Bebla demagoga - dyktatora. Zwróciwszy uwagę, że nie do uczucia i namiętności, ale do spokojnej rozwagi apeluje, począł zbijać argumentacye Bebla. Wolność zdania w partyi jest dzisiaj mrzonką, skoro można mieć tylko Bebla przekonania. Rozwój zasad socyalistycznych i przystosowywanie ich do zmieniających się warunków były od początku; sam Bebel często tak postępował. Bebel posługuje się pochlebstwami, by sobie zjednać względy tłumów, ale to tak samo wstrętnie, jak ubieganie się o względy książąt. Gwałtowny i chciwy władzy nie przebiera w słowach i środkach, teroryzuje partyę.

Z następnych mowców w ten sposób oświetlił dążności rewizyonistów mowca Kolb. Czy się przyjmie, dowodził, teoryę rewolucyjną Kautsky'ego, czy ewolucyonizm Bernsteina, na jedno wychodzi. Rewolucya socyalna nie wtedy dopiero się zacznie, gdy upadnie porządek burżuazyjny, już stoimy wśród rewolucyi, a naszym celem jest tylko przyspieszać za pomocą agitacyi ten proces ewolucyjny. Rzeczywiście musimy zdobyć władzę polityczną, bo dobrowolnie nam jej nie dadzą,

chodzi o to, co znaczy zdobyć. Otóż jeżeli ktoś z pośród nas powołany zostanie do rządów, to już zdobyliśmy tę pozycyę: to są słowa samego Liebknechta. Nie jest prawdą, że rewizyoniści chcą zaprzestać walki klasowej i przejść do burżuazyi, oni tylko w chwilowe związki z nią wchodzą dla celów socyalizmu. Zresztą parlamentaryzm jest też instytucyą burżuazyjną, a przecież go używamy w naszych celach.

W tej samej kwestyi przemawiało jeszcze wielu, Kautsky, Bernstein, Auer, Fischer i inni; nawoływano do zgody, bo osobiste napaści kłótnie i zamieszanie przechodziły wszelkie granice. Sprawa się dopiero polepszyła, kiedy Bebel i Vollmar porozumieli się przed obradami, wtedy uchwalono w sobotę po obiedzie, większością 288 głosów przeciw 11 następującą rezolucyę:

Zjazd partyjny żąda, aby frakcya parlamentarna domagała się obsadzenia kandydatem z pośród frakcyi stanowiska pierwszego wiceprezydenta i jednego sekretarza w Radzie państwa, ale żeby odmówiła przyjęcia dworskich zobowiązań i innych, które się nie opierają na konstytucyi państwa lub przepisach Rady państwa.

Zjazd partyi stanowczo potępia usiłowania rewizyonistów zmierzające do tego, by naszą dotychczasową taktykę doświadczoną i zwycięską, opartą na walce klas, zmieniać w tym sensie, by w miejsce zdobywania politycznej potęgi przez zwyciężanie nowych przeciwników wprowadzić politykę zbliżania się do obecnego stanu rzeczy.

Skutkiem tej rewizyonistycznej taktyki byłoby to, że z partyi, która pracuje nad możliwie najprędszą przemianą obecnego burżuazyjnego porządku społeczeństw na socyalistyczny, a zatem jest w najlepszem słowa znaczeniu rewolucyonistyczną, że z tej partyi powstałaby taka, która się zadowala reformą burżuazyjnego społeczeństwa.

Przeto zjazd partyi, w przeciwieństwie do rewizyonistycznych dążności istniejących w partyi, jest zdania, że przeciwieństwa klas nie słabną, ale zaostrzają się, i obwieszcza: 1) że partya zrzuca z siebie odpowiedzialność za obecne polityczne i ekonomiczne stosunki, polegające na kapitalistycznej produkcyi i że dlatego odmawia uznania środkom, które nadają się do utrzymania przy rządzie klas panujących; 2) że partya dlatego nie może się starać o współudział rządów w społeczeństwie burżuazyjnem, stosownie do rezolucyi Kautsky'ego na internacyonalnym kongresie w Paryżu r. 1900. Zjazd partyi potępia dalej wszelkie usiłowania, by obecnie ciągłe rosnące przeciwieństwa klas tuszować, i tak ułatwić przyłączenie się do burżuazyjnych partyi.

Zjazd partyi spodziewa się, że frakcya poselska użyje potęgi, którą osiągła przez pomnożoną liczbę członków i gwałtowny przyrost stojących za nią wyborców, by zaznaczyć prawo do obsadzenia stanowiska pierwszego wiceprezydenta i jednego pisarza w Radzie państwa kandydatem ze swego łona, odmówi jednak przyjęcia dworskich zobowiązań lub poddania się pod jakiekolwiek warunki, ale tej potęgi użyje, odpowiednio do zasad naszego programu, by jak najsilniej i energiczniej strzedz interesów klas roboczych, rozszerzyć i upewnić polityczną wolność i jeszcze energiczniej, jak to dotąd było możliwe, prowadzić walkę z militaryzmem i marynizmem, z polityką kolonialną i światową, z bezprawiem, uciskiem i wyzyskiem w jakiejkolwiek postaci i pracować energicznie nad uskutecznieniem socyalnego prawodawstwa i spełnieniem politycznych i kulturalnych zadań klas roboczych.

Między temi dwoma walkami rozstrzygnięto sprawę bliżej nas obchodzącą, bo tyczącą socyalistów polskich. Referował o niej Gerisch. Partya polska, mówił, ma różne urojone pragnienia, jak np. wskrzeszenie polskiego państwa; powstają w niej różne organizacye z cechą stowarzyszeń tajnych, a z takiemi nie można wchodzić w pertraktacye. Podnosi się zatem protest przeciw uciskowi Polaków, ale nie można się solidaryzować z ich dążnościami. W obronie polskich towarzyszy wystąpili Henisch, Katzenstein i Lebedour, koło którego zebrali się licznie polscy towarzysze. Na ich jednak wywody odpowiedziała ostro Luxemburg, wyzywając ostatniemi słowy polskich towarzyszy. W końcu poddała rezolucyę, by wiec wyraził się przeciw dążnościom towarzyszów polskich, zwłaszcza o ile one zmierzają do utworzenia osobnej polskiej organizacyi. Rezolucyę przyjęto większością głosów.

Na obecną pracę i dążności socyalistów dużo rzuca światła kwestya parlamentarnej działalności. Projektów w tym względzie nadesłano dużo, a żądano w nich od posłów, by się zajęli usunięciem paragrafu o obrazie majestatu, wprowadzeniem służby wojskowej jednorocznej i pracy 8-godzinnej, rozszerzeniem prawa wyboru na kobiety, zabezpieczeniem żołnierzy przed nadużyciami w wojsku. Referent odpowiedział, że o to frakcya poselska starała się i starać się będzie, — zaczem uchwalono dla niej wotum zaufania, „w szczególności za energiczne użycie t. r. obstrukcyi".

Ostatnie posiedzenie odbyło się w niedzielę 17 września. Uchwalono jeszcze wstrzymać się zupełnie od pracy, gdzie to możliwe, na dniu 1 maja, odrzucono projekt ogólnego strejku i agitacyi zapomocą

płatnych sekretarzy, odesłano zaś dla braku czasu do najbliższego zjazdu liczne projekty tyczące zmian w statutach organizacyi, i kwestyę alkoholizmu. Na miejsce przyszłego zjazdu naznaczono Bremę. W zarządzie partyi obrano na przewodniczących Bebla i Singera. Obrady zakończył Singer przemową, w której podniósł, że na taką śmiałość i otwartość dyskusyi tylko tak potężna organizacya, jak partya, bez uszczerbku pozwolić sobie może.

Zjazd drezdeński nie wypadł po myśli socyalistów: zamiast obchodu tryumfalnego zobaczyli coś odmiennego całkiem. Stąd rozczarowanie, niezadowolenie, narzekania, którym publicznie i w ostrych słowach dają folgę pisma socyalistyczne, nie wyjmując *Vorwärts'u*. Jeżeli chodzi o sam socyalizm, to zjazd jaskrawo uwydatnił rozdział w jego łonie. Zwyciężyła partya ortodoksyjna, ale czy ta sankcya taktyki rewolucyonistycznej usunie rozdział? Sam Bebel w to nie wierzy, skoro w *Vorwärts* z 23 września pisze, że kwestya rewizyonizmu wróci *leider später von selbst wieder*. Doktrynerzy zwyciężyli dzięki Beblowi, ale rewizyoniści przedstawiciele rozsądku i nauki rosną ciągle w liczbę i powagę. Kiedy zwyciężą, trudno odgadnąć, to jednak chyba pewne, że ich zwycięstwo i rządy bardziej niebezpieczne dla społeczeństw.

M. B.

O biskupów polskich w Ameryce.

Najważniejszą dziś bez wątpienia dla Polaków amerykańskich kwestyą, jest sprawa biskupów w Stanach Zjednoczonych. W celu korzystnego załatwienia tej sprawy wysłał kongres polski swych przedstawicieli do Rzymu z odpowiednim memoryałem, który obecnie streszczamy.

Już w 1891 r. poruszono tę rzecz przed hierarchią kościelną w Ameryce i przed Kongregacyą Rozkrzewiania Wiary, zwracając uwagę na to, że z braku biskupów polskich łatwo Kościół sam ucierpieć może. Przewidywania nie omyliły, gdyż od 1895 r. około 50.000 Polaków odpadło od Rzymu, tworząc tak zwany Kościół niezależny. Kongres polski w Buffalo, obradujący we wrześniu 1901 r., doszedł po głębszem zastanowieniu się do tego przekonania, że głównym po-

wodem odstępstwa jest właśnie ów wyżej wspomniany brak; na to bowiem, jako na dowód zaniedbania Polaków przez władze kościelne, najwięcej powołują się przywódcy „niezależnych". Dlatego też do zebranych w Waszyngtonie 21 listopada 1901 r. arcybiskupów amerykańskich zwrócił się kongres z prośbą o zaradzenie złemu. Odezwa nie żądała bynajmniej jakiegoś biskupa narodowego, któryby zupełnie niezależnie rządził ludem polskim w Ameryce, ale prosiła o biskupów-sufraganów, którzyby przynajmniej posiadali język polski i przebywali w miejscowościach, w których Polacy tworzą pewien większy procent ludności katolickiej. Arcybiskupi przyjęli memoryał przychylnie, uznali ważność sprawy i rozumność postulatów, nie mogli jednak nic uczynić, ponieważ rzecz przekraczała ich kompetencyę. Gdy więc ta, skądinąd zupełnie legalna droga, do celu nie prowadziła, postanowił kongres zwrócić się bezpośrednio do samego papieża i przez swoich delegatów ks. Jana Pitassa [1] i ks. Wacława Kruszkę wraz z wybranym przez nich doradcą prawnym p. Mahany wręczyć Ojcu św. memoryał, domagający się utworzenia polskich biskupstw w Stanach Zjednoczonych. Memoryał [2] ten napisany po łacinie a obejmujący pięćdziesiąt stron druku, opowiada po krótce historyę powstania niniejszej kwestyi, omawia sposoby dotąd do załatwienia tejże używane i przechodzi do samej sprawy.

Mylą się ci, którzy twierdzą, że utworzenie biskupstw polskich rozerwie jedność Kościoła, która nie na jedności mowy, lecz na jedności wiary polega; tej zaś jedności przeszkadza nie różnorodność języków (nie przeszkadza ona przecież jedności samych Stanów), lecz raczej wyłączne panowanie języka angielskiego. Jedność wiary za to wzmocni obsadzenie w pewnych granicach stolic biskupich kapłanami rozumiejącymi swoich wiernych.

Dzisiaj ani biskupi nie rozumieją dyecezyan, ani dyecezyanie biskupów, stąd powstają niesłychane trudności w zawiadywaniu dyecezyami, gdyż wierni nie nabierają zaufania do swych, nierozumiejących ich pasterzy, biskupi nie mogą ocenić należycie potrzeb swoich poddanych. Jakżeż mogą zresztą ocenić te potrzeby, nierozumiejąc ich języka? Wielka część polskich księży mówi nie tylko po polsku i an-

---

[1] Z ważnych przyczyn odstąpił on swój mandat ks. Kruszce.

[2] *Supplices preces Suae Sanctitati Leoni Papae XIII ad Episcopos Polonos in Rebuspublicis Foederatis Americae Septentrionalis pro Gente Polona obtinendos.*

gielsku, lecz nadto jeszcze po francusku, włosku, niemiecku i czesku; niemieccy księża mogą się zwykle porozumieć ze swoimi parafianami angielskimi, francuskimi, włoskimi, często i polskimi w ich własnej mowie, księża zaś irlandcy tego nie potrafią; w archidyecezyi np. chicagowskiej wszyscy trzej biskupi, dwaj wikaryusze generalni i tyluż sekretarzy mówi jedynie po angielsku. Chcąc w takich dyecezyach coś zrobić, trzeba koniecznie przemawiać do ludu w jego ojczystym języku; ten dopiero, jak uczy doświadczenie, potrafi zjednać dusze, tem bardziej, że prawdy Boże głoszone w obcej mowie, nawet na rozumiejących tę mowę nie robią tego wrażenia, co głoszone w języku rodzinnym. Jak się więc dziwić, że łączność między biskupami a dyecezyanami coraz więcej się rozluźnia, że następuje coraz większe rozdwojenie! To też łatwo zrozumiałem jest zjawisko, że 50.000 zbłąkanych Polaków odpadło od swych prawdziwych Pasterzy i poszło za Kamińskim i Kozłowskim, którzy przyoblekając się pozornie w godność biskupią, w rodzinnej mowie do swych stronników przemawiają.

Powyższemu złemu nie mogą zaradzić polscy księża. Jest ich najpierw za mało, gdyż dwa miliony Polaków posiadają zaledwie czterystu księży. Lecz choćby ich było i więcej, to jednak zwykły ksiądz nie potrafi zastąpić biskupa ludowi, gdyż nie ma on pełności władzy i nie jest postawiony na to, by rządził Kościołem; stąd też wielka jest różnica między kapłanem każącym a biskupem nauczającym. Lud żąda koniecznie, by biskup wizytując dyecezyę, udzielając Sakramentu Bierzmowania, w zrozumiałym języku do niego przemawiał i tym sposobem jego duchowym potrzebom zadośćczynił i je zadawalniał.

Kongres a przez niego lud nie żąda bynajmniej biskupów w każdej dyecezyi, w której przemieszkiwają Polacy, lecz w tych przynajmniej, w których tworzą oni piątą, czwartą, trzecią część lub połowę ludności katolickiej. A takich dyecezyi jest wiele. Przed rokiem 1845 Kościół w Ameryce składał się wyłącznie prawie z Irlandczyków i Niemców; po tym roku wzrósł napływ Polaków, szczególniej po 1870 r. tak, że dzisiaj Słowianie (Polacy, Litwini, Czesi, Słowacy) tworzą prawie trzecią część katolików amerykańskich a sami Polacy liczą około dwóch milionów dusz. Memoryał, opierając się na dziele „Historya Polska w Ameryce“, podaje w tym względzie szczegółową statystykę, z którą dla lepszego wyjaśnienia rzeczy warto się tu zapoznać.

Stan	Archidyecezya lub dyecezya	Liczba Polaków	Liczba kolonii polskich	Liczba kościołów przez Polaków zbudowanych
Illinois	Chicago	197.000[1]	17	26
	Peoria	15.350	13	7
	Alton	2.000	2	
	Belleville	7.600	8	5
Wisconsin	Milwaukee	72.000	13	14
	Green Bay	45.000	45	37
	La Crosse	26.080	39	22
Michigan	Marquette	12.750	25	8
	Grand Rapids	44.500	28	21
	Detroit	52.760	17	14
Indiana	Fort Wayne	32.000	23	10
Ohio	Cleveland	52.730	19	11
	Columbus	1.400 (?)	3	1
	Cincinnati	1.000	1	1
New-York	New-York	45.400	13	11
	Brooklyn	28.000	4	5
	Albany	11.200	8	4
	Syracuse	5.000	2	2
	Rochester	8.000	5	4
	Buffalo	86.530	17	17
New-Jersey	Newark	21.600	10	8
	Trenton	15.600	8	6
Massachusets, Connectitut, Rhode Island, New Hampshire, Vermont, Maine (Nowa Anglia)		72.600	52	26
Pennsylvania	Philadelphia	46.300	13	11
	Harrisburg	14.700	9	7
	Scranton	49.900	31	24
	Erie	9.700	6	6
	Pittsburg	72.200	39	30
Maryland		22.000	3	3
Delaware		8.000	1	1
District of Columbia (Washington)		800	1	
West-Virginia		11.200	9	1
Minnesota	St. Paul	19.900	13	11
	Winona	14.100	8	6
	St. Cloud	20.200	19	15

[1] Jest to cyfra stanowczo za mała, gdyż według urzędowego sprawozdania prefekta miasta Chicago, Harrisona, w samem tylko Chicago mieszka 250.000 Polaków.

Stan	Archidyecezya lub dyecezya	Liczba Polaków	Liczba kolonii polskich	Liczba kościołów przez Polaków zbudowanych
	Duluth	16.400	14	11
Dakota (półn. i poł.)		15.750	13	6
Nebraska	Omaha	16.000	20	14
	Lincoln	2.490	4	4
Missouri	St. Louis	16.400	5	6
	St. Ioseph	1.700	2	1
	Kansas City . . .	1.600	2	2
Kansas		1.600	2	1
Arkansas		1.550	3	1
Iowa, Louisianna, Oklahoma, Indian Territory, Arizzona, New Mexico, Alaska, Hawai, Newada		4.935	9	1
Montana		1.100	4	
Wyoming		1.000	1	
Colorado.		1.700	3	1
Idaho		300	1	1
Utah.		500	2	
Washington . . .		3.900	11	2
Oregon		1.900	13	3
California		2.000	5	
Texas	San Antonio . . .	11.559	22	17
	Galveston	7.700	11	10

Wszystkie te Stany liczą razem z rozproszonymi Polakami:

Illinois	339.745 [1]
Wisconsin.	158.945
Michigan	141.830
Indiana	32.000
Ohio	84.110
New-York.	333.725
New Jersey	71.785
Nowa Anglia	170.315
Pennsylvania	381.790
Maryland, Delaware, District of Columbia, West Virginia	42.000
Minnesota.	80.000
Dakota (północna i południowa)	15.750
Nebraska	18.490
Texas	19.250
Różne inne prowincye	39.685

[1] Porównaj poprawkę na str. 166.

Ogólna tedy liczba Polaków w Ameryce wynosi około a może i więcej jak dwa miliony dusz, a tworzą oni prawie piątą część w dyecezyach: Pittsburg, Cleveland, Chicago, St. Clodoald, Marquette, Hartford — czwartą część w dyecezyach: Detroit, Green Bay, Omaha, Milwaukee — trzecią część w dyecezyach: Scranton, Harrisburg i kilku innych; połowę i więcej w dyecezyach: Buffalo i Duluth.

Porównując te cyfry, uderza na pierwszy rzut oka fakt, że w rozmaitych proporcyach osiedlili się w rozmaitych miejscowościach Polacy; dlatego też kongres prosi o biskupów dyecezyalnych lub sufraganów[1] dla następnych dyecezyi: dla Chicago (261.200?), Bouffalo (296.500), Pittsburg i Scranton (306.000), Milwaukee i Green Bay (178.460), Detroit, Cleveland i Grand Rapids (186.300), St. Paul i Duluth (96.000) i Hartford (139.500); biskupów tych naród sam utrzymywać będzie.

Memoryał miał być wręczony Ojcu św. Leonowi XIII; przyszedł on już za późno. Za to papież Pius X widząc, że sprawie tej sprzyja rząd amerykański, wielu członków z episkopatu amerykańskiego i lud nie tylko polski, przyjął, jak o tem doniosły gazety, łaskawie delegacyę polską, obiecał zająć się sprawą a w dowód swej sympatyi wręczył delegatom swoje fotografie. Jest to dobry na przyszłość prognostyk; sprawa weszła na drogę szczęśliwą. Spełniają się powoli, jak czytamy w memoryale, słowa biskupa Spaldinga, wypowiedziane z okazyi poświęcenia kościoła w La Salle: „Nie jestem prorokiem, lecz to wam przepowiedzieć mogę, że Polacy w Kościele katolickim w Stanach Zjednoczonych niepoczesne zajmą miejsce. Przypływ innych narodowości... z dnia na dzień się zmniejsza, wzrasta zaś nieustannie napływ Słowian. Ten wiek zaiste nazwaćby można wiekiem wędrówek Słowian... Ponieważ jednak Polacy Słowian liczbą przewyższają, i oni ponad innymi zakwitną. Tu bez wątpienia rozpocznie się druga Historya Polski".

Ks. W. W.

---

[1] Również chętnie przyjąłby Kongres i Wikaryuszów Generalnych, choć ci ostatni, nie mając święceń biskupich, nie wiele dla dobra Kościoła uczynić będą mogli!

Druk ukończono 30 września 1903 r.

W OBRONIE NARZECZY LUDOWYCH

PRZED SZKOŁĄ WIEJSKĄ.

Nie łatwe będzie miał zadanie, kto zechce rozpatrzyć się sumiennie w trzydziestoletniej działalności ostatnich galicyjskich pokoleń, i bezstronny sąd o jej owocach wydać postanowi. Kraj od stu lat prawie wyzyskiwany, ubożony i sztucznie w zastoju utrzymywany przez austryacką biurokracyę, był w stanie tak opłakanym, dobrobyt jego spadł tak nisko, oświata była tak zaniedbana, na tylu naraz i tak różnorodnych polach trzeba było poprawy, że o rychłem podźwignięciu się z nędzy i ciemnoty marzyć nie było można. Na jakiemkolwiek polu kto rozpoczynał cywilizacyjną pracę, każdy od podstaw musiał zaczynać i zdzierać siły w walce z piętrzącemi się trudnościami.

Po trzech dziesiątkach lat postęp na ogół jest ogromny, ale nie wszędzie równomierny. W jednych dziedzinach skutki działalności są wręcz olbrzymie, w drugich dosięgają znacznego poziomu, w innych szło trudniej i, mimo wysiłków, nie daleko doprowadzono, a sprawiedliwość wyznać każe, iż są i takie pola, na których nic, albo nader niewiele zdziałano.

Z wszystkich gałęzi życia kulturalnego największą bodaj uwagę zwrócono na szkolnictwo, i słusznie. Że do dziś dnia są braki i wady w tej mierze, temu nikt nie przeczy, ale jeśli się zestawi stan oświaty dzisiejszy z tem, co było przed laty

trzydziestu, to z porównania tego kraj cały ma prawo być dumnym.

Dwie były drogi do wyboru: albo krok za krokiem postępować, powoli wychowując sobie całe pokolenie znakomitych nauczycieli a szkół stawiając niewiele, byle pierwszorzędnych pod względem budynków, urządzeń i wyposażenia; albo też zważywszy nagłość potrzeby, wytężyć wszystkie siły, byle w jak najkrótszym czasie zdobyć się na jak najwięcej szkół i nauczycieli. Wprawdzie szkoły zakładane na raz w tak znacznej liczbie i z takim pośpiechem nie będą jeszcze wzorowe, a zastępy nauczycielskie zgromadzone naprędce nie odrazu się wyrobią, ale na długie zwłoki i przygotowania czasu niema, walka z odwieczną ciemnotą rozpocząć się musi doraźnie, na całej linii, natychmiast. Mając już sporo jakichtakich szkół i nauczycieli, łatwiej będzie można wydoskonalić jedno i drugie.

Jeden z najzasłużeńszych ludzi, w czasie ścierania się tych dwóch sprzecznych poglądów na szkolnictwo, Mikołaj Zyblikiewicz, powtarzał ciągle: „Niechaj szkoła będzie bodaj w kurnej chałupie, byle była w każdej gminie!“ I rzeczywiście to zdanie zwyciężyło, poparte ogromnym wpływem, potężną wolą tego niezłomnego człowieka. W krótkim stosunkowo przeciągu czasu szkoły wyrastając setkami, stanęły wcale gęsto po kraju, w zamożniejszych okolicach obszerne, widne i dobrze urządzone, w uboższych skromne i niepokaźne, ale ich stanęło tyle, że stan oświaty niebawem jął się podnosić widocznie. Trudniej było o nauczycieli; w braku doskonałych przyjmować musiano i miernych, byle nastarczyć potrzebie i szkoły tworzące się obsadzić. Nie sute, a miejscami wprost liche bywało ich wynagrodzenie, zwłaszcza w zapadłych górskich wioseczynach, mimo że sejm połowę niemal dochodów krajowych na cele szkolnictwa wydawał i dotąd wydaje. Pomału jednak i poziom nauczycielstwa zaczął się podnosić, i dziś w znacznej większości spełnia on swoje szlachetne a mozolne posłannictwo bez zarzutu a częstokroć z podziwu godnem poświęceniem.

Stosunki w szkolnictwie galicyjskiem uległy wielkiej zmianie na lepsze, zwłaszcza od czasu pamiętnego wniosku Stani-

sława Badeniego. Ustawa, na wniosek ten uchwalona, obciąża dość znacznie właściciela gruntów dworskich na rzecz miejscowej szkoły ludowej, choć przecie dwór bezpośrednich korzyści z szkoły najmniej odnosi. Kto zna skład sejmu galicyjskiego, ten wie, że właściciele wsi, szlachta, stanowią w nim przeważną większość; wniosek Badeniego przeszedł jednogłośnie, była to zatem z ich strony dań dobrowolna, poniesiona w obywatelskiem poczuciu. Nie bez korzystnego wpływu na szkolnictwo powstały i rozwinęły się, dziś już bardzo liczne, Towarzystwa Szkoły Ludowej, Macierzy Szkolnej, zawiązane na wzór niemieckich i czeskich związków szkolnych.

Ostatecznym wynikiem wszystkich tych usiłowań jest to, że dzisiaj liczba nieczytelnych i niepiśmiennych jednostek wśród młodszego pokolenia wiejskiego i miejskiego znacznie zmalała. Wykazy statystyczne wypadają wprawdzie i dotąd jeszcze ponuro, lecz w rzeczywistości jest bez porównania lepiej niż na papierze, a to z tej prostej przyczyny, że statystyka bierze w rachubę wszystkich, zarówno małe dzieci, które do szkoły dopiero pójdą, jak i starszą generacyę, która czytać ani pisać nie umie, bo za jej czasów szkoły nie istniały. Gdyby jednak sporządzono wykaz ludności czytającej w wieku od 8 do 45 lat, to najniezawodniej okazałoby się, że oświata galicyjska uczyniła niesłychane postępy. Niech tylko wymrze stare pokolenie analfabetów, a cyfry statystyczne wykażą wówczas zgoła odmienne, bardziej prawdy blizkie, a nierównie korzystniejsze wyniki.

Wszystko, co tu powiedziano, nie znaczy bynajmniej, iżby szkolnictwo galicyjskie miało być wzorem doskonałości. Co prawda, stanęło ono dość wysoko, zdziałało bardzo dużo, jest na drodze ustawicznego wzrostu i rozwoju — to pewna. Wszelako pod wielu jeszcze względami szkoła galicyjska wymaga zmian i udoskonaleń. To też nierzadko podnoszą się publicznie głosy wytykające jej mniej lub więcej słusznie różne usterki i braki.

Nikt atoli nie wystąpił dotychczas z określeniem i ocenieniem wpływu, jaki wiejska szkoła ludowa wywiera na język

ludowy w Galicyi. A wpływ ten działa statecznie, ciągle, rozpościera się coraz szerzej, sięga coraz głębiej, więc nie można lekceważyć go, ani pomijać milczeniem.

* * *

Niesłusznie zwano nieraz nasze rozmaite narzecza ludowe pogardliwem mianem „gwar“, które w zupełności odpowiada francuskiemu wyrazowi *jargon*. Pomiędzy narzeczem a gwarą zachodzi bowiem ta zasadnicza różnica, że kiedy gwara jest zepsutym, barbarzyńsko poprzekręcanym językiem literackim, to, narzecze jest języka literackiego źródłem i żywym materyałem. Skutkiem przenoszenia wyrazów z gwary do języka literackiego byłoby zanieczyszczanie go i szpecenie, podczas gdy takie samo przenoszenie wyrazów czy zwrotów z narzeczy wzbogaca i organicznie rozwija literacki język.

Stosunek narzeczy ludowych do języka literackiego bywa jednak bardzo różny. I tak w języku niemieckim lub francuskim narzecza tak są odmienne i dalekie od języka literackiego, że wprowadzanie z nich wyrazów do piśmiennictwa jest albo tylko w małym stopniu możliwe, albo nawet wręcz niepodobne. Między językiem inteligentnych Francuzów, a owymi różnymi *patois*, jakimi mówią chłopi francuscy, jest przepaść tak niezgłębiona, że częstokroć wzajemne porozumiewanie się staje się niemożliwem. Narzecza bretońskie, prowansalskie i inne wyrosły bowiem z pierwiastków obcych dzisiejszej francuzczyźnie, która w całym swoim historycznym rozwoju na innych oparta była podstawach, odmiennym ulegała wpływom. Podobnie *Platt-deutsch* i *Nieder-deutsch* różnią się ogromnie od literackiego *Hochdeutsch*. Że to jest rzeczywistą prawdą, widzimy w literackiej praktyce. Żaden z pisarzy francuskich nie bada narzeczy ludowych, żaden nie wprowadza z nich nic do literatury. A jeśli który dla zachowania barwy miejscowej, upstrzy powieść lub dramat naleciałościami wziętemi z narzecza, to musi je w odsyłaczach objaśniać, jako zupełnie obce czytelnikom. Podobnie dzieje się w piśmiennictwie niemieckiem. Hauptmann napisawszy „Tkaczy“ w narzeczu ludowem, p r z e t ł u m a c z y ć musiał ten

utwór, bo publiczność słuchała sztuki, jakby w obcym języku granej.

Zupełnie inaczej ma się rzecz w polszczyźnie. U nas pomiędzy językiem literackim a narzeczami niema przepaści, owszem jest nawet bardzo silny łącznik. Pomostem tym jest stara polszczyzna z XVI i XVII wieku, język pisarzy złotej, zygmuntowskiej epoki. Znaczna większość wyrazów i zwrotów ludowych jest niczem innem, jak najpiękniejszymi archaizmami, i da się odnaleźć w pismach Reya, Jana i Piotra Kochanowskich, Klonowicza, Wujka, Skargi. Pod jednym tylko względem różnią się wybitnie wszelkie narzecza ludowe polskie od starego języka klasyków. Ci przeszli przez szkołę łaciny, i przejąwszy się nią, na niej wzorują swą składnię, szyk i budowę zdań, gdy lud przeciwnie, nietknięty wpływem łaciny, budowę zdań i składnię zachował rdzennie polską, słowiańską. Z tem jednem zastrzeżeniem możnaby powiedzieć, że właściwie lud nasz używa dotąd języka klasyków zygmuntowskich. Oczywiście, że w narzeczach znajdzie się mnóstwo wyrazów, których niema w piśmiennictwie XVI i XVII wieku, i naodwrót. Z tych jedne nie weszły do języka literackiego, jedynie tylko przypadkowo, były może w użyciu ustnem zarówno u warstw najoświecieńszych, jak u ludu, ale literatura stosunkowo niezbyt bujna, nie ogarnęła i nie wyczerpała całego języka. Inne znowu wyrazy, przechowane w piśmiennictwie, zaginęły w narzeczach, a natomiast wytworzył sobie lud z biegiem wieków całe olbrzymie zasoby językowe w każdej okolicy nieco odmienne, przez piśmiennictwo jeszcze nie wyzyskane, ale urobione przeważnie od znanych i zrozumiałych źródłosłowów — i dlatego zupełnie jasne pod względem znaczenia. Wszelkie zaś ludowe wytwory języka — z nielicznymi chyba wyjątkami — są szczęśliwie i trafnie urobione i z duchem języka zgodne, dlatego, że lud obcych języków nie zna i poczucie polszczyzny w całej sile i świeżości zachował. Najlepszym tego dowodem są naleciałości obce, które my „poprawnie“, czyli zgodnie z zasadami obcego języka wymawiamy, gdy lud łamie je, gruchoce i do podobnych polskich

dźwięków póty nagina, póki im polskiego kształtu i brzmienia nie nada.

W ten sposób niegdyś, nie znając żadnej cudzej mowy, postępował cały naród z obcymi wyrazami: więc z niemieckiego *Kelch* utworzył polski kielich, z greckiego *Kojmenterion* — cmentarz, z łacińskiego *palatium* — pałac i t. p. Tak samo i teraz lud całe mnóstwo słów obcych starł, zmiażdżył i na polskie przerobił (np. *morfina* spolszczone w Krakowskiem na martwina i t. d.). Wiadomo, że gdy władze pruskie urzędowymi nakazami zniemczyły sztucznie wiele nazw polskich miejscowości, ludność okoliczna w krótkim czasie te nowe niemieckie miana spolszczyła napowrót, przywracając im swojskie brzmienie. (Wymownym przykładem jest miasteczko Leszno zniemczone na Lissa, spolszczone ponownie — Łysa). Żywiołowa, nieprzeparta potęga języka w ustach ludu jest rzeczą znaną i uznaną, o której zbytecznem byłoby się dłużej rozwodzić. To pewna, że obcy wyraz w ustach ludu zabłąkany jest jak ziarno piasku w małży perłowej: perłowiec obraca, przetrawia i obrabia je póty, aż je przyswoi, otoczywszy perłową powłoką.

To nie dające się zaprzeczyć wrodzone, żywiołowe poczucie języka, jego ducha i zasadniczych przyrodzonych jego praw, objawia się we wszystkich narzeczach polskich. Instynktownie przez lud utworzone zwroty, wyrażenia, czy formy, są zawsze silne, barwne, wymowne, z naturą i ustrojem języka organicznie związane, w przeciwstawieniu do sztucznych wyrobów językowych, ukutych uczenie a jednak niezdarnie i fałszywie w warsztatach literatów i filologów. Lud rodzi wyrazy, jak matka rodzi dziecko, nauka jeśli poważy się tworzyć wyrazy, preparuje je jak göthowski Wagner swego Homunculusa w II części Fausta. To też narzeczom właśnie zawdzięcza język polski swą żywotność, swą rozrodczą siłę, swą zdolność rozrostu i bujność.

Najlepsi polscy pisarze czuli to wyraźnie, uznawali głośno. Wszyscy oni, od Mickiewicza począwszy, najświetniejsi mowy polskiej mistrze i władcy czerpali i czerpią z dwóch krynic: ze starego języka złotej zygmuntowskiej epoki i z narzeczy, żyjących w ustach ludu. Pseudoklasycyzm, który zubożył i wy-

cieńczył język literacki, przesiewając słowa przez przetak „dobrego smaku“ i odrzucając z pogardą „wyrazy gminne“, pseudoklasycyzm, oschły a wymyślny, za złe brał romantykom i przewódcy ich Mickiewiczowi, że właśnie z narzeczy ludowych pełnemi garściami czerpali i nobilitowali owe „gminne wyrazy“, dopuszczając je do poezyi. Istotnie, jeśli porównamy język Mickiewicza, Słowackiego, Zaleskiego z przyjętym podówczas językiem „oświeconego towarzystwa“ i z językiem ówczesnego piśmiennictwa, to na pierwszy rzut oka musi nas uderzyć w ich dziełach mnóstwo „prowincyonalizmów“, czyli wyrazów zapożyczonych z narzecza ludowego. Z pism poetów romantycznych przeszły już do języka literackiego te ludowe słowa i zwroty, i dziś nie tylko nas nie gorszą i nie rażą, ale owszem, najwięcej je podziwiamy, one bowiem stanowią bogactwo, barwność, potęgę i świeżość języka największych romantyków. Owo uszlachcanie „wyrazów gminnych“ przez poezyę i literaturę naszą trwa nieustannie w dalszym ciągu, rozszerza zakres języka, wzbogaca jego zasób słowny, przysparza mu coraz nowych soków. Bez wyjątku niemal każdy wybitny dawniejszy czy dzisiejszy pisarz, jeden więcej drugi mniej ludowych zwrotów i wyrazów do piśmiennictwa wprowadza, i to nie tylko w cudzysłowie, nie tylko w utworach wprost na tle życia wiejskiego osnutych.

Zapewne, narzecza ludowe brzmią niekiedy szorstko i surowo, wyrażają się czasem dosadnie, a nawet rubasznie, ale za to na ogół częstsze są i z duchem polszczyzny zgodniejsze, niż potoczna mowa niektórych warstw oświeceńszych. Od ludzi, którzy mają się i uchodzą za wykształconych, usłyszeć można potworności językowe wprost nie do uwierzenia. Pomińmy już śmieszny parafiański wykwint, który sadzi się na bezmyślną mieszaninę obcych języków z polskim: „N a ż u r z e u pani X, pan Y e m a b l o w a ł pannę Z i robił jej *la cour*“, czasem po prostu „kurę“. To już wręcz przypomina panią Płachcinę z „Kollokacyi“ Korzeniowskiego i jej nieoszacowane: *En voulez-vous des bulles Monsieur Jacob?* Ale przysłuchajmy się jakiejkolwiek rozmowie w „dobrem“ i w „najlepszem“ towarzystwie; jak często polskie wyrazy, nawet wytwornie dobrane i piękne, układają się

w jakiś szyk cudzoziemski i w budowę nie mającą nic wspólnego z polskim językiem. To „gwara“ salonowa, bo przecie językiem tego nazwać nie można. Weźmy do rąk pierwsze lepsze polskie czasopismo i czytajmy — nie krawieckie sprawozdanie z balu, upstrzone na pół francuskiemi dziwadłami, ale jakikolwiek inny dział — wszędzie roi się od błędów. Po stylu i języku, a raczej po wykroczeniach przeciw stylowi i językowi, poznać można z łatwością z jakiego języka przetłumaczono ten lub inny ustęp na polszczyznę, a właściwie na „gwarę“ gazeciarską! A jak wspaniałe lekceważenie, jak dumną wzgardę językowi polskiemu okazują niektórzy uczeni, którzy nie raczą dobrze i pięknie pisać, bo to — ich zdaniem — jest obowiązkiem tylko poetów, powieściopisarzy i innych „belletrystów“ *(belles-lettres)*, nauka zaś ma osobny przywilej na kaleczenie języka i deptanie jego praw. Tak rozumując, wytworzyli oni sobie dziwaczną „gwarę“ naukową lub raczej całe szeregi gwar, bo każda gałąź wiedzy ma swoją własną.

Nie oni jedni, bo czy jest choć jeden zawód, choć jeden stan, któryby nie miał swojej odrębnej „gwary“, nie wprowadzał do języka swoich własnych błędów „fachowych“ (zamiast „zawodowych“) i po swojemu nie pastwił się i nie znęcał nad polskim językiem? Rzecz prosta, że na odrębne pojęcia, z pewną dziedziną wiedzy lub zawodem związane, muszą być także odrębne wyrażenia, ale mogłyby być dobrze, prawidłowo urobione a najczęściej urabiać ich nie trzeba, gdyż możnaby zastosować istniejące wyrazy z narzeczy ludowych, nadając im pożądany odcień znaczenia.

Trudno dziwić się innym, gdy nawet ci, którzy szczególniejszy mają obowiązek czystości języka przestrzegać, owi „belletryści“, nie znają go dostatecznie i poniewierają nim zuchwale. Zewsząd podnoszą się skargi na szpecenie i każenie polszczyzny, skargi w zasadzie słuszne ale, niestety, nie zawsze same wolne od błędów, a najczęściej stronnicze. Galicyjscy bowiem stróże języka rozdzierają szaty, zgorszeni błędami Warszawy i Królestwa, Warszawiacy urągają polszczyźnie galicyjskiej, jedni i drudzy łamią ręce nad zepsuciem języka w Poznańskiem, a najsmutniejsze to, że wszyscy mają słuszność, bo nigdzie po pol-

sku dobrze się nie mówi ani nie pisze. I każdy z nas, bez wyjątku, nawet zabierając głos w tej sprawie, powinien uderzyć się w piersi i sam do siebie przedewszystkiem zastosować sławny wiersz Słowackiego:

Mówię, bom smutny i sam pełen winy.

Trudno nie przyznać wobec tego, że lud wiejski zachował najsilniejsze poczucie i najżywszy zmysł języka polskiego. Narzecza, mimo że niewytworne i nieogładzone, są skarbem nieocenionym a zarazem niewysychającem źródłem języka. Korzystanie z tego skarbu nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Nie każdy w tem rękę ma równie szczęśliwą, nie każdemu to w równym udaje się stopniu. Okrom poczucia języka trzeba mieć wielki zmysł artystyczny, aby w sposób właściwy, zrozumiale i pięknie z narzeczy ludowych wprowadzać słowa i zwroty całe do piśmiennictwa. Dla prawdziwego talentu, jak wdzięczna to droga, jak niezmiernie rozległe pole!

Miarę olbrzymiego bogactwa naszych rozmaitych narzeczy daje poniekąd „Słownik gwar polskich“, znakomite dzieło nieodżałowanego Jana Karłowicza. Pierwsze dwa tomy, które wyszły dotychczas, obejmują przeszło tysiąc stronic drukowanych w dwie kolumny; w każdej kolumnie jest od czterech do ośmnastu wyrazów, można zatem na jedną stronicę lekko liczyć wyrazów dwadzieścia, czyli dwa owe tomy od A do K mieszczą około 20.000 wyrazów. Po niezmordowanym badaczu i znawcy języka zostały podobno na szczęście gotowe już niemal materyały do dalszych dwóch tomów, które dopełnią całości dzieła. Objętość ich, jeśli sądzić będziemy z dwóch pierwszych, nie może być mniejsza. W przybliżeniu więc można oznaczyć cały zasób narzeczy ludowych na jakie 40.000 wyrazów. Gdyby z nich tylko dziesiąta część przeszła na stałe do literatury, to czterotysięczny przybytek wyrazów byłby olbrzymiem wzbogaceniem języka naszego, który i tak już należy do najbogatszych i najświetniejszych, a dzięki narzeczom ludowym, ma przed sobą taką zdolność rozwoju i taką przyszłość, jak żaden inny na świecie.

* * *

Powróćmy teraz do galicyjskiej szkoły wiejskiej i przypatrzmy się, jakie ona stanowisko zajmuje wobec narzeczy ludowych.

W imię oświaty a zarazem w myśl wskazówek otrzymanych od władz szkolnych, nauczyciel obowiązany jest do zwalczania narzecza okolicznego. Wykorzenia więc pilnie właściwości miejscowej wymowy takie, jak mazurowanie (*c* zamiast *cz*, *s* zamiast *sz*, *z* zamiast *ż*) lub jak *á* pochylone (dźwięk pośredni między *a* otwartem i *o*) będące zabytkiem klasycznej polszczyzny XVI i XVII wieku, poprawia błędną wrzekomo, a właściwie tylko archaiczną składnię i odmianę wyrazów, tępi słowa i zwroty stanowiące bogactwo i piękność narzeczy, a zastępuje je najniepotrzebniej wyblakłemi, bezbarwnemi słowami i wyrażeniami języka książkowego

Oświata ludu nic na tem oczywiście nie zyskuje. Wszak narzecza polskie są wszystkie na tyle zbliżone do języka piśmiennego, że przeszkodą do kształcenia się nie mogą być ludowi: chłop z jakiejkolwiek okolicy, bez względu na to, jakiem narzeczem mówi, przeczyta z łatwością i zrozumie doskonale każdą książkę literackim językiem pisaną, byle była przystępna treścią a sposobem pisania do miary jego pojęć zastosowaną. Główny cel szkoły, umożliwienie uczniom dalszego czytania i oświecania się dałby się przeto wybornie pogodzić z zachowaniem i uszanowaniem narzeczy. Mówienia, a tem już mniej pisania literackim językiem, szkoła wiejska bądź co bądź nikogo nauczyć nie zdoła. Mieszanina narzecza i języka literackiego, jakiej używają wsi w najbardziej oświeconych okolicach np. pod Krakowem, pozbawiona już jest w znacznej części zalet i piękności narzecza, a daleko jej bardzo jeszcze do książkowej poprawności.

Bardzo często zauważyć można wśród ludu znamienny rys, dotyczący wymowy: Czytając głośno, wymawiają zwykle najczyściej i najstaranniej, według prawideł szkolnych, bezpośrednio zaś potem powracają w rozmowie do narzecza i do charakterystycznej swojej wymowy.

Bodaj czy zdrowy chłopski rozum nie wskazuje tu naj-

lepiej granicy, jakiejby szkoła trzymać się powinna. Niechajby elementarz pisany był jak dotychczas — literackim językiem, niechby przy czytaniu nadal przestrzegano wymowy książkowej a przy pisaniu pisowni książkowej uczono; poza tem jednak mogłaby szkoła, bez uszczerbku oświaty, pozostawić ludowi w każdej okolicy narzecze jemu właściwe, jako rzecz piękną i cenną, nie zasługującą bynajmniej na tępienie.

Bez uszczerbku oświaty, a nawet owszem, z niemałą dla niej korzyścią byłoby połączone takie zaniechanie walki szkół z narzeczami. Dość pomówić w tej sprawie z nauczycielami, a jeszcze lepiej, na miejscu przysłuchać się nauce szkolnej, aby wynieść przekonanie, że na rugowanie narzecza zużywa się bezcelowo i niepotrzebnie mnóstwo sił zarówno nauczyciela jak uczniów i wiele drogiego czasu. Ten czas i tę pracę zmarnowaną, możnaby obrócić na udzielenie dzieciom niejednej użytecznej wiadomości, której szkoła galicyjska obecnie udzielić nie może, bo zanadto zajęta wpajaniem w dzieci wiejskie książkowego języka.

Mógłby kto zarzucić, że przecie pewna część uczniów po ukończeniu szkoły wiejskiej przejdzie do gimnazyów, gdzie już mówienie narzeczem nie wystarcza. Odpowiedź na to łatwa: naprzód nie bezpośrednio ze szkółki wiejskiej przechodzą chłopcy na ławkę gimnazyalną — czeka ich przedtem co najmniej jednoroczna nauka w wyższych klasach szkoły ludowej w mieście, skąd wynoszą początki języka niemieckiego, bez których do gimnazyum dostać się nie można, a których wiejska szkoła wcale nie udziela. Mają zatem czas wyuczyć się literackiego języka polskiego. Powtóre do gimnazyum idą ze wsi tak nieliczne wyjątki, że brać ich w rachubę nie ma potrzeby ani możności szkoła, przeznaczona dla setek dziatwy, która pozostanie potem przy roli. Zresztą wyjątki te zazwyczaj są też wyjątkowo zdolne, więc przyswojenie sobie w najkrótszym czasie języka piśmiennego nie będzie przedstawiało dla nich żadnych trudności.

Na walkę szkoły wiejskiej z narzeczami właściwe światło rzucić może proste zestawienie dwojakich scen, z których jedne —

z pewnemi zmianami — powtarzają się stale w szkole ludowej a drugie w gimnazyum.

Scena I w szkole na wsi.

Nauczyciel: Wojtuś, opowiedz nam, cośmy tu czytali o Piotrze i Pawle?

Siedmioletni Wojtuś (wstając): Piotr i Paweł, dwaj sąsiedzi zawdy jeno kłócili się ze sobą...

Nauczyciel (przerywa): Nie tak, moje dziecko! Dlaczegóż mówisz zawdy zamiast zawsze i jeno także jest źle, powinno się mówić tylko.

. . . . . .

Scena II siedem lat później w gimnazyum.

Profesor (do Wojtusia): Cóż tam masz dalej w trenie XII Jana Kochanowskiego? Czytaj!

Wojtuś (powstawszy, czyta):

Zawżdy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi
Zawżdy się uradować i przywitać z drogi
Każdej roboty...

Profesor (przerywa): Dość, poczekaj! W tych wierszach poeta przedstawia, jak Urszulka wybiegała naprzeciw niemu przed dom. Rys wzięty wprost z życia. Kochanowski w innem miejscu sam o sobie powiada: „Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję..." A język, jaki prześliczny. Przeczytaj-no jeszcze raz...

Wojtuś (czyta): Zawżdy przeciwko ojcu...

Profesor (przerywa): „Zawżdy"! o ileż piękniejsze, poważniejsze to staropolskie „zawżdy" od naszego pospolitego, zużytego „zawsze"! Albo w tamtym wierszu: ...„jeno jako żyję". „Jeno"! dziś powiedzielibyśmy: tylko! Ten stary, wspaniały język XVI wieku zachował się jeszcze miejscami wśród ludu wiejskiego... i t. d.

I pomyśleć, że w szkole wiejskiej przez trzy lub cztery lata z trudem i mozołem zabijano w ustach Wojtusia „ten stary, wspaniały język XVI wieku, żyjący jeszcze wśród ludu wiejskiego", a zabijano jedynie na to, żeby Wojtuś po siedmiu latach mógł podziwiać go, jak martwy preparat anatomiczny w spirytusie!

Jeśli tak dalej pójdzie, to w Galicyi przynajmniej narzecza ludowe ulegną zagładzie przed upływem lat pięćdziesięciu. Najgorzej na tem wyjdzie język polski, bo odpadną mu te podziemne korzenie, któremi zasila się i rozrasta. Oświata nic na na tem nie zyska, bo przecie polega ona przedewszystkiem na rozwijaniu pojęć, a nie na politurowaniu i wygładzaniu uczniom języka.

Szkoła wiejska w Galicyi, pod tylu względami tak bardzo

zasłużona, powinnaby więc porzucić niefortunną rolę niszczycielki ludowych narzeczy.

Trudności byłyby niemałe w urzeczywistnieniu takiej zmiany stosunku szkoły do języka ludowego. Nie można przecie nauczycielowi odjąć wręcz prawa poprawiania dzieci szkolnych dlatego tylko, że to dzieci wiejskie: wszak i one popełniają błędy. Jak ustanowić granicę między tem, co poprawiać należy, a tem, czego poprawiać nie trzeba?

Nie o rozstrzygnięcie tak zawiłej sprawy chodziło w tej drobnej pracy, ale raczej o wprowadzenie jej na porządek dzienny i poddanie rozwadze wszystkich, którym na sercu leży dobro zarówno języka polskiego, jak szkoły ludowej.

Lucyan Rydel.

Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich [1].

„Und unsere Beweise für diese ungeheuerliche Behauptung?“
Słowa d-ra A. Brücknera w *Beilage z. Allg. Zeit.* nr. 164, str. 156a z 1903 roku [2].

Dr A. Brückner, językoznawca berliński, zaczął w niemieckiem i polskiem społeczeństwie szerzyć o apostołach słowiańskich pogląd, dla którego sam przewiduje, że ktoś może użyć nazwy potwornego: *ungeheuerliche Behauptung.*

Kto ani nie Słowianin, ani nie katolik, ten może wcale nie widzieć w tem nic potwornego, że jakiś pogląd powstanie przeciwko którejś prawdzie dziejowej. Ale Polak nie obojętną prawdę zaczepioną widzi w zarzutach zwróconych przeciw Braciom Sołuńskim. Cyryla i Metodego chlubnie wspomina Słowiańszczyzna od tysiąclecia jako swoich światłodawców; czci ich Kościół jako Świętych, i sławi ich zasługę, iż wyprowadzili przodków naszych z ciemnoty niepiśmiennego prostactwa i zwrócili na drogę jasnej prawdy chrześcijańskiej. A przedstawiciel berlińskiej nauki głosi, że w sądzie o słowiańskich apostołach

[1] Rzecz p. Brücknera zapuszcza się daleko w zakres spraw czysto kościelnych. Z tego względu, zwłaszcza, że p. Brückner atakując obrządek słowiański, staje jakoby rzecznik Kościoła rzymskiego, wypadało, ażeby najpierw głos zabrał ktoś z naszego duchowieństwa. Prócz tego, w imię polskiej nauki, przyobiecał głos zabrać w jednym z najbliższych numerów naszego pisma, jeden z wybitnych naszych historyków. *Redakcya.*

[2] Do tego czasopisma odsyłają przytaczane dalej ustępy niemieckie.

po bezdrożach błądzimy[1], że Piotr Wielki ma zasługę nieskończenie wyższą, niż obaj bracia[2], że Rzym otumaniony *(düpirt* 157a) czci, zamiast wyklinać, odszczepieńców *(Ketzer* 145b) i wielbi Cyryla, zamiast potępić w nim greckiego w łacińskiej owczarni wilka[3], że Kościół sławi żywot zajęty planem odsadzenia od nienawistnego Rzymu, a pozyskania dla Carogrodu bliskich Słowian (441). Kościół po całym świecie czyta w obrzędowych księgach, że słusznie języka słowiańskiego Bracia Soluńscy użyli do świętych obrzędów, a Dr A. B. uważa, że obrządek słowiański mógł tylko stworzyć mur chiński, odcinający nas od Zachodu, że z obrządkiem słowiańskim bylibyśmy zgnili i strupieszeli, jak to na Wschodzie się stało (465), że obrządek ten wkońcu prowadził tylko na manowce i zboczenia, do letargu umysłowego (466), że gwarantuje tylko nieuctwo, zabobony, fanatyzm, że nam nic do niego (474), że dzieło Cyryla i Metodego należy wyłącznie Słowiańszczyźnie schizmatyckiej... niech się ona niem cieszy (471).

Oto rzutem oka objęty pogląd, w którym katolikowi trudno nie dostrzegać obelgi rzuconej na jego Świętych, trudno Słowianinowi nie upatrzyć zniewagi wyrządzonej pierwszym jego nauczycielom. Polska przechowuje w krakowskiej kapitule dowód dawniejszy, niż z jakim mogą wystąpić inne narody, że już czciła Braci Soluńskich świętem uroczystem w początku wieku XIV-go[4]. Wierni tej czci nie możemy milczeć, albo nie łączyć spiesznie głosu z pobratymcami, którzy z różnych stron Słowiańszczyzny powstają w obronie wspólnych naszych apostołów. Zarówno świeckie jak i kościelne dzieje mają co powiedzieć w tej mierze. Obecnie wypada ze stanowiska dziejów i zasad Kościoła zapytać się, jakiem prawem Dr A. B. obraża

---

[1] „dass wir auf Irrwegen wandern", 146b.

[2] „Peter der Grosse hat ein unendlich höheres Verdienst als das der beiden Brüder", 145b.

[3] *Przegląd Polski* t. CXLIX, str. 433. Na to czasopismo wskazują przytaczane dalej ustępy polskie.

[4] Ks. I. Polkowski: „Cześć śś. Cyryla i Metodego", str. 10 i 11.

nas zarzutem, że czcimy oszustów między Świętymi? Co za źródło, wykrył aby z nich do podobnego dojść wniosku?

Na to pytanie czytelnik zdumiony słyszy, że Dr A. B. odpowiada (471, 472): „żadnego nowego źródła nie odkryliśmy— dawne, znane każdemu badaczowi na pamięć źródła czytamy z nowym umysłem, szukamy w nich i odnajdujemy, czego przed nami nie zauważono".

Wobec tych słów można odłożyć na drugie miejsce przegląd dokładniejszy wszystkiego, co Dr A. B. odczytał w źródłach, a naprzód zapytać się, co znaczy, że Dr A. B. te źródła odczytuje z nowym umysłem?

Na polu zawodowej pracy językoznawczej cenić niewątpliwie powinniśmy, a nawet wysoko poważać umysł badaczy wrażliwy na każdy szczegół mniej poprawnego wyrazownictwa, ich baczną uwagę na każde orzeczenie mniej dopiłowane do miary podmiotu, ich surowe wyroki na niedbalstwo potocznej mowy, albo na krasomówczą przesadę w liczebnikach, czy ozdobnych przysłówkach. W dziedzinie właściwej cenne bywają równie ścisłe uwagi.

Ale od oka, przywykłego do tych rozbiorów niepodobna żądać, żeby z widnokręgu zaciśniętego swoim zawodem wybiegło w przestwór szeroki i na widowni dziejowych wypadków śledziło rzeczową treść źródeł. Często w stosach świadectw i pomników dziejopisarskich wątku nie pochwyci umysł skupiony nad rozbiorem słów, zwłaszcza kiedy zauważy różnice i przeciwieństwa między opisami drobnych szczegółów; a te różnice i przeciwieństwa nieraz badaczowi wprawnemu torują drogę do istoty wypadku. Poza tą istotą sprawy dalsze jej opisy w rozmaitych ustach muszą wykazywać między sobą różnice, przeciwieństwa i zmiany, póki świadkowie po wspólnej naradzie nie ułożą umyślnie zgodnej powieści. Znienacka zagadnięci wyznają prawdę zaprawioną pierwiastkiem czysto ludzkim: ten zezna, co widział żywą wyobraźnią, albo odgadł domysłem, tamten nie zezna i zaprzeczy, bo zapomniał, czy nie uważał; w nieukładnych słowach przecie wyzna każdy istotę prawdy

szczerzej, niż powieść niejedna, wydana poprawnie. I tę istotę prawdy zawodowi badacze dziejów widzą wszyscy i zgodnie uznają, gdzie ją darmo śledzi badacz języka: zamknie swoje śledztwo wynikiem, że nie wierzy źródłom, przydybawszy je na wybrykach pióra, bo w nich zaraz widzi oczywiste, umyślne, poważne kłamstwo i pyta się, *cui bono* pisarz sprawę przekręcił.

Źródła w obecnym wypadku dotyczą poselstwa, wyprawionego z Wielkich Moraw do Carogrodu po duszpasterza dla Słowian, którzy nie chcieli duchowieństwa ze sąsiedniej Bawaryi. O tem to poselstwie źródła mówiły co innego, kiedy zawodowi badacze rozbierali ich treść rzeczowo — z umysłem zwróconym na dziejowe tło wypadku — a co innego przedstawiają te źródła dla umysłu, który szczegółowo rozbiera sam opis poselstwa bez związku z tłem jego dziejowem.

Wyrwany tedy ze swoich ram opis poselstwa wielko-morawskiego staje przed nami, niewyjaśniony rzutem oka na stosunki ówczesne, wydarty z ciągu wypadków poprzednich i na dobitek nie zebrany w jednolity obraz, tylko rozrzucony w trzech urywkach z różnych dzieł. I zaraz następuje rozprawa o osobach i sprawach ich i przygodach w odległych wiekach i krajach, choć z tego wszystkiego dziś rzadko który czytelnik co wie. Prawie każdy z nas potrzebuje treściwej wskazówki, jak do toku dziejów Kościoła poprzednich nawiązać ma w dalszym ciągu poselstwo morawskie; pyta się, na jakiem tle wypadków dawniejszych trzeba umieścić to poselstwo? jaka przed nim nić wzajemnie łączyła Carogród i Słowian, złączonych w państwie wielkomorawskiem?

Na te pytania źródła dostarczają odpowiedzi, którą streścić można następnie:

Ta część Słowiańszczyzny nosiła nazwę wspólną Moraw wielkich [1], która dziś obejmuje na Zachodzie właściwe Rakuzy aż po księstwo Bawarskie, przy nich plemiona i ksiąstewka

[1] Albo wyższych dla różnicy od niższej albo bułgarskiej Morawy. Szafarzyk: „Star." § 41, cz. 1, 5 i §, 42 cz. 2, przyp. 1.

czeskie [1], od nich ku wschodowi ziemie Morawian i Słowaków. ku północy Małopolskę, część Śląska i dalej aż pod Magdeburg, część Czerwieńska aż po Stryj [2] w Halickiem na wschodzie, na południe zajętą dziś przez Węgry Panonię aż po Słowiańszczyznę podległą Bułgarom.

Otóż Panonia wraz z zachodnią Słowiańszczyzną nad górnym Dunajem (Kwarantanami, Rakuszanami) stanowiła odrębną dzielnicę kościelną: metropolię scytyjską. Już od pierwszej doby, z której doszły do nas źródła z opisem kościelnego ustroju biskupstw i metropolii, już Kościół Powszechny zaliczał metropolię scytyjską do egzarchatu greckiego ze Stolicą w Heraklei, a potem do patryarchatu soluńskiego. W dalszych źródłach widzimy kościelną stolicę Panonii, Sriem-Mitrowicę, zapisaną często jako pamiętną przez swój udział we walkach wyznaniowych; zburzyli ją Awarzy dopiero u progu stulecia siódmego i usunęli chrześcijaństwo z widowni. Następne źródła donoszą, że przez niecałych lat dwieście Kościół panoński pod przemocą Awarów pozbawiony urzędowego ustroju, przecie przechowywał skrycie szczątki chrześcijaństwa i pamięć o blasku zagasłym. Wielkie Morawy nakoniec uwolnione z pogańskiego jarzma przez Franków, odzyskały swobodę wyznaniową i do posługi kościelnej używały także duchowieństwa ze sąsiedniej Bawaryi, ale po kilkudziesięciu latach uprzykrzyły sobie stan niewłaściwego duszpasterstwa i przez swoich władców uprosiły stolicę apostolską o właściwego biskupa na Panonię.

Nie dziw, że Słowianie nie zapominali o swojej stolicy panońskiej: nie tylko oni, także Grecy i Rzymianie zaliczyli ją do równoapostolskich, czyli do stolic założonych za apostolskich czasów przez pierwszych uczniów Chrystusa; otóż założycielem biskupstwa panońskiego nikt nie mianuje nikogo innego, tylko świętego Andronika, ucznia Chrystusowego jednego ze siedmdziesięciu, towarzysza i krewnego apostoła Pawła; tak pisze Grek Hesychios w V wieku biskup Salony [3], tak Rzymianin

[1] Chrystan w żyw. św. Ludmiły.
[2] Lelewel twierdzi, że nie po Stryj tylko po Styr rzekę.
[3] W żywocie św. Klemensa p.

Doroteus[1], tak Nestor w *Latopisi*[2], tak żywot św. Metodego[3], tak później Włoch Farlatti[4]. Cześć dla równoapostolskiego biskupstwa sprawiła, że chrześcijanie spoglądali jak na miejsce święte, na kościelną stolicę Panonii Sriem (Σέρμιον, Syrmium, Szerém węg.), więc ją mimo wszelkich najazdów nieprzyjacielskich, z pożogi i zwalisk ocalają, i przechowują pod nazwą Mitrowicy, do dziś dnia świadomej blasku dawnego. Także ze względów świeckich Sriem słynął szeroko po krajach dalekich. Tu obrali sobie jeszcze cesarze rzymscy miejsce częstego pobytu z dworem i założyli stałe miejsce pobytu dla wielkorządców Iliryku[5].

Dzielnica ta mieściła w sobie ziemie zwolna osiadane przez Słowian, mianowicie liczyła krain siedmnaście; sześć na zachodzie: Dalmacyę, Sawię, dwa Noryki i dwie Panonie; jedenaście na wschodzie: Waleryę, Dardanelię, dwie Dacye, Mezyę górną (dolna Mezya tworzyła osobną metropolię), Macedonię, Tesalię, Achaję, Epir stary i nowy, Prewallis i Kretę. Państwowe stanowisko Sriemu pociągało za sobą także skutki kościelne, bo świecki podział kraju wpływał na ustrój metropolii i stosunek ich do egzarchów i patryarchów[6]. Tu na rozkaz Dyoklecyana,

---

[1] *Synopsis apostolorum et discipulorum Christi:* 18-ty święty Andronik, wspomniany w liście do Rzymian, został biskupem panońskim.

[2] Przy roku 902: „Przez to właśnie słowiańskich plemion nauczycielem jest Andronik apostoł: w Morawy bowiem chodził. I apostoł Paweł uczył tu; tu bowiem jest Illiryk, do którego dochodził apostoł Paweł; tu bowiem byli Słowianie wprzódy za Pawła. Przez to właśnie słowiańskich plemion nauczycielem jest Paweł; z tychże plemion i my jesteśmy, Ruś; przez to właśnie i naszym, Rusi, nauczycielem jest Paweł apostoł, ponieważ uczył plemiona słowiańskie i postanowił biskupem i następcą po sobie Andronika nad słowiańskiemi plemionami".

[3] Rozdz. VIII, wedł. podz. Szafarzyka.

[4] *Illyricum Sacrum Venet.* 1751, II, 83.

[5] Farlatti: *Illyric. Sacr.* t. I, § 1. — Hergenröther: *Kirch. Gesch.* II, 564. — Szafarzyk § 11, cz. 11.

[6] Hergenröther: *Kirch. Gesch.* I. 226: „Im Orient war seit Konstantin I das Bestreben vorherrschend, die kirchliche Eintheilung in Patriarchate und Metropolitansprengel mit der bürgerlichen Eintheilung des Reiches (zunächst der Präfectur des Orients mit fünf Diöcesen und vielen Provinzen) möglichst in Einklang zu bringen und viele Synode waren diesem

wielkorządca Flor żywcem spalił do stu chrześcijan z Anastazyą na czele. Popioły tej świętej czczone w osobnej cerkwi, i tuż w pobliżu cerkiew św. Dymitra, sławnego w Słowiańszczyźnie, nowym blaskiem okryły równoapostolską stolicę Sriem. Za Konstantyna Wielkiego wiara chrześcijańska już tu przeważała między mieszkańcami; owszem, Kościół tu, ledwo wypuszczony z katakomb na widownię dziejów, już wystąpił jako zupełny ustrój prawidłowo urządzony. Przy najbliższych soborach widzimy chrześcijaństwo tu już rozpowszechnione tak znacznie, że Kościół nie tylko pourządzał parafie, ale także biskupstwa, i to w liczbie dostatecznej, żeby zakładać z nich odrębne metropolie pod egzarchą w Heraklei. Metropolie te nosiły nazwy: Europa, Thracya, Haemimontus, Rhodope, Mezya dolna zajęta niebawem przez Słowian i Bułgarów, nakoniec Scythia, której biskupstwa sięgały aż po Dunaj górny, zatem do niej należała panońska dyecezya ze stolicą sriemską [1].

Stolica ta uwieczniła swoją pamięć nie tylko u ludu, zasłynęła także przez wybitny udział w sporach wyznaniowych, odkąd wpadła w ręce biskupów aryańskich. Tu ich współwiercy znaleźli bezpieczne schronisko pod okiem swojego teologa w koronie, cesarza Konstancyusza, który w Sriemie z dworem osiadał. Pod jego opieką aryanie sprawiali swoje szyki do boju z Kościołem, zwoływali swoich biskupów od roku 351 raz po raz na sławne zjazdy, układali różne wyznania wiary przeciw-nicejskiej, przechowane w dziełach Atanazego [2] i Hilarego [3].

Zwycięstwo Kościoła nad aryanami uspokoiło Sriem i dla

Bestreben entgegengekommen (Concil. von Antioch. 341, c. 9). Da aber die politische Begränzung und Eintheilung der Provinzen oft wechselte, so gab es hier vielfache Streitigkeiten. Papst Innocenz I verwarf 415 auf Anfrage des Alexander von Antiochien den Grundsatz, dass die kirchliche Eintheilung der Provinzen sich stets nach der weltlichen zu richten habe. Seit Justinian aber kamen die vom Kaiser beliebten Veränderungen in der Regel auch Seitens der orientalischen Kirchenvorsteher zum Vollzug".

[1] Theodoret v, 28. — Quien i, 663. — Szafarzyk: „Starożytności" § 35, cz. i, przyp. 6. — Hergenröther: *Allg. Kirch. Gesch.* i, 221, str. 558.

[2] Περὶ συνόδ. κς.

[3] *De synod.* p. 1174.

całej Słowiańszczyzny pociągnęło za sobą skutek bardzo doniosły, bo w swoich następstwach wywołało potrzebę osobnego patryarchatu. Wpłynęło na to kilka przyczyn, z których zdać można sprawę według źródłowych prac Le Quiena, Farlattiego i Hergenröthera. Iliryk przez chwilę został bez egzarchy, bo biskupi z Heraklei przeszli do Aryusza. Za nich władzę nad egzarchatem trackim objął biskup carogrodzki. Ale ten wkrótce objął za wiele urzędów, aby im sprostać.

Aryanie upadli urzędowo pod koniec czwartego stulecia, ale jeszcze nurtowali tajemnie aż do szóstego, kiedy już panońską i mezyjską metropolię zamieszkiwali Słowianie. Niebezpieczeństwo tedy trwało ciągle i zmuszało Kościół do szczególnej uwagi na te metropolie, w których napływ osadników zwiększał szybko liczbę chrześcijan, więc wymagał od zwierzchników kościelnych uwagi skupionej i rządów nierozproszonych troską o inne kraje. Ale biskup carogrodzki nie poprzestał na jednym egzarchacie: ufny w łaskę cesarską rozciągnął swoją władzę na dwa egzarchaty Małej Azyi: pontski w Cezarei i azyjski w Efezie; biskupi pod bokiem cesarzy ustępowali ich ulubieńcom na stolicy carogrodzkiej. Więc ci dotarli w końcu aż po patryarchaty w Antyochii, Jerozolimie i Aleksandryi; zamyślali poddać pod swoje rządy wszystkie Kościoły w obrębie cesarstwa wschodniego i jako zwierzchnicy duchowni państwa przybrać miano ekumenicznych[1]. Zamysł ten naruszał prawa Kościołów swobodnych, odpowiedzialnych tylko przed Apostolską Stolicą, i spotkał przeciwników na Wschodzie we wszystkich patryarchach. Niebezpieczeństwo, nad ich Kościołem zawieszone, pokazało w Europie greckim biskupom, co także im grozi, jeżeli nie powstrzymają wzrostu carogrodzkiej wszechwładzy. Chętnie przyjęli myśl o nowej dzielnicy kościelnej, nieodpowiedzialnej już przed Carogrodem w zastępstwie Heraklei, a związanej tylko z Apostolską Stolicą. Choćby już Carogród miał pozostać przy rządach Kościoła w Efezie i Cezarei, przeciwważyć już mogły jego potędze w Azyi patryarchaty: antyocheński, jerozolimski

[1] Hergenröther: *Kirch. Gesch.* I, 558, 764. — Phot. I, 25, 45, 53.

i aleksandryjski, w Europie nowa dzielnica, która też niebawem powstała pod nazwą iliryjskiej. Papież Damazy ustanowił nad nią zwierzchnikiem biskupa soluńskiego (Ascholiosa, † 383, po nim Anysios i następni biskupi soluńscy rządzili Ilirykiem). Innocenty I potwierdził tę ustawę i zastrzegł, żeby soluński arcybiskup święcił dla Iliryku biskupów, a przynajmniej metropolitów. Leon I nalegał, żeby soluńscy zwierzchnicy nie dali sobie wydzierać praw nad Ilirykiem, sami wykonywali rządy i zwoływali synody, a biskupów do Rzymu odsyłali chyba w razie nadzwyczajnym. Dawano im nazwę patryarchów iliryjskich, za świadectwem Theophanesa (str. 250). Od r. 555-go część Iliryi zachodnia [1] z wyjątkiem Noryku dostała osobnego prymasa dla mieszkańców łacińskiego języka ze stolicą w Salonie, wszystkie inne kraje Iliryku pozostały z językiem greckim pod patryarchą iliryjskim ze stolicą w Soluniu. Po upadku Salony powstało przy jej zwaliskach miasto Spolato i odziedziczyło jej prawa kościelne [2].

W długim rzędzie biskupów na carogrodzkiej stolicy zasiadł ten i ów, który usiłował przekroczyć zaporę, jaką wzrostowi jego potęgi stawił osobny patryarchat iliryjski, ale doznawał oporu stanowczego, póki awarski najazd nie zniszczył chrześcijaństwa w tym patryarchacie. Nie sprawił nic w r. 451-m wyrok (28-y) biskupów powolnych Carogrodowi, którzy zebrani na sobór w Chalcedonie umyślili na poufnej naradzie poddać patryarchat ilirski władzy Nowego Rzymu i orzekli, że „w dyecezyach Pontu, Azyi i Tracyi nie tylko metropolitów dla części dyecezyi pomiędzy barbarzyńcami, zwłaszcza ku Dunajowi w górę, ale także biskupów święta stolica carogrodzka święcić ma“. Kościół tego wyroku nie przyjął i pozostawił ilirski patryarchat na stanowisku patryarchatów wschodnich: obrońcą swobód biskupich przed wszechwładzą, ku której dążył Carogród.

Ilirski tedy patryarchat niezależnym pozostał, ale coraz mniej greckim: coraz więcej liczył w sobie Słowian; doszło do tego, że średnie wieki za jedno i to samo brały nazwę Ilirów

---

[1] Hergenr. Phot. I, 160; II, 604.

[2] Farlatti II, 9... 33.

albo Słowian. Dla tej przyczyny możnaby nazywać ten patryarchat ilirskim albo słowiańskim bez różnicy.

Oczywiście nie każdy carogrodzki patryarcha, a tylko ten i ów godził na prawa patryarchatu w Iliryku. Bywali między nimi najżyczliwsi przyjaciele Słowian, godni wdzięcznej od nas pamięci.

Ojcowską troskę o naszych przodków, zwiedzionych przez aryanów, okazał już sławny patryarcha carogrodzki, Jan Złotousty; widział ich zaplątanych zręcznie w sieci innowierców, ale wynalazł także sposób, aby ich wydostać: święcił księży, jednej z nimi mowy, dyakonów i kaznodziei, odstąpił im osobną cerkiew i przez nich mnóstwo błędnych pozyskał, bo sam także do nich najwięcej uczęszczał z nauką przy pomocy tłumacza, biegłego w obu językach, i zalecał to innym, zdolnym przemawiać. Tym sposobem wielu w Carogrodzie odzyskał dla Kościoła [1].

Nie samych tylko chrześcijańskich Słowian, w Carogrodzie zamieszkałych, miał na oku; o dalszych ich pobratymców, jeszcze bałwochwalców, dbał także pilnie, równie szczerze, jak o innych pogan, do których wysyłał gorliwych nauczycieli, np. do dzielnicy fenickiej, kiedy usłyszał o szczątkach tam pogaństwa [2], a innym także sam, np. Ormianom, wiarę przepowiadał [3].

Uwiadomiony tedy o niektórych ze Słowian koczowniczych nad Dunajem, że pragną Ewangelii, ale im brak nauczyciela, wyszukał księży rozmiłowanych w trudzie apostolskim i posłał ich Słowianom. Teodoret biskup świadczy, że sam spotkał pi-

---

[1] Θεοδωρήτου ἐπισκ. Κύρου Ὑστ. βιβλ. ε', κεφ κή... Migne: *Patr. Gr.* LXXXII, 1257... „Ὁρῶν δὲ Ἰωάννης ὁ Χρυσόστομος καὶ τὸν Σκυθικὸν ὅμιλον ὑπὸ τῆς Ἀρειανικῆς θηρευθέντα σαγήνης, ἀντεμηχανήσατο καὶ αὐτός, καὶ πόρον ἄγρας ἐξεῦρεν. Ὁμογλώττους γὰρ ἐκείνοις πρεσβυτέρους, καὶ διακόνους, καὶ τοὺς τὰ θεῖα ὑπαναγινόσκοντας λόγια προβαλλόμενος, μίαν τούτοις ἀπέμεινεν ἐκκλησίαν, καὶ διὰ τούτων πολλοὺς τῶν πλανομένων ἐθήρευσεν. Αὐτός τε γὰρ τὰ πλεῖστα ἐκεῖσε φοιτῶν διελέγετο, ἑρμηνευτῇ χρώμενος τῷ ἑκατέραν γλῶσσαν ἐπισταμένῳ τινί, καὶ τοὺς λέγειν ἐπισταμένους τοῦτο παρασκεύαζε δρᾷν. Ταῦτα μὲν οὖν ἔνδον ἐν τῇ πόλει διετείλει ποιῶν πολλοὺς ἐζώργει".

[2] Tamże: „Μαθὼν δὲ τὴν Φοινίκην ἔτι περὶ τὰς τῶν δαιμόνων τελετὰς μεμηνέναι, ἀσκετὰς μὲν ζήλῳ θείῳ πυρπολουμένους συνέλεξε, νόμοις δὲ αὐτοὺς ὁπλίσας βασιλικοῖς, κατὰ τῶν εἰδωλικῶν ἐξέπεμψε τεμενῶν. Τοὺς μὲν οὖν ὑπολειφθέντας τῶν δαιμόνων σηκοὺς ἀνέσπασεν".

[3] Migne: *Patr. Gr.* LXV, 856.

smo, w którem Jan Leontemu, biskupowi z Ancyry, donosi o nawróconych Słowianach, i poleca gorąco, żeby posłał do nich mężów zdolnych do pracy [1].

Tu już można berlińskiemu językoznawcy dać wypowiedzieć swój sąd o stosunkach Słowiańszczyzny z grecką Cerkwią. Źródła pokazują w ilirskim patryarchacie część Cerkwi wschodniej, równorzędną z patryarchatami w Aleksandryi, Jerozolimie, Antyochii i nakoniec w Carogrodzie, w którym także zamieszkała Słowiańszczyzna i opiekunów szczerych spotykała. Tak dzieje świadczą; a Dr A. B. tak przedstawia rzecz, śmiało zaczętą od środka zaraz z początku swojej rozprawy (429):

„Widowisko, jakiego Bizancyum w r. 863 się doczekało, było, wbrew Ben Akibie, zupełnie czemś nowem pod jego słońcem.

„Bo oto stanęli przed cesarzem i patryarchą posłowie, podający się za Słowian i żądający ludzi, coby ich wiary chrześcijańskiej w słowiańskim języku nauczali. I zgłupieli na to cesarz i patryarcha. Gdyby ci sami posłowie z tem samem żądaniem pojawili się byli u dworu anglo-saskiego Alfreda, albo w iryjskim konwencie, nie mogliby większego wywołać zdumienia.

„Mielić wprawdzie cesarz i patryarcha gości nieproszonych, niezliczonych Słowian, naokół siebie poddostatkiem i od dawna, już się półwysep niemal cały zesłowiańszczył, ależ troszczyli się o nich i dbali akurat tyle, co pies o piątą nogę, nie ruszali nigdy i palcem — ba, ani myśl im nawet przez głowę nie strzeliła, że trzebaby przecież i dla Słowian pod względem misyjnym coś zdziałać; hardy Grek, pedant suchy a nielitościwy, formalista i rygorysta, jakiego tylko spodlony absolutyzm wytworzyć zdolny, nie zniżył się jeszcze nigdy do psa słowiańskiego, nie uznał w nim nigdy bliźniego czy brata, dumny chyba z tego, że pozwalał mu przysłuchiwać się nabożeństwu greckiemu. Powołania do szerzenia wiary, do posłannictwa misyjnego Grek nigdy nie miał; cerkiew grecka zupełnie pod tym względem martwą była i nietylko wtedy“.

I w ostatnich słowach znowu dr. A. Brückner nie odgadł prawdy.

---

[1] Θεοδωρ. tamże: „Μαθὼν δε τινὰς τῶν νομάδων Σκυθῶν παρὰ τὸν Ἴστρον ἐσκηνομένους δυψῆν μὲν τῆς σωτερίας, ἐστηρῆσθαι δὲ τοῦ τὸ νάμα προρφέροντος, ἐπεζήτησεν ἄνδρας τὴν ἀποστολικὴν Φιλοπονίαν ἐζηλωκότας, καὶ τούτους ἐκείνοις ἐπέστησεν. Ἐηὼ δὲ καὶ γράμμασιν ἐντετύχηκα παρ᾽ αὐτοῦ γραφεῖσι, πρὸς Λεόντιον τὸν Ἀγκύρας ἐπίσκοπον, δι᾽ὧν καὶ τῶν Σκυθῶν ἐδήλωσε τὴν μεταβολήν, καὶ πεφθῆναι ἄνδρας πρὸς τὴν τούτων ποδηγίαν ἐπιτηδείως ἠξίωσεν“.

Wszak moglibyśmy tej opieki nad Słowianami oczekiwać po Carogrodzie, jeżeli wiemy, ilu stamtąd szło zwiastunów Ewangelii do krajów dalekich, ilu z tych krajów przybywało do Carogrodu posłów z prośbą o nauczycieli i chrzest. Tak Maruta, wysłany na biskupa do Mezopotamii nawracał Persów [1], do Carogrodu po chrzest przybył z Kolchidy książę Tzath, a do sąsiadów jego Abazgów posłał Justyn I krzewicieli wiary pod wodzą Eufratusa [2], na Krym poszedł Gordas, wielu do Arabii [3], inni szli do krajów jeszcze dalszych, jak do Hiszpanii i do Irlandyi [4].

Tych szczegółów dość. Ale z nich płynie jeszcze inny promień światła na poselstwo morawskie. Do sąsiadów swoich, nawracanych na chrześcijaństwo, obywatel wschodniego cesarstwa rzymskiego, obierał drogę zgodną ze znanemi zasadami tego państwa. Rzym nie wynaradawiał swoich sprzymierzeńców tak, jak to dziś rozumiemy: pozostawiał im wszystko nie tknięte, co stanowiło ich narodowe skarby, co pociągało ich, jak droga i święta spuścizna po przodkach. Wyrabiał w nich dumę z nazwy *civis romanus*, i tę wszczepił nawet w duszę wytwornych Greków. Bizantyjscy Ῥωμαῖοι państwowo przylgnęli do władzy rzymskich najezdców, narodowo zostali Grekami co się zowie. Sami już jako Rzymianie dokonywali dalszych podbojów w duchu rzymskiej zasady. I tę zasadę tem wierniej zachowali, im łatwiej umysł wyższy pojmuje jej cenę. W rodzimej ogładzie każdego narodu tkwią pierwiastki nieporównane z niczem, jemu tylko właściwe i w nim pełne wdzięku i krasy. Wytworny Grek musiał wszędzie to odczuwać, co tchnęło urokiem swojego rodzaju i szanował to. Za jego trudem prowadzone do chrztu ludy, których imiona potem w części wyliczył Cyryl w Rzymie: Ormiany, Persy, Jawazgi, Ibery, Sugdy, Goty, Obry, Tursy, Kozary, Araby, Kopty, Sury i innych wiele narodów przyjęły Ewangelię a po-

[1] Migne: *Patr. Lat.* CVI, 1241, 1242; CLX, 80.
[2] Tamże: *Patr. Gr.* CVIII, 393.
[3] Tamże.
[4] Tamże: *Patr. Lat.* CCXIX, 527—547.

zostały przy mowie swojej w służbie Bożej. Grek ich nie helenizował: przekładał im księgi święte na ich język.

Ale pod naporem najezdców z Azyi, Carogród nie mógł już długo do wielu krajów nieść wiary, widział nawet u siebie burzone przez najezdców cerkwie, rozpraszanych chrześcijan, burzone jedne biskupstwa po drugich a nawet całe metropolie w mocy pogańskiej. Tak niknęły w nawale narodów plemiona Słowian, osiadłych w patryarchacie ilirskim. Najkrócej Awarowie sprostać zdołali Chorwatom i Serbom; ci aryanie najezdców pokonali i już w połowie siódmego stulecia dostali katolickich księży na prośbę Herakliusza z Rzymu wysłanych[1]. Na dłużej chrześcijaństwo z jawnej widowni znikło między Słowianami metropolii mezyjskiej, przytłumione przez Bułgarów, ale i tu dokazało, choć powolnie, czegoś podobnego, jak w Galii po najeździe Franków[2]. „Dowódcy zbrojnych pułków, wpraw-

---

[1] Szafarzyk § 31, cz. 1. — Konst. Porf. v. 25—36; Teodor archidyakon u Farlattego t. II, v. 3 i 4; ten Teodor dodaje szczegół znamienny o Słowianach, którzy według Porfirogenity zajęli południowy Iliryk: mianowicie do Serbii przyszli Bojki z kraju na północy od Węgier ku rzece Wiśle (εἰς πόταμον Βίσλας), a do Chorwacyi przyszli sąsiedzi Bojków z Białej Chrobacyi, odległej od morza o 30 dni drogi. Otóż Teodor donosi, że ci Słowianie, pogromcy Awarów, od Gotów przyjęli błędy aryańskie, już tedy jako chrześcijanie zajęli południowy Iliryk i zawierali związki małżeńskie z katolikami miejscowymi; nawróceni na wiarę katolicką, dzięki prymasowi Janowi, prosili z Carogrodu o księży greckiego obrządku, bo (dodaje Farlatti) baliby się obrazić Carogród, gdyby przeszli na obrządek łaciński. Dostali osobnego biskupa i księży Słowian i długo walczyli przeciw przesądowi, jakoby wyznawali błędy Aryusza, przez to, że zachowują obrządek słowiański, aż nakoniec otrzymali list Innocentego III-go papieża (u Raynolda pod liczbą 5 z roku 1248, Farl. t. II, str. 143a): „Porrecta nobis tua petitio continebat, quod in Sclavonia est littera specialis, quam illius terrae Clerici se habere a B. Hieronymo asserentes, eam observant in divinis officiis celebrandis. Unde ut illis efficiaris conformis, et terrae consuetudinem, in qua existis Episcopus, imiteris, celebrandi divina officia secundum praedictam litteram a nobis licentiam postulasti. Nos igitur attendentes quod sermo rei, et non est res sermoni subiecta, licentiam tibi in illis dumtaxat partibus, ubi de consuetudine observatur praemissa, (dummodo sententia ex ipsius varietate litterae non laedatur,) auctoritate praesentium concedimus postulatam".

[2] Szafarzyk § 29, cz. III.

dzie co do pocztu ludzi nielicznych, ale przytem dzielnych i w wojennem rzemiośle wyćwiczonych, wtargnęły do krain słowiańskich, których mieszkańcy, miłośnicy pokoju, zajmowali się orzbą i gospodarstwem; ujęli zwierzchnią władzę nad nimi, a rozsiedliwszy się pomiędzy nimi i znęciwszy się do wygód uprawionego już życia społecznego, w krótkim przeciągu czasu tak się z nowymi poddanymi swoimi zbracili, że nareście przyjąwszy ich język, obyczaje, sposób życia, a nawet wraz z nimi i religię chrześcijańską, zmienili całkowicie narodowość swoją, stawszy się z uralskich Czudów podhemskimi czyli podbałkańskimi Słowianami".

Najtrudniej było powstać z upadku scytyjskim dyecezyom w Panonii i nad górnym Dunajem. Po zaborze Sriemu[1] przez Awarów, „upadła przewaga Słowian w południowych Węgrzech i niemasz wątpliwości, że tamtejsze ich gałęzie dostały się w poddaność Awarów".

Pod przemocą jednak pogan chrześcijaństwo, choć z widowni usunięte, trwało na ukrytem stanowisku i nie dawało zaginąć do szczętu swojej stolicy równoapostolskiej. Ocalona cerkiew św. Dymitra ściągała pątników i pobożnych osadników, którzy ją otoczyli obok gruzów dawnego Sriemu nowem miastem Dymitrowicą, dziś zwanem krócej Mitrowicą. Znany zmysł zachowawczy Słowian, zwłaszcza przywiązanych do świętych pamiątek, nie pozwala upatrywać nic dziwnego w ich wierze wytrwałej. Ale o ukrytem wśród nich chrześcijaństwie coś nieco za czasów awarskich wychodziło na jaw. Wiemy, że z Akwitanii biskupi szukali ich; święty Amand między południowodunajskimi Słowianami pod władzą Awarów znalazł stronników i czcicieli około r. 630. Po nim św. Emmeram wyruszył do Słowian panońskich i znalazł już biegłego w ich języku księdza Witalisa, ale w Rzeźnie pozostał za radą wojewody Theodona, który przedstawił, że tam tylko Awarzy żyją po jaskiniach i chrześcijan zabijają *(Acta St.)*

Nakoniec Karol Wielki przemógł Awarów i na Słowian

[1] Szafarzyk § 29, cz. I.

rozciągnął swoje prawa zwierzchnicze. Chrześcijanie odzyskali swobodę wyznaniową w państwie wielkomorawskiem, ale nie zaraz pośpieszyli do właściwych swoich zwierzchników kościelnych na soluńskiej stolicy patryarszej. Tam już darmo kołataliby do patryarchy swojego, aby odnowił prawidłowy ustrój posługi duchownej w metropolii scytyjskiej. Od kilkudziesięciu lat Leon III cesarz osierocił Soluń z osobnego patryarchy: jego władzę w r. 733-im objął patryarcha carogrodzki. A tu tymczasem na Wielkie Morawy dochodzili księża ze sąsiedniej Bawaryi. Można było czekać, czy ich posługa duchowna nie zastąpi dla Słowian straty własnego patryarchatu.

O stanie ówczesnym dyecezyi panońskiej odtąd wystarczy tu przywołać na świadectwo bawarskich pisarzy, którzy na sprawę rzucają światło dla siebie korzystne w dwóch źródłach: jedno z roku 871-go, pod nagłówkiem: O nawróceniu Bawarów i Karantyan (Quarantani, Słowianie rakuscy); drugie z r. 891-go pod nagłówkiem: List Theotmara, solnogrodzkiego arcybiskupa i innych biskupów bawarskich do Jana papieża IX-go.

Pierwsze pismo przyznaje, że z ramienia władzy świeckiej, za wolą Pipina w r. 796-m arcybiskup solnogrodzki zajął pod swoje rządy duchowne naród, pozostały po Hunach i Słowianach w dzielnicy panońskiej nad jeziorem Pelissą, poza rzeką zwaną Hrapa aż pokąd Drawa wpada do Dunaju. Następnie w r. 803-m „sam cesarz (Karol) kazał arcybiskupowi iść w dzielnice Słowian i zaopatrywać całą tę okolicę i pilnować obrządków kościelnych wedle zwyczaju biskupiego i kazaniami u t w i e r d z a ć plemiona we wierze i chrześcijaństwie[1]. Odtąd zaczęły narody, bądź Słowianie bądź Bawarzy zamieszkiwać ziemię, z której ustąpili Hunowie, i mnożyć się". Wymienia tedy to pismo nie chrzest udzielany poganom, ale kazania miewane, aby utwierdzać chrześcijan w wierze; nie tak jeszcze wyznawali chyba wiarę Słowianie, żeby na nich duchowieństwo bawarskie i na ich wierze polegało. Wymienia to pismo dalej wielu chrześcijań-

[1] „Ipse imperator praecepit archiepiscopo pergere in partes Sclavorum... populosque in fide et christianitate praedicando c o n f o r t a r e".

skich panów między Słowianami w r. 850-m, a tylko o jednego chrzcie wspomina, mianowicie książę Priwina na rozkaz króla Hlodowika pouczony we wierze, chrzest przyjął „w kościele św. Marcina, mianowicie należnym do stolicy solnogrodzkiej“. Co tu znaczy szczególny nacisk na czytelnika, żeby wiedział o chrzcie w kościele, mianowicie podległym Bawarom. Więc bywały chrzty po kościołach niebawarskich? Wtedy co do samego chrztu Priwiny powstają pytania nowe. Czy dlatego Priwinę ochrzcili Bawarzy, że był aż dotąd poganinem? czy dlatego może, iż nie uznawali za ważny chrztu danego w obrządku wschodnim słowami: chrzci się sługa Boży? Łacinników, co wschodniego chrztu nie uznawali, musiał sobór florencki osobną uchwałą poskromić. Możnaby coś zgadywać z wymienionych słów, które o chrzcie Priwiny donoszą ze szczególną zaraz uwagą, że chrzest odbył się w kościele mianowicie zależnym od stolicy solnogrodzkiej. Wnioski stąd jasne: ani się samo przez się nie rozumiało, że od bawarskiego zwierzchnika zależał każdy Kościół w Panonii; więc były Kościoły od Bawarów niezależne; ani nie jakbądź pisarz chciał wyrazić ów chrzest, tylko określa jakby coś osobliwego: chrzest z rozkazu królewskiego dany w kosciele zależnym od Solnogrodu. Dodaje nakoniec wzmiankę, że „Priwina księdza swojego, imieniem Dominika, zdał w ręce i władzę arcybiskupa, a ten w swojej dyecezyi mszę śpiewać pozwolił owemu księdzu, zlecił kościół nowo poświęcony nad Salą i troskę o owczarnię, jak wymaga porządek kapłański“. Więc ani nie nad wszystkimi Kościołami w Panonii, ani nad wszystkimi księżmi bawarska stolica objęła rządy... Pisarz wymienia trzydzieści kilka kościołów, poświęconych przez Bawarów z uwagą przy niektórych, że te wszystkie zostały zbudowane za czasów Priwiny i poświęcone przez arcykapłanów solnogrodzkich. A przy innych nie wspomina już o ich budowie, tylko dodaje, że biskup bawarski ustanowił przy nich księży własnych[1]. A skąd miałby cudzych ustanawiać przy kościele, który sam zbudował? I skąd miałby pieniądze na budowę wszystkich kilkudzie-

[1] „Quibus constituit proprios presbyteros“.

sięciu kościołów? Wszak przy jednym nie czytamy uwagi o jego budowie, tylko że przypadkiem biskup zaszedł do majątku Unzatona i tam znalazł kościół stosowny do poświęcenia... Jeżeli poświęcał kościoły, których nie budował sam, tylko przypadkiem je spotykał, to chyba do cudzych księży należały te kościoły, tedy zrozumiale wygląda świadectwo bawarskiego pisarza, że jego biskup także przypadkiem spotykane cudze kościoły poświęcał i obsadzał księżmi własnymi.

A oprócz owego imiennie przytoczonego księdza Dominika, także o innych księżach i biskupach cudzych ów pisarz wspomina, że zachodzili do Panonii, ale od czasu zaboru jej przez Bawarów i od rozkazu Karola żaden biskup nie miał władzy kościelnej ani żaden ksiądz po trzechmiesięcznym pobycie nie śmiał swojego urzędu spełniać, jeżeli świadectwa nie przedstawił bawarskiemu zwierzchnikowi.

Słowem: cały ten opis nawracania Bawarów i Słowian wskazuje bardzo wyraźnie, że nie tylko u bawarskiego duchowieństwa lecz u innych także księży słowiańscy chrześcijanie szukali posługi duchownej w kościołach, niezależnych od Solnogrodu i Pasawy.

Ileż tych chrześcijan było, co duszpasterstwa z Bawaryi nie chcieli?

Na to odpowiada drugie pismo wymienione. Nie mówi znowu o Słowianach w Panonii i na Morawach, jako o ludach pogańskich, ale jako o chrześcijanach; ale Świętopełkowi wojewodzie przypisuje zasługę, iż uśmierzył ich na wojnie i dokazał, że są chrześcijanami [1]. Tak chrześcijanie słowiańscy, nie nawróceni przez duchowieństwo z Bawaryi, wystąpili nagle, jakoby po klęsce wojennej zmuszeni do chrztu, ale zaraz już znajdują poufały dostęp do papieskich wysłańców, oskarżają Bawarów i zniesławiają; „grozili zawsze chrześcijanom naszym [2], tych chrześcijan prześladowali nad miarę, jednych w niewolę imali,

[1] „Neophytam gentem ipse (Zuentibald) dux domuit bello et ex paganis Christianos esse patravit".

[2] Piszą biskupi bawarscy: „Christianis nostris semper imminebant".

drugich zabijali, innych więzionych jakby zwierzęta skazywali na głód i pragnienie, niezliczonych zaś na wygnanie wyprawili i zmusili służyć szlachetnych mężów i porządne niewiaste, popalili świątynie Boże i poniszczyli do szczętu wszystkie budynki, tak że w całej Panonii, naszej (podług Bawarów) dzielnicy największej, ani jednego nie widać kościoła, jak to biskupi z Rzymu przeznaczeni, jeśli wyznać zechcą, mogą opowiedzieć, przez ile dni w podróży widzieli tylko okolice spustoszałe".

Wytaczają tedy Bawarzy skargę i proszą papieża o wyrok sprawiedliwy: niech nie wzmaga się część lichsza [1], niech nie słabnie część godniejsza [2].

Również nie piszą jako o swoich, o chrześcijanach morawskich *Acta conventus Moguntini* z 3, 10, 852, kiedy wymieniają *rudem adhuc christianitatem gentis Maraensium.*

Słowem, ledwo Frankowie w panońskiej dzielnicy zastąpili Awarów w rządach nad Słowianami, ledwo ostatnim dali zrozumieć, że ich za chrześcijaństwo prześladować nie myślą, ale do chrześcijaństwa pociągać, już ujrzeli kraj zaludniony chrześcijanami, którzy mieli swoje kościoły, swoich księży, duchowieństwa z Bawaryi po jakimś czasie przestali słuchać, a liczni byli, bo nad bawarskimi chrześcijanami w końcu przemogli i nie zostawili im w całym kraju ani jednego kościoła, ani jednego budynku.

Wszystko to nasuwa pytanie, czy nie w tę stronę zwracali słowiańscy chrześcijanie oczy, gdzie od wieków zasiadali zwierzchnicy panońskiej dzielnicy kościelnej? Kiedy pod uciskiem Awarów odłączeni na zewnątrz od ustroju kościelnego, przecie przechowali wiarę, kościoły i pamięć o stolicy świętego Andronika, czy nie u Greków w Soluniu albo już pod koniec

---

[1] *Pars peior* — coś niby *minderwertiger Theil.*

[2] „Przodkowie bowiem najjaśniejszego zwierzchnika naszego, mianowicie Hludowika, cesarze i królowie pochodzą z najbardziej chrześcijańskiego rodu Franków, morawscy zaś Słowianie z pogan i bałwochwalców pochodzą. Tamci na cały świat znani błysnęli, ci po kryjówkach i grodach utajeni żyli. Za radą tamtych apostolska stolica krzepła, za sprawą tych prześladowane chrześcijaństwo cierpiało" i t. d.

w Carogrodzie szukali posługi duchownej? czy nie dostawali stamtąd przygodnych duszpasterzy?

Zachowawczy zmysł musiał przykuwać cały lud do dawnych zwiastunów ewangelii a odstręczać od nowych z Bawaryi. Prócz tego względu musiał na umysły zdolne spoglądać dalej przed siebie, działać wzgląd narodowy. Widzieli, co ich pobratymców spotyka ze strony Franków, Sasów i Szwabów na Słowiańszczyźnie Obotryckiej, Lutyckiej, Rakuskiej i po dalszych jej krańcach zachodnich. Tam rozsiadłe plemiona nie znalazły nauczycieli, którzyby je z nieokrzesanej ciemnoty wydobyli i dźwignęli nad poziom prostactwa niepiśmiennego, kiedy nawracali na wiarę chrześcijańską. Tamtejsi Słowianie nagle stawali tedy wobec frankońskich zdobywców i ich narodowej oświaty, rozwiniętej już dawno przez pokolenia piśmienne, stawali wobec bogactwa i przepychu wielkorządców na zamkach wspaniałych. A niepokaźnie wyglądali wobec świeckich możnowładców z dworską ogładą, i paniąt o obyczajach układnych, i duchowieństwa blaskiem otoczonego. Tam czuli swój poziom niski wobec wyżyn społeczeństwa wyrobionego, świadomego swojej powagi i gotowego wywierać wpływ na umysły, wobec mowy uprawianej w piśmie, zasobnej w pojęcia naukowe, giętkiej i dźwięcznej w pieśni przy wtórze gędźby pieszczonej. Nie dziw, że Słowianie tamtejsi znienacka wprowadzeni w społeczeństwo nierównie wyższe, olśnieni wszystkiem i upokorzeni, a dla surowej prostoty od towarzyskich stosunków usunięci, dla niepiśmiennej mowy i dźwięków jej nieuchwytnych w głoski gotyckie zepchnięci na poziom nieświadomej czerni, odczuli pogardę i rychło zmienili ze wstydu ubiór, obyczaj i mowę, Słowiańszczyznę w sobie zatarli i z Obotrytów, Lutyków, Wilków czy Rakuszan rośli na Niemców.

Nie potrzebowali nawet Frankowie i Szwabi przemocą wynaradawiać swoich chrześcijan słowiańskich; ale znali już część późniejszych wynalazków, z których korzystają aż do dziś światłonosze i wbijają dzieciom rozum do rąk pokrwawionych. Szwabi blaskiem wyższego rozwoju umysłowego wówczas mogli olśnić niepiśmienne plemiona i wciągali je w swoje spo-

łeczeństwo. Wspomniany opis nawróceń wyraźnie wyznaje, że Sawarzy szli na Wielką Morawę z całym przyborem swoich środków oświaty. Priwinie przysłał arcybiskup mistrzów ze Solnogrodu murarzy i malarzy, rzemieślników i drwali; po śmierci księdza Dominika posłał na jego miejsce Swarnagala przesławnego doktora a po nim Albfrida mistrza wszech nauk. Z tej gospodarki na Słowiańszczyźnie zdają sami sprawę biskupi w liście rzeczonym: „ponieważ książęta orężem obronili Słowian (od Awarów), tedy podbili ich w poddaństwo, więc słusznem prawem książęta byli powinni i są zmuszeni Słowian obowiązywać do podatków; a Słowianie czy chcieliby, czy nie chcieliby, poddanymi naszego królestwa będą". Nic też dziwnego, że, jakby u siebie, zakładali osady ze swoich ludzi, i miejscom, gdzie święcili kościoły, zostawili tylko w części nazwy słowiańskie, jak Dudlejpin, Ussitin, Buzinica, a w części już nadają imiona gockie, jak Stepiliberg, Lindolu-escherichun, Wiedher-eschirichun, Isangrin-eschirichun, Beatus-eschirichun, Paldmund-eschirichun, i t. p.

Władcy słowiańscy oceniali poważne niebezpieczeństwo dla siebie pod względem nie tylko narodowym i społecznym, ale także państwowym. Frankońscy wysłańcy wprowadzali Słowian przez chrzest do społeczeństwa dumnego nie tylko z oświaty i mowy piśmiennej, ale też z potęgi wojennej i stanowiska wybitnego wśród mocarstw. Książęta pomorscy na Szczecinie i meklemburscy zachowali swoje berła, przyjęci pomiędzy udzielnych książąt rzeszy niemieckiej, ale tylko oni jedni; inni nie umieli stawić oporu przemocy, musieli ustąpić berła i stolic panom frankońskim.

Ale na te oba niebezpieczeństwą jeszcze nie potrzebowały Wielkie Morawy spoglądać okiem zwątpiałem: dorosły już do rozmiarów mocarstwa, które zdoła wojenną potęgę rozwinąć dla obrony zewnętrznej. A niedaleki przykład Serbów łużyckich uczył, że niekoniecznie Słowianie muszą uchylić czoła przed cudzoziemską oświatą: i j e j mogą sprostać swoją oświatą rodzimą. Na Łużycach Serbowie nie niemczeli, jak inni Słowianie: tak wcześnie przyjęli światło chrześcijańskie od św. Bonifacego,

że nie zastali jeszcze społeczeństwa okrzesanego wśród chrześcijan sąsiednich, ale stanęli wobec Sasów, których dopiero św. Bonifacy nawracał, uczył cnót domowych i obywatelskich, odzwyczajał od swawoli i wypraw łupieskich. Za namową tedy św. Bonifacego między Sasami osiadali łagodni Słowianie, aby nieść w srogi lud przykład obyczajów wyrobionych i naukę rzemiósł, ogrodnictwa, hodowlę pszczół i uprawę roli, przemysł i kupiectwo tak rozwinięte, że w przystani u spływu Odry do morza po trzysta ich okrętów zarzucało kotwicę: słowem nieśli w dzicz wzór gospodarnego narodu. Tam Słowianie *als Pioniere der Bodenkultur* — mówi Jakób, *als ein schon sehr civilisiertes Volk* — powtarza Wiktor Jakobi, podnosili Sasów na swój poziom wyższej ogłady, nie zagrożeni tem niebezpieczeństwem, w którem niemczeli ich pobratymcy. Ci ostatni zebrali nieraz w obronnych twierdzach wojenną potęgę straszniejszą dla Franków, niż zbrojne zastępy z Łużyc; ale przewaga duchowa Serbów skuteczniej ich chroniła, niż lepsze wojska i twierdze silniejsze plemion przecie wynarodowionych [1].

I zniemczało wszystko, prócz wyjątku na Łużycach uświadomiouych, że stać Słowian na przewagę duchową i oświatę rodzimą. Widok ten mówił głośno i każdemu umysłowi baczniejszemu pokazywał radę, jak wzmocnić Słowiańszczyznę zagrożoną z obu stron: mieczem i szyderstwem z jej prostoty, z mowy niepiśmiennej, przydatnej chyba na gospodarstwie. Niedaleko było do myśli o takim nabytku, który najpotężniej każdemu narodowi uświadamia jego zasoby w dziedzinie umysłowej i wkłada do rąk, co przeciwstawić cudzej oświecie. Kto włada językiem, zdolnym odtworzyć każdy odcień pojęć równie niepowszednich i nadzmysłowych, jak biblijne, kto swoją mowę zdoła nagiąć do każdego obrazu i każdej myśli w najwznioślejszych pieśniach prorockich, ten przez sam przekład Biblii składa dowód, że posiada w duszy niewyczerpane zasoby pojęć, skarbnicę obrazów najwspanialszych, niespożyty zadatek myśli i twórczego polotu. Uświadomiona o tem Słowiańszczyzna miała

[1] Por. *Przegl. Powsz.* t. XLVII, 87; LXXIX, 128, przyp. 1.

czoło stawić zarzutom, jakoby ze swoją mową i umysłowym poziomem musiała chyba wiecznie na służbę u drugich iść, a chyba wynarodowiona panią sama zostanie. Ocaleć miała Słowiańszczyzna w średnich wiekach wszędzie tam i tylko tam, gdzie ją uświadomił o jej umysłowej potędze przekład ksiąg świętych.

Dokądże miała sprawa oświaty narodowej zwrócić oczy baczniejszych myślicieli na Wielko-Morawach? Czy miała dopiero teraz odwrócić je od odwiecznie znanej stolicy kościelnej? Czy w utrzymywanych już z dawna stosunkach z carogrodzkim zwierzchnikiem kościelnym zaszła jaka zmiana, niepomyślna dla sprawy właśnie najpilniejszej? Czy miał Carogród w tym razie zejść z drogi, którą zawsze obierał dawniej w podobnych razach? Grek ile narodów do chrztu przyprowadził, żadnego nie pozbawił mowy przodków, nie tknął w rodzimym rozwoju, nie zmusił szyderstwem do odstępstwa narodowego.

Czy zasiadali jeszcze na carogrodzkiej stolicy Grecy równie wyrozumiali i po chrześcijańsku gotowi działać dla drugich bez korzyści dla własnego rozwoju narodowego? Czy panował tam kto gotów wysłać duszpasterzy, jakich Wielkie Morawy potrzebowały dla obrony swojej sprzed przemocą oświaty bawarskiej?

Troska o duchowne potrzeby opuszczonych narodów odżyła w Carogrodzie od środka dziewiątego stulecia. Tu już od długich lat Kościół przechodził dobę ucisku: ile w poprzednich czasach pokoju poniósł strat — bo przy dobrobycie rzadko kiedy nie słabnie duch — tyle pięknych postaci Kościół wychował, smagany do krwi biczem obrazoburców; tym przewodzili cesarze; za Kościołem szli tylko wyznawcy prawdy, gotowi na walkę bohaterską. Służalcze umysły nie mogły wtedy długo zachwaszczać Kościoła: kilkadziesiąt lat krwawego okrucieństwa przewiało ziarno, oczyściło z plew.

Na stolicy wschodniego cesarstwa rzymskiego siedział mąż świętej Teodory, obrazoburca. Teodora — której Słowiańszczyzna zawdzięczać miała swoich światłodawców — przez lata bez krwawej męki cierpiała męki ponad miarę dusz pospolitych. Małżonka prześladowcy Kościoła wyznawała prawdę pokryjomu, po nocach łzami męczennicy zlewała na modlitwie krucyfiks i obrazy

święte, w dzień... nie to już, że nie drażniła męża wzmianką o nauce Kościoła Powszechnego: żyła pochłonięta myślą o prawach męża do serca żony. Jako jego towarzyszka najszczerzej przywiązana, wierną miłością zdobyła nad nim wpływ, jakiego przy podobnej różnicy wiary niktby bo ludzku nie oczekiwał. Dźwignęła człowieka pogrążonego w niecnych nałogach, uszlachetniła o tyle, że dał sobie przykuć ręce do taczki obowiązków stanu: z wyuzdańca został władcą możliwie sprawiedliwym dla poddanych, przynajmniej kiedy nie szło o sprawę obrazów.

A wpływ jej cichy sięgał daleko: aż do końca krwawego ucisku krzepił jej współwyznawców; tysiące ich za jej przykładem, jednym z nią zapałem owiane, z uśmiechem na ustach ciągnęły pług codziennej męki domowej, aż wybiła godzina swobody. Obrazoburca złożył władzę w ręce Teodory, jako współrządczyni z trzechletnim synem Michałem.

Zaraz od tej chwili i pierwszą myślą cesarzowej Teodory było korzystać z władzy, aby szerzyć naukę Kościoła Powszechnego i popierać jej obrońców przeciw obrazoburcom. Zasługę całą w tej mierze Kościół jej przypisuje i na Wschodzie czci ją między świętemi, jako gorliwą krzewicielkę wiary i szczęśliwą pogromczynię długo rozpanoszonego innowierstwa. Do niej też i jej syna władca bułgarski Bogorys wysłał prośbę o nauczyciela wiary, skłoniony do tego pomocą, jakiej doznał w nieszczęściu, kiedy wezwał Boga chrześcijańskiego za radą siostry, więzionej poprzednio w Carogrodzie. Na tę prośbę chętnie przystała Teodora z Michałem, który biskupa posłał i sam do chrztu trzymał Bogorysa, zwanego następnie także Michałem. Niejako chrzestnym podarkiem dla nawróconego narodu była odstąpiona im przez cesarzową z synem okolica, zwana Zagorą[1].

---

[1] Ἰοάννου τοῦ Ζωνάρα: „Ὁ δὲ τῶν Βουλγαρῶν ἄρχων ἀξιοῖ σταλῆναι αὐτῷ τινα τὸν τὸ μυστήριον αὐτὸν μυήσοντα τῶν χριστιανῶν, καὶ τελέσοντα τῷ θείῳ βαπτίσματι. Καὶ ἀπεστάλλη μὲν ἀρχιερεῦς πρὸς αὐτόν. Ὁ δὲ καὶ ἐμυήθη καὶ ἐβαπτίσθη". Migne: *Pat. Gr.* CXXXI, 13.

Γεωργίου τοῦ Κεδρένου: „Βόγορις Μιχαὴλ κατονομασθεὶς παρὰ τοῦ πρὸς αὐτὸν ἀποσταλέντος ἀρχιερέως". Tamże CXXI, 1037.

„Βώγωρις τῆς τοῦ λουτροῦ παλιγγενεσίας καταξιοῦται καὶ Μιχαὴλ κατανομάζεται

Nie zadowolniło całkowicie umysłu przedsiębiorczej cesarzowej zwycięstwo wiary katolickiej, za jej sprawą odniesione nad obrazoburcami, ani nie zaspokoili jeszcze Bułgarzy, przyprowadzeni do chrztu przez jej wysłanników; dalszych na tem polu zdobyczy pragnęła z Michałem Teodora: najprzód gorliwie popierali duchowieństwo, które powstało przeciw błędom Zeliksa[1], potem wyprawili poselstwo do swoich podwładnych w Anatolii wyznawców nauki manichejskiej, zwanych Pawlikianami, aby ich wezwać do powrotu na łono Kościoła[2]. Ani Żydów nie wyjął cesarz Michał ze swojej troski o wiarę; nie szczędził środków, którymi rozporządzał, aby po całem cesarstwie Żydzi słuchali należycie podawanych wykładów o Mesyaszu, i po kilku latach pracę swoją widział uwieńczoną skutkiem; już w latach siódmem i ósmem jego rządów Żydzi gromadnie przyjmowali chrzest, przypuszczani odtąd do stanowisk zaszczytnych i bogato zaopatrywani na życie w nowych warunkach[3]. I z Rusi, co Greków trapiła śmiałymi napadami, zawinęło niespodzianie pod Carogród poselstwo pokojowe z prośbą dla siebie o chrzest; cesarzowa zaopatrzyła ochotnych żądaną liczbą duchownych[4].

κατὰ τὸ ὄνομα τοῦ Βασιλέως, παρὰ τοῦ πρὸς ἐπεῖνον ἀποσταλέντος. Ἡ δὲ βασιλίσσα δέδωκεν ἐρήμην, ἥτις οὕτω καλεῖται Ζάγορα παρ' αὐτοῖς". Tamże CIX, 178, 179. Por. Συμέων Μαγιστρ. tamże 728 księga Γεωργίου Μοναχου daje księciu imię Waldimer, ale zgodnie świadczy: „ὁ δὲ Μιχαὴλ τὸν μὲν ἄρχοντα τῶν Βουλγαρῶν βαπτίζας καὶ δεξάμενος ἐπέθηκεν αὐτὸν τὸ αὐτοῦ ὄνομα". Tamże 885 Βασιλείων δ': „λιμῷ οἱ Βουλγάροι πιεζόμενοι καὶ τοσοῦτον ὥστε καὶ τοῦ Χριστιανῶν εὐπειθῶς καταξιωθῆναι ἅπαντας, τὸν δὲ αὐτῶν ἀρχηγὸν αἱρετισασθαι ὠνομάσθαι ἐπὶ τῷ βασιλέως ὀνόματι, ἐκπεμφθέντων ἐκεῖσε ἀρχιερέων τινῶν ἐλλογέμων τὰ τῆς Χριστιανικῆς πίστεως ἐγκρατύνασθαι".

[1] Genes, LIV, p. 85; Theoph. IV, 12, p. 161, 162.

[2] Migne: *Patr. Gr.* CIX, 180: „Ἐφ' οἷς ἀγαλλομένη (—τοῖς ἐν Βουλγαροῖς—) ἐκείνη, καὶ οἷον τρόπαια ἐπιθεῖναι μείζω δι' ἐφέσεως ἔχουσα, καὶ τοὺς κατὰ τὴν ἀνατολὴν Παυλικιανοὺς ἐπειρᾶ το μετάγειν ὡς βούλοιτο πρὸς εὐσέκειαν".

Γεωργ. Κεδρ. Tamże CXXI, 137: „Ἀγαλλομένη δὲ ἡ βασιλὶς ἐπὶ τῷ γεγονότι καὶ περπομένη, καὶ οἷον ἐπαυξῆσαι τὸ καλὸν σπουδάζουσα, τοὺς κατὰ τὴν Ἀνατολὴν Μανιχαίους, οὓς δὲ καὶ Παυλικιάνους, μεταγαγεῖν ἐσπούδαζε πρὸς θεοσέβειαν".

[3] Tamże CIX, 752, 753: „Τῷ ζ' καὶ η' αὐτοῦ ἔτει βαπτίζει ὁ Βασιλεὺς πάντας τοὺς ὑπὸ χεῖρα αὐτοῦ Ἑβραίους, διδοὺς αὐτοῖς ἀξίας καὶ δῶρα πολλά".

[4] Tamże CIX, 210, 212: „Τὰ μὲν τῶν Ῥωμαίων ἡ τῶν Ῥῶς ἑκάκου ἐπιδρομὴ

Powyższe szczegóły wystarczą, aby poznać dzieje Kościoła na Słowiańszczyźnie przed poselstwem morawskiem. Na całe tło tych szczegółów Dr A. B. ani okiem nie rzucił i od razu wprowadza posłów morawskich przed cesarza Michała w Carogrodzie, choć wielu wypadków nie mógł wyjaśnić ich przyczyną dziejową i musiał wszystkiego szukać w rozbiorze różnych drobiazgów opisu.

(D. c. n.).

Ks. K. Czaykowski.

τοῦ Μιχαὴλ κατὰ Ἰσμαελιτῶν ἐκστρατεύοντος. Πλὴν ἀλλὰ μετ' οὐ πολὺ τὴν βασιλεύουσαν πρεσβεία αὐτῶν κατελάμβανε, τοῦ θείου βαπτίσματος ἐν μετοχῇ γενέσθαι αὐτοὺς λιτανεύουσα, ὅ καὶ γέγονεν". Tak sam Theophanes Cont., także Żywot św. Jerz. Amastrensk., również w listach Focyusz (II, str. 58) opowiada, że sam im posłał biskupa; nakoniec o tem wydał Bandurius urywek (Annot. ad Const. Porp. lib. de adm. imp. p. 358—364 ed. Bonn. Imper. Orient. t. II, p. 62... ed. Venet.), który opowiada, że Bazyli Macedoński posłał Rusinom uczonych mężów Cyryla i Atanazego, którzy im dali abecadło z 35-ciu głosek, bo dla ich języka nie wystarczało 24 głosek greckich.

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

W OPRACOWANIACH PROFESORÓW BRÜCKNERA, CHMIELOWSKIEGO I TARNOWSKIEGO.

(Dokończenie).

III.

Myślę, że idealną historyą literatury byłaby taka, żeby w niej krytyk nie tworzył i nie wymyślał okresów, lecz żeby uznawszy dzieła za punkty wytyczne, rozważał je w sposób, o ile to w ludzkiej mocy leży, przedmiotowy. Wybitniejsze i typowe wypadałoby rozpatrywać głębiej i wyjaśniać szerzej, około nich grupować jednorodne mniej ważne i dalsze, acz pokrewne treścią, duchem i formą. Przytem wskazywałby krytyk w dziełach pierwiastki polityczne, społeczne, narodowe, ale umiałby odczuć, uświadomić i ująć w wyraz te znamiona formy, które wyodrębniają dane dzieło pośród innych i pozwalają w niem rozpoznać pisarską indywidualność twórcy. Jednocześnie uwzględniałby poczęcie i kształtowanie się dzieł w twórczości autorów, pierwiastki obce i rodzime, oraz te nici, jakie łączą je z najszerszem środowiskiem cywilizacyjnem, t. j. z literaturą europejską. Zarazem także nie zapominałby o wrażeniu, wywołanem przez dzieła, o komentarzach i naśladowaniach. Najtrudniejszą byłoby rzeczą grupowanie zarówno poszczególnych dzieł, jako też ich znamion — takie, iżby ważne momenty wydobywały się z obrazu na plan główny, podrzędne ilością nie głuszyły wybi-

tnych, iżby syntetyczny pogląd na prąd wyłaniał się z przebiegu wywodów konsekwentnie, sam przez się bez wielosłownej gawędy krytyka, a związek pomiędzy malowanem przez krytyka podłożem i szczegółowymi rysami utrzymany był ściśle i naturalnie. Chodziłoby oczywiście i o to, aby indywidualności twórcze nie tonęły w natłoku dzieł, lecz choć pogląd ich działalności musiałby uledz rozbiciu z powodu lat, dzielących najcelniejsze ich prace a wypełnionych może pracami innych pisarzy, aby znaczyły się wyraźnie we wzrastaniu, rozkwicie i schyłku, stanowiąc zwartą całość. Nie ulega wątpliwości, że wypadki polityczne, ruchy społeczne, przekonania i uczucia religijne narodu nasycają literaturę każdego czasu; niemniej przeto myślę, że wielkie dzieła literatury pięknej zasłużyłyby może na osobliwsze wyróżnienie w ogólnym obrazie, a ponieważ powstanie ich tłumaczy się rozkwitem form jakiegoś prądu artystycznego, przeto krytyk dawałby baczenie przed względami politycznymi, społecznymi lub religijnymi właśnie na prąd artystyczny. Nie ulega wątpliwości, że panująca w różnych czasach zasada prawideł i wzorów, stosowana do literatury pięknej, niweluje wybujałości indywidualnych znamion talentu, czyni dzieła różnych pisarzy podobnemi, nadaje im prawie jednaką fizyognomię; niemniej przeto krytyk zadałby sobie trud wydobycia z pod maski, nałożonej na dzieło szablonem prawideł, tych rysów nieznacznych i stłumionych, które pomimo wszelkich przeszkód przebiją skorupę szablonu i nadadzą dziełu postać samoistną.

Rozumiał doskonale takie zadanie historyka literatury autor trzeciego opracowania prof. Tarnowski. Zrzekł się on z góry tytułów okresowych, lecz szedł torem czasu i podzielił całość na tomy i na rozdziały. W tym układzie na pięć tomów i 27 rozdziałów początki literatury weszły do rozdziału pierwszego — początkami zaś nazwano wieki XIII—XV włącznie. Potem od XVI wieku wymiar rodziałów warunkował się doniosłością ruchu literackiego i znaczeniem zjawisk tego ruchu. Czasem przeto rozdział obejmuje lat pięćdziesiąt, np. drugi (1500—1548), czasem zaś tylko dwa, np. dwudziesty drugi (1822—1824). Każdy

to rozumie, że niekiedy dwa lata w rozwoju literatury ważą więcej, niż pięćdziesiąt lat bez wybitnego plonu. Bywa w tym chronologicznym układzie tak, że rozdział otwiera się lub zamyka jakiemś niezwykłem dziełem, jak np. r. 1614 „Sielankami“ Szymonowicza, r. 1763 dziełem „O skutecznym rad sposobie“ Konarskiego, r. 1846 „Psalmami“, albo wystąpieniem na widownię wielkiego pisarza, jak np. r. 1556 — Kochanowskiego, r. 1822 Mickiewicza — i to znowu zupełnie słusznie. Ale czasami z mniejszą słusznością rozpoczyna autor lub kończy rozdział śmiercią króla np. Zygmunta Starego w r. 1548, Zygmunta Augusta w 1572, Stefana Batorego w 1586, Władysława IV w 1648 i t. d., lub też stale nowym wiekiem, tak jakoby każdy wiek od zaczęcia swego musiał nieść i niósł w istocie zarzewie nowych prądów w literaturze i sztuce. Nie bez racyi tedy prof. Chmielowski już zarzucał temu dziełu rozkład na wieki. Stąd jednak nie wynika, aby prof. Tarnowski unikał podziału na okresy. Owszem są one, acz bez specyalnych tytułów, w niejednym szczególe odmienne od obu poprzednich literatur, w niejednym trafniej wydobyte z łona przeszłości, jako synteza ruchu literackiego, wogóle zaś — jak wszystkie inne podziały — dają wyraz indywidualnemu zapatrywaniu i otwierają szerokie pole do dyskusyi. Ażeby dla przykładu wskazać choć jeden słabszy moment w tym podziale, powiem, że okres t. zw. złoty zamyka się rokiem 1600. Dlaczego? Do r. 1641 idą bez przerwy wydania Kochanowskiego, Klonowicza, Skargi, Górnickiego, czytelnictwo tedy u ogółu nie ustaje; główny prąd humanizmu trwa w swej sile, mało słabiejącej, skoro Szymonowicz pisze przeważnie po łacinie, Sarbiewski wyłącznie po łacinie, Starowolski znaczną część dzieł po łacinie, Józef B. Zimorowicz pisze *Vox Leonis* (1634), *Iesus Maria Ioseph* (1640) po łacinie i t. p.; dążenie życia wewnętrznego Polski, aby ziemie wschodnie ubezpieczyć, wcale ściśle łączy koniec wieku XVI z wiekiem XVII, bo przecież Wereszczyńskiego „Droga do obsadzenia pustyń w ruskich krainach“, „Excytarz ku podniesieniu świętej wojny“ wyszły jeszcze w 1592, tak samo jak Grabowskiego „Polska niżna“ i „Zdanie syna koronnego“. Argumenty te mówią, że r. 1600,

jako linia graniczna między okresem a okresem jest sztuczny — i w tym razie wypadnie więcej racyi przyznać prof. Chmielowskiemu, który „Rozkwit humanizmu i reformacyi“ przedłużył do r. 1625. Nie godząc się z powyższą zasadą podziału na wieki a nawet na okresy według kryteryów politycznéj historyi narodu, muszę jednak stwierdzić, że podział ten w niniejszym wypadku nie razi, gdyż nie tłumi i nie niweczy systemu przeglądania rozwoju literatury szeregiem dzieł, wychodzących w czasie... Czytelnik chętnie przebiega historyczne wstępy o zabarwieniu politycznem, rzadziej społecznem, chętnie razem z krytykiem czyni końcowe rachunki z rozwoju literatury w okresach, bo one mu ułatwiają wyrobienie syntetycznego poglądu na całość.

Wydaje mi się rzeczą godną zanotowania, że w tem chronologicznem rozpatrywaniu dzieł nie giną nawet grupy pewnych rodzajów twórczości: nie żeby autor kładł nacisk na przewagę niektórych form literackich w niektórych okresach czasu. Tego nie czyni, boby to było sztuczne, ale potrafi tak zręcznie i doskonale rozłożyć w masie materyału spostrzeżenia swoje i oceny dzieł w miarę większej lub mniejszej tych dzieł ważności, że po przestudyowaniu pięciu tomów czytelnik bez wielkiego trudu zda sobie sprawę nie tylko z rozwoju literatury w toku wieków, ale także z rozwoju poszczególnych kształtów twórczości, np. dramatu, satyry, bajki, powieści, historyografii, pamiętnikarstwa — z pominięciem nauk, które autor świadomie wyłącza, zupełnie słusznie zastrzegając w przedmowie, że ma na celu historyę literatury tylko, nie zaś historyę oświaty w Polsce, ani tedy stan szkół nie należał do zakresu dzieła ani też nauki, z istoty swej kosmopolityczne. Bada więc poezyę, historyografię, filozofię i politykę, a trudno powiedzieć, który z tych działów rozpatruje się szczegółowiej, dokładniej i z większym zasobem staranności. Prof. Tarnowski w dzieło swe włożył wiele lat pracy, zawarł w niem szereg studyów dotychczasowych; z nich niektóre stanowiły owoc źródłowych, rozległych dociekań, jak np. o pisarzach politycznych XVI i XVII wieku. Zamierzony dalszy ciąg studyum o pisarzach politycznych nie ukazał się, niemniej przeto dział ten w „Historyi literatury“ należy do najstaranniej i naj-

obszerniej rozpatrzonych nietylko w XVI ale w XVII i XVIII wieku. Prawda, że w pięciu obszernych tomach z pewnością niema tylu nowych nazwisk, co u prof. Brücknera, ani tylu tytułów, co u prof. Chmielowskiego; natomiast jednak w każdym z wymienionych wyżej działów literatury najwybitniejsze dzieła streszczone, omówione i ocenione bardzo starannie, bardzo sumiennie, o mniej ważnych zjawiskach znajdą się dłuższe lub zwięźlejsze wzmianki, nieraz zaś czytelnik spotyka nawet szczegóły, przeoczone przez obu uczonych, co tem bardziej zadziwia, że prof. Tarnowski do szczegółów nie przywiązuje tyle wagi, co prof. Chmielowski.

Oto parę przykładów. Tadeusz Czacki[1] podaje wiadomość o „pierwszej w Polsce tragedyi pod tytułem „Pamela“ w końcu panowania Zygmunta I wydrukowanej, w której wiele jest o czarach i wieszczbach; mówi Pamela: „Klechdy starych bab nauczały, jak lubowników przez powietrze sprowadzać“. Na innem znów miejscu podaje Czacki[2] z powodu historycznych podań o trucicielstwie w Polsce, że „miłosne trunki, filtra zwane, są wspomnione najpierw w tragedyi „Pamela“, na końcu panowania Zygmunta I drukowanej“. Za Czackim powtórzyli wiadomość Bentkowski, L. Osiński i Brykczyński. Tymczasem ksiądz Aloizy Osiński, profesor krzemieniecki, w dziele swem o Czackim[3] mówi: „Nie było tragedyi „Pameli“, ale „Sofrona“. Wchodzi Pamfil, wchodzą i czary w tragedyę „Sofrona“; ale zbyt prędkie przebieganie jej z wydartym napisem stało się powodem Czackiemu do przeistoczenia „Sofrony“ w „Pamelę“. Tragedya „Sofrona“ Sebastyana Łęczycanina wyszła 1520 r. in 8, zawiera stron 30 bez oznaczenia drukarni, jest w bibliotece Poryckiej“. Otóż ani prof. Brückner ani też prof. Chmielowski nie wzmiankują zgoła o tej tragedyi; prof. Tarnowski zaś wie o tym sporze o tytuł, podaje autora, a nawet powyższe domniemania o treści utworu (I, 125).

[1] „Dzieła“ t. I, str. 23, n. 67.

[2] „Dzieła“ t. II, str. 93 n. 159.

[3] „O życiu i pismach Tadeusza Czackiego“, Krzemieniec. 1816, str. 168 i 368; przyp. 46. Ob. też *Dziennik Warszawski* I, 255.

Albo inny przykład. Zdarzyło mi się w ostatnich tygodniach czytać piękny poemat Stanisława Herakliusza Lubomirskiego z r. 1683 p. t. „Tobiasz wyzwolony“. Wiedząc o tem, że prof. Brückner w swej rozprawie „Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim“ w dodatkach zajmował się Lubomirskim, miałem nadzieję, że w jego „Zarysie“ znajdę ocenę poematu; jednakże niema nawet wzmianki. W dziele prof. Chmielowskiego znalazł się tytuł (II, 109). Natomiast w trzeciej literaturze w odnośnym ustępie (II, 338) nie tylko zwięźle streszczono poemat, ale wskazano nader trafnie najpiękniejsze jego oktawy. Nie będę mnożył przykładów. Faktem jest, że ta trzecia „Historya literatury“ zawiera ogrom materyału nie surowego, lecz doskonale już przerobionego i włączonego w całość z zupełną świadomością tego, gdzie, ile miejsca i w jakiej formie on ma w tej całości zająć. Prawda, że ten uczony nie lubi, niekiedy nawet ku niejakiej szkodzie dzieła, obarczać go balastem tytułów, dat, nazwisk, cytatów i odsyłaczy; rzekłbym prawie, że owa niechęć ma za swą przyczynę estetyczne upodobanie w czystym, pięknym wyglądzie książki, a może po trosze ułatwienie lektury czytelnikowi; ale łudziłby się ten, ktoby z pozoru wnosił, że za opowiadaniem zajmującem nie kryje się wielka suma wiadomości, zbieranych w trudzie i niepowszednim mozole przez lat dziesiątki. Wczytanie się w dzieło uwalnia od tych złudzeń i napawa respektem dla skrzętnej pracy i rozległej wiedzy autora, a jeszcze większym dla przetrawienia i zupełnego owładnięcia rozporządzanym surowym materyałem, tak że wszystkie cząstki zlały się i stopiły w harmonijnie skonstruowaną całość i każda cząstka jest dla całości nieodzowna, mając sobie przydzieloną właściwą rolę. Ponieważ zasadniczym punktem wyjścia nie jest pisarz, lecz dzieło, przeto też systematyczne rozpatrywanie życiorysów nie znalazło zastosowania, jakkolwiek za kulisami dzieła kryje się dokładna ich znajomość i służy autorowi, ilekroć tego wymaga czyto geneza czy też ocena dzieł. Te są streszczane — czasem krócej, czasem dłużej, czasem bardzo obszernie, o ile się przypuszcza, że dzieło ważne, mało dostępne lub mało znane ogółowi. Szanowny autor usprawiedliwia stre-

szczenia w przedmowie, a słuszność i potrzeba ich w historyi literatury wydaje mi się ponad wszelką wątpliwość. Spółcześnie z treścią idzie ocena dzieł. Rozbiory i oceny stanowią najważniejszą część pracy, stanowią jej chlubę i zaszczyt, kryją zarazem i najwięcej słabych w niej momentów: warto im tedy poświęcić kilka uwag.

Podobnie, jak obie poprzednie historye literatury i ta sądzi dzieło, niekiedy znów sądzi pisarza, czy to będzie Krzycki, Orzechowski czy Żółkiewski lub Albrecht Radziwiłł. W swojej przedmowie rozwodzi się nawet prof. Tarnowski dość wyczerpująco nad przywilejem krytyki, której nie tylko wolno lecz i potrzeba sądzić i wyrokować. Byłoby może nie trudno przeciwstawić tym argumentom inne na świadectwo, że wyjaśnianie dzieł przeszłości stanowi metodę odpowiednią i właściwą w krytyce literackiej. Skoro jednak historyk literatury przyjął zasadę odmienną, sprawozdawca — chce czy nie chce — z tem się liczy. Stwierdza atoli, że sądzenie odbywa się w tym razie wedle odmiennych kryteryów, niż u poprzednich dwóch uczonych. Miałem już raz sposobność mówić o tych sądach. Przed krytykiem nieodzownie stają dwa pytania, gdy sądzi. Pierwsze: czy oceniać dzieło wedle opinii dzisiejszego wieku i przekonań własnych, czy też wedle opinii i przekonań wieku dzieła? Na to odpowiada prof. Chmielowski, że własne opinie winne milczeć; na to mówi bardzo słusznie prof. Tarnowski, iż krytycy „mają swoje formułki, do których przymierzają pisarzy i dzieła i podług których sądzą. W tej pracy przymierzania częstokroć nie obchodzi się bez naciągania i dociągania, a rzetelne przedstawienie rzeczy, które jest istotnie zadaniem naukowej pracy, bywa nieraz poświęcone". Nie bez grzechu w tej mierze były dwa wyżej omówione dzieła.

Drugie pytanie jest, czy w sądzeniu posiłkować się podwójnym miernikiem co do treści i formy, czy też oceniać głównie treść albo głównie formę. Skoro się do literatury pięknej wlicza nie tylko rozmaite działy poezyi, ale także pisma polityczne, historyczne i filozoficzne, to badacz literatury sądzący przeważnie na podstawie treści, musi być sam poniekąd histo-

rykiem, politykiem i filozofem. Natomiast jeśli się zważy, że dzieła talentu są tworami wyobraźni i uczucia, to przy ocenie głównie formalnej badacz literatury musi być poniekąd psychologiem, a koniecznie estetykiem. Nie wystarcza wyczuwać piękno form i stopnie uczuciowości; trzeba znać teorye estetyczne w różnych czasach i podług nich oceniać szeregi dzieł talentu. Jakże się ma rzecz w trzech historyach literatury?

Prof. Brückner zastrzegał się sam, że jest „filologiem z powołania, historykiem literatury z musu", do estetyki tedy, a tem bardziej do znajomości teoryi estetycznych nie ma pretensyi. Prof. Chmielowski dawnemi teoryami krytyki zajmował się nieraz[1], zna je, ale u niego praktyka nie zgadza się z teoryą", gdyż zbyt często do oceny dawnych dzieł stosuje miarę dzisiejszą. Od nich obu wybitnie różni się prof. Tarnowski właśnie tem, że uwzględnia i treść i formę w równej mierze, że jest estetykiem, który nie tylko przez rozległe oczytanie w arcydziełach literatury powszechnej udoskonalił smak estetyczny, nie tylko zna teorye krytyki estetycznej w Polsce, odkąd one istnieją, ale usilnie dba o to, aby w dziełach talentu doszukać się tych czynników, jakie warunkowały powodzenie owych dzieł w czasie ich ukazania się, z prac zaś rozumu i wiedzy, przekonań i zasług obywatelskich wydobyć te pierwiastki, które jednały czytelników i wywierały wpływ na otoczenie. Bada przeto starannie i same dzieła i ślady ich w spółczesnej oraz późniejszej produkcyi. On jedyny pośród trzech uczonych posiada tę trudną sztukę, aby uświadomić sobie tajemnice formalnego piękna, jakie dziś dla nas może tajemnicami już być przestały, ale w chwili ukazania się utworu budziły dlań uznanie współczesnych. Jego oceny estetyczne są pełne znakomicie odczutych w dziełach i świetnie ujętych spostrzeżeń. Nic dziwnego, że temu wykwintnemu estetykowi dzisiejsza krytyka w dziedzinie polskiej literatury zawdzięcza wiele odkryć, wiele sprostowań, wiele przyjętych i ustalonych sądów o pisarzach i dzie-

[1] „Znaczniejsze teorye dramatu w literaturze polskiej" *(Pam. liter.*, R. I, 52, 570); „Dzieje krytyki literackiej w Polsce". Warszawa. 1902.

łach przeszłości. Prawda, że Maurycy Dzieduszycki napisał o Skardze cenną książkę, ale oznaczył w niej stanowisko kaznodziejskie, kapłańskie i obywatelskie wielkiego Polaka: prof. Tarnowski zaś w estetycznej charakterystyce prozy Skargi wyniósł go na wyżyny największego prozaika polskiego. Prawda, że rehabilitacyę Fredry po niesprawiedliwej krytyce Goszczyńskiego rozpoczął Chłędowski, ale dopiero prof. Tarnowski w szeregu świetnych odczytów niezbicie dowiódł, że literatura nasza we Fredrze posiada genialnego komedyopisarza. Prawda, że pierwszy Klaczko w rozprawie „O poecie bezimiennym“ oświetlił twórczą działalność Krasińskiego, ale szczupłe ramy tego znakomitego zresztą szkicu rozsnuł prof. Tarnowski ogromną ilością nieznanych dotąd szczegółów, dowodzeń, uświadomionych wrażeń i spostrzeżeń estetycznych. To też i „Historya literatury“ mieści w sobie kilkadziesiąt estetycznych ocen, na które złożyły się: sumienne przestudyowanie dzieł pisarza, bystra obserwacya i czujność estetyczna, usiłująca nie uronić ani jednej piękności dzieła sztuki, znajomość rozwoju umysłowego pisarza i jego otoczenia, wytworny styl i język, posłuszny bezwzględnie myśli krytyka, nakoniec dobra wola w śledzeniu i doszukiwaniu się prawdy. Do najlepszych należą oceny estetyczne Birkowskiego (II, 91—104), Kochowskiego, Paska, „Maryi“ Malczewskiego, komedyi Fredry, Henr. Rzewuskiego, Zygm. Krasińskiego, niektórych dzieł Mickiewicza, zwłaszcza zaś „Pana Tadeusza“. Podczas gdy dwaj uczeni poprzednicy o Birkowskim prawie zapomnieli, prof. Tarnowski poświęca temu kaznodziei szesnaście stron, analizując działalność i talent pisarski; Kochowskiego obaj poprzednicy nie lubią i nie doceniają, prof. Tarnowski wyrządzoną wybitnemu lirykowi XVII wieku krzywdę słusznie wetuje na kilkudziesięciu stronach rozbioru utworów jego (II, 300—320 i 349—360). Uwagi i spostrzeżenia estetyczne nigdy nie są banalne, jeno oparte na odczuciu prawdziwego piękna. Dla przykładu odsyłam czytelnika choćby do oceny tłumaczenia „Orlanda“ Ariosta przez Kochanowskiego w t. II, 61—2.

Wskaże tu krytyk trudności przekładu, płynące ze zmiennych jak kameleon nastrojów oryginału, zbada, w czem i o ile

tłumacz dorównał oryginałowi, wyszuka i wyliczy najpiękniejsze ustępy przekładu, powie, jak spoglądali nań współcześni, słowem w tak drobnym ustępie nie pominie niczego, przez coby się wyrobić mogło jak najwierniejsze pojęcie o danem dziele u czytelnika. Kiedy np. ma oceniać taki niewdzięczny utwór jak „Barbara Radziwiłłówna“ Felińskiego, to go nie zadowoli krótkie twierdzenie, że „postaciom brak naturalności i pogłębienia psychologicznego“, ale zbada najpierw prawa teoryi estetycznych dramatu w okresie pisania tragedyi, podług nich oceni utwór Felińskiego, wyświetli racye, które sprawiły, że tragedya znalazła u współczesnych taki gromki rozgłos, wyszuka znamiona, kwalifikujące ją do rzędu arcydzieł w swoim rodzaju — i w ten sposób usunie z pojęć czytelnika-niespecyalisty tę zagadkę, dlaczego dzieło, które mu się wydaje mało zajmującem — uznawano za arcydzieło. Taka estetyczna krytyka nie może pod żadnym pozorem nosić nazwy wrażeniowej krytyki: jest to bezwarunkowo krytyka estetyczno-naukowa, o tyle doskonała, o ile zawsze utrzymuje się na szczytach przedmiotowości W tym razie atoli w zastosowaniu do „Historyi literatury“ prof. Tarnowskiego musi się poczynić pewne zastrzeżenia. W sądach o utworach i pisarzach dawnych wieków bywa pobłażliwy, wyrozumiały, nie czyniący swego wyroku zależnym od własnych przekonań lub sympatyi; jeżeli surowo wyraża się o charakterze Reja czy Orzechowskiego, to ma na poparcie nie argumenta własnych przekonań, lecz dowody rzeczowe; o Modrzewskim ich niema, to też wyraża o nim zdanie bardzo pochlebne. W tych sądach i wyrokach nic nie razi czytelnika nawet takiego, który dobrze zna upodobania historyka literatury, lecz ich nie dzieli. Natomiast sprawa się nieco zmienia, gdy mowa o autorach i dziełach, bliższych naszym czasom. Już Karpiński zbyt ostrej poddany krytyce, co słusznie zauważył prof. Tretiak.

„Karpiński — jest pierwszy poseur w Polsce. Pozuje w „Pamiętnikach“, pozuje w wierszach, pozuje w życiu, pozuje, kiedy mówi, że niczego nie pragnie i nie żąda, pozuje na umysł poetyczny, na wielką i tkliwą duszę, nadewszystko pozuje na prostotę“ (III, 384). Gdyby uczucia religijne, które znalazły swój

wyraz w takich pieśniach, jak „Kiedy ranne wstają zorze“ lub „Bóg się rodzi, moc truchleje“, albo uczucia patryotyczne w takich odach, jak „Żale Sarmaty“ nie płynęły z głębi serca, lecz były kłamane, toby utwory te z pewnością nie uzyskały takiego rozpowszechnienia, jakiem się chlubią. Jeśli Karpiński oceniony zbyt surowo, to Kajetan Koźmian – jako poeta — zbyt łaskawie.

Czy i o ile słuszne jest zdanie prof. Chmielowskiego, że pieśniom Koźmiana nadawało rozgłos „stanowisko autora w rządzie, jako referendarza stanu“, wyrokować się nie odważę, ale godzę się na sąd tego krytyka, gdy mówi, że „Ziemiaństwu“ brak artystycznej spójności, że „Stefan Czarniecki“ jest dobrze wierszowaną kroniką, że pomysłowości w obu dziełach bardzo mało, bo poeta głosił swą zależność od Wergiliusza, pocichu zaś korzystał z Delilla i Woltera, że słowem były to „wyroby pracującej w mozole imaginacyi“ (III, 83). Tymczasem prof. Tarnowski przyznaje mu wielką elegancyę formy, prawdziwy smak i zmysł artystyczny, myśl oryginalną, zdrową, praktyczną, ducha pracy i porządku i t. p. W literaturze wieku XIX sądów surowych również znajdzie się o dziełach nieco, a najsurowszy w udziale dostał się niektórym utworom Juliusza Słowackiego, naprzykład „Kordyanowi“. W tonie ostrej ironii, częstokroć szyderstwa, czasem pobożnego oburzenia rozpatrzony jest ten poemat, schłostany sam bohater namiętnie i nieprzedmiotowo bez względu na bardzo sprawiedliwe umiarkowanie, jakie nieraz przedtem towarzyszyło prof. Tarnowskiemu przy ocenach niedokończonych poematów. Przyjąwszy za punkt wyjścia, że „Kordyan“ jest cząstkowym obrazem duszy ludzkiej, wciąż przeistaczającej się w kierunku od marazmu i zniewieściałości do odrodzenia i potężnienia moralnego, stwierdziwszy, że gnuśnik i niedołęga z pierwszego aktu, a dzielny, głęboko czujący i spragniony życia młodzian z ostatniego — to dwie zupełnie odmienne postaci — stwierdziwszy to i przyjąwszy, nie można w czambuł potępiać ani dramatu ani bohatera, w którym bądź co bądź dość materyału na genialnego człowieka, bo i wyobraźnia ognista, i wymowa dzielna, i uczuciowość głęboka, i wola silna. Że w sądach o ludziach i dziełach XIX w. niewątpliwie

odczuwa czytelnik zbyt gorące tchnienie osobistej antypatyi lub sympatyi, na dowód pozwolę sobie zestawić dwa sądy o tym samym człowieku, mianowicie prof. Tarnowskiego o hr. Henryku i hr. Henryka o sobie. „Piękny to człowiek — mówi prof. Tarnowski — szlachetny i podbijający urokiem. Czego w nim brak? Geniuszu? Nie. W każdem słowie Henryka czuje się wielkość uczuć, zdolność rozkazu, pewność siebie. Ma się to wrażenie, że ten człowiek mógłby być wojownikiem i odnosić zwycięstwa, mężem stanu i zakładać państwa, poetą i tworzyć piękność, mowcą i trząść tysiącami serc i umysłów. Gdyby był uczonym, potrafiłby przeniknąć i zrozumieć wszystkie umiejętności. Przytem jest to człowiek dobry, szlachetny; kocha tylko to, co dobre i piękne, a kocha to z zapałem. Poświęcenie byłoby dla niego rzeczą tak prostą, iżby nawet poświęceniem być przestało“. Nie jestże to zbiór doskonałości, ideał niedoścignionych? A tymczasem on sam mówi o sobie: „Grobowa próżnia w sercu mojem. Znam wszystkie uczucia p o i m i e n i u, a żadnej żądzy żadnej wiary, miłości niema we mnie, jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim, że oślepnie, o towarzystwie w którem wzrosłem, że się rozprzęgnie — i cierpię“. (Akt II). Czy to tenże człowiek — taki dobry i szlachetny? Komu wierzyć?

Ale pominąwszy owo łatwo dające się wyrozumieć uprzedzenie, ową bezwzględność w sądzeniu niesympatycznych, ową natomiast pobłażliwość, niekiedy zapał w sądzeniu sympatycznych dzieł i postaci z literatury XIX w., trzeba i tu powiedzieć, że w historyku literatury polityk, filozof i moralista nie zagłuszył i nie stłumił estetyka. Piękno formalne znajdzie w nim zawsze wielbiciela i niezrównanego tłumacza. Ktoś, podobno Brückner, powiedział o tej „Historyi literatury“, że zajmując się przeważnie tworami sztuki, sama jest dziełem sztuki. Da się to zdanie zastosować zwłaszcza do architektoniki całości, do ocen estetycznych i stylu dzieła. Grzeszy on, co prawda, rozwlekłością, do czego się zresztą sam autor w przedmowie przyznał; poza tem atoli rozporządza takim bogatym zasobem słów, obrazów, porównań i zwrotów, bywa tak giętki, łatwy, naturalny i jasny, tak ogromnie różnostronny i urozmaicony, tak

odrazu i bez wszelkiego przymusu znajduje odpowiednie kształty w języku na wyrażenie różnych odcieni myśli i uczuć, że czytelnik wydziwić się i dość nasycić nie może, jakby jaką zajmującą powieścią. W pięciu niemałych tomach pracy znajdą się doskonałe wzory stylu historycznego, poetycznego, retorycznego, znajdą się zwroty i obrazy dowcipne, pełne ironii, patetyczne, poważne i moralizujące, barwne i malownicze, uczuciowe, rzewne i wzruszające. Z całego dzieła tchnie jakiś obywatelski i rozmiłowany w swojskości i przedmiocie żal i ból, ilekroć musi się o Polsce lub Polakach mówić ujemnie, z naganą. Całe dzieło owiane jest pragnieniem duszy, któraby rada widzieć we współziomkach nieustanną dążność do ideału cnoty, dobra i piękna, zrozumianego w intencyi zasad ewangelii Chrystusowej. Jeśli czytelnik przebiega pilnie karty dzieła, to wzbogaca nie tylko wiedzę swoją, ale i uszlachetnia serce.

Wyższość tego dzieła ponad dwa poprzednie nie ulega wątpliwości. Nie jest słusznym zarzut Brücknera, jakoby budowa była arcyluźna, nie jest też słusznym i drugi, że nie uwzględnia literatur innych Słowian[1]. Budowa dzieła jest tak jednolita, tak jedną ideą ściśle zwarta, jak żadna z obu poprzednich. Literatury Słowian innych nie bardzo uwzględniał też i sam Brückner w tych okresach i wiekach, które opracował obszernie Tarnowski, t. j. od XVI w. począwszy. Wydaje mi się rzeczą zbędną w książce bądź co bądź podręcznej polskiej prawić o wpływach literatury naszej na czeską lub rosyjską, odwrotnie zaś o wpływach czeskiej lub rosyjskiej na naszą prawić — rzecz to nieco ryzykowna. Wprawdzie każde z trzech omówionych dzieł chlubi się właściwemi zaletami: dzieło Brücknera mnogością nowych zjawisk, wprowadzonych do historyi literatury tak, że da ono niezawodnie nieraz bodziec młodym adeptom do odkryć i poszukiwań; dzieło prof. Chmielowskiego rzeczową ścisłością, bogactwem myśli, znakomitemi streszczeniami, jednak najwięcej stron dodatnich znajdzie się w tomach „Historyi literatury“ Tarnowskiego. Ktoby się chciał ze skarbem naszego piśmien-

[1] W „Zarysie“ t. II, str. 320.

nictwa zaznajomić w sposób łatwy i przyjemny, ktoby chciał skarb ten rozpoznać u krynicy dzieł i to zarówno w treści jak formie, ten w książce niniejszej ma przewodnika, który nie tylko napoi go wiedzą i mądrością dawnych wieków, ale zachęci do pracy głębszej i gruntowniejszej, napełni serce miłością ku rzeczom przeszłym, nauczy rozważać je wszechstronnie i nie odbierze wiary w przyszły rozwój tej ostoi narodowych ideałów, jaką powinna być dla nas literatura.

Antoni Mazanowski.

NAJNOWSZE WYKOPALISKA NA KRECIE.

(Dokończenie).

III.

Równocześnie, gdy prof. Evans rozpoczął poszukiwania w Knossos — archeologowie włoscy podjęli się badań w Festos a Amerykanie we wschodniej części Krety w okolicy Sitii, w Gurnia i innych miejscowościach. Niebawem tak wielka nagromadziła się ilość najrozmaitszych cennych zabytków, iż prześcigła wykopaliska mikeńskie co do rozmiarów i starożytności. Obecnie zastanawiają się archeologowie, czy nie wypadałoby kreteńskim wykopaliskom nadać odrębną od mikeńskich nazwę, np. od imienia Minosa, skoro Knossos, Festos i Ἅγ. Τριάδα okazują wspólne cechy tej samej epoki. Druga kwestya powstała: jak uchronić te cenne zabytki od rozproszenia. Obecny rząd kreteński, idąc za przykładem Grecyi, ułożył się z komisyami archeologicznemi Anglii, Włoch i Ameryki, gdyż tylko one obecnie zajmują się poszukiwaniami starożytności kreteńskich: że wszystko, cokolwiek znajdą, ma pozostać w kraju, archeologom przysługuje tylko prawo publikacyi. Dzięki temu układowi, podróżny nie jest zmuszony szukać po zagranicznych muzeach lub prywatnych zbiorach znalezionych przedmiotów z ostatnich trzech lat — ma je wszystkie razem zebrane w Kandyi. Lecz widocznie rząd kreteński nie przewidział, co jego ojczyzna w łonie swem ukrywa, skoro nie pomyślał zawczasu o wybudowaniu odpowiedniego muzeum. Gdy zupełnie niespodziewanie zaczęły się gromadzić stosy najcenniejszych

i pierwszorzędnych dla nauki zabytków: część olbrzymiej dawnej tureckiej kasarni oddano na urządzenie prowizorycznego muzeum. W ostatnich dniach wyczytałem wiadomość, że w Kandyi już przystąpiono do budowy odpowiedniego gmachu. Tem więcej była tego nagląca potrzeba, ponieważ owa turecka kasarnia w znacznej części jest zbudowaną z drzewa, w razie ognia znikłyby zabytki najcenniejsze, bodaj czy nie jedyne nieznanego nam dotychczas historycznie ludu — współczesnego z najstarszymi Egipcyanami, Assyro-babilończykami i Izraelem z czasów przedmojżeszowych.

Gdym do Kandyi przybył dla zwiedzenia muzeum, zjechali się główni poszukiwacze-archeolodzy, aby oglądać przed trzema dniami znaleziony skarb w Knossos: świątyńkę z najciekawszymi przedmiotami kultu. Prócz prof. Dr. Evansa i jego pomocników znalazłem w muzeum prof. Halbherra z Festos, Miss, Boyd z Gurnia, *representing of the American exploration Society, Professor of archeology in Smith College,* jej pomocnika Amerykanina, którego poznałem już dawniej, a przedewszystkiem dyrektora muzeum, Ateńczyka, prof. Dr. Józefa Hatzidakis (Ἁζιδάκις). Dzięki uprzejmości tego areopagu archeologów, zapoznanie się z nagromadzonym materyałem było bardzo ułatwione od pierwszej chwili wejścia do muzeum. Nadto dyrektor Hatzidakis wyznaczył mi na dzień następny godziny, w których ofiarował się sam szczegółowe dawać objaśnienia.

Stanęliśmy najpierw przed freskami znalezionemi na ścianach pałacu w Knossos. Artysta z epoki Minosa przedstawił procesyę naturalnej wielkości figur — ulubiony przedmiot w starych egipskich i asyryjsko-babilońskich płaskorzeźbach. Widzimy tu młodzieńca o śniadem ciele, czarno-kruczych włosach, opasanego w biodrach przepaską. Niesie on w podniesionym ręku naczynie stożkowate, podobne do kielicha na wino szampańskie bez podstawki, lecz znacznie większych rozmiarów. Takiego samego kształtu i wielkości naczynia marmurowe bardzo pięknie wykonane znalazły się w pałacu Minosa; obecnie są przechowane w muzeum. Widocznie więc artysta za temat wziął scenę z ówczesnego życia dworskiego: chciał przedstawić hołd składany królowi.

Knossos. Jedna ze sal ze śladami tynku i miejsc po kolumnach cedrowych spalonych podczas pożaru pałacu.

Drugi fresk, który znajdował się wprawdzie na innej ścianie pałacu, lecz jakoby uzupełniał to, co zniszczonem zostało w pierwszym fresku: przedstawia również szereg postaci biorących udział w hołdowniczej procesyi. Niestety, tylko z niej nogi pozostały — reszta fresku zniszczona.

Już wówczas artysta dokładnie akcentował w anatomicznem przedstawieniu i kolorycie różnicę płci: jedne postacie są opalone od promieni słonecznych — więc koloryt dał im ciemny; drugie zajęte w ognisku domowem, w cieniu, mają cerę jasną. Na rozlicznych innych freskach różnica cery i kształtów ciała jeszcze bardziej jest uwydatnioną. Tak np. w miniaturowych malowidłach na stiuku są przedstawione rozmaite sceny z życia ludowego. Dla uwydatnienia różnicy płci nie dosyć było artyście dać inne ubranie figurkom męskim, inne żeńskim: cerę ciał mężczyzn wykonał brunatno, niewiast — biało. Postacie mężczyzn są w przepaskach, niewiast suknie bardzo wycięte, koloru przeważnie żółto-pomarańczowego i niebieskiego, włosy osób są zawsze koloru czarnego. Dla uwydatnienia fałdów sukni i samych postaci artysta posługiwał się konturami czarnymi — być może nawet, że wpierw rysował obraz, później go kolorował.

Wśród scen z życia w miniaturowych freskach zasługują na uwagę zabawy z bykiem. Nie dostrzegłem nigdzie takiej sceny, jaka się odbywa po dziś dzień w Hiszpanii. Natomiast występują tu zamiast mężczyzn ze szpadami i zastępu trokaderów: dziewczęta, które na rogach i grzbiecie byka gimnastyczne dają przedstawienia. Zwierzę najczęściej w biegu jest przedstawione. Trzeba więc było niesłychanej wprawy, aby w swym czasie zgrabnie za rogi chwycić i nie stracić równowagi umysłu i ciała w gimnastycznych produkcyach. Obszerne areny przed pałacem w Festos, o jakich wyżej wspomnieliśmy, prawdopodobnie służyły także do podobnych widowisk. Jak ulubioną musiała być ta zabawa, okazuje się z tego iż jest nie tylko we freskach przedstawioną, lecz i w rzeźbie. Tak np. przechowała się bardzo starannie wykonana figurka dziewczęcia z kości słoniowej w chwili, gdy z podniesionemi w górę rękoma ma skoczyć na zwierzę.

Jednem z najpiękniejszych malowideł ściennych jest fragment płaskorzeźby kolorowanej, przedstawiającej króla. Część głowy, ręka i noga tak doskonale anatomicznie są wykonane, że i dziś trudno byłoby lepiej wyrzeźbić. Wszystkie muszkuły i żyły na ręku są uwydatnione plastycznie. Dokoła głowy widać dyadem. Pojedyncze ogniwa naszyjnika przedstawiają lilie, zupełnie przypominając swym rysunkiem herbowe bourbońskie.

Arcydziełem tego rodzaju płaskorzeźby polichromowanej jest także byk naturalnej wielkości, z którego pozostały niestety tylko głowa, kopyta, i kilka części z nóg i tułowiu. Dzisiejszy artysta nie umiałby dokładniej i z większem życiem oddać głowę tego zwierzęcia.

Również piękne są freski, do których motyw dał świat roślinny. W łazienkach Festosu i w kilku innych miejscach tego pałacu znalazły się na ścianach ślady pejzażów z natury zdjęte; w każdym razie umiał artysta przedstawić roślinność jak lilie, lotusy i inne kwiaty, i ożywić takowe ruchem ptactwa.

Do działu malarstwa wypukłego możemy zaliczyć ułamki białych rozet ze stiuku, jakie zdobiły prawdopodobnie powałę, której tło było niebieskie. Najrozmaitszego rodzaju kolorowane maleńkie fasady i jakby plany domów piętrowych o drzwiach i kilku oknach doskonale ze stiuku wykonane, dają nam pojęcie, jak wyglądały ówczesne domy mieszkalne.

Z rzeźby zasługuje na uwagę sfinks z ciemnego marmuru znaleziony w Św. Trójcy doskonale wykonany, z żółtego marmuru pies, któremu rzeźbione oczy i pysk farbą domalowano dla silniejszego efektu, krowa ze ssącem cielęciem, prawdopodobnie *anathema*, gdyż znaleziono ją w świątyni knossowskiej przed boginkami z porcelany, które również za arcydzieło sztuki w swoim rodzaju można uważać.

Między zabytkami płaskorzeźby najcenniejszą jest waza z czarnego marmuru, znaleziona we Festosie, 20 ctm. wysokości, 10 ctm. średnicy, w górnej części silnie zwężona (podobna do lekitosu na wodę). Wprawdzie jej niższa część uszkodzona, jednak w całości pozostała płaskorzeźba przedstawiająca scenę z życia wojskowego lub rolniczego. Oto na przedzie idzie wódz

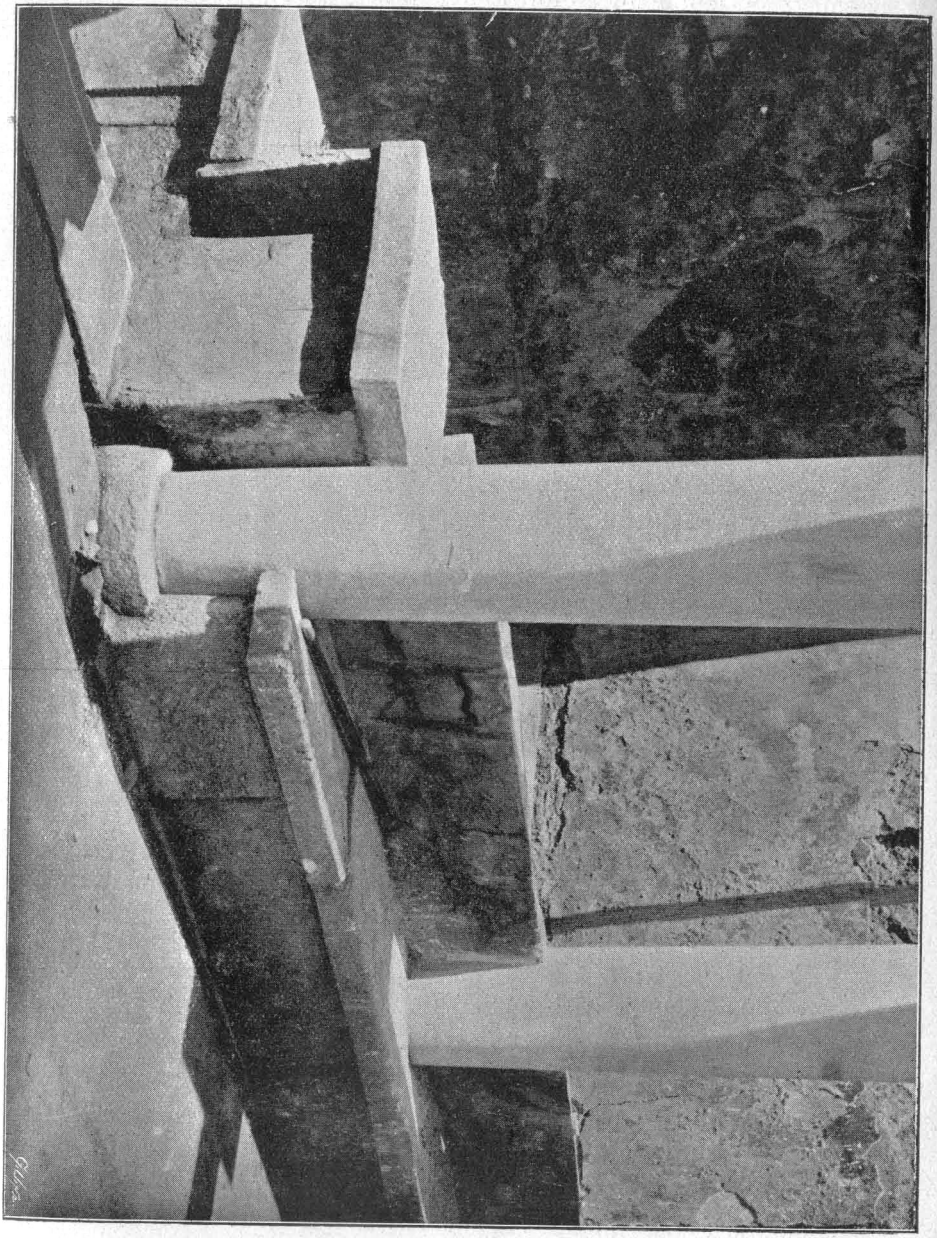

Część sali tronowej w Knossos. Naprzeciw drugiej kolumny znajduje się tron kamienny.

z długim pałaszem w ręku, w pancerzu, za nim w parach postępuje ośmiu żołnierzy z bronią w kształcie długich trójzębów czy wideł; następnie śpiewak z instrumentem muzycznym, za nim 3 innych śpiewaków: usta mają otwarte — znać silnym głosem nucą pieśń radosną; pochód kończy 13 innych żołnierzy tak samo jak pierwsi uzbrojonych w trójzęby długie, w przykryciach na głowie. Na pierwszy rzut oka pochód ten robi wrażenie wojska wracającego w tryumfie. I nie miałbym pod tym względem żadnych wątpliwości, gdyby nie inna współczesna płaskorzeźba na kubku, przedstawiająca żołnierza w zbroi z tarczą w ręku, prezentującego broń przed towarzyszem broni starszym rangą. Współpracownik prof. Evansa, malarz i rzeźbiarz, zwrócił na to moją uwagę i oświadczył, iż owa scena na wazie festoskiej może raczej przedstawia powracających z ukończonego zbioru żniwiarzy z wielkiemi widłami w ręku, wódz trzyma nie pałasz, lecz raczej kij długi do naganiania pracowników. W każdym razie technika w przedstawieniu tej procesyi i precyzya w wykończeniu pojedynczych osób jest doskonałą. Wyraz twarzy, uwydatnienie muszkułów ciała, sprawia wrażenie ruchu, osób żyjących, a nie manekinów.

Charakteryzujący szczegół dostrzegłem tak w tej płaskorzeźbie, jak i we freskach: oto wszystkie osoby są nieproporcyonalnie szczupłe, a u niewiast talia prawie jak u osy.

Dyrektor Hatzidakis zwrócił moją uwagę na bardzo piękny mniej więcej $1^1/_2$ metra długości na 25 ctm. szerokości fryz z zielono szarego kamienia — bardzo twardego, znalezionego w Knossos. Deseń, wykończenie, materyał, z jakiego jest zrobiony, wreszcie i wielkość przypomina podobny fryz znajdujący się w muzeum archeologicznem w Atenach, o ile pamiętam, pochodzący z Miken.

Naczyń marmurowych, jakie widzieliśmy na fresku w ręku młodzieńca idącego w procesyi, przechowuje się w muzeum kikanaście sztuk, a jedne piękniejsze od drugich w kolorycie marmurów cennych i wykonaniu. Po większej części są one gładkie, niektóre mają kanelury od samego brzegu, a schodzą się u dołu. Wielkość tych naczyń rozmaita; dochodzi do 30

i 40 ctm. Na jajowatem zakończeniu u spodu mają otwór niewielki. Dotychczas jest zagadką, do czego mogły służyć, boć prócz ozdoby sal pałacowych musiały mieć praktyczne zastosowanie. Ponieważ nie mają podstawy, można je tylko poziomo położyć, i tak są ustawione w muzeum.

Między wyrobami z marmuru na szczególną wzmiankę zasługuje amfora o obwodzie $2^1/_2$ metra, wysokości 60 ctm., z trzema uchami, z jednej bryły wykonana, ozdobiona pięknemi spiralnemi wyżłobieniami. Patrząc na nią, mimowoli nasuwa się pytanie, jakich artysta musiał użyć narzędzi, aby tak zgrabnie wydrążyć marmurową bryłę.

W dziale ceramicznym znajdujemy wiele okazów zarówno z epoki mikeńskiej jak Kamares, a wszystkie od najmniejszych naczyń do urn olbrzymich, dają świadectwo dobrego smaku i artystycznego ducha owej doby ludności. Prócz najzwyczajniejszych miseczek glinianych, w których lud składał libacye bożkom, wszystkie inne naczynia są ozdobione kolorowym deseniem, kwiatami, rybkami, rozetami i t. d. często równocześnie także wyciskami w rozmaitej formie. Są tu owe olbrzymie πίθοι, są wazy z szerokim lub wązkim otworem u góry, są dzbanki z pojedynczym lub podwójnym otworem: jak w czajnikach, lekitosy (λέκυθος) o długiej lub krótkiej szyjce, z uchem lub bez ucha, kubki, czarki, misy i miseczki. Nawet przedmioty do codziennego użytku, lub te, które rzadko podpadały pod oczy — jak w magazynach πίθοι są ozdobione malowidłami lub odciskami, świadczącymi o dobrym guście właścicieli i rzemieślników. A są to przedmioty jedne z epoki przejściowej mikeńskiej do starohelleńskiej, lecz najwięcej z epoki Minosa (mikeńskiej), Kamares i jeszcze dawniejszej, aż do neolitycznej, znalezione we wszystkich trzech miejscowościach, Festos, Knossos i Gurnia. Nie łatwo jest nieraz odróżnić, do jakiej epoki dany przedmiot zaliczyć. Dyrektor Hatzidakis wskazał mi jedną z najpewniejszych cech, po których można rozpoznać epokę Kamares od mikeńskiej i staro-helleńskiej w ceramice. W epoce Kamares w ozdobie naczyń używano tła czarnego lub innego ciemnego, a na niem wykonywano desenie lub inne malowidła barwą

jaśniejszą, np. białą lub czerwoną. W epoce mikeńskiej przeciwnie: przedmioty mają tło jaśniejsze, a rysunki i malowidła ciemniejsze. Co do formy naczyń, w obydwu epokach znaleziono te same kształty, tylko 3 odmiany — nieco udoskonalonych dzbanków z dzióbkiem znaleziono z epoki mikeńskiej, których nie dostrzeżono w epoce Kamares.

Πίθος znaleziony w Knossos.

Z wyrobów szklannych znaleziono w św. Trójcy i Knossos sztabki na jednym końcu lekko ścięte i zaokrąglone, długości mniej więcej 6 ctm., szerokości 1 ctm., również w tychże pałacach wypukłe, okrągłe szklanne placuszki o średnicy $2^1/_2$ ctm. Szkło jest bardzo czyste; prawdopodobnie były to przedmioty służące do jakiejś gry nam nieznanej. Nie wiadomo również czy do

gry np. w szachy, czy tylko do ozdoby służyła taca znaleziona w Knossos bardzo misternej, wypukłej mozajkowej roboty. Na płycie srebrnej emaliowanej na niebiesko (nie na szkle, jak pierwotnie mniemano), ozdobionej złotem i przegradzanej kością słoniową i górskim kamieniem, poumieszczał artysta rozmaite pola w kształcie figur geometrycznych: kółka, kwadraciki, kreski, rozety, wszystko zaś otoczył wieńcem z kwiatów żółtej i niebieskiej barwy.

Dotychczas stosunkowo niewiele znaleziono przedmiotów ze złota. Nie sądzę, aby ich w wykopaliskach kreteńskich nigdy nie było; i owszem słyszałem od rozmaitych osób, że za czasów tureckich lud w sekrecie przed rządem odkopywał groby stare i robił poszukiwania za „skarbami", które później w centrach handlowych albo przetapiane albo tak jak były znalezione sprzedawał ukradkiem prywatnym osobom. W Smyrnie i wogóle w Małej Azyi może się znajdą kiedyś niektóre przedmioty należące pierwotnie do dawnych panów Knossosu lub Festosu. W Ἁγ. Τριάδα zagrzebanem gruzami, a więc w miejscu ukrytem dla profanów, w ciągu bieżącego roku znaleziono niektóre przedmioty ze złota, które dają świadectwo wysoko rozwiniętej sztuki złotniczej w odnośnej epoce. Tak znaleziono tam ze złota trzy głowy wołu nader misternej roboty, o czem wyżej wspomniałem, dwa lewki śpiące i naszyjnik w grobie królowej Ti (Teje) żony Amenofisa III. W temże samem miejscu (nie pamiętam czy w tymże grobie) prócz innych drobnych przedmiotów ze złota, jak szpilki, zausznice i t. d. znaleziono rodzaj złotego amuletu w formie serduszka zaledwie $1^1/_2$ ctm. długości, na którem artysta w płaskorzeźbie przedstawił walkę chrząszcza z rakiem lub skorpionem. Wyrób tak jest doskonały w swoim rodzaju, iż w podziw może każdego wprowadzić, że przedmiot o tak delikatnym rysunku mógł być wykonanym co najmniej przed 3500 laty.

O wielkiej liczbie pieczęci znalezionych tak w Festos jak w Knossos wyżej wspomniałem. Patrząc na niektóre odciski z nich zrobione, zdawałoby się, że są z epoki cesarstwa rzymskiego, kiedy w kameach się lubowano. Wspomniałem, że niewiadomo, na pewno, do czego tak wielka liczba pieczęci służyła;

dotychczas znaleziono około 1500 sztuk w rozmaitych odmianach. Prof. Evans przypuszcza, że pieczętowano niemi towary przeznaczone na eksport, podobnie jak dziś skrzynie lub całe wagony z towarem naładowanym pieczętują ołowiem.

Najciekawszem dla badań lingwistycznych i historycznych byłoby odcyfrowanie archaicznego pisma, przechowanego na kamieniach i tabliczkach glinianych, które po pożarze wypalone, przechowały niezatarty ślad cywilizacyi epoki Minosa. Odczytanie tego pisma nie będzie łatwem zadaniem. Wiadomo, z jakiemi trudnościami było połączone odcyfrowanie hieroglifów egipskich, a później pisma klinowego. Gdyby nie kamień rozettyjski znaleziony podczas wyprawy egipskiej Napoleona I w r. 1799, na którym obok hieroglificznego tekstu był on wy-

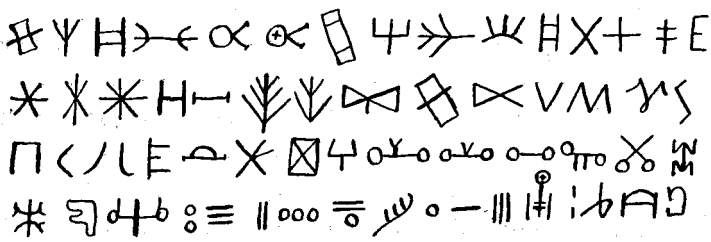

Znaki znajdujące się na tabliczkach z Festos i Knossos.

ryty w dwu innych językach: demotycznym i greckim — co służyło za klucz do odcyfrowania imion własnych a następnie całego tekstu — może dotychczas hieroglify byłyby niezbadane. Podobnież przy odcyfrowaniu pisma klinowego dopomogła okoliczność, iż znaleziono tekst wyryty w trzech językach: perskim, nowo-suzyjskim (nazwa od prowincyi Susiana), i babilońskim. Chociaż użyto we wszystkich trzech tekstach jako fundament pisma klinowego, jednak system układania z nich słów był odrębny. Trudność w odcyfrowaniu liter była większą niż przy hieroglifach, lecz trojaki tekst tej samej treści ułatwił badania uwieńczone dziś już pomyślnym skutkiem. Wobec zupełnie nowego pisma na razie lingwistycy stoją bezradni. Oczekują oni dalszych wykopalisk, w których może się znajdzie obok tekstu archaicznego tabliczek znalezionych na Krecie tekst w innym

już znanym języku. Wówczas metoda, jaką posługiwano się przy hieroglifach lub klinowem piśmie mogłaby być i tutaj zastosowaną. W przeciwnym razie trzeba będzie szukać innego klucza do rozwiązania tajemnic, kryjących się w obfitym materyale, pozostawionym nam przez odległą przeszłość.

Prof. Evans'owi zdaje się, iż jest na tropie do odczytania cyfr znalezionych na tych tabliczkach. Kreski i punkty w pionowej lub poziomej pozycyi ustawione miały służyć do oznaczenia jednostek, dziesiątek, setek i t. d. Swoją hipotezę stara się udowodnić rachunkami, w których zesumowanie odpowiadałoby naszemu systemowi dziesiątkowemu. Jest to jednak dotychczas tylko hipoteza, wymagająca dalszych prób.

Najciekawszym ze wszystkich przedmiotów jest mała świątynka znaleziona w Knossos w połowie czerwca bieżącego roku, o czem wyżej wzmiankę uczyniłem. Naoczny świadek znalezienia skarbu opowiadał mi, że po zamknięciu sezonu badań w Knossos, w wigilię wyjazdu z Kandyi do Aten a następnie do Anglii na czas najsilniejszych upałów w tych stronach — poszedł z prof. Evans'em raz jeszcze do Knossos, aby ostatnie dać polecenia strażnikom tych ruin. W jednym z kurytarzy uderzywszy laską w ziemię, usłyszał dudnienie. Ciekawością zdjęty, kazał płytę kamienną odwalić, a pod nią znalazł najciekawsze przedmioty służące do kultu, które po niewielkich naprawach dały się doskonale ustawić. Były tam dwie postacie niewieście porcelanowe, krzyż równoramienny i wielka ilość najrozmaitszych anathematów (ἀνάθεμα). Boginki są 25—30 ctm. wysokości z bardzo uwydatnionemi piersiami, przedstawione w sukni powłóczystej, u spodu dość szerokiej, w obydwu podniesionych i na pół rozwartych rękach trzymają węże, głowę ich zdobi rodzaj spiralnego zawoju, proporcyonalnie wyższego od tureckich fezów, lecz tego samego kształtu. Dyr. Hatzidakis przypuszcza, że boginki owe przedstawiają pierwotny kult córy Zeusa, przeniesiony następnie jako kult Ateny do Grecyi. Inny znawca starożytności greckich stawia hipotezę, iż może raczej były to postacie Demetry.

W muzeum kandyjskiem, dokąd po raz drugi z końcem

czerwca przybyłem, zastałem już obydwie boginki ustawione za oszkloną szafeczką, a pomiędzy niemi równoramienny krzyż o rozmiarach 22 ctm., szerokości ramion 6 ctm., grubości $1^1/_2$ ctm. z szaro-zielonkowatego marmuru, przypominającego *verde antico*. Żadnych na nim nie dostrzegłem napisów ani znaków. Do ozdoby służyć nie mógł. Prof. Hatzidakis, również prof. Evans, przypuszczają, iż krzyż ten musiał również do kultu należeć,

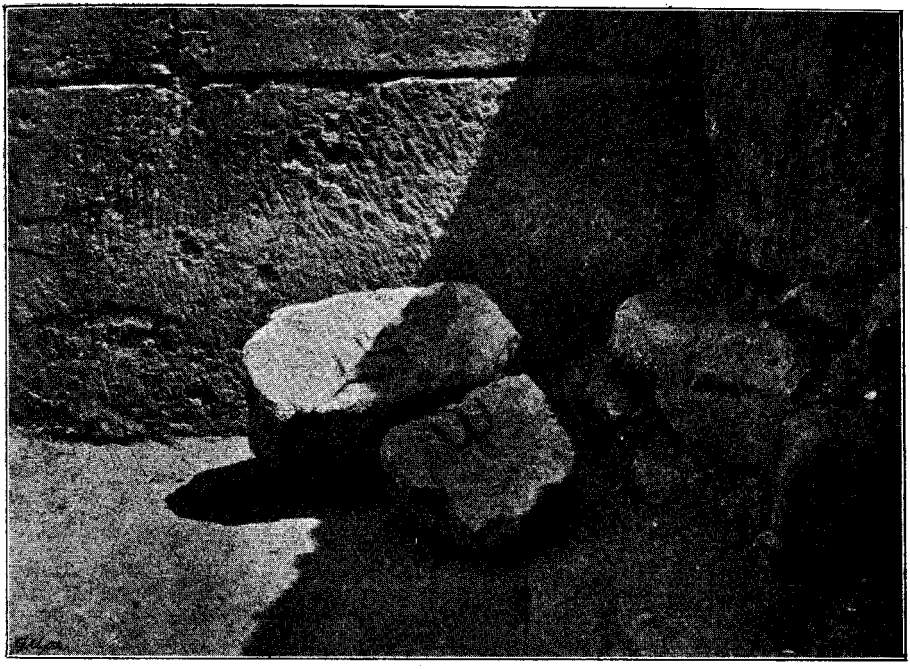

Festos. Napisy archaiczne na kamieniach w jednej z izb północnej części pałacu.

skoro znajdował się w świątyńce. A jest to nie jedyny krzyż znaleziony w Knossos. W muzeum znalazłem dwa inne krzyżyki w tych samych proporcyach o rozmiarach 4 ctm. również wykonane z kamienia. Że nie jest krzyżem bizantyńskim ani innym chrześcijańskim, nie ulega żadnej wątpliwości. Kto wie, czy tak, jak we współczesnym Egipcie, nie był on symbolem życia. W tem samem miejscu znaleziono najrozmaitsze marmurowe i kolorowane anathemata *(exvota)* doskonale wykonane z porcelany. Między

innemi jest tam krowa ze ssącem cielęciem, piesek, latające ryby, kwiaty lotosu, wielka ilość muszelek jednego i tego samego rodzaju, i kilka maleńkich libacyjnych naczyń z gliny i marmuru — a przedewszystkiem dwie wzorzyste suknie damskie wykonane z porcelany (płytki trójkątne około 12 ctm. wysokości). Wiadomo, że bogini Atenie przy uroczystościach panatenajskich co 4 lata składano wielką szatę niewieścią (πέπλος). Być może, że zwyczaj ten przeniesiono do Aten z Krety, kiedy ślad tego kultu pozostał w owych porcelanowych anathematach. W muzeum są jeszcze inne przedmioty kultu: boginki siedzące z rękami zwróconemi ku piersiom, a już najczęściej znak rogów, jako symbol kultu ziemi karmicielki. Wogóle przedstawiano w starożytności odległej wołu lub krowę jako przedmiot kultu, ponieważ są najużyteczniejszemi stworzeniami. Zamiast całego wołu wzięto do kultu tylko rogi, które z czasem przemieniły się w formę tylko daleko przypominającą osadę czaszki z rogami. W jednym wypadku przechowała się na tych rogach umocowana okrągła płytka srebrna w formie księżyca lub słońca, co prawdopodobnie miało przedstawiać kult ziemi i nieba.

Oto krótki opis zabytków znalezionych w ostatnich 3 latach w Knossos, Festos i Gurnia. Niepodobna o wszystkich innych przedmiotach przechowanych w muzeum wspominać: o zbrojach — sarkofagach glinianych i innych drobniejszych przedmiotach służących do codziennego użytku lub do ozdoby. Fachowi badacze odległej starożytności niebawem nam okażą gruntowne sprawozdania. Dla nas wystarczy stwierdzenie faktu, iż pod względem materyalnej kultury ludy przed 4000 i więcej laty nie wiele od nas różniły się. Podczas gdy myśmy byli jeszcze barbarzyńcami, istniał lud cywilizowany, którego duchowa strona musiała być przecież proporcyonalnie rozwiniętą do strony materyalnej. Dziś nawet nazwa tego ludu zaginęła, i tylko jako hipotezę możnaby przyjąć, że był to jeden z tych narodów współczesnych Egipcyanom i Assyrobabilończykom, którym miano Hettitów nadano.

Ks. Marcin Czerminski.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

VI.

Najciekawszą ze wszystkich historycznych książek ostatnich lat jest niewątpliwie dzieło Adama Szelągowskiego p. t. „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII w. w Polsce“ (Lwów 1902). Po raz pierwszy zajęto się tutaj tematem tym wszechstronnie i systematycznie, badając tak teoretyczne zapatrywania polskich uczonych i statystów, jako też stosunki praktycznego życia. Okazuje się, że w naukach ekonomicznych byliśmy ściśle związani z ruchem umysłowym Zachodu. W XV wieku zaczyna się chwiać wśród teoretyków kanonistyczna teorya ekonomiczna, uważająca pieniądz tylko za wymiennik wartości i potępiająca dochód od pieniądza jako takiego. Zmiana stosunków toruje drogę kapitalizmowi i oddziaływa na wszystkie dziedziny życia, najbardziej zaś może na politykę i finanse państwowe, niepoślednio zaś także na gospodarstwo rolnicze, przygotowując przyszły ustrój kapitalistyczny. Błędnem byłoby zapatrywanie, jakoby prąd ten dotyczył tylko świata kupieckiego i przemysłowego. Już za Kazimierza Jagiellończyka znać wpływ jego na gospodarstwie krajowem. Wytwarza się potrzeba kredytu na wielką skalę i wkrótce pieniądz staje się nie tyle celem, jak środkiem zapobiegliwości ludzkiej, staje się nowem a dzielnem narzędziem ku postępowi. Jak każdy przewrót, tak też i ten miał swe ujemne strony. Nie zniesienie samego kapitalizmu, lecz kapitali-

stycznego ustroju społecznego powinno być marzeniem nauki. Dziś na początku XX wieku nie można sobie już wyobrazić całego życia bez kapitalizmu, boby od razu chyba runąć musiało wiele instytucyi, które są podstawą warstatu społecznej pracy i to nie tylko w dziedzinie ekonomicznej, ale nawet umysłowej; chodzi natomiast o to, żeby kapitalizm urządzić po chrześcijańsku. Podczas lektury znakomitej pracy Szelągowskiego nasuwa się ten wniosek raz w raz. Po zygzakowatej linii odbywa się moralny postęp ludzkości. Rzadko kto wie, że te zagadnienia, nad któremi dziś łamiemy sobie głowę, które roznamiętniają nas i na zebraniach publicznych doprowadzają nieraz do szału, roztrząsali już katoliccy pisarze XV wieku. I wtenczas była kwestya socyalna i wysnuwano całe systematy ekonomiczne w imię dobra warstw niższych, broniąc z całych sił słabszych przed przewagą ekonomiczną mocniejszych. Wielu uczonych poświęciło całe życie zagadnieniom, jakby żywot biedaka uczynić znośniejszym. Przeszli już przodkowie nasi przez wiele złudzeń. Tak np. chodziło o to, żeby nie dopuścić drożyzny. Mniemano, że skutecznym ku temu środkiem będzie zaprowadzenie nizkiej stopy pieniądza, t. j. bić jak najwięcej „drobnych“, starać się nadto o to, żeby nominalna wartość pieniądza była o ile możności jak najwyższą ponad wartość zawartego w nim kruszcu. I w naszej Polsce bito także brakteaty pod hasłem opieki nad uboższemi warstwami. Skutek jednak był wręcz przeciwny. Pieniądz nie miał stałej wartości, nikt go nie przyjmował po cenie nominalnej, chwytano się tedy środków przymusowych, wymyślając taksę dla sprzedających, sądząc, że załatwi sprawę przepis, ile pewnego rodzaju monety należy się kupcowi za pewną ilość towaru. Okazało się to jednakże w praktyce niewykonalnem, bo pociągało za sobą ruinę kupieckiego stanu i prowadziło nie do taniości, lecz do szkodliwych dla ogółu zaburzeń w handlu międzynarodowym i w cyrkulacyi dóbr. Rzecz prosta, że kupiec tracić nie może; na przymusową taksę ma w ostateczności jedną radykalną odpowiedź, t. j. nie sprzedawać wcale pewnego towaru. Skończyło się wszystko na tem, że szalona deprecyacya pieniądza podcięła kredyt i nikt

nigdy nie wiedział, ile właściwie ma. Już z końcem XV wieku dochodzili uczeni do przekonania, że pierwszym warunkiem poprawienia stosunków ekonomicznych jest zaprowadzenie dobrego pieniądza, któryby mógł posiadać wartość stałą. Pouczyła bowiem praktyka, że pieniądzem na prawdę jest tylko dukat, a wszystkie inne rodzaje pieniądza mają wartość względną i ruchomą; obliczano bowiem według zawartości kruszca wartość ich w stosunku do dukata. Tem się tłumaczy znane zjawisko drożenia dukata, za który np. w r. 1496 płacono groszy 30, a już w drugiej połowie panowania Zygmunta Starego liczono dukat na 45 groszy. Deprecyacya pieniądza postępowała w szalonem tempie. Któż na tem tracił? nie ponosili żadnej straty ci, którzy kupowali za dukat, ale tracili coraz więcej ci wszyscy, którzy skazani byli przez całe życie kupować za grosze. Jednym z pierwszych, który się spostrzegł, na czem zło polega, był nasz Mikołaj Kopernik. Wiadomo już dawno, że był również znakomitym ekonomistą, jak astronomem, ale p. Szelągowski pierwszy wyłuszczył nam to jasno, wszedł w szczegóły i określił należycie zasługi Kopernika. Kopernik oświadczył się za monetą jak najlepszą, tak, ażeby nie było więcej nadwartości nominalnej ponad rzeczywistą wartość kruszcu, jak tylko, ile wymagają koszta mennicze i zachowanie ostrożności, ażeby spekulantom niezbyt opłacało się przetapianie monety na kruszec. Kopernik też odkrył prawo ekonomiczne, że obok złej monety dobra nigdy w kraju się nie utrzyma, ale po pewnym czasie zniknąć musi, padając ofiarą spekulacyi. Oświadcza się też wielki uczony za unią monetarną Prus z Koroną. Zapatrywania jego zwyciężyły ostatecznie i aż do czasu Zygmunta III mieliśmy monetę dobrą.

W średnich wiekach przeważało zapatrywanie, że kupcy są nieproduktywną warstwą narodu, bo nie poprawiają przedmiotów, ani też koło nich nie pracują; uważano też kupiectwo za coś niższego od rolnictwa. Jeszcze św. Jan Kapistran za Kazimierza Jagiellończyka prowadził kampanię przeciwko stanowi kupieckiemu, widząc w wielkich zyskach, jakie wówczas płynęły, nic innego, jak tylko lichwę. Powoli dopiero spostrze-

żono się, że stosunki gospodarcze całej Europy zmieniły się, i przez to musi się także zmienić stosunek warstw społecznych.

Przyjęło się w historyografii polskiej zapatrywanie, że szlachta dążyła zawsze do krzywdy stanu miejskiego. Dawna średniowieczna teorya byłaby tedy wodą na młyn naszych sejmowych prawodawców; tak jednakże wcale nie było. Zasadnicze też znaczenie ma dzieło Szelągowskiego z tego właśnie względu, że po raz pierwszy rozbiera tę sprawę krytycznie, nie dając się bałamucić żadnym poglądom politycznym, opierając się tylko na względach rzeczowych, t. j. ekonomicznych. Pierwsza walka szlachty z mieszczaństwem, stoczona z końcem XV wieku, była obroną ubogiej szlachty od przewagi bogatych mieszczan, którzy zaczęli skupywać dobra ziemskie, nie chcąc pełnić z nich powinności wojskowej. Kapitały gromadziły się w miastach. Najzamożniejsi nawet możnowładcy nie rozporządzali ani częścią tej gotówki, która zawsze była do dyspozycyi u krakowskich bankierów. Kapitalizm tak nagle spadł na Polskę, że gdyby nie obronne stanowisko szlachty, byłoby doszło do niesłychanej przewagi możnowładztwa plutokratycznego. Sojusz najbogatszych mieszczan z możnowładztwem ziemskiem mógł stłumić zupełnie ruch demokratyczny w społeczeństwie. Za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta nie obawiano się już mieszczańskiego możnowładztwa, walka ograniczała się tylko do sporów z senatorskimi rodami i wtenczas też znikła zawiść względem miast. Przyczyn upadku naszego mieszczaństwa nie trzeba szukać w niechęci szlachty, ale w innych zgoła przyczynach, a przedewszystkiem w odkryciu Ameryki. Zmieniły się drogi powszechnego handlu, lewantyński handel upadł i ustąpił kolejno pierwszeństwa narodom mającym dostęp do oceanu. Dla nas droga do bogactw wiodła przez Bałtyk, jako jedyną komunikacyę z oceanem, i dlatego to bogacił się tak bardzo Gdańsk i inne miasta pruskie, dlatego łan w Wielkopolsce dawał znacznie więcej dochodu, aniżeli w Małopolsce. Walka o Bałtyk jest pierwszorzędną kwestyą polityczną, od jej rezultatu zawisła przyszłość ekonomiczna Polski. Ta zasadnicza walka udała się niestety tylko połowicznie, gdy reszta Prus krzyżackich zamie-

niła się nie na królewskie, lecz na książęce, a nowe państwo pruskie stanęło niebawem wrogo przeciw Rzeczypospolitej. Z Danią nie utrzymywano należytych stosunków, a co najgorsza, nie próbowano nigdy samodzielności na morzu. Drobne próby Władysława IV są tak nieznaczne, że niemal nie mogą wchodzić w rachubę.

W XVI wieku pojawiło się hasło ekonomiczne, ażeby ściągać do kraju jak najwięcej obcych pieniędzy, a nie wypuszczać własnych. Takiej polityki trzymał się we Francyi Ludwik XI. Nie z niechęci do mieszczaństwa, ale z takichto teoretycznych zapatrywań wynikł w r. 1565 zakaz kupcom polskim trudnienia się handlem zagranicznym. Chodziło bowiem o to, żeby zmusić obcych kupców, żeby do Polski przyjeżdżali i tutaj na miejscu załatwiali swe interesa. Nie sama Polska tylko postępowała według tej zasady. Mnożyły się też coraz bardziej jarmarki, których ustanawianie ma to samo znaczenie, jak w wiekach średnich t. zw. „prawo składu“. Kupcy zagraniczni coraz mniej mieli jednak powodów przyjeżdżania do Polski. Towary dalekiego Wschodu, których część niegdyś drogą lądową sprowadzano, nie przechodziły teraz prawie całkiem przez Polskę, bo sprowadzano je drogą morską przez Lizbonę, Genuę, Antwerpię, w końcu przez Londyn. Głównym towarem polskim było zboże, handel zaś niem koncentrował się w Gdańsku i nie mogło być inaczej, bo to była jedyna droga do świata. Wystarczyło więc kupcom zagranicznym przybywać do Gdańska. Rola dostarczała coraz większych dochodów, cały naród zamienił się na rolniczy, a jeszcze rąk brakowało do pracy na roli. Ziemi urodzajnej było tyle, że nawet w najświetniejszym okresie polskiego rolnictwa można było wyprodukować znacznie więcej ziarna, gdyby nie brak robotnika. Nie rozkwitały inne zajęcia, bo przy rolnictwie wszyscy chleb znajdowali.

Po odkryciu Ameryki na miejsce Wenecyi występuje Lizbona a potem Antwerpia, która w r. 1480 miała 50 tysięcy mieszkańców, a w r. 1500 powiększyła się do 200 tysięcy. Holandya stała się wkrótce pierwszorzędną potęgą handlową i morską, a była nią przedewszystkiem na wodach Bałtyku. Już w r. 1536

skończyło się panowanie Lubeki na tem morzu a w 8 lat potem król duński Krystyn III dozwolił Niderlandczykom przejeżdżać przez Sund za opłatą zwykłego cła. Data ta jest epoką w historyi handlu bałtyckiego. Traktat ten był ciosem śmiertelnym dla Hanzy, był źródłem nowych bogactw dla Gdańska, ale dla polskiego stanu kupieckiego nie miał żadnego znaczenia. Naszą pszenicą bogacili się cudzoziemcy; w r. 1546 płacono łaszt pszenicy w Lizbonie po sto dukatów, podczas gdy zaraz następnego roku cena spada na 16 dukatów; może to służyć za przykład, jakich dopuszczano się spekulacyi! W roku 1583 Hiszpania prosiła się Gdańszczan o polskie zboże. Bawiący w Polsce legat Commendone opracował w r. 1564 memoryał, proponujący wywóz zboża polskiego do Włoch przez Dniestr, Dniepr, na morze Czarne, okrętami weneckimi. Wyznaczono do tej sprawy komisyę, ale rozbiło się wszystko o progi pod Jampolem, które dla ówczesnej techniki były nieprzebytemi zaporami.

W r. 1555 potwierdził Zygmunt August konstytucyę, że myt ani cel, od tego „co się w domu rodzi“ nie płaci ani stan rycerski, ani duchowieństwo, ani też „ich poddani“, dodając, że uwalnia się też woły w ich domu chowane, albo też kupne a ich zbożem karmione. Nie był to więc wyłącznie szlachecki przywilej. Schyłek XVI i pierwsza połowa XVII wieku są okresami przejściowymi w ekonomicznym rozwoju Rzeczypospolitej. Szlachta małopolska w poselstwie z Nowego Miasta Korczyna do króla na sejm piotrkowski w r. 1562 wskazuje na ekonomiczne powody wcielenia Inflant, że przez to zwiększą się może dochody, a przez to i obronność kraju, miasta tamtejsze mogłyby bowiem służyć pieniądzem, a co ważniejsze, kredytem. Toteż na sejmie piotrkowskim w 1562 r. sama szlachta utrzymuje, że miasta „nie są ostatnią częścią Rzeczypospolitej, im będą możniejsze, tem ich z większą chęcią i pożytkiem Rzeczpospolita użyć może“. Wspominając, jak dogadzali za Zygmunta Starego potrzebom skarbu Rzeczypospolitej Bonerowie, dodaje sejmująca szlachta: „przeto tego skarbu (t. j. mieszczańskich bogactw) wielkaby szkoda niszczyć dla takowych i wielu innych potrzeb Rzeczypospolitej“. Inna sprawa co do dopuszczenia mie-

szczaństwa do obrad sejmowych. Już statut Łaskiego powiada o niedopuszczaniu na sejm ludzi „plebejuszowskiego stanu". Miasta pruskie brały udział w sejmie za Zygmunta Starego, ale na sejmie w 1562 r., za Zygmunta Augusta wymówiły się „od tego zaszczytu" mimo nalegań izby poselskiej! (Prusy miały odrębne zupełnie sejmy, i dopiero od r. 1562 miały mieć łączność z walnym koronnym.) Miasta pruskie nie chciały brać udziału w sejmie w r. 1562, i wymówiły się między innemi tem, że zachodzi obawa, czy później tego prawa nie utraciłyby, co byłoby dla nich większą obelgą, niż dobrowolne zrzeczenie się. Król zaś doniósł o tem izbie poselskiej, dodając od siebie, że dopuszczenie miast pruskich mogłoby być niebezpieczne ze względu na tajemnice obrad sejmu, skoro ich kupcy mają tak rozległe stosunki zagraniczne. Sejm piotrkowski w roku 1565 obradował sporo nad polityką handlową, miał jednak w swem łonie posłów miejskich, którzy tam bronili swych interesów, a poprawki ich często uwzględniano.

Sejm z r. 1565 zakazywał wyjazdu kupców za granicę i uchwalił taksę na towary. Już w r. 1562 objawiono na sejmie życzenie, żeby „zamknąć ziemię" dla kupców miejscowych. Chodziło bowiem o przyciągnięcie do kraju kupców obcych, którzyby skupywali polskie towary i płacili za nie w dobrej monecie. Odtąd z kupcami obcymi mieli się nasi stykać tylko w miejscach składowych, które uzyskały potwierdzenie w r. 1565, i na jarmarkach. Ograniczono w ten sposób także wewnętrzny handel. Konstytucya wyraźnie powiada, że nawet „z koronnymi obywatelami" mogą się dokonywać stosunki kupców tylko na wolnych jarmarkach. Konstytucya ta zmierzała widocznie do tego, żeby handel skupić w miastach obdarzonych dawnymi przywilejami, żeby go nawet z zakątków wiejskich przenieść na targi i jarmarki. Starano się zapobiedz upadkowi miast, a tradycyę o zasadniczej niechęci szlachty przeciw miastom należy między bajki włożyć. Skutkiem zawarcia granicy ograniczono nie tylko wywóz, ale też podobnie i przywóz towarów ze strony kupców koronnych. Nie chodziło więc tylko o obniżenie cen towarów wewnątrz kraju (jak się powszechnie utrzymuje), w takim razie

bowiem musianoby popierać przywóz. Dążono do wzmożenia wywozu przez zagranicznych kupców, ograniczenie zaś dotykało tylko handlu zagranicznego a więc przywozu, bo handel cudzoziemski wymykał się z pod kontroli i był głównym sprawcą podnoszenia się cen. Tak rozumowali współcześni. Co więcej, jednocześnie wydano nową ustawę nakazującą kupcom cudzoziemskim, żeby kupowali sobie posiadłości w Polsce, a nawet żenili się z Polkami, w przeciwnym razie grozi im konfiskata. Ta dążność do uregulowania przywozu jest systemem prohibicyjnym po części, bo w każdym razie dąży przynajmniej do obniżenia cen towarów zagranicznych. Nie łatwo to jednak było przeprowadzić w praktyce.

Uwzględniać trzeba zasadnicze pojęcia ówczesnego pokolenia. Nowoczesna ekonomia uważa wartość za coś podmiotowego, jako zależną od podmiotowych i osobistych okoliczności; według filozofii scholastycznej wartość jest przedmiotową (t. zw. *iustum pretium* — cena słuszna) niezależną od woli kupców i nabywcy, tem, co w klasycznej ekonomii angielskiej nazwano następnie wartością normalną. Taksy dążyły właśnie do utrwalenia ceny normalnej, a najstarsza taksa w Polsce pojawiła się w r. 1396 w obrębie miasta Krakowa. Poruczano ją następnie wojewodom, a sejm piotrkowski w r. 1565 poddał taksom wojewodzińskim towary zagraniczne, a natomiast wyłączył z ich urzędowania handel zbożowy. Szlachta domagała się na tym sejmie, żeby dwa razy do roku ustanawiał urząd wojewodziński taksę w porozumieniu z urzędami miejskimi. Były to przeżytki średniowiecznych teoryi ekonomicznych.

Przez cały XVI wiek obniżała się stopa pieniężna; pogorszyło się to bardziej z końcem tego i początkiem następnego stulecia, aż w drugim i trzecim dziesiątku lat XVII w. wytworzyło się groźne przesilenie pieniężne. Finanse całej Europy wogóle nieszczególnie stały. Z początkiem XVII w. w Hiszpanii, Francyi i Holandyi nawet były bankructwa państwowe, rządy chwytały się psucia pieniędzy, jako środka powiększenia dochodów. Henryk VIII często to czynił, i trwało to aż do roku 1567 w Anglii, kiedy Gresham wprowadził nareszcie „pożądaną

reformę. We Francyi Lébret, doradca finansowy Ludwika XIV, walczył w obronie mniemania, że pieniądz jest li tylko środkiem obiegowym, którego wartość naznacza panujący. Mennice francuskie psuły ustawicznie pieniądze, aż dopiero w roku 1640 puszczono w obieg t. zw. luidory. Jeszcze Ludwik XIV ratował swoje finanse psuciem monety. Najzasobniejsza w kruszce Hiszpania zeszła w XVII w. na miedzianą walutę, której trzeba było nadać kurs przymusowy, ażeby pospłacać długi państwowe. Z Niderlandów przeszło psucie monety do Niemiec i rozpoczęła się t. zw. *Kipper- und Wipperzeit.* Habsburgowie bili talary, w których było 50 a nawet 75% miedzi, co więcej, zdarzało się, że były talary całkowicie z miedzi, pociągane tylko srebrem.

U nas za Stefana Batorego w r. 1578 postanowiono reformę monetarną, odbierając zarząd mennicy podskarbiemu koronnemu, a powierzając ją przedsiębiorcom prywatnym, którym był najpierw Rafał Leszczyński, starosta radziejowski. W 2 lata jednak później oddano mennice znów podskarbiemu. Oznaczono stopę menniczą w ten sposób, żeby z grzywny bić 7 talarów, tak, że grzywna czystego srebra w monecie obiegowej przedstawiałaby wartość 9 złp. i 20 groszy. Cena talara wypadała na 35 groszy. Mennice pruskie zatrzymały dawny porządek monetarny z czasów Zygmunta Starego z r. 1528 i odtąd rozwiodła się unia monetarna Korony z Prusami. Stopa bowiem z r. 1578 była przeszło o 15% niższą, aniżeli z r. 1528. W innych państwach miała jednak moneta jeszcze niższą, a nawet znacznie niższą stopę, aniżeli w Polsce, i skutkiem tego naraziła się Polska na wywóz swego stosunkowo dobrego pieniądza za granicę. Jest to rzecz zasadnicza i kupcy pruscy odrazu zrozumieli niebezpieczeństwo. W roku 1589 zaraz na początku panowania Zygmunta III uchwalono odpowiedzialność zarządu mennic przed sejmem, same mennice puszczono jednak w dzierżawę. Namnożyło się też mennic: były w Krakowie, Poznaniu, Olkuszu, Bydgoszczy, Malborgu, Warszawie i w Lublinie, a wychodziły z nich pieniądze coraz gorsze. W r. 1601 postanowiono, żeby były tylko dwie mennice, w Krakowie i Olkuszu, i to pod zarządem podskarbiego koronnego. Pieniądz jednak deprawował

się ustawicznie dla tej prostej przyczyny, że monetę polską rzeczywiście wywożono za granicę. W r. 1598 ustanowiono cenę talara na 36 groszy, a dukata na 58 groszy. W r. 1611 podwyższono tę wartość do 48, względnie do 79 groszy. Wszystko to na nic się nie zdało, na Pomorzu bowiem tylnem bito z polskich trojaków liche półtoraki, które przez Gdańsk następnie przywożono do Polski. Ażeby zapobiedz niebezpieczeństwu fałszowania pieniądza, kazał król bić także w polskich mennicach półtoraki i trojaki, czyli t. zw. dutki pełnej wagi. Ale wtenczas zaczęto wywozić nasze pieniądze do Belgii i tam bito z nich t. zw. grosze szrekenberskie, które nawet rozeszły się po całych Niemczech.

Prawodawstwo polskie starało się usilnie załatwić sprawę monetarną według wszelkich zasad sprawiedliwości i obniżyć cenę talara w groszach. Ale na cóż się to zdało, skoro w sąsiednich Niemczech talar właśnie szedł w górę. Gdy w Polsce talar był po 45 groszy, był w Niemczech równocześnie po 57 groszy; gdy u nas zdrożał na 60 groszy, tam trzeba już było za niego płacić po 75 groszy. Prosty więc rachunek doradzał kupcom skupywać talary w Polsce, a pozbywać się ich w Niemczech. Korzystali tylko na polskim talarze Żydzi spekulanci; dopłacali z ochotą po kilka groszy na sztuce i wywozili do Niemiec. Konstytucya r. 1620 uchwaliła cenę talara w Polsce aż na 75 groszy, ale w Niemczech płacono za niego już wtenczas przeszło 4 złote. Skutkiem podniesienia ceny talara, wartość jego w kruszcu była mniejszą, nawet znacznie mniejszą od wartości równoznacznej drobnej monety. Zaczęło się teraz właściwe bicie „drobnej“ monety; sam Gdańsk wziął w tem udział, skupywano polskie pieniądze i przetapiano na nowo. Ceny towarów podskoczyły szalenie, opinia publiczna szukała winowajców w zmowie kupców, w zarządzie mennic, w osobie podskarbiego, a nawet samego króla, co świadczy tylko o tem, że zatracał się zwolna zmysł polityczny, i że coraz mniej było znawców tej sprawy w Polsce. W r. 1616 postanowiono 13-tołutową stopę pieniężną i sądzono, że fałszerstwu zapobiegnie wybijany co roku nowy stempel z datą roczną. Na fałszerzy,

ostrzygiwaczy pieniędzy, a nawet na puszczających w obieg pieniądze nieważne naznaczono konfiskatę dóbr i karę ucięcia ręki; oczywiście nie zdało się to na nic. W roku 1623 wybiera sejm nową komisyę do spraw monetarnych. Zgodzono się na redukcyę, czyli „umiarkowanie pieniądza", a więc środek, który w XVI wieku odrzucono. Obniżono urzędowo stopę menniczą i w r. 1624 talar rzeczywiście począł tanieć, ale tylko na krótko, bo już w dwa lata potem cena jego podniosła się szybko aż do 88 groszy. Przypuszczano, że pieniądze są fałszowane i że nie posiadają należytej próby. W roku 1626 wyznaczono komisyę i z ogromnem zdumieniem stwierdzono, że pieniądz polski bity był jak najściślej według ordynacyi z r. 1623, że więc mennice nic nie winne. Następnego roku chwycono się radykalnego środka obrony przeciw wykupywaniu polskiej monety, a mianowicie wstrzymano bicie monety drobnej. Ale czasy wojen szwedzkich nie były sposobną porą do przeprowadzenia reformy monetarnej, zwłaszcza że dowóz srebra był utrudniony. Król Zygmunt III zrzekł się na ostatnim sejmie za swego panowania w r. 1632 dochodu z mennicy, przekazując go skarbowi koronnemu, ażeby niczego mu nie można było zarzucić. Ogólna nieufność do króla nie miała w tym wypadku najmniejszego uzasadnienia. Słusznie powiada autor, „pieniądz jest zbyt głęboko utajoną sprężyną życia, ażeby mniej oświeconemu przeciętnemu ogółowi były dostępne jego prawidła".

Za Władysława IV znowu cały szereg komisyi. Ustanowiono nową stopę i nowe monety; ażeby nie dawać powodu do deprecyacyi pieniądza, uchwalono znieść różnicę pomiędzy grzywną polską a habsburską. Sejm z r. 1633 zajął się tą sprawą wszechstronnie, wybrana przez niego komisya powzięła cały szereg uchwał, ale nie słychać nic o potwierdzeniu ich. Przesilenia nie zażegnano, tylko stłumiono sztucznie wstrzymaniem bicia drobnego pieniądza i ograniczeniem ruchu w mennicach, tak dalece, że za Władysława IV one prawie całkiem nie funkcyonowały. Przez całe panowanie Władysława IV (prócz pierwszych dwóch lat zaraz po wstąpieniu na tron), społeczeństwo coraz mniej tą sprawą się zajmowało. Autor przypuszcza, że zły

stan finansów państwowych „zmusił do tolerowania złego, odwodząc od przedsięwzięć nagłych, radykalnych, które wymagały znacznego nakładu“. A tymczasem kraj zalany był obcą monetą: krajcarami, greszlami, groszami flamandzkiemi, trojakami i t. d., a z grubszej monety holenderskimi „złotowemi“ i t. zw. lewkowemi, t. j. talarami z wizerunkiem lwa. Polskie mennice wybijały wprawdzie nieco talarów, ale ledwie się pokazały, znikały za granicą. Około r. 1650 powszechne były w Polsce śląskie drobne t. zw. szelągi, piętaki i groszaki cieszyńskie, o których powiedziano, że była to „szczera blaszka, albo rybia łuska, którą zdmuchniem“.

W r. 1649 uchwalono otworzyć na nowo mennice w Krakowie, Poznaniu, Bydgoszczy i Wilnie, i bić talarów mniej, a przytem wywołano cały szereg zagranicznych monet. Zakazy i nakazy pozostały jednak bezskuteczne. Oznaczono nową walutę zredukowaną, ale szlachta sama nie chciała teraz płacić w monecie zredukowanej, tylko podług poprzedniej jej wartości. Podczas najazdów ościennych przestały funkcyonować mennice koronne, tylko we Lwowie bito pieniądze ze srebra kościelnego. Potem trzeba było spłacić czemś olbrzymie długi wobec zaciężnych żołnierzy i skończyło się na tem, że obniżono walutę pieniężną prawie w dwójnasób, bo nie widziano innego środka ratunku. W r. 1658 uchwalono, że skarb państwowy ma mieć z mennicy dochodu 150 tysięcy złp. Nawinął się wtenczas zarządca mennicy koronnej w Krakowie i sekretarz królewski, Włoch, Tytus Livius Boratyni, który otrzymał indygenat za udzielenie skarbowi znacznej pożyczki. Oddano mu więc mennice i pozwolono bić miedzianych szelągów za milion złp. Komisya mennicza podniosła jednakże tę kwotę do dwóch milionów. Skarb zabezpieczał swój dochód na każdej grzywnie czystego srebra $4^1/_2$ złp., a stosunek wartości nominalnej do kruszcu był taki, że nastąpił szacunek pieniądza od 25 do 30% poniżej jego istotnej wartości. Protestowały przeciwko temu miasta pruskie, a zwłaszcza Gdańszczanie, bo wszelkie zawikłania monetarne wychodziły przedewszystkiem na szkodę rynkowi gdańskiemu. Stany pruskie nie dopuściły więc nowego szeląga koronnego do siebie, z mo-

nety zaś grubszej t. zw. orty i sześcioraki obniżyły w cenie. Ale moneta miedziana była już we Francyi i Szwecyi. Szwecya uskuteczniała nawet większe wypłaty miedzią, jakkolwiek tylko według rzeczywistej wartości kruszcu. Skupiono więc mnóstwo miedzi na Śląsku, w Hamburgu i Lubece, przycięto ją w okrągłe płytki, czego dokonywano po największej części w Oliwie pod Gdańskiem i stamtąd dowożono faskami do warszawskiej mennicy, gdzie owe płytki rozcinano na monety, znacząc stemplem. W kilku miesiącach przewieziono przez sam Gdańsk 600 cetnarów miedzi. Powstał okropny krzyk, gdy pierwszy miedziany szeląg pojawił się. Nie szczędzono satyr, mówiono, że są ze szkła robione, że w piasku zakopane obrócą się w żuzel, a gdyby go masłem namazać, zamieni się w jakąś mąkę. Boratyniego powołano przed komisyę do Lwowa, ale komisya w nim winy żadnej znaleźć nie mogła. Stosunki były winne, a nie żaden człowiek. Jakoż pomimo wszystko szeląg został obiegową monetą. Trzeba było w roku 1662 powtórnie chwycić się tego samego środka, bo samemu wojsku był skarb winien 12 milionów. Boratyni nie miał ochoty wdawać się powtórnie w ten interes, trzeba go było dopiero zaklinać na prawość i miłość ojczyzny; przyjechał do Lwowa, ale po namyśle odmówił i wtenczas sam król wpłynął na Boratyniego i kontrakt odnowił. Drobnej monety brak był tak dotkliwy, że na Litwie spadła cena talara z 3 złp. do 80 groszy. Nie brakło też znów kupców dających po kilka groszy więcej i przywożących natomiast miedziane szelągi ryskie. Przynajmniej szelągów od r. 1660 już ani nie podrabiano, ani z zagranicy nie dowożono.

Do upadku waluty przyczynił się już nie tyle szeląg, ile t. z. złotowe czyli tynfy, uchwalone przez komisyę lwowską. Nazwa ich pochodzi od Andrzeja Tynffa, dzierżawcy mennic koronnych, który podjął się bić srebrne monety nowej próby. Król był temu przeciwny, ale komisya uchwaliła, żeby kontrakt Boratyniego zmniejszyć do połowy, a drugą połowę oddać Tynffowi. Powstał więc nowy srebrny pieniądz polski wartości nominalnej 30 groszy, podczas gdy wartość istotna wynosiła tylko groszy 12. Wydano uniwersał tłumaczący fatalną konieczność

tego środka; na pieniądzu wybito znamienny napis: *dat pretium servata salus*. Boratyni przewidział i ostrzegał publicznie, że cena talara podskoczy natychmiast i rzeczywiście podskoczył talar z trzech do 6 złp. a dukat do 12 złp., półtorak do 3 groszy a trojak do 6 groszy, bo pieniądz dobry musiał się podnieść w cenie w stosunku do obniżenia wartości groszy, w tym wypadku jak 2 : 5. Przez trzy lata od jesieni 1663 r. do końca lipca 1666 r. działały mennice Tynffa w Krakowie i Bydgoszczy i wypuszczono z nich monety srebrnej na przeszło 7 milionów złp. Te „tynfy“ sprowadziły straszną kryzys. Nastąpiła w ciągu trzech lat taka zmiana stopy, znaczniejsza o wiele, niż przedtem dokonała się była przez całe stulecie. Tynffa i Boratyniego pociągnięto do odpowiedzialności przed trybunał skarbowy we Lwowie. Tynff umknął, Boratyni się stawił i został uniewinniony, bo winy żadnej nie można w nim było znaleźć. Wybijano jednak nadal monety podlejszej próby, a nawet wyławiano stare monety lepsze i przetapiano na nowe, lichsze. Przy zmianie weksli w Belgii tracił polski kupiec 16%; ceny towarów podniosły się, również płace i to w dwójnasób; nie tylko kupcy, ale każdy chłop przyjeżdżający do miasta z artykułami żywności, żądał zapłaty w stosunku do rzeczywistej wartości monety, nie do nominalnej. Najgorzej wyszedł sam skarb koronny, który musiał przyjmować pieniądze według wartości nominalnej, a zakupy czynił według wartości rzeczywistej. Obniżył się więc dochód z ceł, z czynszów i t. p. Część szlachty zubożała po strasznych wojnach za Jana Kazimierza tak, że musiała pozbywać się swych dóbr, a wobec szalonej deprecyacyi pieniądza traciła przeszło połowę wartości majątku. Dużo ucierpiał Gdańsk. Z Wielkopolski zaczęto wywozić płody surowe zamiast na Toruń, na Pomorze tylne i tam też zaczęły zawijać okręty, bo tam była stosunkowo dobra moneta. Wreszcie na sejmie konwokacyjnym uchwalono zamknąć mennice i nie bić już złej monety; zdecydowano się też teraz na t. zw. dewaluacyę pieniądza czyli powrót do dawnej stopy, co nie było w zasadzie niczem innem, jak tylko ową redukcyą, projektowaną jeszcze

przed 40 laty. Za Zygmunta III obawiano się tego środka, teraz zaś widziano w nim jedyny sposób wyjścia.

Stosunki bowiem były inne. Zamieszanie pieniężne za Zygmunta III poczęło się za granicą i sprowadziło w Polsce pośrednio upadek waluty, podczas gdy przesilenie z lat 1663—1669 pochodziło z przyczyn, tkwiących w samychże wewnętrznych stosunkach Polski. Zresztą redukcya nie dotyczyła rolników, którzy płacąc w lepszej monecie, braliby również za zboże lepszą i którzy mieli do czynienia przeważnie z monetą złotą i srebrną. Straty ponosić miał przedewszystkiem stan kupiecki, a jednak kupcy najbardziej przemawiali za reformą, bo woleli stracić raz, aniżeli ustawicznie ponosić szkody. W ogłoszeniu upadku waluty było trochę kompromitacyi dla państwa, ale też stosunki były rozpaczliwe, skoro w przeciągu 6 lat kurs pieniądza spadł o 100%. Czasy Jana Kazimierza pociągnęły za sobą upadek ducha w społeczeństwie na trzy następne pokolenia i znać to dokładnie w sprawie monetarnej, a „kwestya pieniężna jest najlepszym wykładnikiem ogólnego ekonomicznego, społecznego i politycznego położenia“, a właśnie państwo polskie utraciło zdolność i siłę do przeprowadzenia jakiejkolwiek reformy. W r. 1676 sejm koronacyjny uchwalił otworzyć mennicę srebrną i złotą, ale uchwała została niewykonana „dla drogości materyałów i podrożenia wekslów“, aż w sto lat później. W r. 1685 czytamy smutną uchwałę, zamykającą mennicę srebrną do przyszłego sejmu i tak upadek pieniądza trwał już aż do początku panowania Stanisława Augusta. Ewaluacyę zaś pieniądza i gruntowną reformę przedsięwzięto dopiero w r. 1766. Niedostatek monety własnej był tak wielki, że w r. 1784 nie było w całej Polsce więcej, jak 4 miliony własnej srebrnej monety, posługiwano się więc pieniądzem obcym. Towarzyszy temu wszystkiemu upadek literatury tego przedmiotu. Już za czasów Jana Kazimierza brak był teoretyków, pism ulotnych pojawia się sporo (autor je wszystkie rozpatruje), ale prześlizgują się one tylko po powierzchni przedmiotu, jako niosące rzekomo praktyczne rady i wskazówki, którym jednak zbywa zgoła jedynego rzetelnego podkładu, jakim może być teoretyczne wykształcenie.

Potem było coraz gorzej. Następuje „zupełny zanik literatury ekonomicznej, dotyczącej pieniądza; zaznacza się jakieś odrętwienie, brak zainteresowania i zmysłu naukowego w tych sprawach“. Zaczęło się zaś wszystko od owej uchwały z r. 1658, ażeby dla uzyskania dochodu 150 tysięcy złp. wybijać za milion szelągów. Wartość ich istotnie była o 85% niższą od nominalnej, nie miały one więc dla handlu żadnej wartości. Skarb państwa spłacał takimi pieniądzmi swe długi, co było prostem bankructwem w stosunku 65 a nawet 80%. Zamierzona ewaluacya pieniądza nie doszła już nigdy do skutku, toteż w XVIII wieku obniżył się wywóz towarów, a natomiast wzmógł się nadmiernie przywóz. Zły pieniądz i nizki kurs weksli polskich za granicą sprowadzał coraz gorszy bilans handlowy dla Polski.

Taką jest treść książki, stanowiącej pierwszorzędny dorobek polskiej nauki; doniosłość jej tak wielka, że pomimo rozmaitych usterek jest najważniejszą pracą naukową ostatnich lat. Sprawy dotychczas w historyografii naszej zaniedbane poddał p. Szelągowski po raz pierwszy badaniom wszechstronnym, a wyczerpującym. Wzmógł dziejopisarstwo nasze, rozszerzył horyzont polskiej nauki, dodając jej nową dziedzinę, a przeszłość narodu oświetlił ze strony nowej, dotychczas zupełnie ciemnej. Badania te mają niezmierną wagę dla ogólnej konstrukcyi dziejów polskich. Inaczej przedstawi się teraz stosunek warstw społecznych i rozwiązać da się niejedna zagadka z tych, z któremi historycy zwykli załatwiać się utartymi (niestety) frazesami, jak np. samolubstwo szlachty, zaślepienie społeczeństwa, gnuśność umysłów i t. p. „wyroki“ uwalniające sędziów od żmudnych robót zbierania konkretnych danych.

Około badania spraw politycznych w początkach panowania Zygmunta III zasłużył się ks. Józef Sas T. J. Trzy z jego prac znane są w całości czytelnikom *Przeglądu Powszechnego*, a mianowicie: „Stosunki polsko-tureckie w pierwszych latach Zygmunta III“, „Wyprawa Zamojskiego na Mołdawię“ (w roczniku 1897) i „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III“ (1899). We wszystkich sporo nowych wiadomości, bo autor opiera się na materyale rękopiśmiennym naszych archiwów, tudzież

na źródłach rumuńskich, tu po raz pierwszy wyzyskanych na większą skalę. Autor zdaje się przygotowywać do obszernej monografii „Kwestyi tureckiej“ z końcem XVI i początkiem XVII w., gdyż wszystkie jego prace widocznie do tego zmierzają, jako studya przygotowawcze. Do tej samej grupy politycznych wydarzeń należy też czwarta z jego rozpraw p. t. „Zaburzenia w Siedmiogrodzie i krajach wołoskich za Michała Multańskiego i jego wojna z Polską“ (Przemyśl 1901; odbitka ze Sprawozdania Zakładu chyrowskiego za rok 1901).

Rodzina Batorych wiodła nieustanne spory o Siedmiogród, a zwłaszcza kardynał Andrzej z bratem Zygmuntem. Zamojski był nieprzyjacielem Zygmunta, sprzyjał zaś Andrzejowi. Tamten radby się oprzeć o cesarza, ten zaś liczył więcej na Polskę, a wobec Turcyi trzymał się tej polityki, żeby za uznanie zwierzchnictwa Porty, pod tarczą sułtana, a przy polskiej życzliwości utworzyć na południu nowe znaczniejsze państwo przez przyłączenie hospodarstw wołoskich do Siedmiogrodu. Państwo takie byłoby niezmiernie pożądanem dla Polski, jako wał pomiędzy nami a Turcyą. Myśl ta była wówczas powszechną. Do tego samego dążył hospodar Michał, największy wróg Batorych, chcąc nawzajem Siedmiogród zagarnąć dla siebie. Najechał też tę krainę, uśpiwszy podstępnie czujność księcia-kardynała, który pokonany w bitwie, uszedł w góry, i został zamordowany przez chłopów szeklerskich. Nowy władca kraju, hospodar Michał, przybrał tytuł cesarskiego namiestnika; prosił następnie, żeby go uznać księciem Rzeszy Niemieckiej, ale dziedzicznym Siedmiogrodu panem i żądał, żeby mu przydać cztery sąsiednie węgierskie komitaty. Zabrał się, też dalej do dzieła, żeby do Siedmiogrodu i Multan przyłączyć Mołdawię, wypędzając stamtąd hospodara Jeremiego; w tym celu sprytną polityką zapewniał sobie poparcie cesarza Rudolfa II, którego wojska węgierskie stanęły blisko polskiej granicy, żeby ją przekroczyć w razie dywersyi ze strony Polski. Zamojski pogodził się tymczasem z księciem Zygmuntem Batorym, który przebywał nawet u niego w Polsce. Michał wchodził też w porozumienie i układy przeciw Polsce z Tatarami i Borysem Godunowem. Manewrować umiał tak

zręcznie pomiędzy sprzecznymi interesami mocarstw, że w roku 1600, podczas sejmu warszawskiego, wstawiali się za nim posłowie tureccy!

W samejże Polsce miał Michał stronników, a śmiało mógł liczyć na to, że Zamojski ma aż nazbyt wielu nieprzyjaciół. Odzywały się też na sejmie warszawskim głosy, żeby opuścić Jeremiego, polskiego lennika, i dać wolne pole zaborom Michała, skoro obiecuje także lennikiem się uznać. Znaczna część wojska Jeremiego przeszła na stronę Michała, który prawie bez rozlewu krwi zajął Mołdawię w maju 1600 roku. Jeremi schronił się ze swymi niedobitkami i polską piechotą do Chocimia; polska załoga w zamku warszawskim poddała się, a Żółkiewski stał w Kamieńcu z nielicznem wojskiem, podczas gdy Michał odbywał dnia 1. lipca 1600 tryumfalny wjazd do Białogrodu, jako książę Multan, Siedmiogrodu i Mołdawii. Wnet jednak wybuchło przeciw niemu powstanie w Siedmiogrodzie pod hasłem Zygmunta Batorego, jako pretendenta do księstwa. Michał przegrał bitwę z powstańcami, wojsko polskie ruszyło do Mołdawii, a sam Zamojski miał wkroczyć do Siedmiogrodu, używszy własnych pieniędzy na zaciągi. Ale powstańcy siedmiogrodzcy nie potrzebowali już polskiej pomocy przeciw Michałowi i Stany prosiły hetmana polskiego, żeby nie wkraczał do kraju, a swoją drogą nie uznano teraz Zygmunta Batorego księciem, pozwolono cesarskim komisarzom pozajmować grody i składano się wobec Zamojskiego tem, że trudno narażać kraj znowu na nową wojnę z cesarzem. Nie mógł też ani Zamojski rozpoczynać samowolnie wojny z cesarskimi hufcami. Ruszył więc wprost na Multany, odniósł dnia 20 października walne zwycięstwo pod wsią Bukovu nad rzeką Telezyną (w bitwie tej walczyli: Jan Zamojski, Stanisław Żółkiewski, Marek Sobieski). Michał schronił się teraz na terytoryum siedmiogrodzkie, pod opiekę cesarskiego generała Basty, który odesłał go do cesarza, do Pragi, a Zamojskiego wezwał, żeby opuścił Multany. Naraziwszy się już w Polsce, był teraz Michał w łaskach u cesarza! Ale Zamojski wprowadził na hospodarstwo multańskie Szymona Mohiłę, brata Jeremiego. Obydwaj hospodarowie zgodzili się na warunki, redukujące ich

znaczenie i stanowisko do roli administratorów kraju z polskiej poręki. Zamojski tryumfował.

Ale w tym samym miesiącu, kiedy Michała pokonano, wpadł Karol Sudermański do Inflant. Wszystkie siły Rzeczypospolitej zwróciły się tam, na północ, i w ciągu jednego roku wpływ polski nad Dunajem upadł zupełnie i to już niepowrotnie. Odnoszono jeszcze zwycięstwa, mięszano się w spory pretendentów o hospodarstwo; ale żadnych politycznych rezultatów już nie osiągnięto; co gorsza, sprowadzono turecką interwencyę i cecorską klęskę.

(C. d. n.).

Dr. Feliks Koneczny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z filozofii.

Henryk Struve: „Ruch etyczny nowszych czasów, jego dzieje i zasady". Warszawa 1901. — Tenże: „Znaczenie filozofii w życiu umysłowem narodu. Wykład publiczny miany dnia 11 marca 1902 r. w Uniw. Jag. na rzecz Bibl. Koła filozoficznego w Krakowie". Warszawa 1902. — Tenże: „Sztuka i społeczeństwo. Wykład publiczny, miany dnia 2 marca 1903 r. w Warszawie". Warszawa 1903. — W. M. Kozłowski: „Szkice filozoficzne". Warszawa 1900.

W roku zeszłym minęło lat 40, jak prof. Henryk Struve wydał pierwszą swoją naukową pracę p. t. *Zur Entstehung der Seele.* Odtąd ten pracownik niestrudzony na niwie naszej filozofii ogłosił mnogość prac i dzisiaj po latach czterdziestu nie tylko się nie zużył, ale przeciwnie zdaje się, że świeżość jego myśli wzmaga się z wiekiem a z nią zaś razem i twórczość literacka. Niedawno ogłosił prof. Struve trzecie wydanie swojego powszechnie cenionego Wstępu krytycznego do filozofii, w ostatnich zaś dwu latach obdarzył nas szeregiem prac mniejszych, z których każda cennym jest dla naszej filozoficznej literatury nabytkiem. Na trzy z nich pozwolimy sobie zwrócić tu uwagę czytelników *Przeglądu.* „Ruch etyczny nowszych czasów" wyszedł jako odbitka z *Bibl. Warsz.* i zawiera dokładne a bardzo przedmiotowe przedstawienie współczesnych dążności, „których celem utorowanie wśród społeczeństwa drogi tak zwanej moralności niezależnej i wszelkiego związku z religią pozbawionej". Trafnie i zajmująco kreśli nam prof. Struve dzieje tego ruchu i jego pierwsze w Ameryce początki. Pierwsze zawiązki odnoszą się do roku 1867; jest to niewątpliwie zapatrywanie słuszne,

szkoda jednak, że szan. autor nie zwrócił uwagi czytelnika, iż właściwymi twórcami moralności niezależnej są już filozofowie XVIII stulecia a szczególnie Kant, który odwrócił stosunek moralności do religii i usiłował wyjaśnić religię jako objaw pochodni, będący skutkiem pierwotniejszych dążności moralnych. W najnowszych jednak czasach wyjaśnia nam prof. Struve, jak ruch etyczny z Ameryki przeniósł się do Europy. W r. 1875 zawiązało się w Nowym Yorku pierwsze towarzystwo dla etycznej kultury pod kierunkiem Adlera, zaraz w następnym roku zaczął wychodzić kwartalnik p. t. *Międzynarodowe czasopismo dla etyki.* Do komitetu redakcyjnego już weszli także europejscy uczeni, jak np. G. Barzelotti (Neapol), Fouillée (Paryż), Hoffding (Kopenhaga), Fr. Jodl (wówczas w Pradze). Opisuje dalej prof. Struve, jak drogi dla ruchu etycznego były w Niemczech od dawna utorowane przez Krausego, przez Dawida Straussa i racyonalizm teologiczny, wreszcie przez różne stowarzyszenia. W roku 1882 ogłosił wolnomyślny związek Lessinga konkurs na napisanie wykładu praw moralnych, „opartego wyłącznie na niewątpliwych faktycznych danych naturalnej wiedzy świata“ a więc od religii zupełnie niezależnych. Z 65 prac nadesłanych nagrodę otrzymała praca Jerzego Giżyckiego, prof. berlińskiego uniwersytetu p. t. *Grundzüge der Moral.* Praca ta stała się istotnie rodzajem katechizmu niezależnej etyki. Pierwsze w Niemczech towarzystwo dla szerzenia etycznej kultury powstało w r. 1892. We Francyi natomiast przyczynili się głównie Guyau i Fouillée do rozszerzania tak zwanej niezależnej moralności. Trzeci ustęp w rozprawie poświęcił prof. Struve charakterystyce poglądów na religię i moralność przedstawicieli ruchu etycznego. — Pozornie rzecz przedstawia się bardzo pięknie: Sheldon np., jeden z głośnych krzewicieli etycznego ruchu w Ameryce, tak streszcza jego zasadniczą dążność: „Celem ogólnym ruchu etycznego jest podniesienie życia moralnego tak członków związku jak i całego społeczeństwa, uznaje więc za towarzyszy wszystkich, którzy z celem owym sympatyzują bez względu na ich przekonania teologiczne lub filozoficzne“. Gdy jednak sprawie przypatrzymy się bliżej, przekonamy się, iż główną myślą ruchu etycznego jest zdanie, że moralność jest objawem samoistnym, mogącym rozwinąć się w całej pełni bez wszelkiego ze strony religii udziału. Giżycki np. dowodzi, „że niezależność moralności od religii jest niewątpliwym wynikiem dziejów etyki w przeciągu dwóch tysięcy lat“. Słusznie więc bardzo stawia prof. Struve wobec tego pytania: „Czemżeż oni zastępują religię?“ i „Co stanowi według nich istotę moralności niezależnej?“ Odpowiedź

na te pytania zawiera ustęp czwarty rozprawy prof. Struvego, główną zaś myśl tego ustępu można tak wyrazić: Prof. Struve jest silnie przekonany, że moralność niezależna jest mrzonką, gdyż „nie liczy się z istotną naturą człowieka a szczególnie nie uwzględnia czynników zdolnych jedynie podtrzymać wysiłek energii w kierunku moralnego udoskonalenia się. Egoizmu, jako najpotężniejszego czynnika fizycznego żywota, nie można przezwyciężyć wytworami subjektywizmu, aby idee etyczne nabrały znaczenia, do tego potrzeba wiary w przedmiotowy moralny porządek, czyli potrzeba religii". „Bez wiary w Boga niema dla nas zbawienia ani od walki wszystkich przeciw wszystkim w imię egoizmu ani od pesymistycznej rozpaczy i bezwzględnego skeptycyzmu". Tak kończy prof. Struve, my zaś z całkiem uznaniem te słowa tylko podkreślić możemy.

Druga praca prof. Struvego jest to znany nam dobrze w Krakowie wykład „O znaczeniu filozofii w życiu umysłowem narodu", który tak licznych w swoim czasie w auli naszego Uniwersytetu zgromadził słuchaczy. Główna myśl szan. autora streszcza się w następujących słowach. „Filozofia jest objawem tak powszechnym, tak głęboko wnikającym w najodleglejsze tajniki ludzkiej świadomości, że wszystkie objawy życia umysłowego, sztuka, nauka i ruch społeczny, łączą się z nią w sposób bezpośredni, rozwijają się w dziejach pod jej wpływem i uwydatniają swe odrębne dążności w jej duchu" (str. 9). Na stronicy zaś 19, gdzie autor omawia znaczenie filozofii dla ukształtowania się poglądów szerokich warstw społecznych lub narodu, jako całości, wygłasza następujące bardzo godne uwagi słowa: „Większość popularyzatorów nie kieruje się zazwyczaj względami pedagogicznymi, nie ma na oku dobra czytającej publiczności, lecz wydaje to, co ma chwilowy rozgłos, co zapewnia najszerszy pokup. Czy nowość ma istotną wartość naukową, czy się przyczynia do rozszerzenia widnokręgu umysłowego czytelnika i podnosi go moralnie, to są względy, z którymi się spekulacya zwykle nie liczy". W którą stronę te mądre słowa zwrócone, sądzę, że nie trudno zrozumieć!...

Na zakończenie wykładu podnosi prof. Struve z radością zwrot naszej młodzieży ku zagadnieniom filozoficznym i tak się do niej odzywa: „Własnym naszym dorobkiem myśli wykażmy, że jak jest literatura i sztuka polska, tak jest również i filozofia polska! Co więcej, wykażmy, że przy podziale pracy wszechludzkiej na polu myśli, dostała się nam cząstka poważna. Bo choć prawda z istoty swej jest

jedna, to jednak przybiera ona odcień szczególny w każdym umyśle, w każdym narodzie. Dopiero zjednoczenie tych poszczególnych promieni wytwarza czyste światło prawdy, dostępnej dla człowieka. Więc dziełami naszemi i życiem dajmy dowód, że jak w powszechnym rozwoju filozofii była niegdyś filozofia indyjska i grecka, jak jest dotąd filozofia francuska, angielska, niemiecka, tak jest i będzie filozofia polska, jako jeden z samodzielnych objawów myśli wszechludzkiej o rysach odrębnych, o charakterze ujawniającym wszechstronnie nastrój umysłowy i ducha narodu. Bądźmy sobą i w pracy myśli". Oby istotnie to piękne hasło przyświecało w pracy naszej młodzieży a wówczas może uchronilibyśmy się od bezmyślnego uwielbiania i naśladowania kierunków obcych. To też polecamy gorąco wykład prof. Struvego każdemu do przeczytania, kto się sprawą rozwoju naukowego u nas ruchu zajmuje. Zagadnienia filozoficzne są wszędzie jedne i te same, od wieków stoją one na porządku dziennym ludzkich rozmyślań i do głębi wzruszają ludzkie uczucia, ale to przecież nie ulega wątpliwości, że sposób rozpatrywania ich może być bardzo różnorodny. Dlatego też jak każda epoka, tak i każdy naród może mieć swój rodzaj filozofii. Takie zapatrywanie jest niewątpliwie słuszne, chroni zaś równocześnie od wszelkich wybujałości i przesad. Kto mniema, że ten lub ów naród uzyskał przywilej na odkrycie całej prawdy, ten oczywiście nie zgodzi się na poglądy prof. Struvego, mnie jednakże się zdaje, że tego rodzaju mesyaniczne aspiracye są raczej wyrazem chorobliwego nastroju duszy, nie zaś dowodem prawdziwego poczucia siły i narodowej żywotności.

Podobną myślą, co poprzednia, przejętą jest także i trzecia praca prof. Struvego, która ukazała się w Warszawie w b. r. p. t. „Sztuka i społeczeństwo". Autor podnosi, że znaczenie ideałów polega głównie na ich realizacyi. Ideał nie dający się urzeczywistnić jest utopią. „Otóż właśnie w zespoleniu ideału z faktyczną rzeczywistością a w szczególności z realnymi warunkami życia społecznego odgrywa najważniejszą rolę sztuka ze swą królową poezyą na czele" (str. 16).

Z takiego więc punktu widzenia przedstawia się prof. Struvemu sztuka, „jako przeobleczenie ideału w pozory rzeczywistości w celu poglądowego wykazania potrzeby i możności jego istotnego urzeczywistnienia w życiu" (str. 18). Twórczość w dziedzinie sztuki musi z natury rzeczy zabarwiać się stosownie do gruntu, z którego artysta lub poeta wyrasta. „Tylko ciągły odżywczy, ożywiający związek osobnika

choć najgienialniejszego ze społeczeństwem, podnieca jego twórczość w sposób naturalny, wzbogaca jego jaźń szerszą osnową do wielkich dzieł“ (str. 30). Oto wiązanka najważniejszych myśli w tej ostatniej pracy prof. Struvego rozwiniętych. Wydał ją na krótko przedtem zanim się na stałe mieszkanie przeniósł do Londynu. Kto jednak tak myśli i czuje, jak on, ten — można na pewno przypuszczać — z narodem i społeczeństwem, z którem tak szczerze i głęboko się zrósł, związku nie zerwie, będzie i nadal pracował dla niego na obczyźnie wprawdzie, ale wśród o wiele korzystniejszych warunków. Spodziewamy się też na pewno, iż wkrótce ujrzą światło dzienne dalsze zeszyty „Historyi filozofii w Polsce“, której wydania cała inteligencya polska z niemałem wyczekuje upragnieniem.

„Szkice filozoficzne“ znanego i bardzo ruchliwego pisarza pana W. M. Kozłowskiego, są zbiorem prac już dawniej w różnych porach i pismach ogłoszonych. Zbiór ten jednak ułożony jest z planem, zarysowywuje się w nim dosyć wyraźnie stanowisko autora i dlatego zasługuje na uwagę i nieco szersze omówienie. Jest to niewątpliwie z wielką dla literatury naszej korzyścią, jeżeli autorowie rozproszone swoje prace od czasu do czasu łączą w zbiorowe całości. Nie giną one wówczas, nie przepadają prawie bez śladu po różnych miesięcznikach lub kwartalnikach, lecz połączone w jeden wspólny organizm książki a przejęte tą samą przewodnią myślą nabierają nowego znaczenia i stają się prawdziwą nowością. Jako nowość witamy też szkice filozoficzne pana Kozłowskiego. Jako filozof jest p. Kozłowski zwolennikiem tak zwanego nowokantowskiego kierunku, którego pierwszym głośnym krzewicielem był autor sławnej Historyi materyalizmu Fryderyk Alb. Lange. Już w pierwszym zaraz szkicu, noszącym napis „Dwa oblicza Sfinksa“, ujawnia się zasadnicza myśl tego kierunku. Rzeczywistość dzieli się dla naszego autora tak samo, jak dla Langego, na dwa światy, na bezduszny świat atomów i na świat ideału. Prawdą ma być jeden i drugi. Miałyżby więc być dwie prawdy niepodobne do siebie? Na to autor wraz z nowokantyzmem odpowiedzi nie podaje żadnej. Tę samą myśl tylko już nie ubraną w formę allegoryi, lecz rozwiniętą w rozumowaniu, odnajdujemy w drugim także szkicu p. t. „Pogląd na świat, jako przedmiot badania umiejętnego“. Należy, według zdania autora (str. 21 i dalsze), dokładnie wyróżnić między przedmiotem poznania a polem wiary. Aby jednak wiara była uprawnioną, potrzeba dowieść, że przedmiot jej nie nadaje się do żadnego wniosku, gdyż

wskutek samego ustroju umysłowości naszej powinien pozostać na zawsze poza granicami wiedzy. Autor nasz uznaje wprawdzie uprawnienie wiary filozoficznej, ale zaraz dodaje, że przedmiotem jej są rzeczy, o których sądy nigdy udowodnionymi ani obalonymi być nie mogą. Nie mam wcale zamiaru polemizować na tem miejscu z autorem, wiem dobrze, że nowokantyzm oddał najnowszej filozofii usługi, ale pomimo tego śmiem twierdzić, iż utrzymać on się nie da, wprowadza bowiem niemożliwe do duszy ludzkiej rozdwojenie. Wiedza mówi przeciw wierze, wiara przeciw wiedzy. Czy to możliwe, aby takie stanowisko utrzymać? Jedni poświęcą wiarę dla wiedzy, inni postąpią odwrotnie. Tymczasem tak jedno jak drugie polega tylko na błędnem rzeczy zrozumieniu. Wszak cała nasza wiedza od najpierwotniejszej zmysłowej począwszy, jest obrazem rzeczywistości w naszych umysłach, powstałym dzięki ich współdziałaniu z otoczeniem, dla wykształcania obrazów rzeczywistości w umysłach granic niema żadnych, to, co dziś jest jeszcze przedmiotem wiary filozoficznej, stanie się jutro przedmiotem hipotezy, a następnie przedmiotem ściśle wyrozumowanej wiedzy; tak możemy ciągle posuwać się od rzeczy nieznanych i tylko przeczuwanych do znanych niedokładnie, a potem coraz dokładniej poznawanych. Wiara od wiedzy nie jest żadną rozdzielona przepaścią, to dwa zakresy, które ciągle wchodzą jeden w drugi i wzajemnie się uzupełniają. W trzecim szkicu zastanawia się autor nad poglądem na świat jako przedmiotem historyi. I tu z jego wywodami niezupełnie zgodzić się możemy. Zdaniem jego, jest dzisiejsza historya filozofii pasmem gór, okrytem u spodu mglistą zasłoną, tak, że historycy filozofii odsłaniają nam niewielką tylko ilość wyżyn myśli ludzkiej, a usiłowania znalezienia jakiejś ogólnej formuły jej postępu nie prowadzą do celu. I ten pogląd wydaje mnie się nieuzasadnionym. Mniemam, że najogólniejsze prawa rozwoju myśli ludzkiej dałyby się może jednak bez żadnego naciągania sformułować, i że poczyniono na tem polu w naszych czasach już dosyć znaczne postępy. Sam autor staje w sprzeczności z własnem twierdzeniem, próbuje bowiem jednak takie prawa formułować. Zapewne na sposób Hegla to się obecnie już zrobić nieda. Ale czyżby to miał być naprawdę sposób jedyny? Mnie się zdaje, że nie. Do rozwoju języka, religii, prawa, stosuje się ciągle z wielkiem powodzeniem metodę porównawczą. Co więc możliwe w prawie, dlaczegóżby nie miało być możliwe w zakresie dziejów myśli? Wówczas dopiero nabrałyby one wielkiego znaczenia, gdyby dał się uchwycić jakiś wątek, który widoczny jest przez cały ciąg owej mozolnej pracy, którą umysł

ludzki spełnia, zmierzając do objęcia i zrozumienia całości świata. Autor słusznie podnosi, że w dziejach filozofii należałoby uwzględniać także historyę mniemań i poglądów ogółu, gdyż na takiem dopiero tle, na tle wierzeń, na tle czynników także politycznej i społecznej natury można wykazać oddziaływanie wzajemne filozofii i życia (str. 47). To wszystko jest bardzo trafne, tak samo jak i poglądy autora szkiców na czynnik osobisty i biograficzny w dziejach filozofii; jeżeli jednak ma to naprawdę doprowadzić do wszechstronnej (jak autor mówi, str. 49) historyi poglądu na świat, czyli historyi myśli, musi uzupełnić się jakąś najgólniejszą, z rozwoju filozofii wydobytą syntezą.

Od dziejów filozofii przechodzi p. Kozłowski w 4 szkicu do „metafizyki dzisiejszej wiedzy przyrodniczej". Metafizyką przyrodniczą nazywa on przerzucanie ogólnych pojęć naukowych w rzeczywistość i przyznawanie im realnego bytu. Taki to sposób długo praktykowali i dzisiaj jeszcze praktykują dogmatycznie usposobieni przyrodnicy, szczególnie należy podnieść, iż filozoficzno-przyrodniczy materyalizm jest takich dążności owocem. Otóż przeciw tego rodzaju metafizyce, niezgodnej z krytycznem we filozofii stanowiskiem, występuje nasz autor. Na str. 58 tak pisze:

„Atom np. wymyślony na to, aby uzmysłowić stosunki ilościowe związków chemicznych staje się rzeczą w sobie rzeczywistą, formą elementarną wszechświata. Symbol zmienia się w byt. Nadając znaczenie takie hipotezom naukowym, przerzucamy je odrazu z dziedziny wiedzy ścisłej w dziedzinę metafizyki. W ten sposób, t. j. przez niekrytyczne rozszerzenie granic zastosowania hipotezy powstaje metafizyka wiedzy przyrodniczej czyli doktryna o istocie rzeczy z punktu widzenia przyrodoznawstwa powzięta".

Wywód ten można gorąco zalecić każdemu przyrodnikowi do rozważania tak samo, jak i następujące słowa: „Postęp teoryi poznania i filozofii zostaje w ścisłym związku z postępem wiedzy przyrodniczej. Ale zdobycze wiedzy nie mogą wprost wejść jako pewniki do metafizyki. Powinny one uledz przetopieniu w ogniu krytyki filozoficznej, która odrzuca domieszki zostawiając tylko czyste złoto prawdy. Metafizyka przyrodnicza nie jest tylko najmniej prawdziwą z wszelkich możliwych, jest także najmniej praktyczną" (str. 76). Na te rozumne słowa, które napisał szan. autor widocznie pod wpływem Fr. Alb. Langego, a które dobrze uwydatniają jego krytyczne stanowisko, piszemy się najzupełniej. Z naciskiem należy

jednak podnieść, że takim krytycznym duchem zaczynają obecnie przejmować się coraz więcej także i przyrodnicy.

Rozważaniu pojęć o przyrodzie poświęca p. Kozłowski także i piąty szkic p. t. „Pojmowanie przyrody ze stanowiska historyi i teoryi poznania". Szkicu tego jednak nie możemy pominąć bez niektórych zastrzeżeń. Po pierwsze rozdzielenie narodów na jedne posiadające przeważnie zmysł praktyczny a drugie obdarzone umysłem filozoficznym nie wydaje mi się zgodnem z rzeczywistością. Czyż Chińczycy, Chaldejczycy lub Egipcyanie nie posiadali także swoich spekulacyi? Owszem, posiadali je, tylko że miały one inne cechy, aniżeli spekulacye Greków i stały na niższym stopniu rozwoju. Spekulacye zaś Greków były możliwe tylko dzięki temu, że Grecy zużytkowali owoce pracy narodów w cywilizacyi od nich o wiele starszych. Drugie zastrzeżenie, które musimy tu zrobić, dotyczy stosunku filozofii i rereligii; na str. 106 p. Kozłowski tak pisze: „Tak stopniowo w rozwoju swoim myśl ludzka coraz więcej pozbywała się charakteru zmysłowego. Na najniższych szczeblach gdy jeszcze nie przybrała kształtu systematycznego wiedzy, posługuje się ona mytem filozoficznym, usiłując przy jego pomocy uczynić przyrodę zrozumiałą. Ale wkrótce myt ten odrywa się od poglądu na przyrodę i przenosząc się w dziedzinę ideału, wytwarza religię". Pogląd taki zawiera, według mojego przekonania, zupełne odwrócenie istotnego stosunku między filozofią a religią. Wszak zawsze i wszędzie dopiero dzięki religii powstawała potrzeba rozmyślań filozoficznych, a nigdy odwrotnie. Kto tego dobrze i jasno nie zrozumie, ten będzie zawsze patrzał na dzieje umysłowości ludzkiej pod fałszywym kątem widzenia.

Także na poglądy w szóstym szkicu rozwinięte p. t. „Zasadnicze twierdzenia wiedzy przyrodniczej w zaraniu filozofii greckiej" zgodzić się nie mogę. Autor radby tu historycznie i niejako empirycznie uzasadnić pogląd Kanta na aprioryczne formy poznawania, próbuje więc udowodnić, że te wszystkie zasadnicze twierdzenia, które dzisiejsze nauki przyrodnicze uważają za nowe zupełnie zdobycze, postawiła już niejako *a priori* filozofia grecka w samych jej rozwoju początkach. Zapatrywanie takie jest wynikiem, o ile mnie się ta rzecz przedstawia, pewnego rodzaju illuzyi, którą jednak — to muszę przyznać — podziela do dzisiaj z naszym autorem bardzo wielu historyków filozofii od czasu Hegla. Zdaje im się, że Grecy bez przygotowań, tylko dzięki jakiemuś rasowemu usposobieniu wytworzyli systemat idei ogólnych, które do-

piero gdy weszły w zetknięcie z obserwacyą, wytworzyły wiedzę przyrodniczą. Otóż takie zapatrywanie, mające źródło w Heglu, który uznał filozofię grecką za rodzaj rozpoczynającego się z nią rozumowego objawienia uważam za iluzoryczne. Jeżeli wnikniemy dokładnie w stosunek myśli greckiej do wschodniej jeżeli uczynimy to, uwzględniając wszystko, co nam najnowsze badania o umysłowościach chaldejskiej i egipskiej odsłoniły, to przekonamy się z łatwością, że Grecy nic *a priori* nie wytworzyli, ale że ich praca filozoficzna wyłoniła się z mnogości doświadczeń i poglądów nagromadzonych przez o wiele od nich w cywilizacyi starsze ludy. Nie jest słusznem zapatrywanie, aby pierwej powstały spekulacye filozoficzne, a z nich dopiero wyłoniły się szczegółowe badania. W rzeczywistości tak nie było, w rzeczywistości filozofia wszędzie powstawała jako synteza tego wszystkiego, czego już umysł ludzki doznał, doświadczył, i co poznał w szczegółach. P. Kozłowski podkłada pod systemy greckie dzisiejsze zapatrywania i tak przychodzi do przekonania, że są one apriorycznymi postulatami. Nie przeczę ja wcale, że syntetyczne poglądy greckie są pod wieloma względami podobne do naszych. To rzecz prosta, wszak one umożliwiły poglądy nasze, a potem przecież każdy przyzna, że liczba ogólnych stanowisk w poglądach na całość jest bardzo niewielka, nic więc dziwnego, że już i Grecy przy pomocy nagromadzonych doświadczeń tak własnych jak i doświadczeń i spekulacyi przejętych od narodów wschodnich na niejedno wdrapali się stanowisko, które my radzibyśmy za własne uznać dzieło.

Tu jednak nie idzie o podobieństwo stanowiska lub poglądu, lecz o sposób uzasadniania go i zużytkowania; otóż w tym dopiero patrząc kierunku, przekonamy się, jak mozolnie postępuje umysł ludzki przez doświadczenia i zawody, a więc *a posteriori* coraz wyżej i wyżej. Wszystko w świecie umysłowym jest wynikiem rozwoju i współdziałania mnóstwa potrzeb i doświadczeń, ogólne ujęcia i stanowiska są także tego owocem. W drapaniu się po szczytach myśli tkwi również rozwój. Umysł ludzki nie może czekać, aż zgromadzi i pozna wszystkie szczegóły, aby wówczas dopiero zacząć tworzyć całość, potrzeba bowiem zrozumienia całości jest mu, dzięki religii, tak głęboko wkorzenioną, że on, skoro tylko na pewnym stanie stopniu, zaraz zaczyna szczegóły obrabiać i składać w całość. Następnie zaś te własne dzieła ciągle na nowo rozkłada i składa, powiększa, rozszerza, uzupełnia, wydoskonala w treści i w formie, i tu widoczny jest wyraźny postęp.

Filozofia więc nie jest owocem apriorycznych postulatów, filozofia jest dziełem mozolnej pracy i bardzo powolnego i stopniowo dokonywującego się składania i rozkładania szczegółów.

Szkic siódmy p. t. „Następcy Darwina i losy darwinizmu“ polecam do przeczytania każdemu, kto się z obecnym stanem kwestyi darwinizmu w sposób popularny obeznać pragnie. Na jedno tylko pozwolę sobie zwrócić uwagę, t j. iż teorye Weismanna i Nägelego nie wydają mi się dosyć jasno przedstawionemi, zato na myśl w zakończeniu wyrażoną, piszę się najzupełniej; oto jak p. Kozłowski kończy swoje przedstawienie (str. 194): „Gdy Darwin pokazał nowy gościniec, całe mrowie mniejszego ludku rzuciło się nań i wkrótce wygryzło wszystko, co się wygryźć dało; kierunek ten zaczyna jałowieć; badania wyradzają się w małostkowe poszukiwania domniemanych genealogii lub pokrewieństw. Cała dziedzina biologii czeka tylko na nowego reformatora, aby z jednostronności transformizmu przerzucić się w inną może również jednostronną doktrynę, która jednak zapewne jak i pierwszy, nie okaże się bezowocną dla postępu wiedzy“. — Istotnie, już zaczynają pokazywać się takie nowe doktryny, np. teorya transmutacyi, Vriesa.

Dalszy szkic zajmuje się stosunkiem wiedzy przyrodniczej do oświaty. Autor wypowiada tu znowu szereg rozumnych poglądów i przestrzega przed jednostronnem wyzyskiwaniem wiedzy przyrodniczej dla celów oświaty. Słusznie pisze (str. 222), że cała wiedza odpowiada jednej tylko stronie natury ludzkiej, ale obok prawdy rozumu staje prawda moralna. Głos sumienia, poczucie ideału, poczucie wolności i godności człowieka równie głośno mówią do nas, jak mędrca szkiełko i oko. „A więc nie od wiedzy zapożyczać mamy hasła nasze, bo wiedza dać ich nie może“ (str. 224). Bardzo to piękne i rozumne zdanie, szkoda tylko, że autor nie powiada nam, na czem to ma oprzeć się owa „wiara w potęgę idei, chociażby wbrew faktom wiara w godność i wolność człowieka“. Jeżeli naprawdę „idea ma iść przed faktem“ a „prawo przed siłą“, a jeżeli fakt i siła opiera się na wiedzy i tysiącznych niezbitych doświadczeniach z przyrody czerpanych, to przecież idea i prawo także potrzebują jakiegoś faktycznego przedmiotowego oparcia, gdzież go więc szukać? Tego nam autor, niestety, nie mówi...

W szkicu dziewiątym, noszącym napis „Wolność woli wobec życia i wiedzy“ ujawnia się u naszego autora ta sama niepewność

stanowiska, która zresztą wspólną jest cechą całego nowokantowskiego kierunku. Jak pogodzić wolność woli niezbędną dla moralności z koniecznością i przyczynowością w przyrodzie, oto pytanie, z którem autor, tak samo jak i wielu, wielu innych, poradzić sobie nie może. Omawia pytanie dosyć obszernie i wszechstronnie, ale w gruncie rzeczy rozwiązania nie wskazuje żadnego Bo nie można przecież za rozstrzygnięcie sporu uważać takiego np. powiedzenia: „Przyczynowość i wolność to są dwie miary. dwa rozmaite łokcie, które nadane są umysłowi naszemu do mierzenia świata. Przy pomocy pierwszej przebiega on świat zewnętrzny, świat materyalny, przy pomocy drugiej świat wewnętrzny, duchowy. Każda z tych miar jest dobra na swojem miejscu i zła w niewłaściwem". Czy jest możliwe, aby się umysł ludzki zadowolił taką podwójną rachunkowością. Sądzę, że to jest niemożliwe, istniałaby nieustająca rozterka bez wyjścia.

Szkic jedenasty poświęca p. Kozłowski sztuce jako czynnikowi dziejowemu i społecznemu. Szkic ten pomijam, jakkolwiek miałbym mu niejedno do zarzucenia ze względu na ciągle powtarzające się nieporozumienia co do istoty religii, której autor nigdzie nie przedstawia sobie zgodnie z rzeczywistością, lecz zawsze rozpatruje w świetle nowokantowskiej doktryny, i przechodzę do krótkiej wzmianki o szkicu ostatnim, dwunastym, p. t. „Przeznaczenie filozofii i powołanie filozofów". Jest bardzo odpowiedniem zakończeniem całego zbioru takie rozważenie najwyższego zadania filozofii i filozofów. Co do głównej myśli zgadzam się z autorem, co do szczegółów niejedno miałbym do powiedzenia. Określenie, że filozofia jest poglądem na świat, obejmującym całość myśli, uczuć i czynności ludzkich w jeden systemat umiejętny, nie wydaje mi się dosyć dokładnem i ścisłem. Przecież filozofia to nie gotowy pogląd na świat, filozofia, to metodycznie prowadzona praca myśli, której celem objęcie i zrozumienie całości świata, tudzież ludzkiego wśród tej całości stanowiska i przeznaczenia. Takie określenie wydaje mnie się lepiej rzecz wyrażającem. Ale czas już skończyć i tak bardzo obszerne sprawozdanie. Zwracam tylko uwagę na zabarwienie tych szkiców doktryną nowokantowską, która, według mojego przekonania, nie ma przyszłości, radykalne bowiem przeciwstawienie ideału — rzeczywistości i naodwrót ze względu na konieczną w poglądzie na świat zgodność z harmonią, nieda się utrzymać.

Dr. Maurycy Straszewski.

Dziwny człowiek. Przez *Stanisława Witkiewicza.* Lwów. 1903. (Str. 114).
Aleksander Gierymski. Przez tegoż. Lwów — Warszawa. 1903. (Str. 191).

P. Witkiewicz należy do tych pisarzy, z którymi można często się nie zgadzać, którzy podobają sobie w twierdzeniach zbyt śmiałych, paradoksalnych drażniących, których jednak czyta się z zajęciem i przyjemnością, bo pobudzają do myślenia i wznoszą się zdolnością, wyobraźnią i siłą uczucia wysoko ponad poziom autorów tuzinkowych.

Te same zalety niepospolite, które wsławiły jego „Sztukę i Krytykę", jego barwny opis wyżyn i dolin tatrzańskich („Na przełęczy"), zdobią także jego dwie nowe, powyżej wymienione rozprawy. Pierwsza jest świetnym panegirykiem, poświęconym mężowi, którego nazwisko dotąd ogółowi było nieznane, który dotąd pracuje (w Krakowie) na skromnem stanowisku prywatnego nauczyciela rysunków. „Dziwny" to istotnie człowiek — ten Józef Siedlecki, który całe życie swoje jednej poświęcił idei, do jednego dążył celu, odmawiając sobie wszelkiej przyjemności, na to, żeby zapełnić ciasną swoją izdebkę jak największą ilością wybornych fotografii i rycin zdjętych z arcydzieł sztuki, a potem ofiarować ten zbiór wartości pierwszorzędnej krajowi („Muzeum narodowemu"). Niegdyś, w wieku młodzieńczym marzył on sam o twórczości artystycznej i w duszy jego gorącej powstawały pomysły wielkiego stylu, lecz niewykonalne — przed czterdziestu blizko laty pojawił się na wystawie obrazów w Krakowie jego szkic, wyobrażający główne epoki rozwoju duchowego ludzkości (który sam podziwiałem) — przekonał się jednak niebawem, że nie zdoła marzeń swoich przyoblec w takie kształty, jakie im nadać pragnął, i postanowił zostać skromnym zbieraczem reprodukcyi najcenniejszych utworów malarstwa i rzeźby, żeby w ten sposób przyczynić się do wykształcenia estetycznego swoich rodaków i do rozwoju sztuk pięknych. Zbiór Siedleckiego, stworzony kosztem ogromnym w stosunku do bardzo szczupłych dochodów nauczyciela rysunków — bo kilkudziesięciu tysięcy koron — skupia w jedno całe muzea i może oddać nieocenione usługi nie tylko tym, którzy nie mogą zwiedzać wielkich galeryi europejskich, ale i tym, którzy je znają. Dzisiejszy bowiem postęp fotografii umożliwił tak doskonałe reprodukcye rzeźb i malowideł, że one mogą zastąpić w pewnej mierze same oryginały, chociaż im jeszcze brakuje barwy, nie mówiąc już o tem, że oglądanie oryginałów połączone jest nieraz z wielkiemi trudnościami, kiedy np. trzeba głowę zadzierać do góry przy oglądaniu fresków, pokrywających sklepienie kaplicy Sy-

kstyńskiej. Samego Rafaela reprezentuje tu 179 reprodukcyi, a w tej liczbie 40 pigmentów z pracowni Brauna, to znaczy najdoskonalszych, jakie dziś istnieją, zdjęć fotograficznych.

Rozprawa jednak p. Witkiewicza nie zawiera tylko samej oceny, napisanej z entuzyastycznym polotem, zbioru Siedleckiego; autor bowiem korzysta z tej sposobności, żeby wypowiedzieć własne poglądy na zadanie sztuki i na konieczne jej rozwoju warunki. A więc przedewszystkiem powtarza on stanowczo twierdzenie, które wypowiedział już dawniej, że to wszystko, co estetycy zawodowi napisali o sztuce, nie ma żadnej wartości i wywiera na twórczość artystyczną wpływ bardzo szkodliwy. Według niego najlepiej uczyni artysta, jeżeli nie będzie się oglądał na żadne wywody teoretyczne, na żadne prawa ogólne, na żadne przestrogi profesorów, filozofów i moralistów, jeżeli będzie zwolennikiem zupełnej anarchii. Czyniąc aluzyę do broszury prof. Struve'go p. n. „Anarchizm ducha u obcych i u nas“ (Warszawa 1901, wyd. 2-gie), w której znalazł ryczałtowe potępienie swojej „Sztuki i krytyki“, wysławia p. Witkiewicz „ten cudowny ‚anarchizm ducha‘, jaki dziś zapanował w dziedzinie sztuki“ (str. 3). Artysta powinien „tworzyć z własnej duszy“ (str. 59) i tworzyć co mu się podoba, nie krępując się żadnymi na nic względami. Niema żadnej szkoły ani akademii sztuk pięknych, któraby sztuce jakąś rzeczywistą wyświadczyła przysługę, a w szczególności o szkołach dzisiejszych nie da się nic powiedzieć dobrego (§§. 24—28). Sztuka może się odradzać jedynie „na drodze bezpośredniego, samodzielnego poznawania natury przez wielkie talenty i wielkie indywidualności (31) i t. d.

Otóż nie da się zaprzeczyć, że w tem wszystkiem jest ziarnko prawdy: nieraz już bowiem zdarzało się, że przepisy estetyków wprowadzały artystów na fałszywe tory, że akademie sztuk pięknych krzewiły zimny, bezduszny klasycyzm, że ich profesorowie nie uwzględniali rad i wskazówek, udzielonych wszystkim pokoleniom następnym przez mistrzów największych, którzy zalecają wszyscy „bezpośrednie poznawanie natury“; ale nie trudno wykazać, że twierdzenia p. Witkiewicza dadzą się sprowadzić do niedorzeczności. Możnaby bowiem wysnuć z nich wniosek, że żaden artysta nie powinien uczyć się od innych, że nie powinien zapoznawać się wcale ani z filozofią, ani z zasadami religii i moralności, że wielki talent będzie tworzył zawsze rzeczy doskonałe, jeżeli tylko będzie samodzielnie studyował naturę i będzie czerpał z własnej wyobraźni. A przecież z jednej strony jest faktem, że i pierwszorzędni geniusze mieli swoich mistrzów i że pod-

dawali się wymaganiom religii, a z drugiej strony można mnóstwo przytoczyć przykładów, dowodzących, że i wielkie talenty schodzą na bezdroża, kiedy puszczą wodze rozkiełzanej wyobraźni, nie troszcząc się o rozum i o prawa moralne.

Zwalczając estetykę szkolną i wszystkie jej teorye i klasyfikacye dzieł sztuki, posuwa się autor aż do twierdzenia, że t. zw. „malarstwo religijne“ nie istnieje wcale, „biorąc rzecz z punktu artystycznego“. Sztuka religijna jest ogólną nazwą dzieł sztuki związanych jednym tematem, który przez tysiące lat streszcza w sobie ogromny obszar życia ludzkiej duszy, jest ideą i symbolem, ma swoją historyę i swoją legendę, ale jak sam przechodzi rozmaite fazy rozwoju i głęboko sięgające zmiany, podobnie wyrażające go dzieła sztuki są między sobą tak różne, że oprócz podobieństwa rzeczowego, to jest, że wszystkie są obrazami lub posągami, nie mają w sobie takich cech wspólnych, któreby je do jednej kategoryi zjawisk artystycznych zaliczyć pozwalały“ (str. 52). Z tegoby wynikało, że nie wolno nam wcale krytykować obrazów ze stanowiska religijnego, chociażby sprzeciwiały się wprost nauce Kościoła, chociażby najpospolitszych ludzi przedstawiały nam jako świętych, chociażby w twarzach i ruchach tych ludzi nie było żadnych rysów idealnych! Ale jak z tem pogodzić zarzut, który sam p. Witkiewicz czyni gdzieindziej (str. 46 i 78) Van Dyckowi, Rubensowi i innym, że „malowali obrazy religijne, chrzescijańskie, malowali coś, o czem nie mieli pojęcia, czego nie czuli, robili więc obrazy nieszczere, robili, nawet najwięksi, tylko pozy i gesty, nieznośne przez swój szematyzm“? Czyż to nie znaczy, że malarstwo religijne jest rodzajem osobnym, mającym swoje odrębne wymagania i warunki, którym nawet tacy geniusze jak Rubens i Van Dyck, nie umieli sprostać, bo brakowało im dobrego zrozumienia rzeczy i szczerości uczucia?

Niejeden jeszcze możnaby przytoczyć z pism samego p. Witkiewicza ustęp, stwierdzający wymownie potrzebę nauki, która zestawia, klasyfikuje i ocenia wszystkie rodzaje twórczości artystycznej i nie pozwala zanadto wybujać indywidualizmowi, nie krępującemu się żadnymi względami, t. j. potrzebę estetyki. Czytając p. Witkiewicza, odbiera się takie wrażenie, jak gdyby chciał w nas wmówić, że niema żadnej miary przedmiotowej do oceniania dzieł sztuki, tylko, że powinniśmy bez żadnej krytyki uznawać za równie piękne to wszystko, co jego samego zachwyca w tej właśnie chwili, kiedy zdanie swe wypowiada. I tak wysuwa się w jego rozprawie najpierw Rafael na czoło, potem Michał

Anioł, a w dalszym ciągu Donatello, wkońcu jednak pokazuje się, że niema artysty ponad Rembrandta. Obok geniuszów odrodzenia włoskiego można, zdaniem jego, postawić także Williama Morrisa (str. 26), który w wieku XIX oddał wielkie usługi przemysłowi artystycznemu, ale nie stworzył żadnego dzieła, któreby dawało jakąś podstawę do porównywania go z Rafaelem. Nawet zboczenia barokowe i stylu *rococo* nie zasługują, według p. Witkiewicza, na krytykę ujemną; czytamy bowiem (na str. 70): „Barok — było to jedno z przezwisk, któremi chrzczono wszystko (?), co uważano za niższe, za lichsze. A przecież barok — to Bernini! To ta sztuka, wyrażająca nadmiar życia i nadmiar łatwości jego objawiania się, ta sztuka, która zdawała się drwić z odporności materyi... Barok — to Puget — tytan, a *rococo* to Houdon, niezrównany twórca posągu Voltaire'a". A więc żaden estetyk ani historyk sztuki nie umiał się poznać na geniuszach baroku! Na to trudno się zgodzić.

Ale p. Witkiewicz posuwa się jeszcze dalej w swoich twierdzeniach, które w zupełnej stają sprzeczności ze zdaniami, przyjętemi przez większość znawców i miłośników sztuki: oto według niego „dziś sfera zjawisk, objętych nazwą sztuki, ogarnia tak ogromny obszar ludzkiego życia, tak olbrzymią siłę czynu, że obecność jej wykrywamy wszędzie... Niekiedy amarantowy rabat ułański i czapka z różnobarwną kitą wcielają w sobie całe piękno i starczą za obrazy i posągi, lecz i wtenczas sztuka istnieje" i t. d. (str. 91); poczem następuje apologia „stylu zakopiańskiego" (95—98). Nie wiedząc nic o Morrisie i Ruskinie, spełnił autor pod Tatrami „jedną z ich idei" i dziś może powiedzieć z radością, że „nad głowami możnych i nad głowami biedaków wznosi się dach jednego stylu; kościół, salon i izba ubogiej chałupy jaśnieją blaskiem tego samego piękna" (95), że „stworzył kaplicę, w której liście paproci wybujały tak, jak bujają w ciemnych żlebach lasów, zalegających tatrzańskie regle". A więc autor jest przekonany, że owa kapliczka w kościele zakopiańskim, ozdobiona według jego pomysłu, powinna być uznaną za dzieło epokowe...

Bardzo dobre są uwagi autora o korzyściach, jakie dziś przynosi artystom fotografia (str. 58 i dalsze) i o Böcklinie (88 i d.). Słuszne jest też żądanie, żeby ktoś z ludzi zamożniejszych przyczynił się do zapoznania Europy z dziełami naszych artystów, urządzając ich wystawę w Monachium lub w Paryżu, albo też sprowadzając do kraju przedstawicieli najlepszych zakładów fotograficznych (102).

Także monografia, poświęcona Aleksandrowi Gierymskiemu, zapoznaje nas w przeważnej swej części z poglądami estetycznymi samego p. Witkiewicza. Są i tutaj twierdzenia uderzające swą paradoksalnością, a wypowiedziane z niezachwianą pewnością siebie, z przeświadczeniem, że nikt nie potrafi nic godnego uwagi przeciwstawić tym zapatrywaniom. Oto czytamy np, że każdy twórca „musi się uważać w swojem sumieniu (?) za bezwzględnie wyższego ponad wszystko, tak wysokiego, że się z nikim nie może i nie chce mierzyć" (str. 175). Gdzieindziej znowu (str. 183) zestawieni są Rafael, Regnault i Maks Gierymski, jak gdyby wszyscy trzej wspięli się na najwznioślejsze wyżyny twórczości. Ale najliczniejsze wyrazy uwielbienia odnoszą się do Aleksandra Gierymskiego: „Był on bardziej malarzem, niż kto inny u nas" (149) „opanował wszystkie tajemnice swojej sztuki z bezwzględną (?) znajomością wszystkiego, do czego ona dojść może" (153). Według autora, malarz wywiązuje się już doskonale ze swego zadania, jeżeli tylko rzuca na płótno „świetne plamy barw lokalnych, zharmonizowanych z kapitalnem poczuciem tonu" (106), ale czemże w takim razie będzie różniło się dobre malowidło od tapety, pokrytej farbami z wytwornym gustem artystycznym? (Przypominam, że Williama Morrisa, który obdarzył przemysł tkacki i tapicerski nowymi, pięknymi wzorami i nowym stylem, stawia p. Witkiewicz obok geniuszów Odrodzenia). Treść, przedmiot, idea, nie ma w sztuce żadnego znaczenia: malarz zasługuje już wtedy na uwielbienie, jeżeli po długiej, mozolnej pracy dobrze odtworzy wnętrze przedziału kolejowego i grę światła, padającego na czerwony aksamit (jak uczynił Gierymski, szkoda tylko, że dzieła nie skończył! Por. str. 174).

Ale szan. autor nie tylko jest estetykiem, on wkracza także śmiało w tę dziedzinę filozofii, która usiłuje rozwiązać wielką zagadkę bytu. Wynik zaś jego rozmyślań jest bardzo niepocieszający: oto w życiu naszem zaznacza się jakaś „nieubłagana logika" (str. 185), jakaś fatalność, na którą wola ludzka nie znajduje rady, a która czyni człowieka nieszczęśliwym bez jego winy. Religia nie wywiera dobroczynnego wpływu, bo z niej powstał „tylko zabobon i kwestya organizacyi kościelnego urzędu" (37). „Wrodzone fatalne właściwości jednostki, jej najistotniejsza treść duszy, godząc się lub przeciwstawiając się tym pierwiastkom stadowego życia ludzi, wytwarza pewną typową dla danej jednostki kolej życia, pewną sumę zdarzeń i czynów, które są wypadkową zetknięcia się życiowych dążeń jednostki i społecznego stanu tłumu w danej chwili" (40). Nasze uczucia i dą-

żenia mają być tylko wynikiem „mechanizmu fizyologiczno-psychicznego“ (161). Gierymski więc musiał być takim, jakim był i musiał być nieszczęśliwym w warunkach, w których mu żyć kazano. Prawda, że z tą teoryą trudno pogodzić wezwanie, kończące książkę, do dążeń idealnych — bo przecież żaden czytelnik nie może zmienić swojej natury i musi pozostać tem, czem go czyni, z fatalną koniecznością jego „mechanizm fizyologiczno-psychiczny“ — ale jest to niekonsekwencya całkiem zwyczajna u zwolenników determinizmu.

Ks. Aleksander Pechnik.

Podatki domowe w Austryi. *Franciszek Szymusik.* Kraków 1903.

W rzędzie cichych a bardzo pożytecznych pracowników na polu literatury skarbowości austryackiej, jedno z pierwszych miejsc należy się radcy skarbowemu p. Franciszkowi Szymusikowi.

W latach 1897 i 1898 wydał p. Szymusik w przekładzie polskim ustawę z dnia 25 października 1896 Dz. ust. p. nr. 220 o bezpośrednich podatkach osobistych wraz z rozporządzeniami wykonawczemi i objaśnieniami, przez co ułatwił fachowcom i szerszemu ogółowi zapoznanie się z przepisami długo oczekiwanej reformy podatków osobistych w Austryi. W tych samych latach napisał p. Szymusik wykład popularny w czterech częściach p. t. „Reforma podatkowa“ (część pierwsza wyszła także w tłumaczeniu na język ruski).

W bieżącym roku pojawiła się na półkach księgarskich dalsza praca tegoż autora z zakresu ustawodawstwa podatkowego p. t. „Podatki domowe“ — jako część druga podatków realnych. Część I tych Podatków zamierza autor wkrótce wydać — jak to zapowiedział w przedmowie do „Podatków domowych“.

Podczas gdy wspomniane wyżej wydawnictwo ustawy z 25 paźdz. 1896 Dz. ust. państ. nr. 220 było przeważnie przekładem tej ustawy na język polski, „Podatki domowe“ Fr. Szymusika stanowią już systematyczną pracę na wzór niemieckiego podręcznika Gustawa Freibergera p. t. *Handbuch der österreichischen directen Steuern.*

W „Podatkach domowych“ przedstawił autor ze ścisłą drobiazgowością i jasnością wszystkie dotyczące ustawy, najwyższe postanowienia, rozporządzenia i t. d., sięgające wstecz od roku 1820 aż po najnowsze czasy, nadto przytaczając w licznych uwagach judykaturę trybunału administracyjnego w sprawach podatków domowych i rozporządzeniach władz kierujących, w szczególności gal. kraj. dyr. skarbu.

Omawiana praca Fr. Szymusika dzieli się na 6 działów i 40 rozdziałów.

Dział I ogólny, dział II o podatku domowo-czynszowym i 5%, dział III o podatku domowo-klasowym, dział IV o opustach podatkowych, dział V o czasowych uwolnieniach podatkowych, wreszcie dział VI o przekroczeniach przepisów odnoszących się do podatków domowych.

Nie zamierzając przedstawiać treści każdego z tych działów, zwrócę tylko uwagę na działy II, IV i V, mające dla właścicieli domów największe znaczenie.

W dziale II „Podatków domowych" omawia autor między innymi co jest przedmiotem i podstawą wymiaru podatku czynszowego i 5% podatku, jakie są formalności fasyi czynszowych z domów, wyszczególniając wyczerpująco podatki, które właściciele domów mogą potrącać sobie od dochodu czynszowego z domów, jak wydatek na oświetlenie schodów, na grosz czynszowy i t. d.

W dziale IV zaznajamia p. Szymusik czytelników z przepisami, na podstawie których można żądać odpisu podatku budynkowego, w szczególności z powodu opróżnienia pomieszkań, z tytułu klęsk elementarnych i nieściągalności czynszu i t. d.

Wreszcie w dziale V przedstawia autor warunki wymagane do uzyskania dla nowo-zbudowanych lub przebudowanych domów uwolnienia od podatków domowych, podając z wielką dokładnością wszelkie formalności próśb o te uwolnienia, nadto w tym samym dziale wyłuszcza p. Szymusik bardzo obszernie ulgi podatkowe dla domów ze zdrowemi i taniemi pomieszkaniami.

Jak z powyższego zestawienia widać, w swoich „Podatkach domowych" daje autor poznać opodatkowanym właścicielom domów nie tylko obowiązki, które na nich państwo nakłada, lecz także prawa, które tym właścicielom służą do żądania ustawowych ulg przy podatku z budynków, podając na końcu swojej pracy także wzory podań dotyczących ulg wspomnianych.

Za wielką zasługę autora uważać należy zapoznanie czytelników w dziale V z ustawą o ulgach podatkowych dla domów robotniczych.

Z całego ustawodawstwa o podatkach domowych, powołana ustawa zawiera najbardziej nowożytne i postępowe przepisy, ułatwiając z jednej strony warstwom najbiedniejszym, pracownikom fizycznym i umysłowym uzyskanie tanich i odpowiednich wszelkim przepisom sanitarnym mieszkań, z drugiej zaś strony zapewniając właścicielom takich domów należyte oprocentowanie kapitału włożonego w budowę.

To też życzyć sobie tylko należy, aby rozpowszechnienie treści tej ustawy i odnośnego rozporządzenia ministerstwa skarbu skłoniło osoby mające kapitały do lokowania tych ostatnich w budowie tego rodzaju domów.

Nie ponosząc strat w dochodzie od kapitału włożonego w takie budowy, spełniliby kapitaliści budując domy dla robotników nadzwyczaj socyalne zadanie, łagodząc dolę wielkich rzesz najbiedniejszej ludności.

Wyrządziłoby się krzywdę p. Szymusikowi, gdyby mniemano, że jego „Podatki domowe“ mają wielką wartość przeważnie dla ludzi niefachowych, nieznających przepisów o tych podatkach; w pracy bowiem autora, będącej obecnie jedynym podręcznikiem o podatku domowym w języku polskim, znajdzie każdy, czy to urzędnik zajęty wymiarem podatków, czy też zastępca prawny stron odpowiedź na wszystkie prawie wątpliwe kwestye odnoszące się do podatków domowych, a młody adept praktyki skarbowej poznać może w tej pracy całokształt obowiązującego ustawodawstwa w dziedzinie wymienionych podatków.

Wyrażając wdzięczność p. radcy Szymusikowi za jego „Podatki domowe“, zachęcić go wypada, aby rychło dokonał wydania I-szej części Podatków realnych, t. j. opracowania podatku gruntowego, nadto opracowania przepisów egzekucyjnych, gdyż brak takiego wydawnictwa, któreby uwzględniło także wszystkie najnowsze przepisy, daje się dotkliwie uczuć. Wydawnictwem tem uzupełni autor swoją olbrzymią pracę o Podatkach bezpośrednich.

Dr. Józef Mazurkiewicz.

Z piśmiennictw obcych.

Ze studyów nad literaturą turecką.

Dr. G. Jacob: „Die türkische Volkslitteratur“. Berlin. Mayer und Müller.

— „Türkische Litteraturgeschichte in Einzeldarstellungen“. Heft I: Das türkische Schattentheater. Berlin. Mayer und Müller.

— „Das Schattentheater in seiner Wanderung von Morgenland zum Abendland“. Berlin. Mayer und Müller.

— „Karagöz-Komödien“. 2 Heft: Kajyk ojunu. Berlin. Mayer u. Müller.

— „Karagöz-Komödien“. 3 Heft: Die Akserai-Schule. Fünf Karagöz-Stücke. Berlin. Mayer und Müller.

Dr. G. Jacob: „Aus den Vorträgen eines türkischen Meddâh". Berlin. Mayer und Müller.

— „Ein arabischer Berichterstatter aus dem X Jahrhundert über Fulda, Schleswig, Soest, Paderborn und andere deutsche Städte". Berlin. Mayer und Müller.

— „Östliche Kulturelemente im Abendland". Berlin. Mayer und Müller.

Powyżej wymienione broszury nie tworzą bynajmniej lektury lekkiej i wdzięcznej; trzeba się przedrzeć przez cały las filologicznych wywodów, niejasnych określeń, tureckich cytatów, trzeba sobie nieraz powiedzieć, że dzieło, do którego autor odsyła i na które się powołuje, znaleźć można chyba w wielkich państwowych bibliotekach, trzeba się czasami i pognieważ, że autor nie wypowiada ostatniego słowa a znów wypowiadając je, nie zawsze je uzasadnia — kto jednak te trudności jako tako pokona, podziękuje profesorowi z Erlangen za jego prace. Prace te, z wyjątkiem chyba jednej, nie są wyczerpujące, są szkicami, ale i te szkice dużo ciekawych przynoszą rzeczy.

Jacob pomija stojącą pod wpływem perskim klasyczną literaturę turecką, z jej poezyą, która doprowadziła formę do mistrzowstwa a raczej do manieryzmu i z jej prozą oznaczającą się suchym, naukowym stylem, który od bliższych studyów odstrasza i tej pseudo-klasycznej literaturze rozwijać się nie pozwala. Nie zastanawia się również nad modnem współczesnem piśmiennictwem, które pod wpływem francuskim wysoko się rozwinęło, bada za to ze szczególniejszem zamiłowaniem turecką literaturę ludową. Do niedawna literatura ta była zupełnie nieznaną; pierwszy, który jej swoją uwagę poświęcił, był węgierski uczony, Kúnos. Zebrał on prawie sto ludowych baśni wraz z humorystycznymi obrazkami i podczas kiedy dawniejsze t. zw. tureckie baśnie były przeważnie z arabskiego tłumaczone, tu spotykamy się po raz pierwszy z utworami oryginalnymi. Baśnie te i inne dzielą się na dwie grupy: jedne krążą z ust do ust, drugie przechowują wędrowni śpiewacy *Meddâh*. W pierwszych łatwo wykazać rozmaite reminiscencye. Niektóre przypominają żywcem losy św. Genowefy, inne znowu baśnie niemieckie. Pełno w nich przysłów, humor występuje jako tło lub dekoracyjny dodatek, typy ich to typy zbrodniarzy, złoczyńców; spotyka się jednak i złe żony i opanowanych przez nie mężów, czasami nawet zwierzęta. Drugie, opowiadane przez gawędziarzy z profesyi, przez *Meddâh*, różnią się od pierwszych silnym, wybitnym realizmem, wiernem kopiowaniem i oddaniem życia. Działanie ich na słuchaczy polega nie

tylko na samej treści, lecz i na deklamacyi, gdyż wygłaszający je *Meddâh* zmienia głos stosownie do zmiany występującej osoby.

Podczas kiedy baśnie tej drugiej przeważnie grupy reprezentują realizm, to znowu tureckie książki ludowe charakteryzuje bardziej idealny pogląd na świat. Książki te to powieści rycerskie, zdobne czasami w niebardzo udałe ilustracye; bohaterami ich królowie, książęta, sławni pieśniarze. Tem się też wyróżniają, że autorzy niektóre ich części prozą, inne zaś wierszem opowiadają. Talent twórczy wplata w nie liczne pieśni, które są podobno ozdobą liryki tureckiej.

Poezya ludowa dość ciekawie przedstawia się w Turcyi. Bardzo zwykłą formą poetyczną jest t. zw. *destan,* poemat religijny, polityczny lub erotyczny, składający się z dwudziestu, trzydziestu i więcej zwrotek. Gdy treść jest na czasie, drukują te destany na pojedynczych kartkach i rozpowszechniają je między ludem. Wartość ich poetyczna niewielka a znaczenie swe zawdzięczają jedynie swej zawartości; mówią bowiem o Mahdim, o znakach ostatecznego sądu, o Osmanie Paszy, a więc o tem, co samo w sobie serce żywiej porusza. Wygłaszają je często przy dźwiękach muzyki.

Większą wartość posiadają ściśle ludowe pieśni, nazwane *türkü.* Nie krępują one tak bardzo myśli swą większą swobodą poetyczną, są pełne życia, nie bawią się w zbytnią uczuciowość a w rozwinięciu myśli czy faktu, objawiają nieraz jeden wysoki artyzm. Treść ich bardzo rozmaita a może najpiękniejszą ze wszystkich jest *Türkmen kyzy,* „Dziewczę turkestańskie", opiewająca przemianę pogardzonej dziewczęcej miłości w dziką nienawiść. Pod względem psychologicznym i estetycznym pieśń tę cechuje wartość niezwykła.

Zabawkami raczej, choć o wybitnej czasami piękności, są małe czterowierszowe utwory *ma'ni.* Pełno tam często przesadzonego uczucia; są poważne, to znów wdzięczne i wyróżniają się udatnymi obrazami, czerpanymi z przyrody a służącymi jako punkt wyjścia dla samej idei. „W ogrodach — woła ludowy poeta — trzcina wyrasta, róża się otwiera, lato się zbliża; mej umiłowanej różą nie nazwę, bo krótkiem jest róży życie". Czasami tworzy większa ilość takich *ma'ni* cały cykl, w którym każdy ustęp rozpoczyna się innym obrazem z życia kwiatów czerpanym, tak że całość tworzy niejako wonny, kwietni wieniec. W życiu ludowem odgrywają *ma'ni* o tyle pewną rolę, że są ulubionym przedmiotem śpiewów kobiecych wieczorami; w dzień św. Jerzego służą do celów trochę zabobonnych, mają oznajmiać przyszłe losy.

Mniej ważne dla literatury ludowej są zagadki i przysłowia; tych

ostatnich zebrali dużo w Stambule Mechitaryści; przebija w nich często zadziwiająca ufność w Boga, jak np. w bardzo w Turcyi rozpowszechnionem: „ślepego ptaka gniazdo buduje Alach".

Większe bez porównania znaczenie dla ludowej literatury tureckiej posiada tak zwany teatr cieni, *Hajâl*, znany u nas ogólniej pod nazwą *ombres chinoises*. Autor utrzymuje wprawdzie, że niesłusznie, że teatr cieni nie ma z Chinami żadnego związku; dowody jego jednak niezupełnie przekonywują, a faktem jest, że perski historyk Rašîdeddîn († 1318) twierdzi, że za panowania Ogotaja (1227—1241) chińscy aktorzy na jego dworze z teatrem cieni się produkowali [1]. Jakiekolwiek są zapatrywania na czas powstania tego rodzaju sztuki scenicznej, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wykształcił i wydoskonalił go w XVII wieku Hasanzâde, a twórcą był prawdopodobnie Šêch Küšteri w wieku XIV. Teatr cieni, niezupełnie słusznie tak nazwany, gdyż jego figury są kolorowe i przejrzyste, daje swoje przedstawienia najchętniej i najczęściej w czasie Ramazanu. Dziwne były jego koleje: w Arabii nie mógł się szerzyć ze względów religijnych, w Turcyi znowu więcej ze względów politycznych, gdyż z powodu rozmaitych aluzyi rządy go zakazywały. Dzisiaj pod tym względem stosunki się poprawiły i teatr ten, choć dość pogardzany, jest jednak rozpowszechniony a nawet doszedł do takiej doskonałości, jakiej ani teatr maryonetek ani t. zw. niemiecki *Kasperle-Theater* na Zachodzie osiągnąć nie potrafił.

W teatrze cieni uderza nas przedewszystkiem bogactwo typów; prym między nimi wodzi *Karagöz*, od którego sam rodzaj sztuki często po prostu *Karagöz*'em nazywają. Ma on w sobie wszystkie własności błazna cyrkowego; natura nieokrzesana, idąca za popędem niehamowanych instynktów i namiętności, gardząca dobrą radą, rzucająca się na oślep w niebezpieczeństwo bez zdawania sobie z niego sprawy. Odważny jak długo jest bezpieczny, tchórzy gdy sytuacya się zmienia, a skoro niebezpieczeństwo minęło, gra rolę bohatera. Powoli wyrabia się jednak na filuta, a jego ograniczenie jest tylko maską, która mu służy do tem łatwiejszego osiągnięcia celu. Niejako *pendant* do Karagöza jest Hadżievad, przedstawiciel klasy wykształconej; dramat naciąga go często, czasami nawet karykaturuje. Zwykle jednak jest poważny, spokojny i poważany, nie wyklucza to jednak, że lubi Kara-

[1] Ostatnimi czasy wywodzi Reich: *Der Mimus*. Berlin. Weidmann. 1903. teatr cieni od przedstawień bizantyjskich.

gözowi płatać figle; ponieważ zaś zna świat i ma dużo doświadczenia, chętnie gra rolę mentora. Jest grzeczny, owszem przesadza się w grzecznościach; wita np. występującego Persa słowami: „Z jakiej góry pochodzisz różo, z jakiego ogrodu przylatujesz, słowiku?“ Występuje jeszcze w dramacie *Deli Bekir*, nieszczęście a mówiąc dobitniej *pech* Karagöza, którego sprawki czynnie wynagradza; pojawiają się Persowie na koniu, Arabowie przekręcający wymowę, Żydzi, co za mało pieniędzy dobre robią interesa i celują brakiem odwagi, Ormianie, Grecy, czasami Anglicy, typy tureckie z Trapezuntu, z Kastamuni (Anatolia), jąkały, niemowi, pijacy, waryaci, tancerze, tancerki, dzieci, kobiety i zwierzęta.

Sztuki swoje przedstawia teatr cieni w następujący sposób. Na białem płótnie sceny, oświetlonem olejną lampą, pojawia się cień jakiegoś zwierzęcia lub potwora, które bawią publiczność nim jeszcze przedstawienie samo się rozpocznie. Poczem występuje cień Hadżievada; rozpoczyna on dramat prologiem, w którym zastanawia się ogólnie nad teatrem, nad jego twórcą a w poważnej mowie chwali Alacha, przeklina szatana i modli się za sułtana; ma też kilka pięknych słów i dla swych słuchaczy. Sam dramat składa się z dwóch części: pierwsza *muhâvere* dyalog, służy do ekspozycyi dramatycznej i szkicuje charaktery dwóch głównych figur: Karagöza i Hadżievada, nie stoi jednak w ścisłym związku z główną treścią dramatu *fasl* i dlatego znachodzi się dosłownie w rozmaitych sztukach.

Treść dramatu jest zwykle znaną, nowych mało dziś tworzą; zmienia się jednak, gdyż przy przedstawieniach reżyserzy nie używają rękopisów, lecz mówią wszystko z pamięci; stąd też repertuar nie jest bardzo bogaty w treść, obfituje za to w różne sposoby jej przedstawienia. Najzwyklejsze i najczętsze motywa są następujące:

Karagöz uprawia rzemiosło. Po prologu pojawia się Hadżievad przed domem Karagöza i śpiewa jakąś pieśń. Karagöz klnąc i mrucząc schodzi na dół, by ukarać przeszkadzającego mu śmiałka. Hadżievad używa słodkich słówek, Karagöz drwi sobie z niego i parodyuje go, estatecznie pokazuje się, że obaj nie mają pieniędzy, postanawiają więc chwycić się jakiego rzemiosła. Hadżievad proponuje i wybiera a Karagöz będzie je praktykował. Pierwszy idzie szukać kundmanów i na scenie pojawia się cała galerya typów, które do Karagöza za interesami przychodzą. Jego pociechą jest swoich klientów oszukać, bardzo często jednak role się zmieniają i oni jego wywodzą w pole. Jakiego rodzaju rzemiosło praktykuje Karagöz pokazuje fakt, że Hadżievad np.

radzi mu, by latem chwytał ciepło a zimą zimno do worka i przeciwnie latem sprzedawał zimno a zimą ciepło.

Czasami wchodzi znowu Karagöz na drogi zakazane, a wtenczas lubi być dość rozwiązłym, choć gorzko za to odpokutować musi. Interesujący temat zyskują też autorzy stawiając Karagöza w położeniu nie licującem z jego charakterem i usposobieniem. Tak np. w jednej sztuce otrzymuje ta gruba, prozaiczna natura na turnieju poetycznym nagrodę poety, w innej zostaje pisarzem i nauczycielem, to znów znajduje dużo pieniędzy i gra rolę wielkiego pana albo pozwala wmówić w siebie i wierzy, że jest dziewczęciem.

Można się wreszcie spotkać w teatrze cieni z przedmiotem zapożyczonym z literatury tak swojskiej jak i zagranicznej.

Jakim czynnikom zawdzięcza teatr cieni swoje znaczenie i swą popularność? Najpierw komice. Treść jego jest wesoła, przechodzi nawet (choć dzisiaj już rzadko) w wyuzdanie, sceny smutne nadzwyczaj rzadkie. Do osiągnięcia komicznego skutku służą anormalności fizyczne figur; autor nazywa je typami patologicznymi. Większy jednak wpływ wywiera spożytkowanie, żeby się tak wyrazić, błędów umysłowych. Karagöz bierze często wyrażenia przenośne lub dwuznaczne w znaczeniu dosłownem i mylnem. Hadżievad mówi do niego np.: „Dłuższy czas nie widziałem cię", a Karagöz się odzywa: „Człowieku, wszak stoję naprzeciw ciebie". Zmienia brzmienie słów, tak że wychodzi dziwoląg. Hadżievad mówi mu, że ci lub owi ludzie są aktorami, a Karagöz odpowiada, że nie wyglądają oni bynajmniej na drogistów *(aktar)*. Komikę powiększa łatwowierność występujących figur, satyra, parodya, ironia, humor. I na prawdę śmiać się trzeba, widząc, jak przedstawiciele obcych narodowości sadzą się na to, by mówić poprawnie po turecku a mimo najlepszej chęci tego nie potrafią lub jak zgrabnie pochwycone ujemne strony niektórych figur. Znamienną pod tym względem jest scena w dramacie *Kajyk*. Żyd przychodzi do Karagöza i pyta, ile żąda za przewiezienie go łodzią do kwatery żydowskiej.

Karagöz: Kupcze, bez handlu daj $4^1/_2$ piastra.

Żyd: Waj, waj, waj, podaruj mi jednego piastra, drugiego nie przyjmij, o dwa inne nie pytaj.

Hadżievad: To znaczy: cztery odpadają, zostaje 20 para.

Karagöz: To znaczy i tych nawet nie otrzymasz...

Hadżievad: Żydzie, nie handluj, ile dasz?

Żyd: Jeżeli dam, jeżeli dam, jeżeli dam 30 para, czy mi wydacie 20?

Hadżievad: Więc ile dasz?

Żyd: 30 para, wszak powiedziałem.

Hadżievad; To znaczy, zostanie nam jeszcze 10 para.

Żyd: Nie, mój drogi, 30 para.

Karagöz: Żydzie, wynoś się, wynoś się, mówię, bo wiosłem w łeb dam.

Żyd: Patrzcie-no! I on tak gada, jak gdyby był człowiekiem! Toć to handel, nieszczęsny, synu nieszczęsnego.

Karagöz: Hadżievad, ustąp się, ja tego Żyda nauczę...

Hadżievad: Cicho, cicho, wsiadaj i pojedziemy.

Popularnym stał się teatr cieni dalej przez swój realizm i swoją aktualność. Daje bowiem swym widzom wierny a barwny obraz codziennego życia. Widać tam ulicę a na niej liczne w Turcyi typy cudzoziemców, chorych i kalek; charakterystyczna dla Wschodu klasa ludzi roznoszących owoce, lody, ciasta zachwala co chwilę swoje towary. Scena się zaciemnia a po niej z powagą kroczy stróż nocny, wydzwaniając godziny, podczas gdy bogaty ślubny orszak roztacza naokół przepych wschodni. Życie na Bosforze, ruch i krzątanina w porcie, w kawiarniach i knajpach wprowadza wielką rozmaitość. O podniesienie zaś wartości utworu, stara się muzyka. Przed pierwszem pojawieniem się każdej figury, odzywa się pieśń charakteryzująca występującą osobę. Nie zawsze ma ona wielką wartość, nie zawsze stoi w ścisłym związku z treścią, za to nadaje sztuce pewną cechę operetkową i potęguje jej działanie na publiczność.

Hajâl ma jednak znaczenie nie tylko dla ludu, ma je i dla nauki. On przedstawia nam popularny turecki język, dyalekty i gwarę; zastępuje w wielkiej mierze teatr ludowy, który prawdopodobnie z niego się rozwinął. Zdaje się nawet, że dał początek prasie humorystycznej, w każdym zaś razie jest wiernym obrazem życia ludów wschodnich, ich zwyczajów i zabobonów i jako taki tworzy wcale ważny element etnograficzny.

O znaczeniu teatru cieni świądczy też i ta okoliczność, że rozszerzył się powoli i na Zachodzie.

Nie tak wybitną rolę odgrywa w życiu tureckiem teatr ludowy, o którego istnieniu mamy świadectwa już z dwunastego wieku, nie jest więc on bynajmniej nową jakąś instytucyą. Najzwyklejszą jego formą jest tak zwany *Orta ojunu,* Dramat na środku; nazwa prawdopodobnie stąd pochodzi, że scenę wystawiają w samym środku lokalu. Teatr ludowy jest ściśle związany z teatrem cieni. I tu

każdy aktor śpiewa pieśń cechującą jego własności a pauzy wypełnia taniec, jak to często i w Hajâlu się dzieje. Charakterystyczne typy są wspólne: Hadżievadowi odpowiada *Pešekjar*, a Karagözowi *Kavuklu*. Sposób wyrażenia jest prawie ten sam. Nawet dwie części teatru cieni *muhâvere* i *fasl* przechował częściowo teatr ludowy. Treścią tych dramatów jest zwykle dość ordynarna farsa; akcyi w nich mało, są raczej opowiadaniami. Przypatrzmy się choć jednemu z najdoskonalszych. Młody Turek, Osman, chce się ożenić ze swą kochanką, wdową po poległym w wojnie bimbaszy. Ona się zgadza pod warunkiem, że Osman pojmie w małżeństwo i drugą żonę bimbaszego, która przedtem pierwsze w rodzinie zajmowała miejsce; teraz będzie mogła nad nią przewodzić. Jakaś żydowska pośredniczka wyperswadowała rzeczywiście drugiej, że Osman ją tylko kocha, ale z powodu swych długów musi się i z jej rywalką połączyć. Kady daje ślub, obie żony oczekują wizyty pana młodego, gdy wtem zjawia się sam bimbasza, który nie poległ a był tylko uwięziony. Ponieważ wszyscy winni uciekają, kończy się sprawa poturbowaniem nie na żarty niewinnego kady'ego.

* * *

Dwa na ostatniem miejscu wymienione dziełka nie stoją w ścisłym związku z naszym tematem, są jednak wcale zajmujące. W pierwszem z nich podaje nam Jacob zapatrywania i opowiadania geograficzne arabskiego kosmografa, Qazwînî, o niektórych europejskich miejscowościach; jest to tylko wyciąg z większego dzieła. Qazwînî, żyjący w XIII w., powołuje się często na prace geografów: Ahmad ibn 'Omar al-'Udrî'ego (1003—1085) i Tartûšî'ego, który był prawdopodobnie członkiem poselstwa maurytańskiego do Ottona Wielkiego w r. 973. Qazwînî'ego wszystko interesuje, opisuje też wszystko, co uważa za uwagi godne, a choć nieraz błądzi, to jednak często wypowiada rzeczy, które się ostać potrafią nawet wobec nowożytnej krytyki. O Fuldzie mówi, że „jest to wielkie miasto w ziemi Franków, całe z kamienia, zamieszkałe tylko przez zakonników i żadna kobieta tam nie wstąpi, ponieważ ich męczennik tak rozporządził". O Szlezwiku donosi, że „nigdzie nie słyszał brzydszego śpiewu; jest to mruczenie, wychodzące z gardła, jak szczekanie psa, tylko bardziej bydlęce, niż ono". (Stare przysłowie twierdzi: *Frisia non cantat*). W Rouen, w rzece Sekwanie „żyje mała ryba, która pachnie i smakuje, jak ogórek", a w Irlandyi łowią bardzo oryginalnie młode wieloryby: „Rybacy zbierają się na łodziach. Mają oni wielki, żelazny hak z ostrymi zębami,

na haku jest wielki, silny pierścień a w pierścieniu mocna lina. Gdy dopadną młodego wieloryba, biją w ręce i hałasują. Młode cieszy się z tego klaskania i wesoło zbliża się do okrętu. Wtenczas przystępuje do niego jeden z wioślarzy i drapie go mocno w czoło; to mu się bardzo podoba. Teraz żeglarz kładzie hak na głowie wieloryba i wielkim, żelaznym młotkiem uderza trzy razy w hak z całej siły. Pierwszego uderzenia wieloryb nie czuje, drugie jednak i trzecie bardzo go rozdrażnia; czasami więc uderza ogonem w kawałek okrętu i druzgocze go i silnie się ustawicznie miota, dopóki nie osłabnie. Wtenczas wytężonemi wspólnemi siłami załoga wyciąga go na brzeg. Często jednak matka spostrzega rozdrażnienie młodego i ściga żeglarzy. Oni w tym wypadku mają przygotowaną wielką ilość sproszkowanego czosnku i rzucają go do wody. Gdy wieloryb uczuje zapach czosnku i widzi, że jest niezuośnym, odwraca się i ucieka. Wtedy rozcinają mięso młodego wieloryba i marynują je. A mięso jest białe, jak śnieg a skóra czarna jak atrament".

Czemu jednak wydawca dał książce tytuł: *Ein arabischvr Berichterstatter aus dem X* a nie *aus dem XIII Jahrhundert,* nie wiadomo. Wszak choć Tartûšî, na którego Qazwînî się powołuje, żył prawdopodobnie w X wieku, to przecież dzieło ma za autora nie Tartûšî'ego lecz Qazwînî'ego. Jak znowu pod rubrykę *andere deutsche Städte* można podciągnąć np. Irlandyę (str. 19) lub państwo rzymskie (str. 14), to już jest tajemnicą tłumacza.

Nader interesującą jest ostatnia autora praca *Östliche Kulturelemente im Abendlande.* Byłaby jeszcze więcej zajmującą, gdyby nie zbytnia zwięzłość, która nieobeznanemu już naprzód ze stanem rzeczy, prawie że nie pozwala iść za biegiem myśli, jakie w tej broszurze są rozwinięte. Pokazuje się z tego dziełka, że właściwie nie mamy czem tak bardzo się szczycić naszą kulturą, gdy bardzo, bardzo wiele zawdzięczamy Wschodowi. Pomijam tu wpływy religijne, o których autor trochę niejasno się wyraża, za to literatura przejęła wiele ze Wschodu. Stamtąd przyszła nam wielka część baśni; na pieśni kościelnej przez długie wieki wycisnęły swe znamię psalmy, na erotycznej poezyi niemieckiej np. łatwo wykazać wpływy Hâfiza; i dramat nie został zupełnie wolny. Wschód oddziaływał na budownictwo gotyckie, na nasze hafty i tkaniny, na ceramikę, na malarstwo, na nasze gry i zabawy np. szachy, warcaby, karty, nawet na naszą kuchnię i ogrody. Wschód dał nam alfabet głoskowy, wygodne liczby i słynne x dla oznaczenia niewiadomej; stamtąd mamy też papier (w XII wieku dostał się on od

Arabów do szczepów romańskich). Ciekawy jest rozdział, omawiający rozwój druku; pokazuje się z niego, że był on znany nie tylko w odległych czasach, bo już w VI wieku drukowano np. w Chinach za pomocą drewnianych płyt, ale że nawet druk ruchomemi czcionkami był w użyciu na długo przed Gutenbergiem. Tak używał ruchomych czcionek między r. 1437 a 1457 Dominikanin Konrad Forster; według źródeł chińskich wytłaczano nimi książki już między r. 1041—1049, a w Azyi wschodniej około 1317. Że Wschód posiadał igłę magnetyczną i proch na długo przed nami, jest ogólnie wiadomem. Autor z takim entuzyazmem wyraża się o elementach wschodniej kultury w naszym świecie, że używanie liczb rzymskich nazywa barbarzyństwem, któregoby nasz wiek wstydzić się powinien; dziwne tylko, że polemizując przeciwko alfabetowi łacińskiemu i poniżając go na koszt niemieckiego, w pierwszem wszystkie tu omówione broszury wydrukował.

Ks. Wiktor Wiecki.

Institutiones iuris ecclesiastici, quas in usum scholarum scripsit *Ios. Laurentius S. I.* Friburgi. Herder 1903.

Chociaż posiadamy dotychczas wiele dobrych podręczników prawa kanonicznego, mimo to prawie wszystkie pozostawiają niemało do życzenia. Jedne z nich są zbyt sumaryczne, pobieżne, dotykają tylko najważniejszych kwestyi; resztę zaś zagadnień mniej wprawdzie ważnych, ale niemniej potrzebnych, zupełnie pomijają. Drugi rodzaj podręczników grzeszy zbyt wielką objętością lub stawia ponadto wielkie wymagania uczniom a trudności profesorowi. Jeszcze inne dzieła (przeważnie starsze) trzymają się ściśle tekstu dekretałów i dodają do tego tylko objaśnienia, wskutek czego brak poglądu na całość i systematycznego ugrupowania materyi. Wszystkich tych wad stara się uniknąć podręcznik, którego tytuł wypisaliśmy w nagłówku.

Podajmy bodaj szkic dzieła. Autor dzieli swą poważną pracę na ośm części. P i e r w s z a omawia źródła prawa kościelnego; d r u g a mówi o urządzeniu Kościoła (tutaj traktat o władzy kościelnej wogóle, o różnych stanach wchodzących w skład Kościoła, o hierarchii i synodach); t r z e c i a rozbiera obowiązki i beneficya kościelne; c z w a r t a traktuje o zarządzie Kościoła (a więc o prawodawstwie, sądach, karach i wykroczeniach kościelnych); p i ą t a poucza o urzędzie nauczycielskim i kapłańskim (tutaj prawo sakramentalne a zwłaszcza małżeńskie); s z ó s t a wykłada o stowarzyszeniach kościelnych (a więc o zakonach, kongregacyach, bractwach i tercyarzach); s i ó d m a wyjaśnia

prawo doczesnych dóbr kościelnych; ósma wreszcie określa stosunek Kościoła do państwa i do innych wyznań religijnych. Plan więc dzieła głęboko pomyślany a gruntownie i wyczerpująco przeprowadzony.

Główną wagę kładł autor na jasne sformułowanie zasadniczych pojęć prawa i tu okazał się nie tylko należycie wyszkolonym prawnikiem, ale zarazem poważnie myślącym filozofem i z dogmatyką dobrze obeznanym teologiem. Ugrupowanie i obrobienie podrzędnych nawet działów nie pozostawia prawie nic do życzenia. Chociaż autor (zresztą zupełnie słusznie) wysunął na pierwszy plan prawo obecnie obowiązujące, jednak w ważniejszych kwestyach nie zaniedbał dodać krótkiego poglądu na historyczny przebieg danego zagadnienia. Co do źródeł, to autor wyzyskał w sposób należyty nie tylko stare dekretały kościelne, ale nadto akta i dekrety prowincyonalnych synodów i powszechnych soborów.

Do najznakomitszych ustępów dzieła, prawie po mistrzowsku obrobionych, należy zaliczyć traktaty o stanowisku papieża, prawo małżeńskie i zakonne. Tak np. wywody o świeckiej władzy papieża są wprost niezrównane, bo nadzwyczaj ścisłe, dokładne, ostrożne, a przytem oparte prawie wyłącznie na encyklikach i orzeczeniach Leona XIII. Tak samo udział duchowieństwa w kwestyach politycznych, znaczenie i moc obowiązująca konkordatów są bardzo gruntownie obrobione i przystępnie wyłożone. Z jaką precyzyą przedstawił autor prawo małżeńskie, tego dowodem może być np. *privilegium Paulinum* (nr. 689—693).

W kwestyach spornych autor jako prawnik broni zwykle tego zdania, za którem przemawiają silniejsze racye wewnętrzne, chociażby ono w danym razie nie miało za sobą wielu teologów. Wystarczy np. zwrócić uwagę, że autor wbrew wielu moralistom (ale zgodnie z duchem konstytucyi *Officiorum* [1897]) nie zalicza robotników, choćby bezpośrednio zajętych przy drukarni, do *imprimentes* (nr. 398).

W tak obszernym przedmiocie mogły się oczywiście tu i owdzie przydarzyć autorowi pewne przeoczenia i niedokładności. Tak np. zdaje się nam, że określenie zakresu władzy niektórych Kongregacyi rzymskich (szczególnie zaś św. Officyum, Roty rzymskiej, *Congregationis Concilii*) nie są zupełnie ścisłe. Podobnież należało dokładniej obrobić prawa i obowiązki kapituł katedralnych. Może za krótko zbył autor nowe prawo indeksowe, ograniczając się jedynie na tekście Ustaw ogólnych i krótkich gdzieniegdzie uwagach. Atoli wobec całości, która nawet w zewnętrznej swej szacie przedstawia się poważnie, usterki te jak inne, któreby kto znalazł, nie obniżają wcale wartości dzieła i ogól-

nego o nim a nadzwyczaj pochlebnego sądu. Swą praktycznością, jasnością, wszechstronnością zdobyło ono sobie wybitne stanowisko w rzędzie najlepszych podręczników prawa kościelnego, jak to zgodnie stwierdzają zawodowe czasopisma teologiczne tak niemieckie jak francuskie, a nawet włoskie.

Ks. Wł. Szczepański.

Dubois Cardinal et premier ministre. Par *le Père P. Bliard S. I.* Paris. Lethielleux. 2 t.

Kiedy w epoce monarchii absolutnej wszystkie sprężyny władzy schodziły się w jednem ręku i jej reprezentant mógł z przechwałką powiedzieć o sobie: *l'état c'est moi,* wtedy osobistość jego musiała wywierać wpływ decydujący na całe życie społeczne nie tylko jednego państwa, ale nieraz całej Europy. Za takiego monarchy, jakim był Ludwik XIV, decydowała naturalnie jego osobistość; ale za takiego Ludwika XIII, Regenta albo Ludwika XV-go decydowali ci, którym udało się w ich imieniu całą władzę w ręce swe pochwycić.

Nic więc dziwnego, że biografie wyczerpujące Richelieu'ów, Mazzorinich, Fleury'ch, Choiseul'ów i t. d. są niezbędne do zrozumienia ich czasów. Książka O. Bliard jest z tegoż samego względu niezbędną do gruntownych badań czasów Rejencyi.

Między wybitnymi mężami stanu w starej Francyi wyróżniał się kardynał Dubois tem, że sądy o nim były najsprzeczniejsze, bo jedni wynosili go pod niebiosa, a inni wszystkie ujemne strony rejencyi księcia Filipa Orleańskiego, którego wychowywał, jemu przypisywać się starali. On miał być odpowiedzialnym za wyuzdaną rozpustę Rejenta i pochodzące stąd zgorszenie, za ruinę sprowadzoną gospodarką finansową szkockiego awanturnika Law'a i wreszcie za całą politykę zagraniczną, o ile pewnym osobom była nie na rękę.

Otóż O. Bliard stara się za pomocą dokumentów wyświecić prawdę i w ostatecznym rezultacie tworzy nam postać, jeśli nie bez wad i bez stron ujemnych, to razem wziąwszy dodatnią i sympatyczną która nie tylko Kościołowi, ale i państwu ogromne oddała usługi. Jeden tylko zarzut podnosi przeciwko niemu: mianowicie że przyjął święcenia kapłańskie i biskupie na schyłku życia bez przygotowania i powołania odpowiedniego, jedynie aby wymusić na Papieżu kapelusz kardynalski dla siebie. Za zwykłym bowiem tytułem Opata ukrywał się mąż stanu wprawdzie bez zarzutu, otwarty i szlachetny, ale zawsze mąż tylko świecki. To było bez kwestyi nagany godnem, ale da się

po części wytłumaczyć smutnym stanem ówczesnego dworskiego duchowieństwa.

Poza tem wykazuje O. Bliard, że kardynał Dubois się starał, ile tylko mógł, czynną i bogatą naturę księcia orleańskiego obronić od próżniactwa i w ten sposób zapobiedz zniewieściałości i rozpiciu. Ale swego nie dokazał, bo wszystko inne na ówczesnym dworze francuskim jeśli nie tchnęło to przynajmniej sprzyjało wytrawnemu zepsuciu. Upadek moralny za Rejencyi był koniecznym skutkiem poprzedniego upadku moralności na dworze i w kraju wskutek gorszącego przykładu, jaki przez długie lata dawał sam Ludwik XIV.

Co się tyczy innych zarzutów, to przekonywujemy się, że ze sprawą Law'a kardynał nie miał nic wspólnego, a jego polityka zagraniczna nie tylko nie była szkodliwą, ale genialną i nie tylko dla Francyi, ale i dla całej Europy zmęczonej nie kończącą się wojną sukcesyjną hiszpańską, była prawdziwem dobrodziejstwem.

Ks. Aleksander Mohl.

La transformation de l'Égypte. Par *Albert Metin.* Paris. Felix Alcan.

Z powodu wojny transwaalskiej oczy całego świata zwrócone były na to olbrzymie państwo, którego wzrost i potęga chyba tylko ze starym Rzymem porównać się daje. Darmo: jedyną potęgą wszechświatową jest Anglia. To też nic dziwnego, że zapasy jej z malutkiemi dwoma afrykańskiemi państewkami silnie podziałały na nerwy jej przeciwników i rywali, i spowodowały ową powódź artykułów, broszur i książek, gdzie na wyści piętnowano angielski system zaborczy, ich politykę kupiecką, egoizm, pychę, okrucieństwo i t. d. i t. d. Z rzeczywistością trudno się było wobec tego ściśle liczyć, to też szerszy ogół na kontynencie europejskim wyrobił sobie o Anglii i Anglikach pogląd, oparty na wybujałej wyobraźni przejętych zazdrością i niechęcią ich współzawodników.

Dlatego tem milej jest spotkać taką pracę, jak niniejszą pana Metin. Od niejakiego czasu Uniwersytet paryski wysyła na koszt rządu wybitnych swych wychowanków na 15 miesięczną podróż około świata. W czasie niej mają oni sobie obrać pewien kraj zamorski za przedmiot objektywnego zupełnie badania i przeprowadziwszy je według pewnych instrukcyi, podać to do wiadomości publicznej. Panu Metin dostał się Egipt, owo jabłko niezgody między Francyą a Anglią. Zadanie trudne, szczególnie trudne wobec wspomnianego roznamiętnienia. A jednak p. Metin wywiązał się z niego znakomicie. On szukał prawdy, starał

się ją niezależnie od jakichbądź uprzedzeń znaleźć; on badał i pytał na miejscu, wglądał do dokumentów urzędowych i archiwów, stykał się z przedstawicielami wszystkich warstw, zebrał spory materyał statystyczny i w ostatecznej konkluzyi wystawił Anglikom takie świadectwo: „Umieją oni jak nikt inny zmuszać swych podwładnych do posłuszeństwa, szacunku i pewnej zbawiennej bojaźni. Wprawdzie trzymając się swych arystokratycznych tradycyi, nie dają oni ludom od siebie zależnym zupełnego równouprawnienia, co się nieraz tym ostatnim nie podoba, ale mimo to, to, do czego dążą, osiągają niechybnie. Umieją przytem lepiej niż kto inny, z wyjątkiem chyba Amerykanów, zaopatrzeć kraj we wszystko, co jest dla jego dobrobytu potrzebnem, wyciągając ze ziemi co z niej wydostać można. Kto się zastanowi nad powagą, jakiej zażywają, nad kulturą, jaką wszędzie szerzę, nad ich ustawicznym rozrostem, ten musi przyznać, że są oni Rzymianami dzisiejszych czasów. Nie bez podstawy mogli też oni na jubileuszowej marce pocztowej napisać: „Nasze państwo jest największem, jakie kiedykolwiek egzystowało“ *(We have a greater Empire, than ever was).* (17).

Stąd możemy bardzo gorąco polecić tę książkę nie tylko jako specyalne studyum o Egipcie, ale także jako przyczynek do badań nad kwestyami ogólno-światowemi, w których chcąc czy nie chcąc, z potęgą kultury anglo-saskiej spotkać się i z nią się liczyć potrzeba.

Ks. Aleksander Mohl.

Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters von *Ludwig Pastor.* I Band: Geschichte der Päpste im Zeitalter der Renaissance bis zur Wahl Pius' II. Dritte u. vierte Aufl. Freiburg im Breisgau. Herder. 1901. Str. LXIII, 869.

Szesnaście lat upłynęło od pojawienia się pierwszego wydania wspomnianego dzieła; dziś leży ono przed nami w trzeciem i czwartem wydaniu a nie straciło nic na swej aktualności. Pastor zrozumiał dobrze, że dzieło historyczne, jeżeli ma utrzymać się na pierwotnej wysokości, musi iść naprzód z duchem czasu, korzystać z nowych odkryć i badań, jednem słowem ciągle się doskonalić. Dlatego też, jeżeli takie dzieła, jak historya papieży Rankego lub historya kościelna Krausa, nie ulepszane i nie poprawiane, nie mają dzisiaj ani części tego znaczenia, jakie posiadały przed laty, to przeciwnie historya Pastora na wartości zyskała. Pole historyi tak olbrzymie, potrzebuje zawsze nowej uprawy i moralnem niepodobieństwem jest, by jeden człowiek, choćby

genialnymi obdarzony zdolnościami, mógł sam je objąć. Więc też autor nie ograniczył się tylko do wydania niezmienionego dzieła, lecz uzupełnił je nowemi badaniami, skorzystał z nowo odkrytych dokumentów, niejedną rzecz dodał, inną zmienił, wciągnął w rachubę głosy krytyki i według nich, o ile to było potrzebnem, zmodyfikował i uzupełnił swoje twierdzenia. Tak dzieło przybrało nową szatę i jest oparte na wynikach dzisiejszej wiedzy.

Nie możemy wchodzić w szczegóły niniejszego tomu, zwróćmy przeto uwagę choćby na kilka tylko rzeczy. Pastor uzupełnił we wstępie literaturę odnoszącą się do Petrarki, jak niemniej i do czasów schizmy zachodniej; rozdział omawiający mieszanie się książąt do działalności Kościoła pojawia się, dzięki obfitemu nowemu materyałowi, w nieco odmiennem świetle, tak samo i prądy antyreligijne czasu. Zmienił swoje zapatrywanie na ważne dzieło Wawrzyńca Valla *De voluptate*, na stosunek Karola V do Urbana VI, przerobił i pomnożył traktat o Bonifacym IX i o stosunku Francyi do Klemensa VII. Idąc z nowoczesnym prądem poświęcił dużo czasu i uwagi sztuce; rzucił więc niemało światła na sztukę uprawianą w peryodzie awiniońskim, na upadek Rzymu i jego budowli, na budowę Watykanu, na działalność Fiesolego i t. d. Zupełnie nowy jest rozdział o podatkach i zorganizowaniu finansów papieskich. Tekst został pomnożony o przeszło sto stron i kilka nieznanych dokumentów.

Zresztą dzieło jest znane; nie potrzeba więc wspominać o dodatnich jego stronach, o jego objektywności, która mówi otwartą prawdę nawet tam, gdzie ona wydaje się trochę niewygodną, ani o życiu, jakie z każdej karty pulsuje, ani o zmianie zapatrywań i poglądów, jakie ono wywołało w świecie, ani o głębokiej nauce, która na każdej stronie przebija i dziełu trwałą wartość daje.

Wi.

Das Leben der Wörter. *Kristoffer Nyrop.* Autorisierte Übersetzung aus dem Dänischen von *Robert Vogt.* Leipzig. Eduard Avenarius. 1903. (8-ka, str. 263).

W dziesięciu rozdziałach bada duński autor „życie słów", dokładniej mówiąc, proces przybierania przez wyrazy odmiennego znaczenia niż to, jakie leży w ich materyalnej treści, oraz oznaczania pewnych pojęć innemi wyrazami niż te, które pierwotnie i bezpośrednio im odpowiadają. Objawy tego procesu, dające się obserwować w każdej mowie, autor dzieli na pewne kategorye a pierwszą z nich

jest Euphemizm, czyli dążność osłaniania drażliwej treści pojęć. Raz dzieje się to ze względów przyzwoitości, to znowu ze względów estetycznych, lub w uczuciu szacunku, bojaźni, wstrętu i t. p. wobec treści danego pojęcia. Przykładów nie brak nikomu na poczekaniu, wypada więc tylko zwrócić — śladem autora — uwagę na fakt, że w obecnym stanie języków najważniejszym środkiem eufemizmu są wyrazy cudzoziemskie: wzdrygając się z jakichkolwiek powodów przed wymówieniem właściwego wyrazu z naszego języka, wolimy już użyć cudzoziemskiego (np. zamiast spodnie — *inexprimable;* złośliwy autor cytuje i takie przykłady: gazeta subwencyonowana zamiast poprostu: przekupiona; blagować zam. kłamać i t. p.). Drugim wybitnym środkiem jest opisywanie pojęć z pomocą kilku wyrazów, niejako okrążanie drażliwego punktu: np. dom zdrowia (właściwie raczej dom chorych), „wesołe córki Koryntu". Drugi rozdział zajmuje się t. zw. *voces mediae,* t. j. wyrazami o neutralnem znaczeniu, lecz z możliwością jego rozwoju w obu przeciwnych kierunkach: np. maniery — nie mieć manier — co za maniery! Języki romańskie mają takich słów daleko więcej, niż słowiańskie. W związku z sobą są następne dwa ustępy: pierwszy mówi o tem, jak pewne wyrazy z biegiem czasu zacieśniają zakres swego znaczenia (np. szkarłat oznacza pierwotnie każde sukno bez względu na barwę, biblia pierwotnie książkę wogóle), drugi bada odwrotny proces rozszerzania się zakresu znaczenia danego wyrazu (np. stół, pierwotnie tylko sprzęt, potem i w znaczeniu jedzenie, wikt; podobnie: język, wino = roślina i napój, i t. p.). Rozdział o metaforze należy oczywiście do najciekawszych w książce; nowem jest w nim odróżnienie „żywych metafor" od „martwych": tak np. nazywając kogoś „osłem", mam w tej chwili w myśli wyobrażenie osła jako zwierzęcia, natomiast mówiąc o woźnicy, siedzącym na „koźle", nie myślę już bynajmniej o danem zwierzęciu, które przecież tej metafory dostarczyło. Podobna do metafory jest katachresa, która stanowi treść szóstego rozdziału. Oto używa się wyrazu w znaczeniu przeciwnem jego zwykłej lub logicznej treści, lub łączy się z sobą wyrażenia, w swych znaczeniach sprzeczne z sobą, co w naszym języku częstszem jest od pierwszego wypadku, np. srebrny róg, chociaż róg powinien być przecież... rogowy; autor przytacza z pewnej niemieckiej krytyki koncertowej frazes o *halsbrechende Fingerübungen* pianisty. Bardzo zajmującym jest wywód o stałem łączeniu z sobą wyrazów na podstawie podobieństwa ich brzmienia, alliteracyi lub przypadkowego rymowania się ich końcówek. Obfituje w takie,

często wprost bezsensowe zwroty szczególnie język niemiecki, gdzie wrodzona żyłka alliteracyjna niemal codzień tworzy nowe płody (tak np. Bismarck użył raz zwrotu *von Pontius zu Pilatus* !) Reszta rozdziałów mówi o dalszych objawach „życia słów": o grze słów, „ludowej etymologii" i gwarze ludowej. Zamyka książkę starannie ułożony spis omówionych w niej wyrazów. Polski przekład dzieła p. Nyropa byłby bardzo pożądanym, szczególnie gdyby tłumacz (wzorem niemieckiego przekładu) uzupełnił przykłady z duńskiej mowy wyrażeniami z ojczystego języka.

Dr. J. Flach.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Editionum collegii historici Academiae Lit. Crac. Nr. 61. Collectanea ex archivo collegii historici tomus IX. Archiwum Komisyi historycznej. Tom IX. Kraków 1902.

Spis rzeczy tego tomu podaje następujące materyały: Sprawozdania z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich w latach 1896/7 i 1897/8. W materyałach do dziejów polskich w wiekach średnich opracował Władysław Abraham. — Materyały do dziejów pospolitego ruszenia z lat 1497 i 1509 zebrane w części przez ś. p. Adolfa Pawińskiego, uzupełnił i wydał dr. Stanisław Kutrzeba. — Wykaz urzędów i służby dworu królewskiego w Polsce z czasów Henryka Walezego, wydał dr. Stanisław Kutrzeba. Akta odnoszące się do stosunków handlowych Polski z Węgrami, głównie z archiwum koszyckiego z lat 1354—1505, wydał dr. Stanisław Kutrzeba. — Dyaryusz zjazdu protestantów w Radomiu 1591 r., wydał prof. Wincenty Zakrzewski.

Materyał tedy, jak widzimy, bardzo obfity.

Prof. Abraham opisuje poszukiwania ekspedycyi rzymskiej Akademii Umiejętności i zestawia dokumenty i akta, mające znaczenie dla dziejów Polski. Ma to być rodzaj pracy przedwstępnej przed wydawnictwem samych dokumentów, z którymi ekspedycya się zapoznała i które mają być ogłoszone w całości lub w wyciągu. Przedewszystkiem pracowała ekspedycya w archiwum. Prof. Abraham opisuje techniczne urządzenie archiwum, ułatwiające korzystanie z niego badaczom. Zestawia naprzód akta i dokumenty oryginalne, których jest niewiele, następnie obfite w historyczny materyał regesta, t. j. odpisy ważniejszych dokumentów wydanych przez kancelaryę papieską, i to regesta watykańskie, awinionskie, *archetypa epistularum Innocentii VI*, uzupełnienie regestów, obejmujące dokumenty treści poufniejszej, głównie polityczne, dalej *regesta supplicationum* lateraneńskie. Dalej badała ekspedycya archiwum skarbowe *(archivio di stato)*, wreszcie rękopisy biblioteki watykań-

skiej i innych bibliotek rzymskich jak również florenckiej. Dr. Kutrzeba ogłosił materyał, odnoszący się do dziejów pospolitego ruszenia, zebrany w części przez Pawińskiego. Część pierwsza obejmuje spis konfiskat, zarządzonych z powodu opuszczenia wyprawy mołdawskiej w r. 1497 przez obowiązanych do służby wojskowej.

Część druga zawiera akta procesów, które się toczyły w Krakowie z powodu niesłużenia w wyprawach z r. 1497 i 1509. Do tego samego odszą się akta pomieszczone w części trzeciej. Zbiór aktów poprzedza wydawca wstępem, objaśniającym znaczenie ogłoszonych materyałów; podaje charakterystykę oraz szczegóły do tej sprawy się odnoszące. Mianowicie podaje, kto do służby wojennej był obowiązany, w jakim zakresie, kto był wolny od tego obowiązku, kto mógł dać za siebie zastępcę. Wreszcie kreśli dr. Kutrzeba tok postępowania w procesie wytaczanym opieszałym w obowiązku służby wojennej.

Dalej ogłosił dr. Kutrzeba krótki traktacik łaciński, znaleziony w *Bibliothèque Nationale* w Paryżu, zawierający spis urzędników dworu polskiego króla Walezego.

Tego samego wydawcy dziełem jest ogłoszenie materyałów do stosunków handlowych Polski z Węgrami, znalezionych przezeń przy sposobności studyów nad historyą handlu polskiego w archiwum koszyckiem, w księgach radzieckich Krakowa, w archiwum Czchowa i w kopiarzu Biecza.

Kończy tom ten dyaryusz zjazdu protestantów w Radomiu z roku 1591 wydany przez prof. Zakrzewskiego.

Dr. A. B.

O stylu urzędowym i terminologii prawniczej. Napisał *Dr. Julian Morelowski.* Kraków. 1903.

W odczycie wygłoszonym w krakowskiem Tow. prawniczem w dniu 20 marca 1903, którego odbitkę mamy właśnie przed sobą, poruszył p. Dr. Morelowski kwestyę bardzo aktualną, choć już nie nową, kwestyę czystości języka i stylu urzędowego, oraz polskiego wyrazownictwa prawniczego. Opierając się na własnych spostrzeżeniach w ciągu swej długoletnie działalności urzędowej, a nadto na studyach autorów i dzieł tą kwestyą się zajmujących, przychodzi autor do wyniku, że język, jakim się w urzędach posługują, jest w przeważnej części niepoprawny, zwroty używane są w przeważnej części żywcem brane z niemieckiego, styl zawiły i niezręczny. Jako środek dla zaradzenia złemu podaje autor dokładniejszą i obszerniejszą naukę języka polskiego w szkołach, skąd młodzież powinna wynieść gruntowną znajomość i poczucie poprawności języka. Nadto zwraca się autor do Akademii Umiejętności z wnioskiem, by jej komisya prawnicza, przybrawszy i praktycznych prawników do współudziału, zajęła się wydaniem prawniczego słownika polskiego. *B.*

Wydawnictwa Akademii Umiejętności: **Obraz dawnego powiatu kamienieckiego.** *M. Gozdawa.*

Jedna to z nielicznych dotąd w piśmiennictwie naszem prac, opisujących pojedyncze części dawnej Polski. Autor opisuje pojedyncze wsi powiatu kamienieckiego na Litwie, podając, o ile zdołał zbadać, szczegóły o ich właściwościach, względnie jak przy opisie starostwa kamienieckiego, dzierżawcach. *A.*

Reprodukcya w nauczaniu. Napisał *Józef Dobrowolski.* Kraków. 1903.

Nabywanie wszelkich wiadomości szczególnie przez umysły młodociane opierać się winno na szerokiej podstawie reprodukcyi wyobrażeń. To zasadnicza myśl autora. Reprodukcyę ułatwiają: *a)* jasność wyobrażeń podawanych umysłowi, *b)* powtarzanie, *c)* pomoc stosowna ze strony nauczyciela, *d)* kojarzenie wyobrażeń, *e)* żywość nauki, *f)* równowaga umysłu.

To krótkie streszczenie uwag autora o sposobach, w jakichby można naukę podawać uczniom jak najłatwiej, bez zbytniego przeciążania i pozostawiania przeważnej jej części pilności domowej. Ale autorowi chodzi nadto o to, by wiadomości tą drogą nabyte znalazły trwałe miejsce w umyśle ucznia, nie były li tylko przelotnem, łatwo się zacierającem wrażeniem. A nauka oparta na tych 6 sposobach potrafi, zdaniem autora, łatwo uchwycić się umysłu ucznia, i w nim się utrwalić.

K.

Kościół i klasztor po-dominikański w Lublinie spisał i ułożył *O. S.* w r. 1901. (Wydawnictwo ks. J. Kłopotowskiego, prof. seminaryum w Lublinie). Warszawa 1902. (8-ka, str. 111).
Cmentarz parafialny rzymsko-katolicki w Lublinie spisał i ułożył *O. S.* Warszawa 1902. (8-ka, str. 80).

Autor, kryjący się pod kryptonimem O. S., obdarzył już nas dawniej kilku ciekawymi przyczynkami, oświetlającymi dzieje Lublina. I w te dwie omawiane prace włożył wiele trudów i iście benedyktyńskiej cierpliwości. Przedewszystkiem trzeba podnieść, że w opisie kościoła nie ograniczał się wcale tem, co dotąd było nam wiadomem, lecz zaglądnął do aktów i dokumentów, z których niejeden nowy szczegół przybył do dawnych. W broszurze tej określone zostały po krótce dzieje kościoła podominikańskiego, opisane dokładnie wewnętrzne szczegóły a więc: ołtarze, kaplice, chór, malowidła, portrety, relikwie, grobowce, pomniki, skarbiec i t. p. Książeczkę tę kończy spis tych OO. Dominikanów, którzy zasłynęli z nauki lub dobroczynności.

Druga broszura zajmuje się opisem cmentarza, założonego w r. 1816, na którym pogrzebano dotąd 46.000 ludzi. Z pomiędzy szczegółów trzeba wspomnieć o spisie zasłużonych osób, spoczywających na cmentarzu lubelskim, oraz opisie 1242 pomników i planie cmentarza.

K. I.

Poszukiwania archeologiczne w XIX w. Z cyklu odczytów „Jedno stulecie", urządzonych staraniem Czytelni katolickiej we Lwowie. *Dr. Wincenty Śmiałek.* Lwów 1902. (8-ka, str. 33).

Jest to rzecz ściśle popularyzatorska, napisana jasno i przystępnie. Po krótkim wstępie, obejmującym badania przedhistoryczne, omawia autor hieroglify egipskie, pismo klinowe Assyryjczyków, kulturę grecką, odkrycia Schliemanna, rozkopy w Małej Azyi oraz na wyspach leżących w pobliżu Grecyi, wreszcie w samej Grecyi. W dalszym ciągu przechodzi do badań rzymskich, przyczem niemało mówi o katakombach i o rozwoju archeologii chrześcijańskiej, której gorliwym adoratorem był Ojciec św. Pius IX.

Co się tyczy tej pracy nie mielibyśmy jej nic do zarzucenia oprócz tego, że tytuł jej zapowiada znacznie więcej, niż daje rozprawa. Ani słowa bowiem tu nie znajdziemy o archeologii innej, jak tylko staro-

żytnej, ani słowa o archeologii francuskiej, niemieckiej lub słowiańskiej. Takie zacieśnienie ram tematu powinno było znaleźć uwzględnienie w tytule samej pracy.

W. Z.

Kobieta i wiedza. *Stefan Lamy.* Autoryzowane tłumaczenie z 2-go wydania francuskiego przez *Elżbietę Mieroszewską.* Spółka Wydawnicza polska w Krakowie. 1903. (8-ka, str. 39).

Bardzo dobrze się stało, że praca Lamy'ego ukazało się w polskim przekładzie. Stanie ona w poprzek najróżnorodniejszym przesądom, jakie ciągle jeszcze u nas panują w kwestyi kobiecej, a raczej w sprawie wykształcenia kobiet Wszelkie możliwe zarzuty, jakie przeciwnicy rozumnej emancypacyi kobiet zazwyczaj stawiają, znalazły tutaj wybornego a wymownego obrońcę. Rozpatruje tedy autor szczegółowo zarzut taki np., jak ten, że nauka przyprawia kobiety o próżność, lub ten, że wznieca w nich pychę, że sprowadza niewypełnianie obowiązków, albo nakoniec, że wiedza jest przyczyną upadku wiary u kobiet. Autor poddał argumenty przeciwników kwestyi kobiecej krytyce łagodnej lecz przekonywującej i osądził rzecz całą ze stanowiska ściśle katolickiego. W obszernym wywodzie przedstawił jasno, że wiedza tylko korzyść może przynieść, naturalnie wiedza prawdziwa, nie stosowana do pewnych z góry upatrzonych przesłanek. „Kobiety francuskie uczcie się!" — woła pod koniec swej pracy.

K. S.

Die fahrenden Leute in der deutschen Vergangenheit. *Theodor Hampe.* Leipzig. 1902. E. Diederichs. (Str. 127).

Jako dziesiąty tom wydawanych przez znanego badacza dziejów kultury Jerzego Steinhausena zbioru *Monographien zur deutschen Kulturgeschichte*, wyszła książka o wszelakiego rodzaju „wędrownych artystach" od zamierzchłych czasów pogańskich Germanów aż do wieku XVIII. Widzi się tu, jak do narodowych śpiewaków, poważnych i poważanych, wciskają się z pogańskiej Romy kuglarze, indywidua często podejrzane, lecz dobrze umiejące zyskiwać popularność szerokich mas. Chrześcijaństwo usuwając oczywiście pozostałości pogaństwa zepchnęło również tych „wędrownych ludzi". W wiekach średnich stan ten tem szersze obejmuje kręgi, im niżej spada pod względem społecznym i moralnym, a ciekawym wynikiem historycznych badań jest wykazanie niemal wszystkich rodzajów dzisiejszego kuglarstwa i „artystycznego" włóczęgostwa już w owych czasach. Dwa razy tylko poziom jest nieco wyższy: u t. zw. „vagantów", śpiewających nieprzyzwoite nieraz, lecz często zgrabne łacińskie piosenki i u wędrownych śpiewaków ludowych. W ustępie o czasie przejściowym z średniowiecza do nowożytnej epoki, autor zajmuje się szczególnie przedstawieniem stosunków świata żebraków i cyganów, w dalszym zaś ciągu daje ciekawe szczegóły o rabusiach przydrożnych i wędrownych komedyantach. Materyał illustracyjny jest nader obfity i dzięki autentyczności rycin niezmiernie ciekawy.

Dr. J. F.

Verrohung in der Theatherkritik. Zeitgemässe Betrachtungen von *Hermann Sudermann.* Berlin und Stuttgart. 1902. J. G. Cotta'sche Buchhandlung. str. 56.

Jestto przedruk pięciu felietonów Sudermanna, które drukowane z koń-

cem roku 1902 w *Berliner Tageblatt*, wywołały niebywałą wrzawę. Ich źródłem jest niezaprzeczenie irytacya autora, który niegdyś po berlińskiej premierze „Honoru“ obnoszony po wszystkich scenach i dziennikach jako genialny nowator, z dalszemi dramatami mniej doznawał szczęścia, potem coraz więcej nieszczęścia a w ostatnich czasach niewątpliwie niesprawiedliwie stał się przedmiotem pośmiewiska ze strony wielu krytyków, w ten sposób mszczących się za dawną swą omyłkę. Więc źródło tego oskarżenia o „zdziczenie“ nie jest zupełnie bezinteresownem i Sudermann pewnie lepiej zrobiłby albo otwarcie przyznając, że osobiste załatwia rachunki (bo sam „Fall Sudermann“ jest dostatecznym dowodem „zdziczenia“ krytyki niemieckiej) albo zręcznie usuwając w oczach czytelnika ten osobisty motyw zupełnie z planu i nic o sobie, o losach swoich dramatów nie wspominając. Tymczasem Sudermann waha się pomiędzy jednem a drugiem stanowiskiem a przez to na nowe wystawia się pociski. Niemniej jednak dowody, jakie przedstawia, okazują istotne „zdziczenie“ teatralnej krytyki w Niemczech, wobec którego psoty i grymasy naszej — prawda, że za to w teoretycznem wykształceniu przeciętnie niższej — wydają się niewinną zabawką. Choćby nawet te cytaty, jakie Sudermann z krytyk teatralnych podaje, były jedynie nielicznemi plamami na czystej całości, to sam fakt, że takie brudne słowa, takie paszkwile na osobę autora dramatu, nawet na cześć jego krewnych najbliższych, niewinnych przecież, że ten dramat jest lichy, padają, sam ten fakt dowodzi słuszności zasadniczej tezy Sudermanna. Nie możemy wchodzić tu oczywiście w szczegóły; krótko zaznaczymy tylko. że w pierwszym rzędzie autor piętnuje Alfreda Kerra, recenzenta miesięcznika *Neue deutsche Rundschau* i dziennika *Der Tag* oraz Maxymiliana Hardena, sławnego — czy też osławionego? — redaktora miesięcznika *Zukunft;* obaj naturalnie odpowiedzieli niemniej gwałtownie a wogóle w całej prasie niemieckiej przez kilka miesięcy wrzało. Przyznając na ogół słuszność Sudermannowi, musimy w jego skargach nieraz widzieć niezrozumiały gniew, nerwowość n. p. gdy wyrażenie „pan Fulda, pan Hauptmann“ piętnuje jako wybryk lekceważenia poety. *J. F.*

Lehrbuch für den Unterricht in der Naturbeschreibung bearbeitet von *Dr. M. Krass* und *Dr. H. Landois.* 3 Theile: I. Theil Zoologie, IV. Auflage (352+XIV) 1902, II. Theil Botanik, V. Auflage (320+XIV) 1900; III. Theil Mineralogie, II. Auflage (131+XII) 1899. Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung.

Sporu nad wyższością metody austryackiej czy pruskiej w zakresie nauk przyrodniczych po gimnazyach i szkołach realnych ze wszystkiem nie ukończono; my go też rozstrzygać nie myślimy, ani nie jesteśmy w stanie. Aby jednak pokazać interesowanym kołom jak wygląda metoda pruska wprowadzona w praktykę, zwracamy tu ich uwagę na podręcznik Krassa i Landoisa, który w Niemczech uchodzi za jedno z lepiej pojętych i zrozumianych dzieł tego kierunku. Podręcznik ten jest ułożony według znanych nowych planów naukowych, które wprowadził w życie dekret pruskiego ministeryum oświaty w dniu 6 stycznia 1892 r. Plany za cel, do którego na-

uczyciele zdążać powinni, stawiają zaznajomienie ucznia z najważniejszemi zjawiskami świata zwierzęcego, roślinnego i mineralnego, oraz znajomość budowy ciała ludzkiego i przepisów, dotyczących starania się o zdrowie. Do tego celu należy zmierzać drogą obserwacyi, opisu i porównywania istot pokrewnych ze sobą z uwzględnieniem danych morfologicznych, anatomicznych i fizyologicznych, jakoteż z zastosowaniem rysunków. Nacisk należy kłaść przedewszystkiem na gruntownem przerobieniu pewnego materyału, mniej na jego rozmiarach i zakresie.

Opierając się na tym przepisie Krass i Landois opisują w Zoologii na pierwszem miejscu człowieka *(homo sapiens)*, następnie przechodzą do świata zwierzęcego. Poczynając od Chordata (z poddziałami: *mammalia, aves, reptilia, amphibia, pisces)*, przechodzą z kolei do Malacozoa (z poddziałami: *cephalophora i acephala)*, Arthropoda (z poddziałami: *insecta, myriopoda, arachnoidea, crustacea)*, Echinodermata (z poddziałami: *asteroidea, echinoidea, holothurioidea, crinoidea)*, Vermes (z poddziałami: *annulata, brachiopoda, bryozoa, nemathelmintes, platyhelmintes, rotatoria);* Coelenterata (z poddziałami: *polypi, medusae, spongiae);* wreszcie przychodzą Protozoa (z podziałami: *infusoria* i *rhizopoda).* Oto ogólny plan zoologii, zresztą prawie zupełnie zgodny z naszymi podręcznikami. — Nieco różnym jest porządek Botaniki, której I część rozpoczyna od Embryophyta [z poddziałami: *angiospermae* (a tu naprzód *dicotyledones*, a potem *monocotyledones)* i *gymnospermae]* a kończy na Sporophyta (z poddziałami: *cormophyta, thecophyta, tallophyta).* Druga cześć botaniki omawia naprzód podział roślin na systemy, potem geografię, anatomię i fizyologię roślin. W ostatnim rozdziale spotykamy krótki a przejrzysty pogląd na naukowe pojęcia botaniczne. Podręcznik Mineralogii w głównych zarysach taki sam jak i austryackie; a więc naprzód mowa o krystalografii i pierwiastkach (metaloidy i metale szlachetne i nieszlachetne), następnie o ciałach złożonych—wreszcie o ciałach mineralnych organicznego pochodzenia. Mineralogię kończą plany siatek krystalicznych i przegląd ważniejszych pojęć w mineralogii zachodzących.—Tak przedstawia się w najogólniejszych zarysach szkielet budowy całego podręcznika. Opracowanie (trzeba to podnieść), czyni zadość żądaniom pedagogicznym, jest przystępne, jasne, chociaż gdzieniegdzie zbyt suche i pobieżne. Ryciny (w liczbie 655) wogóle wzorowe, niekiedy tylko szkicowane, aby mogły służyć uczniom do ręcznych ćwiczeń rysunkowych, nakazanych programem. Wogóle przez całe dzieło przewija się tendencya, aby stosunkowo nie wiele podawać. ale tylko to, co się może przydać uczniowi w późniejszem życiu.

W. S.

Leitfaden der mathematischen und physikalischen Geographie für Mittelschulen und Lehrerbildungs-Anstalten von *Dr. Michael Geistbeck.* XXIII Auflage (168+VIII) Freiburg im Breisgau, Herdersche Verlagsbandlung. 1902.

Mało który podręcznik naukowy doczekał się tylu wydań, co *Leitfaden* Geistbecka. Wydany po raz pierwszy 1879 r., już w r. 1892 ukazał się w dwunastem, a w r. 1896 w siedmnastem wydaniu. Obecnie mam przed sobą 23-cie wydanie tego dziełka. Czemu zawdzięcza ono tak wielką

popularność i sławę wśród prawdziwej, rzecz można, powodzi tego rodzaju książek i książeczek? — Niezawodnie pewną część powodzenia należy przypisać ogólnemu zainteresowaniu, jakie w naszych czasach kwestye matematyczno-astronomiczne i astrofizyczne obudziły w Niemczech, gdzie za przykładem Ameryki nauki przyrodnicze coraz więcej znajdują poklasku i znaczenia. Ale najważniejszym czynnikiem i walną przyczyną, to bezsprzecznie wielka wartość praktyczna tego podręcznika. Oto na 150 stronach porusza autor tyle różnorodnych kwestyi i z taką jasnością i krótkością, z takim doborem dowodowego materyału i wyborem treści, że istotnie zdumiewać się można. Autor dzieli dziełko na dwie części: geografię matematyczną i fizyczną. W pierwszej omawia pozorne i rzeczywiste ruchy ciał niebieskich, jakoteż wykłada topografię nieba. W drugiej części z kolei opisuje ląd, wodę, atmosferę, świat roślinny, zwierzęcy i człowieczy. W opracowaniu tej nad wyraz obfitej treści porusza autor wszelkie ważniejsze zjawiska, bada ich przyczyny i prawa, nie pomija przytem nowszych wynalazków lub odkryć, a wartości liczbowe są istotnie wzięte z poważnych i nowych dzieł nie zaś (jak często bywa) ze starych i podrzędnych. Liczne dodatki mówią nam o kalendarzu, o oryentowaniu się na niebie, o kartach metereologicznych, magnetyzmie ziemskim i świetle polarnem. Wartości praktycznej dodają tej książeczce rozliczne zadania, a przedewszystkiem dość obszerny wykaz najnowszej literatury z dziedziny matematycznej i fizycznej geografii i środków naukowych, jak: atlasów podręcznych i ściennych, oraz aparatów i modeli. Przeszło 80 doborowych rycin służy do objaśnienia tekstu. Dla swej krótkości, jasności i praktyczności dziełko to może służyć nietylko za podręcznik przygotowawczy dla profesorów gimnazyalnych, ale nawet dla uczniów, szukających bliższych a pewnych objaśnień tego, o czem (niestety tak mało i tak rzadko) słyszą w naszych szkołach.

W. S.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

OCZEKIWANA ENCYKLIKA PIUSA X.

Pius X nie spieszył się z encykliką. Świat przeczuwał, że w niej wyczyta hasło bardzo odmienne od nauk Leona XIII. W Rzymie samym niepokój rósł do tego stopnia, że z gorączkowego nastroju ciekawych umysłów skorzystały wolnomyślne dzienniki: ułożyły we wrześniu, zgodnie ze swoimi poglądami na Kościół, list podpisany imieniem nowego papieża, i zaraz puszczony w obieg po Rzymie. Nim *Osservatore Romano* przestrzegło łatwowiernych przed *indegna mistificazione,* już niejeden katolik zdumiony, niejeden ze smutkiem czytał wolnomyślne zasady, jakoby głoszone przez Głowę Kościoła

To dowiodło, jak niecierpliwie Rzym oczekuje encykliki, ale nie skłoniło Piusa X do pośpiechu. A dzień prawie każdy przynosił światu nowe szczegóły, które potwierdzały, że na stolicę rzymską przyszedł biskup świadomy, czego chce, i zdolny sam sobie drogę torować. Jeden po drugim przepis etykiety znikał z Watykanu na rozkaz Piusa X; przekazywane z pokolenia na pokolenie zwyczaje ustępowały przed większą swobodą i świeżą prostotą, jaką lubią głębsze umysły. A wszystkie te zmiany następowały po sobie spokojnie, rozkazy o nich dawane nie usuwały łagodnegn uśmiechu z ust Piusa X, nie ochładzały

w Rzymianach serca do ich biskupa, o którym rozpowiadają przeróżne przygody, pełne miłego wdzięku prostoty.

I na dalsze narody zlatywała wieść niejedna o nowym papieżu. I do nas dochodził szept o nim, jeszcze tajemniczy i niezdolny wiele przepowiedzieć wyraźnie o przyszłych jego rządach, ale we wielu ustach zgodny co do tej myśli, że opatrznościowy mąż objął ster Kościoła; i u nas powstawały różne domysły, jak też i o czem Pius X przemówi.

Oczekiwana jego encyklika wkońcu nadeszła do dzienników; pierwsze jej przekłady wypadały wprost nieszczęśliwie: była to już inna łacina, niż do której przywykliśmy: może dlatego ucierpiała znacznie w przekładach i wypadła prawie mdło. Czytaliśmy uwagę, że już to nie Leon przemawia, nie ten światły myśliciel, który zwykle zaspakajał potrzeby filozoficznych umysłów.

Ale po przekładach zaczęła do nas przychodzić łacińska encyklika w cudzoziemskich pismach. Czytana w *Civiltà* wraz z włoskim tekstem, podobno pierwotnym, pokazuje, że Piusa X nie łatwo stawiać wyżej albo niżej Leona XIII pod względem głębokiego umysłu. Ani może nie trzeba wcale ich obu ze sobą zestawiać. Dwa to umysły bardzo wybitne, ale bardzo mało ze sobą pokrewne; tak przynajmniej wnosić wypada z encykliki.

GROŹNY OPIS ŚWIATA W ENCYKLICE PIUSA X.

Uchodzą czasem ludzie za odważnych, bo nie zaznali niebezpieczeństw; drudzy za odważnych uchodzą dlatego, że boją się spojrzeć na niebezpieczeństwo: zbywają każdą o niem przestrogę odpowiedzią, że jakoś to będzie, i dalej idą z dobrą otuchą, choć idą po samym skrawku... po ścianie przepaści. Bywają także ludzie śmielsi niż miliony innych, i ci wyznają, że struchleli na widok przepaści, nad którą wiszą na nitce; ci mieli odwagę zmierzyć okiem niebezpieczeństwo; lęku doznali, bo męstwa dowiedli.

Pius X z obawą spojrzał na nowe swoje stanowisko: wyznaje w encyklice, że trwogę przedewszystkiem w nim budzi opłakany obecnie stan rodu ludzkiego; i kilku silnymi rzutami pióra cieniuje obraz, zdolny nasunąć myśli poważne. Zapytuje

nas, czy nie widzimy, że jak nigdy w ubiegłych wiekach, tak obecnie choroba najcięższa, wnętrzna trawi ustrój ludzi społeczny? że ta choroba codzień groźniejsza pożera zupełnie społeczeństwo i pędzi je na zgubę? A tą chorobą: to odstępstwo od Boga i zerwane z Nim stosunki... Ktoby o hasło zapytał papieża, jakie wyraziłoby jego myśl przewodnią: to jedno od niego zawsze usłyszy: naprawić wszystko w Chrystusie!... Niegodziwa wojna obecnie, ledwo nie wszędzie, wybuchła, i wciąż się toczy, wypowiedziana Bogu. Jego przeciwnicy ledwo że nie wszędzie podnoszą okrzyk: Idź precz od nas. Więc dziś takich ludzi najwięcej, co tłumią cześć należną Bogu i bez względu żadnego na Jego prawa wiodą żywot swój rodzinny i obywatelski, owszem: wszelkich wysiłków, wszelkich zabiegów używają, aby zatrzeć bez śladu pamięć o Bogu i pojęcie o Nim. Na to wszystko kto spogląda, ten słusznie lęka się o ten stan umysłów przewrotny, czy to nie pierwsze kroki, nie wstęp do nieszczęść, których oczekiwać mamy u końca czasów, i czy już nie przebywa na tej ziemi syn zatracenia, o którym Apostoł mówi. Bo cóż za odwaga, co za szał zewsząd prześladuje pobożną wiarę, napada na prawdę objawioną, usiłuje zupełnie wykorzenić, wygładzić wszelki stosunek człowieka z Bóstwem? Natomiast — co właśnie według słów tegoż Apostoła stanowi znamię właściwe Antychrysta — sam człowiek w zuchwalstwie najwyższem na miejsce Boga wtargnął i wynosi się nad to wszystko, co zowią Bogiem do tego stopnia, że, chociaż nie zdoła całkowicie w sobie stłumić pojęcia o Bogu, nie zważa przecież na ogrom Jego potęgi, sobie samemu poświęca świat ten widzialny na świątynię, w której odbierałby cześć od wielbicieli swoich. Usiędzie w Kościele Bożym, okazując się, jakoby był Bogiem.

NIEBEZPIECZEŃSTWA NIEZAŻEGNA STRONNICTWO PORZĄDKU BEZ POWROTU DO BOGA.

Czy wśród tej walki przeciw Bogu żaden obowiązek na nas nie ciąży? Czy nie powinniśmy czynem i słowem jawnie przed światem wyznawać i bronić, że przedewszystkiem Bóg włada ludźmi i światem, a wszystko powinno szanować jego prawa, rozkazy, powagę?

Do tego wzywa nas nie tylko obowiązek wrodzony, ale także wzgląd na wspólny pożytek rodu naszego.

Ci właśnie, co sławią postęp człowieka, ci właśnie najwięcej i tak okrutnie krew jedni drugich przelewają, że doprowadzili do walki prawie wszystkich przeciw każdemu. Niedorzecznie szuka pokoju, kto Boga odrzucił. Wiadomo wprawdzie, że nie mało tych jest, co spragnieni pokoju, ciszy i porządku, tworzą związki i stronnictwa, zwane właśnie stronnictwami porządku. Ależ daremne nadzieje i trudy! Stronnictwo porządku, zdolne istotnie wprowadzić ład w zamęt stosunków, to jedno tylko stronnictwo, które stoi przy Bogu. Popierać je trzeba, do niego jak można najwięcej przyciągać, jeżeli miłujemy pokój. Nawrócić ludzi do Boga, znaczy naprawić wszystko w Chrystusie... Aby dopiąć tego, jak zamierzamy, nie można szczędzić środków i trudów, byle wykorzenić do szczętu bezprawie owo niezmierne i wstrętne, właściwe naszemu wiekowi, to mianowicie, że człowiek na miejsce Boga wtargnął; potem trzeba przywracać równowagę chrześcijańskiego ustroju i obyczaju w różnych warstwach społecznych.

DUCHOWNY STAN MA INNYM PRZEWODNICZYĆ W DRODZE Z POWROTEM DO BOGA.

Aby we wszystkich odtworzyć Chrystusa, trzeba zacząć od tych, którzy Chrystusa w innych mają z obowiązku stanu odtwarzać. Ksiądz dostał nazwę drugiego Chrystusa nie tylko dla uczestnictwa w Jego władzy, ale także dla naśladownictwa w czynach, aby przez nie niósł na sobie wyrażony obraz Chrystusa. Zatem wychowawcy duchowieństwa powinni z wszelką troską zaprawiać je do cnoty; przed tym obowiązkiem wszelkie inne sprawy niech ustąpią. Papież zapowiada, że czuwać będzie jak najpilniej, żeby owa jakaś nowa a zwodnicza nauka, która nie tchnie Chrystusem, nie usidlała duchowieństwa błędami racyonalizmu, chociażby tylko częściowego. Przez to Pius X — jak sam ostrzega — jeszcze nie ujmuje pochwał księżom zajętym nauką pożyteczną, aby lepiej przygotowani bronili prawdy i odpierali oszczerstwa; jednak nie może zataić, owszem, najjawniej Pius X wyznaje, że przekłada i przekładać zawsze

będzie tych, którzy wprawdzie nie zaniedbują bynajmniej nauki kościelnej i świeckiej, przecie pilnują z blizka pożytku dusz przy posłudze właściwej księdzu, gorliwemu o chwałę Bożą. Dalej w te słowa mówi Papież: „Mam wielki smutek y ustawicznie boleie serce moie, kiedy widzę, że i naszych czasów dotyczą skargi Jeremiasza: Dzieci prosiły chleba, a nie było, ktoby im ułamał. Bo nie brak między duchowieństwem tych, którzy z wrodzonego popędu przykładają sił do prac pożytecznych bardziej na pozór, aniżeli w istocie; a przecie nie tylu naliczymy naśladowców Chrystusa, przejętych słowami proroka: Duch Pański mię pomazał, abym opowiadał Ewangelię ubogim...

„Teraz zaś aby nauczycielski urząd i zapał wydał owoce spodziewane, to całkowicie niech w pamięci tkwi, że nic niema potężniejszego nad miłość. Bo nie we wzruszeniu Pan. Opaczna to nadzieja, że gorliwość gorżka pociągnie dusze do Boga; owszem, niekiedy szkodzą więcej niż pomagają cierpkie nagany błędu, ostre wymówki za winy".

CAŁY KOŚCIÓŁ MA NAWRACAĆ NIEWIERNYCH WZOREM CNÓT.

Przewodniczyć, uczyć, rządzić nie dano w Kościele nikomu, tylko tym, których Duch święty postanowił, aby rządzili Kościołem. Dla dobra wiary wierni katolicy tworzą związki, zatwierdzone pochwałą i błogosławieństwem poprzednich papieży. Pius X chce, żeby związki tego rodzaju najprzód i głównie ustalały członków w żywocie chrześcijańskim. Oczywiście mało zależy na rozprawach wielu toczonych z dowcipem, na krasomowczych wykładach praw i obowiązków, gdzie do czynów daleko rozprawom i wykładom. Czasy nasze wymagają żywota czynnego, ale całkowicie czynnego przez to, że wypełnia święcie i dokładnie obowiązki nałożone prawem Boskiem i przepisem kościelnym, że swobodnie i jawnie wyznaje wiarę, że spełnia wszelkie rodzaje posług miłości, a nie szuka siebie i ziemskich pożytków. W tym rodzaju znamienite wzory tylu bojowników Chrystusowych więcej niż słowa i wyszukane rozprawy dokażą, wstrząsną dusze i porwą. Zaiste, jeżeli po miastach, jeżeli po wszystkich wsiach prawa

Boskie znajdą wiernych wykonawców, święte tajemnice czcicieli, stróżów wszystko, co stanowi żywot chrześcijański: niewiele zabraknie do naprawy wszystkiego w Chrystusie.

Ani niech to nie uchodzi za drogę do dóbr tylko niebieskich: wyjdzie to łatwiej, niż cobądź, na pożytek doczesny także dla państw. Bo za naprawą wszystkiego w Chrystusie możni i majętni sprawiedliwie zarazem i z miłością podadzą rękę biedniejszym, a ci spokojnie i cierpliwie zniosą kłopoty przy szczuplejszym majątku; obywatele nie za głosem żądz, ale za głosem ustaw pójdą; władców szanować i kochać będzie uchodziło za święty obowiązek.

PIUS X W ZWIĄZKU ZE SWOIMI POPRZEDNIKAMI.

Powyższa treść — myśl przewodnia — encykliki oczywiście nie przepowiedziała nam wszystkiego, co w dalszym ciągu rządy Piusa X przyniosą Kościołowi, ale już odsłania nam, w którą stronę droga nas czeka. Widzimy, że dzieje Kościoła ze śmiercią Leona XIII doprowadziły do końca swój rozdział poprzedni i zaczynają nowy. Ale wspólny wątek tych rozdziałów już jasno przeziera, odkąd nowoczesne państwo i wyzwolona filozofia wstrząsnęły przed stu latami łodzią Piotrową. Po dziesiątkach lat zawieruchy siadł u steru Grzegorz XVI: widział, co w Kościele najpilniej wołało w części o zmianę, w części o naprawę. Nowy ustrój świata wymagał w zewnętrznym ustroju Kościoła siły odporniejszej przeciw prądom nowym a silnym: niejedno nadwątlone, niejedno mniej karne a zbyt skłonne do dróg nieutartych potrzebowało wrócić w tory bezpieczne, wejść w dawne fugi. Grzegorz XVI pracował nad naprawą tych stosunków, usiłował nadać im zwrot jak najzgodniejszy z prawem kanonicznem.

Pius IX odbijał od poprzednika, jak umysł młody od powagi starca. Zapałem niezwykłym obdarzony aż do lat sędziwych, rozlewał dokoła siebie ciepło i chwytał serca gorące. Stworzył przy sobie ognisko, do którego coraz liczniej ściągały doborowe dusze z całego świata, wzmacniał węzły między papiestwem a biskupami, ocucał w całych krajach wiarę z ospalstwa. Naprawił spójnię wewnętrzną Kościoła i jego sławę u ludzi czynu.

Leon XIII wyprowadził Kościół z uczelni dogmatów i ze zakrystyi na pole wiary filozoficznej i nauk przyrodniczych, a zwłaszcza na pole pracy społecznej. Naprawił sławę Kościoła u ludzi wiedzy i zasłużył u rozumnych innowierców wszelkiego wyznania na cześć, nie objawianą od wieków żadnemu papieżowi. Jeden z protestantów powiedział: Gdyby nie był już Leon papież I dostał nazwy Wielkiego, Wielkim trzebaby nazwać Leona XIII.

Każdy z tych papieży zapisał swojemi rządami piękny rozdział w księdze dziejów; jeden po drugim sięgał coraz głębiej w potrzeby Kościoła wobec jego walk nowoczesnych; każdy uzupełniał pracę poprzedników.

Pius X spojrzał przed siebie z trwogą, bo miał odwagę nie odwracać oczu od widoku niebezpieczeństw. Dojrzał je, bo wzrok zapuścił głęboko, śmiało. Niezaspokojony wałem ochronnym z zewnątrz, nie poprzestał na prawidłowo ułożonych stosunkach urzędowych w łonie Kościoła, na widoku jego tysięcy bojowników, rozsypanych po polach pracy kapłańskiej, bądź bliższej dusz, bądź dalszej od nich. Pius X dostrzegł niebezpieczeństwo straszne, przeciw któremu Kościół musi wytężyć cały swój zapas mocy, wszelkie zasoby sił, które otrzymał przez Chrystusa od Boga.

Bóg potęgę swoją objawia przez świat, ale przez świat rozumiany tak, jak księgę jego zjawisk i dziejów umie czytać mędrzec-chrześcijanin. Ten swoją naukę choćby wypowiadał słowem jak najjaśniej, jeszcze jaśniej ją wykłada żywotem: w czynach okaże nadprzyrodzoną moc zwycięstw nad sobą, w sobie odkryje potęgę Bożą i dowiedzie, że w prawdę wierzy.

Kościół wyjawia, że w sobie przechowuje prawdę, jako potęgę nadziemską, nieśmiertelną, kiedy ciągle wystawia żywych świętych, których hoduje i wzmacnia pokarmem sił nadprzyrodzonych.

Takich obrońców, chrześcijan świętych trzeba Piusowi X, żeby mógł na czele Kościoła sprostać niebezpieczeństwom dzisiejszym. Im mniej znajdzie takich obrońców sprawa Boża, tem później odniesie zwycięstwo, bo jej wrogom przybędzie

dzielny sprzymierzeniec: domowy wróg Kościoła, niebezpieczeństwo pracy bez miłości, wysiłku nie wywołanego duchem Chrystusa, tylko podjętego z przyrodzonych pobudek, nakładu sił umysłowych, wymowy i trudu naukowego, z którego dla Kościoła owoc nie zejdzie, póki tego ziarna nie ożywi rosa przykładu odpowiedniego do słów. Ostatnie lata Leona XIII odsłaniały niektórym oczom to niebezpieczeństwo. Bywały okolice, gdzie duchowieństwo szło ochotnie na pole społeczne, ale nie zawsze tędy, którędy ich prowadził program Leona XIII. Inni szli raźnym krokiem do pracy naukowej i na niem wyprzedzali wielu, ale na duszpasterskiem polu nie okazywali dość serca, zdolnego przy duchownej posłudze po kapłańsku zapominać o narodowych przeciwieństwach. Zaspokojone już inne potrzeby Kościoła pozwoliły teraz z kolei czekać pasterza, któryby wewnątrz w głębi serc dbał o naprawę wszystkiego w Chrystusie. Pius X w swojej encyklice przemówił nie do świata postronnego, nawet nie tyle do całego Kościoła, ile do najwyższych warstw duchowieństwa i wezwał je do swego boku na pomoc w swoim najwłaściwszym urzędzie naczelnego pasterza dusz.

Ks. K. Czaykowski.

Kronika ekonomiczna.

Dwudziesty rok istnienia Towarzystwa Kółek rolniczych. — Dziesięciolecie Związku handlowego Kółek rolniczych w Krakowie. — Spółki dla oszczędności i pożyczek w r. 1902. — Centralny związek dla przemysłu fabrycznego we Lwowie. — Walka Przeworska z kartelem. — Bilans handlowy Austro-Węgier w r. 1903. — Zwrot w produkcyi nafty galicyjskiej.

Kończąc przed kilku miesiącami ostatnią kronikę ekonomiczną, streściłem po krótce sprawozdania Towarzystw rolniczych z czynności za rok 1902, obok nich istnieją jeszcze inne związki zawodowe rolnicze: mam tu na myśli Spółki oszczędności i pożyczek oraz Kółka rolnicze. Obie te instytucye ogłosiły niedawno sprawozdania z czynności za rok 1902, z których przytaczamy najważniejsze cyfry celem uzupełnienia obrazu naszej asocyacyi rolniczej.

Ponieważ rok 1902 zamknął drugie dziesięciolecie istnienia To-

warzystwa Kółek rolniczych, przeto zarząd główny poprzedził sprawozdanie ogólnym rzutem oka na działalność Towarzystwa i na osiągnięte rezultaty, przyczem starał się odeprzeć zarzuty, podnoszone z powodu luźnej organizacyi Towarzystwa. Statut nie nakłada żadnych obowiązków na poszczególne Kółka rolnicze, nie wymaga od nich opłacania wkładki na rzecz Zarządu głównego, który jest władzą naczelną instytucyi, a przyznaje im prawo brania udziału w walnych zgromadzeniach i prawo wybierania członków zarządu głównego. Wzrasta jednak liczba Kółek, które dobrowolnie uiszczają wkładkę jako członkowie wspierający w wysokości ośmiu koron rocznie, w r. 1898 tylko 15 Kółek uiściło wkładkę w tej wysokości, a w r. 1902 liczba ta wzrosła do 221 Kółek, które zapłaciły z tego tytułu łączną kwotę 1.785 K., ogólna liczba członków wspierających wynosiła w r. 1902 — 432, oprócz tego liczyło towarzystwo 14 członków założycieli z wkładką jednorazową 200 Kor., która wpływa do funduszu żelaznego, tylko odsetki bywają obracane na pokrycie bieżących wydatków Towarzystwa.

Ogólna liczba Kółek wynosiła z końcem roku sprawozdawczego 1.247, w ciągu roku 1902 przybyło 79, a skreślono jako upadłe 57; 952 poczuwało się do obowiązku nadesłania Zarządowi głównemu sprawozdania ze swoich czynności za r. 1902. Kółka te miały własnych budynków za 550.289 koron, w ich czytelniach znajdowało się 63.043 książek i broszur a 2.256 czasopism, sklepy prowadziły Kółka w 705 wypadkach, a mianowicie 456 sklepów we własnym zarządzie, a 249 było wydzierżawionych za czynszem 33.411 K., udziały członków złożone na prowadzenie sklepów wynosiły 420 tysięcy koron, a wartość ubezpieczonych od ognia towarów 408.680 koron, sklepy Kółek miały w 353 wypadkach trafiki, w 366 prawo sprzedaży wina, w 154 prawo sprzedaży napoi słodzonych, sklepy Kółek zakupiły zboża za 20.052 K. a jaj za 155.078 K. zapewne od członków celem dalszej odsprzedaży konsumentom. Kółka złożyły na cele ogólnego dobra 25.755 K., z czego przeznaczyły na kościoły i cerkwie 20.058 K.

Ilu członków liczyły Kółka trudno wiedzieć, liczbę ich podaje sprawozdanie na 41.116; jak nie wszystkie Kółka płacą wkładkę do Zarządu głównego, podobnie nie wszyscy członkowie uiszczają wkładki na rzecz Kółek, przeważnie ograniczają się do złożenia udziałów na sklepik, co im zapewnia udział w zyskach, to też w sprawozdaniach nadsyłanych Zarządowi głównemu, o ile są ogłaszane drukiem, niema osobnej rubryki na dochód z wkładek. Wobec tego zachodzi pewna trudność w odróżnieniu członka od nieczłonka.

Zarząd główny prowadził akcyę handlową i rolniczą. W przeciwieństwie do Kółek, które więcej zajmowały się handlem, kładł główny nacisk na rolnictwo; charakterystycznym pod tym względem jest pogląd, zawarty we wspomnianej przedmowie, wedle którego dawniejsza przewaga kierunku handlowego doprowadziła do tego, że „to wyłączne prawie zajęcie się kramarstwem wypaczyło na pewien czas działalność towarzystwa. Akcya, która właściwie powinna była być uboczną, a co najwyżej równorzędną, stała się główną i podstawową". W słowach tych pokutują ślady fizyokratycznych poglądów o wyższości rolniczego zawodu ponad inne.

Działalność handlowa objawiała się przedewszystkiem utrzymywaniem czteromiesięcznych praktycznych kursów w Czernichowie, których celem dostarczyć fachowo uzdolnionych sklepikarzy Kółkom; w r. 1902 uczęszczało na kursa 25 uczniów, wydatki z tego tytułu 5.410 koron; obok tego przeprowadzili trzej lustratorowie rewizye w 172 sklepach prowadzonych we własnym zarządzie i w 35 sklepach dzierżawionych, suma obrotów handlowych w tych 207 sklepach wynosiła 4.026.360 K., Zarząd główny wyrobił 24 Kółkom pożyczki bezprocentowe w krajowym funduszu pożyczkowym dla handlowo-przemysłowej działalności Kółek na łączną kwotę 23.100 K.

Zarząd główny na 171 polach doświadczalnych prowadził badania celem wykazania, jakie odmiany pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia uważać można w naszych warunkach za najodpowiedniejsze; w powiecie mieleckim założono sześć pól doświadczalnych celem wypróbowania, jakich nawozów sztucznych używanie najlepiej się opłaca w tej okolicy. Zarząd główny pośredniczył w zakupnie przedmiotów potrzebnych rolnikom w gospodarstwie; za jego pośrednictwem (z wykluczeniem *del credere*) zakupiły Kółka rolnicze towarów za 264.000 koron; pierwsze miejsce zajmuje koniczyna czerwona, której Zarząd główny dostarczył w ilości przeszło pięciu wagonów, a za łączną cenę 94 tysięcy koron. Obroty w innych nasionach były stosunkowo małe, wyniosły zaledwie sześć tysięcy koron, zakupiono 1.334 maszyn i narzędzi za 82.000 koron — ten dział wykazuje najszybszy rozwój, albowiem w porównaniu z poprzednim rokiem nastąpiło siedmiokrotne zwiększenie obrotów, nawozów sztucznych zakupiono za 74.000 kor. i t. d. Działalność Zarządu głównego w tym kierunku ogranicza się wyłącznie do zbierania zamówień i przesyłania ich fabrykom względnie dostawcom, z którymi zawarto układ o odpowiednie rabaty; zniżki te stosunkowo bardzo znaczne, w całości przelewa Zarząd główny do

kasy Kółek. Drobne ilości mniej znanych nasion roślin pastewnych Zarząd główny rozdawał bezpłatnie. Inspektor ogrodnictwa odbył szereg wykładów wędrownych i kursów kilkudniowych, udzielając pouczeń z zakresu sadownictwa i warzywnictwa, z jego inicyatywy w kilku miejscowościach rozpoczęto wyrób win owocowych.

W r. 1902 po raz pierwszy Zarząd główny zajął się hodowlą zwierząt na razie w niewielkich rozmiarach. Ponieważ Towarzystwa rolnicze trudnią się rozdawnictwem i zarządem zasiłków przeznaczonych przez rząd i kraj na podniesienie chowu koni, trzody chlewnej, owiec i drobiu, nie pozostawało Kółkom nic innego, jak zaopiekować się hodowlą kóz mlecznych, które zwłaszcza dla najmniejszych rolników niepospolite mają znaczenie. Na początek sprowadzono 2 capki i 5 kóz mlecznych ze Szwajcaryi.

Po raz pierwszy w r. 1902 zajął się Zarząd główny rozbudzeniem życia towarzyskiego, organ Towarzystwa *Przewodnik Kółek rolniczych*, wychodzący co dwa tygodnie we Lwowie w objętości trzech arkuszy druku, pomieszczał artykuły i wiadomości celem oddziaływania w tym kierunku, referent tej sprawy w łonie Zarządu głównego, dr. Zygmunt Gargas ogłosił książkę „Teatry chłopskie w Galicyi", powzięto zamiar wydania poradnika dla osób, mających zamiar urządzać włościańskie przedstawienia amatorskie; jako główny cel tej pracy przyświeca Zarządowi głównemu chęć przyzwyczajenia ludności do asocyacyi i odciągnięcia jej od karczmy dając jej sposobność do godziwych rozrywek.

Kupno dwóch latarń magicznych, przy pomocy których Zarząd główny urządził kilka przedstawień, nasuwa nam uwagę, że Zarząd główny powinien te latarnie magiczne oddać w usługi nie tylko życia towarzyskiego; ale przedewszystkiem swej działalności rolniczej. Pan Lichański, instruktor sadownictwa, w powiecie limanowskim zakupił z własnych funduszów latarnię magiczną celem ilustrowania obrazami świetlnymi swych wykładów i pouczeń. Skutek był u nas w kraju, podobnie zresztą, jak i za granicą, wprost nadzwyczajny. Włościanie widząc szczepienie drzew owocowych, ich choroby, sposoby leczenia i inne potrzebne im wiadomości z zakresu sadownictwa w obrazach zainteresowali się sadownictwem daleko więcej, jak przedtem i zastosowali z wielkim pożytkiem dla siebie cały szereg praktycznych wskazówek, danych im przez nauczyciela wędrownego. W podobny sposób scioptikonem przyczyniło się wielce tamtejsze Towarzystwo rolnicze do rozszerzenia w Austryi Górnej wiadomości mleczarskich i do założenia

w dalszej konsekwencyi szeregu dobrze się rozwijających spółek mleczarskich. Byłoby wielce pożądanem, ażeby Zarząd główny, o ile tego już nie zrobił, ze sprawozdania bowiem nie można się dowiedzieć, co pokazują jego latarniami magicznemi, w pierwszym rzędzie objaśniał w ten sposób pouczenia dawane przez swych nauczycieli wędrownych.

Celem zachęcenia do zawiązywania ochotniczych straży pożarnych Zarząd główny rozdał Kółkom rolniczym plakat kolorowany „Ostrożnie z ogniem“ i umieszcza stosowne artykuły w *Przewodniku.*

Znalazł się także w sprawozdaniu ustęp o mleczarstwie — z jakiego tytułu, tego właściwie trudno się domyśleć; Zarząd główny z powodu, jak sam pisze, braku subwencyi przez władze państwowe lub krajowe na ten cel przeznaczonej, nie rozwinął w tym kierunku żadnej działalności, to też nie zdaje sprawy ze swych czynności mleczarskich, lecz krytykuje czynności mleczarskie Wydziału krajowego i Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego.

Wreszcie Zarząd główny wydał w r. 1902 kilka broszur polskich i ruskich o drenowaniu, o współudziale Kółek w walce z alkoholizmem, o uprawie roślin pastewnych, o opustach podatku gruntowego z powodu szkód elementarnych i t. d.

Najpierw Włochy a potem także i Francya, wprowadziły z dobrym skutkiem konkursa peryodyczne między syndykatami rolniczymi, połączone z rozdawnictwem nagród pieniężnych i honorowych. Uważałbym za bardzo wskazane urządzanie podobnych konkursów dla Kółek celem pobudzenia współzawodnictwa.

* * *

Liczne sklepiki Kółek rolniczych powinny przynosić nie tylko zysk swym właścicielom, ale prócz tego powinny dostarczać dobrego towaru po przystępnych cenach odbiorcom celem przeciwdziałania lichwie w handlu detalicznym towarami korzennymi, bławatnymi i innymi, stanowiącymi przedmiot handlu wiejskiego, w tej myśli powołano je do życia i udzielano im poparcia z funduszów publicznych. Jedyną skuteczną gwarancyą osiągnięcia tego celu byłoby tworzenie przedsiębiorstw, będących wspólną własnością odbiorców, bez tego nie można usunąć sprzeczności między interesami właściciela, względnie właścicieli, dążących do wysokiego oprocentowania swych udziałów, a interesem odbiorców, którym zależy na dobroci i nizkiej cenie towarów. O ile temu postulatowi stało się zadosyć, trudno wiedzieć. Kółka rolnicze nie są stowarzyszeniami zarejestrowanemi i nie ogłaszają zamknięć rachunkowych.

Dalszym ważnym warunkiem osiągnięcia tego celu jest oparcie sklepików o dobrze prowadzony handel *en gros*, jeżeli bowiem zaopatrywać się będą w towary w miasteczku powiatowem u handlarza sprzedającego drogo zły towar, tedy jest rzeczą jasną, że przy najlepszych chęciach zadania swego nie spełnią. Celem stworzenia dla Kółek rolniczych źródła zakupna towarów powołano do życia „Związek handlowy Kółek rolniczych w Krakowie", stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką, które obchodziło niedawno dziesięciolecie swego istnienia; przedsiębiorstwo to obejmuje oddział kolonialny i rolniczy, zajmujący się sprzedażą maszyn, nasion, pasz, nawozów sztucznych i t. d.

W roku 1892 z chwilą zawiązania instytucyi, udziały wynosiły 12 tysięcy koron, z końcem drugiego roku istnienia 78.228 koron, a obecnie 183.110 koron, w czem 20 tysięcy koron jest udziałem Banku krajowego, obrót roczny w towarach wynosi obecnie około czterech milionów koron, zysk czysty w ostatnim roku 30.566 K. 60 h., z którego wypłacono 6% dywidendy od udziałów; Związek już od szeregu lat wypłaca 6%, fundusz rezerwowy wynosi około 80.000 K., Związek posiada trzy filie: w Rzeszowie, założoną w r. 1897 kosztem 74.000 K, w Wieliczce w r. 1899 kosztem 24.000 K., we Lwowie w r. 1901 kosztem blizko 200.000 K. Są to wyniki, jak na nasze stosunki wprost świetne; mieliśmy w ostatnich latach tyle zawodnych prób rozbudzenia przedsiębiorczości gospodarczej, że uzasadnioną jest obawa zniechęcenia się społeczeństwa, utraty zaufania w własne siły. To też fakta przeciwne, świadczące o pomyślnych wynikach pracy gospodarczej trzeba podnosić z jak największym naciskiem i nadawać im odpowiedni rozgłos.

Powodzenie zawdzięcza Związek przedewszystkiem pracy, sumienności i zdolnościom dyrektora d-ra Adama Prażmowskiego. Chemia rolnicza w Polsce straciła jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli w chwili, gdy objął stanowisko dyrektora Związku, ale życie nasze gospodarcze wzbogaciło się o instytucyę rokującą także i w przyszłości nadzieje pomyślnego rozwoju. Dr. Prażmowski obok ogólnego kierownictwa zajmuje się specyalnie działem rolniczym, zwłaszcza położył znaczne zasługi dla handlu nasion i dla rozpowszechnienia rodzimych odmian zboża, zastosowanych do tutejszego klimatu i do tutejszej gleby; wspomniane doświadczenia, przeprowadzone przez Zarząd główny dowiodły wielkich zalet żyta grodkowickiego i pszenicy ostki galicyjskiej, sprzedawanych przez Związek handlowy. Niestety nasze Kółka rolnicze za mało korzystają z usług Związku handlowego.

* * *

Najmłodszym, ale najlepiej pomyślanym i zorganizowanym objawem pracy w zakresie naszej assocyacyi rolniczej są spółki dla oszczędności i pożyczek, których rocznik drugi za rok ubiegły opracowany przez biuro patronatu przy wydziale krajowym pod redakcyą Dr. Stefczyka, został niedawno ogłoszonym. Przytaczając najważniejsze daty, podam w nawiasie analogiczne cyfry za r. 1901. Z końcem ubiegłego roku poddało się kontroli, wykonywanej przez biuro patronatu spółek 208 (138), ponieważ część ich nie rozpoczęła jeszcze czynności w roku 1902 lub nie nadesłała zamknięcia rachunków, przeto rocznik obejmuje daty dotyczące 177 (111) spółek, prócz nich uwzględniono jeszcze 15 spółek do patronatu nie przynależnych, ale nadsyłających zamknięcia rachunków. Ilość członków doszła w 177 spółkach patronackich do 29.222 (16.492), przeciętnie na jedną spółkę 165 (148), 89·8% członków stanowili rolnicy, suma udziałów doszła do 188.863 (99.576) k., wkładek oszczędności do 3,042.481 (1,509.634) k., zaciągniętych pożyczek do 889.920 k., udzielonego kredytu do 3,861.563 (2,029.357) kor., funduszów rezerwowych do 95.594 k., suma zysków czystych 55.084, strat 77, kosztów administracyjnych 38.985 k.

Oprócz tego rocznik pomieszcza zamknięcia rachunków 15 spółek niepatronackich, znaczna ich część zawiązała się przed rozpoczęciem akcyi Wydziału krajowego, to też ma większą liczbę członków, więcej wkładek oszczędności i znaczniejsze fundusze rezerwowe, nadmienię tylko, że suma ich oszczędności wynosi 859.795 koron, z czego aż 243.104 k. przypada na spółkę w Czernichowie; ta zasobna instytucya jest pierwszą spółką systemu Raiffeisena w Galicyi, założył ją Dr. Stefczyk w czasie, gdy był jeszcze profesorem w krajowej średniej szkole rolniczej w Czernichowie; najwięcej członków z pośród spółek niepatronackich — 1318 miała spółka w Tarnobrzegu; obie te spółki, oraz kilka innych przystąpiły w r. 1903 do patronatu.

Stosunki procentowe nie są jeszcze zupełnie zadowalniające, prawie we wszystkich spółkach różnica między oprocentowaniem wkładek, a pożyczek wynosi $1^1/_2\%$, najczęstsze są wypadki, w których spółka płaci 5% od oszczędności, a pobiera $6^1/_2\%$ od swych dłużników; tłumaczy się to po części dążnością wzmocnienia funduszów rezerwowych, tylko 20 spółek płaciło dywidendę.

Wierzycielami spółek byli przedewszystkiem kraj i gal. Kasa oszczędności we Lwowie, którzy pożyczyli 788.118 względnie 108.800 kor., inni wierzyciele dostarczyli tylko 5001 k., w r. 1902 stosunek oszczędności do zaciągniętych pożyczek zmienił się na lepsze, podczas

gdy w r. 1901 oszczędności przeważały nad zaciągniętemi pożyczkami 2·9 razy, to z końcem 1902 roku przewyższają 3·4 razy; zachodzą jednak pod tym względem znaczne różnice między Galicyą zachodnią a wschodnią, a mianowicie stosunek ten przedstawia się daleko niekorzystniej im dalej na wschód, na zachodzie mamy spółki, w których oszczędności przewyższają zapotrzebowanie kredytu, w 70 spółkach zachodnio-galicyjskich mieści się 75% ogólnej sumy wkładek oszczędności przez wszystkie spółki zebranych, wszystkie spółki, których stan wkładek przekracza 30.000 k., mają siedzibę w zachodniej Galicyi; oszczędności w zachodniej Galicyi pochodzą przeszło w połowie od włościan, natomiast w Galicyi wschodniej znaczną rolę odgrywają wkładki funduszów kościelnych i cerkiewnych i innych funduszów publicznych.

Spółki wschodnio-galicyjskie mają mniej członków i mniejsze fundusze rezerwowe, natomiast znaczne zapotrzebowanie kredytu, toteż wielka ostrożność w ich przyjmowaniu do patronatu jest wskazaną.

„Zbiorowy rachunek bieżący“ spółek z patronatem rozwinął się nader pomyślnie, chodzi o ułatwienie w ten sposób ulokowania chwilowo zbędnej gotówki zamożniejszych spółek mniej zasobnym, którym chwilowo gotówki zabrakło, obrót w rachunku bieżącym dosięgnął w r. 1902 blizko miliona koron, z wyjątkiem przednowku lokacya gotówki przewyższała zapotrzebowanie.

Patronat przeprowadził w r. 1902 209 lustracyi w 175 spółkach, odbył dwa dziesięciodniowe praktyczne kursa dla kasyerów i członków zarządu spółek, jeden w Krakowie, drugi we Lwowie, na które uczęszczało 91 uczniów, wreszcie wydawał „okólnik“, zawierający informacye ważne dla spółek.

Objawem pocieszającym jest, że w zarządzie niemal każdej spółki pracowali księża, w 90 wypadkach jako przełożeni zarządu, w 41 jako prezesowie rady nadzorczej, w 7 wypadkach jako skarbnicy, w 38 jako członkowie zarządu.

Pomyślny rozwój spółek zawdzięczać należy w znacznej mierze znajomości rzeczy i gorliwości Dr. Stefczyka.

* * *

Powstała we Lwowie instytucya, która odpowiednio pokierowana oddać może wielkie usługi naszemu społeczeństwu, mam na myśli centralny związek galicyjskiego przemysłu fabrycznego, zawiązany przez grono większych przedsiębiorców celem wspólnej obrony zawodowych

interesów, a więc celem związku jest wywieranie wpływu na politykę handlową, celną, taryfową i podatkową w duchu korzystnym dla członków związku, agitacya za rozdawnictwem dostaw publicznych przedsiębiorstwom krajowym, urządzanie wystaw, utrzymywanie zbioru wzorów, słowem, celem związku jest popieranie wszelkimi prawnie dozwolonymi środkami rozwoju przemysłu fabrycznego. Związek urządził już szereg wieców przemysłowych w zamiarze oddziałania na opinię pupubliczną w duchu konsumowania wyrobów przemysłu rodzinnego, założył biuro reklamy krajowych wytworów przemysłowych, informuje dzienniki o sprawach ważnych dla naszego przemysłu. Przewodniczącym jest książę Andrzej Lubomirski, prezes Rady nadzorczej cukrowni w Przeworsku, a dyrektorem biura baron Roger Battaglia, znany publicysta ekonomiczny, który w ostatnich kilku latach ogłosił szereg dobrych artykułów o naszych stosunkach gospodarczych w pismach codziennych. Członkowie płacą wkładkę proporcyonalną do wysokości opłacanego przez siebie państwowego podatku zarobkowego, stopie podatkowej do 500 koron rocznie odpowiada 50 koron wkładki, podatkowi od 500—1000 kor. wkładka 100 kor., od 1000—2000 — 200 kor. wkładki i t. d. Prócz tego kilka osób prywatnych gwarantowało na szereg lat pewien minimalny dochód celem pokrycia koniecznych wydatków na biuro.

* * *

Jedną z pierwszych prac związku stało się poparcie cukrowni w Przeworsku w walce z kartelem. Jak wiadomo, rząd austryacki próbował ustawowo skontyngentować produkcyę cukru, ale cofnął już wydaną ustawę, gdy międzynarodowa komisya dla spraw cukrowych orzekła, że ustawa sprzeciwia się t. zw. konwencyi brukselskiej; orzeczenie to pociągnęłoby za sobą obłożenie cukru austryackiego, wywożonego do Anglii cłem karnem, różniczkowem, a zatem wyższem jak cło opłacane przez cukier innych państw, dowożony do Anglii; nie chcąc narażać swego cukru na współzawodnictwo na targu angielskim w gorszych warunkach t. j. obciążonego cłem wyższem, jak cukier innych współzawodników, rząd zniósł ustawowe oznaczenie dla każdej fabryki cukru maksymalnej ilości produktu, którą wolno było wyrobić. Ustawę chciano zastąpić prywatnym kartelem, dobrowolną umową, zawartą między interesowanymi celem oznaczenia kontyngentu dla każdej fabryki, porozumienie nie doszło do skutku, ponieważ inne fabryki przyznać chciały Przeworskowi kontyngent znacznie mniejszy,

jak ten, który mu przyznawała zniesiona ustawa, przyszło zatem do walki między kartelem a Przeworskiem, połączonej na razie ze znaczną obniżką ceny cukru.

Akcya związku polega na skłonieniu publiczności, ażeby domagała się cukru przeworskiego w sklepach, na uzyskaniu zmiany kolejowych taryf, pozwalających zalewać Galicyę cukrem dolno-austryackim, morawskim i czeskim, oraz na wywieraniu nacisku na rząd za pośrednictwem dzienników, sejmu, Koła Polskiego, towarzystw rolniczych, izb handlowo-przemysłowych i t. d., ażeby przestał popierać kartel.

* * *

Mimo niepocieszających stosunków w polityce wewnętrznej handel zewnętrzny monarchii w pierwszych ośmiu miesiącach bieżącego roku okazał znacznie więcej ożywienia, jak w tym samym czasokresie zeszłego roku. Od 1 stycznia 1902 do końca sierpnia 1902 przywieziono do Austro-Węgier towarów zagranicznych za 1.139,901.713 kor., natomiast w tym samym czasokresie bieżącego roku wartość przywozu wyniosła 1.214,250.436 k., a zatem wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o przeszło 74 milionów koron, mimo tego ostateczny wynik jest w roku 1903 korzystniejszy, ponieważ wartość wywozu wzrosła w stopniu jeszcze silniejszym, a mianowicie o zwyż 125 milionów koron: z 1.216,783.244 na 1.341,802.605 kor. Bilans z pierwszych ośmiu miesięcu 1903 kończy się dla Austro-Węgier nadwyżką $127^1/_2$ miliona, podczas gdy nadwyżka z poprzedniego roku wynosiła z dniem 31-go sierpnia tylko 76 milionów, t. j. o 51 milionów mniej. Ogólny obrót towarów (suma wartości przywozu i wywozu) przekroczyła znacznie w tym czasokresie roku 1903 kwotę półtrzecia miliarda koron, był zatem wyższy o 200 milionów koron od analogicznej cyfry za rok zeszły. W obliczeniach tych nie uwzględniliśmy kruszców szlachetnych, których przywóz w 1903 zmniejszył się, a wywóz powiększył, mimo tego bilans także i w tym dziale był czynnym.

Jak wiadomo, najważniejszym produktem wywozowym Austro-Węgier jest drzewo, które stanowi niemal $^1/_8$ wartości całego eksportu. Handel drzewem stracił bardzo wiele z powodu przesilenia w Niemczech, wraz z poprawą niemieckich stosunków gospodarczych, wzrosło także tamtejsze zapotrzebowanie naszego drzewa, którego wywóz w pierwszych ośmiu miesiącach br. r. wzrósł o trzydzieści kilka milionów koron. Drożyzna mięsa w Krakowie i innych miastach przypomina nam ciągle wzrost wywozu bydła, zwłaszcza do Niemiec, zwyżka

w tych pozycyach wynosi około 11 milionów koron, a ogólna wartośc wywozu zwierząt domowych z wyjątkiem koni, których eksport się zmniejszył, doszła do $71^1/_2$ milionów. Zmniejszył się wywóz jaj i masła, zwiększył się pierza, owoców (z 2·8 na 4·1 milionów) ziemniaków (z 1·9 na 5·3) mil.). Również zwiększył się eksport jęczmienia (z 18·4 na 32 mil.), słodu (z 31·2 na 36·9 mil.) mąki (z 11·3 na 14·3 mil.).

Po drzewie najznaczniejszym przedmiotem wywozu jest cukier. Wobec tego, że z dniem 1 października b. r. wchodzi w życie konwencya brukselska, utrudniająca zbyt europejskiego cukru buraczanego w Anglii na rzecz cukru trzcinowego kolonialnego, przeto objawiła się dążność wywiezienia jak największych ilości cukru przed tym fatalnym terminem, który jednak nawiasem mówiąc, przyniósł targowi wewnętrznemu Austro-Węgier znaczne potanienie cukru. Eksport cukru wzrósł z 92·8 na 111·8, t. j. o 19 milionów koron.

Badając cyfry przywozu, stwierdzić należy znaczny wzrost importu bawełny i lnu, świadczący o zwiększonych obrotach w przemysłach tekstylnych.

* * *

Nafta poczyna odgrywać coraz to ważniejszą rolę w wywozie austro-węgierskim, wartość eksportu tego towaru wzrosła z 862 tysięcy kor. w pierwszych ośmiu miesiącach 1902 r. na 1·8 miliona koron w r. 1903 — jak wiadomo rozchodzi się tutaj o produkt specyalnie galicyjski, który do niedawna ledwo był w stanie pokryć konsumcyę wewnętrzną Austro-Węgier, a dziś staje się przedmiotem handlu międzynarodowego, najlepszym tego dowodem kupno akcyi schodnickich za dwa miliony koron przez *Deutsche Bank* w Berlinie; potężna ta instytucya finansowa ma zamiar objąć komisową sprzedaż naszej nafty w Niemczech i przygotowuje sobie w ten sposób teren. Niestety przekształcenie się produkcyi nafty w przemysł eksportowy dokonało się pod hasłem koncentracyi w kilku wielkich przedsiębiorstwach, nie znajdujących się w rękach polskich, które korzystając ze zniżki cen nafty, wywołanej hyperprodukcyą w chwili, gdy wywóz jeszcze nie był zorganizowany, a zbyt ograniczony do przepełnionego targu wewnętrznego, wykupiły mniejsze polskie przedsiębiorstwa, niezasobne w kapitały, któreby im pozwoliły przetrwać przesilenie. Wykupno terenów naftowych nastąpiło po niskich cenach, uzasadnionych ówczesnym niekorzystnym kursem ropy; po wykupnie zorganizowano wywóz, co pozwoliło podnieść cenę. Właścielem jedynego większego przedsię-

biorstwa naftowego jest dziś lwowska kasa oszczędności, która objęła je po bankructwie Szczepanowskiego. Prawdopodobnie jednak będzie musiała się go pozbyć, ponieważ spekulacyjny charakter tego przedsiębiorstwa nie odpowiada przeznaczeniu kas oszczędności, które muszą szukać pewniejszych lokacyi dla swych kapitałów.

A. M.

Z pod Krakowa.

Nie jest Kraków miastem tak małem, jakby się wydawać mogło ze spisów ludności. Urzędownie liczy on wprawdzie tylko 91 tysięcy mieszkańców, ale otacza go wieniec gmin podmiejskich, bezpośrednio doń przytykających, jak Podgórze, Ludwinów i Dębniki, Zwierzyniec, Czarna Wieś, Nowa Wieś z Łobzowem, Krowodrza i dwa Prądniki Czerwony i Biały. Miejscowości te mają razem ludności niemal 56 tysięcy głów. Jak niegdyś Kazimierz lub Kleparz (zwany pierwotnie Florencyą od kościoła św. Floryana) miały swój własny samorząd, niezależny od Rady krakowskiej, tak obecnie, te okalające Kraków miejscowości zupełnie samoistne zajmują stanowisko. Ta prawna odrębność rządów i urządzeń zachowana wbrew istotnemu stanowi rzeczy i wspólności potrzeb, doprowadza miejscami do wyników dziwacznych, a nawet śmiesznych. Najlepszym tego przykładem jest ulica Graniczna, tak nazwana dlatego, że pod bokiem jej biegnie granica między Krakowem a Czarną wsią; skutkiem tego jedna połać tej ulicy należy do Krakowa wraz z jednym chodnikiem, a drugi chodnik i druga połać — do Czarnej Wsi. Mimo to liczby nad bramami domów biegną jednolicie, jak zawsze, po jednej stronie parzyste, po drugiej nieparzyste. A podobnych sprzeczności, zawikłań i cudactw przytoczyć możnaby wiele, ku niemałej uciesze obcych, a niemniejszemu zdumieniu samych Krakowian, którzy przeważnie sprawy sobie nie zdają z tych stosunków dziwnych i trudnych do pojęcia.

To jedno jest każdemu jasne i zrozumiałe, że podmiejskie osady, choć odrębnością swoją chełpią się i zazdrośnie jej strzegą, jednak w stolicy muszą mieć kulturalny i cywilizacyjny punkt ciężkości, korzystają one z jej szkół, kościołów i ogrodów, z jej teatrów, odczytów i koncertów, z jej straży pożarnej, oświetlenia, bruków i dorożek, z jej klinik, szpitalów i dobroczynnych zakładów, z jej składów i skle-

pów, z jej handlu i przemysłu. Gdyby tak jednego pięknego poranka, Kraków zniknął, zmieciony z powierzchni ziemi, wszystkie gminy podmiejskie, nie wyjmując c. k. powiatowego miasta Podgórza, obudziłyby się w największym kłopocie i przerażeniu i przekonałyby się odrazu, że ich samodzielność istnieje tylko na papierze i w urzędzie, a że w rzeczywistości bez Krakowa nie mają one co robić na Bożym świecie.

Ale naodwrót i Kraków korzysta poniekąd ze swoich tak licznych a małych sąsiadów. Tysiące ludzi przynależnych właściwie do Krakowa, tysiące krakowskich urzędników, kupców, rzemieślników mieszka w gminach podmiejskich, gdzie pomieszkania tańsze dzięki złym brukom, wiecznemu błotu, brakowi oświetlenia i komunikacyi, gdzie także i żywność tańsza, dzięki temu, że niema rogatek i podatku konsumcyjnego. Właściwie zaś mieszkańcy gmin podmiejskich — z wyjątkiem c. k. powiatowego miasta Podgórza — właściciele małych domków i dworków, pól i ogrodów pod Krakowem dostarczają miastu pożywienia, bo wszelkich ogrodowizn: warzyw, jarzyn i włoszczyzny a potrosze i okopowizn, jak ziemniaki, buraki i kapusta. To też gdyby pewnej nocy, gminy podmiejskie pochłonęła ziemia, Kraków nazajutrz wstałby głodny i miałby jeden dowód więcej, że bez nich jest tułowiem bez członków, ogołoconym ze środków do życia.

* * *

Warzywnictwo i ogrodnictwo pod Krakowem datuje od wieków Ziemia z natury bujna, od niepamiętnych czasów w starannej tu była uprawie, i dziś wyrobiona jest jak w doniczce pod kwiaty. Już za Kazimierza Wielkiego w niektórych miejscowościach podmiejskich, jak w Łobzowie, kwitnąć musiało ogrodnictwo. Znane są z podań, do dziś dnia żywych, serdeczne stosunki, jakie łączyły Króla Gospodarza z łobzowskimi sąsiadami jego letniego dworca. Zbrojowie, którzy dziś rozrodzeni licznie, należą do patrycyatu paru wsi podmiejskich, wywodzą się od owego łobzowskiego, z którym przyjaźnił się król chłopów, i umieją do dziś dnia opowiadać, jak za zburzoną wójtową chatę wygnał od siebie miłośnicę czeską Rokiczanę. W Bronowicach Wielkich żyją Trzaskowie pochodzący także niewątpliwie od owych starodawnych Trzasków, z którymi w Maryackim kościele pokumał się Kazimierz, trzymając biedakom dziecko do chrztu z kościelną babką. Podobno wracając z łowów w prostej myśliwskiej odzieży, zaszedł wieczorem pod próg Trzaskowej nędznej chałupy i podając się za żebraka, grzał się w kącie u polepy. Od słowa do słowa, dowiedział

się, że biednemu Trzasce nikt dziecka do chrztu podać nie chce, więc on, „dziadek proszalny“, sam się wmówił, a nazajutrz zajechał królewską kolebką, w całym majestacie i chłopskie dziecko nad chrzcielnicą potrzymał.

Od tych czasów zmieniło się wiele w Łobzowie. Z letniego dworca królewskiego nie pozostał kamień na kamieniu, a na tem miejscu stoi dziś brzydki „pałac“ w koszarowym stylu, przemieniony na szkołę wojskową. W ogrodzie pałacowym rośnie już może dziesiąte pokolenie drzew, a pod ich cieniem wznosi się niewielki kopczyk, darnią obrośnięty, który uchodzi powszechnie za mogiłę słynnej Żydówki Esterki. Zmienili się i Łobzowianie. Obecnie różnią się oni strojem od okolicznego ludu, podobnie jak wszystkie gminy podmiejskie. Z waszecia się noszą, w czarnych krótkich kurtkach, w butach z cholewami i okrągłych płaskich kapeluszach z szerokiemi skrzydłami. Ich żony i córki, to słynne z wymowy i humoru krakowskie przekupki, tytułujące się „paniami“, ubrane latem w perkalowe kaftaniki, zimą w watowane salopy. Na głowach noszą jedyną pamiątkę po dawnym wiejskim stroju stubarwnym: pąsowe chustki wiązane jak u chłopek. Ale do plewienia w polu albo w ogrodzie, wdziewają na owe chustki słomiane kapelusze z olbrzymiemi kresami, wielkości średniego otwartego parasola. Za to w niedzielę, zamożniejsze przywdziewają czepeczki z taniej koronki, upstrzonej sztucznymi kwiatkami i jaskrawemi wstążkami. Do wielkiej parady należą także złote lub koralowe kolczyki, noszone za przykładem pań z miasta, i korale, znowu pozostałość stroju wiejskiego.

Określając strój Łobzowian, tem samem daje się najdokładniejsze wyobrażenie o tem, jak się noszą wszelkie inne gminy podmiejskie, oczywiście z wyjątkiem c. k. powiatowego miasta Podgórza, które ma wyraźny charakter przemysłowy.

Pod względem zabudowań, urządzeń i całego zewnętrznego wejrzenia, wszystkie te miejscowości najbliższe Krakowa są także do Łobzowa podobne, jak dwie krople wody.

Z obu stron gościńca wiodącego ku rogatce, ciągną się gęsto dwoma szeregami nizkie, stare, niepozorne domki, frontem lub krótkim bokiem przystawione do drogi. Wszystkie dachy kryte zczerniałym i zielono omszonym gontem, nizkie — winem, powojem lub chmielem obrosłe ganeczki, małe okienka — ale nie kwadratowe, jak po wsiach — z za szyb zakurzonych bieleją firaneczki, a pod niemi w donicach geranie, fuksye i oleandry — oto starych owych domostw, zapadłych w ziemię, urządzenie i typ niemal niezmienny.

Między jednym a drugim domkiem biegną wzdłuż ulicy parkany z desek lub balasek, przecięte czasem drewnianą szeroką bramą, z gontowym daszkiem na wierzchu. Z poza niej uśmiecha się kwitnąca smukła malwa, lub złotą twarzą wyziera ciekawie słonecznik, a niekiedy wierzba albo brzoza przerzuca przez parkan gałązki. Zresztą ogródków kwiatowych ani drzew niema prawie wcale. Widocznie skąpiono im drogiego miejsca, którego ledwo odżałowano na wązki chodnik wzdłuż drogi, chodnik niebrukowany przeważnie, albo najwyżej — wybity kamiennymi okrąglakami. Poza domami ciasne gospodarcze podwórka, zamknięte stajenką, chlewami, stodołą, a dalej w głębi już poza obejściem świecą do słońca tysiącami szyb inspekta, zwane tutaj pięknie i trafnie szklarkami. Najdalej wreszcie, jak sięgnąć okiem, ciągną się nieskończone pola, czy raczej warzywne ogrody, pokrajane w niewielkie płaty, pasy i kwadraty, poryte misternie w bruzdy, grzędy i zagony.

Im bliżej ku miastu, tem gęściej wśród łobzowskich typowych zagród wznoszą się kamieniczki jedno lub najwyżej dwupiętrowe, zazwyczaj dość odrapane i brudne, zamieszkane przez tych właśnie Krakowian, których przynęciła taniość, a nie odstraszyło dość wątpliwe „świeże powietrze", błoto w jesieni, a w lecie kurzawa gościńca. W kamieniczkach tych mieszczą się na dole warsztaty rzemieślników, sklepiki żydowskie, szynki, piekarnie i t. p.

Od tych kamieniczek, przypominających żywo średnie miasteczka, dziwnie odbijają figury przydrożne, kapliczki i Boże Męki, zupełnie takie jak po wsiach, zazwyczaj nawet ocienione paru drzewami. I w maju, wieczorami, zupełnie jak na wsi, bose dzieciaki zawieszają przed temi kapliczkami wianki z kwiatów polnych, gałęźmi je mają i zapaliwszy świeczki, śpiewają pieśni kościelne cienkimi srebrnymi głosikami.

Jeszcze dziwniej, wśród takiego otoczenia, na pół wiejskiego, na pół małomiejskiego, wydają się wille o wielkich kryształowych szybach, oszklonych gankach, co prawda bardzo rzadkie, w głąb wciśnięte, od gościńca oddzielone żelaznemi sztachetami i ogródkami, w których błyszczą szklane banie wśród klombów i krzewów.

* * *

Najwcześniejszym rankiem, kiedy Kraków zaledwie poczyna się budzić, tu wre już ruch na dobre. Kobiety z okolicznych wsi, dźwigając na barkach brzemiona owinięte białemi płachtami, ciągną po kilka razem do miasta z nabiałem, gościńcem jadą chłopskie fury,

wyładowane słomą, zbożem lub ziemniakami i mijają po drodze łobzowskie i nowowiejskie ogrodniczki, które na ręcznych wózkach pchają przed sobą swój towar: stosy marchwi, cebul, sałat, kalafiorów i wszelakiej włoszczyzny.

Wózek taki wyładowany kopiasto i gotów na targ, czekał już przez całą noc na podwórzu, aby z brzaskiem pojawiać się na Szczepańskim Placu. Do samego wieczora, cała rodzina warzywników obcinała, czyściła i obierała z niepotrzebnych liści włoszczyznę i jarzyny, a przed ułożeniem na wózku płukała je w szerokiej śluzie wodnej, płynącej wzdłuż gościńca obok chodnika przez cały Łobzów i Nową Wieś. Boczne odnogi tej śluzy przepływają gęsto pomiędzy domami, a rozgałęziwszy się, nawadniają pola i ogrody przyległe. Ta śluza, to już wyłączna właściwość obu owych gmin Nowej Wsi i Łobzowa, a zarazem podobno pamiątka pieczołowitości Kazimierza Wielkiego, datuje bowiem z jego jeszcze panowania. Dowodzi ona przypuszczalnie, że już w tak odległej przeszłości warzywnictwo i ogrodnictwo musiały być głównem zajęciem włościan łobzowskich, skoro wielki Cywilizator umyślnie kazał ją przekopać pomiędzy jednem a drugiem ramieniem Rudawy, aby Łobzowianie mieli czem swoje pola i ogrody zraszać, i aby im pod bokiem szła bieżąca woda do płukania ogrodowizn. Zdaje się, że na ową epokę była taka śluza robotą wodną zupełnie nadzwyczajną, bo król miał podobno włoskich inżynierów i mierników sprowadzić, aby tego dzieła dokonali. Otrzymał ich Kazimierz prawdopodobnie za pośrednictwem Węgier, gdzie panował jego dziewierz, andegaweński Karol Robert, zarazem król Neapolu.

Nic też dziwnego, że warzywnictwo prowadzone od tak dawna w Łobzowie, a wcześnie już przeszczepione do innych sąsiednich gmin podmiejskich, stanąć musiało na wysokim poziomie. Przez tyle wieków i pokoleń z ojca na syna doskonalili się warzywnicy, ziemia tak długą uprawą użyźniła się i wyrobiła, że istotnie ta gałąź gospodarstwa pod Krakowem nie powinnaby nic już pozostawiać do życzenia. I tak jest w istocie: do życzenia nie pozostawia ona nic albo chyba niewiele, przynajmniej w obecnej chwili, w teraźniejszych warunkach.

Ale warunki te, prędzej czy później będą musiały uledz głębokiej zmianie. Coraz bardziej zbliża się chwila, w której Kraków przeprowadzi już raz nareszcie, owo tak niezbędnie konieczne i nieuniknione wcielenie gmin podmiejskich, nie wyjmując bodaj nawet c. k. powiatowego miasta Podgórza. Wówczas przesuną się oczywiście rogatki i zamkną w swoim obrębie wszystkich ogrodników i warzywników:

tramwaje elektryczne dotrą do nowych rogatek, latarnie gazowe oświetlą nowo utworzone przedmieścia. Równocześnie przybywać zacznie kamienic, zagęszczą się warsztaty i sklepy a powoli będą musiały topnieć jedne za drugimi stare, pochylone domki warzywników. Z pomiędzy nich jedni, spieniężywszy pod budowle drogo swe ogrody, staną się kamienicznymi panami; inni zrobią to samo, ale wierni zawodowi praojców, za uzyskany grosz kupią dalsze pola, zamienią je na ogrody warzywne, postawią nowe domki, utworzą nowe podmiejskie gminy i pracować w nich będą po dawnemu, tylko może jeszcze lepiej, bo z większymi środkami. Już obecnie zanosi się pomału na te zmiany. Objawem bardzo znamiennym jest ogromny i nieustanny wzrost wartości ziemi w gminach podmiejskich. Prawda, że ziemia to bujna i znakomicie uprawna: rozbiór chemiczny wykazał taką wielką ilość soli fosforowych, jak w nawozie; bądź co bądź jednak dochodzi ona do cen nieprawdopodobnych. Przed kilku laty XX. Misyonarze pod budowę kościoła, domu, ochronki i innych zakładów pobożnych, zakupili parę morgów ogrodu na Czarnej Wsi podobno po cenie 5.000 złr. (morga = 1.600 sążni □). Była to zapewne cena wyjątkowa, świadczy ona jednak, że ziemia w gminach podmiejskich jest już nadzwyczaj droga. Po wcieleniu zaś tych gmin do miasta i po uregulowaniu Rudawy ceny wzrosną chyba jeszcze bardziej.

* * *

Myliłby się, ktoby przypuszczał, że ów nowy, tak znacznie powiększony Kraków będzie czemś rozdętem sztucznie, jakiemś wielkiem miastem o niewielkiej ilości mieszkańców. W obecnych warunkach jest mu już istotnie ciasno, jak o tem świadczy drożyzna mieszkań, coroczna potrzeba paru nowych szkół ludowych (które wyrastają ciągle jak grzyby po deszczu, a nigdy ich niema dosyć), wreszcie potrzeba założenia nowego, piątego już gimnazyum, którą uznają wszyscy, prócz wiedeńskiego rządu.

Rozprzestrzenienie się Krakowa przez zagarnięcie gmin podmiejskich, będzie zatem odpowiadało rzeczywistemu rozwojowi miasta i wzmożeniu się jego ludności. Ale właśnie bezpośrednim skutkiem takiego rozszerzenia rogatek i zabudowania znacznej części warzywnych ogrodów, przy ciągłym przyroście ludności, musiałby być w niedługim czasie dotkliwy ubytek jarzyn i wogóle wszelkich ogrodowizn.

Ta część przedmiejskich dzisiejszych warzywników, która wyprzedawszy się w obrębie nowych rogatek, pójdzie dalej za miasto

i w dalszym ciągu będzie uprawiać warzywa, ta część, choćby znaczna, nie zdoła obżywić Krakowa i to coraz ludniejszego.

Aby temu brakowi ogrodowizn zapobiedz, będą się więc musiały, w bliższej lub dalszej przyszłości, warzywnictwu wyłącznie poświęcić okoliczne wsi, które dotychczas uprawiają przedewszystkiem zboże a obok tego okopowizny: kapustę i ziemniaki. Zwolna, ale nazbyt pomału, wsi owe wchodzą już na tę drogę i zaczynają po trosze wozić do miasta niektóre gatunki ogrodowizn, zwłaszcza łatwiejszych do uprawy. Daleko jednak jeszcze do tego, by warzywnictwo w okolicach Krakowa wzięło górę nad rolnictwem. Zmiana ta gospodarcza, spowodowana rozrostem stolicy i przeobrażeniem się gmin podmiejskich w przedmieścia, będzie przecież nieunikniona, przyśpieszą ją zaś stosunki wytwarzające się po wsiach już obecnie.

Ludność wzrasta, a w miarę tego ziemia rozdrabnia się i drożeje zarazem. W dzisiejszych warunkach rolnik z niezbyt liczną rodziną wyżywić się może skromnio ale dostatecznie dopiero na pięciu morgach ziemi. Kto jej posiada mniej, ten już tylko z trudnością zdoła z ziemi samej opędzić wszystkie potrzeby. Wyżyć oczywiście może, ale musi wynajmować się do miasta lub zamożniejszym sąsiadom, jako wyrobnik.

Gdyby ten sam właściciel skrawka ziemi, nie dochodzącego pięciu morgów, zarzucił rolnictwo a oddał się wyłącznie warzywnictwu, to mógłby z dwóch lub trzech morgów ogrodu wyciągnąć większy dużo dochód, niż rolnik z pięciu morgów. To nie ulega wątpliwości, bo dzisiejsi podmiejscy warzywnicy żyją stosunkowo dostatnio z kawałka ziemi, na którym nie wyżyłby z rolnictwa żaden z chłopów okolicznych, wobec nizkich cen zboża i wobec ogromnego dowozu ziarna i okopowizn do Krakowa z nadgranicznych wsi Królestwa. Dowóz ten, zwłaszcza ziemniaków i kapusty, w jesieni po cenach nader nizkich, dotkliwie daje się czuć włościaństwu krakowskiemu.

Przerzucenie się zatem z rolnictwa na warzywnictwo, byłoby, zdaje się, najlepszem, a może i jedynem wyjściem dla gospodarstw chłopskich w najbliższej okolicy Krakowa. Lud ten, bardzo daleko posunięty w oświacie i z przyrodzenia bystry, poczyna coraz jaśniej rozumieć taki stan rzeczy i wnioski z niego wyprowadza trafne. Jeżeli dotąd nie ima się jeszcze warzywnictwa w takiej mierze, jakby należało, to nie bez powodów. Naprzód wstrzymuje go pewien konserwatyzm chłopski, który każe mu do ostatka unikać wszelkich zmian doraźnych; powtóre hamuje go roztropna nieufność we własne siły: rol-

nictwo zna on i zna dobrze, wie, że rola przyniesie niewiele, lecz wie, co przyniesie — na warzywnictwie nie zna się jeszcze jak podmiejscy ogrodnicy, przyznaje, że ono dać może wyniki korzystniejsze, ale też dla niewprawnych wątpliwe.

Znacznie więcej przekonania ma włościanin krakowski do sadownictwa i w niektórych wsiach bierze się już do niego z zapałem. Tłumaczy się to przedewszystkiem tem, że sady, zwłaszcza jabłeczne, były niegdyś jedną z podstaw zamożności ludu krakowskiego. Dawny centralistyczny rząd wiedeński, wrogo dla kraju usposobiony, podejrzliwem okiem śledził, czy przypadkiem sadownictwo krakowskie, rozwijające się coraz świetniej, nie zacznie współzawodniczyć z tyrolskiem, i dla wszelkiej pewności zdusił je za pomocą osobnych podatków na sady galicyjskie. Bądź co bądź jednak sady, choć bardzo uszczuplone i zaniedbane, istnieją w każdej wsi krakowskiej, nie są więc niczem obcem i nieznanem.

Nie ulega wątpliwości, że jedno i drugie, warzywa i owoce, zajmować muszą i będą coraz większe miejsce w gospodarstwie wiejskiem pod Krakowem, który jest środowiskiem zbytu ogrodowizn dla miejsc kąpielowych i dla przemysłowego Śląska, nawet Pruskiego. Z zaparciem się pracuje nad tem całą duszą i wszelkiemi siłami zasłużony już inspektor krajowy sadownictwa i ogrodnictwa, dr. Stanisław Goliński, a dopomaga mu w tej działalności Krakowskie Towarzystwo Ogrodnicze, które może się poszczycić niejednym doniosłym skutkiem swej działalności. Niemałą także zasługę około zaznajomienia ludu z temi gałęziami gospodarstwa mają nauczyciele szkół wiejskich. Wielu z nich prowadzi wzorowe sady i ogrody, radą, pomocą i żywym przykładem ucząc i zaprawiając młodzież, a nieraz i starszych, do hodowli jarzyn i drzew owocowych.

Powolny wprawdzie, ale ciągły jest więc postęp na tem polu, jak na wielu innych w Galicyi; kto wie, czy może nie dlatego właśnie, że powolny i ciągły — będzie ten postęp rzeczywisty, prawdziwy i trwały.

Lucyan Rydel.

Druk ukończono 30 października 1903 r.

ALKOHOLIZM I ANTYALKOHOLIZM.

Nadużywanie napojów wyskokowych, których odkrycie gubi się w czasach przedhistorycznych, sięga bardzo zamierzchłej przeszłości; były one już dobrze znane starożytnym ludom Chin, Indyi, Assyryi, Babilonu, Persyi, Egiptu, Fenicyi i Palestyny.

Już prorok Izajasz powstaje przeciw pijaństwu. Starożytne Chiny, Indye, Grecya wydają prawa, mające odstręczyć ludność od tego nałogu, którego zgubne dla zdrowia skutki znają już dosyć dokładnie lekarze, żyjący kilkaset lat przed Narodzeniem Chrystusa. Sparta wzbudza u młodzieży wstręt do pijaństwa widokiem pijanych helotów, zwycięska zaś Roma rozmyślnie rozpaja podbite narody, ażeby znikczemniałe tem łacniej w niewoli utrzymać.

I na północy trunki wyskokowe znane są zdawien dawna; ludy skandynawskie już kilkaset lat przed Narodzeniem Chrystusa przyrządzają sobie miód do picia, a starzy Germani, według świadectwa Tacyta, także tego trunku chętnie używają.

Za czasów Cezarów pijaństwo szerzy się i wzmaga wśród Rzymian; Neron urządza niebywałe dotąd orgie, a skutki pijaństwa dla upadającego Rzymu muszą być fatalne, skoro cesarz Domicyan zabrania zakładania nowych winnic i nakazuje zniszczyć połowę już istniejących na całym obszarze państwa.

W VIII wieku po Narodzeniu Chrystusa, lekarze arabscy przez destylacyę wina otrzymują nieczysty al-kohol, który

w w. XIII w znacznym stopniu stęża przez odwodnienie zapomocą węglanu potasowego Raimundus Lullius. Odkrycie to przez długi czas nie przyczynia się jednak do rozpowszechnienia pijaństwa wśród ludów Europy, gdyż owa *aqua vitae*, jak ją nazwał lekarz francuski Arnold Villanovanus, czyli *ultima consolatio corporis humani*, której przyrządzanie jest tajemnicą alchemików, służy jedynie jako cenny lek, przynoszący ulgę we wszelakich cierpieniach i dolegliwościach. Dopiero w w. XV rozpoczyna się produkcya i konsumcya wyskoku na większą skalę; w Sztokholmie sprzedają go już w r. 1471, Włosi zaś w tych czasach fabrykują już likiery, pędząc wyskok z rozmaitemi wonnemi ziołami i esencyami. W Europie środkowej liczne winnice, dochodzące w wiekach średnich znacznie dalej na północ, niż w czasach dzisiejszych, dostarczają nadto w wielkiej obfitości win wszelkiego rodzaju; pijaństwo wzmaga się w wielu krajach, zwłaszcza w Niemczech, gdzie w wieku reformacyi dochodzi niemal do zenitu, i zniewala wielu książąt kościelnych i świeckich do wydawania zwróconych przeciwko temu nałogowi zarządzeń i edyktów. Wiek XV stanowi w dziejach pijaństwa erę pierwszorzędnej wagi; w tym wieku nauczono się bowiem pędzić wódkę z materyału bardzo pospolitego, a przytem taniego, t. j. ze zboża. Tu i ówdzie powstaje zwyczaj picia wódki, który następnie przyjmuje się w całej niemal Europie, zwłaszcza zaś w w. XVII, gdy krzewią go powracający z wojny trzydziestoletniej żołnierze.

Wraz z kolonizacyą innych części świata napoje wyskokowe docierają do wielu krajów dziewiczych; wprawdzie ludność miejscowa posiada już zazwyczaj własne napoje odurzające, przyrządzane przez fermentacyę różnych materyałów roślinnych, zasmakowawszy jednak w trunkach europejskich, w wielu krajach ulega nałogowi pijaństwa, a przez to nieświadomie chyli się do upadku i własną zagładę przyśpiesza.

Pędzenie wódki z kartofli, datujące od końca XVIII w. (pierwsza gorzelnia, w której pędzono wódkę z kartofli, powstała w Monsheim w r. 1750) uprzystępnia jeszcze bardziej wódkę biedniejszym warstwom ludności. Zmiana ta w przemyśle wód-

czanym obniża jednak zarazem gatunek pospolitej wódki i potęguje jej szkodliwość dla zdrowia; wódka pędzona z kartofli zawiera bowiem stosunkowo dużo t. zw. niedogonu czyli fuzlu, składającego się w dużej części z alkoholu amylowego, znacznie szkodliwszego dla zdrowia ludzkiego, aniżeli czysty spirytus, czyli alkohol etylowy.

Na rozpowszechnienie się pijaństwa w ostatnich czasach różne składały się czynniki. Przez postęp techniki wyrobu napojów wyskokowych, pomimo ciężarów nakładanych przez państwo na tę gałąź przemysłu, cena trunków o znacznem nawet stężeniu alkoholu obniżyła się tak, że dzisiaj są one dostępne nawet dla najbiedniejszych. Rozwój środków komunikacyjnych sprawił, że trunków wyskokowych można dostać w najodleglejszych zakątkach kraju po cenach niemal fabrycznych. W większych ogniskach przemysłowych życie przeważnej części robotników poza domem, a zarazem niepomierne rozmnożenie się restauracyi i szynkowni, których urządzenie na Zachodzie najczęściej znacznie przewyższa pod względem wygody i estetyki urządzenie mieszkań robotników, nieumiejętnie przyrządzona, niesmaczna, częstokroć z daleka donoszona a więc i wyziębła strawa domowa, brak dostępnych szlachetniejszych rozrywek pchają robotnika do szynku; przytem niezadowolenie ludzi biedniejszych z ich upośledzenia społecznego, oraz ich pragnienia, w dobie obecnej urzeczywistnić się niedające, zniewalają wielu do szukania pociechy i zapomnienia w kieliszku. Nadto szerzenie się i potęgowanie pijaństwa w ciągu ubiegłych wieków sprawiło, że coraz więcej jednostek okazuje wrodzony chorobliwy pociąg do trunków wyskokowych, dziedzicznie im przez przodków przekazany.

Szkody moralne i materyalne, jakie ponosi społeczeństwo oddające się pijaństwu, są niewątpliwie bardzo poważne. Zdawano sobie poniekąd z nich sprawę już w starożytności, jak o tem świadczą zarządzenia państwowe, mające na celu zwalczanie, a co najmniej ograniczenie rzeczonego nałogu. W czasach późniejszych przeciwdziała szerzeniu się pijaństwa Kościół i ludzie dobrej woli, którzy słowem i pismem, zwłaszcza zaś

przykładem własnej wstrzemięźliwości walkę z pijaństwem toczą. Już w Starym Testamencie spotykamy Zakon Rechabitów, którzy dobrowolnie wyrzekli się wina. Filozofowie starożytni potępiają jego nadużywanie. Kościół piętnuje pijaństwo jako grzech główny.

Około r. 1600 niezależnie od wszelkich zarządzeń władzy zawiązuje się pierwsze stowarzyszenie trzeźwości, trzeźwości pojętej wprawdzie po średniowiecznemu; członkowie tego stowarzyszenia zobowiązują się bowiem tylko do tego, że nie będą pić więcej jak 14 kubków wina dziennie (Hirschfeld). Systematyczna i zacięta walka z alkoholizmem, prowadzona na większą skalę, rozpoczyna się jednak dopiero z końcem XVIII wieku, a widownią jej są oczywiście te kraje, w których pijaństwo najbardziej grasuje.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie do rozpowszechnienia się pijaństwa w wysokim stopniu przyczyniło się wydawanie wojsku codziennie podczas wojen o niepodległość, zwyczajem przyjętym podówczas w niektórych państwach europejskich, znacznej ilości wódki, wychodzi w r. 1785 pierwsze naukowe dzieło, traktujące o szkodliwości wyskoku dla zdrowia, d-ra Benjamina Rusha z Filadelfii p. t. *An Inquiry into the Effects of Ardent Spirits upon the Human Body and Mind;* w dziele tem wykazuje autor, jak zgubny wpływ na organizm wywiera picie wódki. W r. 1808 w Moreau, w Stanie nowojorskim, zawiązuje się pierwsze stowarzyszenie wstrzemięźliwości, liczące na razie tylko 47 członków. Po upływie lat pięciu powstaje podobne stowarzyszenie w Bostonie, które niezmiernie szybko się rozwija i staje się pierwowzorem całego szeregu innych związków, zakładanych w różnych Stanach Ameryki Północnej; pomimo działalności tych stowarzyszeń, jeszcze w roku 1827 na jednego mieszkańca Stanów Zjednoczonych przypada średnio rocznie 27 litrów napojów wyskokowych.

W Europie nadużywanie wódki szerzy się przeważnie na północy, w krajach winnic nie posiadających, jako to w Szwecyi, Norwegii, Finlandyi, Anglii, Szkocyi i Irlandyi.

W Szwecyi w pierwszej połowie ubiegłego stulecia kon-

sumcya trunków wyskokowych jest ogromna; w r. 1829 przypada tu rocznie na jednego mieszkańca 46 litrów wódki, pędzonej przeważnie w małych gorzelniach domowych, których w r. 1830 jest w Szwecyi 173.000. Pomiędzy r. 1830 a r. 1835 zawiązuje Dr. Retzius w Sztokholmie pierwsze stowarzyszenie abstynentów, z którego w r. 1837 powstaje Wielkie Szwedzkie Stowarzyszenie Wstrzemięźliwości.

W Norwegii i Finlandyi, dwu krajach dziś najtrzeźwiejszych, przed laty kilkudziesięciu ludność pije dużo, chociaż nie tyle, co w Szwecyi. W r. 1835 przypada w Norwegii na głowę rocznie 16 litrów wódki 50-stopniowej, w Finlandyi zaś konsumcya wódki wynosi jeszcze w r. 1850 rocznie 20 litrów wódki na głowę, a niewielki kraj ten liczy w tym czasie 20.000 gorzelni. Ruch przeciwalkoholowy rozpoczyna się w Norwegii i Finlandyi nieco później jak w Szwecyi.

W Szkocyi i Irlandyi pierwsze stowarzyszenia wstrzemięźliwości powstają w r. 1828, w Anglii o rok później. Działalność tych stowarzyszeń nie przynosi jednak w najbliższych latach pożądanych skutków, skoro po upływie lat dziesięciu szerzenie się pijaństwa zniewala Ojca Matthew do rozpoczęcia energicznej akcyi przeciwko temu nałogowi. Niezwykłemu zapałowi, gorliwości i poświęceniu tego niestrudzonego rzecznika wstrzemięźliwości zawdzięcza Irlandya obniżenie się konsumcyi wódki w ciągu kilku lat, od r. 1838 do r. 1841, do połowy.

Drugim punktem w Europie, w którym w tych czasach t. j. około r. 1835, podjęto walkę z pijaństwem, jest Szwajcarya; wśród ludności tego kraju nałóg pijaństwa podsycały głównie małe gorzelnie domowe w niezliczonej ilości, w których pędzono wódkę przeważnie na własną potrzebę. W kilka lat później zaczyna się budzić podobny ruch w Niemczech północnych, wypadki 1848 roku stłumiają go jednak niemal w zarodku.

W Ameryce Północnej stowarzyszenia antyalkoholistów tymczasem się pomnażają i organizują. W roku 1851 powstaje w Nowym Jorku międzynarodowy Zakon świecki abstynentów, t. zw. „Dobrych Templaryuszów“, który nie tylko w różnych

Stanach amerykańskich, ale i w wielu państwach europejskich, zakłada swoje „loże".

W r. 1849 lekarz szwedzki Magnus Huss wydaje rzecz o alkoholizmie chronicznym p. t. *Alcoholizmus chronicus eller chronisk alkoholsjukdom;* rzecz ta, w r. 1852 przetłumaczona na język niemiecki, a w r. 1854 nagrodzona przez Akademię paryską, głośnem odbija się echem w świecie lekarskim i pobudza licznych badaczów do zajęcia się sprawą alkoholizmu zarówno ze stanowiska lekarskiego, jako też i społecznego.

Odtąd walka z alkoholizmem, przenosząc się z ognisk pierwotnych do krajów ościennych, szerzy się po całym niemal świecie i wre coraz silniej. Wyrazem jej są liczne stowarzyszenia trzeźwości i wstrzemięźliwości, które się organizują i łączą w wielkie związki międzynarodowe, liczne wydawnictwa peryodyczne, tysiące publikacyi naukowych i popularnych, agitacyjnych w sprawie alkoholu, oraz kongresy międzynarodowe, odbywające się począwszy od r. 1885 co lat parę; jej skutkiem ingerencya rządów, które, czy to przez wydawanie ustaw przeciw opilstwu, czy też przez zmonopolizowanie produkcyi, a względnie sprzedaży trunków wyskokowych w swojem ręku, ich nadużywaniu mają zapobiegać.

W ostatnich latach ruch zwrócony przeciw alkoholowi znacznie się spotęgował. Niema prawie tygodnia, by dzienniki nie przynosiły jakichś nowych wiadomości w tym przedmiocie. Wśród spraw społecznych wysunięto dziś sprawę alkoholizmu tak dalece naprzód, jak może żadną inną, — rzecz zrozumiała, jeśli się zważy, że kwestya produkcyi alkoholu, jego konsumcyi i skutków jego nadużywania ma tyle punktów stycznych i wspólnych z kwestyą socyalną, że w znacznej mierze z nią się pokrywa.

Propaganda antyalkoholistów zawitała niedawno i do nas. W ubiegłym roku zawiązano w Krakowie i Lwowie kilka stowarzyszeń wstrzemięźliwości od alkoholu; dzienniki co raz umieszczają wiadomości o alkoholizmie i jego zwalczaniu, a na półkach księgarskich ukazało się kilka tendencyjnych książeczek popularnych w tej materyi.

Poważne piśmiennictwo polskie posiada dwadzieścia kilka

prac o alkoholizmie, traktujących [rzecz przeważnie ze stanowiska lekarskiego, że przytoczę tylko obszerną monografię d-ra Rothego, ogłoszoną w r. 1882 w *Gazecie lekarskiej*, a z nowszych czasów pracę d-ra Bregmana. Jest to oczywiście niepomiernie mało w porównaniu z tem, co znajdujemy w piśmiennictwie zagranicznem, zwłaszcza niemieckiem, w którem, według „Bibliografii alkoholizmu“ z dwudziestolecia 1880—1900, wydanej przez bibliotekarza P. Schmidta w Dreznie w r. 1901, po wyłączeniu wszelkich dziełek popularnych i agitacyjnych, samych poważnych publikacyi, traktujących rzecz ze stanowiska fizyologii, a także i ze stanowiska higieny społecznej jest 1443, a w którem ogółem wszystkich publikacyi o alkoholizmie ma być według Okmiańskiego przeszło 5000. Skromny dorobek literacki autorów polskich świadczy jednak, że i u nas lekarze sprawą alkoholizmu oddawna się interesują; na ostatnim zjeździe przyrodników i lekarzy polskich w Krakowie w r. 1900 omawiano między innemi niezmiernie ważną kwestyę leczenia nałogowych pijaków.

Od samego początku nowoczesnej walki z alkoholizmem jej szermierze podzielili się na dwa obozy: jedni propagowali trzeźwość, czyli umiarkowanie w używaniu napojów wyskokowych, drudzy żądali wstrzemięźliwości zupełnej, czyli abstynencyi od alkoholu. I dzisiaj oba rzeczone kierunki mają swych zwolenników, na pierwszy plan wysuwa się jednak propaganda abstynencyi.

Zaszczepienie tej propagandy ostatnimi czasy na ziemi polskiej zniewala mię do przedstawienia w pracy niniejszej wiadomości, jakie posiadamy o działaniu alkoholu na ustrój fizyczny i moralny człowieka i do zastanowienia się, czy rzeczona propaganda ze stanowiska nauki lekarskiej jest istotnie uzasadniona; do przedstawienia sposobów, stosowanych w różnych krajach w walce z alkoholizmem, a wkońcu do rozejrzenia się, jakie są rozmiary klęski pijaństwa u nas i jakie sposoby do zwalczania jej w naszem społeczeństwie wydają się najwłaściwsze.

W trunkach wyskokowych składnikiem najważniejszym

jest wyskok czyli alkohol etylowy. Wódki zawierają 25—60% wyskoku; rum, arak i koniak, rzadko zresztą prawdziwy, oraz likiery 40—81%, wina naturalne lżejsze 3—12%, cięższe południowe 12—22%, wina owocowe 6—10%, piwa lżejsze 2—4%, piwa cięższe i porter zawierają 4—8·5% wyskoku; w miodach, które niegdyś tak chętnie u nas pijano, a które obecnie coraz bardziej wychodzą z użycia, ilość wyskoku, podobnie jak w winach, waha się w dosyć szerokich granicach; kumys i kefir, używane u nas jedynie w celach leczniczych, zawierają 1—3% alkoholu, a narodowy napój rosyjski, t. zw. „kwas“, zawiera zazwyczaj alkohol w bardzo niewielkiej ilości, począwszy od śladów ilościowo oznaczyć się niedających, niekiedy jednakże do 2·5%.

Działanie fizyologiczne alkoholu poznano przez obserwacyę i badanie kliniczne ludzi pijanych, oraz przez badanie pośmiertne zmian morfologicznych i chemicznych powstałych w organach osób zmarłych wskutek upicia się, a względnie z innej przyczyny w stanie upojenia wyskokiem; przez badanie chorób, na które szczególnie często zapadają pijacy, i powstałych w ich organizmie zmian anatomo-patologicznych; przez badanie porównawcze statystyki śmiertelności osób używających trunków wyskokowych w ilościach nadmiernych, a nawet umiarkowanych i statystyki śmiertelności ludzi nie pijących zupełnie trunków wyskokowych; przez badanie odporności ludzi oddających się pijaństwu, oraz pijących umiarkowanie, na różne choroby, zwłaszcza zakaźne, epidemiczne, endemiczne i przyranne; przez obserwacyę przebiegu różnych chorób, oraz ich zejścia u osób pijących; przez próby porównawcze wytrzymałości i siły ludzi zdrowych, używających alkoholu i obywających się zupełnie bez niego. W nowszych czasach podjęto nadto w tej materyi cały szereg badań doświadczalnych na zwierzętach, którym podawano jednorazowo lub też w ciągu dłuższego przeciągu czasu wyskok w różnych dawkach; obserwowano występujące u takich zwierząt za życia objawy chorobowe, oraz badano zmiany anatomo-patologiczne, jakie powstały w organizmie

zwierząt padłych w sposób naturalny wskutek działania alkoholu, albo też zabitych w różnych okresach jego działania.

Wyniki doświadczeń lekarskich, dokonywanych na zwierzętach, nie zawsze dają się zastosować do spraw toczących się w organizmie ludzkim; obok wielkiego podobieństwa, a nawet identyczności różnych czynności ustroju ludzkiego i zwierzęcego, zachodzą bowiem w innych funkcyach różnice i to nawet znaczne. To też medycyna eksperymentalna, uwzględniając owe podobieństwa oraz różnice, które poznała, kieruje się w badaniach na zwierzętach pewnemi zasadami, których przestrzeganie uprawnia częstokroć do przenoszenia wyników takich badań na ustrój człowieka; przez właściwy dobór takich gatunków zwierząt, które pod względem badanej czynności są do człowieka najbardziej zbliżone, przez eksperymentowanie na zwierzętach różnych gatunków, przez odpowiednie miarkowanie dawek stosowanych środków, przez stworzenie warunków doświadczalnych o ile możności zbliżonych do warunków naturalnych, przedewszystkiem zaś przez badanie porównawcze zmian zasadniczych, otrzymanych sztucznie w ustroju zwierzęcym, oraz zmian naturalnych, powstałych w analogicznych warunkach u człowieka, dochodzi się w badaniach dokonanych na zwierzętach do wyników, które z wielkiem do prawdy podobieństwem można uważać za miarodajne także i dla organizmu ludzkiego.

Niestety nie we wszystkich doświadczeniach nad działaniem wyskoku, przeprowadzonych na zwierzętach, powyższych zasad się trzymano; w znacznej części doświadczeń nie dosyć uwzględniano wielkość dawek, które często bardzo przesadzano; w wielu badaniach dawki alkoholu podawanego zwierzętom wynosiły do 10 g na 1 kg żywej wagi, a więc były tak wielkie, że dawek analogicznych, t. j. obliczonych w tym samym stosunku do wagi ciała, żaden człowiek nie byłby w stanie znieść, zwłaszcza przy podawaniu ich w ciągu dłuższego czasu.

Przytem w wielu badaniach nie uwzględniano tej okoliczności, że działanie alkoholu na organizm nie zawsze jest jednakowe, a że zależy ono nie tylko od gatunku trunku, jego dawki i stężenia zawartego w nim wyskoku, oraz od właściwości

gatunkowych badanego ustroju i jego wieku, ale i od takich czynników indywidualnych, jak ogólny stan zdrowia, zwłaszcza zaś stan układu nerwowego, usposobienie, znużenie fizyczne lub umysłowe, stopień znoszenia alkoholu i przyzwyczajenia doń organizmu, a także od okresu trawienia, pewnych warunków otoczenia, jak np. temperatury i t. d.

Stąd w powodzi obserwacyi i doświadczeń w tej dziedzinie spotykamy wiele sprzeczności, nawet co do niektórych kwestyi zasadniczych. Nadto w przedstawieniu różnych kwestyi nie zawsze odróżnia się ściśle fakty stwierdzone od hipotez i analogii, które żadną miarą do wniosków ogólnych nie uprawniają, a nawet zdarza się niekiedy, że przez tłumaczenie autora wyraźnie przebija pewna tendencyjność.

Oprócz takich obserwacyi i doświadczeń istnieje jednak pokaźny szereg badań przeprowadzonych umiejętnie i ściśle rzeczowo przedstawionych, na których opierają się nasze wiadomości o działaniu wyskoku na ustrój; zwłaszcza w ciągu ostatnich lat kilkunastu przeprowadzono wiele ścisłych doświadczeń nad działaniem alkoholu, a wśród nich wiele doświadczeń na ludziach nad działaniem alkoholu na wyższe czynności mózgowe.

Z badań tych wynika, że alkohol po dostaniu się do żołądka, sprowadza, zależnie od stężenia, silniejsze lub słabsze zadrażnienie zakończeń nerwowych w błonie śluzowej żołądka, któremu towarzyszy miejscowe rozszerzenie naczyń krwionośnych i wzmożenie prądu krwi przez nie przepływającej, co się odczuwa jako pewne rozgrzanie wewnętrzne, poczem bardzo szybko, według prof. Dogiela już w $1^1/_2$ minuty po wypiciu, wyskok przechodzi do krwi. We krwi działa alkohol na jej składnik najważniejszy, t. j. na ciałka czerwone; według jednych badaczów, część alkoholu, utleniając się, zabiera tym ciałkom potrzebny do tego tlen; według innych, alkohol utrudnia wiązanie tlenu przez ciałka czerwone; przez to może alkohol upośledzić czynność fizyologiczną krwi, polegającą na dostarczaniu tkankom niezbędnego do spalań fizyologicznych tlenu, który ciałka czerwone po całym ustroju roznoszą. Alkohol, który we krwi nie uległ utlenieniu, dopływa z nią do wszystkich narządów;

za pomocą sposobu, którym można wykryć w tkankach nawet bardzo małe ilości alkoholu, wykazano go po spożyciu we wszystkich badanych organach, w niektórych nawet w stosunkowo znacznej ilości; najwięcej alkoholu pochłania mózg, potem wątroba; mięśnie zatrzymują dwa razy mniej alkoholu jak wątroba.

Pochłanianie przepływającego ze krwią alkoholu przez mózg w większej ilości jak przez inne organy polegać musi na jakiemś szczególnem przyciąganiu alkoholu przez istotę nerwową wskutek wzajemnego ciał tych powinowactwa. W substancyi nerwowej mózgu znajduje się szereg istot takich, jak cerebryna, lecytyna, cholesteryna, które się w alkoholu rozpuszczają; można zatem zgodzić się z przypuszczeniem prof. Danilewskiego, że one to zatrzymują przepływający przez mózg alkohol, za przypuszczeniem tem przemawia zaś ta okoliczność, że różne inne substancye chemiczne, jakoto eter, chloroform i t. d., działające na mózg podobnie, jak alkohol, t. j. odurzająco, a względnie narkotycznie, rzeczone składniki istoty mózgowej również rozpuszczają. Według innych badaczów (Meyer, Baum, Dubois) alkohol wypiera z rozczynów ciał przytoczonych wodę i przez to sprowadza zaburzenia w czynności mózgu. Silne pochłanianie alkoholu przez mózg wykazał w ostatnich czasach bezpośrednio Friedman w doświadczeniach na psach, przez których narządy przepuszczał wyskok w rozczynie 1—3%. Zaledwie 5—10% spożytego alkoholu przechodzi przez organizm w stanie niezmienionym i wydala się głównie przez nerki i z powietrzem wydechanem; reszta zaś, t. j. 90—95% alkoholu ulega w tkankach, w części już we krwi, utlenieniu, czyli spaleniu na wodę i bezwodnik kwasu węglowego; natomiast spalenie fizyologiczne tłuszczu i węglowodanów, a być może, i istot białkowych po spożyciu alkoholu zmniejsza się. Zmniejszenie się spalań w organizmie pod wpływem alkoholu jasno wynika z doświadczeń Szumowej i Simanowskiego, wykonanych w pracowni Nenckiego, którzy wykazali, że w tych warunkach utlenianie się wprowadzonego do ustroju benzolu na fenol, hydrochinon i brenzkatechinę znacznie gorzej się odbywa, jak w stanie normalnym: u człowieka po wypiciu koniaku w dawce, wyno-

szącej 2 g na 1 kg wagi ciała ilość fenolu może się zmniejszyć o 50—75%.

W całym szeregu badań, w których po wprowadzeniu do ustroju wyskoku oznaczono ilość wydalonego azotu, starano się zbadać, jaki wpływ wywiera alkohol na spalanie się istot białkowych; badania te nie doprowadziły jednak do żadnych pewnych wyników, a to dlatego, że ilość azotu w wydalinach nie stanowi dokładnej miary utleniania się istot białkowych w ustroju, zwłaszcza w zatruciach; ilość ta zależy bowiem nie tylko od spraw oksydacyjnych, ale i od rozpadu białka: w zatruciu fosforem np. spalania są upośledzone (Nencki, Sieberowa), a pomimo to ilość wydalonego z ustroju azotu jest większa, jak w stanie prawidłowym (Storch, Bauer, Cazeneuve). Obecnie to tylko da się powiedzieć, że po wprowadzeniu do ustroju alkoholu w pewnych dawkach, w ciągu pewnego czasu ilość wydalonego azotu jest zwiększona.

Upośledzenie spraw oksydacyjnych w organizmie przez alkohol pochodzi głównie stąd, że część chemicznie czynnego, atomistycznego tlenu zużywa się na utlenienie alkoholu. Przy znacznem zapotrzebowaniu tlenu do tego celu, komórki różnych narządów otrzymują go w ilości niedostatecznej, przez to w ich czynnościach fizyologicznych powstają zaburzenia, a nawet mogą one uledz zwyrodnieniu. Nadto alkohol jeszcze nie utleniony, stykając się z tkankami, może na nie i w inny sposób szkodliwie oddziaływać, sprowadzić zarówno zaburzenia ich funkcyi, jako też i zmiany morfologiczne.

Silne działanie alkoholu na komórki ustroju tłumaczy poniekąd ta okoliczność, że dyfunduje on niezmiernie łatwo do ich wnętrza. Protoplasmę zaś komórkową, zwłaszcza niektórych narządów, uszkadza on tak silnie, że już po jednorazowem spożyciu wyskoku w większej ilości może nastąpić śmierć. Według Dujardin-Beaumetza dawka śmiertelna alkoholu dla zdrowego dorosłego człowieka wynosi w stanie stężonym jako alkohol absolutny 8 g, a w stanie rozcieńczonym 7.75 g na 1 kg wagi ciała, według Goffroy i Serveaux 8.65, a według Daremberga 11.7 g na 1 kg, czyli dla człowieka ważącego

70 kg śmiertelna dawka alkoholu wynosi 542—819 g, co odpowiada mniej więcej 1.1—1.64 litra wódki 50%; przyzwyczajonym do wódki pijakom zdarza się jednak niekiedy spożyć większe jeszcze ilości alkoholu, nie przypłacając życiem takiego nadużycia.

Wobec takiego działania fizyologicznego alkoholu słusznie uważa się go za jad i to za jad głównie nerwowy. Należy jednak przytem zauważyć, że pojęcie jadu jest względne, bezwzględnych bowiem trucizn niema: szkodliwe czy trujące ich działanie zależy od rozmaitych czynników, przedewszystkiem zaś od ich dawki; już nie mówiąc o wielu lekach, które dlatego właśnie są lekami, że przez zatrucie pewnych elementów sprowadzają pożądane ich pobudzenie czy porażenie, wszystkie t. zw. używki, stosowane jako przyprawy przy przyrządzaniu potraw, jak np. ocet, gorczyca i t. p. w pewnych dawkach są dla organizmu ludzkiego trucizną; nawet najpospolitsze pokarmy, jak chleb lub mięso zawierają w małej ilości składniki trujące. Jadowitość alkoholu, którą jego przeciwnicy tak silnie zawsze podkreślają, należy rozumieć w ten sposób, że działa on istotnie szkodliwie nawet w takich dawkach, w jakich wielu ludzi go spożywa bez żadnych bezpośrednio ujawniających się złych następstw, a nawet przeciwnie, odczuwając pewne dodatnie jego działanie.

Przy używaniu trunków wyskokowych, prócz dawki, ważnem jest stężenie zawartego w nich wyskoku; im ono jest większe, tem silniejsze jest działanie miejscowe trunku; wyskok ponad 80% przez odwodnienie żyjących tkanek i strącenie w nich istot białkowych, podobnie jak wiele innych substancyi żrących, sprowadza zmiany zapalne oraz owrzodzenia. Jednorazowe spożycie alkoholu w wódce, winie czy piwie, w ilości 2—4 cm^3 na 1 kg wagi ciała, co dla dorosłego zdrowego człowieka stanowi już dawkę wielką, sprowadza zazwyczaj upicie się, czyli ostre zatrucie alkoholem. Wybitne działanie wyskoku na mózg ujawnia się w tym stanie jako odurzenie czyli zamroczenie umysłu, przyczem znikają wyższe stopnie uwagi, refleksyi i sądu; osłabienie uczucia znużenia jest przyczyną lepszego samo-

poczucia, zwłaszcza poczucia znacznej siły fizycznej, a co za tem idzie, jej nadużywania, a brak samokrytyki, — zadowolenia z własnej osoby, niezwykłej pewności siebie, odwagi, zuchwałości; pod wpływem wyskoku człowiek najczęściej zapomina o swych troskach i zgryzotach i poddaje się uczuciu wesołości, którego nie jest w stanie opanować, niekiedy jednak powstaje w tych warunkach stan przygnębienia, nie umotywowany zupełnie smutek, nawet rozpacz i zniechęcenie do życia. Wrażliwość na bodźce zewnętrzne jest osłabiona. W upiciu się średniego stopnia, według wszelkiego prawdopodobieństwa wskutek porażenia ośrodków hamujących w mózgu, występuje pewne ułatwienie ruchów dowolnych; stąd popęd do czynów, wielomówność, głośne mówienie, żywa gestykulacya, wiele ruchów bezcelowych. W upiciu się wyższego stopnia powstają złudzenia zmysłowe, niemożność opanowania ruchów, wreszcie następuje utrata przytomności, niekiedy zaś stan do szału podobny. Opierając się na różnych analogiach, wielu psychiatrów przyrównywa stan człowieka pijanego do krótkotrwałego, przejściowego obłędu.

Naczynia krwionośne w mózgu i na obwodzie, to znaczy w skórze i mięśniach, rozszerzają się wskutek porażenia aparatu nerwowego, utrzymującego ich ścianę w stanie pewnego napięcia. Przez rozszerzone naczynia przepływa krew w większej ilości, stąd zaczerwienienie twarzy i uczucie ciepła, spotęgowane przez odczuwane jako ciepło zadrażnienie przez wyskok błony śluzowej ust, gardła, przełyku i żołądka, oraz stępienie wrażliwości na istotną ciepłotę otoczenia. Uczucie to jest jednak bardzo zawodne, ciepłota ciała bowiem nie tylko się nie podnosi, ale przeciwnie opada, a mianowicie przez to, że krew, przepływając silniejszym strumieniem przez skórę, stykającą się z chłodniejszem powietrzem, bardziej się oziębia jak w stanie prawidłowym i w ten sposób potęguje się utrata ciepła przez promieniowanie, a nadto przez upośledzenie spalań fizyologicznych, co zmniejsza w tkankach ilość wytworzonego ciepła. Obniżenie się ciepłoty ciała, niekiedy nawet bardzo znaczne, jest ważne z tego względu, że w zimie na otwartem powietrzu wielce potęguje

niebezpieczeństwo zmarznięcia, zwłaszcza że wyskok na mrozie sprowadza wielkie osłabienie i senność. Najniższa ciepłota ciała, jaką w ostrem zatruciu alkoholem spostrzegano, wynosiła w przypadku opisanym przez Reinckego 24° C.

Działając na unerwienie oraz tkanki różnych narządów, alkohol sprowadza zaburzenia w ich czynności: pogarsza sprawność mięśni, pracę serca, oddychanie; zagłusza uczucie głodu, obniża funkcye ślinianek, żołądka, trzustki i kiszek, a przez to upośledza odżywianie organizmu; działa bardzo szkodliwie na wątrobę, do której dopływa krew z przewodu pokarmowego i w której między innemi sprawami odbywa się przeróbka i neutralizowanie różnych jadów, ze krwią tu doprowadzonych, oraz drażni nerki, które, chroniąc poniekąd ustrój od działania wyskoku przez częściowe jego wydalanie, same przez to cierpią.

Wobec tak szkodliwego działania alkoholu zrozumiałą jest rzeczą, że stałe, regularne używanie trunków wyskokowych w znaczniejszej ilości prowadzi do t. zw. alkoholizmu chronicznego, którego wyrazem są różne sprawy chorobowe, jako to nieżyty przewodu pokarmowego i dróg oddechowych, przerost i rozszerzenie serca, zwyrodnienie mięśnia sercowego, zwyrodnienie ściany naczyń krwionośnych, przekrwienie wątroby, jej stłuszczenie i marskość wątroby *(cirrhosis hepatis)*, która sprowadza żółtaczkę i puchlinę wodną; w nerkach powstaje chroniczny stan zapalny, w skórze różne zmiany chorobowe, z których najpospolitszą jest trądzik *(acne rosacea)*; wskutek zaburzeń w przemianie materyi ilość tłuszczu we krwi zwiększa się, w narządach odkłada się tłuszcz w nadmiernej ilości, przez co powstaje u niektórych pijaków patologiczna otyłość. Zwłaszcza u piwoszów, którzy wraz z wielką ilością alkoholu wprowadzają do ustroju ogromną ilość płynu i przez to zmuszają serce i nerki do nadmiernej pracy, a jednocześnie spożywają w piwie dużo substancyi odżywczych, powstają często choroby serca, naczyń i nerek, oraz otłuszczenie ogólne. U osób używających stale trunków wyskokowych w większej ilości, powstaje także niekiedy skaza moczowa (artrytyzm) i choroba cukrowa.

Obok przytoczonych chorób wysuwają się u nawykowych

pijaków na plan pierwszy zaburzenia i choroby układu nerwowego. U takich ludzi następuje utrata pamięci i osłabienie innych władz umysłowych, prowadzące do ogólnego zniedołężnienia psychicznego; powstają zaburzenia zmysłów, epilepsya i inne nerwice, połączone z drgawkami, porażeniami i znieczuleniem, zapalenie opon mózgowych, udar mózgowy *(apoplexia cerebri)*, rozmiękczenie mózgu, porażenia postępowe, zapalenie wielu nerwów *(polyneuritis)* i in.

Na szczególne uwzględnienie zasługują powstałe na tle alkoholizmu choroby umysłowe. Występują one w postaci zadumy *(melancholia)*, lub manii wielkości, manii prześladowczej, manii zazdrości, często powstałej na tle niewierności małżeńskiej, najczęściej zaś jako obłęd opilczy *(delirium tremens)*. U pijaków powstaje także niekiedy stan automatyzmu psychicznego, t. zw. *trance*, czyli przejściowe zamroczenie świadomości, w którem bezwiednie nawet zawiłe czynności mogą być wykonywane zupełnie automatycznie; w stanie tym człowiek może zupełnie nieświadomie dokonać czynu gwałtownego, nawet popełnić zbrodnię.

Związek przyczynowy alkoholizmu chronicznego z chorobami umysłowemi żadnej nie ulega wątpliwości. Już w r. 1872 zauważył Lunier, że w różnych departamentach Francyi ilość obłąkanych odpowiada konsumcyi trunków wyskokowych. W Norwegii, jednym z najtrzeźwiejszych krajów, przypada na 100.000 mieszkańców 83 obłąkanych, w Belgii zaś, gdzie nałóg pijaństwa jest bardzo rozpowszechnionym, 172. Według statystyki różnych zakładów dla obłąkanych, ilość chronicznych alkoholików wśród nich jest bardzo znaczna: w zakładach rosyjskich, według prof. Mierzejewskiego, wynosi ona 42%, w paryskim szpitalu św. Anny wśród mężczyzn obłąkanych 38%, a wśród kobiet 12.81%, w Niemczech wśród mężczyzn przeciętnie 27%; w zakładzie Herzberge pod Berlinem pijacy stanowią 70% obłąkanych. W austryackich zakładach dla obłąkanych, według statystyki urzędowej, stwierdzono w okresie od r. 1890 do r. 1895 w etyologii obłąkania nawykowe pijaństwo u 11.5—16.3% chorych; statystyka ta obejmuje jednak wiele przypadków o etyologii ciemnej, a przytem tylko niekiedy uwzględnia obłęd opilczy.

W wiedeńskim zakładzie dla obłąkanych (Tilkowsky) ilość pijaków nawykowych wynosiła w okresie od r. 1885 do r. 1896 przeciętnie 31.4%. Od r. 1852 w Austryi ilość obłąkanych wzrasta rocznie o 2%, tak że chcąc tym nieszczęśliwym należytą zapewnić opiekę, należałoby co lat 10 zbudować nowy zakład dla 600 chorych; zdaniem dyrektora Dolno-austryackiego Zakładu dla obłąkanych, d-ra Gaustera, przyrost ten stanowią wyłącznie obłąkani alkoholicy. Według d-ra Rothego w szpitalach warszawskich ilość alkoholików wśród obłąkanych w okresie od r. 1871 do r. 1880 wynosiła przeciętnie 11·2%, wśród mężczyzn 13·7% a wśród kobiet 8·2%.

Powyższe liczby nie dają wprawdzie zupełnie dokładnego pojęcia o znaczeniu, jakie pijaństwo ma w etyologii obłąkania, a to raz dlatego, że wielu alkoholików obłąkanych, ale spokojnych nie szuka pomocy w publicznych zakładach leczniczych, zazwyczaj przepełnionych, powtóre zaś dlatego, że jakkolwiek niewątpliwie bardzo często pijaństwo sprowadza obłęd, u pewnej części obłąkanych rzecz się ma odwrotnie, t. j. pijaństwo nawykowe powstaje u osób umysłowo chorych przez chorobliwy pociąg do alkoholu; uwzględniając tę okoliczność, trzeba jednak przyjąć, że w przeważnej części krajów cywilizowanych znaczną część obłąkanych, przynajmniej 15—20%, stanowią alkoholicy, u których obłąkanie powstało na tle pijaństwa. Według znakomitego psychiatry niemieckiego, prof. Kraepelina, odsetka ta wynosi w różnych krajach 10—30%, w niektórych nawet 40%.

Choroby układu nerwowego, podobnie jak choroby wątroby, powstają przeważnie u ludzi upijających się wódką; zapadają na nie jednak i tacy, którzy nadużywają piwa lub wina.

Wszelkie choroby sprowadzone przez uraz mają u pijaków przebieg cięższy, jak u ludzi nie pijących: po złamaniu kości, nadmiernie kruchych i łamliwych u alkoholików, wytwarzanie się kostniny i zrastanie się odłamków odbywa się wolniej; operacye chirurgiczne, wykonywane w uśpieniu chloroformowem, są u pijaków z większem połączone niebezpieczeństwem; głównie

zaś choroby urazowe są u pijaków cięższe z tego powodu, że zakażenie przyranne łatwiej u nich powstaje i ciężej przebiega.

Nietylko zakażenia przyranne, ale wszelkie wogóle sprawy zakaźne odznaczają się u pijaków ciężkim przebiegiem i wielką śmiertelnością, albowiem wyskok znacznie osłabia odporność ustroju na zakażenia. Odporność ta w wysokim stopniu jest zawisłą od funkcyi fizyologicznej pewnej grupy komórek, zwanych fagocytami, które są obdarzone zdolnością pochłaniania i strawiania bakteryi, zakażających ustrój, a przez to ich unieszkodliwiania; ażeby sprawa ta, zwana fagocytozą, nastąpić mogła, potrzeba przedewszystkiem, ażeby owe komórki do drobnoustrojów się zbliżyły, co przy normalnej wrażliwości fagocytów na jady bakteryjne zachodzi przez wchodzące tu w grę siły przyciągające, stanowiące t. zw. *chemotaxis positiva*, zjawisko bardzo szeroko w przyrodzie rozpowszechnione, analogiczne z geotropizmem, heliotropizmem, reotropizmem i innemi zjawiskami tego rzędu; otóż alkohol, jak to wykazały badania Massarta i K. Bordeta, podobnie jak inne narkotyki, np. opium, upośledza ową *chemotaxis*, a przez to osłabia obronę od zarazków, jaką w ustroju stanowią fagocyty. Nadto u alkoholików występują zaburzenia w odżywieniu ogólnem, w regeneracyi krwi i tkanek, co w sprawach zdrowienia wielkie ma znaczenie.

Liczne doświadczenia Doyena, Thomasa, Deléardea, Abbota, Valagussa, Ranelettiego, i in. wskazują, że u zwierząt, którym podawano alkohol, różne zakażenia, a względnie zatrucia wytworami bakteryi, okazują przebieg cięższy, jak u zwierząt prawidłowych, oraz że u takich zwierząt sprowadzenie odporności sztucznej zapomocą zwykłych sposobów wielce jest utrudnione, albo nawet zgoła niemożliwe. Na doświadczeniach tych trudno jednak się opierać, gdyż podawano w nich zwierzętom wielkie, często nawet olbrzymie dawki wyskoku, wynoszące 5—10 g na 1 kg żywej wagi; ale już same spostrzeżenia lekarskie wskazują, jak niekorzystnie działa wyskok na ustrój w sprawach zakaźnych: takie choroby jak zapalenie płuc, tyfus, róża, żółta febra najwięcej ofiar zabierają wśród alkoholików. Podczas różnych epidemii cholery stwierdzono, że

pijacy, szczególnie łatwo na chorobę tę zapadają; według d-ra Hubera podczas pierwszej epidemii cholery w Rosyi wszyscy pijacy w Tyflisie wyginęli. Kiła u służących w szynkach i piwiarniach, którzy najczęściej trunków wyskokowych nadużywają, szczególnie często występuje w ciężkiej, złośliwej postaci (Barthelemy), co tem większe dla tych chorych stanowi nieszczęście, że wskutek zadrażnienia nerek swoiste leczenie rtęcią jest u nich wielce utrudnione. Alkoholik ukąszony przez wściekłego psa, leczony w Instytucie Pasteura, pomimo leczenia zmarł, chłopiec zaś ukąszony w tym samym czasie i przez tego samego psa, wyzdrowiał (Delé arde).

Ze spraw zakaźnych, przewlekłych, związanych poniekąd z alkoholizmem, zasługuje na szczególne uwzględnienie gruźlica, do której nadużywanie wyskoku w wysokim stopniu uspasabia; pierwszy wybuch choroby następuje często po przebraniu miarki, a suchoty już rozwinięte przybierają niekiedy u pijaków postać suchot galopujących i w krótkim czasie śmierć sprowadzają. Statystyka różnych krajów wskazuje, że tam, gdzie pijaństwo się wzmaga, jak np. we Francyi, Włoszech, na Węgrzech, wzrasta zarazem ilość ofiar gruźlicy. W tych departamentach Francyi, w których największe pijaństwo grasuje, gruźlica jest częstszą jak w innych departamentach (Baudran). Ludzie zatrudnieni w zawodach, w których do nadużywania trunków łatwa jest sposobność, jako to robotnicy gorzelani, szynkarze, restauratorzy, kelnerzy, często zapadają na gruźlicę. Według danych pruskiego biura statystycznego, 52·8% kelnerów umiera na suchoty. Bardzo wymowne w tym względzie są dane uzyskane przez d-ra Jakoba, który zbadał 3517 chłopów rosyjskich; okazało się, że z niepijących zupełnie wódki zapadło na gruźlicę 3·7%, z wogóle pijących wódkę 14·1%, a z upijających się conajmniej raz na miesiąc 27·3%.

Jeżeli uwzględnić, że pijaństwo usposabia do porażenia słonecznego, że często jest powodem pośrednim różnych chorób z urazu, oraz że zakażenie kiłą najczęściej następuje po pijanemu, można się zgodzić na twierdzenie Königa, że chorobą, najbardziej na świecie rozpowszechnioną jest alkoholizm chroniczny.

Wpływ alkoholu na zdrowie odbija się wyraźnie w wykazach kas chorych, przeznaczonych dla całej ludności, a więc i dla ludzi używających i nadużywających trunków wyskokowych w porównaniu z wykazami kas chorych przeznaczonych tylko dla abstynentów. W okresie pięcioletnim od r. 1884 do r. 1889 w trzech angielskich kasach chorych, z których korzystała cała ludność, a mianowicie w *M. M. Exp. Rural Towns and City Distr.*, *Mutual Experience Rural Distr.* i *Foresters* na jednego członka przypadało przeciętnie po 26.2, 24.7 i 27.6, średnio po 26·2 tygodni choroby, zaś w kasie abstynentów *Sons of Temperance* tylko po 7.48 tygodni.

Skoro alkoholizm tak często bezpośrednio lub pośrednio sprowadza u ludzi choroby, jest rzeczą zrozumiałą, że i śmiertelność wśród tych, którzy trunków wyskokowych używają, jest większą, jak wśród ludzi powstrzymujących się zupełnie od alkoholu. Stwierdzają to dowodnie dane statystyczne różnych towarzystw asekuracyjnych, zwłaszcza takich, w których obok grupy ogólnej ubezpieczonych na życie abstynenci odrębną grupę stanowią; w towarzystwie angielskiem *United Kingdom Temperance and General Provident Institution* w grupie ogólnej zgony wynosiły w czasie od r. 1866 do r. 1898 96% zgonów przewidzianych, w grupie zaś abstynentów tylko 70%, na korzyść abstynentów wypadła zatem poważna różnica 26%; w towarzystwie *Sceptre Life Association* różnica ta w czasie od r. 1884 do r. 1898 wynosiła 23.7%, w *Scottisch Temperance Life Association* w czasie od r. 1883 do r. 1897 22% a w *Australian Temperance and General Society* w r. 1890 nawet 30.5%. Okoliczność to zniewoliła niektóre towarzystwa angielskie, szwajcarskie, holenderskie i niemieckie do przyznania abstynentom pewnych opustów, wynoszących 5—10% wkładki.

Że w zawodach nastręczających sposobność do pijaństwa i śmiertelność jest niepomiernie wielka, dowodzą liczby urzędowej statystyki angielskiej *Registrar General for England:* jeśli średnią śmiertelność wśród mężczyzn w Anglii wyraża liczba 1000, śmiertelność wśród duchownych wyraża liczba 556, wśród

ogrodników 559, rolników 631, piwowarów 1361, utrzymujących kawiarnie i restauracye 1521, kelnerów 2205.

W okresie od r. 1881 do r. 1890 średnia śmiertelność w Europie zachodniej wynosiła 33.7%; w gubernii kazańskiej wynosiła ona wśród niepijących wódki Tatarów 21%, wśród Rosyan zaś 40%.

Według obliczeń Kuborna 20-letni człowiek nie pijący trunków wyskokowych ma średnie prawdopodobieństwo żyć jeszcze lat 44.2, gdy tymczasem prawdopodobieństwo to dla 20-letniego pijaka wynosi tylko lat 15.6; w 30-ym roku ma człowiek nie pijący prawdopodobieństwo żyć jeszcze lat 36·5, pijak zaś tylko lat 18.8.

Wysoką śmiertelność sprowadza wśród ludności alkohol głównie przez choroby chroniczne. Pewna część pijaków ginie jednak i wskutek ostrego zatrucia wyskokiem. W Rosyi w czasie od r. 1870 do r. 1887 ginęło w ten sposób rocznie przeciętnie 4.678 ludzi; według danych Międzynarodowego biura statystycznego w Rzymie, w r. 1887 zginęło wskutek zatrucia wyskokiem we Włoszech 434, w Anglii z księstwem Walii 1442, w Szkocyi 195, w Irlandyi 125, w Szwajcaryi 99, w Prusiech (tylko w napadzie *delirium tremens*) 1108, w Belgii (tylko w napadzie *delirium tremens*) 372, w Rosyi 4655, w Królestwie Polskiem (nagłą śmiercią w stanie upojenia) 83, we Finlandyi 13 osób. Pijaństwo jest przytem często przyczyną nieszczęśliwych wypadków: w statystyce wiedeńskiego Towarzystwa Ratunkowego wśród przyczyn wypadków pierwsze miejsce zajmuje alkoholizm. Nadto pijaństwo jednego człowieka sprowadza niekiedy śmierć innej osoby a nawet większej ilości ofiar. Zaduszenie dziecka w łóżku przez pijaną matkę nie należy bynajmniej do rzadkości; w Liverpoolu w ciągu jednego roku (1872) było takich wypadków 165.

Alkohol zwiększa śmiertelność wśród ludności także i przez to, że jego nadużywanie jest bezpośrednią czy pośrednią przyczyną pewnej części samobójstw. Dane statystyczne niektórych krajów, np. Francyi lub Norwegii wskazują, że wraz ze wzmaganiem się czy zmniejszaniem pijaństwa, zmienia się od-

powiednio i ilość samobójstw w kraju. W Danii, gdzie konsumcya wódki jest największa, i samobójstwa są najczęstsze: na milion ludności przypada tam w okresie od r. 1894 do r. 1898 238 samobójstw. Z danych tych nie wynika jednak jeszcze związek przyczynowy samobójstwa z pijaństwem. Natomiast w wielu krajach związek ten stwierdzono bezpośrednio: według obliczenia Prinzinga, w Prusiech i Francyi 27—30% samobójstw popełniono wskutek alkoholizmu; w Rosyi w ciągu dziesięciolecia od r. 1858 do r. 1867 38% samobójstw popełnili alkoholicy (Łowców). Wobec tego, że w samej tylko Europie odbiera sobie życie rocznie około 40.000 ludzi, rozmiary tej klęski, powstałej na tle alkoholizmu, są bardzo poważne.

Szkodliwy wpływ nadużywania alkoholu nie ogranicza się bynajmniej do zdrowia fizycznego człowieka; oddziaływa on również szkodliwie na jego sferę moralną. Liczne niestety spostrzeżenia z życia codziennego świadczą, że usposobienie i charakter człowieka zmienia się pod wpływem alkoholu w bardzo niekorzystny sposób: zanikają wszelkie uczucia idealne i pojęcia etyczne, poczucie honoru i godności osobistej, panowanie nad namiętnościami, oraz poczucie estetyczne; obok pewnego znieczulenia moralnego słabnie wola, inteligencya, powstaje wstręt do pracy, zobojętnienie, skłonność do wzburzeń nerwowych i wielka drażliwość; rozwija się samolubstwo, upór, bezwzględność, gwałtowność, okrucieństwo i cynizm, niekiedy zaś depresya ogólna, posępność i niechęć do życia; według prof. Mierzejewskiego najwcześniej zanikają w tych warunkach najpóźniejsze nabytki kultury wewnętrznej człowieka, takie jak skromność, uczucie wstydu, poczucie honoru i t. p.; owe zmiany wewnętrzne przebijają się często w zmienionym wyrazie twarzy. Na tle alkoholizmu rozwija się często rozpusta, powstaje prostytucya; z różnych ankiet przez lekarzy przeprowadzonych wynika, że młodzież najczęściej przestępuje po raz pierwszy progi domów publicznych po pijanemu. Jest rzeczą stwierdzoną, że znaczna część przestępstw i zbrodni w ścisłym jest związku z nadużywaniem trunków wyskokowych.

Statystyka kryminalna wielu krajów wskazuje, że tam,

gdzie pijaństwo wśród ludności się wzmaga, jak np. we Francyi, Belgii, Niemczech, i ilość dokonanych zbrodni wzrasta, zaś tam, gdzie konsumcya alkoholu się zmniejsza, jak np. w Norwegii, Szwecyi, Finlandyi, niektórych Stanach Ameryki Północnej, i zbrodnie są rzadsze; podobny stosunek zachodzi i w poszczególnych częściach kraju, np. w niektórych departamentach Francyi lub kantonach szwajcarskich. Z badań przeprowadzonych nad więźniami w Niemczech, Francyi, Belgii i innych krajach wynika, że zbrodnie w bardzo znacznej części bywają dokonane albo pod bezpośrednim wpływem alkoholu, albo przez nałogowych pijaków: w Niemczech stwierdzono związek z alkoholizmem w 41.7% zbrodni (Baer), w Belgii w 50% (Thiry), w Anglii według opinii komisyi parlamentarnej w r. 1890 związek taki zachodzi prawdopodobnie w 50% zbrodni, w Szkocyi w 90%, w Irlandyi w 75—90%, w Holandyi według Petersa, w $^{15}/_{16}$, według Vischera najmniej w 75—80%, w Szwecyi (1887—1897) w 74.4% (Wieselgren), w Norwegii w 44.4% (Bang), w Szwajcaryi w 36.4%, w Ameryce w 85—90% (Harris, Noah Davis), w Rosyi, w gubernii petersburskiej w okresie od r. 1885 do r. 1898 w 44.9% (Grigoriew), w Australii w 75% zbrodni. Wprawdzie z powyższych liczb nie wynika jeszcze, by jedyną, a nawet główną przyczyną zbrodni, dokonanych po pijanemu lub przez pijaków nałogowych był tylko sam alkohol; upadek moralny i popęd do zbrodni zależą bowiem od bardzo licznych warunków społecznych i indywidualnych, wśród których pijaństwo stanowi tylko jeden z wielu czynników; przytem pewna część przestępstw czy zbrodni dokonanych przez alkoholików przypada na indywidua patologiczne, dziedzicznie obciążone, zdegenerowane pod względem umysłowym i moralnym, u których zarówno alkoholizm jako też i popęd do zbrodni powstają na tle rzeczonego zwyrodnienia. Że jednak znaczna część przestępstw i zbrodni istotnie jest w związku przyczynowym z pijaństwem, wynika z następujących faktów: w tym czasie, kiedy ludność najbardziej się upija, i ilość dokonanych przestępstw jest największa; według obliczeń Baera ilość przestępstw dokonanych w sobotę wieczór, niedzielę i poniedziałek wynosi około

50%, według Langa zaś 70% przestępstw, dokonanych w ciągu całego tygodnia; zbrodnie gwałtu, stanowiące $^3/_4$—$^4/_5$ wszystkich wogóle zbrodni, przeważnie są zrodzone w szynku; obrazy religii, profanacyi świątyń, obrazy rodziców, wykroczeń przeciw obyczajności, kazirodztwa, zgwałcenia, uszkodzenia ciała, oporu władzy, zakłócenia spokoju publicznego dopuszczają się ludzie prawie zawsze po pijanemu; zbrodniarze, zwłaszcza mordercy, według własnych ich zeznań, niekiedy rozmyślnie się upijają, ażeby sobie dodać odwagi do dokonania zbrodni; inni popełniają czyny zbrodnicze po pijanemu, w stanie zamroczenia umysłu, gdy powzięta do kogoś złość czy nienawiść lub pobudzone przez alkohol chucie popychają ich do czynu gwałtownego, nierzadko z błahego powodu do krwi rozlewu, z którego na razie nie zdają sobie sprawy, a którego po wytrzeźwieniu często żałują. Mordercy i zabójcy najczęściej są nałogowymi pijakami: w Austryi z 2742 zbrodniarzy skazanych w okresie od r. 1876 do r. 1880 za morderstwo i zabójstwo, 978 czyli 35.7% było takich, którzy już poprzednio byli karani za opilstwo (Jaquet). Zwady i starcia, prowadzące do pojedynku, zwłaszcza w armii, oraz wśród młodzieży szkół wyższych, wydarzają się najczęściej przy kieliszku. Należy przytem uwzględnić, że do statystyki kryminalnej wchodzą tylko ci, którzy upadli najniżej, wiele zaś przestępstw dokonywanych wskutek alkoholizmu pozostaje w ukryciu, często osłoniętych tajemnicą życia rodzinnego. Jeżeli słusznie uważać można alkohol za jad społeczny, to z równem prawem zasługuje on na miano jadu rodzinnego, zatruwa bowiem pożycie domowe, zakłóca spokój, wyciska łzy a często łamie życie najbliższych. Wśród protestantów nałóg pijaństwa jest częstą przyczyną rozwodów: w okresie od r. 1871 do r. 1880, w którym udzielono w Danii 3710 rozwodów, w 23% przypadków powodem było pijaństwo męża, a w 2% pijaństwo żony, razem w 25% rozwodów; w Ameryce odsetka ta wynosi 24.3 (Caroll D. Wright).

Zbrodnie dokonane w napadzie obłędu opilczego *(delirium tremens)*, są stosunkowo rzadkie; mogą one być popełnione w stanie t. zw. *trance;* w przypadku opisanym przez prof. Mierze-

jewskiego, policmajster jednego z miast rosyjskich wydał zupełnie bezwiednie wyrok śmierci na dwu przestępców politycznych, będących chwilowo pod jego nadzorem.

W niektórych prawodawstwach zaczęto ostatnimi czasy uwzględniać szczególnie przestępstwa, popełniane przez alkoholików; właściwa ocena tych przestępstw, dokonanych często przez ludzi, będących zarazem psychopatami, jest jeszcze dzisiaj niekiedy bardzo trudna.

Alkoholizm rujnuje społeczeństwo nie tylko pod względem zdrowia fizycznego i duchowego, ale zarazem i pod względem ekonomicznym. Wydatki bezpośrednie na trunki wyskokowe, jakie ponoszą niektóre kraje, są wręcz olbrzymie: Wielka Brytania i Niemcy wydają na trunki rocznie po 3.000.000.000 marek, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 3.000.000.000 dolarów; taki mały kraj jak Belgia na samą wódkę wydaje rocznie 200.000.000 franków; Rosya wydaje na trunki, przeważnie na wódkę, około 1.000.0000.000 rubli. Według d-ra Rothego przed dwudziestu laty Królestwo Polskie wydawało na trunki rocznie 32.000.000 rubli; w Warszawie sama opłata od piwa wynosi w ostatnich latach przeszło pół miliona rubli; według *Gazety Toruńskiej* Polacy pod zaborem pruskim przepijają rocznie 200.000.000 mk, t. j. tyle, wiele rząd niemiecki przeznaczył na kolonizacyę Księstwa; dr. Ponikło podaje, że sam powiat krakowski, bez miasta Krakowa, wydaje na wódkę 300.000—400.000 złr. rocznie. Wymowność tych liczb występuje w całej pełni, gdy się je porówna z wysokością innych wydatków: np. w r. 1901 na sam podatek od wódki (monopol) wydała ludność Państwa rosyjskiego 318.798.000 rb.; w roku tym na szkoły wydano tylko 33.076.518 rb.; w Wielkiej Brytanii w okresie od r. 1870—1880 wydawano średnio na trunki wyskokowe rocznie 136.000.000 f. szt., na chleb 70.000.000 f. szt., na szkoły 11.000.000 f. szterl., a na misye duchowne 1.050.000 f. szt.

Ogromne wydatki te na trunki wyskokowe są przytem i z tego względu smutne, że w przeważnej części ponosi je ludność uboższa, zwłaszcza robotnicy, którzy znaczną część swego zarobku przepijają: w Anglii i Niemczech przepijają robotnicy

około $^1/_4$ zarobku (Pelman), w niektórych północno-zachodnich częściach Francyi nawet połowę zarobku. Do bezpośredniego wydatku na wódkę przyłączają się jeszcze inne straty pośrednie, jako to utrata zarobku przez chorobę, nieszczęśliwe przypadki, przedewszystkiem zaś przez stratę czasu, utrata mienia przez pożary i t. p.; przytem przez alkoholizowanie się inteligencya, wartość robotnika się obniża. To też pijaństwo jest najczęstszą przyczyną pauperyzmu. W Anglii w 75% rodzin zubożałych, utrzymywanych ze środków publicznych zubożenie nastąpiło wskutek pijaństwa głowy rodziny; w Paryżu, Genewie 80%, w Niemczech 90% ubogich zawdzięcza ubóstwo swoje pijaństwu. W Norwegii na 100.000 ludności w roku 1889 przypadało ubogich 3.300; w Belgii zaś, gdzie ludność piła w tym czasie trzy razy więcej, jak w Norwegii, 14.000. W Anglii, jednym z najbogatszych krajów, w którym płace robotników są stosunkowo wysokie, wskutek pijaństwa co 13-ty człowiek umiera w przytułku dla ubogich. Znaczna część podatków państwowych idzie na pokrycie kosztów utrzymania różnych instytucyi sądowych, więzień, domów poprawczych, aresztów, policyi, szpitali, zakładów dla ubogich, domów dla obłąkanych, i t. d. Niewątpliwie dużo z tych pieniędzy dałoby się zaoszczędzić, gdyby pito mniej trunków wyskokowych; sama jedna rodzina znanej w kryminalistyce pijaczki amerykańskiej, Ady Juke, w ciągu lat 75 kosztowała państwo 1.250.000 dolarów.

Przez produkcyę trunków wyskokowych kraj traci pewną ilość pożywienia w postaci zużytych na wódkę zbóż, oraz pokaźną sumę pracy ludzkiej zużytej przy fabrykacyi i sprzedaży trunków. Bunge oblicza, że w krajach cywilizowanych około $^1/_{10}$ ludności wkłada swą pracę w produkcyę, sprzedaż i wyszynk napojów wyskokowych.

Doniosłość klęski, jaką stanowi pijaństwo, w wysokim stopniu potęguje jeszcze ta okoliczność, że nałóg ten mści się nietylko na tych, którzy mu się oddają, ale i na ich potomstwie, upośledzając je pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym.

Alkohol po dostaniu się z żołądka do krwi, podobnie jak

do innych organów wewnętrznych, dochodzi ze krwią do narządów rodnych i to w stosunkowo znacznej ilości. Stykając się w ciągu pewnego czasu z plasmą komórek, z których powstają zawiązki nowego organizmu, podobnie jak niektóre jady metaliczne, np. ołów lub rtęć, alkohol silnie je uszkadza, tak że pewna część tych komórek lub powstałych z nich zawiązków wskutek tego ginie, pozostała zaś część wprawdzie nie traci zdolności do życia i dalszego rozwoju, ale rozwój ten odbywa się w sposób patologiczny, przez co powstają indywidua upośledzone na duchu, ciele i umyśle.

Z doświadczeń Rénaut'a wykonanych na psach, świnkach morskich i ludziach, którym podawano koniak lub wino białe, okazuje się, że już w ciągu 80 minut do 2 godzin alkohol przechodzi do wydzieliny gruczołów męskich w stosunkowo znacznej ilości, poczem z biegiem czasu ilość jego się zmniejsza. Pod wpływem alkoholu komórki nabłonkowe cewek tych gruczołów okazują rozpad ziarnisty (Lancéreaux) i zboczenia w sprawach podziałowych (mitozach) (Bouin i Garnier); tkanka łączna nadmiernie buja, natomiast powstaje mniej plemników, tak, że u mężczyzn 30—50 letnich występują tu takie zmiany, jakie w warunkach prawidłowych dopiero w wieku starczym powstają. Simmonds u 61% alkoholików jakich badał, (u 56 z 87), zmarłych wskutek urazu lub chorób ostrych, stwierdził obumarcie plemników *(azoospermia)*. Zapewne alkohol działa szkodliwie na plemniki, podobnie jak na istotę nerwową, t. j. rozpuszcza zawartą w nich lecytynę. W organach kobiecych stwierdzono doświadczalnie w analogicznych warunkach stłuszczenie komórek zawiązkowych, zmniejszenie się ilości dojrzałych pęcherzyków Graafa i patologiczne w nich zmiany (Frontkowski), zwłaszcza zaś sprawy zanikowe. U pijaczek spostrzegano często zaburzenia peryodu, krwotoki, poronienia, oraz przyśpieszenie lat przejściowych.

Obciążenie dziedziczne potomstwa pijaków występuje najczęściej już w najbliższem pokoleniu, niekiedy zaś dopiero w pokoleniu następnem, jako obciążenie atawistyczne. Wśród wad, jakie się spotyka u indywiduów, pochodzących z rodziców,

z których czy to jedno, czy oboje nadużywają trunków wyskokowych, najpospolitszą jest wrodzony, chorobliwy, bardzo silny pociąg do tych trunków, występujący najczęściej w okresie t. zw. pokwitania, niekiedy zaś już w dzieciństwie; znane są przypadki powstałego na tem tle pijaństwa u 4 i 5-letnich dzieci (Legrain, Esquirol), a nawet u jeszcze młodszych podczas wyrzynania się zębów. Pociąg do trunków może wystąpić u dziedzicznie obciążonych i w wieku późniejszym, zwykle po przebyciu choroby, u kobiet podczas ciąży lub w połogu.

Dziedziczne przekazywanie potomstwu nałogu pijaństwa jest faktem znanym już w czasach starożytnych; Diogenes, Arystoteles, Platon, Plutarch, Hipokrates wiedzieli już o tem, późniejsze zaś wielowiekowe obserwacye spostrzeżenia starożytnych w tym względzie zupełnie potwierdziły. Według Daniłły $^1/_3$ część nałogowych pijaków stanowią indywidua dziedzicznie obciążone; według Solliera 40%, w statystyce Legraina odsetka ta wynosi 42·2%, Grigoriew, opierając się na materyale petersburskim, oblicza ją na 51%; Kraepelin twierdzi, że około $^3/_4$ nałogowych pijaków jest dziedzicznie obciążonych, a około połowy ich ma do zawdzięczenia swoje nieszczęście nałogowi ojca; według Crothersa 80% alkoholików jest dziedzicznie obciążonych, a wśród nich 40% przez rodziców, 20% przez dziadków, 20% zaś pochodzi od rodziców cierpiących na gruźlicę albo padaczkę, lub inne choroby układu nerwowego; zaledwie 20% pijaków wpada w nałóg wskutek złego wychowania, złego towarzystwa i t. p. czynników zewnętrznych.

U dziedzicznie obciążonych alkoholizm występuje zazwyczaj w niezmiernie ciężkiej postaci; nietylko bowiem te ofiary nałogu ojców mają silny bardzo pociąg do alkoholu, ale zarazem odporność ich na szkodliwe działanie wyskoku jest znacznie mniejszą, jak nieobciążonych ich przodków. Dobrą tego faktu ilustracyę stanowi statystyka Greniera, w której na 98 pijaków nałogowych, dziedzicznie nieobciążonych, tylko 6 zapadło na *delirium tremens*; na 98 zaś pijaków dziedzicznie obciążonych — aż 69.

Chorobliwe pijaństwo przybiera niekiedy u potomków alkoholików pewną charakterystyczną postać obłędową, znaną pod nazwą opilstwa okresowego *(dipsomania);* w chorobie tej występują od czasu do czasu napady, trwające dni kilka, czasami dłużej, w których człowiek pije bez upamiętania przez cały dzień i noc, podczas której trapi go bezsenność, najczęściej wódkę, ulegając niedającemu się zwalczyć w tym czasie pożądaniu alkoholu. Po przebyciu takiego napadu i odchorowaniu bezpośrednich skutków pijaństwa, chory aż do następnego napadu może być zupełnie trzeźwym człowiekiem, trunków wyskokowych zupełnie nie używać, a nawet mieć do nich wstręt.

W rodzinach pijackich ilość dzieci jest wogóle mniejszą, jak w rodzinach trzeźwych, raz dlatego, że ilość urodzeń jest mniejsza, a ilość poronień i dzieci nieżywo urodzonych większa, powtóre zaś dlatego, że wśród dzieci wielka panuje śmiertelność. W spostrzeżeniach Sullivana nad 600 dziećmi 620 pijaczek 55·8% dzieci zmarło przed końcem drugiego roku życia; według Leontowicza w Rosyi w tych okolicach, w których są gorzelnie, śmiertelność wśród dzieci jest wręcz przerażająca. Z takiemi spostrzeżeniami zupełnie się zgadzają wyniki doświadczeń na zwierzętach: znaczna część potomstwa, rzuconego przez matki zatruwane wyskokiem, w ciągu krótkiego czasu ginie.

U potomstwa rodziców alkoholików szczególnie często występuje w wieku dziecięcym idyotyzm i epilepsya. W Bicêtre pod Paryżem, w zakładzie prowadzonym przez d-ra Bourneville'a, w okresie od r. 1879 do r. 1900 leczono 2554 idyotów (2072 chłopców i 482 dziewczęta); 41·1% tych dzieci miało rodziców pijaków: 36·5% miało ojca pijaka, 3·1% matkę pijaczkę, 1·5% miało oboje rodziców pijaków. W innych zakładach odsetka ta jest jeszcze większą, np. w przytułku hanowerskim wynosi ona 44%; według Luniera 50%, według Demmego 54% idyotów jest dziedzicznie obciążonych alkoholizmem. W Norwegii, gdzie ilość idyotów dziedzicznie obciążonych wynosi 50—60% (Dahl), wraz ze zmniejszeniem się pijaństwa zmniejszyła się także i ilość idyotów. 60—67% epileptyków

(Kowalewski, Bourneville) jest obciążonych dziedzicznie alkoholizmem; Legrain, który badał potomstwo 215 rodzin pijackich, stwierdził epilepsyę wśród członków połowy tych rodzin. Nadto dzieci rodziców pijaków cierpią stosunkowo często na zołzy, krzywicę (chorobę angielską), choroby skórne, gruźlicę; okazują nadmierną wrażliwość układu nerwowego, zwłaszcza wzmożenie pobudliwości odruchowej, brak pamięci, powstrzymanie na pewnym stopniu rozwoju władz umysłowych, niekiedy nadmiernie szybkiego w okresach początkowych, cierpią na pląsawicę (chorobę św. Wita), zapalenie opon mózgowych, wodogłowie, nerwobóle, są dotknięte ślepotą, głuchoniemotą, jąkają się. Rozwój cielesny często jest upośledzony; obok infantylizmu, karłowatości występują niekiedy zniekształcenia i potworności, jakoto małogłowie, asymetrye czaszki, zniekształcenia kręgosłupa, anomalie zębów, nerek, liczby palców u rąk i nóg, wilcza paszcza, częściowy zanik półkul mózgowych, zanik narządów płciowych, pseudohermafrodytyzm i t. d. Demme przez lat 12 obserwował pod tym względem 10 rodzin przestrzegających umiarkowania w piciu i 10 rodzin pijackich; w pierwszej grupie z 61 dzieci 82% było zupełnie normalnych, a tylko 18% okazywało słabości wrodzone, przejściowe choroby układu nerwowego, i t. p.; w drugiej zaś grupie z 57 dzieci tylko 17% było normalnych, resztę zaś, t. j. 83%, stanowiły dzieci idyotyczne, upośledzone w rozwoju fizycznym, okazujące zniekształcenia wrodzone, cierpiące na drgawki i t. p. Podobne zniekształcenia i potworności, jakie występują u potomstwa alkoholistów, otrzymano sztucznie u potomstwa zwierząt, chronicznie alkoholem zatruwanych (Mairet i Combemale, Hodge, Laitinen). Pisklęta wyklute z jaj, do których wstrzykiwano alkohol (Féré, Rejc) okazywały również pewne potworności, jakoto rozdwojenie kości palców, brak pazurów, skrzyżowanie dzioba i t. p.

Odporność dzieci pijaków na choroby zakaźne jest zmniejszona, a wyzdrowienie z nich utrudnione. Doświadczenia Charrina i Ducleрta wskazują, że alkohol ułatwia przechodzenie zarazków przez łożysko, a tem samem zakażenie przez matkę

płodu, Laitinen zaś znalazł, że młode zwierząt zatruwanych wyskokiem okazują mniejszą odporność na zarazki karbunkułu, gruźlicy i na jad dyfterytyczny.

W tych krajach, w których pijaństwo grasuje, jego skutki fatalne ujawniają się w bardzo wybitny sposób w powolnem wzrastaniu ludności, oraz zdegenerowaniu młodzieży: mały wzrost, słaby rozwój fizyczny, ilość niezdatnego do wojska rekruta stanowią poniekąd miarę nałogu ojców; on to sprowadza głównie depopulacyę Francyi, wolniejszy wzrost ludności niemieckiej jak polskiej w W. Ks. Poznańskinm, nizki wzrost dzisiejszych Szwedów w porównaniu z ich przodkami (Magnus Huss). Jako czynnik degeneracyjny alkohol wśród jadów pierwsze zajmuje miejsce; głównie wódka zgładziła Indyan w Ameryce, a zapewne w niedalekiej przyszłości taki sam los czeka Hotentotów.

W ostatnich czasach zwrócił uwagę Bunge na jeszcze jeden skutek alkoholizmu dziedzicznego, obok anemii niezmiernie częsty u kobiet, mianowicie na utratę zdolności karmienia; z badań przeprowadzonych w Niemczech, Szwajcaryi i Austryi okazało się, że w 67% przypadków matka córki niezdolnej do karmienia sama swe dzieci karmiła, ojciec zaś był pijakiem. Upośledzenie to w starożytności nie było znane, a dzisiaj nie zdarza się ono u kobiet tureckich, armeńskich, arabskich i kurdyjskich; u nas powstało dopiero w nowszych czasach.

Dzieci pochodzące z rodzin pijackich prócz zboczeń fizycznych i umysłowych okazują często upośledzenie zmysłu moralnego; już we wczesnej młodości okazują one złe instynkty, egoizm, skłonność do kłamstwa, okrucieństwo, mściwość, później lenistwo, niestałość charakteru, lekkomyślność, skłonność do zbrodni, zwyrodnienie instynktów płciowych; onanizm u takich dzieci powstaje zazwyczaj nie przez zły przykład, a z wewnętrznego popędu. Wprawdzie często wchodzą tu w grę niekorzystne warunki wychowania i otoczenia, zły przykład, wzrastanie w atmosferze zgnilizny moralnej; uwzględniając jednak bezpośrednie działanie nadużywania alkoholu na sferę moralną człowieka, można przypuszczać, że może i dziedzicznie alkohol

i na tę sferę swój zgubny wpływ wywiera. Cokolwiekbądź, statystyka kryminalna wskazuje, że nieletni przestępcy w bardzo znacznej części pochodzą od rodziców, z których przynajmniej jedno oddaje się pijaństwu. Według Ladame'a w krajach, w których pijaństwo się szerzy i przestępstwa popełniane przez dzieci są częstsze. W zakładach poprawczych szwajcarskich 45—50% przestępców stanowią dziedzicznie obciążeni; w Ameryce w różnych takich zakładach odsetka ta wynosi 23—50%. Helenius przytacza dane tyczące się 150 prostytutek i 100 złodziejek rosyjskich; 69% tych kobiet pochodziło od rodziców pijaków.

Zboczenia powstałe na tle alkoholizmu dziedzicznego występują w kilku generacyach; wobec tego, że do zboczeń tych dołączają się często skutki pijaństwa osobistego, generacye dziedzicznie obciążonych wyrodnieją coraz bardziej, poczem ród pijacki wygasa. Już w końcu XVIII wieku Erazm Darwin podaje, że w rodach pijackich w IV pokoleniu występuje nieprawidłowy rozwój organów płciowych, brak popędu płciowego i niepłodność, tak, że ród wymiera; jeżeli zaś potomkowie pijaków przez jedną lub dwie generacye żyją w trzeźwości, skłonności chorobowe mogą zginąć zupełnie. Z 814 potomków 215 rodzin badanych przez Legraina, 508 w trzech pokoleniach było dziedzicznie obciążonych; w trzeciem pokoleniu okazywali oni przeważnie niemoc płciową. Morel stwierdzał wśród rodzin pijackich w czwartem pokoleniu dziedzicznie obciążonych charłactwo, wrodzone stępienie umysłowe, idyotyzm i prawdopodobieństwo wygaśnięcia rodu.

Zanim jednak taki ród wygaśnie, może on wyrządzić społeczeństwu niepomierne szkody. Z szeregu zbadanych w tym względzie rodów, przytoczę znany w piśmiennictwie fachowem przykład, jaki stanowi opisana przez Dugdale'a w r. 1877 rodzina amerykańska Juke, o której głównej przedstawicielce już wyżej była wzmianka. Protoplasta męski tej rodziny, myśliwy i rybak holenderski, pijak nałogowy, miał syna, który był żonaty z dwiema z sześciu sióstr; jedną z jego żon była Ada Juke, urodzona około 1740 r., zmarła w 1825 r., znana pijaczka, złodziejka i włóczęga; 3 siostry jej miały przed zamążpójściem

nieślubne dzieci. Progenitura tych sióstr, głównie Ady, wynosiła w sześciu pokoleniach 834 potomków, z których 709 można było zbadać: 300 niemowląt w tej rodzinie zmarło; wsród członków rodziny było 181 prostytutek, 18 właścicieli domów rozpusty, 142 żebraków, 77 zbrodniarzy, wśród nich 7 morderców; spędzili oni razem 96 lat w domach dla ubogich, a przez 734 lata poza przytułkami utrzymywali się z udzielonych im wsparć; 85 cierpiało na charakterystyczne dla zdegenerowanych choroby, 67 z nich przechodziło kiłę; już w drugiem pokoleniu 60% kobiet było nierządnicami, w piątem zaś prawie wszystkie kobiety były prostytutkami, a mężczyźni zbrodniarzami; w szóstem pokoleniu najstarsze dziecko miało dopiero 7 lat, gdy już 6 musiano umieścić w przytułku. Rodzina Juke stanowi smutną ilustracyę sentencyi Tulpina, że *corrupta sunt semina ebriorum.*

Że istotnie alkoholizm jednego tylko z rodziców wystarcza do dziedzicznego obciążenia potomstwa, dowodzą liczne przypadki, w których ojciec pijak przez szereg lat miał potomstwo patologiczne, a po zaprzestaniu picia począł płodzić dzieci zdrowe, jeżeli zaś potem znowu pić zaczął, dzieci rodziły się bądź nieżywe, bądź przedwcześnie, okazywały różne zboczenia fizyczne i umysłowe i w pierwszych latach życia ginęły. Znane są także przypadki, w których kobiety pijaczki stale roniły, a po wyrzeczeniu się trunków rodziły dzieci zdrowe, oraz takie przypadki, w których jedne i te same kobiety po owdowieniu po mężu pijaku, z którym potomstwa nie miały, z drugim mężem, trzeźwym, miewały zupełnie zdrowe dzieci.

Wobec tego że wyskok wprowadzony do żołądka niezmiernie szybko, jak to już wyżej zaznaczono, dostaje się do komórek rozrodczych, które zatruwa, już nie chroniczne upijanie się, ale nawet jednorazowe, okolicznościowe upicie się człowieka zresztą zupełnie trzeźwego wystarcza do tego, by jego potomek w tym czasie poczęty był dziedzicznie obciążony; by okazywał skłonności do chorób nerwowych i umysłowych, wrodzone stępienie inteligencyi, cierpiał na padaczkę, krzywicę i t. d. Już starożytni zdawali sobie z tego sprawę; pomijając różne dane z mitologii, świadczy o tem między innemi prawo

starożytnej Kartaginy, które zabraniało małżonkom stosunku, gdy jedno z nich było pod działaniem wina.

Spostrzeżenia z nowszych czasów zapatrywanie starożytnych w tym względzie zupełnie potwierdzają. U chłopów pierwsze dziecko często okazuje upośledzenie umysłowe, co prawdopodobnie jest w związku ze sutą libacyą po ślubie; we Francyi zauważono, że dzieci robotników kopalnianych, którzy przez cały tydzień zajęci są poza domem i widują się z rodziną tylko przez niedzielę, co często daje sposobność do nadużywania trunków wyskokowych, w dużej części okazują głupkowatość, idyotyzm, cierpią na wodogłowie, epilepsyę i t. d.; dzieci te nazwano *enfants du dimanche* (Lunier). W Westfalii podobne poczyniono spostrzeżenia (Ruer). Według Francka we Francyi najwięcej dzieci nieżywo urodzonych jest wśród dzieci urodzonych w grudniu i styczniu, a więc poczętych podczas karnawału. Wreszcie spostrzeżenia nauczycieli ludowych w Austryi Dolnej (Fröhlich), wskazują również poniekąd, jak silnym jadem dziedzicznym jest alkohol; według tych spostrzeżeń, jeśli dzieci szkolne okazują szczególny brak zdolności do nauki, można z pewnością twierdzić, że przed sześciu laty zbiór wina był bardzo pomyślny.

Dziedziczne obciążenie alkoholizmem najczęściej przekazuje potomstwu ojciec pijak; nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że i matka podobny wpływ na potomstwo wywrzeć może. Niektórzy autorzy twierdzą nawet, że wpływ matki jest silniejszy jak wpływ ojca. Na zasadzie odnośnych spostrzeżeń trudno jest ocenić, czy tak jest istotnie, natomiast jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że upijanie się matki, będącej w stanie poważnym, może wywrzeć wpływ szkodliwy na płód w różnych okresach jego rozwoju. Doświadczenia Nicloux, który na godzinę przed porodem podawał kobietom alkohol, a po porodzie wykrywał go we krwi płodowej z pępowiny, świadczą, jak szybko wyskok ze krwi matki do płodu przechodzi.

Jakkolwiek alkoholizm chroniczny powstaje w pewnej części przypadków jako choroba na tle obciążenia dziedzicznego, czy to wskutek alkoholizmu, czy psychopatyi przodków, powstaje on także u ludzi dziedzicznie nie obciążonych, jako oso-

bisty ich nałóg, a więc właściwość nabyta. Smutne następstwa tej własności nabytej mogą być potomstwu dziedzicznie przekazane.

W nauce o dziedziczności od czasów Darwina panuje prawie powszechnie pogląd, że dziedziczą się tylko własności wrodzone, a że własności nabyte się nie dziedziczą. Pogląd ten opiera się w znacznej części na ujemnym wyniku doświadczeń na zwierzętach, w których starano się przekazać potomstwu własności nabyte przez rodziców, a nie liczy się zupełnie ze spostrzeżeniami lekarzy i hodowców zwierząt domowych. Rzeczone doświadczenia, za wyjątkiem doświadczeń Brown-Séquarda, dały istotnie wyniki ujemne, ale, po pierwsze, dają one duże pole do krytyki, powtóre zaś, dlatego właśnie, że dały wyniki ujemne, rzeczy bynajmniej jeszcze nie rozstrzygają; nadto, prócz spostrzeżeń lekarskich i hodowlanych niektóre w nowszych czasach poczynione obserwacye, tyczące się drobnoustrojów, wskazują, że w pewnych warunkach i nabyte własności ustroju mogą być dziedzicznie przekazane. Jak dalece znamienny i wybitny wpływ dziedziczny wywiera alkohol na ustrój, niech świadczy ta okoliczność, że jedna z największych powag w nauce o dziedziczności, znany biolog Weissmann, gorący wyznawca zasady, że własności nabyte się nie dziedziczą, dla alkoholizmu, podobnie jak dla epilepsyi, oraz odporności na pewne choroby, czyni wyjątek; Weissmann uznaje stwierdzony fakt dziedzicznego przekazywania działania alkoholu nawet wówczas, gdy alkoholizm przodka był nabyty i określa tylko dziedziczność tę inną nazwą, mianowicie jako zakażenie lub zatrucie zawiązków *(Ansteckung der Keime, Gifttransport).*

Że stałe lub częste upijanie się trunkami wyskokowymi, a nawet jednorazowe ich nadużycie jest rzeczą zdrożną, a dla zdrowia wielce szkodliwą, wiedzą i uznają wszyscy, tak że badania lekarskie w tym kierunku mogły tylko fakt znany i uznany od dawna bliżej w szczegółach fizyologicznych wyświetlić. Zupełnie inaczej przedstawia się kwestya używania spirytualiów w ilościach „małych“ a względnie „umiarkowanych“.

(C. d. n.).

Karol Klecki.

WŚRÓD RUIN EFEZU.

Ze Smyrny do Ajassuluk wioski położonej tuż przy ruinach Efezu — przestrzeń 77 kilometrów przebyłem w towarzystwie ks. Junga, Lazarysty koleją żelazną w ciągu 3 godzin. Jechaliśmy okolicą piękną, bogatą, położoną między dwoma pasmami gór, w której rozsiadły się wioski i miasteczka Budżia, Sedikej, Dżimowassi, Malgaczik, Trianda, Turbali, wreszcie Dżelat-Cafe, dosłownie: morderców kawiarnia. Tam rzeczywiście zbierają się mordercy i układają napady na karawany idące z głębi Azyi do Smyrny lub odwrotnie: z tego miasta na daleki Wschód.

Słońce dopiero wznosiło się na horyzont, nie wysuszyło więc jeszcze rosy obfitej zawisłej kroplami na krzewach, trawach i kwiatach, i wydobywało z nich tęczowe barwy jakby z rozsypanych brylantów. Stada owiec, osłów, koni i wielbłądów w niezakłóconej harmonii przesuwały się jedne obok drugich i rozkoszowały bujną paszą przy rannym chłodzie; tylko bawoły stały na uboczu, dumnie podnosząc głowę na przesuwający się pociąg lub leniwie leżały w bagnach iłowatych.

Pomimo tylu nowych obrazów, umysł niczem innem nie mógł się zająć jak myślą o Efezie, zamykającym w sobie nieprzerwany łańcuch dziejów trzech tysiącleci, z któremi się łączą najpiękniejsze chwile zawiązków i wzrostu pierwszych gmin chrześcijańskich.

Zanim przypatrzymy się z bliska rozlicznym ruinom, które nam szczegóły z historyi Efezu opowiedzą, rzućmy okiem na

jego położenie i niektóre fakta z przeszłości, bez czego trudno byłoby nam niejedną rzecz zrozumieć.

Podobnie jak Smyrna, także i Efez w prostej linii na południe od niej położony, ma swoją zatokę, a w owej epoce, o której wypada nam mówić, z morzem był połączony kanałem. Połączenie to nie było bezpośrednie, lecz przez rzekę Kaistros, opływającą Efez od strony północnej, i wpadającą do morza naprzeciw miasta. Na zachód od Efezu, na morzu Egejskiem, widzimy najbliżej położoną azyatyckich wybrzeży wyspę Samos, która miała odegrać ważną rolę w dziejach tych stron. Na południu znajduje się starożytna droga, prowadząca do innych miast Azyi mniejszej — aż do Jerozolimy i dalej na Wschód daleki. Z wyjątkiem wąwozu, którym płynie Kaistros dokoła efezkiej doliny znajduje się pasmo gór zamykając ją z trzech stron: od północy, wschodu i południa — stronę zachodnią stanowi morze Egejskie.

Widzimy więc, że ze stanowiska strategicznego położenie Efezu, zwłaszcza na tysiąc i więcej lat przed erą chrześcijańską było znakomite, dziwić się więc nie można, że od najdawniejszych czasów kuszono się o jego zdobycie.

Historya nam podaje, że najstarszym ludem, zamieszkującym ujście rzeki Kaistros do morza Egejskiego byli Kariowie, czyli Karyjczycy, do których w ciągu wieków przybyli jako koloniści kupcy feniccy, następnie inne ludy z najdalszych stron ówczesnego znanego świata; punktem atrakcyjnym tych wychodźców była świątynia poświęcona czci bogini Dyany i *ius asili*, jakie przyznano wszystkim chroniącym się pod jej opiekę. Najwyższy zwierzchnik świątyni, zwany Magabyzes, miał do swej pomocy cały zastęp kapłanów i kapłanek, których zadaniem było nie tylko stać na usługach świątyni, lecz i bronić ją z orężem w ręku w razie nieprzyjacielskich napadów[1]. Sposobność ku temu nadarzyła się zapewne nieraz, a historya wspomina, iż w czasie jońskich wędrówek (r. 1040 przed Chr.) Grecy wychodźcy kilka razy odparci zostali przez wojownicze kapłanki,

[1] Pauzaniasz VII, II, 7.

zanim z zajętej już poprzednio wyspy Samos pod wodzą Androklésa udało się im wprawdzie nie zdobyć święty gród, lecz obok niego założyć nowy, Efez dzisiejszy. Wzajemny stosunek tych dwu miast do siebie: greckiego Efezu i grodu Dyany stanowi najciekawszą historyę, która zrazu obfitowała w ostre zatargi i krwawe zapasy, lecz z biegiem czasu zmieniła się we wzajemną przyjaźń pomimo obustronnego zachowania swej samodzielności. Zresztą sąsiedztwo z „miastem świętem“, Artemisium bardzo było wygodne dla mieszkańców Efezu, albowiem ilekroć zaborczy sąsiad usiłował opanować ujście Kaistrosu, mieszkańcy chronili się pod opiekę świątyni Artemizy, na którą targnąć nikt się nie odważał. Tak uczynili, gdy Krezus, pan Lidyi, wkroczył do Efezu, podobnie gdy Persowie w zwycięskim pochodzie szli ku Europie. Xerxes w tak wielkiem poszanowaniu miał świątynię Dyany (Artemisy), iż nawet pozostawił w niej swe dzieci, gdy sam wyruszał na czele wojska do Grecyi.

Aż do bitwy Aleksandra W. pod Granikiem (334 przed Chr.) Efez dzieli losy koalicyi 12 miast jońskich, wśród których pierwsze miejsce zajmował. Do największego rozkwitu dochodzi jednak za czasów Aleksandra W. i Lizymacha, którzy mądremi zarządzeniami wyzwolili Efez od hegemonii „miasta świętego“. Równocześnie i temuż grodowi świadczyli przysługi, a przedewszystkiem odrestaurowaniem po pożarze świątyni Dyany, która przebudowana kiedyś mistrzowskim pomysłem Kersifona, była w starożytności „jednym z siedmiu cudów świata“, a w każdym razie pomnikowym wzorem stylu jońskiego. Ośm kolumn marmurowych 20 metrów wysokości ozdabiało jej front, wszystkich zaś razem w świątyni było 127, również z marmuru, z tych 36 kolumn w dolnej części posiadały piękne płaskorzeźby *(columnae caelatae)*. Napisy na nich przekazały potomności imiona fundatorów, czcicieli bogini. Zresztą cała Azya składała się na koszta tej olbrzymiej (137 m. dł. na 71 m. szerokości) budowli, trwającej z górą dwa wieki.

W r. 129 przed Chr. Efez stał się metropolią rzymskiej prowincyi Azyi. Każdy prokonsul przybywający na objęcie swego urzędu pierwszy swój wjazd tryumfalny był obowiązany

odbyć w Efezie, a to ze względu na świątynię Dyany. Boć nie tylko greccy mocarze Macedonii, Persyi, ale również i cesarze rzymscy jakby wyprzedzali się w kulcie Artemizy, i już to na monetach bitych za swych rządów przedstawiali jej wizerunek lub świątyni efezkiej — już to cenne podarki wysyłali do Efezu na przebłaganie bożyszcza. *Corpus inscriptionum graecarum* podaje nam z napisów efezkich szereg najrozmaitszych urzędów całej plejady osób obojga płci, pozostających na usługach Dyany. Są tam wielcy kapłani i pod ich zarządem eunuchy, wieszcze czyli teolodzy, śpiewacy hymnów, bidele niosący berła, tłumacze wróżb, ofiarnicy i akrobaci i wiele innej służby. Liczne kapłanki (μελλιέραι ἱέραι lub παριέραι) i służebnice (κοσμητεῖραι) miały obowiązek czuwać nad samą olbrzymią statuą Dyany, ustawioną pośrodku świątyni, i grać w czasie uroczystości na rozmaitego rodzaju instrumentach muzycznych. Dodajmy jeszcze spory zastęp złotników i rzeźbiarzy, trudniących się wyrabianiem ze złota, srebra, kości słoniowej lub terrakotty miniaturowych posążków Dyany lub jej świątyni, chętnie kupowanych przez pielgrzymów: a będziemy mieli jakie takie pojęcie, ile to osób było zajętych w Artemizyum pośrednio lub bezpośrednio kultem Dyany [1].

Któż odważyłby się tutaj targnąć na taki majestat i głosić kult inny? Na tę odwagę zdobył się św. Paweł apostoł — w oczach pogan ubogi tkacz płótna — pracą rąk własnych zarabiający na życie. Jego przybycie do Efezu spowodowało zupełną zmianę stosunków dotychczasowych, która się uwydatniła również, jak zobaczymy, i w budowlach miejscowych.

Józef Flawiusz wspomina [2], że liczna gmina żydowska w Efezie uzyskała u władz rzymskich w I wieku przed Chr. bardzo znaczne przywileje, a między innemi zwolnienie od obowiązku służenia w wojsku rzymskiem i zupełną swobodę wyznawania swojej religii. Mogli więc Żydzi bez przeszkody uda-

[1] Cf. F. Vigouroux: *Dictionnaire de la Bible*, t. II, p. 1407 i 1831. Ed. Paris, 1899.

[2] *Antiquitates Iud.*, XIV, 8, 11—13.

wać się do świątyni jerozolimskiej wedle swych ustaw i zwyczajów. Wieść o przyjściu Mesyasza łatwo mogła do nich się dostać, może nawet który z efezkich Żydów był obecnym Zesłaniu Ducha św. na apostołów, skoro Dzieje Apostolskie[1] wspominają także o przybyszach z Azyi jako świadkach tej pamiętnej chwili. I rzeczywiście, gdy św. Paweł przybył do Efezu, zastał już niektórych Żydów wierzących w przyjście Mesyasza i ochrzczonych chrztem św. Jana Chrzciciela. Była to jednak tylko mała garstka Żydów dobrej woli, nie umiejąca oddziaływać na szerokie warstwy efezkiego pogaństwa.

Pierwszy św. Paweł miał odwagę wystąpić z otwartą przyłbicą do walki i publicznie głosić nową naukę i nowy kult Chrystusa. Skutek jego misyi był nadspodziewany. Nie tylko Żydzi, ale i poganie poczęli wierzyć jego słowom — znosili zabobonne księgi i publicznie palili takowe na ulicach miasta. Czciciele, a więcej jeszcze fabrykanci posążków Dyany zatrwożyli się o swoją materyalną przyszłość, gdy kult bogini będzie zachwiany: wzniecili więc rozruchy w mieście, które ostatecznie wprost przeciwny skutek wywarły: większy rozgłos dla nowej nauki i wzrost liczby wierzących[2].

Nic nie pomogło w następnych latach ani prześladowanie chrześcijan przez Trajana, ani rozpowszechnienie kultu Dyany przez jej wizerunki na monetach cesarzów Hadryana i Waleryana. Upadł kult wielkiej Dyany efezkiej — Chrystus i tutaj odniósł zwycięstwo. Po moralnym upadku tego kultu — niebawem nastąpił również materyalny. Już w r. 262, za przybyciem Gotów do Efezu, świątynia Dyany, ten „siódmy cud świata", z ziemią została zrównaną. Ocalałe kolumny i cenniejsze części tej budowli przewieziono do Konstantynopola. Pozostałe reszki brył marmurowych, połamanych kolumn, pilastrów, fryzów dla większości podróżników nawet w przybliżeniu nie mogą dziś podać obrazu, czem była kiedyś świątynia Dyany. Potrzeba było pełnego intuicyi zmysłu archeologów, aby na podstawie

[1] R. II, w. 9.
[2] Dzieje ap., r. XIX, w. 1—7.

danych w dziełach starożytnych pisarzy greckich przedstawić możliwie wierny obraz wzoru jońskiej architektury.

Są jednak jeszcze inne zabytki lepiej zachowane, którym warto się przypatrzyć. I tak najpierw sama stacya kolei żelaznej przypomina nam swą nazwą turecką Ajassuluk wyrazy greckie Ἅγιος Θεολόγος — powszechnie na Wschodzie używany tytuł św. Jana Ewangelisty. Od pobytu, a może jeszcze bardziej od grobu „najmilszego ucznia" Chrystusa Pana, z biegiem wieków Efez a raczej dawne Artemisium zmieniło swą nazwę wgród

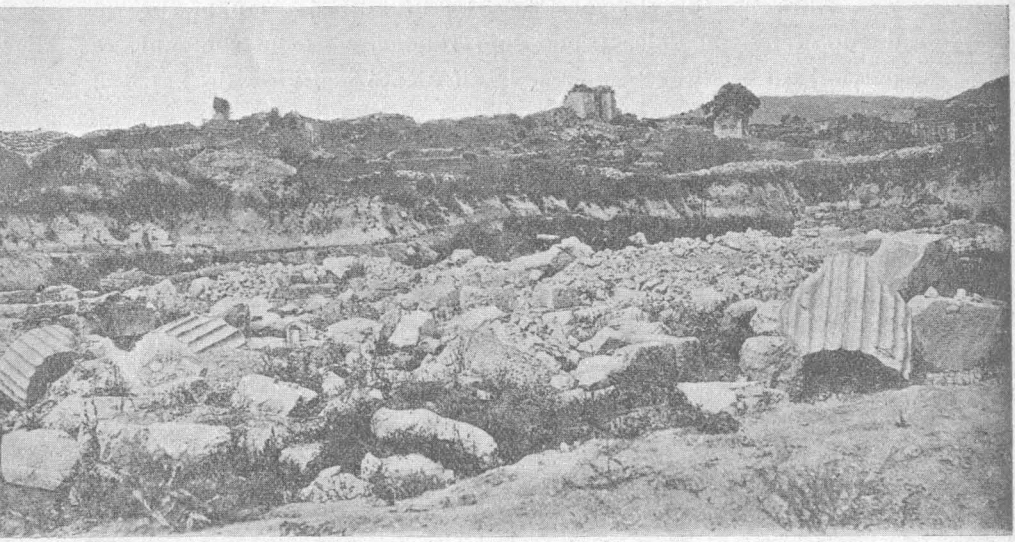

Ruiny świątyni Dyany efezkiej.

św. Jana — bo nie co innego zdaje się oznaczać turecka wioska Ajassuluk [1].

Zresztą słusznie ten tytuł jemu się należy, skoro po św. Pawle on właściwie jest założycielem Kościołów w Małej Azyi.

[1] Niektórym się zdaje, że *Ajassuluk* powstało od wyrazu tureckiego *ajazlik*, co oznacza półksiężyc, lub „święte", w czem *lik* jest końcówką rzeczownika; innym zdaje się, że oznacza miasto św. Łukasza, ἅγιος Λουκᾶς, którego grób pokazują wśród ruin, lub *Aja-Suluk* = woda święta czyli miejsce święte z wodą świętą. Cf. *Stimmen aus Maria-Laach* Bd. LI, S. 473 i *Panaghia-Capouli*. Paris 1896, p. 89.

Św. Hieronim wspomina [1], że po zamordowaniu cesarza Domicyana, za cesarza Nerwy, św. Jan powrócił z patmoskiego wygnania do Efezu i tam aż do czasów Trajana przebywał, gdzie i założył i rządził Kościołami Azyi aż do swej śmierci w r. 68 po Chr. Powagę jego na Wschodzie podnosiła i ta okoliczność, iż jako opiekun Najświętszej Panny, przez samego Chrystusa na to powołany [2], po Wniebowstąpieniu Pańskiem z Matką Zbawiciela razem mieszkał opodal od Efezu w Panagia Kapuli — jak powiada stara tradycya miejscowa.

Zaraz za przybyciem do Ajassuluku, zanim nam sprowadzono konie do dalszej podróży, udaliśmy się na śniadanie do jedynej miejscowej kawiarni Dżelát-Kafé — dosłownie kawiarni morderców — gdyż, jak to wyżej powiedzieliśmy, w niej zwykle zbiera się banda opryszków operująca w całym wilajecie smyrneńskim [3].

Po skromnym posiłku siedliśmy na przyprowadzone wierzchowce i wyruszyliśmy w drogę. Po lewej stronie mieliśmy przed sobą szereg potężnych pilastrów (niektóre są 15 m. wysokości), pozostałych z wodociągu rzymskiego. Nader malowniczy przedstawiają one widok na tem pustkowiu, do czego przyczynia się stado bocianów, które na ich szczytach utworzyło

---

[1] *De Scriptoribus Ecclesiasticis.* Cf. *Breviarium Rom.* d. 27 Decembr. II Noct lect. V.

[2] Ew. św. Jana r. XIX, w. 25 - 27.

[3] O niej czytam wiadomość nadesłaną ze Smyrny 3 lipca 1902 r.; „Grasowała tu od dawna banda rozbójnicza, złożona z 40 osób. W Małej Azyi była ona prawdziwym postrachem włościan. Pasza wilajetu smyrneńskiego przyrzekł ułaskawić ich, jeżeli złożą broń i zechcą żyć w poszczególnych wsiach, jako spokojni obywatele. Oprócz tego pasza zarządził dla rabusiów składkę, która przyniosła pokaźny wynik. Onegdaj rabusie zgromadzili się w konaku (w urzędowem mieszkaniu paszy), gdzie policya turecka przyjęła ich serdecznie. Następnie uwiadomiono ich, że pasza ich przyjmie, przedtem jednak mają złożyć broń, na znak, że się poddają. Poznali oni po tem, że traktują ich jak więźniów. Nie dali jednak za wygranę. Całą straż wojskową pozabijali i wtargnęli do pokoju paszy, gdzie dwom urzędnikom poodcinali głowy a sekretarza pokaleczyli. Po długiej walce ze sprowadzonym pułkiem wojska tureckiego, część rabusiów powystrzelano a część żywcem ujęto. Nazajutrz głowy ich umieszczono na konaku".

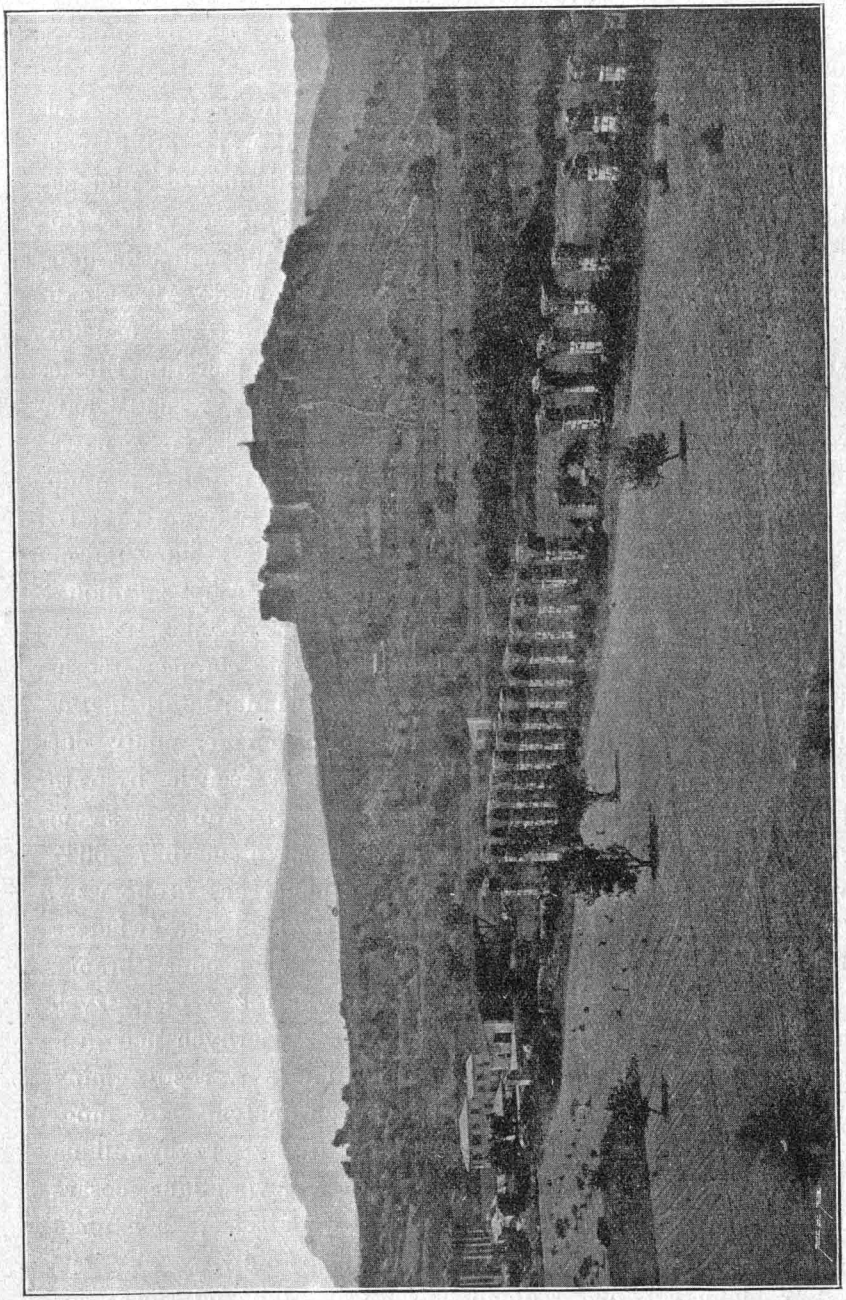

Ruiny wodociągu i starożytnego zamku.

sobie gniazda. Pilastry, budowane częścią z cegły, częścią z brył kamiennych i marmurowych dawnych gmachów Efezu, są jakby muzeum w otwartem polu, przechowującem najrozmaitsze ułamki architektoniczne i cenne napisy greckie i łacińskie. Z poblizkich gór Paktyasu, położonych w stronie południowej wioski Ajassuluk, sprowadzał ten wodociąg wodę na dolinę dawniej zamieszkałą u stóp zamku starożytnego, którego ruiny dość dobrze zachowane, na szczycie pagórka dominują nad całą okolicą. Zamek leży po prawej stronie od wyjazdu do Ajassuluku. Stara tradycya podaje, że w tym zamku mieszkał udzielny książę, którego odwiedzał Jan św. podczas swego pobytu w Efezie.

U wstępu doliny położonej pod zamkiem wypada nam przejechać obok tak zwanej „bramy prześladowania". Jest to olbrzymia budowla, wykonana z kamiennych i marmurowych ciosów. Wyjęto je z ruin starożytnego stadyum i teatru, jak świadczą o tem litery greckie i lwie łapy zachowane na niektórych ciosach. Nad jej sklepieniem przechowały się ułamki płaskorzeźb przedstawiających śmierć Patrokla, również Hektora opłakiwanego przez swych przyjaciół, wreszcie chłopca staczającego się na kubłaki wina wśród gałązek winnej latorośli. Podobno te sceny wyjęte z Illiady a źle zrozumiane, miały dać początek nazwie „brama prześladowania". Właściwie było to warowne wejście do cytadeli chrześcijańskiej, która w swym obrębie posiadała sławną bazylikę cesarza Justyniana (527—564), wystawioną przezeń w r. 540 pod wezwaniem i nad grobem św. Jana Ewangelisty. O obronnej pozycyi tego miejsca świadczą resztki potężnych murów i dwie wieże, wystające ponad bramą, również wykonane z ciosu dawnych budowli. Już w pierwszych wiekach istniał kościółek, wystawiony przez wiernych nad grobem św. Apostoła; ponieważ jednak w miarę wzrostu gminy chrześcijańskiej w Efezie o wiele był za małym, aby mógł wszystkich w swych murach pomieścić, którzy przybywali na uczczenie miejsca uświęconego pobytem śś. Pawła i Jana, cesarz Justynian wystawił wielką bazylikę na wzór tej, jaka istniała w Konstantynopolu pod wezwaniem śś. Apostołów.

W ciągu wieków średnich Kościół św. Jana odgrywał po-

dobną rolę, jak świątynia „wielkiej Dyany Efezkiej“ w starożytności. Co roku, prawdopodobnie 26 września, obchodzono tutaj uroczystość religijną, której towarzyszył kiermasz dla całej okolicy. Tak wielki był przy tej sposobności napływ kupców i kramarzy, że z końcem wieku VIII dochód urzędu cłowego w tym dniu każdego roku wynosił około 100 funtów złota, t. j. prawie pół miliona koron naszej monety. Konstantyn VI, po zwycięstwie odniesionem nad Arabami 8 maja r. 795, przybył do Efezu, a chcąc dopomódz kupcom, obniżył stopę cła od towarów, wskutek czego zmniejszył równocześnie dochody zarządu bazyliki św. Jana[1].

W następnych wiekach, po utworzeniu się państwa mongolsko-tureckiego na wybrzeżach Małej Azyi, kościół św. Jana zniknął z widowni. Jeszcze do niedawna pokazywano ruiny olbrzymiej budowli między Ajassulukiem a zamkiem i mówiono, że są to ruiny wielkiego kościoła św. Jana, zbudowanego, jak to wyżej powiedzieliśmy, przez cesarza Justyniana. Z biegiem czasów miano ten kościół zamienić na meczet, w końcu i ten runął. Przy dalszych badaniach okazało się, że ta budowla pochodzi z czasów znacznie późniejszych, zbudowana przez jednego z sułtanów Seldżukidów[2] z Aidinu, którzy nad tą okolicą panowali między r. 1300 a 1424. Z dawnego kościoła, położonego zaledwie paręset kroków od owego meczetu, pozostały resztki murów bezkształtnych, a pod niemi niezawodnie znajduje się grób św. Jana. Z jakiemże miłem uczuciem zbliżaliśmy się do tego *sanctuarium* chrześcijańskiego, lecz równocześnie i żal ogarniał serce, iż grób Apostoła i Ewangelisty dziś jeszcze niedostępny dla publicznego kultu. Podczas gdy zabytki pogańskie, opodal leżące, znalazły badaczy, dawniej angielskich pod przewodnictwem p. Wooda, obecnie Komisyi archeologicznej

---

[1] Wspomina o tem smyrneński archeolog prof. G. Weber w cennej broszurze o Efezie: *Guide du voyageur a Ephèse etc.* par G. Weber. Avec l'autorisation du Ministère de l'Instruction publique. Smyrne. 1891. P. 38 i nast.

[2] Założycielem tej dynastyi był Seldżuk, emir Turkestanu.

austryackiej, która prowadzi poszukiwania w starożytnym Efezie: chrześcijańskie pomniki czekają jeszcze na opiekuna.

Ruiny, o których dotychczas wspomniałem, znajdują się w obrębie starożytnego Artemisium. Właściwy Efez znajdował się w stronie południowo-zachodniej, w odległości 7 stadyów od Artemisium, otaczał górę Pion i rozpościerał się aż ku morzu, z którem połączony był kanałem spławnym. Okręty w czasie burz morskich lub w porze zimowej miały wygodny port, którym kanał kończył się prawie przed samem *forum*.

Starożytną drogą, *via Sacra*, dostajemy się z ruin kościoła św. Jana na ścieżynę okalającą górę Pion i ruiny Efezu. Miejscowa ludność nazywa tę drogę *Kanjol*, co dosłownie znaczy Droga krwi, gdyż na niej karawany idące do Azyi, od najdawniejszych czasów były napadane, rabowane i niejednokrotnie mordowane. Pomimo tego jeździ się tędy, gdyż niema innej mniej niebezpiecznej a wygodniejszej drogi. Gdzie rzucę okiem widzę łany zasiane zbożem o źdźbłach tak wysokich, że gdym jechał na koniu średniej miary, kłosy dostawały mi do głowy. Wśród zboża i trawy widać rozgrzebane groby, gdzieniegdzie sarkofagi, połamane kolumny marmurowe lub szczątki budowli. Co było cenniejszego, a niewielkich rozmiarów, Anglicy wywieźli do swojej ojczyzny. Obecnie nawet na same badania naukowe potrzeba firmanu sułtana, a jeśli znajdzie się co cennego, nie wolno wywozić poza granice Turcyi, lecz wszystko oddaje się do sułtańskiego muzeum w Konstantynopolu. To też obecnie Komisya archeologiczna austryacka, systematycznie prowadząc roboty około odgrzebania ruin efezkich, ma przed oczyma nie materyalny zysk z rabunku cenniejszych przedmiotów — jak dawniej inni robili, lecz jedynie moralną zdobycz dla badań naukowych.

Zbliżamy się ku bramie Magnezyjskiej, droga zbacza od podgórza Lepré, następnie rozdziela się w dwu kierunkach: na południe do miasta Magnezyi i Jerozolimy i na zachód do wnętrza Efezu. W tem właśnie miejscu znajdujemy bardzo ciekawy zabytek przeszłości, tak zwaną k o l u m n a d ę retora Damianosa,

która służyła za miejsce schronienia procesyom udającym się w pielgrzymce do świątyni Dyany.

Brama Magnezyjska, wyłożona była płytami marmurowemi, u wejścia ozdobiona takimiż sarkofagami o pięknej płaskorzeźbie. Miała dwa wejścia: jedno dla wozów jadących ku świątyni Dyany, drugie dla wracających do Magnezyi. Po obydwu stronach bramy wystają wielkie, potężne wieżyce obronne.

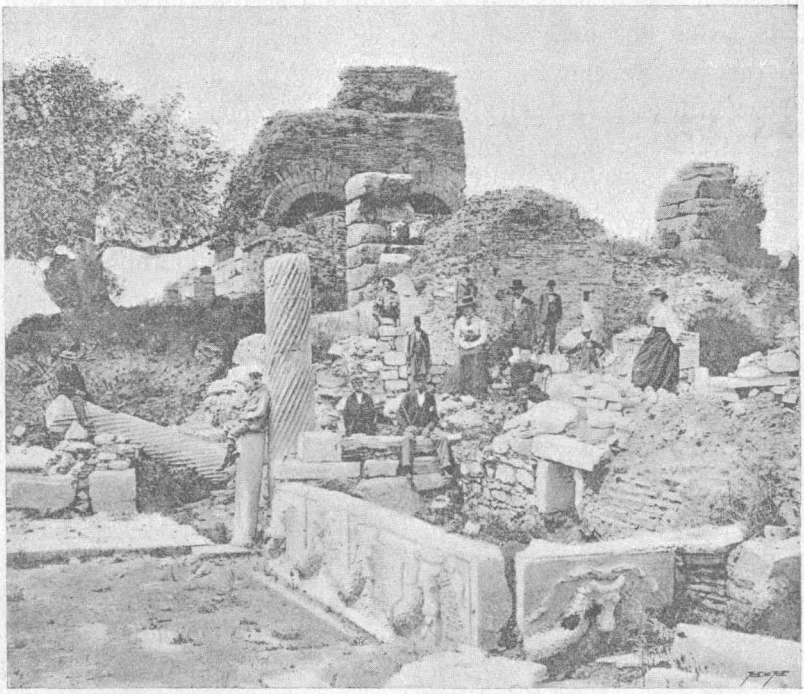

Miejsce sprzedaży (najnowsze wykopaliska).

Po prawej stronie ścieżki prowadzącej do centrum miasta, zaraz obok bramy Magnezyjskiej znajdują się ruiny gimnazyum Opistholepre — tak nazwane, ponieważ znajdowało się u podnóża Lepré-Acté — stoku góry Pion. Paręset kroków dalej, po lewej stronie ścieżki, widzimy świątynię rzymską, której fasada cała z białego marmuru, przed nią sześć kolumn jońskich bez kanelurów. W późniejszych czasach była ona zamienioną na kościół. Po stronie południowej tych ruin znajduje się tak zwany „grób

św. Łukasza" z białego marmuru, tylko w części zachowany. Na pozostałym odłamie marmurowym widzimy płaskorzeźbę krzyża bizantyńskiego, a pod nim wołu. Wniosek stąd wyprowadzono, że ten wół jest symbolem ewangelisty św. Łukasza. Gdy jednak nieco dokładniej przypatrzymy się tej płaskorzeźbie, poznamy ze samego wyrobu, że krzyż jest wprawdzie z epoki bizantyńskiej, lecz płaskorzeźba wołu znacznie wcześniejszą. Wiadomą jest rzeczą, że już w odległej starożytności kult wołu był bardzo rozpowszechniony, jak świadczą rozliczne pomniki dotychczas przechowane w Egipcie, w Azyi Mniejszej, a w najświeższych czasach znalezione także na Krecie. Prawdopodobnie płytę z płaskorzeźbą starożytną wołu użyto do chrześcijańskiego pomnika w czasach bizantyńskich.

W zachodniej stronie „grobu św. Łukasza", idąc tą samą ścieżką u podnóża góry Pion, dostajemy się do ruin budowli, którą nazwano „sprzedażą wełny", a to dlatego, ponieważ znaleziono tam pomnik Vediusa Antonina a pod nim napis, że go wystawili mu handlarze wełny *(lanarii)*. Opodal na pagórku znajduje się grób okrągły, podobny do Cecilii Metelli na *via Appia* pod Rzymem. Prawie naprzeciw niego zbudowano Odeon, zagłębieniem swojem wcięty w podnóże góry Pion, cały z białego marmuru. Układem swoim bardzo przypomina Odeon w Atenach pod Akropolisem fundacyi Heroda Attyka, lecz jest nieco mniejszy. U szczytu zdobi go kolumnada z czerwonego granitu. Podobno mógł on pomieścić widzów 2.300. Obok Odeonu widzimy na pagórku ruiny świątyni rzymskiej, obok niej resztki kościoła z czasów bizantyńskich.

Kilkadziesiąt kroków dalej a już stajemy w samem centrum dawnego Efezu, gdzie życia publicznego tętno najsilniej biło. Oto A g o r a — plac publiczny z greckiej epoki, który tę samą rolę odgrywał w Grecyi i jej koloniach, co *forum* u Rzymian. Plac kwadratowy, pośrodku studnia, dokoła zamknięty portykiem, za którym stały sklepy i magazyny kupców efezkich, jak wogóle na Wschodzie, otwarte do wnętrza. Od strony zachodniej wychodziło się z Agora na wązką uliczkę, która po obydwu stronach miała również sklepy i magazyny kupieckie,

tworząc z Agorą jakby jedną całość. Z mnóstwa marmurowych ułomków kolumn, kapiteli, pilastrów i t. d., można sobie uformować obraz, jak pięknem i bogatem było to miejsce zebrań i politycznych rozpraw efezkich obywateli. A nie tylko materyalny interes ściągał tu mieszkańców. Zaraz obok Agora prawie doń przytykał wspaniały teatr głęboko wcięty stroną tylną w górę Pion, amfiteatralnie zniżający się swemi siedzeniami ku stronie zachodniej. Jak olbrzymich rozmiarów była ta budowla, wystarczy powiedzieć, iż był obliczonym na pomieszczenie

Agora.

42.500 osób. Wchodziło się doń przez marmurową kolumnadę w znacznej części dotychczas zachowaną, chociaż całość bardzo ucierpiała z biegiem wypadków dziejowych. Tutaj właśnie odbywała się owa scena ze świętym Pawłem i jego uczniami, o której wspominają malowniczo Dzieje Apostolskie (R. XIX).

Obok teatru znajduje się gimnazyum, poniżej zaś forum, zabytek z czasów rzymskich. Na zachodniej stronie przechowały się ruiny drugiego, tak zwanego wielkiego gimnazyum, którego sam korytarz wewnętrzny jest długi na 156 metrów.

Cała ta budowla jest z cegły, tylko niektóre jej części zewnętrzne i pilastry wykonano z brył marmurowych.

Na północnej stronie forum dochodzimy do przesławnej podwójnej bazyliki, sięgającej pierwszych czasów chrześcijaństwa w Efezie. Z niewypowiedzianie miłem uczuciem wchodziliśmy w mury prastare, które w r. 431 zgromadziły wśród siebie członków trzeciego powszechnego soboru, na uśmierzenie

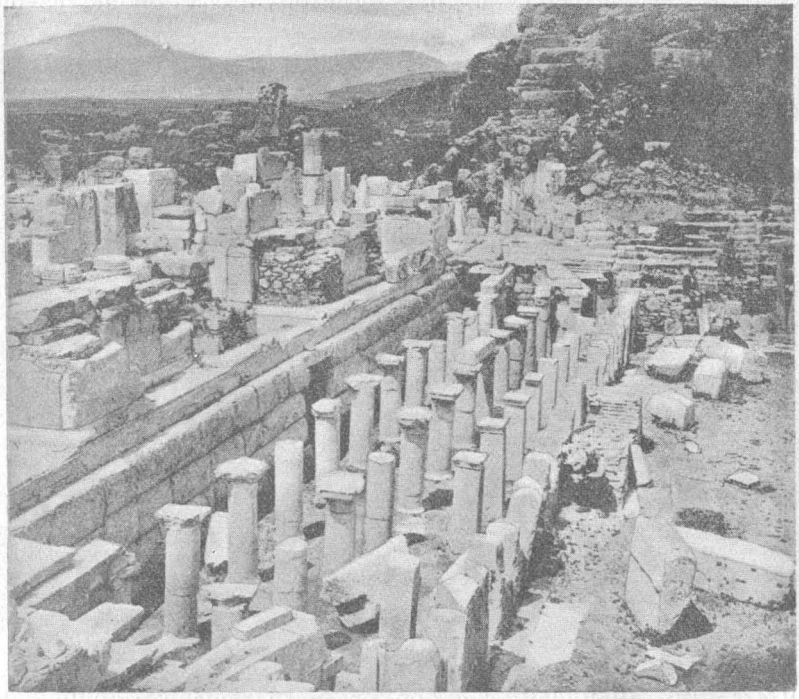

Ruiny starego teatru.

sporu w kościele, wywołanego błędną nauką Nestoryusza, biskupa konstantynopolitańskiego. Przeczył on unii hipostatycznej dwu natur Chrystusa w jednej osobie, a konsekwentnie odmawiał Najświętszej Pannie tytułu Bogarodzicy.

Zaraz na pierwszem posiedzeniu błędna nauka Nestoryusza odnośnie do Chrystusa Pana i Najśw. Panny została potępioną,

a na zatwierdzenie nauki wyznawanej przez Sobór powszechny: kościół, w którym się obrady odbywały, poświęcono i nazwano kościołem Matki Bożej. Był to więc pierwszy kościół na świecie pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny i największa jej godność Bogarodzicy dogmatycznie w niem została ogłoszoną [1].

Wejście do teatru.

Rozmiary kościoła, jak na budowę pierwszych czasów chrześcijaństwa, są stosunkowo bardzo wielkie: 88 metrów długości na 33 szerokości. Nazywamy go podwójnym, gdyż rzeczywiście z dwu części jest złożony, z których każda w sobie całość przedstawia. W pierwszej części, zwróconej ku zachodowi cztery pilastry podtrzymywały kopułę główną, jakby ol-

[1] Cf. C. J. v. Hefele: *Conciliengeschichte*, II Band, S. 178 i nast. Ed. Freiburg. 1875.

brzymi baldachim; pomiędzy tymi pilastrami a murem zewnętrznym były przejścia do drugiej części tej budowli oddzielonej od pierwszej ścianą. Druga część kościoła ma 3 nawy: środkową oddzielają od bocznych cztery kolumny z każdej strony. Styl budowli przypomina najstarsze pomniki chrześcijańskie i jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż był to kościół najdawniejszy w Efezie.

W pobliżu, *stadium* w głównych swych częściach jest jeszcze dość dobrze zachowane. Jego południowa część jest wsparta o górę, północna przytyka do drogi starej prowadzącej z Efezu do Smyrny. W północnej jego części dają się jeszcze rozpoznać korytarze i *vomitoria*. Podwójna serya kolumn pomiędzy czterema narożnemi pilastrami podtrzymywała arkady. Podstawy kolumn są jeszcze widoczne. Długość *stadium* wynosi około 700 metrów na 30 m. szerokości.

Archeolog zajmujący się badaniem sposobu budowania w rozmaitych epokach starożytności znajdzie w murach otaczających Efez wiele interesujących wskazówek. W miarę jak miasto rozszerzało się, stawiano nowe obwarowania, mianowicie w trzech odległych epokach: za Krezusa, Lizymacha i cesarzy bizantyńskich.

Długo staliśmy w skupieniu nad tym cmentarzem ruin, rozsypanych budowli i nawpół przełamanych kolumn, gdzie tyle wieków i tyle cywilizacyi znaczyło swój pochód.

Ale czas naprzód. Z Efezu udałem się ścieżynami w południowym kierunku pasma gór Bulbul-Dag, czyli Gór Słowików, wśród których znajduje się świeżo odkryty domek Najśw. Panny — *Panagia Kapuli.*

Ks. M. Czerminski.

NAJDAWNIEJSZE KOLĘDY POLSKIE.

Kolędy: wyraz ten ma dla Polaka znaczenie szczególniejsze, sięgające daleko poza znaczenie zwyczajne, filologiczne. Kolędy, to dla Polaka nie tylko pieśni, śpiewane w czasie świąt Bożego Narodzenia. To coś dziwnie swojskiego i rodzimego, to jedna z naszych pamiątek narodowych. A chociaż krytyka filologiczna i historyczna tłumaczy nam, że początku naszych kolęd należy w każdym razie szukać poza naszemi granicami, my pomimo tego uważamy kolędy za jeden z najoryginalniejszych i najbardziej charakterystycznych produktów naszej kultury, naszego życia, naszego ducha. To bezwiedne niejako i nieświadome odczuwanie polskości, rodzimości naszych kolęd krytyką historyczną i filologiczną wstrząsnąć się nie da, i zupełnie słusznie. Przyszły do nas kolędy z Zachodu, to prawda; ale ta roślina z pod innego nieba u nas przyjęła się tak dobrze, że wytworzyła nowy typ, nową odmianę. Stąd zupełnie słusznie i z najspokojniejszem w świecie sumieniem możemy nasze kolędy uważać za wytwór specyficznie polski. Inne narody t a k i c h kolęd nie mają. Mają pieśni na Boże Narodzenie, nie mają kolęd. Odczuwamy to silnie, gdy nas losy rzucą na obczyznę. Bez kolęd święta Bożego Narodzenia tracą dla nas większą część tego uroku, który miały w domu. Podoba się nam i chętnie słuchamy *minuit chretien* albo *stille Nacht, heilige Nacht*, ale te pieśni, choć piękne, nie są kolędami. Nam w czasie świąt Bożego Narodzenia potrzeba koniecznie kolędy polskiej; tej pieśni

raz wesołej, drugi raz smutnej, rzewnej, raz wzniosłej, drugi raz nawet rubasznej; tej pieśni, w której pastuszkowie betlejemscy mają imiona Stacha i Wacha, Kuby i Kazimierza, w której szopka betlejemska taka podobna do zwyczajnej naszej chłopskiej szopy; w której cała przyroda z egzotycznością Wschodu nie ma nic wspólnego, bo to przyroda polska; pieśni, której melodya staroświecka tak żywo nieraz przypomina takt i nastrój uroczystego poloneza.

Czy to nasze umiłowanie kolęd jest skutkiem czy też może przyczyną ich polskości, ich rodzimego tchnienia? to na razie obojętne. Faktem jest, że kolędy stały się nam jednym z koniecznych, istotnych składników naszego życia. Widać to dobrze po tem, jak się je śpiewa. Niejeden z nas pamięta, „kiedy miał dziewięć, dziesięć latek", noc wigilijną na wsi, pamięta, jak wśród ciszy, przy blasku księżyca, szedł na mszę pasterską; jak zaraz po odezwaniu się dzwonka odzywał się z chóru głos organisty: „Wśród nocnej ciszy", i jak kościół cały pochwycił ten ton i całą siłą w odpowiedzi zaśpiewał: „głos się rozchodzi". Jak wtedy kościół cały huczał poprostu, jak nie było nikogo, ktoby nie śpiewał! starzy i dzieci, zdrowi i osłabieni, mężczyźni i kobiety: wszyscy śpiewają, wszyscy się cieszą z Bożego Narodzenia, wszyscy śpieszą do Betlejem, chcąc przywitać Nowonarodzonego. A śpiew ten nie ustaje; skończy się jedna kolęda, zaczynają zaraz drugą i trzecią; nikt nie wyjdzie z kościoła, aż dośpiewają ostatniej zwrotki „Anioł pasterzom mówił". I tak jest ciągle, od Bożego Narodzenia do N. Panny Gromnicznej. Kolędy rozlegają się po kościołach i po domach. W innej porze roku już tego zapału, tej radości śpiewania niema; posłuchajmy najpopularniejszych nawet pieśni (np. niektórych pieśni do Matki Boskiej), a już widać, że nie śpiewa cały kościół, że lud cały nie jest tak rozmodlony w śpiewie, jak wtedy, gdy „kolęduje Małemu".

Tak jest po kościołach wiejskich, na wsi. Ale nawet tak zwana inteligencya miejska, która — nawet gdy wierząca — zatraciła ten ścisły związek z nabożeństwem, która pieśni naszych kościelnych starodawnych nie zna, nawet ta zna jeszcze i śpiewa

kolędy. Tego na Zachodzie niema. Mają wprawdzie chłopi sabaudzcy *chants de Noël* i śpiewają je, mają Niemcy swoje *Weihnachtslieder*, ale nie jest to tak powszechne, jak u nas, nie jest — choć nieraz starsze wiekiem (kolędy francuskie sięgają wieków średnich, z niemieckich wiele pochodzi z pierwszych lat XVI wieku) — tak narodowe, jak u nas.

Jeżeli zaś kolędy mają dla nas tak wielkie znaczenie, to powinny były stać się przedmiotem bardzo szczegółowych badań. Należąc do rożnych epok — bo mamy kolędy z XV wieku i z czasów najnowszych, np. „Pasterzu! pasterzu! Czy widzisz, jakie światło tam?“, napisaną przez ks. J. Hołubowicza T. J., w ostatnich latach bardzo śpiewaną — nosząc przez to na sobie znamiona najrozmaitszych czasów, odbijające w sobie cechy czy to średniowiecznego czy renesansowego sposobu pisania, tchnące drugi raz barokiem lub sarmatyzmem: kolędy mimo to wszystko tworzą jeden organizm, tworzą jednę całość skutkiem jedności, tożsamości motywów. Tem bardziej więc opracowania się dopraszają.

Tego opracowania dotąd jeszcze nie mamy. Pomijając drobne i dziś przestarzałe uwagi Czajewskiego lub Jabczyńskiego, możemy wskazać na jedną rozprawę o kolendach: prof. Tarnowskiego. Jest to studyum, napisane świetnie; i w tem, co ono mówi, prawie niepodobna powiedzieć coś lepszego. Ale studyum to ogranicza się do rozbioru psychologicznego i estetycznego kolęd. Jest to bardzo wiele, ale nie wszystko. Pozostaje jeszcze wiele pytań nietkniętych, natury więcej filologicznej, ale nie mniej ciekawych i ważnych. Czekają na wyjaśnienie takie np. kwestye, jak początek i pochodzenie naszych kolęd; rozdzielenie kolęd według epok, w których powstały; zbadanie, które z nich miały żywot trwalszy i dłuższy, i dlaczego; wyszukanie imion autorów; zbadanie melodyi. Takie i tym podobne pytania, dotąd prawie zupełnie nieporuszone, domagają się odpowiedzi.

Temat i praca rozległe. Trzeba przecież przejść pięć wieków literatury polskiej; sięgnąć do kancyonałów i do poetów świeckich; nie wystarczy zadowolnić się drukami, ale trzeba

sięgnąć i do rękopisów; trzeba się zapoznać z muzyką, Trzeba, aby zbadać genezę kolęd polskich, traktować rzecz porównawczo, więc sięgnąć do kolęd czeskich, niemieckich, francuskich, łacińskich. Trzeba wciągnąć w zakres badania piosenki ludowe, pokrewne kolędom. I tak dalej — jednem słowem książka, któraby była taką encyklopedyą kolęd, wymaga pracy niemało.

Zanim się taka książka ukaże, przypatrzmy się jednemu jej rozdziałowi. Zbadajmy najstarsze kolędy polskie, z wieku XV i XVI. I takie ujęcie tematu ma racyę. Największy rozwój i rozkwit naszych kolęd przypada mniej więcej na wiek XVII i XVIII; z tych dwóch wieków pochodzą kolędy najpiękniejsze, najwięcej rozpowszechnione, najoryginalniejsze, w tych wiekach powstało tych kolęd najwięcej. Ale zanim się tak rozwinęły, zanim doszły do swego szczytu, miały okres stopniowego rozwijania się z małych początków. A to przypada właśnie na wiek XV i XVI. Stąd kolędy tych dwóch stuleci można znowu ująć razem, jako pewną grupę utworów, mających wspólne znamiona.

Badanie tych właśnie kolęd jest więcej ułatwione od innych: posiadamy bowiem w Rozprawach wydziału filologicznego Akademii (w t. 19) „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku“, zebrane i wydane przez M. Bobowskiego; zbiór bogaty, dotąd tak mało wyzyskany, obejmuje 181 pieśni. Uzupełnienia znajdują się w rozprawie prof. Brücknera „Drobne zabytki języka polskiego XV wieku“ (w 25 tomie Rozpraw). Obie te rozprawy zawierają cały materyał, jaki nam jest dzisiaj dostępny. Wśród mniej więcej dwustu pieśni znajduje się czterdzieści ośm kolęd. To jest cały zasób nasz z tych dwóch stuleci. Oczywiście mowa tu jest wyłącznie o pieśniach nabożnych. Pomijamy zaś obecnie kolędy o charakterze świeckim, częste u poetów XVI wieku; nie będą one pominięte w pracy, obejmującej całość, zbytecznemi byłyby w jednym niniejszym rozdziale. Tutaj wszystkich pytań, związanych z kolędami, rozstrzygnąć niepodobna; niektóre zaznaczymy, inne pominiemy, albowiem materyał, którym na razie rozporządzamy,

jest za szczupły, aby się można na jego podstawie kusić o rozwiązanie wszystkich zagadek.

* * *

Mamy tedy na blizko dwie setki pieśni nabożnych katolickich, czterdzieści ośm kolęd. Jest to procent znaczny, największy ze wszystkich; pieśni ku czci Matki Boskiej znajdujemy w zbiorze Bobowskiego czterdzieści jeden. Czy ta znaczna liczba kolęd świadczy o tem, że już w wieku XV i XVI ten rodzaj pieśni nabożnej staje się tak popularnym? Sądzę, że jeszcze nie. Zobaczymy później, skąd się bierze tak znaczna liczba. Nie należy też zapominać, że niektóre z tych „pieśni" wyglądają na obszerne poemata opowiadające raczej, aniżeli na prawdziwe pieśni do śpiewu.

Na wiek XV przypada kolęd sześć, na XVI cała reszta. Widzimy, jak ogromnie stosunek się zmienia. Na 45 pieśni z wieku XV kolęd 6, na 136 z w. XVI kolęd 42. Z tych liczb znowu widać, i to już bardzo wyraźnie, że kolędy w wieku XV jeszcze nie rozpowszechniły się zbytnio, podczas gdy wiek XVI jest jakby ich początkiem i odrazu na wielką skalę. Ale i z tego jeszcze nie wynika, jakoby kolędy XVI wieku już były tak popularne, jak późniejsze; kiedy w dzisiejszych kantyczkach spotykamy kolędy z wieku XVII lub XVIII jednę za drugą, i słyszymy je śpiewane w kościele, to z kolęd XVI w. bardzo niewiele przeszło do naszych czasów. Wiek XVI był dla kolęd niejako wiekiem próby. Weszły kolędy do polskiej hymnologii odrazu w ilości znacznej, ale zanim się należycie utrwaliły i przyjęły, większa ich część zaginęła, i tylko spełniła swe zadanie w ten sposób, że utorowała drogę kolędom XVII-go stulecia.

Do tej sprawy wrócimy jeszcze później, teraz idźmy za porządkiem.

Najstarsza kolęda polska zapisana jest w rękopisie pod rokiem 1424; druga 1435; trzecia 1442. Są to daty rękopisów; utwory same mogą być wcześniejsze.

Tę najstarszą kolędę warto tu przytoczyć w całości; warto

się przypatrzyć, jak wygląda pierwsza z tych pieśni, które później tak się rozpowszechnią. Wydał ją po raz pierwszy Brückner w cytowanej pracy [1]; powtarzamy ją za nim, zmieniając starą pisownię na dzisiejszą.

Zdrów bądź [2] królu anielski,
K nam na świat w ciele przyszły [3]
Tyś zajisty [4] Bóg skryty,
W święte czyste ciało wlity [5]

Zdrów bądź stworzycielu wszego stworzenia [6]
Narodziłś się w ucirpienia,
Prze swego luda zawinienia.

Zdrów bądź panie ot panny,
Jenż się narodził za ny [7].

Zdrów bądź Jezu Kryste królu,
Racz przyjąci [8] naszą chwałę,
Racz daci dobre skonanie,
Prze twej matki zasłużenie,
Abychom [9] cię wżdy [10] chwalili,
Z tobą wiecznie królowali. Amen.

Tak wygląda najdawniejsza polska pieśń o Bożem Narodzeniu. O podobieństwie do kolęd późniejszych niema jeszcze mowy. Widzimy, że pierwsza część pieśni to rozumowanie, druga — prośba. Nie znać ani tej wielkiej radości z Bożego Narodzenia, ani tej naiwnej poufałości człowieka z Boskiem Dzieciątkiem, która stanowi taki wdzięk kolęd późniejszych. Wydaje się, jak gdyby autorem tej pierwszej kolędy polskiej był jakiś umysł trzeźwy, suchy, racyonalistyczny, a nie głęboko a poprostu czujący; umysł niepodobny do św. Franciszka z Assyżu. Ktoby był tym autorem, nie wiemy. O pochodzeniu pieśni możemy tylko wyrazić przypuszczenia. Właściwości językowe, jakoteż pewne właściwości formy zdają się dowodzić, że pieśń ta jest przekładem z czeskiego. Potwierdza zaś to przypuszczenie fakt, że nasza kolęda zapisana jest w postylli *Carcer animae*

[1] Brückner, str. 225 ns. [2] Bądź pozdrowion.
[3] Któryś przyszedł. [4] Prawdziwy. [5] Wlany, wcielony.
[6] Forma zepsuta, zapewne przez kopistę.
[7] Za nas. [8] Przyjąć. [9] Abyśmy. [10] Zawsze.

magistra Szczekny. Mistrz Szczekno (lub Szczekna), ozdoba uniwersytetu praskiego a następnie krakowskiego[1], bardzo możliwe, że przetłumaczył na polskie kolędę czeską i umieścił w swojej postyli; albo też kopista Polak, znalazłszy w oryginale kolędę czeską, przetłumaczył ją od siebie, dla użytku Polaków, na język polski. Jakkolwiek zresztą rzecz się miała, jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że pierwszą kolędę polską zawdzięczamy pośrednio mistrzowi Szczeknie.

Pieśń „Zdrów bądź królu anielski" powtarza się jeszcze w dwóch późniejszych odpisach wieku XV, za każdym razem z pewnemi, nawet dość znacznemi, zmianami, co w wiekach średnich jest rzeczą zwyczajną. Trzykrotny odpis w trzech różnych rękopisach świadczy o rozpowszechnieniu pieśni; naturalnie jeszcze nie u ludu, lecz pomiędzy klerykami.

Inna kolęda[2], z rękopisu z r. 1442, już się więcej dziwi niezwykłości faktów:

Stałać się rzecz wielmi dziwna:
Panna syna porodziła
Przeze wszey stradzy[3] cielistej,
Toć jest dziwne a nowe.

W innem zaś miejscu:

Słuchał-li kto takie dziwy,
By trze królowie przyjeli[4]
Od wychoda słuńca k niemu,
Dawając dary jemu,
Tworcu swojemu.

Ta kolęda też, w przeciwieństwie do poprzedniej, pierwsza z naszych kolęd, zawiera wezwanie do radości, do wesołości, wezwanie, które się tak często będzie później powtarzać:

Radujmy się, weselmy się,
W Betleem, w małem mieście
Bóg narodził się.

---

[1] Zobacz o nim pracę ks. Fijałka: „Studya do dziejów Uniwersytetu krakowskiego i jego Wydziału teologicznego w XV wieku", w Rozprawach Wydz. filolog. Akad. Umiej. t. XXIX, str. 62—71.

[2] Bobowski, str. 76—77.

[3] Zmazy, straty.

[4] Przyjechali.

Tak brzmi *Repetitio* po każdej zwrotce. Co dowodzi także i tego, że kolęda ta już z góry przeznaczona była do śpiewu, że była pieśnią.

Kolęda „Stałać się rzecz wielmi dziwna“ jest przekładem oryginału czeskiego.

Wpływ czeski ogranicza się do powyższych dwóch pieśni. Jest więc niewielki, podczas gdy w zakresie innych pieśni lub wogóle innych gałęzi piśmiennictwa polskiego średniowiecznego był daleko silniejszy.

Z reszty kolęd średniowiecznych jedna[1] („Chrystus się nam narodził, Jenż dawno powieszczon był“) pochodzi ze znanego kancyonału Przeworszczyka z r. 1435; druga („Dziękujmy wszyscy Z tej Bożej dobroci“) jest rozszerzoną parafrazą sekwencyi Grzegorza Wielkiego *in galli cantum (Grates nunc omnes)*, przekład dosłowny mamy w wieku XVI; trzecia ma w swej budowie sztuczkę poetycką: pierwsze litery zwrotek tworzą abecadło („Augustus kiedy królował“). Dwie ostatnie kolędy[2] może jednakże pochodzą już z wieku XVI.

Najciekawszą z kolęd jest tak zwana rotuła kolędowa[3], pochodząca mniej więcej z połowy wieku XV. Jest to właściwie pięć pieśni, różnych formą. Pierwsza mówi o tem, że

Panna Pana porodziła,
Panna Pana Zbawiciela,
Stworzyciela, Pana naszego,
Miłego Ducha świętego,

i wzywa do wesela z tego powodu:

Wiesielmy się dzisia ninie,
Bo przez Jego narodzenie
Mamy zbawienie.

Pieśń druga odzywa się do bialskich panów, pań, panien i żaczków; stąd wniosek, że śpiewana była podczas igrzysk kolendowych w jakiejś Białej. Tutaj nasuwa się kwestya: jaki jest związek kolęd z igrzyskami. Zdanie, dość powszechnie utarte,

[1] Bobowski 75—76.
[2] Brückner 226—227
[3] Bobowski, 77—80,

objaśnia tę rzecz w ten sposób, że igrzyska kolędowe są chrześcijańskim następcą rzymskich Saturnaliów, obchodzonych przy końcu roku starego i na początku nowego; a że początek miesiąca zwie się Kalendae, więc pieśni, śpiewane w tym czasie, przejęły nazwę od Kalend i stały się kolędami[1]. Rzecz bardzo możliwa, tylko należałoby pytanie to poddać jeszcze rewizyi, w sposób odpowiadający dzisiejszym wymaganiom naukowym. Materyał, jaki mamy w tej chwili pod ręką, nie wystarcza jeszcze do snucia wniosków stanowczych, wolimy się więc z nimi do czasu powstrzymać. W każdym razie wątpliwości nie ulega, że takie igrzyska były i w Polsce, i że na nich śpiewano kolędy. Zrazu zdaje się tylko łacińskie. Rotuła, o której mówimy, jest przekładem z łaciny. Otóż w tekście łacińskim czytamy:

Vos bialinenses parvuli,
Omnes et singuli,
Date laudes Christo nato
To to to domino.

Za przykładem łacińskiej pieśń polska także sobie przyśpiewuje:

Nuż wy bielscy panowie,
Panny, panie, żaczkowie,
Dajcie Bogu chwałę za to,
Za to, za to, to, to, to, to,
Iż się narodził.

Takie radosne pokrzykiwanie spotykamy i w trzeciej pieśni:

Mesyasz wierny Chrystus nasz
Objawił ci nam już swój czas
Eja, eja, swego narodzenia.

I tak po każdej strofie powtarza się eja, eja!

Pieśń czwarta zaczyna tak, jak dzisiaj niejedna piosnka ludowa: „Stała się nam nowina“. Tak samo zaczyna jedna z kolęd XVI wieku: „Stała się nam nowina tego to księżyca“; inna znowu powtarza niemal bez zmiany pierwsze dwa wiersze: „Stała się nam dziś nowina, Nigdy taka nie była“[2].

[1] Nie potrzebujemy dodawać, że wywodzenie kolędy od jakichś bogów słowiańskich należy do muzeum pomysłów historycznych.

[2] Bobowski, 214, 229.

Pieśń piąta wreszcie jest modlitwą do Matki Bożej, by prosiła Synaczka swego,

Aby nam raczył daci
W przybytku mieszkaci,
Gdzież to sam przebywa,
Wesela używa.

Ta rotuła kolędowa jest ciekawa naprzód z tego względu, że jest jedyną między średniowiecznemi, o której możemy z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać, że była śpiewana podczas igrzysk kolędowych, a przynajmniej do tego była przeznaczoną. Dalej — że jest przekładem kolędy łacińskiej; otóż zobaczymy później, że w wieku XVI przekłady takie z łaciny są stosunkowo bardzo liczne, i jeżeli gdzie mamy szukać pierwowzoru naszych kolęd, to przedewszystkiem w hymnologii łacińskiej; nasza rotuła jest chronologicznie pierwszą w tym szeregu. Wreszcie podkreślić należy i to, że w rotule spotykamy się z pewną rozmaitością tonów, w przeciwieństwie do dwóch starszych kolęd, z pewną swobodą i wesołością, co późniejsze kolędy rozwiną jeszcze bardziej. Rotuła jest jakby pierwszą kolędą prawdziwą, w tem znaczeniu wyrazu, w jakiem zwykle „kolędę“ sobie wyobrażamy.

Toby był cały plon kolędowy, zebrany w Polsce średniowiecznej, w wieku XV. Niewiele tego wszystkiego. Ale to rzecz naturalna. Kolędy powstają przy igrzyskach i przy jasełkach, i to zrazu łacińskie. Dopiero gdzieś w końcu XV i w pierwszych dziesiątkach XVI wieku polszczą się i igrzyska i jasełka, wtedy też powstaje odrazu znaczniejsza liczba kolęd polskich. Ze średniowiecznych żadna też nie miała dłuższego życia; jedna tylko (z kancyonału Przeworszczyka) powtarza się w kancyonale z r. 1521; do naszych czasów nie doszła żadna. Omawialiśmy je jednakże szczegółowo, bo one są pierwsze, najwcześniejsze, są poprzedniczkami typowych kolęd późniejszych. Jako takie początki zasługiwały na omówienie dokładniejsze.

Przejdźmy teraz do wieku XVI.

* * *

Kolędy XV wieku kryją się po rozmaitych rękopisach: między kazaniami, postyllami, modlitwami; osobnego, samodzielnego zbioru pieśni, jakiegoś kancyonału polskiego nie znamy (z wyjątkiem kancyonału Przeworszczyka, który widział i miał Juszyński, ale którego my już nie znamy, bo zaginął). Natomiast kolędy XVI wieku doszły do nas w innym stanie; przeważnie w kancyonałach. W szczególności rzecz przedstawia się w ten sposób:

dwie kolędy pochodzą z kancyonału z r. 1521 [1]; ten kancyonał także zaginął, pewną ilość pieśni z niego podał Juszyński w „Dykcyonarzu poetów polskich“;

pięć kolęd przechowały nam dwa wydania „Żywota Pana Jezu Krysta“ Baltazara Opecia, z r. 1522 [2];

trzydzieści dwie kolędy znajdują się w dwóch rękopiśmiennych zbiorach pieśni, z r. 1551 (w bibliotece XX. Czartoryskich) i z r. 1551—1555 (w bibl. Kórnickiej) [3];

trzy wreszcie są w osobnych drukach [4].

Z dwóch kolęd kancyonału z r. 1521 jedna jest wspomnianą już pieśnią średniowieczną („Chrystus się narodził“), z pewnemi oczywiście zmianami. Jest to, jak wspomnieliśmy, jedyna z kolęd średniowiecznych, która żyła życiem dłuższem; trzecia jej odmiana znajduje się jeszcze w kancyonale krakowskim z r. 1643, a więc w dwieście lat po pierwszym tekscie [5]. Druga z tych kolęd to znana do dziś dnia: „Kiedy król Heród królował“. Figuruje ona jeszcze dzisiaj w kantyczkach, znana jest i śpiewana. A więc z kolęd dzisiaj żyjących jest ona najstarszą, dobiega jej 400 lat wieku. Przez ten czas musiała się nieco zmienić, co jest rzeczą zupełnie naturalną; usunięto archaizmy, zmieniono nieraz cały wiersz, w zasadzie jednak pieśń dzisiejsza jest zupełnie tą samą, co w roku 1521. Dla pokazania zaś, jak tekst w ciągu wieków się zmieniał, podajmy kilka zestawień:

---

[1] Bobowski, 132, 133.
[2] Bobowski, 136—162.
[3] Bobowski, 179—330.
[4] Bobowski, 346—352.
[5] Bobowski, 76.

Tekst z r. 1521:

1. Kiedy król Herod królował,
Nad żydy panował,
Wtenczas sie Chrystus narodził,
Aby lud swój wierny oswobodził.
5. Gdy to król Herod usłyszał,
Iż tak jest, rozumiał,
Zlęknął sie i zmucił barzo.
I z nim Jeruzalem wszystko miasto.
6. Tedy zebrawszy biskupy
I licemierniki,
Badając sie od nich pytał,
Gdzie sie narodzić miał.
10. I rzekł im, gdy je najdziecie,
Wiedzenie mi dajcie,
Ja też do niego przyjadę,
Wszego dobrego winszować będę.

Tekst dzisiejszy:

(«Pastorałki i kolędy». Kraków 1883, str. 98—100).

1. Kiedy król Herod królował,
I nad żydami panował,
Wtenczas się Chrystus narodził,
By świat z grzechu wyswobodził.
5. Gdy to Herod wyrozumiał,
Przelękłszy się, tak się zdumiał,
Że z nim wszystko Jeruzalem
Zażywało strachu z żalem.
6. Tedy zebrawszy biskupy,
Mędrce i starce do kupy,
Pyta wszystkich, chcąc dochodzić,
Gdzie się Chrystus miał narodzić.
10. Idźcież spieszno wżdy królowie,
Wysokich rzeczy mędrcowie,
A ja tu was nazad czekam,
I rad będę, gdy doczekam.

Najważniejsza zmiana stała się w drugim wierszu każdej zwrotki: w tekscie najstarszym wiersz ten liczy sześć zgłosek, inne osiem; tak jest jeszcze w tekscie z r. 1643 (w kancyonale krakowskim); natomiast tekst dzisiejszy wyrównał liczbę zgłosek we wszystkich wierszach do ośmiu zgłosek. Stało się to zapewne pod naporem melodyi. Inne zmiany nie siągają tak głęboko, aby nawet można mówić o drugiej redakcyi: tekst dzisiejszy wyszedł z owego pierwszego z r. 1521.

A skoro już mówimy o kolędzie, która od wieku XVI przetrwała do dziś dnia, to przy sposobności wymienimy i resztę takich; jest ich kilka a stosunek tekstów dzisiejszych do dawnych jest rozmaity.

I tak jest kolęda: „Gdy się Pan Jezus narodził“ [1] z rękopisu w bibl. Czartoryskich, z r. 1551. Jej napis brzmi: „O narodzeniu pana Jezusowym i o pannie przenaczystszej Maryej Matuchnie jego i o trzech królach“, ale właściwie jest to opowiadanie tylko o trzech królach. Otóż istnieje dzisiaj kolęda: „Gdy Marya porodziła, Gwiazda cudna się zjawiła“ [2]; ta kolęda

[1] Bobowski, 219—223

[2] „Pastorałki i kolędy“, 65—66.

nie jest identyczną z kolędą XVI wieku, jest daleko krótsza, ale cały sposób przedstawienia rzeczy jest tak uderzająco podobny, że musimy przypuścić dwie redakcye tej samej pierwotnie pieśni, wyszłe z jednego nieznanego nam źródła; nie można zaś mówić, że tożsamość motywów (obie kolędy opowiadają pielgrzymkę trzech królów) spowodowała podobieństwo raczej zewnętrzne.

W tymże rękopisie znajduje się kolęda dzieci: „Już cię żegnamy, o rozkoszne dziecię“ [1]. Tę kolędę, z pewnemi zmianami, z których najważniejszą jest rozszerzenie, spotykamy w kantyczkach dzisiejszych [2]. Pieśń to bardzo charakterystyczna, przytaczamy więc obydwa teksty.

Tekst z r. 1551:

1. Już cię żegnamy, o rozkoszne dziecię,
Polecamy się twej naświętszej łasce.
Nynaj, nynaj, nynaj,
A nas nie zapominaj,
Kiedy zemrzemy
Racz przyjąć nas na gody
Wiekuistej chwały.

2. Już cię żegnamy o naświętsza panno,
Ubłagaj grzesznym to miłe dzie- [ciątko,
Niechaj nyna, nyna,
A nas nie zapomina i t. d.

Tekst dzisiejszy:

1. Już cię żegnamy, o najmilszy Panie,
Dziękując za łask twych obfite danie,
Lulaj.. o nas dzieciach nie zapominaj,
Kiedy będziem umierały,
Racz nas przyjąć do swej chwały.

2. Już cię żegnamy, ukochania celu,
Z Panny zrodzony, świata Zbawi- [cielu,
Lulaj... i t. d.

3. Już, już i ciebie żegnamy Maryja,
Proszę niechaj nam łaska Twoja [sprzyja,
Zasypiaj... o nas dzieciach i t. d.

4. Już, już i ciebie, o ojcze mniemany,
Chrystusa Pana, nabożnie żegnamy
Spoczywaj... o nas dzieciach i t. d.

Tutaj już najmniejszej nie ulega wątpliwości, że kolęda dzisiejsza jest tylko rozszerzeniem kolędy dawnej. O ile jednakże pieśń dzisiejsza jest rozpowszechnioną i śpiewaną, wskazać nie potrafimy.

W „Żywocie Pana Jezu Krysta“ Opecia znajduje się „pieśń piękna o obrzędzie bożego narodzenia“: „Z Bożego Narodzenia

[1] Bobowski, 203—204.
[2] „Pastorałki i kolędy“, 95—96.

Anieli sie weselą“ [1]; pieśń obszerna (18 zwrotek po 7 wierszy). Otóż w „Pastorałkach i kolędach“ [2] spotykamy kolędę, która jest jakby wyciągiem tamtej. Zwrotka pierwsza jest w obu mniej więcej ta sama.

Wiek XVI:	Dzisiaj:
Z Bożego Narodzenia	Na Boże Narodzenie,
Anieli sie weselą,	Aniołów ucieszenie,
Radując sie śpiewają,	Gdy z weselem śpiewają,
Jednego Boga chwalą:	Bogu cześć, chwałę dają.
Panna Boga poczęła,	Panna Syna powiła,
Krystusa porodziła,	Chrystusa porodziła,
Panna nieporuszona.	Panną będąc jak była.

Po tej pierwszej zwrotce jednak teksty się rozchodzą; tekst dzisiejszy jest, jak powiedzieliśmy, jakby wyciągiem z dawnego.

Przetrwała dalej do naszych czasów kolęda „Dzięki już wszytcy oddajmy Panu Bogu“ [3], przekład sekwencyi *in galli cantum*, — oczywiście znowu z pewnemi zmianami [4].

Wreszcie zachowała się do dziś dnia i żyje w całej mocy jedna z najpopularniejszych kolęd, może najwięcej ze wszystśpiewana: „Anioł pasterzom mówił“ [5]. Podczas kiedy poprzednie (z wyjątkiem „Kiedy król Herod królował“) przechowały się może więcej w piśmie niż w ustach ludu, to „Anioł pasterzom mówił“ śpiewane jest powszechnie i przez wszystkich. Co zaś jest bardzo godnem uwagi, to fakt, że tekst pierwotny, mimo takiego rozpowszechnienia, doszedł nas niemal nienaruszony. Jest tylko jedna zmiana większa. Pieśń dzisiejsza wyrzuciła z dawnego tekstu jedną zwrotkę, może dlatego, że nastrój jej jest mniej poetyczny od innych:

Nuż wy przeklęci żydzi,
Mówcie, co się wam widzi,
Zowiecie Jezusa synem cieśle,
W czem się bardzo mylicie,
Przeuczyliście się.

---

[1] Bobowski, str. 148—150.
[2] Str. 114—115.
[3] Bobowski, 138.
[4] „Pastorałki i kolędy“, 60.
[5] Bobowski, 309—310; z rękopisu kórnickiego, lata 1551—1555.

W zamian za to wprowadziła na zakończenie zwrotkę „Bogu bądź część i chwała“ [1].

Tyle więc kolęd dożyło — ze zmianami większemi lub mniejszemi — do naszych czasów. Nie jest ich wiele; z innych pieśni doszło nas stosunkowo więcej (np. z pieśni postnych i wielkanocnych). Czem ten objaw tłumaczyć? Zdaje mi się, że naprzód tem, że wiek XVI, to jest właściwy początek kolęd; a takich początków zaś bardzo wiele ginie, tocząc z innemi po prostu walkę o byt. Drugi powód ważniejszy. Raz dany rozpęd twórczości w kierunku kolęd, wywołał na tem polu w wieku XVII ogromną produkcyę. Powstaje w wieku XVII wielka liczba kolęd, przewyższających swe poprzedniczki wartością czysto literacką, przewyższających je także i psychologicznie, t. zn. więcej odpowiadających pojęciom, poglądom, upodobaniom narodu. Stąd też kolędy wieku XVII rozpowszechniły się niezmiernie, zaćmiewając sobą i usuwając w zapomnienie mniej doskonałe kolędy XVI wieku.

(Dok. nast.)

Dr. St. Dobrzycki.

[1] Do zestawienia używamy tylko jednego dzisiejszego zbioru kolęd, t. j. „Pastorałek i kolęd“, wydanych przez ks. Misyonarzy w Krakowie jako najbardziej rozpowszechnionego wśród ludu.

Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich.

(Ciąg dalszy).

Na stanowisku widza, nieprzygotowanego do sądu o odgrywanej przed nim sztuce, znalazł się Dr A. B., kiedy przed dziełem Braci Soluńskich stanął jako przed wypadkiem zupełnie nowym pod słońcem, jako przed widowiskiem, na którego pierwszą odsłonę w Carogrodzie mieli zgłupieć cesarz i patryarcha.

Aby z tego dziwowiska zdać sobie sprawę, Dr A. B. wziął sobie do rozbioru trzy źródła: pisma przeznaczone dla pobożnych czytelników, aby im podać ważniejsze przygody z Żywotów Świętych do czci i zachęty w dobrem. Takie źródła opuszczają mnóstwo szczegółów i opisów, mniej zdolnych przemawiać do umysłu prostaczków albo jeszcze wszystkim znanych dostatecznie za czasu pisarza. Dziejopis potrzebuje znać te szczegóły, ale nie szukać ich tam, gdzie ich niema. Zasiadł jednak Dr A. B. do pracy nad trzema pomnikami hagiografii chrześcijańskiej: nad sprawą zwłok świętego Klemensa papieża, odkrytych w Chersonie i przeniesionych do Rzymu, nad pochwałą prac świętego Cyryla, a zwłaszcza jego rozpraw z przeciwnikami na polu nauki kościelnej, nakoniec nad opisem cnót świętego Metodego, przeniesionych przez niego ucisków ze strony prześladowców i błogosławieństw, otrzymywanych od Pana Boga.

Ostatnie to pismo pochodzi wyraźnie z pod pióra któregoś z uczniów Metodego, ale nie nasuwa niczem, ani treścią, ani sposobem opisu, żadnych wniosków dalszych o osobie pisarza, o źródłach przez niego użytych, albo o jego stosunkach do pisarzy, którzy ułożyli pochwałę Cyryla i opis sprawy zwłok Klemensa.

Ten opis pochodzi już ze źródeł dość znanych. Biskup z Velletri-Ostia, Gauderyk albo Gaudenty, Ganderyk Gondryk, osobliwy czciciel świętego Klemensa, (jako patrona jego Kościoła), usłyszał, że zwłoki świętego odkryte w Chersonie przybywają do Rzymu: pospieszył tam, aby zebrać wszystkie szczegóły sprawy i podobno był tym samym Gondrykiem, który z biskupem Formozem wyświęcił Cyryla na biskupa; znalazł tedy w Rzymie najlepsze źródło, aby z niego zaczerpnąć najdokładniejsze szczegóły, mianowicie samego odkrywcę zwłok i jego brata. Znaleźli także obaj Bracia Soluńscy w Gondryku najżyczliwszego słuchacza, gotowego podziwiać zasługę Cyryla; właśnie przypuszcza Dr A. B., że obaj Bracia (438) „Grecy aż do szpiku kości — z ich żądzą sławy", marzyli o tryumfach większych, niż do których pnie się pospolita ambicya: mieli tedy porę w Rzymie za pośrednictwem Gondryka dojść do zaszczytów najwyższych. Tymczasem tak nic nie robią, aby pozyskać wpływowego wielbiciela, tak skąpi w słowach odpowiadają na pytania o dziele Cyryla, że Gondryk nie może właściwie dojść wątku sprawy, chlubnej dla Cyryla; ledwo dowiaduje się, skąd dostanie szczegółów więcej; musi pisać do Carogrodu, gdzie przebywał Anastazy, bibliotekarz papieski, i przez niego prosić tamtejszych biskupów, czy któryby nie opisał wszystkiego, o czem od samych Braci Soluńskich nie można nic jasnego wiedzieć. Niejednokrotnie posyłana, w dobrą porę doszła wkońcu prośba do Carogrodu, bo tam właśnie świeżo przedtem (w początku października 869 roku) sobór zgromadził setki biskupów, a między nimi Rzymian; ci wzięli do serca sprawę zwłok świętego Klemensa i wspólnie zaczęli zbierać o niej i o Cyrylu świadectwa, zwłaszcza z ust Mitrofana, smyrneńskiego biskupa, który właśnie niedaleko Chersonia dłużej przebywał. Ten świa-

dek, po części naoczny, opowiadał ciekawym słuchaczom wypadki, z których Cyryl, mąż apostolskiego żywota za świadectwem Anastazego, nie cierpiał sam zdawać sprawy: tak unikał nawet pozorów samochwalstwa. Więc Anastazy zaspokoił Gondryka listem, wydanym przez J. Friedricha w Monachium 1892 roku. Tych to źródeł Gondryk biskup dostarczył swojemu klerykowi Janowi, jego pióru powierzył opis i pomyślnie skończoną pracę przypisał Janowi papieżowi 8-mu[1]. Prócz słowa wstępnego, które ocalało, dalszy ciąg pracy Janowej dotąd nie odszukany, mógł zawierać w trzeciej części to właśnie, co nazywamy dziś legendą włoską: pierwsze z trzech źródeł na których Dr. A. B. oparł swoje wywody.

Ale Anastazy, prócz ustnie zebranych świadectw, dostarczył także Gondrykowi paru pisemek, w których sam Cyryl po swojemu, więc bez słowa własnej chluby, opisał przygodę. Ani nawet o tych pisemkach swoich nie wspomniał Cyryl w Rzymie; nic ani sam, ani brat jego nie mówili o niczem, z czego sława spłynęłaby na którego z nich. Dopiero Anastazy powydobywał to w Carogrodzie, gdzie znalazł świadków naocznych.

Otóż źródła, zebrane przez Gauderyka, posłużyły naprzód Janowi do jego pracy, a następnie do tego opisu włoskiego, który Jagicz uważa nie za część zaginionej pracy Janowej, tylko za nową przeróbkę źródeł tych samych.

O tym to włoskim opisie dalej Jagicz zadaje sobie pytanie czy między nim a pochwałą Cyryla zachodzi jaki związek. Mniemali niektórzy, że widzą jakiś związek między oboma pismami, ale jedni z Wiktorowem na czele, poczytywali Cyrylową pochwałę za źródło opisu włoskiego, Friedrich na odwrót upatrzył w opisie włoskim źródło Cyrylowej pochwały. Sprzeczne poglądy pochodzą stąd, że każde pismo podaje szczegóły niektóre zwięźle, w drugiem szerzej opisane albo opuszczone: więc można w każdem upatrywać źródło, swobodnie użyte w drugiem.

---

[1] Ягичъ: Сборникъ отдѣленія рускаго языка... Томъ LIV, nr. 3. *Acta SS. Martii*, 9.

Ale Jagicz na rozbiorze tych szczegółów i opisu ich w każdem źródle dochodzi do nowych dowodów i rozstrzyga sprawę zupełnie inaczej: opis włoski i pochwała Cyryla pochodzą od pisarzy, zupełnie niezależnych jeden od drugiego, którzy tylko używali po części źródeł wspólnych.

Po tych uwagach o trzech źródłach, z których Dr. A. B. wysnuwa swój pogląd, czas już przejść do dalszego wątku sprawy Apostołów słowiańskich.

Opisane poprzednio tło stosunków dziejowych pokazuje w Carogrodzie cesarzową Teodorę, gorliwą krzewicielkę wiary, za której rządów wspólnych ze synem Michałem, szło lądem albo zawijało morzem poselstwo z prośbą o chrzest dla Słowiańszczyzny bułgarskiej i ruskiej, dla różnych krajów postronnych.

Inni niebawem przyszli posłowie z prośbą podobną, o czem tak Gauderyk opowiada:

„Chazarscy posłowie przyszli prosić i błagać cesarza, żeby raczył przysłać do nich jakiego męża uczonego, któryby im wiarę katolicką prawdziwie wyłożył; dodali między innemi, że raz Żydzi na swoje wyznanie, raz przeciwnie Saraceni na swoje nas nawrócić zamierzają. Otóż nie wiemy, do kogo raczej zwrócić się, więc postanowiliśmy zasięgnąć porady u Najwyższego i katolickiego Cesarza co do naszej wiary i szczęścia". Tedy cesarz po naradzie z patryarchą wysłał do nich Soluńczyka, imieniem Konstantyna, przezwanego Filozofem. Ten „oparty na darze kaznodziejskim i dowodach wymowy, nawrócił ich wszystkich z błędów, w które wpadli bądź przez saraceńskie, bądź przez żydowskie krętactwa. W najwyższym stopniu zatem rozradowani składali dzięki Bogu wszechmocnemu i jego słudze Konstantynowi a także cesarzowi posłali pismo dziękczynne. Z wielką czcią odprowadzili Filozofa i złożyli przed nim wielkie dary, których on, zaiste jako filozof, nie przyjął, a zamiast nich uprosił sobie wszystkich jeńców cudzoziemskich i natychmiast ich otrzymał".

O owocach wyprawy Cyryla do Chazarów mówi Dr A. B. bardzo pogardliwie (439): „z wielkiej chmury spadł mały deszcz;

jedyny dotykalny wynik tej misyi, to uwolnienie paruset niewolników czy jeńców greckich! Cyryl kilku Kozarów tylko ochrzcił, napróżno próbował, sławy nie osiągnął...“ Tak samo berliński badacz swoim Niemcom czytelnikom przedstawia Cyryla z długim nosem po powrocie od Chazarów i kończy swoje kpiny przysłowiem *nascitur ridiculus mus* (146a). Ale ani słówkiem nie nadmienia, skąd wysnuł ten wniosek[1]. Oczywiście błądzi, bo sławę Cyryla z udanej wyprawy chazarskiej zna cały świat od wieków i aż do ostatnich czasów głosi ją każdy, nie tylko już podręcznik dziejów kościelnych, ale także bezwyznaniowy słownik encyklopedyczny. Nie potrzebował jednak Dr A. B. wymieniać, jaką drogą doszedł do wniosku, że może drwić tak z Cyryla, jak z całego dziejopisarstwa aż po najnowsze jego wydawnictwa: wszak czyta źródła z nowym umysłem, jako badacz biegły w gramatycznym rozbiorze słówek, szuka w nich i odnajduje, czego nie zauważył w nich nikt, póki badał sprawę rzeczowo. Listy (46, 51, 52, 68, 106, 135) carogrodzkiego patryarchy Mikołaja Mistyka (od roku 895 do 925) dostatecznie pokazują, jaką liczbę chrześcijan zostawił po sobie między Chazarami Cyryl; już im nie mogli nastarczyć księża, więc dopraszali się o miejscowego biskupa, któryby nowych księży święcił i objął nad chrześcijanami prawidłowe rządy. Wykołatali też sobie osobnego biskupa, którego wybrała im stolica chersońska a carogrodzka wyświęciła. Jeżeliby niewielu, kilku czy kilkudziesięciu Kozarów Cyryl ochrzcił, nawet dla ich potomstwa jeszcze po połowie stulecia wystarczyłby jeden ksiądz czy dwóch; ledwo dla dziesiątków tysięcy wiernych powstaje nowe biskupstwo i to tylko przy bardzo pomyślnych stosunkach.

Po chazarskiej wyprawie czas przejść do owego poselstwa z Moraw, o którem Dr A. B. przyznaje się, (473): „gotów jestem w zasadniczym sceptycyzmie moim posunąć się jeszcze o wiele

[1] Dopiero w ciągu druku niniejszych słów przysłał nam łaskawie Dr A. B. swoją odbitkę z Rocznika Tow. Prz. N. Pozn. pod napisem „Legendy o Cyrylu i Metodym“, w której nasuwa na str. 18 myśl, że na Łamańskim oparł swój sąd nieprzychylny o wyniku wyprawy chazarskiej.

dalej i twierdzić, że — nawet całe poselstwo Rościsława morawskiego jest czelnym wymysłem obu braci. Któż bo o niem świadczy? Oni sami, cygan dziećmi! Poselstwo to tak nieprawdopodobne, tyle w niem sprzeczności, że może od *a* do *z* zmyślone...“

Cóż tedy nieprawdopodobnie wygląda w poselstwie ze Słowiańszczyzny do Carogrodu?

Z przytoczonego treściwie świadectwa dziejów pada światło, w którem poselstwo morawskie wygląda zupełnie zrozumiale. Wobec niebezpieczeństwa, że chrześcijanie albo sami zniemczeją, albo przy coraz żywszej niechęci ku Bawarom obrzydzą sobie ich wiarę całą, na widok wzburzonego narodu i porozwalanych kościołów nikomu nieprawdopodobnem nie wyglądało poselstwo, wyprawione z Wielkich Moraw do Carogrodu po duszpasterza, który zaspokoiłby duchowe potrzeby kraju i uśmierzył rozjątrzone umysły.

Aby upatrzeć w tem nieprawdopodobieństwo, trzeba czytać opis poselstwa z nowym umysłem, jak właśnie Dr A. B. je czyta.

Ponieważ opis ten ma podlegać rozbiorowi bardzo szczegółowemu, można po każdym jego ustępie zaznaczyć, ile źródeł słowiańskich potwierdza każdy zaczepiony szczegół, albo wtrąca inny rzekomo wagi doniosłej.

1. Po powrocie Filozofa do Carogrodu usłyszał Rościsław książę Moraw, co Filozof zdziałał w ziemi kozarskiej.

(Szczegół potwierdzony krakowskim rękopisem kapitulnym z końca wieku XIII albo z początku następnego pod liczbą 147; tam czytamy w ustępie 4, że usłyszał to książę Moraw, co się stało w ziemi kozarskiej. Potwierdza to także krakowski brewiarz z roku 1508 słowami w ustępie 2-im; usłyszał książę Moraw, że w ziemi Kozarów naród przyjął wiarę Chrystusową. Najpodobniejsze to do prawdy, że rękopis krakowski z opisu Gauderyka korzystał, ale tem już samem uznał, że Gauderykowy opis poselstwa morawskiego zupełnie przypada do tła stosunków średniowiecznych. Zatem krakowski rękopis, choćby tylko potwierdzał słowa Gondryka a nie donosił o wypadku ze źródeł

miejscowych, już każe odrzucić pogląd, jakoby Gondryk mógł tylko u nieuków Włochów znaleźć wiarę).

2. [Rościsław] także troskliwy o swój naród, do wymienionego cesarza posłów wyprawił i uwiadomił, że naród jego od czci bałwanów był wprawdzie odstąpił i pragnie zachować chrześcijański zakon, ale nauczyciela takiego nie mają, któryby ich zaprawiał do czytania i do samego zakonu doskonałego.

(Żywot Cyryla, rozdz. 14, dodaje Rościsławowi określnik: od Boga natchniony — a posłowie mówią: dla ludzi naszych, którzy pogaństwa się wyrzekli i trzymają się zakonu chrześcijańskiego, nauczyciela nie mamy takiego, któryby nam w naszym języku istotną wiarę chrześcijańską pokazał, aby i inne kraje na ten widok nas naśladowały. Żywot Metodego rozdz. 5 tak podaje mowę posłów: między nas weszli nauczyciele mnodzy chrześcijanie od Włochów i od Greków i od Niemców, uczący nas rozlicznie; a my Słowianie proste plemię i nie mamy, ktoby nas nałożył do prawdy i rozumienie pokazał. Nestor rozdz. 20: „ziemia nasza chrzczona, a niema u nas nauczyciela, któryby nam przekazał i pouczył nas i przełożył święte księgi; nie rozumiemy ni greckiego języka, ni łacińskiego, ci bo nas owak uczą, a ci owak, zatem tedy nie rozumiemy książkowych obrazów ani siły ich". Słowem źródła zgodnie świadczą, że Słowianie potrzebowali nauczyciela wiary w ich języku; wbrew tym świadectwom Dr A. B. utrzymuje, że Słowianie o nauczyciela nie dbali, a wyłącznie tylko o biskupa prosili).

3. [Zatem wielko-morawscy Słowianie] proszą cesarza, niech wyznaczy do tych okolic człowieka zdolnego, któryby ludowi wykładał zupełnie wiarę i porządek zakonu boskiego i drogę prawdy.

(Żywot Cyryla dodaje: to poszlij nam władyko, biskupa i nauczyciela takiego, od was bowiem na wszystkie kraje zawsze dobry zakon pochodzi. Żywot Metodego: poszlij, kto nam wyłoży wszelką prawdę. Nestor: toć poszlijcie nam nauczyciela, który nam może pokazać książkowe słowa i rozumienie ich. Rękopis księgozb. mosk. duch. akademii liczba 19, stulecie 15 wymienia krótko a wyraźnie, że morawski książę prosił o Fi-

lozofa. Rękopis krakowski powtarza prośbę o prawdziwego dla narodu nauczyciela, temi samemi słowami brewiarz krakowski. Brew. Sokoł wymienia krótko prośbę o Cyryla, aby uczył religii).

4. Na prośbę przystając, cesarz tego wyżwymienionego filozofa zaprosił do siebie.

(Żywot Cyryla dodaje, że cesarzowi powiedział filozof: z radością idę tam, jeżeli mają głoski na język swój. Żywot Metodego dodaje, że cesarz powiedział Braciom, żeby szli do Moraw: wy bowiem Soluniacy, toć Soluniacy przecie pewno po słowiańsku rozmawiają. Tak podają niektóre rękopisy: oznaczony liczbą 993 w bibliotece synodalnej moskiewskiej i drugi w duchownej Akademi także pod liczbą 94, którego używał Szafarzyk do wydania praskiego z roku 1851; piszą mianowicie словѣнѣ всѣ, inne piszą вьси; czy всѣ nie znaczy tu „wżdy", „przecie", jak znaczy po rusku do dziś dnia? o tem Dr A. B. nic nie wspomina. Również nic nie mówi, że w słowiańskich językach do dziś dnia następny przysłówek чисто może wyrazić kilkanaście względów, jak świadczą słowniki, między nimi także oznacza wzgląd domyślny: zapewne, pewno. Bezsprzecznie może, kto chce, przełożyć ten przysłówek inaczej, ale w każdym razie stosownie do toku myśli.

5. ...i tegoż (filozofa cesarz) posłał tam, to jest do ziemi Słowian, razem z Metodym, bratem jego, zaopatrzonego bardzo dostatnio ze skarbców cesarskich. I kiedy przychodzili do owych okolic za przewodem boskim, uwiadomieni o nich tamtejsi krajowcy ucieszyli się bardzo, bo usłyszeli, że niosą ze sobą szczątki bł. Klemensa i Ewanielię, którą na ich język przełożył wymieniony Filozof. Wychodząc tedy za miasto naprzeciw nim, przyjęli ich zaszczytnie i z ogromnem weselem. Zaczęli tedy przykładać sił, aby dokonać tego, po co przybyli: więc uczyć głosek dzieci, przyzwyczajać do obowiązków kościelnych i zapuszczać ostrze wymowy, aby naprawiać różne błędy, znalezione w tym narodzie; słowem, zaczęli na tem polu zarażonem, w miejsce przeróżnego chwastu nałogów wyciętego i wyrwanego, siać plony słowa Bożego. Pozostali tedy na Morawach półpięta roku,

i prowadzili już lud we wierze katolickiej, i pozostawili tam wszystko spisane, co przy służbie Bożej uważali za potrzebne.

(O tej ich pracy wspomina Żywot Cyryla, że Filozof wszelkie bezeceństwa przesądów i nierządu między nimi wysiekłszy, jakoby cierń popalił ogniem wymowy. Oba tedy źródła przedstawiają Braci Soluńskich na pracy duszpasterskiej, potrzebnej między chrześcijanami, którzy kiedyś przyjęli zasady wiary i poznali jej obrzędy; ale od dłuższych czasów pozbawieni zdatnych przewodników, bez duszpasterstwa jak błędne owce, schodzą na bezdroża. Oba źródła zgodnie z niemieckiemi przedstawiają Wielkie Morawy jako kraj już chrześcijański: oczywiście nie bawarskie duchowieństwo nawróciło takie obszary w ciągu 75 lat: widocznie pracowali tu tajnie księża, którzy pod uciskiem awarskim utrzymali lud przy wierze).

Otóż już czytać mamy cały ten opis z nowym umysłem i zastosować do niego śledztwo porównawcze, aby zauważyć, które źródło opuszcza jaki szczegół, a które donosi.

Naprzód wspomina legenda włoska, że na Morawy zaszła wieść o Cyrylu między Chazarami: o tem nie wspomina ani słówkiem nigdzie Żywot Metodego, a Żywot Cyryla ledwo gdzieś nasuwa myśl o tem łącznie z innym szczegółem, ale także wyraźnie nie mówi.

Ta uwaga wydała ze siebie dowód następny (433, 434); Dr A. B. pisze:

Legenda włoska, licząc na ignorancyę rzymską, wysuwa efekt missyi kozarskiej, jakoby jej „tryumfy“ doszły uszu Rościsława i spowodowały missyę do Carogrodu! Ależ to jawna nieprawda; Rzymian tylko można było tak durzyć, co to nie wiedzieli chyba, gdzie Kozarya, a gdzie Morawy, gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie karczmy babińskie! Żadnym tryumfem nie skończyła się przecież misya kozarska dla braci, jedynie dotykalny jej wynik — to wydobycie relikwii, ale chagan kozarski z tudunami czy begami swymi zostali nadal przy mozaizmie, islamizmie i innych obrządkach *(sic)*, chrześcijaństwa nie przyjęli. Nie było więc najmniejszego powodu, żeby jakaś sława nieudanej zupełnie kozarskiej missyi — ... — szerzyła się od morza Kaspijskiego i Wołgi do Morawy i Dyi... dziki pomysł, jakby to Morawa i Kozarya — niby Soluń i Carogród, gdzie sąsiedzi wiedzą, jak kto siedzi.

Dowcipnie to napisano; dowód przebiega zgrabnie, nie uwydatnia swojego układu. Ale gdzie trzeba poddać dowód

pod rozbiór, tam właśnie coś znaczy układ przesłanek i związek ich z wnioskiem, a mało zależy na przebiegu dowodu dowcipnym i zgrabnym. Wypada tedy, choćby niezgrabnie nadać przesłankom postać mniejwięcej taką:

Jawnie nieprawdą jest to wszystko, o czem słowiańskie legendy nie wspominają, tylko włoska, — choć to dotyczy wschodniej Europy; a o tem, jakoby na Morawy zaszła wieść o Cyrylu między Chazarami, — o tem słowiańskie legendy nie wspominają, tylko włoska, choć to dotyczy wschodniej Europy: więc jawna to nieprawda, jakoby aż na Morawy zaszła wieść o Cyrylu między Chazarami.

Pierwsza przesłanka uczy, że słowiańskie legendy muszą za włoską powtarzać wszystko, co w niej znajdą zgodnego z prawdą o wschodniej Europie; czego nie powtórzą, to jawna nieprawda. Ale oczywiście nikt takiego przymusu nigdy nie zadał słowiańskim legendom; więc oczywiście pierwsza przesłanka odpada jako zupełnie jawna nieprawda.

Druga przesłanka uczy, że tylko włoska, a nie żadna słowiańska legenda wspomina, jakoby wieść o Cyrylu między Chazarami zaszła aż na Morawy. Ale oczywiście czytelnik uważa, że krakowska legenda, w rękopisie starszym o kilka wieków od rękopisu włoskiej, Polaków durzyć nie mogła, co to wiedzieli chyba, gdzie Chersoń i Chazarya, a gdzie Morawy, a powtarza, że usłyszał to książę Moraw, co stało się w ziemi kozarskiej; nikt Polaków nie durzył, choć nie przestali tego szczegółu podawać następcom; czytali to samo wraz z Czechami i Morawiakami w brewiarzu z roku 1508. Ani Słowian wschodnich nie częstował dzikim pomysłem pisarz ksiąg dawnych, który wybierał źródła, użyte później w *Latopisi* Nestora, a w wymienionym poprzednio 19-tym rękopisie moskiewskim świadczy, że **посланъ бысть философъ Константинъ къ Моравѣ Михаиломъ царемъ, моравскомъ князю просившоѳ философа.** Kiedy o Cyryla Rościsław prosił jako o nauczyciela wiary, musiał już był pierwej słyszeć o nauczycielskiej pracy Cyryla między innowiercami. Ani nakoniec nie każdy bez zarzutu przystanie na to, jakoby zupełnie milczał Żywot Cyryla o jego pracy, a nie łączył jej z wszystkiemi, na które Carogród wyprawiał ciągle swoich wysłańców wszędy pomiędzy niewiernych; wszak o tych pracach Żywot

ów nie milczy i wyraźnie o nich wie, i mówi, że z Carogrodu wszędy i ciągle wychodzą nauczyciele zakonu Bożego. Wie i mówi o wszystkich wyprawach, a o tej właśnie jakżeż nie ma wiedzieć? albo po co ma o niej mówić imiennie a nie łącznie z innemi? Dość tego, żeby widzieć, że i w Krakowie i w Moskwie legendy słowiańskie (a nie tylko włoska) wspominają o doniesionej do Moraw sławie Cyryla z pracy między Chazarami. A druga przesłanka uczy, że tylko legenda włoska wspomina o tem, a nie żadna słowiańska: więc i druga przesłanka odpada jako jawna nieprawda.

Słowem, zupełnie to prawdą być może, co mówi włoska legenda, choćby jej nie potwierdzały słowiańskie; teraz te ją potwierdzają: więc tem pewniej, im zgodniej ze sobą, źródła składają świadectwo, że na Morawy zaszła wieść o Cyrylu między Chazarami, a znikąd nie wynika wniosek, że za daleko od Chazarów do Moraw, aby do Rościsława dojść mogła sława Cyryla.

Owszem, sam twórca tego dowodu tak mało na nim polega, że o nim ani nie pamięta: tu tak rozumował, a gdzieindziej znów wprost odwrotnie wywodzi, że nie za daleko od Moraw do Chazarów, aby Cyryl usłyszał o Rościsławie. Wszak ta sama droga od Rościsława z Moraw do Cyryla i Chazarów, co napowrót od Cyryla między Chazarami do Rościsława na Morawach. Jednak czytamy wywód (440, 441, 443):

„Przez poblizką Bułgaryę szedł handel do Moraw, a czynność Żydów, od dawien dawna monopolizujących całe gałęzie handlu, szerzyła i wiadomości etnograficzne; i łatwo mógł Cyryl przy dłuższym pobycie kozarskim być świadkiem nadejścia karawany z daniną słowiańską; w wojsku kozarskiem byli liczni Słowianie. [Do tych słów można dodać uwagę, że i w wojsku bizantyjskiem mało który Grek był oficerem, a mnóstwo oficerów i urzędników Słowian. Gdzie trzeba było pracować, tam Grecy dawali urzędy Słowianom; dalej mówi Dr A. B.]: Z planem pozyskania dla Carogrodu b l i z k i c h Słowian, może sam Cyryl nawet wywołał poselstwo morawskie — o drogę, choćby przez Żydów, nie byłoby trudno“ i t. d. Gdzieindziej znów wymienia

jako możliwych pośredników między Rościsławem a Cyrylem także Greków, o których pobycie na Morawach legenda wypaplała się. Słowem, czytamy wywody, że ową przestrzeń między Chazarami a Morawami nie trudno było przebyć Słowianom i Żydom, aby Cyryla uwiadomić o Morawach, ani Żydom i Grekom, aby Rościsława uwiadomić o zamysłach Cyryla, więc zarazem badacz berliński dowodzi, że łatwo było Rościsławowi o Cyrylu i jego wyprawie chazarskiej słyszeć i przez Słowian, którzy jeździli z karawanami albo z wojska wracali, i przez Greków, i przez Żydów, i przez podróżnych kupców z jakiegobądź narodu, chętnych do pogadanki o krajach sąsiednich i dalszych.

Tak tedy pierwszym dowodem swoim badacz nic nie dokazał: oparł swoją budowlę na dwóch przesłankach, z których każda obala zarzut, a uwieńczył dzieło wnioskiem, któremu dał sam należytą odprawę.

Nierównie łatwiej upadają dalsze zarzuty. Następny powstał z rzekomych słów cesarza do Braci: jesteście Soluniakami, toć Soluniacy wszyscy (? a może: przecie?) pewno — czy dobrze — po słowiańsku rozmawiają.

Otóż w tych słowach nic osobliwie nie zastanowiło dziejopisów; każdy brał rzecz w ludzki sposób, nie roztrząsał wyrazów jak formułki matematyczne; każdy rozumiał myśl, że cesarz uważał Braci za zdolnych do słowiańskiego wykładu ewangelii, bo pochodzą ze Solunia, gdzie słowiański język używany. Nikt nie kładł tych słów na wagę złota; nie przypuszczał, żeby pisarz wymagał ślepej wiary w każdy wyraz, spisywany zwykle po wypadku dopiero z pamięci. Nie śledzili dziejoznawcy, czy za poprawniejsze należy uważać rękopisy z przymiotnikiem: Soluniacy wszyscy rozmawiają, czy z przysłówkiem: wżdy, przecież; a jeżeli tamte poprawniejsze, dlaczego cesarz albo pisarz użył przymiotnika wszyscy? Czy myślał o każdym Soluńczyku bez żadnego wyjątku ściśle matematycznie? czy zwrotem potocznej mowy wyraził krótko, że ze wszystkich stanów łatwo kogoś w Soluniu znaleźć, kto rozmówi się po słowiańsku? Z jaką myślą cesarz czy pisarz użył przysłówka

czysto? czy wyraził wzgląd na poprawny język, czy wzgląd wątpliwy, czy którybądź z tylu innych możliwych? A jeżeli miał na myśli stopień poprawności, czy wykluczał z niej wszelkie błędy, czy odróżniał ją ostatecznie od takiej mowy, w jakiej Grek mógł porozumieć się ze Słowianami, kiedy obaj mieszali wszystkie języki, a w końcu wyłożyli sprawę na migi?

Nie do takich pytań ostrzyli dziejopisowie swój dowcip. Rozumieli treść przemowy cesarza do Braci i nie dbali o słowa. I nie każdy językoznawca uważa te pytania za godne uwagi, choćby badał sprawę w dziełach zawodowych. Vatrosław Jagič, badacz pierwszorzędny, w Akademii nauk wiedeńskich wydał rozprawę (1902-go roku, w XXVII tomie) niezwykłej wagi, a po przytoczonych słowach rzekomo cesarskich, dorzucił krótką uwagę (str. 7): *Ob der Kaiser gerade diese Worte sagte, ob er so genaue ethnographische Kenntnisse über sein Reich hatte, das wollen wir nicht weiter untersuchen — der Geist der Legende spricht deutlich.*

Znalazł jednak Jagič następcę wrażliwszego. Ten o wspomnianych już przysłówkach rozprawia tak ostro, jakby pisarz żywotu nam na gardło nastawał i palem groził, jeżeli nie przysięgniemy na jego kreskę każdą. Trudno tu na coś przysięgać albo co zarzucać, skoro rękopisy różnie wyglądają: jedne z przymiotnikiem, drugie z przysłówkiem. Ale czytamy przecie rozbiór sprawy i z niego wysnutych zarzutów nowych dwa (432, 433):

Żywot Metodyusza obie tamte relacye (Ganderyka i Cyrylową) upiększa dwoma — nie kłamstwami, niepolityczna to rzecz, więc powiedzmy — wymysłami. Nieprawdą po prostu było twierdzenie, jakoby „wszyscy Solunianie dobrze po słowiańsku mówili".

Ale pierwej musimy wiedzieć, kto to twierdził: czy cesarz, czy pisarz, czy rękopis zepsuty ze słów domyślnych: przecie Solunianie pewno po słowiańsku rozmawiają.

Hardym Grekom ani się o tem nie śniło, w „Solunie" mówili po słowiańsku chyba tragarze i mamki.

Ale pisarze bizantyjscy także po słowiańsku umieli; wystarczy znać ich roczniki, gdzie spotkać się można ze słowiańskiemi słowami.

Żaden Grek nigdy nie splamił języka swego wyrazem słowiańskim, chyba jakiem przekleństwem na służbę, leniwie się krzątającą.

Ale Jan Chryzostom, Teodoret, Leontyos Ancyrski i ich pomocnicy w usługach oddawanych Słowianom także jakimiś byli Grekami, podobno nawet wpływowymi.

Pomału — *pomadig, dalli dalli* w Berlinie wołają na służbę — to samo co i Niemcy, umieli po słowiańsku, nic więcej, i Grecy w „Solunie".

Ale ci Grecy soluńscy Słowianom pismo obmyślili, a nie wydzierali języka od kilkunastu wieków piśmiennego.

I dziś tak jest, nie dopiero przed tysiącem lat, kiedy właśnie, jak ze źródeł współczesnych wiemy, g r e c k a literatura tam kwitnęła! To jedno w i d o c z n e k ł a m s t w o, umyślne — (442) nie darmoż kazał Metody w legendzie napisać, że „Solunianie" dobrze po słowiańsku mówią, zagradzając drogę wszelkim możliwym zarzutom niestosowności czy odmienności swej gwary. (444) Niezadowolnionym Morawianom przedstawiał świadectwo cesarza greckiego (co za znawcy! ślepy o kolorach sądził), że gwara solońska to sama „nastojaszczaja" słowiańska, a wszystkie inne to „driań". (445) Język ten słowiański rzezał nielitościwie morawskie uszy i do takiej n o s z t i, zamiast n o c y, do nosówek *ą* i *ę*...

Ale Hanka wydał rękopis królodworski właśnie z nosowemi; mniejsza czy podrobił, czy nie.

...do form i słów niezwykłych nie garnął się Morawianin ze zbytnim zapałem, lecz w końcu było to lepiej, niż nic. Morawianie przypuszczali chyba, że z czasem te dziwactwa, usankcyonowane autorytetem carogrodzkim, same się z języka uprzątną.

Ależ od kogo Słowianie żądali świadectwa, że Bracia po słowiańsku mówią? Wszak sami z nimi po słowiańsku rozmawiali: jeżeli się rozmówili, świadectwa nie potrzebowali; jeżeliby nie rozmówili się, o tem nie wiedzieliby, czy istnieje jakie świadectwo.

Do tylu to wniosków w jednym zarzucie utorowała uwaga zwrócona na jedyny przysłówek „czysto"! i ten zarzut nawet żadnej nie zdradza obawy, czy ów przysłówek właśnie nie wyrażał względu zupełnie innego, i to w tym razie jeżeli wyszedł z ust cesarza; a za taki właśnie szczegół opisu który pisarz kiedy zaręczy?

Ale jeszcze nowy zarzut:

(433) A drugie kłamstwo, jakoby na Morawie pojawili się byli — przed Cyrylem i Metodym — Grecy w celach misyjnych! I o tem się żadnemu Grekowi nigdy nie śniło, i wiemy również z najlepszych

źródeł współczesnych, że dopiero Cyryl i Metodyusz, to pierwsi Grecy, co się na Morawach zjawili.

Ależ sam Dr A. B. w innem miejscu radośnie przychwytuje legendę na tem, że się wypaplała o pobycie Greków przed Braćmi na Morawach. A co dotyczy księży greckich, na takie zarzuty, wbrew wszelkiej prawdzie dziejowej, wpaść może umysł, zaprzątnięty w ciasny widnokrąg pierwszych lepszych kilku źródeł wziętych z Bawaryi. Co w tych źródłach przemilczano może nieświadomie, tego nie było, to kłamstwo; co wyrażono bez nacisku, chociaż dość natrącono czytelnikowi obeznanemu z dziejami sprawy, tego Dr A. B. rzeczy nieświadomy nie widzi, o tem się nikomu nie śniło. Kilkaset lat spędzonych urzędowo w związkach kościelnych Panonii z Grekami znikło bez śladu z widowni, bo o nich w Bawaryi nie wiedzieli pisarze.

Prowadzi tedy rozbiór źródeł do wyników bardzo urozmaiconych i pełnych treści: tam porównawcze śledztwo nad różnicą między włoską legendą a słowiańskiemi doszło do wyniku, którego nie podtrzymuje znowu gdzieindziej sam jego wynalazca, tu rozbiór przysłówka c z y s t o doprowadził do zamku na lodzie a wzmianka o Grekach w Panonii pozwoliła nakreślić wykrzyknik i wypowiedzieć wierutne... przeciwieństwo ze wszystkiem, co mówią dzieje prawdziwe. Tak żywo urozmaicona treść wyników może czytelnika wyczerpać, albo... jeżeli bardzo wybredny: znudzić, w każdym razie znużyć naciskiem kładzionym na same szczegóły, do których przykłada wagę chyba ktoś, co spędził lata nad gramatycznym rozbiorem przysłówków; tylko jego mógł tak drasnąć ów cesarz, któryby bezprawnie w dziedzinę językoznawstwa wkroczył, gdyby żądał wiary w swoje świadectwo o czyimś języku c z y s t o słowiańskim!

Kogóżby, jeżeli nie spędził lat nad surowemi przepisami gramatyki, uraził tok słów nadętych chropowato a zarazem dziecinnie prostodusznych u bizantyjskiego pisarza w słowiańskim przekładzie? A znajdujemy to wszystko w liście cesarza do Rościsława tak napisanym:

Bóg, który życzy każdemu, aby do rozumu prawdziwego doszedł i na wyższy się stopień dźwigał, zoczywszy wiarę twoją i po-

stęp, dokonał wielkiego dzieła także obecnie w naszych latach, wydając na jaw głoski dla waszego języka, czego nie było pierwej, a tylko w tych dopiero latach; niechże i wy zaliczycie się do wielkich narodów, które sławią Boga swoim językiem. I skróż to ci posyłamy tego, któremu je Bóg wydał na jaw, męża uczciwego i prawowiernego, księgom oddanego wielce i filozofa. I ot, przyjmij dar większy i uczciwszy od wszego złota i srebra i kamienia drogiego i bogactwa znikomego. Podźwignij się z nim, śpieszno utrwalaj sprawę i ze wszystkiego serca szukaj Boga, i powszechnego dobra nie odtrąć, a wszystkich dźwignij, nie daj lenić się, ale jąć się prawdziwego toru. Toć i ty, przywiódszy ich postępem swoim ku rozumieniu Boga, przyjmiesz swoją płacę natomiast, i w tym wieku i w przyszłym, za wszystkie te dusze, chcące wierzyć w Chrysta, Boga naszego, odtąd do końca, pamięć swoją zostawiając pozostałym pokoleniom, podobnie jak wielki cesarz Konstantyn.

Oto ten list, najwierniej powtórzony po polsku za słowiańskim przekładem bizantyjskiego języka. Kogóż takie pisanie ma oburzyć, jak nie stróża prawideł gramatyki? Więc pisze (472):

Czytając dalej hymn pochwalny, jaki cesarz wystawił obrządkowi (tak?) słowiańskiemu i Cyrylowi, nie mogliśmy się powstrzymać od wniosku, że list ten, porównujący barbarzyńcę Rościsława z Konstantym Wielkim, oddający taki niesłychany i niezasłużony niczem hołd liturgii (tak?) słowiańskiej — nie mógł nigdy ani od cesarza ani z Byzancyum wyjść, że to wymysł dla uświetnienia nowego przedsięwzięcia. Ten list jest falsyfikatem [432: sfabrykowanym pewnie przez Metodego]; *pia fraus* zdobyła się nań, aby prawowierność niezwykłego kroku uzasadnić i w najkorzystniejszem wystawić świetle.

Niema co mówić o tym umyśle nowym, dla którego czemś nowem są stare zwroty bizantyjskiego pióra. Wszak tu wynalazcę pisma słowiańskiego spotkały pochwały, jakich setki w grzecznych listach czytamy. O wynalazku Cyryla czytamy przenośnie najzwyklejsze w mowach i pismach ułożonych ze wschodnią przesadą bizantyjskiej wyobraźni. Rościsław, dbały o stan Kościoła w swoim kraju, dostaje obietnicę, że przekaże po sobie pamięć, podobnie, jak Konstanty Wielki; chleb to powszedni w Carogrodzie obiecywać pobożnym panom pamięć podobną do Konstantyna a paniom pamięć, jaką zostawiła Helena. Spotykamy takie zwroty nawet u pisarzy wytwornych, np. u Nazianzena w listach do cesarzowej Pulcheryi: kogóż zdziwi taki zwrot pod piórem dworskiego pisarza, który Michałowi listy wy-

rabiał? Kogo uprawnia do wniosku, że list to podrobiony pewnie przez Metodego?

Ale na rozbiorze jednego listu Dr A. B. nie poprzestał. Dalej ciągnie (472):

A takich listów jest kilka i wszystkie one równej wartości. Z jednego z tych listów ocalał przecież oryginał łaciński, i jeżeli porównamy oryginał Jana VIII z tem, co legenda Metodyuszowa zeń przytacza, pokazuje się jawnie — czego w liście papieskim niema, co legenda dodała.

List ten dotyczy przygody, nie związanej ściśle z wątkiem dziejów, późniejszej o kilka lat od poselstwa morawskiego. Zarzut z tego listu wysnuty ma osłabić powagę źródeł, można tedy uprzedzić bieg wypadków, aby bez przerwy w ich wątku poznać zaraz podstawę tego zarzutu.

Czytelnik zawdzięcza wybornej książce d-ra Pastrnka[1] zbiór odnalezionych dotąd listów Jana VIII w sprawie arcybiskupa Metodego: może tedy sprawdzić, co w jakim liście legenda może dodała, co opuściła. Obżałowany (r. XII) ustęp opisuje, jak nieprzyjaciele arcybiskupa burzyli lud przechwałką:

Nam dał papież władzę, a tego każe precz wygnać i naukę jego. Zebrawszy zaś się wszyscy ludzie morawscy, kazali przeczytać przed sobą epistolię, aby słyszeć o wygnaniu jego; w tem zaś, co czytali z apostolskich ksiąg, znaleźli, że napisano: jako brat nasz, Metody święty, prawowiernym jest i apostolskie dzieło kona, i jemu poruczył Bóg i apostolska stolica wszystkie słowiańskie strony, niech kogo przeklnie przeklętym, a kogo święci świętym niech będzie... I posromiwszy się rozeszli się jako mgła ze wstydem.

Otóż legenda przywodzi papieskie pismo pod nazwą epistolii albo „Ksiąg apostolskich“ i opowiada, co w tem piśmie znaleźli Morawiacy; czy opowiada to dosłownie? czy przytacza myśl samą? tego ze samej legendy nie wiemy; mógł pisarz swojemi słowami opowiedzieć, co zapamiętał z oryginału łacińskiego.

Ale gdzie ten oryginał? Ocalał, jak w zarzucie czytamy. Ależ nikt, ani dr. Pastrnek, choć zbieracz nieprześcigniony, nie podał między listami papieskiemi ani jednego, z któregoby legenda przytaczała choć pół wiersza dosłownie: więc legenda

[1] *Dějiny slovanských Apoštoluo Cyrilla a Methoda.* V Praze 1902.

albo dosłownie przytacza jakąś epistolię czy „Księgi apostolskie“, które nie ocalały, albo przywodzi swojemi słowami myśli któregoś z listów, które ocalały.

Rzeczywiście legenda przywodzi niektóre myśli z ocalałego listu papieskiego do Świętopełka. Jan VIII w tym liście przyjmuje opiekę nad Świętopełkiem i całym ludem jego ziemi wskutek jego prośby, którą dostał przez swojego współbrata Metodego i powiernika Rościsławowego Ziemiżyzna; dalej zarządza Jan VIII: niech Metody arcybiskup, znalezion we wszystkich kościelnych naukach i posługach prawowiernym i pożytecznym, jako pasterz, którego podtrzymuje powaga papieska i na którego Bóg spogląda, niech według kanonicznego podania ma troskę o wszystkie sprawy kościelne i załatwia je; niech ma pod arcybiskupią władzą Wichinga, biskupa wyświęconego na Nitrę (na Słowaczyźnie); niech ze Świętopełkiem upatrzy i przyśle do Rzymu księdza albo dyakona, którego papież wyświęci na stolicę biskupią, jaką wskaże Świętopełk. Metody niech z tymi dwoma biskupami święci biskupów na pozostałe stolice podług wyroku apostolskiego; niech rządzi całem duchowieństwem, które czy ze Słowian pochodzi czy nie, przebywa na obszarach kościelnej dzielnicy pod berłem Świętopełka. Metody niech raz i drugi upomni krnąbrnych i nieposłusznych, gdyby ważyli się sprawić zgorszenie albo odszczepieństwo, a jeżeli w nich nie znajdzie poprawy, niech powagą papieża z jego rozkazu siewców kąkolu wyrzuca z kościołów poza obręb państwa daleko, według prawa, ujętego w ustawy *(capitula)*, dane Metodemu a Świętopełkowi posłane. Słowiański obrządek niech ma wszelkie prawa a łaciński pozostaje do woli Świętopełka i jego rady.

Czyż to są epistolia czyli „Apostolskie księgi“, po które ruszył gromadnie lud wzburzony wieścią, jakoby papież biskupa wygnać kazał? Siewcy tej wieści nikomu nie chcą wydać owych „Ksiąg apostolskich“, dopiero ustępują przed groźnym tłumem; jego rozkazem zmuszeni odczytują prawdę i zasromani ze wstydem rozwiewają się, jak mgła. Skąd mieli prawo zatrzymy-

wać list do Świętopełka? Czy wrogowie Metodego nie dostali raczej dla siebie listu od papieża z rozkazem, żeby ulegli biskupowi słowiańskiemu, i raczej tego listu nadużyli? I list taki prawdopodobny i taki jego użytek możliwy.

A przeciwnie: czyżby Świętopełk pozwolił im nadużywać swojego listu? Przez Metodego oddaje kraj pod opiekę papieża, przyjmuje z powrotem Metodego i szanuje na arcybiskupiem stanowisku, a z listem papieża w ręku, jakoby z wyrokiem na Metodego, lud swój przeciw niemu burzy? Ale wzburzyć ludu nie może przeciw Metodemu, wzburza tedy sam przeciw sobie — lud nie uwierzy, aż listu nie przeczyta... Świętopełk bez władzy nad Metodym, którego mógł lada chwila wygnać bez żadnych wybiegów, bez władzy nad rzeszą, którą sam przeciw sobie podburzył, ustępuje, czyta list, zasromany ze wstydem rozwiewa się jak mgła.

Co to wszystko znaczy?

Niech wyjaśni ten, kto chyba uważa list do Świętopełka za oryginał, przytoczony w legendzie, ale rzekomo już z tem, czego w liście papieskim niema, co legenda dodała.

Kto wglądnie bardziej w samą myśl, niż w słowa listu, widzi, że papież w nim mianuje współbratem Metodego, prawowiernym, pożytecznym we wszystkich posługach kościelnych, wyznaczonym od Apostolskiej Stolicy do rządów nad całą rzeszą Słowian wielkomorawskich, czyli ledwie nie nad całą Słowiańszczyzną wówczas chrześcijańską, powagą apostolską obowiązanym krnąbrnych wyrzucać z Kościoła.

Słowem może — kto chce — poczytywać list łaciński Jana VIII do Świętopełka za oryginał streszczony w legendzie. Ale niechże wtedy nie przykłada wagi do różnicy w słowach. A jeżeli nie zdaje sobie sprawy, skąd list do Świętopełka miał komu służyć za broń przeciw Metodemu, jeżeli nie poprzestaje na zgodzie w myślach i żąda zgody dosłownej, niechże nie w powyższym liście upatruje oryginał „Ksiąg apostolskich“ legendy, tylko odgaduje w owych „Księgach apostolskich“ coś innego, np. prawdopodobny list papieża do duchownych Bawaryi, albo owe właśnie u s t a w y *(capitula)*, które określały prawne stanowisko

duchowieństwa i najłatwiej dostałyby nazwę ksiąg apostolskich. Trudno tak nazywać list.

Znowu tedy nic nie mówi różnica między dwoma źródłami; znowu spostrzegamy zarzut bez podstawy wzniesiony ale zakończony śmiało (472):

Pokazuje się jawnie, czego w liście papieskim niema, co legenda dodała: a każdy z tych dodatków waży ciężko, bo i oddaje Metodyuszowi „wszystkie słowiańskie strony", o czem papież ani myśleć nie mógł, a co Metody za to wymyślił.

A ileż słowiańskiego chrześcijaństwa było poza wielkomorawskiem arcybiskupstwem? Ależ tu nie szło o geograficzne opisy ani o pojęcia etnograficzne, tylko o kościelną dzielnicę słowiańską, podległą od wieków biskupom greckim a przyłączoną samowolnie do biskupów w Bawaryi; dokąd sięgać miały krańce tej dzielnicy, na Wschodzie zwłaszcza, o tem nie miał co myśleć nikt ani w Rzymie, ani na Welehradzie, ani w Solnogrodzie; o kraje jeszcze pogańskie nie szło nikomu w całym sporze. Wszyscy rozumieli spór o dzielnicę słowiańską.

Stwierdza, że kogo Metody przeklnie, ten przeklętym niech będzie — a my wiemy przecież, kogo Metody przeklął: łacinników!

Tu czytelnik niewątpliwie skupia uwagę i na nowo odczytuje zarzut, aby dojść w nim do myśli, bo tę, którą pojął od razu, uważa za niedorzeczną, niegodną profesora wszechnicy jakiejbądź. Innej przecie myśli wypatrzyć tu nikt nie zdoła, prócz tej właśnie jedynej:

Metody nie miał od papieża prawa przekląć nikogo, *bo przeklął łacinników!*

I jakby czytelnik nie mógł uwierzyć w taki wypadek, zaraz dalej znajdzie dowody, że istotnie Metody przeklął łacinników. Ależ ileż tysięcy biskupów, od świętych Piotra i Pawła począwszy i aż do najmłodszego, iluż ich było i jest, a każdy bez wyjątku z władzą swojego urzędu posiadł prawo wyklinać krnąbrnych poddanych! A którykolwiek w łacińskiej dyecezyi rządził i złych poddanych karcił klątwą, kogóż kiedybądź przeklął, jak nie łacinników? I kogóż miał wyklinać? Alboż Żydów, pogan, Turków albo drugich innowierców albo poddanych cudzych? Nad nimi władzy żadnej nie miał. Jak okładał klątwą,

to łacinników. Cóż tu dowodzić długo, że Metody w dyecezyi mieszanej znalazł łacinników godnych klątwy?

Ciekawe mogą być te dowody: jakżeż wyglądają?

Potwierdzają to trzy od siebie całkiem niezależne źródła: list papieża Szczepana: na głowę jego (Metodego) spadnie anatema, wydane dla wzgardy wiary katolickiej, Żywot Klemensa z wiadomością o klątwie rzuconej przez Metodego na Wichinga, i tradycya czeska (z r. 993), o klątwie rzuconej przez Metodego na cały kraj.

Co może wyglądać na kpiny z czytelnika, jeżeli jeszcze nie dowód podobny? Szczepan papież pisze w liście, swoją drogą wątpliwym: „Słysząc, że Metody (wymieniony tu po raz pierwszy) na przesądy nie na zbudowanie, na zatargi nie na pokój nalega, nader zdziwiliśmy się. [W niektórych rękopisach: Jeżeli to prawda, co słyszeliśmy, odrzucamy jego przesądy zupełnie.] Klątwa zaś na pogardę katolickiej wiary rzucona, spadnie na głowę tego, kto ją rzucił". Tyle papież o tej klątwie: stwierdza, że słyszał dziwne wieści o Metodym, słowem nie zdradza, czy w te wieści uwierzył. Wyraził sąd o klątwie rzuconej niesprawiedliwie, ale znów słowem nie wyraża, kto tę klątwę rzucił. Łączy oba zdania spójnikiem, o którym językoznawca wie, że wyraża przechód do innej myśli. Jakiem prawem tu weszło (w nawiasie umieszczone) imię Metodego, to już zagadka zupełna. A na dobitek list ten cały nie wiadomo, czy prawdziwy [1].

Powtóre Metody wyklął Wichinga, więc nie prawdą, co donosi legenda, jakoby papież napisał: niech, kogo przeklnie, przeklętym będzie. Więc-że nie mógł w prawomocną klątwę swojego arcybiskupa wpaść Wiching? ten — jak otwarcie mówi kard. Hergenroether (Phot. II, 625): *der ehrgeizige, auch von den Deutschen ungünstig geschilderte Wiching?* ten późniejszy biskup passawski, o którym roczniki jego własnej dyecezyi piszą (Pastrnek 281): *Wird Bischof mehr durch Gewalt als Einhelligkeit?* ten, z którym znowu niemiecki jego arcybiskup w Solnogrodzie rady sobie dać nie może, więc karami okłada i strąca z bisku-

[1] Hergenr. Phot. II, 628 przytacza przeciw temu dowody za Watenbachem str. 1, Ginzlem str. 11, Erbenem *Reg. Boh. et Mor.* Praga 1855, str. 20, Dümmler *Ostfr. G.* II, 2b7, nr. 70, Jagicz *Denkschr. d. kais. Akad.* 1902.

piej stolicy; ten Wiching służy za dowód, że Metody bezprawnie wyklinał łacinników?

Ale jeszcze trzeci dowód: tradycya czeska (z r. 993) o klątwie rzuconej na cały kraj. Tę tradycyę czeską znajdujemy podaną przedtem (456) w słowach:

Później, z górą sto lat potem piszący, ale z tradycyi dobrej czerpiący świadek, Czech [1], z rodziny panującej, która Świętopełka zwierzchność niegdyś uznawać musiała, tak o tem się wyraża: „Świętopełk, władzę objąwszy, a szałem chełpliwości podniecony, jakby odrzucał wraz z potakującymi sobie towarzyszami miodopłynne kazanie biskupa Metodyusza i najświętszych upomnień nie przyjmował należycie, lecz członkom swym, t. j. ludowi i narodowi swemu, i Chrystusowi i dyabłu służyć dopuszczał. Dlatego wymieniony biskup świętej pamięci przeklął kraj (?) i powiat (?) jego wraz z zamieszkującymi go, z miedzami i owocami jego; anatemą i rozmaitemi klęskami zniszczone, opłakują to one po dziś dzień.

Dosłowniej ma brzmieć: „Metody przeklął wieś jego wraz z mieszkańcami, zniweczoną przez rozmaite klęski wraz ze zagonami i plonami, aż po dziś dzień opłakiwaną". Rękopisy podają *pugnus eius cum incolis* albo *pagus eius et rus;* to nie znaczy: kraj i powiat.

Świadczy tedy brat Dąbrówki, że Świętopełk gardził przestrogami, za to Metody rzucił klątwę na jego wieś wraz z jej mieszkańcami. Otóż Dr A. B. zamienił „wieś" na „kraj i powiat"; mimo tego jeszcze nie dowiódł, jakoby Metody nie miał prawa rzucić klątwy a legenda niesłusznie opierała to prawo na powadze papieskiej.

Czytelnik nie znajduje ani jednego z powyższych zarzutów godnym uwagi, a przecie czyta na tych zarzutach nikłych i bez treści, na nich jakby na podstawie rzeczywistej oparty pogląd zasadniczy, że źródła nie zasługują na wiarę. Tak tedy Dr A. B. powyższą zasadę wywodzi (472, 473):

Żywoty Cyryla i Metodyusza — to utwory grubo tendencyjne, mające obronić prawowitość liturgii słowiańskiej, najmłodszej w świecie. Na tę stronę — najważniejszą, rozstrzygającą, nie zwracano dotąd należytej uwagi. Jawna tendencyjność legend uderza w tych szczegółach, o których wyżej mówiliśmy, jakoby wiadomość o pomyślnym wyniku missyi chazarskiej pobudziła Rościsława (co jawna nieprawda), jakoby

[1] Chrystan, brat naszej Dąbrówki.

cesarz grecki wystawił świadectwo „czystości“ języka słowiańskiego obu braci (w czem był tak kompetentny jak nieprzymierzając, powiedzmy, cesarz chiński lub rzymski).

I tak dalej streszcza Dr A. B. nikłe zarzuty i oświadcza, że

z owych jawnych wymysłów i tendencyi antykatolickiej wyrozumowałem poglądy moje na całą sprawę... nie wierzymy żywotom na słowo, przydybawszy je na oczywistych zmyśleniach i pytając przy każdym szczególe *cui bono* (a o to nikt nie pytał), dochodzimy do zupełnie odmiennej, o ile nam się zdaje, o wiele prawdziwszej oceny działalności obu Braci Soluńskich, jej pobudek i przebiegu.

Słowem, Dr A. B. sądzi, że źródła z umysłu przenicowały prawdę na odwrót; zaczem trzeba pojąć całą sprawę przeciwnie, niż przedstawiają źródła. Ależ czy to wniosek słuszny? wszak źródła tak dobrze przypadają do całego biegu dziejów, tak licują z wypadkami poprzedniemi, tak odpowiadają stosunkom współczesnym, że kto czyta na odwrót, ten wystąpi przeciw dziejopisarstwu i całemu dorobkowi zawodowych badaczy! pomimo świadectwa dziejów trzeba czytać źródła z nowym umysłem.

Ale niech Dr A. B. dalej mówi.

(433) Jest jedno jasne: źródła hagiograficzne nie wyjawiają, dla przyczyn, jak zobaczymy, bardzo słusznych, prawdy; owszem, zakrywają ją jak najstaranniej, a najbardziej włoska legenda w ciuciubabkę się bawi — dla bardzo ważnej przyczyny: wkradł się przecież wilk, obcy Grek, w owczarnię łacińską i należało tę inwazyę bezprawną ukoloryzować jakoś — więc inicyatywę kroku niezwykłego, nielegalnego, zrzucono na Rościsława i Morawian; oni to się domagali od cesarza greckiego (niby to wiedzieli, czy przypuszczali, że Grecy hodują missyonarzy słowiańskich na eksport!) wysłania „apostołów“... (434) inicyatywa takiej misyi morawskiej wyszła nie z Moraw, l e c z o d C y r y l a. Cyryl sfabrykował takie brzmienie orędzia morawskiego; źródła nasze przedstawiają umyślnie całą rzecz odwrotnie.

Czytelnik w kilku okresach znajduje tyleż dowodów, że Dr A. B. nic sobie nie robi ze świadectwa dziejów. Nazywa wyprawę morawską krokiem niezwykłym ze strony Greków, którzy tak gorliwie roznosili światło wiary, jak opowiadają przywiedzione już świadectwa. Nazywa Dr A. B. tę wyprawę krokiem nielegalnym Greków, którzy od najdawniejszych czasów urzędowo wykonywali zwierzchniczą władzę nad Illiryą, wysadzeni na ten urząd powagą papieską. Prośbę o usługi duchowne, do jakich przywykli Słowianie ze strony Greków przez wieki, na-

zywa Dr A. B. nadzieją, że Grecy hodowali misyonarzy słowiańskich na eksport. Cyryla nazywa fabrykantem orędzia morawskiego, i zagrywa przez to na inny swój zarzut, również sprzeczny z prawdą dziejową. Twierdzi (430):

Źródła nasze są bardzo jednostronne, bo hagiograficzne, więc w pobudki świeckie, polityczne, umyślnie nie wchodzą, ignorują je stale; bóg (przez b małe pisany) i wróg ludzki: w tych dwóch ekstremach się wyłącznie poruszają, względów postronnych, ubocznych nie znają umyślnie.

Ależ właśnie wyrażają jawnie pobudkę świecką i wzgląd polityczny, dla którego Morawiacy posłali do Rzymu z prośbą o Metodego: legenda o nim w rozdz. 10 mówi: zdarzy się zaś tedy, Morawianie poczuwszy, że niemieccy księża, co między nimi przebywali, nie sprzyjali im, ale okowy kuli na nich, wygnali wszystkich, a do apostolskiej stolicy posłali z prośbą: daj nam Metodego arcybiskupa i nauczyciela.

Ale jeszcze inna przyczyna zmuszała te źródła do ostrożnego milczenia. O poselstwie morawskiem wspominają tylko żywoty Cyryla i Metodyusza, oba w języku cerkiewnym, i legenda o przeniesieniu św. Klemensa.

Ależ o tem poselstwie wspominają także legendy moskiewskie i krakowska; która choćby z Gaudentego czerpała, powtórzyła przecież tę wiadomość, jako zupełnie wiarygodną; Dr. A. B. poczytuje to poselstwo za coś wręcz niepodobnego do prawdy, za pomysł dziki, w który chyba włoski nieuk mógłby uwierzyć.

Trzy te źródła sprowadzają się jednak na jedno, na informacye, których Cyryl i Metody sami dostarczali.

Ale Anastazy bibliotekarz zbierał z przybyłymi na sobór Rzymianami wiadomości w Carogrodzie dla Gauderyka do legendy włoskiej z ust Mitrofana.

Legendę włoską spisano z ust czy z inicyatywy samego Metodyusza przed jego powtórnym w mieście wiecznem pobytem.

Ależ to pusty wniosek z rzekomych wymysłów w tej legendzie.

Legenda o Cyrylu może nawet z pod pióra brata starszego wyszła, a i żywociarz Metodego z jego informacyi korzystał. Więc wszystkie trzy źródła o missyi morawskiej sprowadzamy do jednego mianownika.

Ale tych trzech źródeł nie można brać za jedyne; trzeba o innych także wiedzieć; ani te trzy źródła nie pochodzą od

Metodego, a choćby pochodziły, nie zawierałyby nic na pochwałę Braci Soluńskich, jak to dość jasno powiedziano już za świadectwem Anastazego.

To samo powtarza Dr A. B. Niemcom [1].

Wystarczy to już, żeby przedstawić, jak Dr A. B. czyta źródła; stawia zasadę, że widzi przed sobą zbiór wymysłów ułożony, aby zakryć prawdę; do tej zasady dąży z oczyma odwróconemi od wszystkiego, co może w księdze dziejów rzucić światło na miejsca, w źródłach z przed tysiąca lat, ciemne już dziś; zamiast mieć oczy na to światło, Dr A. B. wpatruje oczy w szczegóły, które wyrwane z biegu wypadków współczesnych, albo mniej poprawnem piórem wyrażone prostodusznie, dadzą ze siebie wysnuć zarzut, że pisarz zmyśla, kłamie jak na urząd, że trzeba mnóstwo głosek przenicować i dopiero na odwrót czytać.

Ale choćby źródła ukrywały prawdę, to skądże kto mógłby to nazwać prawdą, czego właśnie w źródłach żadnych nie znalazł, tylko odgadł swoim dowcipem? Jeżeli nie w ten sposób coś działo się, jak piszą źródła, to mogło dziać się na niewiedzieć ile sposobów innych. Wyobraził sobie Dr A. B. wszystko na swój sposób bez żadnych na to dowodów: niechże to poda za dzieło twórczej wyobraźni, a nie za wynik pracy źródłowej, i niech ogłasza jako obrazek pisany dla rozrywki, jako płód umysłu zdolnego czytać głoski w jakiemś świetle bezprzedmiotowem, ale nie za zdobycz nauki.

Przyznać jednak trzeba, że nawet kto już wie, jak Dr A. B. odczytuje źródła, jeszcze nie zna polotu jego wyobraźni, jeszcze nie przewiduje, co Dr A. B. w tych źródłach odczytał, a czego odczytać nie może, choć za prawdę podaje. Ale o tem osobno.

(Dok. nast.)

Ks. K. Czaykowski.

---

[1] 146a: „Die drei Quellen ruhen auf einer gemeinsamen Information, sie stammen nämlich alle von Method her, der auf Kosten der Wahrheit zur Wahrung seines Standpunktes den Verlauf der Ereignisse fälschte, vieles Erdichtete einschob — nach dem Grundsatze, dass der Zweck die Mittel heilige".

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Psałterze polskie do połowy XVI wieku. *Aleksander Brückner.* W Krakowie. 1902.

Starsza i najstarsza epoka literatury polskiej, to teren, na którym prof. Brückner obraca się najswobodniej. Prace jego nad tą epoką istotnie też zmieniły dotychczasowe na nią poglądy, i dzięki im inaczej dziś patrzymy na nasze piśmiennictwo średniowieczne, aniżeli patrzyliśmy przed dwudziestu kilku laty.

Do tej kategoryi prac należy także rozprawa o psałterzach polskich do połowy XVI wieku. Ma ona te same niedostatki, co inne tego rodzaju prace prof. Brücknera, a przedewszystkiem umieszczane w Rozprawach Akademii. W miesięczniku np. trzeba się z czytelnikiem choć trochę liczyć; w Rozprawach nie ma się dla niego litości. Obok wniosków i wywodów cały materyał *in crudo*, z ciągłemi wtrącaniami rzeczy, któreby można umieścić gdzieindziej. Onego czasu prace prof. Brücknera o Wacławie Potockim nazwano (prof. Heck w *Przegl. Powsz.)* ekscerptami; autor zżymał się nieco na tę nazwę; jest ona jednak nadzwyczajnie trafna i słuszna. Już to wykończenia, wygładzenia, jakiegoś ustosunkowania rzeczy pierwszorzędnych wobec podrzędniejszych — w tych pracach nie szukać. Dodajmy do tego jeden szczegół, na który zresztą nigdy nie zwracamy w recenzyach uwagi, nie chcąc uchodzić za pedantycznego wyławiacza „błędów“ językowych. Ale gdy czegoś za wiele, to już i ten wzgląd na bok musi pójść. Styl, język, z uporem interesującym są ciągle takie, że geniusz języka polskiego niepocieszony płacze nad pobitymi syny swoimi; germanizmy w wyrażeniach,

zwrotach, niepolska składnia i tok sprawiają, że czytanie prac prof. Brücknera nie należy do wielkich przyjemności.

Ale poza tymi niedostatkami natury formalnej pozostaje treść, pozostaje naukowa wartość rozprawy. Tyle razy już powtarzaliśmy, że wartość i znaczenie prac prof. Brücknera, odnoszących się do literatury starszej, są bardzo wielkie, że nie potrzebujemy się już nad tem rozwodzić co do „Psałterzy polskich"; zaznaczamy to jeszcze raz i przechodzimy do streszczenia rozprawy. Szczegóły, wiadomości, które ona przynosi, są tak ważne, że znać je trzeba; czytanie zaś samej rozprawy jest bardzo utrudnione. Niechże więc już sam recenzent przejdzie to *purgatorio*, a czytelnik *Przeglądu* niech z tego zbierze owoce.

Psałterz od początków chrześcijaństwa znaczenie miał ogromne. Przedewszystkiem dla księży, „stanowiąc główną część modlitw, podstawę brewiarza". Od księży zaś przeszedł psałterz w ręce laika i stał się w wiekach średnich najwięcej rozszerzoną i najulubieńszą książką do nabożeństwa. „Znaczenie psałterza o wiele większe w chrześcijaństwie, niż w żydostwie samem". A ponieważ świeccy, zwłaszcza kobiety, nie umieli po łacinie, przeto powstała konieczność przekładania księgi świętej na języki narodowe i do pewnego stopnia literatury europejskie w języku narodowym zaczynają się od tłumaczeń psałterza. Tak było w Czechach, tak też i w Polsce.

Polskich psałterzy całkowitych mamy do połowy wieku szesnastego pięć.

1. Psałterz tak zwany floryański *(psalterium trilingue,* t. j. łacińsko-niemiecko-polski). Pisany prawdopodobnie w siódmym lub ósmym dziesiątku wieku czternastego (str. 6,— dotąd przyjmowano datę nieco późniejszą, koniec XIV i pierwsze lata XV wieku, ob. Nehring). Powstał w Krakowie; przeznaczony był pierwotnie najprawdopodobniej dla kogoś z królewskiej rodziny andegaweńskiej. Jakiemi drogami doszedł aż do opactwa St. Floryan, pozostaje zagadką. Wogóle cała historya rękopisu jest jeszcze niejasna i daje dużo zagadek do rozwiązania.

2. Psałterz puławski. Rękopis pochodzi z końca XV wieku. Dokładnie datę oznaczyć trudno; były przecież głosy, że datę powstania rękopisu należy przesunąć znacznie dalej, gdzieś do pierwszej ćwierci wieku XVI. Mówimy o rękopisie, o czasie napisania, a nie o czasie samego tłumaczenia — o czem niżej. I z tym psałterzem łączy się niejedna zagadka: gdzie powstał? dla kogo był przeznaczony? jakie przechodził koleje, aż się dostał do Puław, a stąd do Krakowa?

3. Psałterz krakowski z r. 1532, pierwszy zupełny psałterz polski drukowany. Wydanie drugie, niezmienione wyszło w r. 1535; dowód, że pierwsze było rozchwytane. W tytule znajdują się słowa: „nowo pilnie przełożony z łacińskiego języka w polski“ — zobaczymy później, czy tak było naprawdę.

4. W trzecim dziesiątku XVI wieku mistrz Walenty Wróbel, kaznodzieja poznański, na zlecenie wojewodziny poznańskiej Katarzyny Górkowej sporządził nowy zupełnie przekład psałterza, wraz z wykładem. Rękopis tego tłumaczenia, pisany przez księdza Jeronima, pochodzi z r. 1528. Przekład ten wydał w r. 1539 inny Wielkopolanin, Andrzej Glaber z Kobylina (znany w literaturze m. i. jako autor dziełka fizyologicznego „Gadki o składności ciała człowieczego“). Przekład Wróbla w wydaniu Glabera miał wielką wziętość, pojawiły się wkrótce nowe wydania, ciągnące się aż do roku 1567, a nawet nieprawe przedruki.

5. Ostatnim wreszcie przekładem, powstałym przed r. 1550, jest Psałterz Reja, wydany prawdopodobnie w latach 1544—1546, prozaiczny jak wszystkie dotychczasowe. Zachował się w bardzo niewielu egzemplarzach; wydany niedawno przez prof. Ptaszyckiego. Autorstwo Reja widoczne jest z właściwości językowych i niektórych znamion zewnętrznych (np. z dedykacyi).

Oprócz tych pięciu psałterzy (dwóch rękopiśmiennych, trzech drukowanych) mamy jeszcze wiadomość o psałterzu św. Kingi z wieku XIII, najprawdopodobniej zupełnym; mamy też pewną ilość psalmów, zawartych w następujących zabytkach staropolskich: Modlitwy Wacława (z roku mniej więcej 1480), Wigilie za umarłe ludzie (początek wieku XVI), Modlitewnik (dokładniej nieznany, bo zachowały się tylko szczątki — w nich psalmy pokutne; druk z lat 1530—1532), Psalm pięćdziesiąty (druk ulotny z r. 1531), Tarcza duchowna (książka do nabożeństwa, druk z r. mniej więcej 1533), Szczyt duszny (modlitewnik rękopiśmienny, nieco wcześniejszy).

Z tymi wszystkimi psałterzami i ich fragmentami łączą się kwestye rozmaite, godne uwagi.

Można te psałterze uważać jedynie za pomniki językowe. Wszak dziełem literackiem trudno je nazwać. Przedstawiają więc interes wyłącznie językoznawcy. Materyał językowy, w nich zawarty jest bardzo ważny; im dalej zaś idziemy w przeszłość, tem ważniejszy. Stąd najdonioślejszym z nich dla językoznawstwa polskiego jest Psałterz Floryański; mniej zaś psałterze drukowane, ponieważ pochodzą z epoki,

w której już historya języka polskiego ma na swe usługi materyał względnie bogaty.

Prof. Brückner zwraca też uwagę i na językową stronę Psałterzy. Że jednak język obu psałterzy rękopiśmiennych z przed wieku szesnastego był przedmiotem bardzo dokładnych i wyczerpujących studyów prof. Nehringa, więc się szczegółowo tem nie zajmuje, tylko w tych razach, gdzie wygłasza zdanie odmienne, niż prof. Nehring.

Ważniejszą jest jednak kwestya druga: psałterze jako zabytki literackie, jako pomniki piśmiennictwa. Oczywiście nikt ich stawiać nie będzie na równi z dziełami oryginalnemi, z Kochanowskim, Górnickim; to są przekłady, nie utwory samodzielne; ich pobudka nie jest literacka, ale religijna; są to książki do nabożeństwa, nie utwory fantazyi (mówimy ciągle o przekładach polskich, nie o psałterzu oryginalnym). Pomimo to jednak do literatury one należą. To są początki, pierwsze kroki piśmiennictwa w języku polskim, pierwsze tej mowy usiłowania zajęcia należącego się jej miejsca obok uczonej łaciny. Z tych skromnych początków wyszła później literatura piękna, ozdobna i bogata. A podziwiając ją, należy wdzięcznie wspomnieć także jej pierwsze chwile.

Gdy z tego punktu na nasze psałterze spojrzymy, to znowu powstanie przed nami niejedno zapytanie, godne odpowiedzi. Czy przekład jest wierny, czy dowolny? zręczny, czy też niewolniczy i ciężki? Kto mógł być tłumaczem? dla kogo tłumaczenie sporządzono? czy pięć psałterzów polskich przedstawia pięć różnych redakcyi? i tak dalej: pytań dosyć; zwraca na nie autor niejednokrotnie uwagę; my się tu przypatrzymy tylko niektórym, ważniejszym.

W pierwszej połowie XVI wieku mamy trzy psałterze. W wiekach średnich dwa; ale gdy doliczymy psałterz św. Kingi, wtedy trzy Ile redakcyi mamy w tych dziełach?

Psałterz Reja jest oryginalny. To jest o ile przekład (choćby tak swobodny, jak Rejowski) może być oryginalnym. To znaczy, że Rej miał przed sobą tekst łaciński i z niego wprost przekładał na język polski — mniejsza o to, czy sobie przy tem pomagał jakiemiś książkami, i jakiemi. Tak samo jest oryginalnym psałterz Wróbla. Natomiast psałterz z roku 1532, choć o sobie dumnie mówi: „nowo pilnie przełożony z łacińskiego języka w polski“, samodzielnym i nowym przekładem nie jest. Jest to, jak prof. Brückner szczegółowo i przekonująco wykazał, ten sam w zasadzie tekst, co w psałterzu floryańskim i puławskim. Jest to psałterz średniowieczny, podany do

druku. Tekst jego wyszedł z tego samego źródła, co tekst floryański w XIV i puławski w XV wieku. Jest to fakt nadzwyczajnie ciekawy, a wykazanie go stanowi ogromną naukową zdobycz rozprawy prof. Brücknera.

Rzecz się miała mianowicie w ten sposób (idziemy ciągle posłusznie za wywodami autora). Psałterz jest dla wieków średnich najważniejszym modlitewnikiem. Ale ludzie świeccy po łacinie przeważnie nie umieją; nie umieją kobiety, nie umieją zakonnice. Powstaje tedy potrzeba psałterza w języku narodowym. Tej potrzebie w Polsce stało się zadość w wieku XIII. W tym to wieku, w tym samym dodajmy, co i najstarsza pieśń polska do Bogurodzicy, powstaje polski przekład Psałterza dla świętej Kingi. Wyobraźmy sobie, jak ogromna musiała to być na owe czasy praca, a zrozumiemy łatwo, że skoro już jeden przekład jest, nikt się nie kusi o nowy, jeno ten pierwszy rozchodzi się w kopiach. Takich kopii jest więcej, a im dalsza, tem większe w niej odstępstwa od tekstu pierwotnego; tak bywa dzisiaj, tak tem bardziej musiało być w wiekach średnich; sławne są przecież błędy, poprawki, zmiany, które ówcześni kopiści mają na sumieniu.

Otóż z jednej z takich kopii przepisywał ktoś w drugiej połowie wieku XIV. Ale teraz język tekstu pierwszego był już przestarzały; właśnie przez upłynione sto lat język polski uległ zmianom znacznym. Nie był więc tekst z XIII wieku odpowiedni, dlatego obecny przepisywacz modernizował go, zastępował starsze formy nowszemi, wyrzucał wyrazy przestarzałe. Wogóle zastosowywał się do tego stanu języka, który wtedy panował.

Zupełnie to samo robił kopista XV wieku. I on miał przed sobą jakiś tekst starszy, przestarzały na jego czasy, zmieniał go więc, modernizował. Ale obydwaj pisarze mieli przed sobą tę samą redakcyę, ten sam przekład. Każdy inną kopię, pisarz psałterza puławskiego jakąś późniejszą — stąd różnice między obydwoma (pomijając już różnice czysto językowe); te kopie jednakże wypłynęły obydwie z tego samego źródła, były kopiami jednego pierwotnego tekstu.

Jeżeli tłumaczenie psałterza było rzeczą ciężką, to było nią dla ówczesnego człowieka także modernizowanie tekstu; nie tak ciężką, jak pierwsze, ale w każdym razie praca była znaczna i niełatwa. Cóż stąd powstało? Oto psałterz puławski, późniejszy o lat sto conajmniej, zachował na wielu miejscach archaizmy, formy, które były przestarzałe już dla psałterza floryańskiego. A to znowu dowodzi, że pierwowzorem dla psałterza puławskiego był rękopis gdzieś z XIV wieku.

Oprócz puławskiej były w w. XV i inne kopie, już więcej, konsekwentniej zmodernizowane. Jedna z takich kopii zachowała się, ale nie w rękopisie, tylko w owym druku z r. 1532. Mamy w naszem piśmiennictwie i inne przykłady, że tekst średniowieczny rękopiśmienny służył za podstawę drukowi; tak Biblia królowej Zofii była podstawą Biblii Leopolity. Ale Leopolita tekst średniowieczny istotnie przerabiał, zmieniał, poprawiał; posiłkował się nim w stopniu bardzo znacznym, ale nie był prostym jego wydawcą. Tymczasem wydawca psałterza z roku 1532 wziął poprostu psałterz z wieku XV, zmodernizował pisownię, tu i ówdzie powprowadzał pewne zmiany, zresztą jednak był tylko wydawcą, nie przerabiaczem. Tym sposobem nabytek wieku piętnastego przechował się do naszych czasów w postaci druku z r. 1532.

Reszta psałterzy przechowana fragmentarycznie we wspomnianych pomnikach średniowiecznych, również z owego tekstu wieku XV pochodzi, przedewszystkiem zaś psalmy, zawarte w Modlitwach Wacława.

Tym sposobem skonstatowany został bardzo ważny fakt literacki. Wieki średnie wydały u nas jeden przekład psałterza; z tego przekładu jednego wyszły wszystkie zachowane teksty. Ten przekład dostał się też do druku; to znaczy, że tradycyi średniowiecznej nie przerwano nagle, „że istnieje ciągłość, związek między najdawniejszymi zabytkami i pisma i druku polskiego, że praca XIII—XV wieku nie przepada dla XVI, że XVI o nią się świadomie opierał". Obydwa te fakta mają dla historyi literatury polskiej, dla jej początków zwłaszcza, ogromne znaczenie — wielką też jest zasługa autora, który je pokazał i udowodnił.

Ciekawem jest spostrzeżenie, że większa część tych psałterzy napisana była dla kobiet. Domniemany psałterz z w. XIII dla św. Kingi i jej zakonnic; floryański prawdopodobnie dla królowej Jadwigi; puławski bardzo możliwe, że dla kobiety; z wszelką pewnością zaś psałterz Wróbla. Fakt to świadczący chlubnie o gorliwości niewiasty polskiej wobec rozwoju piśmiennictwa narodowego — na razie wyłącznie w zakresie religijnym — powtarzający się i przy innych pomnikach.

Obok przekładu ważną rzeczą był i wykład psałterza, wytłumaczenie. Psałterz floryański podaje tylko tekst; puławski ma już argumenta obszerniejsze; wreszcie u Reja rozmaite objaśnienia zajmują więcej miejsca niż same psalmy. Ten ostatni psałterz bardzo jest ciekawy ze względu na autora; nowinek protestanckich jeszcze w nim ani śladu, widnieje jedynie szczera, głęboka pobożność; proza polska

wyćwiczona już znacznie. Tylko czy ten psałterz jest istotnie dziełem Reja? Prof. Ptaszycki tak przypuszcza; dla prof. Brücknera rzecz nie przedstawia już najmniejszej wątpliwości. Nie robiłem nad tem pismem specyalnych studyów; mam jednak wrażenie, że autorstwo Reja nie jest znowu tak pewne. Zbyt lekko autor uporał się ze słowami Trzecieskiego, odnosząc je do wierszowanych luźnych psalmów Reja; wiersze, dodane do psałterza, nie wyglądają mi zbytnio na Rejowskie; katolicyzm, zupełny brak protestantyzmu, po r. 1543, po Rozprawie, daje dużo do myślenia. Ale, jak zaznaczyłem, stanowczego twierdzenia na razie stawiać nie mogę.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Wykłady o wychowaniu. Tom I. Zakład Kórnicki.

Gdyby treści materyalna waga książek odpowiadała, to niezawodnie owe małe tomiki, które raz po raz Zakład Kórnicki wydaje, miałyby ciężar gatunkowy większy, niż wiele grubych i ciężkich tomów. To wydawnictwo, widocznie z głębokim planem obmyślane, zaczęło się od Pisma św. Nowego Testamentu. Potem rozprawa „O miłości ojczyzny", potem złota książeczka „O pracy". Teraz mamy cztery tomiki „O wychowaniu".

O wydawnictwach kórnickich pisać trudno: polemizować z niemi lub braki wytykać, jak? braków w nich niema, a niemal na każde zdanie godzić się trzeba, jak na oczywistą i życiem wypróbowaną prawdę: przytaczać trzebaby chyba wszystko, — podać tylko tytuł do wiadomości ogółu, za mało. Spróbujemy zdać sprawę z osobistego wrażenia, które na nas książeczki „O wychowaniu" zrobiły.

Z natury rzeczy więcej może niż z woli autorów dzieje się, że każde dzieło o wychowaniu raczej rodziców i wychowawców niż dzieci ma na myśli, to jest, że przed drugimi pierwszych wychować i urobićby pragnęło: ta uwaga stosuje się tem bardziej do Wykładów Kórnickich. Całe działanie, całe życie czcigodnej autorki jest jednym zamiarem wykształcenia w społeczeństwie polskiem tych przymiotów, zapełnienie tych braków, które w niem widzi i nad któremi boleje. Kto życie poświęcił jednej sprawie, oparł się na jednej podstawie, a nieomylnej i niezawodnej, ten też mylić się nie może: mógł nie ustrzedz się błędów od ludzkiego oka i osobistego sądu nieodłącznych, ale słowo jego ma niemal bezwzględnej prawdy znaczenie. Czytający z podziwem i zbudowaniem rozważa, jak głębokich potrzeba było studyów, jak prawdy zdobyte w sobie przetrawić, jak głęboko i długo rozważać je przed Bo-

giem, jak w praktyce pilnie je stosować, aby podać wynik ich taki treściwy, logiczny, zupełny. Układ niezmiernie prosty i jasny. Autorka, tak jak przyszłość społeczeństwa buduje na wierze i na nauce wiary, tak wychowaniu nie daje innej podstawy, jak katechizm. Stąd podział na wykłady o „Wierze", o „Przykazaniach", o „Grzechu" poprzedzone wstępem o celu i zasadach wychowania.

Kto się zgodzi na założenie autorki, że „chcąc wychować człowieka, trzeba się udać po wskazówki do tego, który go stworzył, cel mu wytknął i prawa, któremi ma się rządzić, postanowił", ten dziwić się nie będzie, że jako podstawę całego wychowania uznaje katechizm, „który rozstrzyga najważniejsze dla każdego pytanie: skąd pochodzi, dokąd idzie? co ma do spełnienia na ziemi i co go po śmierci czeka?" „Poza katechizmem niema nauki, któraby wyjaśnić mogła tajemnicę współistnienia wolnej woli człowieka z niewolniczemi jakoby popędami jego". Tę naukę wyobraża sobie autorka inaczej, niż ją zwykle rozumieją, mianowicie, radaby najprzód wszczepić dzieciom ducha wiary, co z najmłodszemi zrobić już można, opierając się na prawdzie objawionej czyli na Piśmie św. W miarę rozwoju umysłowego dopiero następują określenia prawd wiary katechizmowe coraz szersze i głębsze. Jak sam zarodek, tak i dalszy rozwój dogmatyczny, idzie u autorki w parze z zastosowaniem go w życiu, czyli że najmniejsze dziecko, w miarę prawdy otrzymanej, bierze na siebie zobowiązania: tym sposobem nauka wiary nie jest li nauką pamięci i rozumu, ale wprost działać ma na wolę i sumienie, a przez nie na uczynki. To jest, można powiedzieć, oś całej metody, na niej buduje autorka swój system wychowania: przez wiarę opartą na rozumie kształcić wolę, przez wolę wpływać na życie. Wszelako ta wola, gdyby się opierała tylko na rozumie, wydałaby zapewne późne i zawodne owoce. Za podstawę rozwoju woli, uważa autorka bezwzględne posłuszeństwo. Tutaj można powiedzieć, że wychowawcy mają o wiele trudniejsze zadanie niż dzieci. Sztuka rozkazywania, wymagania, jak ją przedstawia autorka, o ile jest konieczną, bo od niej skutek wychowania zależy, o tyle trudną. Wiedzieć, co, jak, kiedy rozkazać, stopniować wymagania do nieskończenie różnych warunków wieku, sił, charakterów, to nauka, jaką wychowawcy przebyć powinni, aby nie doświadczyć tak częstych w wychowaniu zawodów, których jako w jednem ze źródeł upatruje mądra autorka w tem, „że się do dzieci za wiele mówi, więcej niż zdolne słuchać i rozumieć, a za mało wymaga". Ale czy czcigodna autorka sama zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele od rodziców i wychowaw-

ców wymaga? Zdaje się, że tak, bo na zdobywanie potrzebnych do wychowania warunków raz po raz powraca, ale widocznie, trudność zadania nie zwalnia w jej sądzie od podołania takowemu: jak dzieci tak rodzina wytężyć wszystkie siły muszą, aby wzajemnie oddziaływać na siebie, wzajemnie się chować. „Gdyby się młodzież wcześnie do walki życiowej zaprawiała, w pełnem zrozumieniu jej znaczenia i celu, mniej byłoby powodów do skarżenia się na brak ludzi, na rozstrój społeczeństwa i upadek narodu".

Temi słowy kończy się część pierwsza porządkiem katechizmowym o celu człowieka, o poznaniu, miłowaniu i służeniu Bogu. Drugą część stanowi nauka wiary, czyli zasady wychowania wyprowadzone z artykułu Składu Apostolskiego. Trzecia jest wykładem Dekalogu względnie do wychowania, czwarta o grzechu rozbiera. Grzechy główne jako zarzewia i powody upadków zapsutej natury i rodzaje grzechów w katechizmie wyliczone. Nie można powiedzieć, która z tych części jest bardziej dogmatyczną a która moralną, bo wierna założeniu autorka żadnej prawdy nie podaje bez strony jej praktycznej i życiowej. Stąd czytelnik przygotować się musi na pewne nieuniknione powtarzania, które mogłyby nużyć, gdyby tylko o czytanie chodziło. Ale autorka mając ciągle na myśli kształcenie i uczenie tych, którzy kształcić i uczyć mają, czuje, że prawdy tak doniosłe z każdej strony oświęcić, każdym dowodem poprzeć należy. Krok w krok za każdym dogmatem, za każdą prawdą idzie w książce wskazówka zastosowania jej w wychowaniu (te ekskursa w życiu są nieraz niespodziewane i ciekawe, zawsze prawdziwe). Czuje się wciąż wytężoną myśl w zacnym wysiłku oświecenia i naprawy społeczeństwa. To napięcie nadaje książce cechę nie tylko poważną ale nieco twardą. Jak cnotliwa ale surowa matka pragnąca tak gorąco postępu dziecka, że pomija co już zdobyła, a widzi tylko co mu brakuje, tak autorka nie spuszcza z oka społeczeństwa swojego, i nie tylko mu winy żadnej nie wybaczy, ale jaśniej widzi ujemne niż dodatnie jego strony. Ścisłość metody idzie tu w parze z napięciem moralnem i z tym wysokim nastrojem duchowym, do którego naród doprowadzić pragnie: nawet teksty Pisma św. doborem swoim tę surowość potęgują. Czy z tej surowości zarzut szanownej autorce robimy? Tak i nie! Nie, bo nie można zbyt wiele pragnąć dla swego narodu, zwłaszcza nie można ze zbytnią powagą sprawy wychowania traktować. Tak, bo jeśli to społeczeństwo jest chore to może nieco oględniej środki lecznicze stosować względem niego wypada. *Così al egro fanciul porgiamo aspersi di soave liquor l'orli del vaso* —

tego *soave liquor* może nie dość znajdujemy w tej książce ze wszechmiar tak pięknej i tak znakomitej. Dlaczego to podnosimy? Dlatego właśnie, że zbyt wysoko ją cenimy, zbyt gorąco liczymy na dobro, które sprawić może: dlatego, że pragniemy, aby w każdym domu, w każdej rodzinie się znalazła, a boimy się tego, coby od niej odstraszyć czy odstręczyć mogło. Jeszcze o parę szczegółów różnić się w zdaniu z szanowną autorką śmiemy, ale z umysłu to pomijamy: nie ma się odwagi stawiać drobnych zarzutów tam, gdzie całość i szczegóły taką Boską tchną mądrością, tam gdzie z samych zdań oderwanych dałaby się złożyć złota książeczka, skarbczyk prawd zawsze trafnych, każdemu stosownych. Oto na traf wyjmujemy parę zdań takich z książki o „Grzechu“:

„Człowiek leniwy nie żyje podług ducha wiary... należąc do Kościoła wojującego, w służbie Kościoła nie walczy, nie cierpi, nie zwycięża, nic Kościołowi nie przynosi, nic od niego nie otrzymuje. Królestwa Bożego na ziemi nie szerzy, zawsze znajduje, „że wszystko tak jak jest, jest dosyć dobrze“, że „jakoś to będzie“; stale utrzymuje w sobie i koło siebie nizki poziom duchowy i umysłowy, nizki poziom społeczny, moralny i materyalny“. Wielu z nas czytelników, niestety, w tym obrazku poznać siebie musi. (Z czwartego przykazania). Jeżeli Pan Bóg osobnem przykazaniem nakazuje cześć dla rodziców, to dlatego, że ona z przyrodzonego usposobienia nie wynika: trzeba jej uczyć, trzeba jej wymagać, trzeba na nią zasłużyć. „Okazywanie“ uszanowania nie jest czczą formą; niektórzy rodzice, a zwłaszcza matki, czasami nieroztropnie mówią, że im nie chodzi o uszanowanie dzieci, byle ich miłość pozyskać, jak gdyby istotna, trwała miłość była bez uszanowania możebną. Miłość dla rodziców zwykle wynika z uszanowania dla nich, ale zastąpić uszanowania nie może“.

Jeżeli cały układ książki jest własny i oryginalny, to są niemi także i niektóre poglądy, które uderzyć muszą każdego myślącego, a przedewszystkiem myślących rodziców.

Ogromna waga, którą autorka kładzie na rozmowy z dziećmi i to od pierwszej prawie chwili, gdzie się rozum rozwijać zaczyna, aż do owych czasów strasznych, gdzie zgorszenie świata taranem w duszę młodą uderza, a namiętności burzyć wewnątrz się poczynają. Tę chwilę przewidzieć, na przyjście jej złożyć w sercu dzieci, zwłaszcza synów, zapas zaufania od małości wykształconego, to autorka uważa jako najważniejsze. W takich to rozmowach, i to znów zasada jej własna,

mnóstwo omówić się da tych zagadnień życiowych, które zwykle w wychowaniu względnie dobrem z zasady są pomijane, owszem, tajemnicą osłaniane. Wszystkie zagadki życia, początku bytu, które zwykle albo niepowołane usta albo traf bardzo ślepy dzieciom odsłaniają, powinny, według autorki, z powagą i prostotą przez rodziców samych być rozwiązane.

Zamiast karmić ciekawość niezdrową i niewczesną, otwiera się dziecku oko na ważną stronę życia, ucząc go patrzeć nań pod kątem woli Bożej, i do tych także zadań gotować serce i wolę. Kiedy? Autorka sądzi, że chwila wskazaną bywa własną dziecka ciekawością w tym kierunku, a już koniecznie przed wyjściem z domu, w chwili tej, gdzie z taką świadomością spotka się z pewnością, ale z pewnością pod formą trucizny na czystość duszy i myśli. „Nieświadomości nie trzeba brać za jedno z niewinnością“ — powiada mądrze autorka. Z bliskich doświadczeń przytoczyćbyśmy tylko mogli metodę matki mądrej i chrześcijańskiej, która wcześnie duszę synów obwarowała wiarą a tajemnic złego przed nimi nie kryła: i dobrze na tem wyszła. Istnieją jednak i inne poważne zdania w tej sprawie.

Kończymy może zbyt długie uwagi, które nastręczyła książeczka przedziwna, razem i ucząca i budząca myśli nowe. Kończymy życzeniem dla rodzin polskich, aby czytały i korzystały, dla czcigodnej autorki, aby danem jej było doczekać owocu prac swoich i tej nagrody, której zacne jej serce pragnie:

W Rzeczypospolitej zgodę
I całą ujrzeć swobodę,
Ujrzeć synów swoich plemię
I spokojną zewsząd ziemię.

J. R.

Konfederacya Targowicka. *Władysław Smoleński.* Kraków 1903. (8-ka, stron. 463).

Aczkolwiek można z niektóremi zdaniami autora, wygłaszanemi dawniej, jako zbyt krańcowemi i niezupełnie umotywowanemi, się nie zgadzać, zawsze przyznać potrzeba, że wszelkie prace jego wogóle dużo stron dodatnich mają, są wyczerpujące, napisane pięknie, z talentem i wielkiem uzdolnieniem pisarskiem, przynoszą nam zwykle niemało rzeczy nowych, gruntownie zbadanych, niezmiernie żywotnych i ciekawych a zawsze bardzo pouczających!

Wszystkie te przymioty zdobią i ostatnie p. Smoleńskiego dzieło, wyżej zatytułowane, o którem słów kilka powiedzieć pragniemy.

Właściwie mówiąc, niema tu historyi całej Konfederacyi Targowickiej: książka ta zawiera w sobie ciąg dalszy dzieła p. t. „Ostatni rok sejmu wielkiego“ i obejmuje dzieje Konfederacyi targowickiej do połowy marca 1793 roku; dalsze koleje tej konfederacyi do jej zakończenia, t. j. do dnia 15 września, ma zamiar szanowny autor opisać razem z historyą sejmu grodzieńskiego.

Praca wzbogaca naszą wiedzę w tej materyi bardzo i posuwa daleko naprzód dzieje ostatniej doby Rzeczypospolitej. Są to czasy niezmiernie smutne; z boleścią w sercu dowiaduje się czytelnik o nader przykrych, upokarzających rzeczach rozrywających duszę, lecz bądź co bądź prawdziwych, opartych na wiarogodnych świadectwach i materyałach, które autor znakomicie wyzyskał, integralnie ze sobą powiązał i tak dał obraz pełen grozy, ale — okazały!

Zdawałoby się, że autor z początku zamyśla podać wyczerpujące, bezstronne życiorysy wszystkich wybitniejszych targowiczanów, coby było bardzo pożądane, gdyż w pracy S. Korwina p. t. „Trzeci Maj i Targowica“ (Kraków 1890), pokazani oni z jednej tylko strony, pragnącej ich rehabilitować... Po sylwetce jednakże Szczęsnego Potockiego, wyczerpującej z mnóstwem nowych faktów charakterystyce Seweryna Rzewuskiego, mało już wiadomości o Branickim a jeszcze mniej o Szymonie Kossakowskim, o innych prawie biograficznych zarysów niema. A wielka tego szkoda: przy eruducyi autora, wiedzy jego rozległej, ogromnej ilości materyałów, którymi rozporządza, właśnie on mógłby spełnić to zadanie w sposób wszystkich zadawalniający.

Broszura Andrzeja Alberti: *Mémoires sur la révolution de Pologne,* zatytułowana przez p. Smolińskiego — przedziwna! Reskrypt baronowi Bühlerowi posłany przez Katarzynę — znakomity! Paszkwil Altesti'ego, uznany w sferach rządowych w Petersburgu za rodzaj manifestu, rozpowszechnianego po świecie jednocześnie z wkroczeniem wojsk rosyjskich do Polski i nauki dawane Bühlerowi, oświetlają doskonale od razu ingerencyę Rosyi w sprawy Rzeczypospolitej; ślepota polityczna i niedalekowidzenie dyplomatyczne naszych mężów stanu, *soit-disant,* wystawione przewybornie, wszechstronnie.

Opis niemocy narodu (wszystko usnute na faktach) — doskonały; widoczna i wyraźna była niechęć szlachty do łączenia się z konfederacyą; a pomimo tego patryoci nie byli w możności wytworzenia większości, którąby zwalczyła konfederatów; akcesy do Targowicy w województwach, nawet południowych i wschodnich, szły bardzo powoli;

potrzeba było używać przemocy, aby zwalczać opornych; a jednakże do wojska narodowego zapisywano się w małej liczbie, nie mogącej się mierzyć z pułkami moskiewskiemi; masa owoczesnej szlachty znajdowała się w jakiejś strasznej apatyi w tych czasach, nie przechylając się w większości ani na jedną ani na drugą stronę.

O rzekomych zwolennikach t. zw. jakobinizmu w Polsce możnaby trochę więcej powiedzieć, dzięki najnowszym publikacyom w tej kwestyi.

Autor twierdzi, że we wszystkich tych konfederackich sprawach inicyatywa należała do Rzewuskiego, wywierającego ogromny wpływ na mniej mądrego Szczęsnego Potockiego, czarując go swojemi maksymami politycznych ideałów i zachęcając do czynnej ich obrony; w przebiegu jednak działalności Szczęsnego nie uwydatnił tego zapatrywania się, jawnymi nie poparł faktami...

Wśliznęły się tu także małe, nieznaczące niedokładności (nie psujące wcale wspaniałej całości); na str. 122 czytamy: Chruszczow przybył do Kowna 20 czerwca, lecz nie zastał w niem szlachty; nazajutrz rozesłał odezwy, aby się zebrali w przeciągu dwóch dni w Kownie; do kościoła katedralnego spędził około dwustu mieszczan; ale przecież w tym czasie w Kownie katedry nie było wcale!

Na str. 374 wymienione są królewszczyzny podolskie: Kniahinin, Łaskowsce i Rusza; otóż ze studyów ś. p. dr. J. Rollego wiadomo, że w XVIII wieku Kniahinin nie był już królewszczyzną, a dwie obok niego wsi leżące nazywają się właściwie Laskowce i Róża (vulgo Ruża).

Giżycki, rotmistrz kawaleryi narodowej (natenczas), wymieniony bez imienia, a przecież to osobistość bardzo już wtedy znana, nie tylko na Wołyniu, ale powszechnie; miał na imię Bartłomiej.

Skorowidz nie jest zupełnie dokładny.

Druk bardzo poprawny; omyłek w nim nie dostrzegliśmy wcale; wydanie porządne; papier dobry.

W dodatkach mamy szczegóły o bitwie pod Dubienką, nie uwzględnione ani przez Korzona ani Górskiego [1] i listy różne Orłowskiego, Złotnickiego, Kossakowskiego i Seweryna Rzewuskiego, wszystko to od str. 433—444; nakoniec indeks osobowy, str. 445—463.

Wołyniak.

---

[1] Cf. Zajączek: *Histoire de la révolution de Pologne en 1794* par un témoin oculaire. Paris 1797.

Zaręczyny Jana Bełzkiego. *Józef Weyssenhof.* Z illustracyami K. Górskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1903. (Str. 183).

Za błękitami. *Józef Weyssenhof.* Z ilustracyami K. Górskiego. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. 1903. (Str. 162).

Dla czytelników oceniających wysoką wartość „Sprawy Dołęgi“ i niezrównanego „Żywota Zygmunta Podfilipskiego“ ciekawem bardzo zjawiskiem jest ukazanie się wśród ładnych illustracyi utworu tegoż samego pióra, nakreślonego już w r. 1891 i dziś dopiero dorzuconego, niby drobna gałązka, do ogniska zdobytej już sławy. Miło jest zawsze oglądać drogi, które umysł ludzki, idący w górę, przebywa, widzieć zawiązki owoców, które się już dojrzałemi poznało. W „Zaręczynach Jana Bełzkiego“ znać literacką młodzieńczość autora w banalności przedmiotu obrabianego niejednokrotnie przez powieściopisarzy swoich i obcych. A jednak, chwyciwszy książkę czytelnik nie puści jej z ręki zanim ostatnią kartkę obróci. Może to czar pięknego języka, na którym p. Weyssenhoff gra od początku z równą zawsze swobodą, lekkością i maestryą, może subtelność w cieniowaniu uczuć bez naciągania i przesady, naturalność bez naturalizmu, wykwintność bez maniery... Utwór, jak mówiliśmy, mniej od późniejszych znamienny treścią; tłem obrazu, jak zawsze, jest świat warszawski, bohaterem, jak często, młodzieniec poważny, opanowany do głębi duszy i do szpiku kości gwałtowną miłością względem kobiety-motyla czy też mówiąc grzeczniej kobiety-sfinksa, uroczej zagadki, której rozwiązaniem jest — zero. „Często chcąc dotknąć duszy tej kobiety — pisze w swym pamiętniku Jan Bełzki — napotykałem coś niepochwytnego, mgłę, zapach a nie ciepłą duszę człowieka“. Ta mgła jednak, ten zapach przyciągnęły go magnetycznie i przykuły; dziennik otwiera się w chwili, gdy bohater upojony niepojętem szczęściem usiłuje przekonać doń rozsądną, starą matkę zaniepokojoną związkiem jego z wesołą, rozigraną i zręcznie wśród roju wielbicieli manewrującą wdówką, Celiną Szarzyńską. Oddźwięk tych charakterów i tej sytuacyi spotykamy w późniejszej „Sprawie Dołęgi“, mianowicie w stosunku Jana Dołęgi z Halszką; tylko że tu jako w utworze dojrzalszym barwy nieco mniej jaskrawe a fabuła romansowa rysuje się na tle poważniejszem i szerszem. Na pozór jednak podobieństwo wielkie: tu i tam adorator zadąsany, niemal zgryźliwy a naiwny naprzeciw dziecinnie zalotnej narzeczonej. Na drodze Dołęgi stoi Niemiec, na drodze Bełzkiego Francuz, młody kuzynek Alfred Valfrot. Podczas atoli gdy Dołęga udrapowany jak w togę w swą społeczną rangę „prawnika“ staje ponad swą miłością i błagającą od siebie

odpycha, Bełzki doprowadzony pozorami do wściekłej rozpaczy wyzywa niewinnego rywala i zabija. Pięknym jest opis ostatnich chwil biednego chłopca, jego pojednanie się z Bogiem i słodycz względem zabójcy, który obecnie oddałby własne życie, aby swój czyn odwołać. Bezsilny wobec śmierci Bełzki ucieka w dal z raną w sercu i ciężarem na duszy. Do Celiny powraca raz, aby ją przebłagać i wtedy dopiero poznaje, że przepraszać nie warto, bo pod czarownym uśmiechem, pod upajającem spojrzeniem nie ma krom lekkiej dozy miłości własnej absolutnie nic — ani dobrego ni złego. Ostatnie kartki ukazują go wśród marmurów starego Paestum powracającego zwolna do zmysłów. Świetlane mary znikają dlań w oddali, czuć jak sam przyznaje, żeby mu już nie wystarczył do szczęścia dawny upragniony błękit. „Widzę teraz — pisze dalej — rzeczy, których nie widziałem dawniej. Widzę szarą, stromą drogę mijającą się często z drogą zadowolenia osobistych pragnień. Czy nią pójdę?... Siły najprzód zebrać trzeba". Czy pójdzie?... Czytelnik zamyka książkę z wrażeniem, że — tak, bo się w nim zrodziło uczucie męzkie, każące mu „unikać nawet atmosfery rozkoszy" I ten kraj grecko-italski zda mu się zbyt ponętnym; już „często wśród nocy szafirowej, rozciągniętej nad ziemią cudów i nad morzem łagodnem, przez egzotyczne zapachy czuje woń świeżą, trzeźwą naszych skib czarnych, krajanych ciężkim pługiem".

A więc znów ta sama myśl końcowa, co w „Sprawie Dołęgi" i aż dziw chwyta, że przez umysł autora mógł przejść utwór tak odrębny jak „Żywot Podfilipskiego" zanim ten piękny ptak ze swego jajka się wykluł.

Równocześnie z „Zaręczynami Jana Bełzkiego" wyszła napisana w r. 1897 idylla „Za błękitami". Wonne to, lekkie i świeże a przytem rzewne i smutne, bardziej rzewne niż smutne, mogłoby nosić tytuł: dzieje marzenia. Stanisław Okszyc człowiek o ciepłej duszy i wytwornym, wydelikaconym umyśle doszedł lat 35 nie ożeniwszy się, bo nie spotkał nigdy ideału, jaki sobie w myśli wytworzył. Ma przecież cześć dla wszystkich kobiet, w każdej według niego istnieje anioł miłości heroicznej, cnoty i poświęcenia, tylko że anioł ten drzemie i trzeba go umieć rozbudzić. Bywa też pod mniej lub więcej grubą ukryty powłoką. Długo śledził za jego objawieniem się napróżno; nakoniec zda mu się, że go widzi w dziewczynie pięknej, wykształconej, ubogiej, osnutego w lekką tylko zasłonę, którą zrzucić będzie łatwo, a wtedy ich dwie bratnie dusze ulecą społem w dziedzinę dobra i piękna.

Ale, jak zwykle bywa, marzyciel się myli: ukochana istota jest prostą, dobrą, ale nie idealną kobietą; odmawiając jego rękę, przyznaje uczciwie, iż nie zdołałaby nigdy mu sprostać, że gdy duch jego w pośród gwiazd szybuje, ona woli zrywać kwiatki na ziemi. I Okszyc przyznaje jej słuszność; czuje przytem, że wobec rozwijającej się szybko choroby piersiowej, już mu nie czas zakładać sobie szczęścia na ziemi. Więc myśli o szczęściu drugich: ułatwia bogatym darem związek owej Halki z młodym swym krewnym, tryskającym pełnią fizycznego życia i energii, a sam wyjeżdża do Cannes i umiera. Przed wyjazdem jednak ma sen uroczy: przebywa jakoby podróż poślubną z wybraną swych marzeń, nie Halką już, ale niewidzialną w rzeczywistości istotą, i budząc się, dziękuje Bogu, że mu choć przez sen dał szczęścia tego skosztować...

Wszystko razem jest historyą jednego lata i jednej jesieni, narysowane na cudnem tle natury, naszych niw, naszych ogrodów i dworów. Postać bohatera, acz tak delikatnemi skreślona rysami, jest zarazem realna i sympatyczna; kontrast jego uduchownionej istoty z poczciwym choć nieco rubasznym materyalizmem kuzyna — uwydatniony bardzo wyraźnie. Zauważyć tylko należy, że to już u p. Weyssenhofa trzeci typ mężczyzny wyniesionego na wyżyny, do których ukochana przezeń kobieta dosięgnąć nie może; takim jest Dołęga, Bełzki i Okszyc. Moda niezrozumianych kobiet *les femmes incomprises* przekwitła już w literaturze tak jak i w naśladującej ją rzeczywistości. Czyżbyśmy mieli zażyć powtórzenia tejże mody z przeniesieniem na rodzaj męski? W każdym razie typu tego rodzaju, co Okszyc — zrozumianego czy niezrozumianego — niema w żadnym innym utworze autora, niema go też i u Sienkiewicza. Jest to śliczna idylla duszy, widziana za błękitami.

T. Wodzicka.

Z piśmiennictw obcych.

Les infiltrations kantiennes et protestantes et le clergé français

Abbé J. Fontaine. (XXXV, 487). Paris. Victor Retaux. 1902.

Na wytworzenie obecnych stosunków we Francyi składało się wiele czynników; jednym z tych jest bezsprzecznie wpływ niezdrowych poglądów filozoficznych. Stwierdza to i Leon XIII w encyklice do

kleru francuskiego z 8 września 1899 r., piętnując nauki, które noszą wprawdzie nazwę prawdziwej filozofii, a wstrząsając samemi podstawami wiedzy ludzkiej prowadzą logicznie do ogólnego sceptycyzmu i do zniszczenia religii. „Pożałowania godną jest rzeczą, mówi Papież, że ten sceptycyzm naukowy, skądinąd wniesiony i pochodzenia protestanckiego, mógł być przyjęty i to z takim zapałem, w kraju, który się cieszy sławą jasności idei i słowa".

Podobną kwestyą zajmuje się autor w swem dziele. Najpierw kreśli krótki ale jasny obraz stosunków naukowych pomiędzy klerem francuskim, twierdząc, że na polu filozoficzno-teologicznem powagę sobie zyskały teorye Kanta, skąd logiczną koniecznością musiały wyniknąć tak wielkie błędy, jak, że nie można zrozumieć faktu objawienia, bo nie można pojąć praw natury, a więc i cudu, który jest pewnym wyłomem w tych prawach; że trudno nawet cuda tak pojmować, jak je pojmowano dotychczas w teologii, że zresztą nie mają one tej siły dowodzącej, jaką im zwykle przypisują teologowie. Na egzegezę teologowie tej szkoły zapatrują się często zbyt liberalnie, tłumacząc dowolnie powstanie ksiąg Pisma św. i ich inspiracyę, podając w wątpliwość nawet takie miejsca, w których Kościół upatruje historyczne źródło swych dogmatów.

Pyta się więc Fontaine, w jaki sposób podobne zapatrywania i nauki mogły się wcisnąć do klern francuskiego. Przyczynę upatruje w niedostatecznem kształceniu kleru w seminaryach i w łatwem przyswajaniu sobie fałszywych zasad po uniwersytetach, których katedry filozoficzne obsadzane są prawie wyłącznie profesorami przejętymi teoryami Kanta.

Wykazawszy w pierwszej części zwięźle i dobrze w rozdziale pierwszym błędność teoryi poznania i moralności u Kanta, polemizuje autor następnie z ks. Martin, który w *Annales de philosophie chrétienne* (kwiecień 1901) rozwija poglądy na teoryę poznania zupełnie podobne do kantowskich, a wiodące do zaprzeczenia rozumowi ludzkiemu zdolności poznania prawdy. W rozdziale III zbija i wykazuje trafnie pochodzenie z filozofii Kanta błędów O. Leberthounière, tyczących się poznania siebie, przedmiotów różnych od siebie i poznania Boga.

Druga część poświęcona teologii i egzegezie o tyle ciekawsza, że potrąca o kwestye piekące o zadaniu i sposobie dzisiejszej apologetyki, o zapatrywaniu się na Pismo św. wobec nowych odkryć i postępów na polu historyi i krytyki. Wprawdzie autor nie omawia tu tych wszystkich kwestyi szczegółowo, ale zwalczając fałszywe poglądy

Blondela, Loisyego, Martina, Lechartiera, znanych w dzisiejszym ruchu teologicznym we Francyi, podaje obraz smutnych objawów w tym ruchu i zboczeń od prawd skądinąd pewnych i ustalonych.

Wytknąwszy błędy i niebezpieczeństwa wielu nowych prób i teoryi, w trzeciej części każe szukać nieomylnych wskazówek w soborze watykańskim, na którym Kościół rozstrzygnął, jak się należy zapatrywać na stosunek rozumu do wiary, na poznanie naturalne Boga, na cuda i na proroctwa.

Za ujemną stronę książki można uważać to jedno, że autor, mówiąc o nowych poglądach w egzegezie, nigdzie nie wspomniał o tym budzącym i szybko rozwijającym się ruchu, który nie odrzucając ryczałtem wszystkiego, co protestanckie, nie lęka się w szukaniu prawdy korzystać z dzieł, z dobrej nieraz metody przez protestantów używanej i z ich odkryć historycznych. Konserwatyzm odsuwający wszystko, co nowe, dlatego tylko, że jest głoszone przez protestantów, więcej szkody niż korzyści przynosi Kościołowi. Takiego konserwatyzmu Kościół nie żąda wcale.

Książkę więc każdy przeczyta z korzyścią, kto się chce dokładniej obeznać ze stosunkami naukowymi wielkiej części kleru francuskiego.

Ks. Józef Gliwa.

En pénitence chez les Jésuites. Correspondence d'un lycéen. *Paul Ker.* Paris. Victor Retaux. 1903.

Ceci n'est pas un roman: c'est une histoire vécue, mówi autor w przedmowie. Na tę zaś autobiografię, obejmującą dwa lata spędzone w konwikcie jezuickim na retoryce i filozofii (klasy najwyższe w liceum, które odpowiada naszemu gimnazyum), składają się częścią listy a częścią pamiętnik. Dowiadujemy się w nich od autora, że niższe klasy skończył w szkole świeckiej; ponieważ jednak ta szkoła wpływała coraz ujemniej na jego moralność i wykształcenie, zatem ojciec oddał go do konwiktu Jezuitów. Zrobił zaś to pod wpływem swej żony, bo sam był do zakonu uprzedzony, a i w synie Pawle widział do niego wielką niechęć.

Paweł przyjechawszy do konwiktu, doznaje po niedługim czasie rozczarowania. To, co widzi i słyszy u samych Jezuitów, nie zgadza się wcale z tem, co mu o nich mówiono. Rekollekcye i spowiedź, przed któremi drżał, dokonywują w sposób prosty i spokojny zupełnego przeobrażenia pojęć, — Paweł poprawia się gruntownie, świetnie

odbywa studya i zdaje egzamina, a w duszy czuje spokój, szczęście i zapał do pracy.

Cały ten proces opowiadają nam listy, pisane z retoryki, głównie do rodziny i do Ludwika, kolegi i przyjaciela ze szkół świeckich. One to, jak i sama osoba Pawła, wpłynęły na uprzedzonego ojca i przyjaciela, że złożyli swe uprzedzenia. Te główne motywa roztaczają się na tle opisów życia konwiktowego; zaczem przesuwają się przed naszemi oczami wykłady szkolne, popisy, teatra, posiedzenia literackie, nabożeństwa, zabawy, wycieczki, urządzenie konwiktu, plan nauk i sposób wychowania, stosunek do przełożonych i kolegów.

Pamiętnik obejmuje ostatni rok spędzony na filozofii, rok ważny, bo decydujący o przyszłym zawodzie Pawła. Po namyśle i naradzie ze spowiednikiem poświęcił się studyom prawniczym. I na tych studyach, poza konwiktem, chował zawsze miłość i wdzięczność dla Jezuitów, a dzisiaj, już doktor praw, wydaje swą dawną korespondencyę, jako świadectwo człowieka, który zna zakon z pożycia z nim samym i jako protest przeciw jego prześladowaniu.

W przedmowie pisze autor, że wydał listy i pamiętnik w niezmienionej formie. Zadziwia w nich potoczystość, jasność, wdzięk, a nawet subtelność stylu, jak niemniej sąd, obserwacya, gorący zapał i wrażliwość czuła wyłącznie na to, co dobre i piękne.

M. B.

Życie hodowców amerykańskich. Przez *Th. Roosevelta,* Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Warszawa. 1903. (Biblioteka dzieł wyborowych n. 291 i 292).

Step jak okiem sięgnąć pusty i płowy, wypalony żarem letniego słońca a w zimie taki straszny w swej białości śnieżnej, po której wichry mroźne sypią wały, pagórki lub ryją zagony faliste. Na tej olbrzymiej przestrzeni stepowej, rozciągającej się na zachodzie Ameryki północnej od Ameryki angielskiej do Mexyku, geograficzne karty znaczą poszczególne Stany Nebraska, Dakota, Wyoming i Texas. Rzeki przewijają się z rzadka po tej płaszczyźnie, dążąc do najgłówniejszej arteryi rzeki Missouri, płynącej między urwistymi brzegami. Dróg niema. Pozna te szlaki tylko wprawne oko syna pustyni po wytłoczonej z lekka trawie, po jakichś wklęsłościach, które wybiły koła ogromnych wozów, przewożących mienie ranchmenów. Tutaj rolnicza praca się nie wiedzie. Jedynie do chowu bydła nadają się te stepy a że trawa tak nędzna, więc olbrzymie przestrzenie zajmuje każde przed-

siębiorstwo. Jako największe niebezpieczeństwo uważają pomnożenie nieproporcyonalne bydła, które wtedy musi ginąć z głodu. Grunta szczególniej w Stanach północnych są własnością państwa. Ranchmeni nabywać mogą tylko małe kawałki na własność. Praw do zajętej przestrzeni stepu strzeże stowarzyszenie przedsiębiorstw, które prowadzi księgi cech, jakiemi poszczególni właściciele znaczą swe stada. Wprawdzie z rzadka rozsiane placówki cow-boyów strzegą, aby bydło nie oddalało się zbytnio z danego terytoryum. Ale to nie zawsze pomaga. Tutaj na tych stepach ma się wrażenie, że wieki się cofnęły i epoka ludów pasterskich wróciła, nie mając nic wspólnego z cywilizacyą nowoczesną. Ranchman i cow-boyowie (pomocnicy) cały rok prawie spędzają wśród tej pustyni, wśród twardych warunków życia prostego, ciągłego czuwania i nieustannego napięcia energii i pracy polegającej na strzeżeniu i obronie stada kilkotysięcznego.

„Porównują królów bydła z kapitalistami — pisze Roosevelt — ale niesłusznie. Hodowca bydła musi być pracowitym, wytrwałym, oszczędnym, musi posiadać przymioty zdobywcy i przemysłowca, odwagę i inicyatywę".

To życie twarde, pierwotne prowadził prawie lat dziesięć dzisiejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt. Syn bogatego bankiera, wychowany wśród zbytku, ukończywszy akademickie studya, rozpoczął życie polityczne, jako poseł stanu Albany. Ale wkrótce porzucił tę karyerę i zrywając z dotychczasową egzystencyą, stał się mieszkańcem pustyni, hodowcą bydła, dzielnym myśliwym, energicznym obrońcą prawa przed rozbojami szajek złodziejskich.

Równocześnie Roosevelt pracował umysłowo. Dzienniki amerykańskie drukowały jego szkice z życia pustyni. A jeden z rozbójników, którego pojmał, pisał do Roosevelta z więzienia, wyrażając pochwały zajmujących opisów i zapraszając do odwiedzin w więzieniu.

„Życie hodowców amerykańskich" jest jednym z dzieł najwięcej poczytnych Roosevelta. Zwrócono uwagę w Europie na utwory jego wtedy, gdy został prezydentem. Dopiero w r. 1903 przetłumaczył Albert Savine tę książkę na język francuski, a ciekawa ta monografia pustyni wyszła już i w tłumaczeniu polskiem w Bibl. dzieł wyborowych w Warszawie.

Czytając ten pamiętnik mówi się sobie: Człowiek, który dobrowolnie prowadził lat tyle takie życie twarde i w ciągłej walce z przyrodą i ludźmi przetrwał pełne znoju zawody, próby i walki, musi jednak być z innej gliny, niżeli ludzie, którzy przy stoliku tylko życie

pędzą. Energia się wyrabia wśród ciągłych prób i przeciwności prostego z naturą bojowania. Kto świadomie umie wśród samotności takiej wolę hartować, nabywa zapasy siły moralnej i wytrwałości. Boerzy tak długo opierali się Anglii dzięki tej właśnie hartowności charakteru. I mimowoli myśleć się godzi, że Roosevelt musi górować nad ludźmi miasta, którzy tylko na arenie giełdowych spekulacyi ćwiczą swój instynkt zdobywczy.

Roosevelt bez żadnego szczycenia się lub chęci popisu kreśli wspomnienia tego życia na stepach. Owszem o sobie mówi niewiele i nie często, podnosząc jednak zawsze z zamiłowaniem urok tej ciszy samotnej, cierpki ale pełen mocy wpływ ciągłego czuwania i napięcia męstwa wobec wichrów, słot i burzy. Wśród wędrówek po równinie bezbrzeżnej zabłąkać się łatwo; trzeba niejedną noc spędzić przy koniu na wpół rozsiodłanym lub w jakiejś jamie wyżłobionej ulewą. W kieszeni ma jednak widocznie zawsze książkę, wierną towarzyszkę samotności. Raz wspomina mimochodem, jak trafiwszy szczęśliwie wśród ciemności do opustoszałego szałasu, czas długi wieczoru zimowego zabijał czytając głośno swemu towarzyszowi, cowboyowi, Hamleta. To znowu raz w przymusowej kwarantannie strzegąc schwytanych opryszków, wczytywał się w Tołstoja. Tołstoj — na brzegach Missouri odczytywany przy drżącym płomieniu ogniska...

Bardzo zajmujące są barwne obrazy myśliwskie. Stepy te to ojczyzna antylopy a w zaroślach nad rzekami i w Górach Skalistych żyje łoś; zwierzyna to królewska, mądra i przezorna, wyzywająca myśliwca do natężenia, odwagi i przezorności. Ale przewyższa je odwagą i trudnością ujęcia górska kozica. Aby upolować tę mieszkankę skał i urwisk trzeba rozwinąć ogromny spryt i zgrabność; na przestrzeni takiej jak powierzchnia ręki potrafi kozica się utrzymać, badając wokoło horyzont — za najmniejszym szelestem rzuca się w przepaść, z nigdy nie zawodzącą pewnością oka, znajdując punkt oparcia. „Jak góral jest ta kozica wcieleniem siły elastycznej i muszkularnej i panowania nad sobą a nie tej nerwowej tylko rzutkości". W tem określeniu cech zwierzęcia Roosevelt mimowoli daje typ wytrwałości człowieka-myśliwca.

Ażeby upolować kozicę trzeba zapędzić się aż do Gór Skalistych, ograniczających stepy od zachodu. Amator myśliwy czytając te pełne ruchu i życia opisy polowań w górach i na płaszczyźnie, z żywą zazdrością zatęskni do tego życia myśliwca, króla przyrody.

Dla hodowcy niemało ciekawem dowiedzieć się znowu, jak te stada bydła żyją dziko, oddane same sobie, w zimie wygrzebując dla siebie

trawę zeschniętą a śnieg wodę im zastępuje. Zaledwie sztuki słabsze, krowy z cielętami, przypędza cow-boy do zagrody. Co lat parę groźne zimy niszczą większą część stada, zwłaszcza gdy ono nie pochodzi z tych samych okolic. Na wiosnę przy obrachunku ukazuje się dopiero ubytek; dwa razy bowiem na rok spędza się stado całe. Wtedy bopiero odwaga, wytrwałość i energia cow-boya musi się w pełni okazać. Ta kasta konnych pasterzy-myśliwców dzieli się na różne rangi: najwyższą zajmuje roper pierwszej klasy, który umie najtrafniej i najszybciej chwytać na arkan dzikie konie i ujarzmić je do dni kilku. Arkan bowiem to jedyne poskromienie tych dzikich stad koni i bydła. Na arkan chwyta się młode sztuki do cechowania, arkanem też rozpiętym między koła wozów tworzy się obozowisko, do którego spędza się sztuki mające iść na sprzedaż do odległych stacyi kolejowych. Ranchman wtedy ma pracę najgłówniejszą: jest on jakby wodzem cow-boyów na równi z nimi znosząc trudy tych dni pracy.

Kto prawa strzeże wśród pustyni? Roosevelt broni cowboyów od opinii, jaką sobie wyrobili swojemi wybrykami w czasie krótkiego w miastach pobytu. Twierdzi, że są to dni zapamiętania, którym zresztą nie każdy ulega. To życie samotne nęci niejednego, co z prawem jest w niezgodzie. Ale zwykle trudy i życie czynne a samotne prostuje skrzywienia charakterów. Najgorszymi są tutaj złodzieje; ich to jako najniebezpieczniejszych wrogów tropią hodowcy i wobec trudności legalnej procedury nieraz używają bezprawnego lynchu dla pomszczenia swej krzywdy.

M. Harsdorf.

Idle Thoughts of an idle fellow. I v. — **Second Thoughts of an idle fellow.** I vol. *Jerôme K. Jerôme.* Tauchnitz ed. str. 254 i 278.

Tłómacząc literalnie: „Próżne myśli próżniaka", w rzeczywistości jednak znaczenie jest mniej brutalne, a treść zadaje wprost kłam tytułowi, bo ani myśli nie są próżne, ani nie świadczą o bezczynnem życiu autora. Jest to rząd pogadanek bardzo swobodnie kreślonych; Jerôme częstokroć odbiega od swego przedmiotu, pisze tak jak się mówi, a zwłaszcza tak, jak się myśli. Dużo u niego jest prawdy, sporo paradoksu — bardzo niewinnego i nie szkodzącego nikomu, sporo też humoru, po którym najczęściej następuje zwrot poważny a rzewny, przypomnienie wieczystych celów ludzkiego żywota. Jest to w nowoczesnem piśmiennictwie rys oryginalny: zazwyczaj słyszymy przeciwnie po wynurzeniu głębszego uczucia nagły zgrzyt szyderczego śmiechu.

Dlatego komizm Jerôme'a nie ma nic wspólnego z komizmem Heine'go i jego szkoły; jest mniej ostry, ale sympatyczniejszy, bo szczery. Nie śmieje się z rzeczy smutnych; miejscami tylko wyraża się o nich z pewną naiwnością dziecinną, wywołującą mimowolny uśmiech u czytelnika. W pierwszym rozdziale przyznaje iż napróżno szukał jakiegoś nowego przedmiotu do obrobienia, ale włożywszy ręce do kieszeń (czego nie śmie nigdy czynić w gronie sióstr i ciotek) i znalazłszy pustki, nie jest w stanie pisać, jak tylko o biedze — *on being hard up.*

Niecierpliwią go piękne a puste teorye filozofów stawiane dzieciom jako wzorki do kaligrafii. Radby, co prawda, aby grymaśni panicze kręcący nosem na wszystko, spróbowali obiadów za parę pensów w zatabaczonej traktyerni, aby się dowiedzieli o wartości każdego szeląga, ale na tem koniec: „Dużo zabawnych rzeczy — dodaje — napisano o biedzie, ale rzeczywistość zabawną nie jest. Nie jest zabawnem mordować się o każdego centa. Nie jest zabawnem wydawać się skąpym. Nie jest zabawnem chodzić w nędznem odzieniu i wstydzić się swego adresu. Nie, w ubóstwie nie masz nic śmiesznego — dla biednych. Jest to piekło na ziemi dla drażliwego człowieka, i niejeden dzielny *gentleman*, który nie byłby się uląkł prac herkulesowych, uległ ze złamanem sercem pod ciężarem drobnych dokuczliwości. Nie sam w sobie niedostatek atoli trudnym jest do zniesienia. Któżby się troszczył o trochę niewygód, gdyby się na tem kończyło?... Cóż szkodziły Robinsonowi Cruzoe dziury w odzieniu i w butach... skoro nikt z jego znajomych nie widział ich? Być biednym jest drobnostką: ból jest w tem, iż drudzy wiedzą, żeś biedny. Nie zimno jest przyczyną, iż człowiek bez paltota mknie tak szybko ulicą... Łatwo mówić, że ubóstwo nie jest grzechem. Gdyby nim było, ludzieby go się nie wstydzili. Jest błędem *(a blunder)* i bywa za taki karanym. Człowiek ubogi jest wzgardzonym na całej kuli ziemskiej: wzgardzonym przez zwykłego śmiertelnika i przez lorda, przez demagoga i przez lokaja, i żadne zeszytowe nagłówki ułożone dla dzieci nie zjednają mu ludzkiego szacunku. Pozory są wszystkiem — w oczach ludzkich tak, iż człowiek, któryby gotów przez środek miasta przejść się pod rękę z najgorszym hultajem londyńskim, byle był dobrze ubrany — usunie się w boczną uliczkę, jeżeli mu przyjdzie parę słów zamienić ze znajomym w wytartym odzieniu. A ów w wytartem odzieniu wie o tem lepiej od wszystkich, i okrąży o ćwierć mili znajomych, byle się z nimi nie spotkać"... Po tych uwagach, w których czuć dużo przebytego cierpienia, autor przechodzi do manipulacyi w zakładach zastawniczych,

i zostaje w nich do końca rozdziału. Nie można mu brać za złe tej wyrzuconej z serca kropli goryczy — my byśmy chcieli, aby ludzie piszący lali nam same miody, a co gorzkie, chowali dla siebie. Zresztą u Jerôme'a to jedyny wyjątek. Zabawnym jest, gdy mówiąc o próżności, porównuje pod tym względem dzieci, koty i psy, oddając tym ostatnim palmę skromności, prawdziwym, gdy twierdzi, że pochlebstwo jest pożywieniem miłości, bo „cóżby np. powiedziała panna, gdyby jej ulubieniec wpatrzony w jej twarz, wyraził zdanie jako nie jest brzydka na zwyczajną dziewczynę!“ Jest trafnym również, mówiąc, iż bywają pochlebstwa okryte płaszczem wyrzutu, jak np.: „Istny waryat z ciebie— oddałbyś ostatni grosz głodnemu żebrakowi...“ Staje się niestety nieco banalnym, gdy kończąc, wzywa do zamienienia próżności na cnotliwe poczucie godności, na szczycenie się nie „spodniami i uczesaniem“, ale wzniosłą myślą, uczciwem życiem i szlachetnym czynem.

W rozdziale o próżniactwie *on being idle* zaznacza, iż bezczynność smakuje tylko w czasie, któryby winien być użytym na pracę: drzemać w łóżku miło wtedy, gdy wybije godzina wstawania, palić fajeczkę przy kominku, gdy kilkanaście listów na biurku czeka odpowiedzi. Niech komu dla zdrowia nakażą spoczynek, wnet będzie ziewał i za robotą wzdychał... Dobry jest szkic o miłości, choć nieco paradoksalny, bo twierdzi, że człowiek raz tylko w życiu „się kocha“, następnie dodaje słusznie, że ten zapał jest fajerwerkiem, od którego powinien zapalić pochodnię dozgonnego przywiązania, a potem podsycać codziennie ogień węgielkami dobroci, wzajemnych ustępstw, poczciwych słów. W nagłe miłości nie wierzy; według niego bajka o „Kopciuszku“ jest nie mądra, bo gdyby kto wejrzał w następne życie owej dziewczyny poślubionej przez księcia dla uroku w tańcu, widziałby ją opuszczoną przez znudzonego męża i płaczącą w złocistej komnacie za nędzną kuchnią, gdzie zeszła jej młodość.

A propos młodości bardzo zabawny i ładny jest szkic o ubiorach. Autor przypuszcza, że świat się na dobre starzeje, bo w początkach gdy był dzieckiem, lubił biegać boso w nieprzepasanej sukni, potem w latach szorstkiego chłopięctwa zaniedbał ubranie, chodził nieuczesany i brudny, później znów jako młodzian, jął się stroić w szkarłatne aksamity, w pióra i atłasy, śpiewał pieśni miłosne, bił się i hulał“. Ale te wszystkie dni młodości minęły i dziś jesteśmy bardzo poważni, bardzo uroczyści i — według niektórych — bardzo głupi. Świat w naszym wieku jest rozsądnym jegomościem średnich lat; zgorszyłby się, gdyby mu kazano ubrać się w co ładnego. Chodzi zatem w czarnych

surdutach i spodniach, czarnych kapeluszach, czarnych butach i doprawdy taki z niego szanowny personat, iż niktby się nie domyślił, że kiedyś uwijał się w różnobarwnych strojach jako trubadur albo błędny rycerz... Ale cóż! jesteśmy obecnie tak bardzo rozsądni! Jesteśmy... czy też nam się zdaje. W naszych czasach kwitnie teorya, iż zdrowy rozsądek a nudy, to jedno... Dalej zauważa autor, iż wogóle wielka „cnota“ odziewa się czarno, nawet co do rękawiczek i krawatek, cnota średnia pozwala sobie jaśniejsze części ubrania na dnie powszednie, a już ludzie niedbający wcale o ludzką opinię, chodzą latem zupełnie jasno ubrani (w krajach protestanckich sekty pietystyczne kładą wielki nacisk na powagę ubioru). Jerôme zaś chciałby, aby było inaczej, aby można było być cnotliwym, a stroić się jak gil, tęskni za czapką o orlim piórze, za sokołem, za koniem. „Dlaczego— pyta — mamy wszyscy wyglądać jak czarne żuki na kupie prochu? Zda mi się, że bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy się ubierali weselej. Prawda, że to rzecz małej wagi, ale my sami jesteśmy drobnym narodem“... Nie przeszkadza mu to natrząsać się z zaprzątania wszystkich myśli strojami, jak to widział u wielu kobiet; twierdzi, że nawet w sprawie małżeństwa dobry krój surduta gra większą rolę, niż przymioty umysłu.

Najładniejszą częścią tego tomu jest rozprawka o pamięci *On memory*. Tu dziwi się stanem rozbicia, w jakim przeszłe wypadki wracają nam w myśli. Z każdego pamiętamy tylko część, nieraz mniej ważną, jakiś szczegół, który nam utkwił w głowie, podczas gdy inne tonęły w cieniu zapomnienia. Przypomina sobie np., że będąc dzieckiem wpadł do jakiegoś rowu, ale niema wyobrażenia, jak się z niego wydobył. Przeszłość przedstawia nam się w pamięci, jako wielkie pole ruin ze sterczącemi odłamami kolumn i ścian. Zauważa przytem (co nie jest zawsze słusznem), że wspomnienia przyjemne lub radosne pozostają dłużej na wierzchu a przykre, jako cięższe idą na spód i że patrząc za siebie widzimy tylko jasne punkta życia i wnioskujemy, że „za dawnych czasów było lepiej, niż dzisiaj“. Owo oglądanie się wstecz, ową tęsknotę za wszystkiem, co było, mieni małodusznością: świat musi iść naprzód, ma do spełnienia zadanie, więc musi się śpieszyć. Jakiem ono jest, jakim jest udział ziemi w Boskiem dziele — nie wiemy, choć nasze bezwiedne dłonie nad jego dokonaniem pracują. Podobni koralowym robaczkom pracującym w ciemnych głębinach, wysilamy się i walczymy każdy o swój drobny cel, ani marząc o wielkim gmachu, jaki wznosimy dla Boga“.

„Dajmy pokój żalom za niepowrotną przeszłością. Nasze zadanie jest przed nami nie w tyle i hasłem naszem jest: naprzód! Nie siedźmy z założonemi rękami patrząc w czas miniony, jakoby to był budynek — to dopiero fundament. Nie zużywajmy serca i życia myśląc o tem, co mogło być, a zapominając to, co może być przed nami. Sposobne chwile mijają podczas gdy płaczemy za temi, któreśmy stracili, w żalu za szczęściem minionem nie dostrzegamy nadchodzącego szczęścia".

„Raz przed laty, gdy wieczorami siedząc u ogniska, lubiłem się myślą błąkać w kraju bajek, napotkałem tam dzielnego, wypróbowanego rycerza, który dużo świata obszedł i dużo zwalczył trudności i niebezpieczeństw wytrzymał. Ale teraz ten rycerz jechał straszną drogą, stromą, kamienistą i ciężką. Po obu brzegach otwierały się przepaści, syczały potwory ziejące krwią a ponad tą okropnością ciężył smutek i noc. Więc serce zadrżało w piersi rycerza, duch jego zatrwożył się, obrócił konia i chciał powrócić w tył. Aliści gdy się odwrócił, ujrzał, iż poza nim przebytej drogi nie było już śladu, nie było nic krom niezmierzonej otchłani, której głębi ni szerokości oko ludzkie objąć nie mogło. Widząc tego, że wrócić się już nie może dzielny rycerz pomodlił się do św. Kuthberta i dawszy koniowi ostrogi ruszył naprzód radośnie i mężnie. I nic nie wyrządziło mu szkody".

„Niema powrotów na drodze żywota. Lekki pomost czasu, po którym stąpamy, zapada się w wieczność za każdym krokiem. Przeszłość uciekła nam na zawsze. Jest zżętą, zebraną i wymłóconą. Już nie jest naszą. Ani jedno słowo, ani jeden krok nie może być odwołanym. Zatem jak prawym rycerzom przystoi nam iść naprzód odważnie. Nowe życie z każdą sekundą dla nas się zaczyna — idźmy wesoło naprzeciw. Musimy kroczyć po woli czy niewoli a lepiej nam będzie iść patrząc przed siebie, niż wciąż oglądając się w tył..."

Szkoda, iż brak miejsca nie dozwala nam rozdziału tego podać w całości, ani zatrzymać się nad innymi zawartymi tak w tym tomie, jako i w drugim, w kilka lat później wydanym. W pierwszym niepodobna wszakże nie zaznaczyć jeszcze wielce humorystycznej rozprawki o kotach i psach, gdzie autor zaczyna przez żale na olbrzymie rozmiary swego psa, który zamachem ogona zrzuca mu filiżankę, podnosząc się wywraca stół z całą obiadową zastawą a wygnany z gniewem odmawia statecznie zejścia ze schodów, bo na drugim stopniu jest kotek. Duży jest jak pięść, ale rozłoszczony na psa i okrutnie „klnie" a to przecież smutno słyszeć z ust tak młodego stworzenia... W dalszym ciągu autor znów skręca na poważniejsze tory i porównując psa

do niektórych typów ludzkich spodlonych, przyznaje mu większą wartość moralną, poczem jednak dodaje: „Jesteś stokroć lepszy a przecież stoisz niżej, bo ów zbestwiony potwór — to człowiek".

Druga serya pogadanek *Second Thoughts of an idle fellow,* zawiera też sporo myśli, ale jest może mniej sympatyczna choć bardziej oryginalna. Niektóre części uderzające jak np. *The delights of slavery* (Rozkosz niewoli) opisujące umęczenie poszczególnych ludzi porwanych w wir poszczególnych zawodów: światowej elegantki, urzędnika i t. d. a zwłaszcza milionera przedsiębiorcy nie mogącego do śmierci wyrwać się z żelaznych kleszczy swoich interesów, poświęcającego im swój czas, swój spokój, swoje zdrowie, swą wieczność...

Jerôme K. Jerôme jest pono w Anglii daleko popularniejszy niż Kipling — dlaczego? odgadnąć trudno? Jest to w każdym razie talent mniej silny lecz dusza, zda się, głębsza, mniej u niego bez porównania poezyi ale obserwacyi dużo a z nią sporo naturalności i szczerego a uczciwego uczucia. Styl jest jasny i płynny, zwroty mniej niespodziewane, niż jest obecnie w modzie, a za to wobec czytelnika poufałość wyglądająca *ganz gemütlich* pod piórem Anglika, ale którą poczytanoby niechybnie za wulgarność pisarzowi polskiemu. Jesteśmy wogóle bardziej sztywni od ludów Zachodu; jestże to niższy stopień cywilizacyi, dowód, żeśmy bardziej zbliżeni do Wschodu, przejęli coś z wschodniej powagi, czy też — resztki dobrego tonu, pozostałego u nas z dawnych lat a zanikającego u innych? Nie tu miejsce kwestyę tę rozbierać. Jerôme stosuje się do swej publiczności a publiczność angielska do niego: wolność Tomku w swoim domku.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Święto słońca. *D-mol (Maryla Wolska).* Lwów 1903. Księgarnia Polska. (16-ka, str. IV i 93, kt. nl. 1).

Już w dwu poprzednio wydanych tomikach — w „Thème varié" i „Symfonii jesiennej", które w ciągu roku doczekały się drugiej edycyi, znać było talent prawdziwy. Pogląd poetki był szeroki, wyobraźnia pełna głębokich myśli, uczucie rzetelne, a przy tem wszystkiem doskonałe widać było na każdym kroku opanowanie formy i przepyszny język. Obecnie wydany tomik nie zawiódł wcale nadziei, jaką pokładano w świeżym talencie, bo i w nim prym wiodą wszystkie wymienione zalety. A jeśli są w nim *minusy,* jeśli nie możemy

tych pochwał stosować do wszystkich zawartych w omawianej książeczce utworów, temu nie winno obniżenie się natchnienia, lecz rzecz zupełnie inna. Właściwie ma ten tomik jedną stronę ujemną, ale — niestety — zachodzi ona przynajmniej w połowie utworów. Jest nią zbyt głębokie przejęcie się poetki literaturą współczesną, skutkiem czego wiele utworów jest pod względem formy wzorowanych na pracach zbyt świeżo będących jeszcze w pamięci, a że ta forma nie była właściwa, że nie odpowiadała rodzajowi talentu p. Wolskiej, skutkiem tego też myśli, przelane w takie kształty, są jakby przytłoczone, jakieś zmięte. Z wierszy tego rodzaju czuć wyraźnie brak szczerości, czuć, że forma ta jest sztucznie fabrykowana. Dość porównać np. wiersz p. t. „Z pośmiertnych strof“ z wierszem p. n. *Fontes Melusinae*, ażeby aż nadto dobrze przekonać się o wyższości pierwszego nad drugim właśnie z powodu tej fatalnej formy, w jakiej drugi został napisany. I jakkolwiek forma sama nie decyduje jeszcze o poezyi, to przecież niepodobna zaprzeczyć, ażeby nie przyczyniała się dodatnio lub ujemnie do wartości utworu. Niechaj tedy nie będzie nikomu dziwne, jeśli utwory tej drugiej kategoryi pominięte zostaną przez nas milczeniem. Jeden mają wspólny błąd, ale błąd fatalny. A że, jak powiedział Goethe: „sztuki nie można poznać bez entuzyazmu“, — więc rzućmy na nie zasłonę, wobec prawdziwych stojąc klejnotów:

I przejdę mimo, jako mgła,
I przejdę mimo, jako cień,
A oną drogą, którąm szła,
Nowy iść będzie za dniem dzień;
I dola dobra, dola zła,
Iść będzie drogą, którą-m szła...

Smutek nieogarniony, ból głęboki dzwoni echami niezapomnianemi ze strof utworów p. Wolskiej, ale ból ten nie jest sztuczny, nie jest to żal nastrojowy, polujący na ton wysoki, choć fałszywy, nie jest to czcza poza, tak często teraz uprawiana. Że mógł się zrodzić, tego nie trzeba dowodzić wiele, okaże się jego przyczyna niebawem z samychże utworów. Czuć go nawet w utworach o zacięciu wybitnie ludowem, czy to w balladzie „O Doli królewnie“, co umarła nasłuchawszy się zbyt długo majowej pieśni w borze, czyli też w piosence „O Jaśku z pod Sącza“, (który jest prawdziwą ozdobą tego zbiorku), czy w „Jesieni“, co idzie „lotną stopą przez rżyska“, z Bożej woli zaglądając „w chaty najlichsze i w komory... i na ludzi, co strudzeni i głodni“, czy nakoniec w „Wieczornicy“ prześlicznie kolorowej:

Rozpalili na kominie,
Zaśpiewali, jak do snu,
Pieśń się winie, nić się winie,
Z dawnych czasów, z motków lnu...
Pieśń witania, pieśń rozłąki
Niby uśmiech — niby szloch ..

Więc mimo wszystko złe, nie tracić nam nadziei, a wierzyć potrzeba „w ducha ogniste krze, co słowem płoną, w przemiłosierne rozplenienie chlebą... i w te ostatnie straszne roki Boże ..“ Wiara ta, nacechowana prawdziwie dziecięcą naiwnością, bezgranicznem zaufaniem, zarysowała się prześlicznie w „Majowem nabożeństwie“, w którem przed ołtarzem Maryi ofiarowywane są najpiękniejsze a nietrwałe kwiaty, „najcichsze a żałosne sny człowiecze“ w chwili, w której wszystko się garnie do „gwiaździstej Pani Maja“. O zmierzchu sennym, w którym z duszy wstają jakieś żałosne mary, „o ta-

kim zmierzchu, gdy o co prosimy", to takich próśb roje, „jak przedwieczorne podnoszą się dymy i dążą w górę prosto — jak Ablowa ofiara czysta". O takim zmierzchu „jako te leśne u stóp Twych konwalie"... tak myśli się śnieżą w blasku Pani Anielskiej. „W tę chwilę świętą, krótką, w tę wiośnianą godzinę łaski" pojmie Ona „niemą chorych dusz wymowę", mając litośne serce otwarte dla wszystkich, co proszą: „Daj pieśniom moim moc lotu skrzydlatą" — woła — „ciszę mi jasną i pogodę daj i wczasy zbożne i słoneczne lato, jesień owocną — i plon!"

Ów ból i żal, o jakim wyżej była mowa, stanie się od razu zrozumiałym, jeśli zechcemy przeczytać wiersz p. t. „Z pośmiertnych strof" lub kilka innych, zamieszczonych na samem czele tomiku: „Złudnym świtom" lub „Zaprawdę". Początek zaś jego w tem, że nie padnie słowo, które byłoby zdolne śpiących przebudzić, „i z martwicy na życie nowe zawołać z pod darni". Śpiący rycerze nie wstają z chrobotem ciężkich zbrój z proporcami w dłoniach — przespawszy noc złowieszczą w podziemiu. „Gdyby już ducha zażegnięte wici na szczytach ujrzeć głuchą, ciemną nocą"... I stąd żal, stąd ból ów rozpaczny, stąd ton żałosny bierze swój początek p. Wolskiej. Tętni on też w innym sonecie bez tytułu: „Nie mówię o niej nigdy... duch mój gardzi słowy, co jak łuczyw znikome chwieją się płomienie", a niema tak silnych, „by jej nimi sny serca wyznać pierworodne, bo zbyt dumnie miłuję — zbyt boleśnie wierzę"...

Toby były najwybitniejsze, najgłośniej tętniące dźwięki tego zbiorku utworów p. Wolskiej, poza niemi są wprawdzie jeszcze inne, ale te nie mają już tego znaczenia, nie mają tej głębi ideowo-myślowej, tego subtelnego podkładu, jakim się odznaczają omówione przez nas utwory. Tego pierwiastka ideowego nie należy sobie lekceważyć, bo bez niego i najpiękniejsze formalnie cacka, najkunsztowniej wyrzeźbione, najstaranniej wycezylowane pod względem formy poezye, będą czczym dźwiękiem pustych słów, igraszką czy zabawką frazeologiczną. Nie mamy, mówiąc w ten sposób, wcale poezyi utylitarnej na myśli, ale w czasach, kiedy rymoróbstwo stało się modną chorobą, musimy żądać, ażeby ten tylko pisał, kto ma co do powiedzenia. Z utworów omówionych widać zadosyćuczynienie wszystkim warunkom, jakie trzeba postawić prawdziwej poezyi. Nie mówiąc już o formie i języku, bo to posiada p. Wolska znakomicie, należy raz jeszcze podnieść z naciskiem stronę myślową jej utworów. Nie masz tam wierszów o niczem, w każdym przewija się głęboko pomyślany problem życiowy czy psychologiczny. I on to nadaje trwałej wartości całemu zbiorkowi, świadcząc wymownie o kulturze duchowej, niecodziennej, świadcząc o talencie prawdziwym. Życzyćby tylko należało, iżby na przyszłość unikała poetka zbytniego przejęcia się poezyą współczesną, zwłaszcza jej stroną formalną, a szukała właściwych swojemu talentowi form. Na tem zyskają tylko jej utwory, przejmowanie się bowiem literaturą jest dla poezyi czynnikiem ujemnym, najszkodliwszym w świecie. Skoro jest myśl i talent rzetelny, forma znajdzie się sama i zdoła oddać i lepiej i przejrzyściej to wszystko, co się zamierzyło napisać.

Dr. St. Z.

O poezyi ludowej na Śląsku cieszyńskim. *Dr. Ernest Farnik.* Cieszyn. 1904. (8-ka wielka, str. 36).

Jak nisko stoi u nas jeszcze etnografia, o tem najlepiej można przekonać się z omawianej pracy. Dr. Farnik przystępując do pisania swojej rozprawki, mógł korzystać zaledwo z dwu źródeł: z drukowanego zbioru śląskich pieśni ludowych ś. p. dra A. Cinciały i rękopiśmiennego ś. p. J. Londzina, z tej prostej przyczyny, że oprócz tych dwu, innych zbiorów nie mamy. Zaprawdę—Afryka jest chyba lepiej zbadana pod względem etnograficznym od Śląska cieszyńskiego! A przecież na Śląsku jest tylu nauczycieli ludowych, zdolnych do badań folklorystycznych, a i miejsca na publikowanie surowego materyału także dosyć. Oby te słowa znalazły życzliwy posłuch, a ci, którzy je spełnią, znajdą bez wątpienia zadowolenie z wykonanego obowiązku, nauka zaś prawdziwy pożytek!

Mimo szczupłego materyału, z jakiego dr. Farnik mógł korzystać — trzeba wyznać — praca jego jest możliwie gruntowna i wyczerpująca, pisana przytem gładko, z wielkiem umiłowaniem przedmiotu. Część jej pierwsza mówi o piosnkach ludowych w ogólności. Omawia tedy autor różne rodzaje pieśni miłosnych (włączając bezpodstawnie do nich znaną pieśń o liliach, o zamordowanej pannie i o siostrze, która brata otruła — wszak one należą do rzędu tak nielicznych w poezyi ballad), kreśląc rozwój uczuć w różnych stadyach i okolicznościach, poczem przechodzi do obszernego omówienia pieśni weselnych, potrącając przytem często o zwyczaje ludowe, połączone z aktem zaślubin, a w dalszym ciągu tych, które opiewają stan małżeński, a raczej przykrości i nieszczęścia w nim doznane, piosnek żołnierskich i pasterskich (te ostatnie nadzwyczaj ciekawe z powodu zachodzącego w nich „helkania“, czegoś w rodzaju tyrolskiego „Jodlera“). Wkońcu omawia dr. Farnik pieśń epiczną z życia komarów, istną satyrę na stosunki i zdarzenia ludzkie. Z przytoczonych urywków nie mogłem nabrać przekonania, ażeby ona była wytworem fantazyi ludowej. Sądzę, że jest ona utworem człowieka, który znał lud doskonale, ale już z niego wyszedł (może jakiego nauczyciela wiejskiego). Jej rozpowszechnienie nie może być jakimkolwiek dowodem, wskazującym na pochodzenie ludowe. Wiadomo, że rzecz taka, jak „Laura i Filon“ Karpińskiego, rozpowszechniła się szeroko wśród ludu na całym obszarze ziem polskich.

Część druga omawianej pracy zajmuje się poetami ludowymi: Adamem Sikorą i Janem Kubiszem, oraz poetami okolicznościowymi. Tutaj właśnie byłoby najodpowiedniejsze miejsce dla „Komareidy“.

Wogóle cała ta praca jest bardzo sumiennie napisana. Jeden mam tylko zarzut, zarzut dotyczący błędów językowych, jakie w niej znalazłem ku wielkiej mojej przykrości. Dla przykładu wymienię kilka: „poddawają“= poddają, „że jej miał nie będzie“= mieć (str. 5), „Dorotei“= Doroty (str. 16).

St.

Skarby zaklęte w Tatrach. *St. E(liasz) R(adzikowski).* Kraków. 1903. (8-ka mała, str. 33 i 1 nlb., drukowane w 50 egzemplarzach jako rękopis).

Jak wiadomo, górale tatrzańscy wierzą święcie w istnienie olbrzymich skarbów, ukrytych przed ludzkiem okiem w jaskiniach górskich,

strzeżonych pilnie przez duchy. Skarbów tych poszukiwało wielu od bardzo dawnych czasów i wówczas już powstały t. zw. „przewodniki“ wskazujące drogę i sposób odkrycia bogactw. „Przewodników takich wydano drukiem już kilka, wydał jeden z nich nawet podpisany z rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej w warszawskiej *Wiśle* za rok 1901. Omawiana praca dra Eljasza Radzikowskiego, któremu udało się dostać parę tego rodzaju rękopiśmiennych opisków, zajmuje się przedewszystkiem wyśledzeniem najstarszych wiadomości, jakie zachowały się o „przewodnikach“ do skarbów tatrzańskich. Najdawniejszem świadectwem jest z roku 1246 pochodzące zeznanie Piotra Wydżgi, zapisane przez Długosza w *Liber beneficiorum*. Nie chodzi tu o autentyczność samego zeznania. Zapiska jednak Długoszowa świadczy najwymowniej, że w wieku XV istniały przewodniki do skarbów ukrytych, zupełnie podobne do opisów dziś używanych przez poszukiwaczy skarbów w Tatrach. Można się o tem przekonać z zacytowanych urywków takiego opisu z wieku XV, XVI i XVII, każących w ten sam mniej więcej sposób szukać skarbów nad Morskiem Okiem, Czarnym Stawem, Pięciu Stawami i t. d. W dalszym ciągu opisuje dr. Radzikowski przewodniki czyli „spiski“ z wieku XVIII, grubo od dawniejszych dokładniejsze i mocno zabarwione wierzeniami ludowemi w istoty fantastyczne, oraz przewodniki niemieckie, pochodzące z Spiża, i omawia dokładnie ważniejsze szczegóły, jakie w nich napotkał. Dziś spiski takie należą do wielkich rzadkości, ale legend o poszukiwaniach skarbów w Tatrach krąży niemało wśród górali. Wiarę w skarby podsyciły znaleziska przedhistoryczne złotych przedmiotów i pieniędzy zbójnickich. Wiara ta jednakże nie jest tylko naszym góralom właściwa. Istnieje ona w rozmaitych częściach Alp, w Harzu, w górach Smereczanych i Karkonoszach. Pracę tę kończy spis dni, w które — podług spisków — złe duchy odstępują od skarbów, oraz rysunek koła czarodziejskiego do zaklęcia duchów. Praca ta jest pod każdym względem nadzwyczaj cenną, daje bowiem zupełne i wszechstronne wyjaśnienie jednego z najciekawszych wierzeń góralskich, wyjaśnienie proste, rzeczowe i niezaprzeczalne.

Z.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Rok 1903; wydawnictw Towarzystwa tom XXIV. Kraków. 1903. Nakład i własność Tow. Tatrzańskiego. (8-ka, kt. nl. 2, str. 188).

Instytucya ta — według wydrukowanego na czele „Pamiętnika“ sprawozdania — pracowała w r. ub. nie mniej dzielnie, jak w latach dawniejszych. Przedewszystkiem dźwignęła z popiołów własny dom, przystąpiła do zaprowadzenia mownicy telefonicznej przy Morskiem Oku, wydała w wojskowym Instytucie geograficznym w Wiedniu wspaniałą mapę Tatr (dotąd tylko dwie jej części) z nazwami polskiemi podług najnowszego zdjęcia z r. 1896 i 1897, wykonała dwie nowe ścieżki górskie, poprawiła ośm dawnych ścieżek, nie szczędząc ponadto troski o liczne udogodnienia dla turystów tatrzańskich. Obrotu kasowego było 19.330 kor., członków około 1800. Oddziały: Czarnohorski w Kołomyi oraz Pieniński w Szczawnicy prosperowały nieźle. Część druga „Pamiętnika“ zawiera prace naukowe i sprawozdania turystyczne. Na czele spotykamy

dosłowną treść wyroku, wydanego przez sąd rozjemczy w sprawie Morskiego Oka, dwie prace przyrodnicze: Zygmunta Weyberga: „Przyczynki do petrografii terenu krystalicznego tatrzańskiego“, i Mieczysława Limanowskiego „Perm i tryas ludowy w Tatrach“, tablicę z podaniem wyników spostrzeżeń meteorologicznych, dokonanych w r. 1902 staraniem Tow. Tatrz., zestawioną przez prof. Leopolda Świerza, a nadto dwie prace z zakresu turystyki: Adama Kröbla „Kronikę turystyczną za rok 1902“, w której zanotowano wszystkie ważniejsze wycieczki w góry i odnalezienie wejść na szczyty dotąd nie dotknięte stopą ludzką, oraz zasłużonego Walerego Eliasza Radzikowskiego: „Wspomnienie o schroniskach nad Morskiem Okiem“, ozdobione kilku ilustracyami.

K. R.

Szwargot więzienny. Zestawił *K. Estreicher*. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp. 1904. (8-ka mała, kt. nl. 2, str. 177 i 1 nl.)

Dzięki niestrudzonej wytrwałości znakomitego naszego uczonego otrzymaliśmy niemal w pół wieku po ogłoszeniu przez niego pierwszej u nas garstki wyrazów złodziejskich — najobszerniejszy słownik szwargotu więziennego. Od czasu wydrukowania w „Rozmaitościach lwowskich“ w r. 1859 owego materyału, nie spuszczał szan. autor z oka raz opracowywanej kwestyi. Badał i śledził rzecz na każdym kroku niezmordowanie grupując nowe nabytki.

Że gwara złoczyńców nie jest dzisiejszego pochodzenia, na to na lepszym dowodem jest rozmowa pijanicy Matysa ze złodziejem w utworze p. t. „Scylurus“ Jana Jurkowskiego z r. 1604, pełna słów tajemnych, a nadto słowniczek z końca XVII wieku „Masowita“, wydany przez d-ra B. Erzepkiego. Do pierwszego zbioru, wydanego przez d-ra Estreichera w „Rozmaitościach“ dostarczyły materyału: wyrazy złodziejskie w powieści „Małe tajemnice Paryża“ (r. 1845) i zbiór A. Moczydłowskiego (r. 1851). Następnie przybyły nowe rzeczy zebrane przez W. Czaplickiego (r. 1862), oraz przyczynki drukowane po przeróżnych pismach i dziennikach, częstokroć zupełnie niedostępne dla nauki. (Wszak wiadomo jak artykuły dziennikarskie przechodzą niespostrzeżenie!), zbiory rękopiśmienne d-ra M. Siedleckiego i W. Swolkiena. Z tego wszystkiego powstał omawiany zbiór, liczący 2000 wyrazów oraz kilkanaście pieśni złodziejskich. Jak wielką wartość mają tego rodzaju zbiory dla badań językowych, nie trudno przekonać się z pracy prof. Jagića: *Die Geheimsprachen bei den Slaven*, opartej na innych materyałach.

B. U.

W. L. Anczyc jako dramaturg ludowy. *Jan Magiera.* (Odbitka ze „Sprawozdania gimnazyum św. Jacka w Krakowie). Kraków. 1903. Nakładem autora. (8-ka, kt. nl. 1, str. 27).

Tytuł tej pracy niezupełnie odpowiada treści z tego powodu, że autor odstąpił od niego, dając na wstępie całkowicie zbędny życiorys Anczyca, a nadto mięszając wzmianki o innych utworach, bezwzględnie dalekich od sztuk dramatycznych dla ludu. Gdyby jedno i drugie zostało było opuszczone, jako nienależące do tematu pracy, strona konstrukcyjna rozprawki byłaby zyskała wielce. Zarzut ten, czysto formalnej

strony tyczący się, akcentuję tem silniej, ażeby początkującego autora uchronić w przyszłości od wszelkich zboczeń od zasadniczej treści prac, bo że ma zdolność do badania naukowego, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Ogółem biorąc, część traktująca o dziełach dramatycznych, skreślonych na tle ludowem, wypadła udatnie. Ocena sztuk Anczyca jest gruntowna, wyczerpująca i sprawiedliwa. Zdałoby się tylko, aby streszczenia były zwięźlejsze.

Ostatni ustęp mówi o znaczeniu utworów Anczyca i jest zupełnie zgodny z poglądem, wyrażonym przez podpisanego w książce: „Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku". I tu niech mi będzie wolno uczynić jedną uwagę, która może się kiedyś przydać autorowi, t. j. aby polemiki w tekście samym unikał, a wypowiadał własne zapatrywania, polemikę zaś dawał do przypisków, jak to jest praktykowane powszechnie. A teraz odpowiem jeszcze na parę zarzutów, jakie autor skierował przeciwko moim zapatrywaniom. Dlaczego pisząc o Anczycu, nie wspomniałem ani słowem o „Emigracyi chłopskiej" ani o „Kościuszce pod Racławicami", o tem mogłaby coś powiedzieć cenzura warszawska, bez wątpienia silniejsza odemnie, z którą — niestety — musiałem się liczyć. Co się tyczy znowu zarzutu, żem nie uznał pieśni, jakie Anczyc wprowadzał do swoich sztuk ludowych, za stworzone w tonie ludowym, to okoliczność, że się one podobają chłopom, nie dowodzi niczego. Każdy bezstronny przyzna, iż czuć w nich przymus, robotę, tylko nie szczerość. Wątpię, czy autor słyszał kiedy pieśni ludowe o tonie tak moralizatorskim, jak u Anczyca.

Dr. St. Zd.

Z myśli i marzeń. Poezye. *Ludgard hr. Grocholski.* Kraków 1903. Nakładem autora. (16-ka, str. 74).

Zbiorek ten poezyi powinien był pozostać w tece autora. Ani myśli w nich niema nowych, forma niedbała, może niewyrobiona, brak subtelniejszego poczucia estetycznego, wszystko to razem przemawia przeciwko ich ogłoszeniu. Zaledwie parę znalazłem utworów, których wydrukowanie możnaby usprawiedliwić. Do takich zaliczam utwory p. t. „Bóg stworzył ziemię", „Czyście marzyli?" oraz „Fragment". *L. P.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NIEPROSZENI DORADCY PIUSA X W SPRAWIE JEGO ŚWIECKIEJ WŁADZY.

Przed kilku tygodniami włoska *Trybuna* zaniepokoiła umysły nowiną, jakoby Pius X bibliotekarza z opactwa w Monte Cassino pożegnał temi słowami: „Powiedz księdzu opatowi, że wkrótce przybywam do Monte Cassino". Słowa te zapowiadałyby zmianę w stosunkach między Watykanem a Kwirynałem: więc zajęły umysły i pobudziły angielskie pismo *The Daily News*, żeby poleciły swojemu sprawozdawcy w Rzymie zbadać sprawę, jak najdokładniej. Sprawozdawca doniósł, że słowa Piusa X do bibliotekarza brzmiały: „Chciałbym módz z tobą widzieć się w opactwie". Tak wypowiedziane słowa nie zapowiadały jeszcze wyraźnie, jakoby Pius X zamyślał zająć inne stanowisko wobec Kwirynału, niż zajęli jego poprzednicy: więc uspokoiły się umysły, zaniepokojone nowiną *Trybuny*.

Ale *Trybuna* nie uważała swojej nowiny za bezpodstawną, owszem potwierdziła ją przez inną, równie nadzwyczajną i nieprawdopodobną, zwłaszcza w łamach żydowskiego pisma. Opat z Cava rzekomo opowiadał papieżowi, jak uroczyście opactwo zamierza obchodzić pięćdziesięciolecie dogmatu Niepokalanego Poczęcia. Papież miał słuchać uważnie i odpowiedzieć poważnie: „Obiecuję ci, że sam przybędę na początek obchodów".

Znowu rzymski sprawozdawca *Tabletu* zapewnia, że zna dokładnie inne słowa papieża, które podobnież dały powód do różnych domysłów. Mianowicie Pius X w rozmowie ze siostrami swojemi wspomniał o Castelgandolfo, gdzie od rządu zaborczego dostał letnie miejsce pobytu z prawem eksterytoryalnem. Otóż Pius X powiedział siostrom, że chętnie z niemi tam przepędziłby wakacye na przyszłe lato.

Cokolwiek o tych pogłoskach sądzić należy, nam zaznaczyć wystarcza, że powstały stąd różne domysły, które kazały także w encyklice Piusa X szukać jakichś wskazówek co do jego zamysłów względem Kwirynału. Upatrzyli niektórzy wskazówkę w tem, że Pius IX i Leon XIII w razach podobnych jak pierwszy występ z encykliką, wspominali zawsze o ucisku Kościoła, skrępowanego w Rzymie przez rząd zaborczy i oświadczali uroczyście, że żądają stanowiska, na jakiem papiestwo wykonywało swoją władzę przed zaborem Rzymu. Pius X sprawę tę tknął tylko w jednym z ostatnich ustępów encykliki, gdzie mówi: „Za naprawą wszystkiego w Chrystusie majętni sprawiedliwie i z miłością postąpią z ubogimi, ci spokojnie zniosą kłopoty, podwładni pójdą za głosem praw, zwierzchników szanować będzie świętym obowiązkiem; wtedy wszyscy będą przekonani, że Kościół, jak został założony przez twórcę swojego Chrystusa, tak powinien używać zupełnej i całkowitej swobody a nie podlegać władzy obcej, i że My, w walce o tę swobodę, bronimy nie tylko najświętszych praw wyznaniowych, ale zapewniamy także narodom wspólne dobro i bezpieczeństwo".

W słowach tych umysły, poruszone nowinami i zaniepokojone domysłami, upatrzyły wskazówkę, że Pius X zamyśla na stolicy rzymskiej obrać względem Kwirynału stanowisko zgodne z tem, na którem względem niego pozostawał na stolicy weneckiej. Czy nie przestanie Pius X przypominać w Kwirynale swoich praw do państwa kościelnego? Czy bez dalszej wzmianki o całem państwie nie zamyśla Pius X w inny sposób, np. przez władzę nad obszarem nieznacznym odzyskać choć nie państwo właściwe, przynajmniej stanowisko udzielne w Rzymie i swobodne rządy nad Kościołem?

Te pytania zaczęły nurtować w umysłach katolickich. Słychać było coraz częstsze rozprawy, z których chciało zdać sprawę angielskie pismo *The Tablet* i zaprosiło wybitnych katolików do wymiany myśli na jego łamach. Postawiło pytanie takie każdemu z nich: czy jesteś za tem, żeby papiestwo zupełnie zaprzestało żądać powrotu do władzy doczesnej? Aby wyjaśnić odpowiedzi, wywołane tem pytaniem na łamach *Tabletu*, można tu zaraz zwrócić uwagę na zupełnie nowe stanowisko, z jakiego niektórzy Anglicy patrzą na tę sprawę. Pytanie to, według owych odpowiedzi, nie wyraża myśli zupełnie dokładnej, bo wymienia władzę doczesną a nie określa, jak właściwie używa tej nazwy. Władza doczesna może dotyczeć państwa kościelnego w rozmiarach zdolnych już stanowić jakąś państwową potęgę, więc władza doczesna oznaczałaby potęgę doczesną; może znowu władza rzeczona znaczyć to samo, co stanowisko udzielne zwierzchnika nad obszarem niepodległym nikomu, choćby w rozmiarach niedostatecznych, żeby tworzyć jakąś potęgę państwową, tedy władza doczesna oznaczałaby władzę udzielną.

Między innymi pan Frank Burnand odpowiedział w słowach następnych: „Mam całkiem jawnie taki sąd o tym przedmiocie: władza doczesna nie jest czemś istotnem dla rządów duchownych".

Na to ksiądz Mottay przysłał odpowiedź do *Tabletu*. Zajął stanowisko niewzruszonego obrońcy potęgi doczesnej papieża i stawia zarzut, że p. Burnand nie ma prawa nic w tym przedmiocie sądzić, bo sprawę już rozstrzygnęła teologia: pierwszy lepszy jej podręcznik stawia zasadę, że papież do swobodnych i skutecznych rządów nad Kościołem potrzebuje władzy doczesnej.

Powyższą zasadę ks. Mottay określa jako teologicznie pewną, opartą o powagę Kościoła. Przytacza na dowód słowa Piusa IX, powtarzane w niejednej przemowie od r. 1849 do 1862, a mianowicie: „Wynikło to ze szczególnych zamiarów Opatrzności Boskiej, że po podziale cesarstwa rzymskiego na różne królestwa i państwa, rzymski biskup otrzymał władzę

świecką właśnie na ową dobę, tak że mógł używać swobody zupełnej, której potrzebuje, żeby wykonywać najwyższy urząd apostolski". Następnie 265-ciu biskupów, zebranych w Rzymie roku 1862-go przystało na powyższe słowa Piusa IX; wyrazili swój pogląd w słowach podobnych, mianowicie: „Uznajemy władzę świecką Stolicy świętej za rzecz konieczną i oczywiście daną przez Opatrzność Boską, i nie wahamy się oświadczyć, że w obecnym stanie rzeczy ludzkich, władzy świeckiej niezbędnie wymaga rząd Kościoła".

Na tych to słowach oparty ks. Mottay zaprzecza, jakoby pan Burnand miał prawo wydawać o sprawie rozstrzygniętej swój sąd osobisty.

Na to dał p. Burnand odpowiedź, dla której znalazł wielu zwolenników. Ci z naciskiem odróżniają potrzeby dwojakie: jedne, związane z istotą rzeczy, drugie należne do jej dobrobytu, ale już nie istotne; do istotnych potrzeb człowieka należy pokarm, do dobrobytu usługa, wygoda i t. d. Wszak nie każdą potrzebę nazwać musimy już istotną tem samem, że uznajemy ją za prawdziwą wobec danych stosunków.

W świetle tej zasady, — na której ocenę nie tu miejsce, — zrozumieć można odpowiedzi Anglików na zarzuty ks. Mottaya.

Pius IX wyraźnie wymienia, w których stosunkach i w których czasach powstało państwo kościelne, jako pomoc opatrznościowa dla papieża, aby mógł swobodnie rządzić Kościołem. Państwo to pod opieką cesarza zachodniego, jako świeckiego ramienia Kościoła, stanowiło w średnich wiekach potęgę: mogło wystawić choćby tysiąc jeden i drugi wojska, kiedy Rzymowi groził którybądź z sąsiednich królów czy panów udzielnych: żaden z nich nie władał krajem o tyle potężniejszym od państwa kościelnego, że łatwoby przełamał opór kilku tysięcy orężnych obrońców papieża, gdyby na niego napadł; zwłaszcza wbrew cesarzowi rzymskiemu nie byle kto zdołałby papieżowi przeszkadzać w rządach duchownych. Bez takiej ochrony różne niebezpieczeństwa groziłyby papiestwu w dobie potęgi zbójeckiego rycerstwa w Europie. Że za taką ochronę Kościół dziękował Opatrzności Boskiej, to Pius IX wyraził jasno w słowach,

któremi ks. Mottay popiera swój dowód. Przytoczeni w jego dowodzie biskupi uważają taką ochronę za niezbędnie potrzebną w ich czasach, kiedy państwo kościelne stało nie samo, tylko oparte o zbrojną pomoc raz Austryi, raz Francyi.

Ale już w średnich wiekach papieże czasem mieli przeciw sobie nie drobnego księcia czy dożę, ale potężnego króla albo samego cesarza zachodniego. Wtedy świecka potęga papiestwa niedługo stawiała opór; nie zawsze stanowiła już w średnich wiekach rękojmię swobody papieskiej: wystarczała tylko na zwykłe potrzeby.

Z biegiem wieków mocniejsze państwa pochłonęły sąsiadów słabszych: widzimy w dzisiejszych stosunkach codziennych, ile ludu pod bronią mocarstwa dla obrony swojej potrzebują dziś utrzymywać. Choćby poddani papiescy, sobie zostawieni, w jego obronie walczyli wszyscy jak Polacy pod Samosierrą, czy jak Boerzy w Transvaalu, pierwszy lepszy mocarz stłumiłby ich opór a inni nie przeszkodziliby bezprawiu, jak nie grozili wojną Anglii w obronie Boerów ani nie spieszyli nikomu w pomoc, kiedy potężny sąsiad wydzierał słabemu ojczyznę.

Słowem, wobec stosunków wojskowych, dziś całkiem innych niż w średniowieczu, wątpi pan Burnand, czy ks. Mottay słusznie przeciw niemu przywodzi Piusa IX na dowód, że potęga doczesna, jak w średniowieczu stanowiła ochronę papiestwa opatrznościową, tak samo zabezpieczałaby jego swobodę w dzisiejszej Europie, najeżonej bagnetami.

Słowa Piusa IX i zgodne z nim wyrazy paruset biskupów odpowiadały na zarzut ówczesny, przed zaborem Rzymu szerzony, aby władzę doczesną przedstawić jako nabytek chciwych powagi świeckiej papieży, który dogadza ich pysze a wcale nie licuje z ich stanowiskiem duchownem, nie służy im na nic, chyba zaprząta ich troskami świeckiemi. Taki pogląd, szerzony, aby przygotować umysły do zaboru Rzymu, zawczasu przedstawiał władzę doczesną jakoby naganną, niestosowną, zaprowadzoną bez potrzeby, nawet ze szkodą dla Kościoła. Obrona tedy władzy doczesnej jako opatrznościowej i potrzebnej do swobodnych rządów odpowiada na ów zarzut z przed kilkudzie-

sięciu lat; innych wymaga dowodów p. Burnand, aby odstąpić od poglądu; zaraz w następnym zeszycie *Tableta* zwrócił uwagę, że nie uważa nauki o potrzebie władzy doczesnej za odprawę właściwie daną na jego pogląd co do związku istotnego między tą władzą a rządem duchownym. Jeżeli Ojciec święty nakaże uroczyste modlitwy, aby odzyskać władzę doczesną, wtedy, dodaje p. Burnand, że przyłączy się do tych modlitw szczerze i serdecznie, jak niezawodnie każdy katolik modlić się będzie. Ale uważa, że jego przeciwnik za dużo od niego wymaga.

Za panem B. stanął zaraz inny pisarz, który przybrał godło *An English Catholic.* Jego uwagi dość dobitnie wyrażają zasadę, że

1) Stolica święta potrzebuje stanowiska niezależnego, aby rządzić Kościołem ze swobodą niekrępowaną niczem;

2) myśl katolicka pracuje nad tem, aby zabezpieczyć papieżowi takie stanowisko, ale nie przedsiębierze nic, aby papież odzyskał potęgę doczesną;

3) państwo kościelne byłoby stosownym do tego celu środkiem, ale czy jedynym? o to powstał spór;

4) spór ustałby, gdybyśmy mogli odzyskać państwo kościelne i papieżowi oddać; ale nie wypędzimy króla sabaudzkiego z Rzymu: więc rozprawiamy jak możnaby inaczej zabezpieczyć potrzebne stanowisko papieżom?

5) wolno każdemu szukać dróg różnych, któreby rzeczywiście prowadziły do celu, a nie trzeba koniecznie obstawać przy tej jednej, która choć dobra dziś nie zaprowadzi nigdzie, bo zjednoczone Włochy, jako państwo bez stolicy w Rzymie, czułyby się tułowiem bez głowy, a państwa ich nie rozbijemy. Wolno tedy szukać innej drogi, póki nie zabroni tego sam Kościół wyrokiem nauczycielskim. Chociaż żaden papież nigdy nie zrzekł się praw do Awinionu i innych dzielnic, wydzieranych z państwa kościelnego w ciągu wieków, chociaż żaden nie uznawał tych zaborów za prawne, przecie z rządami zaborczymi ostatecznie przystawali jak każdy skrzywdzony może wydziercy czy zbójowi powiedzieć: kiedy mi zabierasz tyle, a coś myślisz zostawić, to wiedz, że ten czy ów przyrząd albo sprzęt jest mi

najkonieczniej potrzebny w pracy, z której żyję, więc jeżeli coś innego zabierzesz, mniej mię skrzywdzisz. To nie znaczy, że skrzywdzony darowuje to wydziercy i zrzeka się, o co nie upomina się daremnie. Żaden katolik nie wątpi, że każdy kawałek ziemi, zabrany Kościołowi nieprawnie, powinien do Kościoła wrócić, jako do właściciela; nikt nie przypuszcza, że papież zrzeknie się praw do majątku, zabranego przemocą. Ale póki nauczycielskiego wyroku od Kościoła nie dostajemy, póty wolno nam przypuścić, że któryś papież może od najezdców Rzymu upomnieć się o obszar najniezbędniejszy, aby swobodnie na nim działać na prawach zwierzchnika udzielnego, a nie upominać się o wszystko, czego nie odzyska; papież może przy tem widocznie okazać, że nie zrzeka się jeszcze wszystkiego, o co nie upomina się daremnie. Wolno rozumieć, że nie bez przyczyny Pius X w encyklice mówi: za naprawą wszystkiego w Chrystusie... wszyscy będą przekonani, że Kościół powinien używać zupełnej i całkowitej swobody, a nie podlegać władzy obcej.

Z Piusem X wszyscy jesteśmy przekonani, że i całemu Kościołowi i jego Głowie zwłaszcza, potrzeba całkowitej i zupełnej swobody i stanowiska udzielnego a nie podległego obcej władzy. To musimy papieżowi zabezpieczyć, kończy *An English Catholic.*

Ks. Mottay nie zostawił tych odpowiedzi bez nowych zarzutów. Zaprzeczył tedy, jakoby p. Burnand miał odróżniać prawa Kościoła należne istotnie do swobody w rządach duchownych, od praw do tej swobody potrzebnych stanowczo. Przyznaje, że Kościół nie wydał jeszcze nauczycielskiego wyroku (w ścisłem znaczeniu słowa), aby ogłosić każdego heretykiem, kto temu zaprzecza, jakoby władza doczesna była istotną, była konieczną do rządów duchownych; ale ks. Mottay zarzuca, że po wyrazach z naciskiem wypowiedzianych przez Kościół żaden prawdziwy i szczery katolik nie potrzebuje nowego wyroku. Pisze tak nakoniec ks. Mottay, jakby nie uznawał zmiany stosunków, na którą nalegają Anglicy; na ich uwagi odpowiada słowami z *Parfum de Rome* Veuillota.

W ciągu tych sporów przybył na pomoc panu Burnandowi Kanonista i wytknął, że ks. Mottay nie stawia sprawy tak jasno, jak zwykle piszą Francuzi. Sam tedy streszcza myśl sporną i wyraża ją krótko, że nie rozprawiamy, czy sabaudzki król ma oddać papieżowi państwo kościelne, bo zabrał je po pierwsze we wojnie niesprawiedliwej, a powtóre pozbawił papieży stanowiska niezależnego i skrępował jego swobodę; o tem kanonista ani p. Burnand nie wątpią, tylko pytają się, czy jedynie i koniecznie musi papież odzyskać zabrane państwo, aby zająć stanowisko udzielne? Czy wobec ustroju państwowych stosunków odmiennych dziś niż przed zaborem Rzymu, czy i o ile mógłby i potrzebowałby papież odzyskać stanowisko królewskie? o ile bez niego nie mógłby zająć stanowiska udzielnego i swobodnego? O to powstał spór, w którym nikt prócz nauczycielskiej powagi Kościoła nie może nakazywać, co drudzy mają mniemać.

Znalazł także pośredników między sobą a panem Burnandem ks. Mottay: jednego rodaka, ks. K. Coupe, który przecie zdołał naprawić sławę wykładu francuskiego, tak jasno, przejrzyście i umiarkowanie wyłożył swoje dowody; drugiego pod nazwą włoską Gandolfi, który niejako godzi dowody ks. Mottay z wnioskiem p. Burnanda.

Ks. Coupe zbiera wytyczne wskazówki teologiczne do sądu o władzy doczesnej.

1. Biskup rzymski z prawa Bożego — jak przyznają wszyscy za świadectwem Suareza[1] — jest swobodnym i wyjętym z pod wszelkich sądów świeckich i pełnomocnictwa nad nim czyjegobądź, choćby cesarzów i królów.

2. Ta swoboda podobno znaczy, że papieżowi przystoi stanowisko władcy udzielnego.

3. Że papieżom swobodę jedynie władza udzielna zapewnia, głoszą to z naciskiem i powtarzają sami papieże i inni biskupi. Naukę ich można wyrazić słowami, że dobrobyt Kościoła wymaga dla papieży stanowiska udzielnego.

Ks. Coupe przytacza kilka świadectw:

---

[1] Contr. sect. angli. l. IV, c. 4, n 3.

Pius IX w r. 1850 uroczyście ogłosił, że jakiejś władzy świeckiej potrzebuje stolica święta, aby była zdolną wykonywać władzę duchowną bez żadnych przeszkód.

Tenże w r. 1877 mówi: W żaden sposób nie posiada rzymski biskup ani nie może posiadać nigdy zupełnej swobody, ani wykonywać swoich praw z wielką powagą, jak długo jest poddanym innemu władcy w Rzymie. W Rzymie musi być albo zwierzchnikiem udzielnym, albo więźniem.

Leon XIII w r. 1895 mówi: Nic nie może nigdy zapewnić prawdziwej swobody papiestwu bez świeckiego stanowiska udzielnego.

Nadto obaj, Pius IX i Leon XIII, raz po raz oświadczali, że prawo moralne zabrania im zrzekać się państwa kościelnego.

4. Cóż katolicy mają za obowiązek sądzić w tej sprawie?

Podstawnych w tej mierze wskazówek udziela także Syllabus, który potępia dwa zdania następne:

1) Upadek władzy świeckiej, którą posiada stolica apostolska, przyczyniłaby się bardzo do swobody Kościoła i jego rozwoju;

2) Synowie Kościoła nie są jednomyślni w zasadzie, że władza doczesna zgadza się z duchowną.

Ze zdań potępionych wynikają tylko prawdy wprost sprzeczne z niemi, więc

1) Upadek państwa kościelnego nie przyczyniłby się [bardzo] do swobody Kościoła i jego rozwoju; zdanie to, jak brzmi warunkowo, dotyczy czasów przed zaborem;

2) Synowie Kościoła są jednomyślni w zasadzie, że władza doczesna zgadza się z duchowną.

Zatem prefekt kongregacyi konsylium, kardynał Caterini na rozkaz i pod dozorem Piusa IX ułożył list, w którym pisze: „Ktoby *głosił*, że duchowi Ewanielii obcą jest rzeczą godzić władzę doczesną z duchowną, głosiłby zdanie, słusznie napiętnowane jako heretyckie... ktoby głosił, że nauka o potrzebie i pożytku stanowiska udzielnego Stolicy świętej jest wymysłem świeżo wprowadzonym, głosiłby zdanie naukowo błędne".

Znaną nakoniec przygodę księdza Curci przytacza ksiądz

Coupe na dowód, że władze kościelne nie znoszą poglądu, jakoby papież nie potrzebował stanowiska udzielnego.

Gandolfi zarzuca p. Burnandowi i jego zwolennikom, że nie znają stosunków w Rzymie, bo tam przy rządach zaborców papież nie mógłby po ulicach chodzić swobodnie i bezpiecznie, nie wiedziałby nigdzie, czy z powodu swojej osoby nie wywoła zbiegowiska albo krwawych bójek, czy sam nie znajdzie śmierci wśród zamieszki. Z opisu tych stosunków wywodzi Gandolfi, że dziś wprost to możliwe, żeby katolicy stracili wszelki dostęp do papieża; nakoniec wnosi to samo, co zwolennicy p. Burnanda, mianowicie: czego bezwzględnie potrzebuje Stolica św. do zupełnej swobody, to rozstrzygnąć może papież sam.

Na te wszystkie wywody ks. Mottay odpowiedział znowu tym samym zarzutem, że Kościół już sprawę rozstrzygnął a dobry katolik nie ma prawa mniemać tu nic podług własnego widzi mi się.

Wywołał tedy i tą razą nowego przeciwnika, który o wszczętym przez niego sporze wyraził sąd słowami z encykliki Piusa X. Dzieci nie mają ktoby im chleba ułamał, bo nie brak między duchowieństwem takich, co z wrodzonego popędu łożą pracę w plon bardziej pozorny niż rzeczywisty, a nie tylu naliczymy naśladowców Chrystusa... Chciał przez te słowa przypomnieć o sprawach pilniejszych niż spór, o to, jak według nich postąpiłby Pius X najmądrzej. Uwaga ta nie odniosła żadnego skutku: coraz nowi uczestnicy walki zabierają w *Tablecie* głos i udział w sporze tak gorąco, że nieraz trudno nawet odgadnąć z ich słów mniej rozważonych, kogo bronią przeciw komu. Dalszy tedy opis sporu już przedstawiałby mniej ciekawy przebieg. Wystarczyło zatem zdać otoczeniu sprawę z treści głównych dowodów bez wchodzenia w ich rozbiór.

Ks. K. Czaykowski.

Pierwszy zjazd „robotników niemieckich".

Dnia 25 i 26 października b. r. odbył się we Frankfurcie nad Menem pierwszy zjazd robotników niemieckich niesocyalistycznych. Pod hasłem: „ruch robotniczy niesocyalistyczny wtedy tylko wyda owoce, jeżeli sami robotnicy ujmą w ręce swój los", zebrało się 198 delegatów, sami robotnicy lub urzędnicy związków robotniczych, wyszli z łona robotników. Przedstawiają oni 622.000 członków różnych organizacyi robotniczych, a mianowicie Związek chrześcijańskich stowarzyszeń zawodowych (93.000 członków), Związki robotnicze ewangelickie (102.000 czł.) i katolickie (201.000 czł.), Związki czeladników ewangelickie (1.500 czł.) i katolickie (60.000 czł.) i inne stowarzyszenia zawodowe (158.000 czł.). Nie wzięły udziału w kongresie Związek zawodowy Hirsch-Duncker'a, liczący 100.000 członków i pewna liczba niesocyalistycznych organizacyi.

Kongres otworzył mową Bärrn (z Frankfurtu n. M.), delegat Ewangelickiego Związku robotników, zwracając uwagę na cel organizacyi robotniczych. Jest zaś nim wytworzenie takiego stanu ekonomicznego, w którym każdy obywatel mógłby siebie i swą rodzinę utrzymać. Do tego celu dążyć będziemy wszelkimi prawnymi środkami, do jego osiągnięcia przyczyniać się winien każdy obywatel.

Narady zagaił przewodniczący komitetu organizacyjnego, Stegerwald z Kolonii. Między innemi zaproponował, i zgodzono się na to, by kongresowi dać miano „Zjazdu niemieckich robotników", skoro ono nie może przysługiwać zjazdom socyalistycznych robotników, stojących na gruncie kosmopolitycznym. Podniósł i to, że chociaż robotnicy bronić chcą swych praw i walczyć z wyzyskiem i niesprawiedliwością, to przecież ta walka nie jest ich celem, jeno środkiem, jak z drugiej strony nie jest w pierwszym rzędzie zadaniem organizacyi robotniczej zwalczanie socyalizmu.

Poczem przystąpiono do ukonstytuowania zjazdu; na przewodniczących wybrano: Behrensa z Berlina, członka Ewangelickiego Związku robotników i Stegerwalda ze Związku chrześcijańskich stowarzyszeń zawodowych.

Referaty omawiały kwestye bardzo ważne, bo dotyczące prawa

koalicyi, ustaw o urządzeniu zgromadzeń, wyposażeniu stowarzyszeń w przywileje osoby prawnej, izb robotniczych. Pierwszy przemawiał Schiffer, sekretarz centralnego związku chrześcijańskich robotników tekstylnych w Krefeldzie. W swym referacie dotknął prawa koalicyi i praw dotyczących zgromadzeń. Prawo koalicyi, głosił, jest prawem naturalnem, którego państwo nie może naginać na szkodę lub korzyść pewnych klas. Potępiamy prawa klasowe i klasowy wymiar sprawiedliwości, nie chcemy żadnego wyróżniania, choćby nawet klasy robotniczej, ze szkodą innej, żądamy równego prawa i równej wolności dla wszystkich. A tego w Niemczech niema, jak to wskazuje dola robotnic i robotników rolnych. Co do praw, tyczących się zgromadzeń, to jest ich różnych 26, — żądamy jednego wspólnego, któreby usunęło różne ograniczenia, jak obowiązek meldowania, jak bezcelowy i niesprawiedliwy nadzór policyjny, którego przecież niema przy zgromadzeniach przedsiębiorców.

W dyskusyi nad referatem zażądał Schreiner z Monachium, przewodniczący Bawarskiego Związku robotników zatrudnionych przy poczcie i telegrafie, by prawo nieograniczonej koalicyi nadać też urzędnikom, robotnikom państwowym i gminnym, ażeby swobodnie mogli wyrazić swe życzenia i upominać się o krzywdy przez swoje organa. Żądanie to przyjęto do rezolucyi. Inny mowca, Kloos z Berlina, wystąpił przeciw nieograniczonemu prawu koalicyi. Wskazywał, że owocem takich dążeń będzie, po strejkach, ostatecznie powstanie i bunt. Państwo broni tylko całości gospodarstwa, kiedy ogranicza prawo koalicyi robotnikom państwowym, rolnym, zatrudnionym na okrętach. Na te zarzuty, które przerywano głośnemi uwagami i śmiechem, odpowiedział Becker z Hagen, członek związku zachodnio-niemieckich katolickich stowarzyszeń robotniczych. Nie żąda się, mówił, większych praw dla robotników, aniżeli mają inni obywatele; a na to są zarządy w organizacyach, by nie dopuściły rozwinięcia strejków w rewolucyę.

Rezolucya proponowana przez referenta przeszła większością głosów (Kloos i Richter oświadczyli się przeciw niej w imieniu Związku katolickich robotników północnych i wschodnich Niemiec). Zawodową organizacyę robotników uważa rezolucya za „jedynie skuteczny i dlatego niezbędnie potrzebny środek do osiągniecia sprawiedliwego uregulowania zapłaty i warunków pracy“, „do ułożenia stosunków między robotnikiem a pracodawcą na podstawie równouprawnienia obu stron“,— dlatego rezolucya wzywa „wszystkich niezorganizowanych niemieckich

robotników, by przystąpili do tych zawodowych organizacyi, które nie stoją na gruncie walki klasowej". Od prawodawstwa żąda rezolucya zapewnienia i rozszerzenia prawa koalicyi, utworzenia wspólnego wolnego prawa dla zgromadzeń na całe państwo, dopuszczenia kobiet do udziału i współdziałania w socyalno-politycznych związkach i zgromadzeniach.

Drugi referat tyczył się uzdolnienia prawnego stowarzyszeń. Referował Schack z Hamburga, członek Niemiecko-narodowego Związku pomocników handlowych. Stowarzyszenia zawodowe, utworzone wedle przepisów prawa, pozbawione są opieki prawa prywatnego, a przecież niema żadnej rozumnej przyczyny, mówił referent, do takiego ich upośledzenia, owszem obowiązkiem jest prawodawcy dać im możność obrony prawnej w zakresie spraw prywatnych. I to dotyczy nie tylko stowarzyszeń robotniczych, ale wszystkich, które mają majątek a mogą się znaleźć w konieczności bronienia przed sądem swych praw własności. Każde stowarzyszenie winno posiadać uzdolnienie prawne, a żadne prawo nie może go krępować w swobodzie ruchów.

W dyskusyi popierano silnie żądania referenta i jednogłośnie uchwalono proponowaną przez niego rezolucyę, mianowicie, by przyznać stowarzyszeniom zawodowym uzdolnienie prawne, ale nie ograniczać ich działalności.

W następnym referacie omawiał Giesberts z M. Gladbachu kwestyę izb robotniczych. W poglądzie na nią niema jeszcze jedności; jedni żądają jednolitych izb robotniczych, inni organizacyi, w którejby robotnicy i pracodawcy wspólnie działali. Referent sądzi, że dla interesu robotników byłyby wprawdzie korzystniejsze jednolite izby robotnicze, ale to zbyt jednostronne; lepiej, by robotnik spotykał się z pracodawcą, bo to wpłynie na porozumienie i złagodzenie zaostrzonych dzisiaj stosunków między nimi. Co do urządzania izb, to żąda referent: 1) podziału, ile możności, zawodowego, 2) izb lokalnych, okręgowych i jednej państwowej, 3) przy wyborach zaś delegatów powszechnego, wolnego, tajnego prawa wyborczego proporcyonalnego. W określeniu zadań takich izb godzi się Giesberts na wywody Hitzego w broszurze *Aufgabe und Bedeutung der Arbeitskammern*. W dalszym ciągu referatu dotknął sprawy oświetlającej dobrze stanowisko zjazdu. Mały jest dotąd wpływ robotników chrześcijańskich na prawodawstwo; ale w tem nic dziwnego, bo nie wystarczy uchwalać rezolucye, lecz należy pozyskać dla nich klasę roboczą i opinię publiczną. Socyalizm zrobił wielkie postępy, aleśmy też byli opieszali i obojętni, a nie powierzaliśmy swych

interesów w odpowiednie ręce. Czas już oprzeć nam się na sobie samych, łączyć się i skupiać, by sobie wywalczyć więcej poszanowania w świecie. Protestujemy w imieniu uświadomionej klasy roboczej przeciw dotychczasowej patryarchalnej opiece, rozciąganej nad robotnikami. Klasa robotnicza stała się dominującą potęgą w życiu ekonomicznem, i te sześć milionów robotników domagają się równouprawnienia w państwie, i to energicznie i nieodwołalnie. W końcu podał mowca rezolucyę, w której kongres, wyraziwszy żal, że dotąd nie wprowadzono, mimo rozporządzenia cesarskiego z 4 lutego 1890 r., izb robotniczych, tak się wyraża o tej instytucyi:

„Kongres widzi w parytetycznych izbach robotniczych środek wielkiej wagi 1) dla położenia tamy zaostrzeniu różnic klasowych i z niem połączonemu rozgoryczeniu i powaśnieniu robotnika z pracodawcą, a to przez narady i porozumienie się co do wspólnych spraw tkwiących przedewszystkiem w stosunku robotnika do pracodawcy; 2) dla zabezpieczenia i popierania praw i interesów robotników, by w ten sposób skutecznie wspomagać stan robotniczy w jego dążeniach do osiągnięcia szerszego udziału w duchowych i materyalnych dobrach kultury. Należy przeto uważać utworzenie takich izb robotniczych za jedno z najbliższych i najważniejszych zadań niemieckiej socyalnej polityki. W tym duchu uprasza zgromadzenie rząd i posłów w parlamencie, by poczynili jak najprędzej właściwe kroki celem wprowadzenia izb robotniczych, — i nakłada obowiązek na uczestników kongresu, by w swych korporacyach gorliwie zyskiwali zwolenników dla tej idei".

W dyskusyi nad postulatami rezolucyi udowadniał Schack z Hamburga, że nie mogą im podlegać pomocnicy handlowi, że oni potrzebują osobnych izb, ale to odrzucał Giesberts, godził się natomiast na żądanie Behrensa, by dla rolników utworzyć osobne izby, skoro ich interesy są odmienne od robotniczych. Z wielu stron żądano, by kongres wyraził się za wprowadzeniem wyborów do izb robotniczych wedle proporcyi członków; ten postulat włączono do wyżej przytoczonej rezolucyi, którą zresztą przyjęto w całości jednogłośnie.

Ostatnie chwile narad kongresu wypełniła dyskusya nad wnioskiem Behrensa, by utworzyć stały komitet, złożony z przedstawicieli wszystkich związków, któryby rozsądzał i prowadził sprawy robotników. Ale zaraz wywiązała się gorąca dyskusya, dopatrywano się w tem pewnych celów religijnych i politycznych, wykluczonych ze stowarzyszeń zawodowych. Po usunięciu wątpliwości przyjęto projekt Giesbertsa:

„Kongres zatwierdza obecny organizacyjny komitet, jako instytucyę trwającą aż do najbliższego kongresu niemieckich robotników, który najpóźniej w przeciągu 3 lat ma się odbyć, a zatwierdza z tem poleceniem, by rozwijała działalność w duchu uchwał kongresu, a przedewszystkiem, by przygotowywała nowe zadania dla kongresu...“

Na wniosek Behma przyznano i robotnicom prawo wysyłania swych zastępców do komitetu. Poczem zamknął obrady kongresu Behrens mową, w której zwrócił uwagę na poważny tok obrad i doniosłość kwestyi poruszonych.

M. B.

Druk ukończono 30 listopada 1903 r.

WIEC NARODOWY.

Jadąc do Lwowa na pierwszy narodowy wiec, który za główne zadanie postawił sobie to, by liczne stronnictwa galicyjskie zbliżyć do siebie i zespolić na polu narodowej pracy, byłem w tem szczęśliwem położeniu, że stałem ponad, czy poza, wszystkiemi stronnictwami. Czy w stanowisku takiem, wogóle, niezależnie od tej lub owej osoby, nie kryje się jakaś głębsza prawda, mogąca mieć dla tego rodzaju wieców doniosłe znaczenie, okaże się w dalszym ciągu niniejszych spostrzeżeń.

Zresztą, jechałem z tym zamiarem, by zadowolić się tylko udziałem biernym, jako obserwator, biorący udział ściśle tylko z redakcyjnego obowiązku i interesu. Powód do takiej rezerwy był ten, że nie wiedziało się do ostatniej chwili, z kim i z czem właściwie będzie się miało na tym wiecu do czynienia. Zrazu plan na wielką skalę, potem, wobec polemiki przeciwnych wiecowi stronnictw, cisza — pierwszy zapał, jakby przytłumiony, dawał już tylko od czasu do czasu słabe oznaki życia — aż wreszcie, po roku, pojawiło się wezwanie na wiec z mocno ograniczonym programem. Równocześnie z odezwą zaczęły krążyć pogłoski o nieporozumieniach, rozdzielających komitet wykonawczy na dwa obozy. W ostatniej chwili, kiedy już miałem wyjeżdżać z Krakowa, otrzymałem od jednego z obywateli krakowskich, wtajemniczonych w zakulisowe sprawy komitetu, następującą charakterystykę przyszłego wiecu: „Jeżeli wszechpolacy wezmą

górę, ludowcy zerwą wiec, jeżeli wszechpolacy wycofają się, wiec zamieni się w mdłą miksturę liberalnych wynurzeń Romanowicza i Rutowskiego".

Po przyjeździe do Lwowa, w przeddzień wiecu, przekonałem się z rozmowy z jednym z członków komitetu o słuszności, częściowej przynajmniej, powyższej charakterystyki. W ostatni wieczór, poprzedzający obrady wiecu, nie było jeszcze wiadomem, jaki obrót wiec weźmie.

Wreszcie wrzenie w kotle politycznym uciszyło się; wszechpolacy wzięli częściowo tylko udział, ludowcy uznali za stosowne nie wysuwać się w czasie obrad zanadto naprzod. Na widownię wiecu, opróżnioną w ten sposób ze stronniczych koteryi i kierunków politycznych, mógł wejść każdy człowiek, któremu rzetelnie o dobro narodu chodzi.

O szczegółach wiecu pisały już wszystkie pisma codzienne. I o tem, że przebieg dwudniowego wiecu był poważny, i, że udział uczestników był stosunkowo liczny. Zebrało się około 700 osób, z różnych stron kraju, z Galicyi, ze Śląska i z Bukowiny — z różnych warstw — lud, szlachta, mieszczanie i inteligencya, wielu posłów do parlamentu i do sejmu, także i przedstawiciele stronnictwa konserwatywnego, choć stronnictwo samo urzędowo w wiecu udziału nie brało. Dwa plenarne posiedzenia, jedno na początku, drugie na końcu wiecu w pięknej sali Filharmonii, odbyły się uroczyście i podniośle, dzięki umiejętnemu kierownictwu prezesa wiecu, p. Romanowicza. Przemówienia prezesa były w swoim rodzaju klasyczne, każde słowo odważone, na swojem miejscu, żadnego słowa na darmo. Co najważniejsza, cechowała te przemówienia usilna chęć, aby stanąć na jak najobjektywniejszem stanowisku, jak najdalej od swoich osobistych, stronniczych przekonań — co nie udawało się już w tym stopniu panu Romanowiczowi, kiedy w sekcyach, przy dyskusyi, głos zabierał. Zwłaszcza hasło prezesa: „nietylko kochajmy się, ale i szanujmy się" wprowadziło na dobry tor obrady.

Punkt ciężkości oczywiście spoczywał w sekcyach. Szczegóły obrad sekcyj, których było trzy: organizacyjna, obrony narodowej i dla spraw rozwoju wewnętrznego — szczegóły te,

jak i rezolucye obrad są już dość znane z pism codziennych. Zresztą, jeżeli w tem miejscu o wiecu piszemy, to chodzi nam nie o szczegóły, lecz o ogólniejszą myśl — na przyszłość.

W czem tkwiła słaba strona, a w czem siła tego wiecu?

* * *

Najpierw strona polityczna wiecu.

Dla zrozumienia sytuacyi cofnijmy się wstecz, do samych zawiązków myśli wiecowej.

Działo się to w peryodzie podnieconych uczuć patryotycznych, po Wrześni i mowie malborskiej. Jako naturalny odruch, zrodziła się wówczas myśl obchodu grunwaldzkiego, a równocześnie i wiecu narodowego. Ten polityczny charakter chwili wycisnął na myśli wiecowej piętno, które mimo późniejszych zmian i ograniczeń, pozostało na niej do końca.

Pierwotny plan wiecu zataczał szerokie kręgi. Pisano wówczas w odezwie, że na systematyczność wrogich nam, a tak różnostronnych, usiłowań odpowiedzieć należy planowością obrony. „Najważniejszą potrzebą chwili jest program akcyi obronnej, wspólny różnym dzielnicom, rozmaitym gronom obywatelstwa i obozom politycznym. Wytknięcie granic, w jakich możliwym jest wspólny program w sprawach narodowych dla rozlicznych towarzystw patryotycznych, obozów i dzielnic, musi być rzeczą peryodycznie odbywających się wieców narodowych, w których powinniby uczestniczyć przedstawiciele wszelkich narodowych kierunków, ze wszystkich zaborów i wychodźtwa“.

Wspomnieliśmy poprzednio o chwili powstania tego planu, bo to tłumaczy psychologicznie jego gorączkowość. Powstałaby stąd jakaś wojownicza polityka na wszystkie fronty, co przy przemożnej sile przeciwników, Rosyi i Prus, wywołałoby tylko niepotrzebne represye — a przy słabych siłach naszych nie doprowadziłoby do żadnego poważnego rezultatu. Wiec byłby tylko czczą demonstracyą, krzykliwym patryotyzmem, skończyłby się frazesem.

Na szczęście, rozważne pisma zwróciły zawczasu uwagę na skrajność tego pomysłu, na szczęście także twórcy tego planu dali się łatwo przekonać. Zakres wiecu zacieśniono do terytoryum austryackiego. O Polsce w zaborze pruskim i rosyjskim miały być tylko referaty informacyjne, ale i te w ostatniej chwili wycofano. Wielką politykę cofnięto poza nawias.

Ale polityczne znamię chwili pozostało. W braku polityki wielkiej wyszła na pierwszy plan mała polityka galicyjskich stronnictw. To, co było w pierwotnym planie, aby stworzyć jakiś upełnomocniony narodowy wydział, któryby kierował sprawami polskiemi „różnych dzielnic i obozów politycznych“, to po przekreśleniu „różnych dzielnic“, zacieśnione tylko do galicyjskich stronnictw, w całej mocy pozostało. Głównem zadaniem wiecu miało być stworzenie tak zwanego „komitetu pracy narodowej“. Do tego, zdaje się, celu miało prowadzić oświadczenie, które każdy z uczestników podpisać musiał, że uznaje możność wspólnej pracy narodowej — oświadczenie zbyt ogólnikowe, żeby do czegokolwiek obowiązywało, miało ono jednak, jak sądzić można, działać suggestywnie w pomienionym kierunku.

Główna batalia w sprawie „komitetu pracy narodowej“ rozegrała się na samym wstępie obrad sekcyjnych, w sekcyi organizacyjnej. Referat dr-a Szczepana Mikołajskiego proponował bardzo szczegółowo obmyślaną organizacyę, wyznaczał ilość jej członków i grupy tych członków delegujące (stronnictwa, redakcye, związki organizacyjne), poddawał sposób zapadania przyszłych uchwał, co najważniejsza, obdarzał tę organizacyę dość daleko idącą kompetencyą. W razie nawet potrzeby miałby ten komitet tworzyć wydziały „stale działające w pewnym dziale spraw, jak np. wydział organizacyjny, wydział do spraw obrony narodowej, wydział dla wewnętrznego rozwoju narodowego, wydział skarbowy i t. p.“.

I znowu trzeźwy rozum musiał wkraczać z perswazyą i na szczęście znowu odniósł zwycięstwo. Na pochwałę referenta zaznaczyć należy, iż natychmiast swoje rezolucye i to w bardzo stanowczej formie cofnął. Szereg mowców wykazywał, iż taka międzypartyjna instytucya jest niemożliwą do przeprowadzenia,

a gdyby nawet możliwą była, byłaby bardzo szkodliwą. W miejsce tej organizacyi uchwalono większością głosów „komitet inicyatywy“, innemi słowy, zwykły komitet wykonawczy, jaki po każdym wiecu powstaje, z tym skromnym naddatkiem, iż będzie miał on prawo zwoływania konferencyi i ankiet w poszczególnych sprawach narodowych.

Idea, żeby wypośrodkować i ustalić te działy pracy nad utrzymaniem i rozwojem narodowości, oświaty i dobrobytu, w których mogą zgodnie współdziałać ludzie wszelkich stronnictw — ta idea była trafną — ale zupełnie inaczej ma się sprawa z organizacyą polityczną, któraby tą pracą kierowała. Najpierw w przedłożonej rezolucyi tkwiło coś, co mogłoby w przyszłości daleko wybiedz poza zwykłą organizacyę pracy społecznej i to było główną wadą. Poza tem organizacya taka mogłaby być bardzo zbawienną. Nie trzeba było jednak zapominać, że organizacya polityczna jest już koroną uspołecznienia, a wiec pierwszy był z natury rzeczy takiego uspołecznienia dopiero zawiązkiem. Błąd spoczywał w tem, że chciano rozpocząć budowę od dachu. Powstająca w takich warunkach organizacya byłaby tylko grabarzem dalszego rozwoju dzieła; nic łatwiejszego w takiej narzuconej organizacyi, jak tysiączne kolizye, jak np. zakusy jednego stronnictwa do osiągnięcia przewagi nad innemi, a to już najprostsza droga do rozbicia młodej instytucyi.

Zresztą, czy przy polskiej naturze da się wogóle kiedyś, nawet w dalekiej przyszłości, takie stałe, zorganizowane, porozumienie, choćby w pewnych tylko sprawach osiągnąć, to jeszcze wielkie pytanie. Jedność taka udawała się u nas wobec grożącego niebezpieczeństwa lub wobec jakichś ważnych wypadków, ale nie w życiu potocznem. Po Wrześni zjednoczyła się Polska cała. I w tem właśnie było częściowe nieszczęście wiecu, że pomysł jego powstał po Wrześni, że tę jedność i wspólną akcyę, która tam była naturalną, tu chciano sztucznie przedłużyć.

* * *

Gdy projekt, który w myśli komitetu przygotowawczego miał być podstawą wiecu, wśród namiętnej dysputy chylił się ku upadkowi, w innych sekcyach toczyły się obrady bardzo poważnie i z wielkiem zajęciem obecnych. Gdy w sekcyi organizacyjnej, przy pomienionym referacie, skupili się sami prawie ludzie uprawiający politykę, członkowie komitetu przygotowawczego, lub ludzie blisko tego komitetu stojący, w dwu innych sekcyach byli właściwie wszyscy, którzy na wiec przybyli zaproszeni. Tam się skupił interes ogółu. W tem zestawieniu widziało się naocznie, że co organizatorzy jak gdyby uważali za rzecz drugorzędną, stronę narodowo-społeczną, że w tem właśnie spoczywała siła i znaczenie wiecu. Niezależnie od jakiegokolwiek zjednoczenia stronnictw politycznych, okazało się, że istnieją pewne sprawy, w których ludzie z różnych stron kraju i z różnych warstw społecznych mogą naradzać się społem spokojnie. Sprawy stronnictw politycznych, jeżeli nie ucichły zupełnie, to cofnęły się tu na daleki plan — i czuło się naocznie, że najlepiejby dla wiecu było, gdyby te sprawy jak najdalej od niego stały.

Oczywiście, nic doskonałego pod słońcem, i tu niejedno ulegało krytyce.

Najpierw, wogóle, co do doboru i co do ilości tematów wiecowi do obrad przedłożonych, czuło się pewien brak systemu. Było tych tematów albo za wiele, albo za mało. Jeżeli to miało być objęcie wszystkich spraw polskich zaboru austryackiego, to te 17 referatów absolutnie nie wystarczały; brakło wiele spraw i to bardzo ważnych. Jeżeli zaś miały być poruszone tylko niektóre sprawy, to wymagałoby się mniejszej przypadkowości w doborze, to wobec widocznego braku ważniejszych spraw, nie widziało się wystarczającej racyi, dlaczego sprawy względnie mniejszego znaczenia, jak, skądinąd bardzo dobrze opracowane, referaty o „geografii ziem polskich w szkołach średnich“ lub o „reformie rady szkolnej“, dlaczego te przedstawiono wiecowi.

Wogóle, zdaje nam się, że o wiele donioślejszem byłoby znaczenie wiecu, gdyby tylko kilka spraw najważniejszych na nim omówiono, ale za to wszechstronnie. Takie referaty, jak

„Stan i potrzeby oświaty ludu“, „Uprzemysłowienie kraju“, „O wychowaniu narodowem“, „Opieka nad wychodźcami za Ocean“, „Polacy na Bukowinie“, lub o stosunkach w Księstwie cieszyńskiem, były bardzo dobre, ale przy niejednym czuło się brak pogłębienia. Taka sprawa oświaty ludu, lub uprzemysłowienie kraju, mogła być śmiało rozłożoną na kilka referatów, z których każdy inną stronę kwestyi traktowałby, a dopiero po takiem wszechstronnem omówieniu, po wyczerpującej dyskusyi, padłoby jasne światło na sprawę.

To pierwsza uwaga. Druga odnosi się do samego *meritum* referatów. Otóż tu najpierw nasuwa się na myśl referat p. Głąbińskiego: „Ludność polska w środkowych i wschodnich powiatach Galicyi“. Chodzi tu nam o kwestyę ruską. Wogóle przyznać należy, że komitet przygotowawczy okazał dość taktu, gdy sprawy ruskiej bezpośrednio ani razu w referatach nie dotknął, a pośrednio tylko dwa razy, w pomienionym referacie i w referacie p. Rutowskiego: „Organizacya szkół dla mniejszości narodowych“. Ale czy i takie pośrednie omawianie sprawy było w obecnych warunkach wskazane. Wiadomo przecież, jak pisma ruskie na wiec się zapatrywały, swoją drogą niesłusznie, wiadomo także, że stronnictwa ruskie na ten wiec swoim wiecem odpowiedzieć mają. Zasadę, że nie należy oglądać się na przywódców politycznych Rusi, tylko bez nich pracować dla dobra ludu ruskiego, uważamy za sofizmat, który do niczego nie doprowadzi, bo jak będzie myślała głowa, tak działać będzie cały organizm. Wogóle sądzimy, że sprawę polsko-ruską, mimo wszystko, trzeba ze strony polskiej na inną poprowadzić drogę, niż tę, na której chcą ją mieć pewne skrajne stronnictwa, — że nie wojowniczość, ale wielka sprawiedliwość, na faktycznych oparta stosunkach, tej drodze przyświecać powinna.

Inna uwaga nasuwa się co do niektórych w referatach wyrażonych myśli. W referacie „Towarzystwo pracy narodowej“ położył p. Wojnarowski wielki nacisk na rolę, jaką duchowieństwo w pracy narodowej grać powinno. Podniósł, że duchowieństwo zaboru pruskiego i rosyjskiego w tym względzie przyświeca dobrym przykładem, sądził jednak, że nie można tego

przyznać duchowieństwu galicyjskiemu. Usprawiedliwiał to wpływem józefinizmu, w końcu podniósł, że w młodem duchowieństwie pewnej dyecezyi widzi się zmianę na lepsze. Czy nie był sąd prelegenta za pośpieszny? Najpierw zestawienie duchowieństwa galicyjskiego z duchowieństwem dwu innych zaborów nie może dać dobrej miary w tej sprawie, nigdy bowiem nie można bezwzględnie zestawiać stanu wyjątkowego ze stanem względnie naturalnym. Napięcie tamtych stosunków, a potem to dziwne zrządzenie, że wrogowie polskości są wrogami katolicyzmu, zrządzenie sprawiające, ze sprawa polskości łączy się nierozłącznie ze sprawą katolicyzmu, jedno i drugie nakłada na duchowieństwo obowiązek natężonej pracy narodowej. Tu, u nas, balibyśmy się, czy p. Wojnarowski nie żąda od duchowieństwa czegoś, przynajmniej coś trochę z tego, co w historyi Galicyi miało nazwę „tromtadracyi“. Chyba, że nie zna dobrze stosunków. Bo, jeżeli chodzi o pracę nad oświatą ludu, to aż po ostatnie czasy, prócz nauczycielstwa ludowego, tylko duchowieństwo pracowało. Jeżeli chodzi o ekonomiczne podniesienie ludu, to znający stosunki wiedzą, jaką duchowieństwo dziś w tej sprawie odgrywa rolę. Jeżeli chodzi o podniesienie klas robotniczych, to w pracy tej dotychczas prócz duchowieństwa tylko nieliczne jednostki świeckie wskazać można. Udział duchowieństwa w nauce, w szerzeniu oświaty wogóle, jest dzisiaj stosunkowo dość znaczny. A jeżeli udział duchowieństwa w innych objawach życia publicznego nie był taki, jakiby mógł być, to główna przyczyna w nieufności, z jaką do duchowieństwa odnosiła się inteligencya nasza, pod wpływem haseł liberalnych. Dziś na szczęście epoka liberalizmu przemija — raczej ustępuje miejsca radykalniejszym hasłom socyalizmu, który znowu na zabój duchowieństwu wojnę wypowiada. Wiele z tej pracy duchowieństwa było pracą cichą, o której poza miedzą wsi nikt nie wiedział, i dlatego można zrozumieć, że jest ona dziś niedocenianą. Jeżeli zaś były jednostki, które w tym względzie niedopisywały, to zapewne procent tych jednostek wpośród duchowieństwa nie był liczniejszy, jak w każdym innym stanie. Nie trzeba też zapominać, że samo dobre spełnianie obowiązków kapłańskich jest

wielką narodową zasługą — religia i moralność są podwalinami społeczeństwa.

Inne znowu zdanie przemycono w rezolucyach o oświacie ludowej, to mianowicie, że usiłowań w sprawie oświaty ludowej „nie należy unifikować tak, ażeby w szerzonej w ten sposób oświacie zacierały się różnice poglądów i kierunków". Jeżeli mowa o poglądach i kierunkach politycznych lub naukowych, zgoda, ale bynajmniej nie można się zgodzić na to zdanie, co do poglądów i kierunków obyczajowych i religijnych. Pod tym względem nie wszystko było ze strony stronnictw liberalizujących w porządku. Tu nie tylko prawda sama nakłada na katolickie związki obowiązek, by dążyły do „unifikacyi" w swoim duchu, ale i obowiązek pilnowania swojej własności, bo lud nasz cały jest na wskroś katolicki. Że napomkniemy po drodze — zawsze wydawały nam się anomalią nasze liberalizujące stronnictwa demokratyczne, które nie chcą czy nie mogą zrozumieć tej oczywistej prawdy, że przy każdej pracy należy używać narzędzi, odpowiadających naturze materyału.

Podobnych zboczeń było w treści referatów i rezolucyi niewiele. Natomiast wiele było rezolucyi bardzo doniosłego znaczenia. W sprawie uprzemysłowienia kraju, które, nawiasem mówiąc, trochę zanadto chciano oprzeć na altruizmie, doniosły był wniosek p. Paygerta, by stworzyć bank przemysłowy, na razie, o kapitale $11^1/_2$ miliona koron. Ważną była uchwała, by dążyć do utworzenia Towarzystwa św. Rafała, dla opieki nad emigrantami. Ważną była także myśl, by wychodźtwo skierować do okolic, w których są już liczniejsze osady polskie, również, żeby starać się o zabezpieczenie religijnych potrzeb osadników. Co do szkoły średniej słuszne było żądanie, by większą baczność zwracała na moralne, fizyczne i narodowe wychowanie młodzieży. Większe również zainteresowanie wzbudził referat o Polakach w Księstwie cieszyńskiem. Praktyczni, jak zawsze Ślązacy, zjechali na wiec dość licznie i sami rezolucyi swoich przypilnowali.

Czy te i tym podobne rezolucye będą wykonane? Miejmy nadzieję. Dopiero po dalszych losach rezolucyi będzie można ocenić całkowicie doniosłość wiecu.

Częściowa jednak doniosłość już i dziś jest widoczną — była widoczną raczej na samym wiecu.

Już wspomnieliśmy powyżej o poważnym toku obrad. Trzeba było widzieć to olbrzymie zainteresowanie się wszystkich uczestników każdą najdrobniejszą sprawą, poruszoną w czasie obrad sekcyjnych, sprawą nieraz bardzo fachową. Czuć było, że każdą sprawę każdy uważa za sprawę własną, i to nie tylko jako sprawę praktycznego życia, ale sprawę serca.

Ten wzrost w naszem społeczeństwie skłonności do poważnego myślenia, wzrost poważnego poczucia społecznego, poczucia przynależności obywatelskiej, — w społeczeństwie, które do ostatnich czasów miało opinię społeczeństwa lekkiego, umiejącego się tylko bawić i manifestować, ten wzrost był bardzo pocieszającym objawem.

Coś w polskim świecie, w głębi jego ducha, zaczyna świtać. Ostatnie lata przyniosły nawet wiele dowodów żywotności — jakieś odrodzenie. Jak kiedyś późniejszy historyk obecną od kilku lat datującą się dobę Polski oceni i określi, przewidzieć dziś trudno. Przewidzieć nawet trudno, jakie będą najbliższe następstwa obecnej chwili, jakie owoce i skutki? Czy to, co dziś tak jasną zdaje się zapowiadać przyszłość, nie jest tylko zjawiskiem przejściowem, a jeżeli nawet ma jakąś trwalszą wartość, czy jest to wartość w tym stopniu trwała, jaką dziś się wydaje?

Odsunąwszy na bok te i tym podobne wątpliwości, stwierdzić należy, że chwila obecna przedstawia się niezwykle. Niektórzy nawet obecną chwilę nazywają polskim renesansem. Kiedy się porówna ostatnich lat kilka z szeregiem lat poprzednich, kiedy po poprzednich latach ciszy wsłucha się w ten rozgłośny gwar, obejmie się okiem ten olbrzymi ruch, jaki dziś na każdem prawie polu zapanował, na polu sztuki, nauki, na polu oświaty ludowej i wogóle narodowej pracy, kiedy widzi się, jak wzmaga się zmysł assocyacyjny, jak wzmagają się wysiłki na polu społecznem, ekonomicznem — a więc na tym terenie, do którego natura polska tak zdawała się być niedostosowaną — a to wszystko z jakiemś dziwnem natężeniem sił

i z wielką otuchą w przyszłość — to nic łatwiejszego, jak żeby ta idea polskiego renesansu powstała w umyśle. Niestety, jak w każdym renesansie, tak i tu, wraz z żywotnością w dodatnich objawach i rozbujanie ujemnych się widzi.

Tej idei wartoby kiedyś poświęcić osobne studyum. Trzebaby objąć cały szereg faktów, począwszy od odrodzenia się, dzięki polityce pruskiej, kwestyi polskiej w Europie, od tryumfów Sienkiewicza i szerokich wpływów polskiej sztuki i literatury w całym świecie, a skończywszy na statystycznem obliczeniu Kółek rolniczych.

I to odrodzenie ujawnił w pomienionych objawach wiec, a zarazem i do wzmożenia jego przyczynił się. I w tem jego znaczenie.

Nie udał się wiec, jako zawiązek nowej organizacyi, jako zorganizowany zaczątek wspólnej pracy narodowej, bo to było zawcześnie. Ludzie i stronnictwa muszą dłużej stykać się z sobą na wspólnym gruncie zgodnej pracy, ażeby potrzebę takiej organizacyi odczuć. Nie wypływająca zaś z odczutej potrzeby, ale narzucona taka organizacya byłaby poronionym płodem i niedługi wiodłaby żywot. Przyznać jednak należy, że jednym ze środków ku temu celowi, i to bardzo skutecznym, są wiece, jako teren, na którym najłatwiej nawiązują się stosunki i przeciwieństwa łagodnieją. O ile organizacya taka, utrzymana w granicach trzeźwej pracy społecznej, u nas udać się może, wiec był pierwszym ku niej krokiem — i w tem dalsze jego znaczenie.

Znaczenie wreszcie tego wiecu leży w tem, że jak wszystkie podobne zgromadzenia, był on dobrym środkiem do rozszerzenia pewnych idei i wytworzenia pewnych przekonań, że biorący w nim udział ludzie mają wytknięty kierunek pracy i zachętę do niej.

Przełomową chwilą wiec ten nie był, ale był krokiem naprzód.

* * *

Na przyszłość, takie wiece, — gdyby jeszcze bardziej wolne były od zakusów stronnictw politycznych, gdyby równie jak

ten wolne były od charakteru manifestacyjnego, gdyby bardziej ograniczyły się do spraw wewnętrznego rozwoju, — mogłyby mieć przed sobą wielkie zadanie.

Ludzie zaś dobrej woli i dobrych zasad powinni pamiętać, że takie wiece są wielką szkołą publicznej opinii, że myśli, w referatach i w dyskusyi rzucone, i rezolucye referatów — powtórzone i rozbierane we wszystkich pismach, rozniesione po całym kraju przez współuczestników wiecu — wytwarzają kierunek przekonań i są zawiązkiem czynów. Od licznego takich ludzi współudziału i wpływu na treść obrad zależeć będzie, ażeby te przekonania i czyny poszły dobrą drogą.

Ks. J. Pawelski.

LEON XIII WOBEC SWEGO WIEKU.

I.

Kiedy się widziało te niezwykłe objawy współczucia świata całego przy chorobie ostatniej Leona XIII; gdy się odczuwało to napięcie wszystkich umysłów ku stronie celi małej, w której konał papież; gdy się liczyło i ten współudział żywy zarówno głów koronowanych bez różnicy wyznań, jak mas — objawiających swe najżywsze zainteresowanie przez prasę, i ten głód za najdrobniejszym szczegółem, słowem, ruchem nieledwo gasnącego ojca chrześcijaństwa, to się nie można było oprzeć powiedzeniu:

A jednak na przekór wszystkiemu tu w tej komnacie skromnej jest siła ciężkości dzisiejszego świata.

Ten zaś co odchodził, żegnany był już nie jak nauczyciel wielki, jak potentat tej mocy niespożytej, którą w swym urzędzie i rządach przedstawiał; ale żegnany jak ulubieniec, powiedziałbym kochanek stulecia. A nie oszczędził on swemu pokoleniu ani jednej wielkiej prawdy, nie ominął ani jednego złudzenia w jakie ono popadło, ani jednego błędu i ani jednej winy, którą popełniło.

Widząc ten objaw spotęgowany tym kontrastem chciałoby się tłumaczyć. Chciałoby się wiedzieć w czem będzie tkwiła przyczyna tej tak ścisłej łączności między wiekiem a Leonem XIII; i już nie wystarcza refleksyjna myśl rozważać same czyny

i dzieła Leona, ale wnikając w tajne przyczyny ustroju jego duszy, co je na jaw dobyły, wyprowadzać się chce usilnie łączność z epoką, z stuleciem, które u wezgłowia jego śmiertelnego łoża, tak żywe, tak plastyczne, tego zjednoczenia ścisłego bezwiedne prawie dowody złożyło.

* * *

Całe panowanie Piusa IX było skierowane do zatwierdzenia kościoła w sobie.

Wiek nowy i prądy nowe sprzymierzyły się ze staremi namiętnościami i wypowiedziały kościołowi walkę.

Cele walki znane: odebrać kościołowi rząd dusz i przywłaszczyć go sobie. — Kościół w rządach Piusa jest w tej chwili przełomowej, w której namiętności nieprzyjaciół w młodzieńczym rzekłbym rozkwicie uderzają z zaślepieniem i dufnością młodości. Taka walka nie dozwala dyskursów czy pertraktacyi; jej znakiem, hasłem, znaczeniem, jej duszą to protest, protest wobec fałszywej wiedzy przez ogłoszony syllabus, protest przeciw łupieskiej polityce, zerwanie z nią wszelakich węzłów w tej negatywnej stronie walki rządów, bo z wiekiem nowym Kościół wychodzi zwycięzki jako moc duchowna, co wszystkim atakom oprzeć się zdołała.

Nietylko wszakże moc duchowna oparła się; ale i socyalna i polityczna. Tyle rzeczy się słyszy dzisiaj o smutnym stanie Kościoła po śmierci Piusa IX. Lecz o jego spuściźnie, która się zaznaczyła zerwanemi stosunkami z pewnemi mocarstwami Europy, tak się dziś często spotyka z niesłusznym sądem w przeciwstawieniu do epoki Leonowej na niekorzyść pierwszej!

Zapomina się o tem jednak i przeocza, iż Piusowa miłość zespoliła węzłem serdecznym i ścisłym społeczeństwo katolickie. Ono pod znakiem duchowym krzyża i cierpień kościoła prześladowanego, a w znaku zewnętrznym odarcia i ograbienia Piotrowego dziedzictwa tworzyło czynnik, który nie dał spokojnie zasnąć mocarstwom, dla następcy zaś swego w tem zjednoczeniu przygotował Pius IX tę wciąż przynaglającą mocarstwa siłę do układów i zgody.

W owem słynnem *non possumus* stwierdzał się tedy nietylko wielki charakter Piusa, ale i budował piedestał dla dalszych dziejów Kościoła, dla jego drugiej epoki, w której z katakomb prześladowania powstanie, by światu głosić ewangelie, i być przez świat słuchanym.

Bo i w świecie samym dokonywał się przewrót.

Stan umysłów już jest inny: wiara ślepa w samych siebie zostaje zachwianą nieudałemi doświadczeniami, by własnym duchem „z posad ruszyć bryłę świata"; negacya światła ustępuje zwolna miejsca tęsknocie duszy za prawdą.

Przed chwilą nienawidził człowiek, szukający wszystkiego w sobie, objawienie się mocy i siły w kościele; dziś skłania się zwolna ku temu, by się radować i cieszyć, skoroby się moc nieporuczona ujawniła, a gdziekolwiekby się nawet odnalazła, z jakiegokolwiekby źródła spłynęła, gotówby ją przyjąć byle mu podporą była po zdruzgotanym ołtarzu, stawionym bóstwu swojego rozumu i swojej siły.

Ów proces duchowy odbijał się zewnętrznie w państwach i rządach.

Prądy zaś nowe niosące w sobie zaród życia, gdy przed tem zmieszane z rdzą i plewą zdolne były tylko do jednego: „niszczyć i zalewać", teraz się rozkładały, czekając na rękę co by je ujęła.

Dla Leona XIII pracowały tedy czynniki, pracował ów proces duchowny doświadczeniami przekształcającego się społeczeństwa u dołu. Zarabiały na niego i pracowały dla niego cierpienia i moc Piusowa z góry.

Jeżeli będzie wydawał sąd o wieku, to znajdzie w nim już tę krytykę skierowaną ku sobie, będącą warunkiem przyjęcia każdej krytyki innej.

Jeżeli ukazywać mu będzie kierunek, to odnajdzie w nim zarody pragnień obudzonych przesyceniem i kataklizmami.

A jeżeli z wyżyn będzie mówił Piotrowej opoki, to spotka się z wejrzeniem społeczeństw, które choć odwrócone od niej, jednak dotknęły się i zetknęły w ciągu Piusowych rządów

z tem co zostaje niezmienne, gdy wszystko się zmienia, co ostaje się mocą, gdy wszędzie indziej rozkład się toczy.

Za Piusa IX przedstawia się Kościół oczom zbuntowanego człowieka, jak skała sterczęca surowo w górę nad przełomem i okazująca tylko niespożytą siłę.

Leonowi przypadnie w udziale osłonić tę skałę Kościoła pozornie nieprzejednanego wobec zepsutego wieku.

* * *

Intuicya Leonowa nie była intuicyą wyobraźni, ani intuicyą serca, która uczuciem odgaduje zanim się myśli jakiejś okażą kontury.

Była to intuicya myśli obdarzonej niezwykłą przenikliwością.

Jak przenikliwe Leonowe oko zdawało się wnikać aż do głębi duszy, podobnie jego umysł wnikał we wszystkie zagadnienia wieku, sięgając ich głębin i jądra.

I jakżeby bez przenikliwej duszy był zdołał tak odrzucić powiewy i prądy dzisiejszego wieku takie liczne, takie potężne, a tak skomplikowane, a może tak zagmatwane. Ćwiczył on co prawda dar ów od wczesnej młodości. Będąc studencikiem w Rzymie śledzi najlżejsze objawy tych prądów, które przedzierały się z ogniska polityki watykańskiej na gwarną ulicę.

Nieraz ten poważny i spokojny Pecci zajrzy, jak to w jednym z listów podnosi, choćby do lichej budki szewca, by kilka minut zyskać na czasie, i w sam raz aż do odejścia poczty rzucić w liście do brata jakiś nowy rys polityki papieskiej, albo donieść o jakiej nowej kombinacyi tejże polityki obiegającej miasto.

Zdolność obserwacyi już wtedy tak subtelnej, przechodziła u niego, rzec można, w nałóg i namiętność. Późniejsze stanowisko wraz z doświadczeniem potęgując jego intuicyę wierną najdrobniejszym szczegółom, rozszerzy jednak jej zakres, podniesie wyżej i otworzy źrenicę oka jego duszy szeroko, do miary wielkich wypadków wypełniających dzieje stulecia.

Ktoś trafnie powiedział, że wielki kaznodzieja dojrzewać może we wielkich miastach, bo dopiero tam czuć się daje puls

silny ścierających się prądów i namiętności, które wstrząsną potężnie piersią kaznodziei i potężny też głos z niej dobędą.

Leon XIII. już jako namiestnik Benewentu, już jako delegat Perugii, jako legat brukselski a później jako biskup Perugii, zawsze jest i zawsze się znajduje w samem ognisku tych wielkich wstrząśnień, które niby w panoramie rozwijały przed jego oczyma rysy przewodnie, skłonności, wady i namiętności, jak i szczere pragnienia i szlachetne dążenia wieku i czasu.

A wszystkie one już się układały, już też i to przedewszystkiem ścierały się i na zabój walczyły z interesami Kościoła, które Pecci albo dzierżył częściowo w swem ręku, albo też blizko był ich ogniska.

I idea Kościoła, która dostrajała się do wieku, rysowała się w jego duszy po za wiarą, po za nauką przez intuicyę.

Bodaj czy na tym młodym, wrażliwym, subtelnym intuicyjnym umyśle, już we wczesnej młodości pierwsze zarysy przyszłej myśli jego przewodniej o roli Kościoła względem prądów wieku, nie wytwarzali bezwiednie dwaj dyplomaci, z których jeden Chateaubriand był mu osobiście znany, a drugi Metternich przez niego studyowany. Metternich z chełpliwością mu właściwą określał swe rządy realne w słowach o sobie: iż jest skałą porządku.

Chateaubriand marzyciel - poeta wciąż w swej polityce stawia aksiomat o pogodzeniu Kościoła z ideami nowemi wolności i postępu.

Czy te dwie strony ulubionej i powtarzanej myśli Leonowej, o Kościele jako jedynym stróżu ładu, jako jedynej skale porządku, a zarazem jako czynniku kojarzącym się z natury swojej z postępem i cywilizacyą, czy one nie zarysowały się już wtedy przez intuicyę, zanim się później dopełniły nauką i doświadczeniem? A raczej, czy te pierwiosnki szerokiej intuicyjnej prawdy nie skierowały w ten prąd późniejszego toku myśli męża stanu i księcia Kościoła?

* * *

Jeślibyśmy dalej strukturę wielkiego umysłu papieża poddali analizie, dostrzeżemy, iż intuicya kojarzy się ze zmysłem realnym.

Był to umysł nawskróś realny, t. j. mający zmysł dla ocenienia rzeczywistości, i w myśleniu praktycznem biorący ją w rachubę jak długo tylko to być mogło i jak daleko się dało.

Już jako student w jednym z listów z rzadką bystrością, lecz i z realizmem ocenia sytuacyę praktyczną. Chodziło o to, jak pogodzić okupacyę Wenecyi przez Austryę z nowym kierunkiem rządu papieskiego. Otóż Pecci, student jeszcze, dowodził, że większe są korzyści dla kraju z tej okupacyi wobec rozbicia wojska papieskiego, aniżeli szkody moralne okupacyi samej, że w wyborze między okupacyą a między wpadnięciem kraju w najbardziej niepowołane ręce, tę pierwszą wybrać należy.

Jak na młodego studenta jest to nielada bystrości przebłysk, i to w kierunku realnej praktyki; realny sposób myślenia w praktycznych rządach znaczył się w filozofii i w głoszeniu zasad chrześcijańskich, delikatnem odrzuceniem korzyści lub szkody, jakie już to z przestrzegania, już z nie przestrzegania wskazówek i myśli Kościoła płynęły. Brał Leon XIII umysły wieku jakby w krzyżowy ogień. Z jednej strony nieprzepartą logiką okazywał gdzie prawda, z drugiej strony uderzał w wieku tak czułym na własny interes, właśnie w stronę korzyści i nieprzeparcie dowodził, że praktyka chrześcijańskiej zasady jest bardziej dziś potrzebna narodom i rządom, aniżeli pomocną Kościołowi, że stała się ona dziś hasłem rozstrzygającem o życiu lub o śmierci społeczeństw.

Lecz trudno tu pominąć arcydzieła myśli Leonowej, na które się złożyły już wspólnie i jego filozoficzna intuicya i zmysł dziwnie realny.

Myślę tu o *connubium* między wiedzą a wiarą.

Z subtelną intuicyą dopatrzył Leon XIII, że dwoma głównemi szlakami, historyi i badań przyrodniczych, niewiara uderza w Kościół, że te właśnie gałęzie nauk zostają użyte i nadużyte do celu agitacyi wrogiej, której rezultatem jest rzucenie hasła nieprzejednania pomiędzy wiedzą a wiarą.

Zmysł zaś realny papieża ocenił od razu jaką będzie najskuteczniejsza broń we walce.

I oto trzeźwo osądził papież, że nie można poprzestać na ogólnych uwagach o cywilizacyi Kościoła, ale że dotknąć się musi właśnie miejsc dwu zagrożonych. Zmysłem realnym wiedziony zdaje sobie papież od razu sprawę z tego, że sposób walki najtaktyczniejszy będzie pokonanie przeciwnika własną jego bronią.

I zamiast polemizować z taktyczną zręcznością własną bronią pokonuje przeciwnika.

Historyą usiłuje człowiek dzisiejszy podkopać Kościół i wiarę — papież otworzy źródła tej historyi w skarbach Watykanu i powoła samych nieprzyjaciół do szukania w najtajniejszych dokumentach.

Cóż mogli tu wyrzec koryfeusze nauki na tę taktykę, co własną bronią zwalcza przeciwnika, która apelując do źródeł i faktów, właśnie te źródła za pomoc swoją i sprzymierzeńca uznała, i na tę spowiedź publiczną przed światem i duchem najkrytyczniejszym się poważyła?

Historyę biblijną atakując, próbuje w niej uczony dzisiejszy odkryć nowych archeologicznych — papież organizator praktyczny powoła do życia osobną komisyę biblijną, z uczonych pierwszorzędnych złożoną, by zależałe to pole i zaniedbane przez katolików obrobili i w badaniach swych najszerszy czynili użytek właśnie z postępu i rozwoju lingwistyki, archeologii etc., czyli z siły przeciwnika by własną siłę utworzyli.

Zaapeluje może mędrzec do odkryć przyrodniczych?

Ależ oto usłyszy donośny głos papieża, obwołujący te odkrycia i te postępy w dziedzinie nauk przyrodzonych za najbardziej pożądane dla wiary, bo w miarę jak człowiek głębiej wnika w księgę przyrody, tem lepiej poznaje jego twórcę.

Jakiż to tryumf realnego zmysłu, ukazać nieprzyjacielowi te same ideały, które on ma wyłącznie za swoje i z których się chełpi, we własnych swoich zastępach!

Co to za taktyka bystra a trzeźwa, która z zastępów wysłanych na pokonanie Kościoła, czyni własne swoje wojsko,

i orszak swój obronny stwarza, która ten właśnie laur, na jaki wyobraźnia wieku najbardziej jest tkliwą, na własne skronie składa, i niemi się wieńczy!

Lecz nie na tem się zamknie wspólna działalność intuicyjnej bystrości, zbratanej z tak wyrobionym zmysłem realnym w odniesieniu do tego problemu.

Intuicyjnym swym wzrokiem dopatrzy papież, że sam organ wiedzy, sama pracująca tak niespożycie myśl stulecia, jednak jest anemiczną i niedokrewną.

Wiek ten, który tyle o filozofii mówił, najmniej był jednak filozoficznym. Umysły dzisiejsze zbyt zaprzątnięte poszukiwaniem realnych szczegółów, ociężałemi się stawały w samej szermierce idei i wznosić się ku wyżynom nie umiały; mnóstwo zaś nagromadzonego a nieopracowanego materyału, rozstrajało myśl dzisiejszego człowieka i rzec można na strzępy szarpało.

I znowu subtelnej intuicyi pomoże realny zmysł Leona, który od razu na chorobę lekarstwo odnajdzie. Jest nią studyum filozofii, „od której należytego pojęcia zależą po większej części inne gałęzie nauki“ a które „w dzisiejszem zgmatwaniu umysłów i niejasności pojęć“, „umocni podwaliny porządku prawa i sprawiedliwości, i zapewni pokój państwom a zbawienie ludom i prawdziwej cywilizacyi“ [1]. Ale z jakąż trafnością właśnie na mistrza wieku wybiera tego filozofa, który przejrzystość i siłę myśli łączył z harmonijnym układem szczegółów w całość, który więc szczególniej się dostrajał do potrzeb wieku, chorującego wśród mnóstwa szczegółów nagromadzonych swą pracą na brak syntezy.

Był nim Tomasz z Aquinu.

Czuję, że rozwinięciem tego szczegółu odchodzę zbyt daleko od pochodu myśli, ale ze względu na doniosłość przedmiotu nie mogę się oprzeć pokusie, by nie przytoczyć słów liberalnego profesora uniwersytetu wiedeńskiego, Jodla, który z okazyi śmierci papieża z okrzykiem: „jeszcze jeden taki papież, a myśmy zginęli“ — oto co powiada w tej sprawie: [2]

[1] Słowa Leona XIII.

[2] Fejleton w *Zeit.*

„Dla osiągnięcia tego zadania użył środków, jakich poprzednicy jego nie posiadali. Leon XIII. nie lękał się wiedzy, lecz czuł, że tylko z jej pomocą cywilizacya do wiary powróci... Trzeba zrozumieć, co oznaczało w czasie najszerszego indywidualizmu, — wyniesienia do godności filozofa kościoła Scholastyka Tomasza z Aquinu, myśliciela, który tak się przejął filozofią Arystotelesa i Ojców Kościoła, że nigdzie nie był płytkim i niezrozumiałym, i który w zadziwiający sposób połączył rzeczy przyrodzone i nadprzyrodzone, ludzkie i boskie, w jeden harmonijny obraz wszechświata. Jedność zapanowała w zasadniczych pojęciach ludzkiej myśli; dla odróżnienia prawdy i fałszu, znaleziono cały szereg niezachwianych kryteryi, których sfery pozakościelne tak często z bólem poszukują. Ta jedność działała natychmiast a wszędzie znać kierującą rękę papieża. Ustaliwszy tak podstawę filozoficzną ogarnia katolicyzm powoli wszelką naukę, nie kierując się bezwzględnem badaniem prawdy, przeciwnie wychodzi on z tego założenia, że prawdom kościelnym, dogmatycznie stwierdzonym, żadna nauka ostatecznie się sprzeciwiać nie może. Niezliczone pióra ludzi często wielkiego talentu i rozległej wiedzy pracują w ostatnich dwudziestu pięciu latach, aby każdemu zaprzeczeniu niewiary przeciwstawić uzasadnione twierdzenie, twierdzeniu zaś zaprzeczenie lub przynajmniej uzupełnienie, aby wykryć braki w obecnym stanie wiedzy a za to pokazać możliwość, ba nawet konieczność uzupełnienia ich przez naukę wiary. I gorliwa ta działalność rozciąga się nie tylko na obszerne pole historyi, lecz i na nauki przyrodnicze a nawet i piękną literaturę; ostatnim zaś jej wyrazem jest staranie się o uniwersytety katolickie, za pomocą których katolik mógłby posiąść cały obszar wiedzy a uniknąć konfliktu z wiarą. Tak dążyła cała ta praktyczna polityka kuryi do tego, by się z wroga nie gorszyć, ale jego własną bronią go bić“.

„Niema już wiary na ziemi; ród ludzki nie może nadal w tym stanie pozostać. Lecz pamiętajmy o tem, że powinowactwo naturalne między religią a nauką potrafi je połączyć w umyśle jednego tylko człowieka-geniusza. Pojawienie się tego człowieka nie może być dalekie a może on nawet już istnieje“.

Wtedy kiedy te słowa pisał de Maistre przy biurku swem w Petersburgu, hrabina Pecci kołysała dziecię, któremu na chrzcie dano imię Joachim.

Czy kiedyś później dojrzewający Joachim, tak lubiący się wczytywać w dzieła francuskiego myśliciela, na te słowa nie natrafił?

Czy jakiemś poczuciem wiedziony nieświadomem przeznaczeń przyszłych nie ukrył ich głęboko w duszy aż do czasu, gdy mu dozwolonem będzie wywiesić je na łodzi sterniczej, którą żeglować mu przyjdzie? W każdym razie on był tym człowiekiem.

* * *

Z intuicyą i zmysłem realnym kojarzył Leon XIII. trzecie znamię umysłu swojego — jasność.

Jeśli przenikliwość umysłu papieża poparła zamiłowanie, rozbierania wszelkich problemów, odbiła jakby w soczewce wszystkie wieku choroby, wszystkie cierpienia i nadzieje w encyklikach o małżeństwie, o ustroju państw, o kwestyi socyalnej, wszystkie przedstawiła aż w najgłębszych i najskrytszych kryjówkach; — to jasność umysłu ów nagromadzony materyał pedantycznie, rzekłbym, porządkowała wszędzie, segregując złoto od błota i oddzielając to, co w danym prądzie jest fałszywego i co plewą od zdrowego ziarna.

Któż nie podziwiał w encyklikach Leona tej jasności myśli? Wszakże brak w nich nie tylko wszelkiego frazesu, ale choćby tych dodatkowych przybudówek myśli, które choć dobre ale związku bezpośredniego z rzeczą nie mają.

Z właściwą sobie siłą wyrażenia, myśl jego wnika od razu w samo jądro rzeczy, które choćby najsubtelniejszemi były, z plastyką i realizmem i logiką przedstawia tak, iż nie zostawiają one przeciwnikowi nawet furteczki do odwrotu.

Lecz szczególniej umysł ten, dzięki swej jasności w tem celował, iż ściągał najsubtelniejsze myśli odcienia w jedno ognisko, bez obawy poplątania, niby zręczna prządka, przewi-

jająca różne gatunki nici, pewna, że je zawsze w jeden zbierze kłębek.

Stąd płynęła ta umiejętność segregowania, tak niezbędna każdemu, co się zadań wieku obecnego dotknąć chce lub musi Nieraz miało się chwilowe złudzenie, że to ustępstwo, a to tylko było rozróżnienie.

Umysły dotykające rzeczy po wierzchu albo rządzące się uczuciem, nieraz dla tego nie rozumiały wprost tego, co było tylko następstwem wielkiego światła i jasności. Warto tu przytoczyć na pamięć parę przykładów: po ogłoszeniu encykliki do biskupów polskich, równocześnie zakazywał czytania jej rząd rosyjski i oburzali się na nią niektórzy Polacy, a nawet przechodzili na protestantyzm. Dopiero później poznano się na niej.

Kiedy po słynnej encyklice o robotnikach wydał potem papież drugą, dotyczącą socyalnej kwestyi, o demokracyi, wielu brało tę ostatnią za pewne ustępstwo w stosunku do pierwszej. A jednak Ojciec św. był jakby w żywiole swojego umysłu, obrabiając, analizując nazwę chrześcijańskiej demokracyi.

W tym właśnie sposobie obrabianie problemów przez nagromadzenie szczegółów, wniosków o różnych odcieniach a potem rozdzielanie, różniczkowanie i porządkowanie ich, mogło prowadzić umysły słabsze do wyrywania szczegółu z łączności i całości.

Lecz właśnie ta metoda będąca stwierdzeniem wielkiego umysłu, zarazem jedynie uzdalniała do wywarcia wpływu niestartego na kulturę wieku i kierunek umysłów; umysły bowiem dzisiejsze do przyjęcia prawdy potrzebowały właśnie jasnego rozróżniania a to z dwóch przyczyn: raz dlatego, iż w pewnym półcieniu i półmroku błąd spaja się z prawdą, więc kontur ostrych i jasno odmierzonych potrzebują; powtóre dlatego, iż kto chce umysły pozyskać, nie poprzestanie na obaleniu ich bożyszcz fałszywych, ale uwzględni i złote okruchy słońca i jasności trudem i potem zdobytych i chlubę myśli dzisiejszej przynoszących.

A ten tylko co dobrze rozróżnia może sobie pozwolić na

igranie z błędem migającym światłem prawdy. Tam gdzie zdaje się błędowi czynić ustępstwo, on tylko widzi linię graniczną między fałszem i prawdą i powiada, że żyła prawdy wchodzi do tych a do tych granic i zakresu, i przyznaje ją i uznaje wyłaniając z najzawikłańszego omotania cieniów lub ciemności.

Stąd wiek dzisiejszy zwrócił się z sympatyą do nauczającego papieża, co umiał tak rozmierzyć i zostawić ideałom wieku to wszystko, co w nich i słuszne było i dobre.

Odczuł to dzisiejszy człowiek, że jest zrozumianym, i za sympatye serca posłał myśl swoją z korną i ufną uwagą na słowa nawracającego papieża. Sumienie zaś chrześcijańskie zawdzięczało tymże słowom przebudzenie i uświadomienie. Bo i ono dotąd wśród nowych przeróżnych problemów nieraz nie umiało samo dróg sobie znaleźć i tej subtelnej linii demarkacyjnej odszukać, do której wolno posunąć się nie biorąc rozbratu z etyką i chrześcijańską zasadą, a za którą poczyna się już błąd i złe: i ono w tych encyklikach określających to stosunek do państwa, to ustrój życia chrześcijańskiego, to istotę małżeństwa, to ideę socyalną, znajdywało dla siebie nić Aryadny w labiryncie nowoczesnych pojęć, pochodnię świetlistą i bodziec do wspinania się ku szerszym prawdy kręgom.

Wiekowi zaś całemu wśród obłędu szukającemu prawdy, ukazał papież owe nici złociste chrześcijańskiej zasady, określone z mistrzowstwem duchowego wirtuoza, a przewijające się pośród pragnień i zwątpień, pośród miłości i bólów, chwały i upokorzeń stulecia.

Zasada chrześcijańska przedarła dziś się wszędy i w najdrobniejsze szczeliny i w najsubtelniejsze powikłania i konflikty w państwie, rodzinie, ustroju społecznym; a przedarła się tak cicho, tak niepostrzeżenie, tak łudząco, że gdy wiek myślał, iż słucha jednego ze swych filozofów, ani się spostrzegł jak słuchał tylko wielkiego katechizatora, łamiącego mu chleb starej prawdy i uczącego go zapomnianego katechizmu.

A w tym ogólnym niekłamanym żalu odczuwanym przy śmierci Leona przez świat cały, czyż się nie musimy dopatrzeć także stygmatów myśli Leonowej, którą spotyka na swych dro-

gach wszędzie umysł dzisiejszy, i nieświadomie coś z niej przyjmuje, coś z niej ze sobą unosi, ze śmiercią zaś swojego mistrza wobec możliwego braku dalszego wpływu — żal swój wypowiada?

* * *

II.

Lecz by wytworzyć silne prądy z idei płynące, nie wystarczy jeszcze je głosić; potrzeba jest nadto, że powiem, organizacyi dla tej idei i myśli: potrzeba akompaniamentu woli, która myśl rzuconą skutecznie poprze i cały ruch stworzy, co się za myślą powinie.

Mąż, który ma nie tylko wpływać na umysł, ale i znamię wycisnąć silne na dziejach świata, musi dla geniuszu myśli mieć wierne narzędzie w swej woli.

Serce i wola Leona posiadały wszystkie przymioty potrzebne do stworzenia nowego prądu dziejowego i popchnięcia na tory nowe życia i rządów Kościoła.

Po śmierci Piusa jedno z małych pisemek zagranicznych przypomniało światu książkę za życia Piusa IX drukowaną a zawierającą korespondencye znanego dyplomaty i liberalnego ministra włoskiego Ratazziego.

Jeszcze za życia tego papieża, którego włoska prasa tyle razy uśmiercała, gdy raz takie pogłoski o niedługim zgonie Piusowym były bardzo żywe, omawia Ratazzi w liście do żony przyszłego kandydata tyary.

Już wtedy nie waha się napisać, że papieżem zostanie niezawodnie biskup Perugii, a przytem dodaje: „Stanie się to dla nas (dla Włoch) wyborem najgorszym. Bo nikt nie będzie miał częściej na ustach *reconciliatione* (utarte słowo włoskie dotyczące pojednania zaboru Rzymu z polityką Watykanu) — ale też nikt równocześnie nie okaże się nam twardszym i nieugiętszym".

Ratazzi odkrył nie tylko długo naprzód papieża, ale nadto odarłszy z jego powiedzenia to, co w ustach ministra Włocha było niesłuszną przesadą, określił dokładnie charakter woli Leonowej.

I istotnie: kto pamięta pierwsze dni panowania papieża, ten sobie przypomni ów istny popłoch wśród samych katolików, który nietajoną niechęć z ich strony ściągnął na głowę nowego władcy Kościoła. Papież pozwalający na otwarcie prywatnej kaplicy w Kwirynale, papież czyniący inne grzeczności w tę stronę, został zaraz w początkach okrzyczany jako taki, który jednym rozmachem zamyśla przekreślić dzieło Piusowe i zaprzepaścić słuszne pretensye Kościoła. A jednak pokazało się później przeciwnie — któż silniej mógłby był utrzymać i kto wytrwalej podtrzymać protest przeciw ograbieniu Kościoła i kto zdołałby natarczywiej w mocy i życiu utrzymać to hasło protestu sprzęgające katolików z Rzymem, niż to czynił z konsekwencyą do końca samego Leon XIII?

Ratazzi sąd swój powyższy oparł na obserwacyi Pecci'ego, namiestnika jeszcze Benewentu a później nuncyusza w Belgii, i wciąż zaznaczał, że tego namiestnika a późniejszego nuncyusza znamionuje nieugięta aż do zapamiętania wola, obok równoczesnej miękkości obejścia i gotowości do ustępstw w rzeczach nie naruszających jego zasad. Jest to więc, krótko mówiąc, ważny rys woli wytrwałej, nieugiętej, ale zawsze poddanej subtelnej myśli, zawsze gotowej na skinienie rozumu, nie wyprzedzającej go nigdy, ani też pozostawiającej bez egzekutywy.

Myśl Leona opanowywała wolę, a jakby wysysała tego sprzymierzeńca woli, — t. j. miękkie i tkliwe uczucie. Temu sercu o tyle tylko w grę wchodzić było dozwolonem, o ile na to pozwalały kierunki wytyczne myśli, tej duszy królewnej.

W liście powyższym Ratazzi daje przy tej sposobności polecenie czy radę swej żonie, by chciała po drodze wstąpić do Perugii i tego biskupa tamtejszego osobiście poznać.

Pani Ratazzi stosuje się do rady mężowskiej a potem dzieli swe wrażenia w liście do niego. Po kobiecemu prawdziwie je określa: „Chciałoby się go kochać — powiada o późniejszym Leonie XIII — ale jest coś w nim, co wstrzymuje".

Odrzuciwszy z tego powiedzenia niesprawiedliwą przesadę, jednak takby to zdanie przetłumaczyć można: Jest w nim (biskupie Perugii) magnes serca i ciepła, który pociąga, i który

zdaje się być w pierwszej chwili wszystkiem, ale jest także i ów rząd nieubłagany myśli i rozumu, u którego serce jest sługą, a miara, liczba i jasne kontury panią i królową.

I jakże istotnie wiernemi są serce i wola wobec jego idei.

Ile razy np. idea rzucona przez papieża potrzebuje zatwierdzenia się jakiemś dziełem, czynem, tyle razy jawi się wola w swej zdolności organizacyjnej. Dawny administrator Benewentu, co ustrój całej prowincyi przekształcał, służy teraz temi zdolnościami w twórczości obecnemu papieżowi. Papież-apostoł poweźmie ukochaną ideę i wielką o zjednoczeniu Kościołów, — a oto zaraz papież-organizator tworzy w lot kolegia wschodnie, jak Leoninum dla Ormian w Rzymie, jak komisyę osobną, którą dla spraw wschodnich przeznacza; papież-filozof wyśle w świat ideę o posłannictwie nauk przyrodniczych dla wiedzy, a papież-organizator utworzy obserwatoryum astronomiczne lub archeologiczne muzea.

Ale ta wola żelazna podejmuje się jeszcze trudniejszej choć mniej wydatnej i pochwytnej organizacyi, bo organizacyi duchownej każdej idei papieskiej; przez wpływ osobisty, przez rozporządzenia wytrwałe, przez wpływy pośrednie wola skierowuje, przytrzymuje, rozwija ruch w umysłach tak jednostek jak społeczeństw, wywołany posiewem papieskiego słowa.

I tu gdy się potrzeba oprzeć jakby prośbie albo jakimś względom utylitarnym, tym wrogom wrodzonym całego nowego kierunku i prądu, wola papieska staje się nieugiętą i niepokonaną; będzie zaś swoje protesty powtarzać tak długo, aż nareszcie przeszkoda dla kierunku praktycznego idei się usunie a obraz sam myśli papieskiej, czy to w danej polityce państwowej, czy w kierunku pracy socyalnej wyrysuje się jasno z podkładem barw i cieniów.

Dość przypomnieć historyę ruchu socyalnego za Leona XIII w Austryi, Niemczech i innych krajach, by mieć dowody ujawnienia się nieraz najniespodziańszego nieugiętej woli papieża, nie dającej się niczem odwieść od popierania czy ludzi, czy instytucyi, które wedle jego widzenia w duchu idei papieskiej szły czy działały.

Nieraz znowu wytyczne myśli papieskiej domagały się od woli pracy dla energicznych ludzi najtrudniejszej, bo przerywanej. Zacząć, ale za chwilę przerwać ukrywszy się samej, to znowu potem wydobyć się na wierzch i znowu na czas jakiś zniknąć — oto nieraz są postulaty, jakie stawia idea woli, ilekroć czyn zależny jest od kombinacyi, wpływów lub obcych czynników. U Leona XIII w stosunkach zwłaszcza dyplomatycznych nieraz jego wola i pobudliwość do czynu zamieniać się musiała na wytrwałość bierną czekania i na odwrót.

Biorę na chybił trafił szczegół rządów zgasłego Ojca św. w polityce z Niemcami.

Po wstąpieniu na stolicę Ojciec św. sam pierwszy pisze list do Wilhelma tej treści, iż chciałby z Niemcami nawiązać pokojowe stosunki.

List ten atoli był tylko wędką dla celów właściwych. Jak w aktach ogłoszonych wyznał pośrednio Ojciec św., chciał on tym listem ułatwić królowi i Bismarckowi pogodzenie się, czyniąc pierwszy krok od siebie.

Dostaje w odpowiedzi list arcygrzeczny, ale nie angażujący piszących; Leon XIII czeka i korzysta z innej sposobności, by już wprost przypomnieć i upomnieć się i użalić na niesłuszność prawa wydanego w Niemczech a uciskającego wolność Kościoła.

List ten drugi papieski zostaje bez odpowiedzi; tem się jednak Leon XIII nie zraża, ale kołacze znowu, korzystając z innej nadarzającej się sposobności. Na to odpisuje sam Bismarck z pewną bezwzględnością i stanowczością, iż o zmianie ustaw mowy być nie może.

I tu nie daje Leon XIII za przegranę, aż w końcu wywalcza to, co z początku zdało się być rzeczą wprost nieprawdopodobną.

„Ależ to jest sukces dyplomatyczny“ — powie mi kto. Niezawodnie; lecz w tego rodzaju dyplomatyczne postępowanie potrzeba włożyć nie tylko myśl, ale tę także beznamiętną wolę, co się niczem nie zrażając, zerwane nici podejmuje, by pracę

dopiero co udaremnioną z pełną nadzieją rozpocząć znów na nowo.

Lecz idźmy w analizie naszej dalej.

Wiadomo, że dla przyjęcia się nowych idei nieraz decydującą o ich przyszłości jest właściwie dobrana godzina tego czynu. Zarówno tu zaszkodzić może przedwczesność, jak i opóźnienie. Wybrać zaś dobrze i utrafić miarę właściwą, na to potrzeba nie tylko myśli karnej, ale bardziej jeszcze tej myśli uległej woli, która zewnętrzną pokusę, by wypieszczoną i wykochaną ideę całą siłą swej energii co najrychlej w świat wprowadzić bez oglądania się skrupulatnego na czas, warunki i miejsce, zwycięża. Jakże zawsze Leon XIII umie czekać i wybierać chwilę sposobną do działania!

Całe jego panowanie zwykli powierzchowni zarówno jak tendencyjni krytycy dzielić na dwa okresy: na pierwszy okres, w którym rządzi sama słodycz i miękkość, to jest sam Leon XIII, i na drugi, w którym występuje rys walczącej siły, a ten należy już do Leonowych doradców, którzy nim wrzekomo wówczas owładnęli.

A jednak podobne twierdzenie jest bardzo powierzchownem.

Leon XIII nie należał do tych, co się dają powodować. Nie będzie to niedyskrecyą po śmierci dwu znakomitych ludzi, podać do wiadomości publicznej drobny ale znamienny szczegół, opowiadany mi przez zupełnie wiarygodną w Rzymie przebywającą osobę.

Kardynał Czacki, ulubieniec Leona, zasłyszał o kombinacyach, prywatnych co prawda, lecz snutych z pewnem prawdopodobieństwem o powołaniu go na sekretarza stanu do boku Leona XIII.

„Za nic w świecie — odparł — nie przyjąłbym tego urzędu. Obecny papież będzie sam swoim sekretarzem, ja zaś w tej roli iśćbym nie umiał i na dzień drugi już wniósłbym moją dymisyę".

Kardynał zaś Rampolla, którego najbardziej o wpływ na papieża winią, a o którego wielkiej wierze i żywej pobożności

mniej się mówi i słyszy, przez ducha wiary ułożył swój stosunek do papieża, starając się jak najwierniej wejść w jego myśl i odgadnąć intencye.

Pozorna sprzeczność w rządach jest tylko ścisłą konsekwencyą duchowej organizacyi Leona XIII.

W pierwszej połowie rządów potrzeba było porozrywane stosunki nawiązać, więc wszystko wkładać w układy pokojowe. Nadto dla przyszłej myśli należało wolno i bardzo wolno urabiać resonans dla przyszłych czynów.

I wola cicha, uległa, ukryła swój orli lot, przyczaiła się do pracy wionącej samą miłością i pokojem.

Lecz z chwilą, gdy kontury myśli już dosyć silnie były zarysowane, gdy układy dawały dla czynów podstawę, ta wola na skinienie myśli posłuszna wychodzi, by zajaśnieć królestwem swojego bezpośredniego działania, by uderzyć w wielkich czynów stal.

Jeżeli rozrzucone tu szczegóły zbiorę w jeden rys przewodni, to powiem, że jeśli wola delegata Pecci'ego w Benewencie miała rysy zaciętości, jeśli wola nuncyusza Pecci'ego była przygnieciona dyplomacyą, jeśli wola biskupa Perugii była wolą twórczej inicyatywy, to wola papieża Leona, gromadząc w sobie wszystkie te rysy, raz jeden raz drugi silniej uwidoczniając, przeważny jednak rys miała lojalności względem jego idei.

Leon XIII nie tylko był siewcą myśli, ale dla nich zarazem stwarzał silne prądy, które się narzucały dziejom.

* * *

III

Pozostaje nam jeszcze rozpatrzenie głównych zwrotek idei Leonowych. Dotykałem ich nieraz pośród tych rozważań, ale należy się im osobne miejsce w tym szkicu, a dla ich zrozumienia potrzebne jest ujęcie ich w jedno ognisko.

Idee Leonowe dadzą się rozpatrzeć pod względem techni-

cznym, to jest formy, w jakiej wychodziły, i pod względem przewodniego kierunku działalności papieskiej.

Technika idei w czasie rządów Leona zdumiewa wykończeniem i syntezą. Nie tylko pontyfikat jest skończoną dla siebie i zamkniętą całością, ale każda nieomal myśl nosi w sobie znamiona gotowego dzieła.

Przypatrzmy się im.

W toku i rozwoju idei nie tylko nie znać żadnego chwiania się, cofania się w raz obranym kierunku, ale nawet nie znajdziesz żadnych prób, które choćby w sobie dobre, ale w stosunku do ogólnych konturów były zbędne. W programie Leonowym wychodzą na widownię idee jego odrazu gotowe, skończone, a wszystkie razem, mimo całej różnorodności kierunków — tworzą jednak symfoniczny plan i syntezę. Idee jego zawsze śmiałe i wielkie to zdumiewają siłą inicyatywy, to znowu powtarzając wciąż siebie, wykuwają łożyska uporczywie w kulturze i wieku, to zdają ci się być samą teoryą, to za chwilę widzisz, jak z pilną jakąś bezpośredniością przechodzą w praktykę i życie.

W czem tkwi tego przyczyna?

* * *

Kiedy Sykstus V, wstąpiwszy na tron papieski, rozpoczął te kolosalne budowle, które z wielkiego zastoju Rzym pchnęły na nowe tory rozwoju, kiedy podjął się dzieła osądzonego przez architektów za niemożliwe do wykonania, wzniesienia przed kościołem św. Piotra iglicy kamiennej, dotąd tam stojącej i dotąd świadczącej o tej myśli potężnej, co ją wydźwignęła — pytano ze zdziwieniem za każdem nowo powstającem dziełem — skąd też u tego papieża, żyjącego za czasów swego kardynalstwa w zupełnem odosobnieniu, skąd się wzięła ta obfitość planów i ta ich praktyczność!

A jednak jakże prosta jest na to odpowiedź: To właśnie były skutki odosobnionej i w odosobnieniu wykarmionej myśli.

Kardynał chodził przez ciasne ulice Rzymu, patrzał i myślał, jakby się też zreformować dały. Słuchał, jak iglicę Neronową osądzono za straconą, ale kombinował po swojemu, znów krytykował słabe strony wyroku architektów na nią wydanego, i znowu sam przemyślał o sposobach.

Gdy został papieżem, myśli wszystkie jego były już dojrzałe i gotowe. Tem się tłumaczy szybkość, z jaką kolosalne powstawały dzieła, system, w jakim się toczyły, i określony plan, który je bez wahań i zmian do życia pobudzał.

Co to za potęga tkwi w jednej takiej ciszą wykołysanej a doświadczeniem przerwanej myśli!

Do niej należy stwarzanie.

Zdaje się na pozór, iż ona się rodzi pod wpływem wypadków, że znika, gdy zdarzenia przejdą; zda się, że jej przymioty żywią się tylko przymiotami umysłu; nic złudniejszego.

Myśl taka długo ukryta sama formalnie wypadki wywołuje; ona zasilona skupieniem, dobywa ze siebie bogatą przędzę, która jak magnes okruchy, same zdarzenia życiowe w miarę jak ich potrzebuje, ku sobie naciąga, by z nich i w nich ugniatać swoje idee, by przez nie wcielać się w krew i życie. Wypadki ślepo i niewolniczo ulegają myśli, czasem który ponad nią przejdzie, inny wrogo jej w oczy zajrzy, ale w rezultacie układają się do niej i dla niej.

Myśl taka jawi się czasem bez przygotowań.

Lecz jej korzenie tkwią głęboko w przeszłości, pot i prace nawskroś ją przesiąkły, a to, co w niej wydaje się owocem pośpiechu, jest tylko powolnem ujawianiem się dokonanej rzeczy dla oczu świata.

Cóż dopiero mówić, gdy myśli takie przeorze doświadczenie!

Ono jej użyczy tej miary praktycznej, tego tonu życiowego, tego osobnego światła, jakie płynie tylko z eksperymentu; doświadczenie daje jej jakieś bezpośrednie uzdolnienie do czynu.

* * *

Jakkolwiek Leon XIII aż ćwierć wieku rządził Kościołem, to jednak skoro się weźmie na uwagę, że idee przez niego w tym czasie rzucone podbiły mu wiek cały, że główne wytyczne jego rządów znaczyły się przedewszystkiem kierunkiem reformacyjnym, popychającym na nowe tory życie Kościoła — musi przyjść to przeświadczenie, że ten czas, po ludzku mówiąc, dosyć długi, jednak dla dokonania takiego przeobrażenia, jakiego dokonał Leon, był stanowczo za krótki.

A jeśli jeszcze podpatrzy się sposób, w jaki Leon XIII ujmuje sobie swoje stulecie, gdy się widzi tę lekkość i swobodę, z jaką jego idee jakby zabawką zdobywają po drodze wszystko, to mimowoli szuka się korzenia dla tych myśli, gdzieś w jej przeszłości, gdzieś w tych latach, które poprzedzały jego pontyfikat.

I słusznie.

Na takie myśli nie starczy geniusz. Potrzeba jeszcze tego, czego nawet geniusz nie daje, potrzeba im dojrzenia w skupieniu; potrzeba im, zanim na widownię wyjdą, lat całych dla krystalizacyi.

I te lata przygotowawcze w życiu Leonowem były.

Jeszcze pod piuską kardynalską były ukryte szkice węglem przyszłego papieża. Jeżeli zaś do tego obrazu skończonego przyszłej działalności jego szkolne czasy, jego rządy w Benewencie, dyplomatyczna praktyka w Belgii tylko pośrednio go przygotowują — to za to czasy i lata spędzone w Perugii były szkołą przyszłego papieża.

Tych właśnie 12 lat biskupstwa w Perugii, które możnaby po ludzku nazwać jakby znieruchomieniem jego dyplomatycznej karyery, były mu jednak nowicyatem wielkim papiestwa.

Tu idee Leona przeszły podwójną szkołę: skupienia i praktyki życia. Biskup tam w ciszy i odosobnieniu długich lat formujący duchową swoją dyecezyę i swoją Perugię, choć najmniej sam mógł myśleć o tem, toć jednak formuje pontyfikat i świat dla papieża Leona.

Pomiędzy pontyfikatem Leona a episkopatem jego jest

związek taki, że nigdy dobrze nie zrozumiemy papieża, jeśli wprzód nie przyjrzymy się biskupowi.

Kluczem do zrozumienia myśli i czynów pontyfikatu Leonowego jest jego działalność biskupia.

Już w Perugii sformułowany był cały obraz myśli i rządów późniejszych. Tu urabiał Leon na małą miarę model, który jednak mieścił w sobie wszystkie kółka i sprężyny, co świat w nowy obieg popchnąć miały.

Jeśli mi tak powiedzieć można, Leon XIII oryginalny jest tylko w Perugii; wszystkie rysy duchowe i kierunki rządów na stolicy Piotrowej są już tylko powtórzeniem i reprodukcyą.

Nie masz ani jednej myśli papieskiej, którejby nie był wykołysał już w tej swojej pełnej chwały epoce.

Co więcej, nie masz ani jednego zdania, któreby już dawniej nie przeszło przez twardą szkołę życia i w ogniu bogatego doświadczenia już przedtem urobionem nie zostało.

Jeżeli jako papież będzie mówił o potrzebie wychowania etycznego, dziś zaniedbanego na koszt samego umysłu, to już wprzód jako biskup potworzył dzieła i zakłady, w których ów czynnik duchowy, równoważący jednostronny kierunek w tym wykształceniu się młodzieży, właściwe dla siebie znalazł miejsce.

Jeśli zwróci całą uwagę w pontyfikacie swoim na szkołę, jeśli ją tak ślicznie a bystro określi, jako pole walki o losy przyszłe świata między wiarą a niewiarą, to poprzedzi to powiedzenie troska długoletnia biskupa i zamiłowanie jego, nie tylko w tworzeniu szkół, ale i całej ich organizacyi popartej osobistą iście macierzyńską pieczołowitością o swych wychowanków.

Jeśli wiekowi swojemu powie twardą prawdę o braku filozoficznego myślenia, jeśli zaleca studyum dzieł wielkiego głębokiego chrześcijańskiego myśliciela, źródłem tej myśli będzie nie tylko zamiłowanie dla mistrza anielskiego, uniesione z lat młodości, ale sam czyn, samo jego własne dzieło, t. j. akademia św. Tomasza, utworzona przez biskupa Perugii; tu na umysłach śledził sam codziennie nieomal wpływu dzieł ukochanego swego mistrza na rozwój myśli młodzieży.

Jeśli w encyklikach późniejszych uderzy na socyalną masoneryę i liberalizm, to zna on tych doktryn skutki dobrze z otarcia się z temi prądami tak bezpośredniego w Perugii. Wszak patrzał własnemi oczyma na tę gorączkę wstrząsającą ukochanem jego dziełem, a toczącą umysły i wyobraźnie. Tu z blizka śledził taktykę, odkrywał jej przewrotność, podpatrywał maskowanie się ideałami kultury i postępu.

Jeśli jako papież tak umiał wchodzić w każdą dziedzinę katolickiego i społecznego życia, to jeszcze jako biskup formułował ustawy synodu w Spoleto, któreby można nazwać syntezą organizacyi chrześcijańskich dzieł i akcyi wobec niebezpieczeństw czasów nowych. Organizował i stwarzał te dzieła, i tak dotykał się rękoma całego warsztatu, który z Perugii przeniósł potem na arenę wielką świata i na wyżyny Piotrowej stolicy.

Szczególniejsze ma dla nas jednak znaczenie zauważyć przewodni charakter działalności biskupa Perugii.

Oto wszędy zaopatrując duchowe potrzeby swej trzódki, myśli zarazem o doczesnych. Przez uwzględnienie tych ostatnich, chce osiągnąć rezultaty na polu działania pierwszych.

Jeżeli o samych dzieciach przemyśliwa, to urządza im ogród zabawy i asyla; jest nauczycielem, kształci, to i dolę ich materyalną zarazem poprawia: a jak o dobrobycie klas rzemieślniczych dopiero przemyśla! wszędzie ogółem dopatruje w dbaniu o materyalną stronę ludu, warunku przyjęcia skutecznego przez ten lud pomocy duchowej.

Tak to kierunek jego socyalny już tu formował oś swoją, i jeżeli już za episkopatu wydaje listy pasterskie w kwestyi socyalnej z powoływaniem się na pierwsze powagi ekonomistów i polityków socyalnych, to działalnością swoją praktyczne teorye swe formuje, układa i o ten właśnie punkt utwierdza, w którym kiedyś osadzi dźwignię, unoszącą nowy prąd i darzącą świat nowym rozpędem.

* * *

A jakież były kontury idei przewodniej Leona XIII.?

„Papież dyplomata, powiedziałby kto może, noszący różczkę oliwną zgody światu musiał mieć ideę przewodnią, pokojową i przeprowadzaną dyplomatycznymi środkami".

Zapewne jest wielki nacisk w rządach Leonowych na stronę polityczną. A jakkolwiek w rządzie Kościoła każda duchowna i etyczna kwestya ma i swoją stronę polityczną, jakkolwiek tedy każdy papież polityką zajmować się musi, to jednak nie da się zaprzeczyć, że element polityczny był przedmiotem szczególniejszych trosk i zabiegów Leona, i tajemnicą niejednego świetnego rezultatu w dziejach jego pontyfikatu.

A jednak mimo to wszystko nie dyplomatyczna idea była gwiazdą przewodnią rządów Leona.

I czyż doprawdy narzucanie jej jako stempla przewodniego temu papieżowi nie równa się obniżeniu jego idei, a tem samem dzieła, bo wiąże go do laurów, mniej lub więcej przelotnych, a zawsze zależnych od mniej lub więcej szczęśliwej konstelacyi stosunków państwowych — i chwilowych prądów?

I gdyby przynajmniej dzieło praktyczne na laury zawsze liczyć mogło!

A jakże często nawet chwalenie polityki papieża, a tę się osądza podług rezultatów dobrych, nie będzie się zbiegać z ganieniem tu i tam, gdy rezultat nie odpowiedział zabiegom? A przecie rezultat jest zawsze probierzem polityki nawet papieskiej, bez względu na to, że właśnie kurya rzymska idzie w zapasy polityczne z bronią prawdy i etyki, po stronie przeciwnej tak często mając fałsz i kłamstwo, którego skutki nieobliczalne jak to było n. p. teraz we Francyi, nieraz i najgenialniejszą zdolnością dyplomatyczną zrównoważyć się nie dadzą? Nie myśl dyplomatyczna, ale idea niezależna właśnie od tego pierwiastka zmiennego i kruchego, jaki polityka ze sobą niesie, stanowi piedestał dla wielkich kontur Leona XIII.

Idea jego główna jest na wskroś reformacyjną i jako taka bardziej nawet wspiera się na przyszłości, niźli na obecnej chwili.

W kierunku intelektualnym myśl Leonowa jedną prawdę powtarza, jednej idei jest wyrazem, tej mianowicie, która da się streścić w tytule jednego z jego listów pasterskich „Kościół a cywilizacya"; i tu Leon XIII spełnia to, co przepowiedział już o nim Gambetta, mówiąc, że jeśli ten papież pożyje, to stworzy małżeństwo z rozumu między cywilizacyą dzisiejszą a wiarą.

A w kierunku praktycznym, życiowym?

I w tym także Leonie XIII, papież dyplomata jest tylko płaszczem, skorupą i zarzutką konieczną; zaś papież idei, i to jednej wielkiej idei, jądrem i rdzeniem właściwym. A nawet szczególnem znamieniej tej idei przewodniej jest jej rys, powiedziałbym, antydyplomatyczny.

Głównym charakterem kierownictwa Leonowego jest właśnie to, co raczej wręcz przeciwne jest dyplomacyi, o ile pod nią nie rozumie posługiwanie się swoją polityką do okoliczności i środowiska.

Stygmatem dzieła Leona XIII, to wzniesienie idei Kościoła ponad to wszystko właśnie, co wszelaką chwilową konstelacyę ma na oku, i co z nią zbyt niewolniczo sprzęga sam ustrój kościelny.

Myślą ukochaną Leona XIII jest, by w tej przemianie jaka odbywała się i odbywa w łonie samych społeczeństw, przez wstrząśnienia rewolucyi tu i tam targanych, w tem zetknięciu się nagłem, za mało przygotowanem starych ustrojów z nowemi, w pochodzie już to gwałtownym, już powolnym ruchu, który środek ciężkości rządów przeciągał ku masom, by w tem ogólnem drżeniu, fermencie, z którego nowy porządek i ustrój się wyłania, dać Kościołowi niewzruszony punkt oparcia urągający chwilowym konstelacyom, a uzdolniony do urobienia sobie nowych czasów i do opanowania myślą i prawdą Chrystusową nowych wieków, i nowych pokoleń; w działalności zaś i organizacyi katolickiej na rozdrożu stojącej, między przywiązaniem do schodzącej z pola przeszłości, a rezerwą wobec jutrzenki nowego porządku, rzucić w tej wielkiej myśli kotwicę,

o którą będą mogli zaczepić program swej pracy i oś swych zabiegów.

Sposób przeprowadzenia tej myśli, dwie ma strony wytyczne, choć jeden cel.

Oto Leon XIII uwalnia Kościół od *connubium* z tą czy ową formą rządu; to jeden pracy kierunek, będący atoli środkiem tylko do celu.

Droga wytyczna dążyła do skierowania Kościoła ku masom, do oparcia się o chrześcijańską organizacyę.

To też za jego pontyfikatu przestały te czy owe formy polityczne być jedne nad drugie wyszczególnianemi; raczej Kościół dostrajał się do każdej, w każdej zarówno mając dogodną kamerę dla przędzy swej pracy, dla kontur swych celów.

Skoro zaś Kościół przestał wspierać się i wiązać z ustrojami mocarstwowemi, otworzył wówczas wolne swe ramiona szeroko ku ludom.

Papieżowi idei przychodził w tej mierze w pomoc papież organizator.

Ten ideę wspólną przemienia na ziarno żywotnie i wsiewa je w społeczeństwa chrześcijańskie; wsiewał, dopomagał by schodziły, otulał sam i ogrzewał.

W każdym kraju i narodzie radby był taką organizacyę nową ustroju większego Kościoła widzieć, nietylko schodzącą, ale dojrzewającą.

Socyalistyczny dziennik *L'aurore* w artykule po zgonie papieża, tak określa tę działalność Leona XIII:

„Wpływ jego myśli, potęga jego woli dawały się odczuć nieledwie w najdrobniejszych sprawach socyalnego organizmu. On był nie tylko głową pewnego wyznania, lecz przez licznych swych zwolenników w sutannie i bez niej, opanował, objął i pokierował powoli wszystkiemi czynnościami prywatnemi, zamieniając je na publiczne".

Dążył do wskrzeszenia teokracyi wieków średnich.

Dopowiedzmy słowami myśliciela:

„Działalność katolicka zachowa na długo, może przez wieki kierunek, który jej dał ten wielki, gasnący papież. Wieczna sława papieża Leona XIII w historyi na tem polegać będzie, że to zrozumiał a zrozumiawszy wprowadził w czyn i użył wszelkich środków, by przyspieszyć i przygotować urzeczywistnienie ideału, o którym słusznie można powiedzieć, że się upowszechnia, skoro w przyszłości potrzebuje tylko czasu do swego zrealizowania. Tego najwięcej brak dumnym zamiarom świata, najmniej zaś Kościołowi Bożemu".

I tu ów pochód Kościoła ku ludom otwiera Leon XIII encykliką *rerum novarum.*

Nie to w niej jest siłą wielką.

Punctum saliens tej *charta magna* nowej oryentacyi nie w tem tkwi, iż papież omawia różne obowiązki, nie w tem, iż tej czy owej kwestyi ekonomicznej dotyka; ale w tem przedewszystkiem, że w imieniu Kościoła staje się rzecznikiem uciśnionym, że po niesprawiedliwościach, po królującej fałszywej wolności on woła teraz: „oddajcie sprawiedliwość uciśnionym".

Pomijać ów ton przewodni, znaczyłoby nie tylko obniżać poziom encykliki, ale wprost byłoby to tyle, co fałszować jej ducha.

Nowy prąd potrzebuje nazwy.

Nazwa gotowa była, ale nieraz zdyskredytowana, nieraz nieufność budząca.

Papież tę nazwę jednak przyjmuje, a raczej dla nowego prądu ją stwarza: nazwa to znana — demokracyi chrześcijańskiej.

Dla nazwy potrzeba jest znowu dobrej definicyi.

I oto w encyklice o demokracyi chrześcijańskiej filozof socyalny i organizator z całą subtelnością i ścisłością wykuwa definicyę demokracyi chrześcijańskiej, broniąc jej określenia nie tylko od fałszu socyalnego, ale i od wszelakiej naleciałości niepotrzebnej albo skrajności szkodliwej.

A to dzieło ustawodawcze nowego kierunku przeprowadza Leon XIII zaraz w czyn.

Oto są kontury idei Leonowej; do niej przyszłość należy.

A należy niezawodnie; idea ta tak jasno skrystalizowana, tak konsekwentnie wprowadzona w życie, prócz żywotności własnej, zadatek ma życia z podwójnej strony. Pod opieką staje przedewszystkiem wielkiego dziejowego prądu.

Już na początku tego stulecia, rzecznikiem tego prądu w stosunku do Kościoła był taki St. Simon, który w *Nouveau christianisme* tak się odzywa:

„Prawdziwe chrześcijaństwo musi się starać także o ziemską, a nie tylko o niebieską szczęśliwość człowieka. Zadaniem papieża jest zorganizować ludzi według zasad moralnych Zbawiciela Nie wystarczy pouczać tylko wiernych o tem, że i ubodzy są dziećmi Boga; Kościół wojujący musi bezwzględnie używać wszelkich sił i środków, by polepszyć prędko moralną i fizyczną dolę klasy, która najwięcej członków liczy".

Nie mówię już o uczniu jego, naszym Mickiewiczu, który, rzecby można, zgrzeszył miłością, miłością właśnie idei chrześcijańskiej demokracyi, której nie mogąc się doczekać przez usta głównego papieża, począł się zżymać i szarpać i targać.

Po tych aspiracyach ku demokracyi chrześcijańskiej bardzo uczuciowych nastąpiły już czyny inicyowane przez takich przesłańców demokratycznej idei jak Kepplera, Manninga i innych.

Czyż podobna, pytam, silny prąd dziejów, utkany z pragnień, przewidzeń, bólów i tęsknoty i czynów nareszcie zawrócić z drogi wtedy, kiedy właśnie upragnione hasło usłyszał i ze źródłem swej siły, Kościołem, zetknął się i zespolił?

Albo czy podobna pomyśleć, by ziarno idei Leonowej raz wnętrznościami wieku osłonięte, dało się z tej stalowej opony oderwać i na wiotkie wiatry rozrzucić?

Potrzeba Kościoła będzie drugim stróżem, który na tej samej idei ukształtowany będzie czuwał i w następcach Leonowych jej strzegł.

W pozgonnym artykule, poświęconym Leonowi XIII, pięknie powiada Brunetière: „Akcya Kościoła na przemiany intel-

lektualna lub polityczna, według tego, jak jest Kościołowi potrzebna, stanie się socyalną bo taka jest potrzebna Kościołowi, jak Kościół potrzebny demokracyi".

* * *

W tem miejscu należy się choć najprzelotniejsze przyjrzenie i naszym stosunkom.

I u nas myśl socyalną papieża w ciało przyoblekł niezapomniany O. Badeni.

On ją rozbudził, na niebezpieczeństwo socyalne pierwszy wskazał i w surmy uderzył, by umysły śpiące pobudzić, wahające się naprzód popchnąć, a chętne skierować.

Po jego zejściu opadł pierwszy zapał i zbrakło może jeszcze na powolnym przechodzie do stadyum pracy socyalnej, w której popędy gorące pracą realną się utrwalają.

Dziś jednak padły pożądane hasła i to z góry; tak piękny list pasterski o kwestyi socyalnej N. ks. metropolity lwowskiego, a obok niego uchwały synodu przemyskiego są dla nas zapowiedzią, że idziemy ku trwałej organizacyi socyalnej.

W ogólnym zaś stosunku Polski do zgasłego Papieża da się zauważyć u nas wielka ewolucya pojęć.

Piusa IX kochało się poza papiestwem, czasem bodaj czy nie przeciw papiestwu.

Za Leona XIII uczyliśmy i nauczyliśmy się cenić misye papiestwa do nas jako takiego.

I dziś trzyma się Polska silniej i serdeczniej Rzymu w chwili zgonu papieża, który ją darzył pieczołowitą sprawiedliwością, aniżeli to było za Piusa, u którego Polska miała wyłączny na miłość przywilej.

I jakże to uniezależnienie do pewnego stopnia związku z Rzymem od osoby rządzącej jest pożądane w społeczeństwie ewolucyi!

Dawniej dość było cierpienia swe okazać, by te stanęły za program akcyi pontyfikatu. Dzisiaj nie tylko stosunek Polski

do Rzymu, ale i Rzymu do Polski będzie się mierzył miarą zasługi, stopniem czucia, jakie się z Rzymem będzie utrzymywać i wierności dla oryentacyi, jakie płynąć stamtąd będą.

* * *

Jako *epitaphium* tego szkicu postawię już tylko krótkie słowo: Myśl Leonowa nie zginie. Raczej ze śmiercią jego tylko pełniej żyć rozpocznie; do jej królestwa należą stulecia.

Ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz.

LIGA ANTYPOJEDYNKOWA.

Pisać dziś o moralnej wartości pojędynku jest już prawie anachronizmem. Każdy rozumny człowiek, jak zgodzi się na to, że pojedynek sprzeciwia się prawu przyrodzonemu i kościelnemu, tak też uzna bez trudności, że nie daje on wymaganego zadośćuczynienia, owszem aż zbyt często do jednego zła drugie dołącza. Jak tedy tłumaczyć sobie fakt, że mimo tylu ewolucyj, którym w ciągu wieków uległ rodzaj ludzki, a które takie w świecie wywołały przeobrażenia, że mimo to pojedynek nie zniknął z pośród społeczeństwa? Wiele bezwątpienia pierwiastków złożyło się na tę anomalię. Pomijając tu nieliczenie się z prawami kościelnemi i państwowemi i inne bardziej wyjątkowe okoliczności, dwom głównie przyczynom trzeba, zdaje się, przypisać dotychczasową żywotność pojedynku. Jedna tkwi w społeczeństwie, druga w ustroju państwa.

Pierwsza to ów stary, odwieczny przesąd ogółu, widzącego w pojedynku jedyny nieraz sposób obrony czci, uznającego za bohatera tego, który z bronią w ręku dochodzi swej krzywdy na nieprzyjacielu, piętnującego znamieniem hańby tego, który przeciwko takiemu uprzedzeniu występuje do walki z otwartą przyłbicą, choćby to nawet w imię wyższych zasad i idei czynił. Tej „królowej-opinii“ nie każdy sprzeciwić się potrafi, bo większej z pewnością potrzeba odwagi, by walczyć przeciwko przestarzałemu i nierozumnemu poglądowi i wbrew

niemu działać, niż nastawić swą pierś na kulę lub szpadę przeciwnika.

Drugiej przyczyny szukać należy w ustroju państwa. Państwo o tyle w tym względzie zawiniło, że tej fałszywej publicznej opinii nie przeciwstawiło równoważącego wymiaru kary za zbrodnię zakazanego paragrafami pojedynku, przeciwnie, objawiło dla niego pewne pobłażanie, które między innemi pokazuje się np. w ułaskawianiu winowajcy tam nawet, gdzie surowa kara była zupełnie wskazana i na miejscu. Państwo poszło jeszcze dalej. Niektóre warstwy społeczeństwa zmusza ono do przyjęcia lub wydania pojedynku i o ile pobłażliwem jest w karaniu za pojedynek, o tyle surowem w karaniu za niewydanie lub nieprzyjęcie tegoż. Ten moment zaważył bardzo wiele w kwestyi pojedynkowej, nie każdy bowiem zechce się narazić na pogardę i na utratę stanowiska, choćby ta pogarda i ta utrata stanowiska spaść miały na niego dla zasady rozumnej, zdrowej i prawdziwej.

Jeżeli tak państwo nie stawia pojedynkowi zapory, to znowu z drugiej strony nie wystarczająco broni tych, których okoliczności same w objęcia pojedynku pchają. Pojedynek wydaje się z powodu obrazy honoru, otóż ten obrażony honor nie znajduje dostatecznej obrony w dzisiejszem sądownictwie. Karą, jaką sądy za obrazę czci nakładają, jest wprawdzie areszt, lecz areszt ten zamienia się często na karę pieniężną [1], która nie daje wystarczającego zadośćuczynienia za wyrządzoną na honorze krzywdę, tembardziej, że zamienia się tę karę zwykle dla sfer inteligentnych [2], które tym sposobem mniej ją odczuwają, a areszt nakłada się prawie wyłącznie tym warstwom, które

[1] W r. 1895 zasądzono w Austryi za obrazę czci 67.502, z tych skazano na karę pieniężną 19.968; w r. 1896 zasądzono 70.664, na karę pieniężną skazano 21.468, zatem w obu wypadkach niespełna jednę trzecią. W wielkich jednak miastach, które tu główną odgrywają rolę, rzecz się zmienia. Z 3.109 zasądzonych we Wiedniu w 1895 skazano na karę pieniężną 2.046, a z 3.275 w r. 1896 skazano na grzywny 2.112. Cfr. Lammasch: *Referat über die Frage, welche strafrechtlichen und strafprocessualen Änderungen zum Zwecke eines erhöhten Schutzes der Ehre wünschenswert sind.* Str. 5.

[2] Lammasch, l. c. str. 5.

w sprawie pojedynku bynajmniej w grę nie wchodzą; a przecież taki występek, jak potwarz, zabijająca często moralnie poszkodowanego, na więzienie chyba zasługuje. Mimo to i kary pieniężnej unika często obrażający, gdyż obraza w cztery oczy lub wobec jednego tylko świadka, nie podpada pod paragrafy sądowe, lecz policyi; dochodzenie zaś policyjne zadośćuczynienia dać nie może.

Braki te sądownictwa ujawniają się jeszcze więcej, gdy uwzględnimy osoby sędziów. Jeżeli ktoś został obrażony w jakiemś piśmie, sprawę sądzą przysięgli, w innym wypadku pojedynczy powiatowi sędziowie. W jednym i drugim razie sądownictwo nie daje dostatecznej satysfakcyi. Sędziowie przysięgli nie raz jeden będą się powodować prądami opinii; wpływają na nich poglądy i zapatrywania partyjne; często też brak im doświadczenia, pewnej bystrości sądu, koniecznej do dobrej oceny zaległej sprawy, taktu albo i powagi — to wszystko w poszkodowanych nie wzbudza zaufania do sądów przysięgłych, niechętnie im też swoje interesa powierzają. Stwierdza to aż zanadto codzienne doświadczenie, tembardziej, że sądy te dla pewnych osobistości są miejscami, gdzie się na jaw wyciąga wszystkie brudy z przeszłości. Niektóre z tych trudności nie pozwalają i sędziom powiatowym w mniejszych miejscowościach na takie osądzenie sprawy, któreby poszkodowanemu dało zupełną satysfakcyę. Tak więc obrażonego do pojedynku pchają z jednej strony zakorzenione przesądy społeczeństwa, z drugiej strony państwa niewystarczająco go chronią, nic więc dziwnego, że smutne zjawisko nie ustaje.

A przecież bez pojedynku można się bardzo dobrze obejść. Świadkiem tego Anglia, ten najwyżej dziś kulturalnie stojący kraj, gdzie lud doszedł do tego zdrowego przekonania, że obraza nie ujmuje czci obrażonemu, lecz na obrażającego spada, skutkiem czego pojedynek należy tam obecnie do wspomnień historycznych.

Nic też dziwnego, że nastąpiła wreszcie reakcya. Przygotowywała się ona od dawna, ostatnimi jednak dopiero czasy zaważyła na szali wypadków. We Francyi można zauważyć

zmniejszanie się liczby pojedynków już od r. 1830[1], a w 1895 usłyszała izba deputowanych rzucone w parlamencie słowa: „pojedynek jest zdyskredytowany". Dlatego mógł więc historyk pojedynku, Mérignac, napisać: „mordowano się długo z zaciętością, później z umiarkowaniem, potem z ostrożnością, by wreszcie, jeśli to jest możliwem, nie mordować się wcale". W Anglii zniesiono pojedynek w przeciągu niespełna dwunastu miesięcy[2], gdy w r. 1843 oficer Monro zastrzelił swego szwagra, pułkownika Fawcetta, ale walka przeciwko pojedynkowi datuje się tam już od Jakóba I i od sławnego dekretu *Star Chamber decree* z r. 1614. W Rosyi i w Niemczech starają się przynajmniej w armii pojedynkom, o ile się da, zapobiedz; w Skandynawii nie ma od dziś żadnego znaczenia.

Obfitszy w następstwa ruch przeciwpojedynkowy w naszych czasach wywołały niektóre fakta, które niemoralność i nierozumność pojedynku w całej przedstawiły ohydzie i nagości, a nie małą w tej kwestyi rolę odegrała głośna przed trzema laty sprawa Tacoli'ego i Ledóchowskiego. Fakt, że dwóch utalentowanych, wybitnych oficerów dla stałego i niezłomnego trzymania się zasad uznanego w Austryi Kościoła, sąd honorowy tak bezwzględnie ukarał, oburzył wszystkich lepiej myślących i otworzył im oczy.

Pierwszy, który na większą skalę podjął walkę przeciwko pojedynkowi, był infant hiszpański, Don Alfonso de Bourbon; jemu też zawdzięczamy powstanie ligi antypojedynkowej we Francyi. Lidze tej nie można było odmówić większego znaczenia, gdyż naprzód można było przewidzieć, że przykład pochodzący z Francyi, jak działał wiele w złem, tak i w dobrem wiele zdziałać potrafi. Tego przekonania był też sam książę. W liście do Józefa du Bourg, którego obrał za krzewiciela swych zasad we Francyi, wyraził zdanie, że liga taka musi się przyjąć, byleby tylko na jej czele stanęli ludzie wpływowi

[1] Bourelly: *Le duel et l'escrime dans l'armée en France et à l'Étranger*, w *Correspondant* z r. 1900. Str. 333.

[2] Sigismund Freiherr v. Bischoffshausen: *Zur Anti-Duell-Bewegung in Österreich* w *Historisch-politische Blätter* z r. 1901. Str. 33.

sie rewolucyi[1], podobnie jak i sądy honorowe wysokiej szlachty niemieckiej w Austryi, na Szlązku i na Łużycach. W ostatnich dopiero latach, bo w r. 1890 ukonstytuowały się na nowo te sądy w stowarzyszeniu katolickiej szlachty w Monasterze, a w 1896 w *deutsche Adelsgenossenschaft.*

Sądy honorowe, jakie dzisiaj znachodzą się w kołach studenckich lub oficerskich, nie wchodzą tu w grę. Pierwsze chcą wprawdzie ograniczyć pojedynki do rzeczywiście ważnych wypadków, ale przez to samo, choć zmniejszają ich liczbę, zostawiają im ich pierwotną aureolę; drugie wydają jedynie o tem swój sąd, czy zachowanie się jakiegoś oficera jest takie, że bez ujmy dla swej czci i swego stanu może nadal pozostać na zajmowanem stanowisku, może się więc łatwo wydarzyć i niestety wydarza się nieraz, że w niewydaniu lub nieprzyjęciu pojedynku sąd uzna nie licujące z godnością stanu postępowanie.

W organizowaniu swych sądów honorowych wychodzi liga z tego założenia, że nie wiele można się spodziewać po sądach, noszących zbyt oficyalne znamię, że członkowie nie mogą występować w charakterze policyantów lub urzędników państwowych, że przeciwnie mają one być ściśle sądami obywatelskimi; o ile zaś poważniejsze będą czynniki, w skład sądu wchodzące, o tyle pewniejszym będzie skutek, gdyż każdy łatwiej zrozumie, że niezależnie od tego, jakie zajmuje stanowisko względem pojedynku, może spokojnie poddać swoją sprawę pod sąd i opinię wybranych obywateli.

Liga nie dąży bynajmniej do zniesienia sądów państwowych, przed których forum należą dzisiaj sprawy o obrazę czci, lecz daje każdemu wolność wyboru między sądami państwowymi a honorowymi. Ponieważ zaś w pojedynku chodzi o zaznaczenie poczucia honoru i godności osobistej i o rehabilitacyę w opinii publicznej, przeto sąd honorowy do tego dążyć będzie, aby obrazę honoru osądził i zasądził, to znaczy, wykaże on obrażającemu, że sobie niehonorowo postąpił i że jego uczynek nie może zaszkodzić obrażonemu, który w oczach człon-

[1] Bourelly l. c. str. 329.

ków sądu, składającego się z ludzi w tej sprawie kompetentnych, jest nieposzlakowanym, a przez to samo w sferach, w których się obraca, ma te same prawa, jakie posiadał przedtem i zasługuje na to samo uszanowanie, jak dawniej. To orzeczenie będzie połączone z różnemi formami zadośćuczynienia: obrażający odwoła, uniewinni się lub przeprosi, a w pewnych cięższych wypadkach sąd sam wyrazi nadto osobno swe niezadowolenie z jego postępku.

Zakres sądu honorowego będzie dość rozległy. Będzie sądził czynne zniewagi, gdyż usunięcie tych z pod jego kompetencyi mogłoby być dla szukającego pojedynku powodem do tychże zniewag, aby tym sposobem sprawy do sądu honorowego nie odsyłać, lecz tem łatwiej do pojedynku doprowadzić; będzie sądził zajścia publiczne i takie, które nie doszły do wiadomości ogółu; będzie sądził wypadki nieprzewidziane prawem i drobniejsze urazy, które mogą nieraz być i są rzeczywiście przyczyną pojedynków; w tym atoli wypadku, jeżeli rzecz jest za mało ważną, sąd to orzeknie i pośrednictwa odmówi.

Instytucya ta będzie czysto prywatną i samodzielną, niezależną od sądownictwa państwowego; to też sędziowie urzędowi, jako sędziowie, nie będą w niej brali udziału. Członkowie sądów będą wybrani we wystarczającej liczbie z pomiędzy mężów zaufania, poważnych, roztropnych, wpływowych, a pochodzących z tych warstw społeczeństwa, z których w danych warunkach zwolennicy pojedynku się rekrutują. Dla ułatwienia zaś sprawy liga do tego zdążać będzie, żeby sądy honorowe, ile możności, równo porozmieszczać, przyczem główną swą uwagę zwróci na wielkie miasta.

Chociaż jednak sądy honorowe będą instytucyą czysto prywatną, nie znaczy to bynajmniej, że nie ma między nimi a państwem być żadnych stosunków. Byłoby rzeczą niesłychanie ważną, żeby państwo je uznało i wspomagało. Od państwa też żąda liga, żeby członkowie sądu honorowego byli wolni od odpowiedzialności przed sądem państwowym za swe wyroki. Ponieważ dalej skarga o obrazę czci musi być wniesiona w przeciągu sześciu tygodni, inaczej staje się przestarzałą, powinnoby

państwo ten termin przedłużyć; może bowiem zajść wypadek, że obrażający zgadza się pozornie na sąd honorowy, później jednak się cofa, a jeżeli termin sześciutygodniowy już upłynął, obrażony nie ma przed sobą wyjścia — wina ujdzie bezkarnie. Państwo powinno również ze swej strony nie pozwolić na sądzenie równoczesne tej samej sprawy przed trybunałem państwowym i honorowym, ani też na powtórne rozpatrywanie sprawy definitywnie już przez jeden sąd załatwionej. Znaczenie sądów wzrosłoby nie mało, gdyby państwo poleciło je swym urzędnikom przynajmniej w tych sprawach, których dla pewnych przyczyn nie można trybunałom rządowym oddać, i gdyby wpłynęło na władze wojskowe, by się przyczyniły do ustanowienia sądów honorowych, składających się z sędziów cywilnych i wojskowych, by tym sposobem i wojsko ich pośrednictwa zawezwać mogło. To ostatnie żądanie, jakkolwiek brzmi śmiało, nie powinno jednak przedstawiać zbytnich trudności; wszak minister obrony krajowej, hr. Welsersheim, wzywając w parlamencie 12 marca 1901 do zwalczania pojedynku, wyrzekł te pamiętne słowa: „niech państwo i społeczeństwo w tej sprawie współdziała, armia z pewnością temu przeciwna nie będzie, owszem powita to przedsięwzięcie i wspomoże je“ [1].

Sprawa wikła się dopiero w przypuszczeniu, że nie każdy zechce się poddać sądowi honorowemu i jego wyrokom; ta też strona kwestyi przedstawia się nie jasno i nie pewnie. Trudno bowiem wymagać od państwa, żeby zmuszało wszystkich do szukania pośrednictwa sądów honorowych, a gdyby się i to nawet udało, sądy straciłyby na swym uroku, stałyby się czemś, coby zdaleka przynajmniej przypominało policyę. Liga postanawia dlatego sądzić sprawy tych tylko osób, które się jej wyrokowi dobrowolnie poddadzą. Żeby jednak wpływać i na tych, którzy nie zechcą się poddać, chce dążyć do zakładania stowarzyszeń, których członkowie zobowiążą się wszelkie sprawy honorowe, jakieby między nimi mogły mieć miejsce, oddać pod sąd honorowy; jeżeli zaś zajdą nieporozumienia między człon-

[1] Późniejsze fakta dziwne jednak rzucają światło na te słowa.

kami i nieczłonkami, członkowie nie dopuszczą pojedynku, lecz będą się starać, żeby i w tym wypadku sąd honorowy sprawę rozpatrzył.

Sam sąd odbędzie się wreszcie prywatnie, nie publicznie, choć ostateczny rezultat wypadnie w niektórych wypadkach ogłosić; dowód prawdy przeprowadzi się o tyle, o ile strona na to się zgodzi, tym bowiem sposobem zapobieży się wyjawianiu nieznanych dotąd słabości czy błędów. Od wyroku nie będzie apelacyi, a jest bardzo do życzenia, żeby państwo swoją powagą wpłynęło na świadków, by przed sądem stanęli i świadectwo złożyli.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach organizacya sądów honorowych ligi. Nie można zaprzeczyć, że są one dobrze i psychologicznie obmyślane; w tej drażliwej kwestyi czci osobistej do tego dążą, by nietylko jej nigdzie nie urazić, ale by nawet nie dać pozoru choć jakiegoś lekceważenia; tak skrupulatnie liczą się ze słabościami ludzkiemi, że dla osądzenia jakiejś sprawy nie wolno nawet wybrać członków jakkolwiek spokrewnionych ze stronami. Mają one większe prawdopodobieństwo otrzymania dodatnich wyników, niż sądy państwowe, ponieważ i zakres ich jest szerszy, i charakter ich prywatny i wyrok nie będzie z pewnymi, koniecznymi wyjątkami, publiczny i zadośćuczynienie pełniejsze, tembardziej, że członkowie zobowiążą się słowem do milczenia. Pojawia się w nich pewna rycerskość, a jeżeli w ich tworzeniu i działalności będą zachowywane wiernie statuty, można żywić słuszną nadzieję, że wzbudzą one zaufanie, że konsekwentnie przyczynią się do częściowego, a gdzieś w dalekiej przyszłości, i do całkowitego może usunięcia pojedynku.

W dalekiej przyszłości! Nie trzeba się bowiem łudzić i pod tym względem liga sama nie przypuszcza, że sądy te wkrótce i kategorycznie cel swój osiągną. Liga i jej sądy odnoszą się na pierwszem miejscu do dobrej woli, lecz czy w kołach, w których dzisiaj pojedynek jest jedyną formą zadośćuczynienia, znajdzie się ta dobra wola? Czy wiekami utarte przesądy pozwolą na rozwinięcie się i zwycięstwo tej dobrej woli? Czy nie

zabraknie jej właśnie wtedy, gdy wbrew staremu zwyczajowi wypadnie zmienić postępowanie? Czyż nie będzie to dla niejednego zbyt wielką ofiarą, uczynioną z dumy i fałszywie pojętego honoru, zrobić pierwszy krok i zamiast chwycić za broń, wezwać pośrednictwa ligi, narażając się na zarzut, że czyni się to nie dla zasady, ale poprostu z obawy i strachu przed kulą lub szablą? Liga sama prawdopodobnie zadaniu swemu nie podoła, lecz musi oglądnąć się za pomocą. Poparcie to powinno jej przyjść ze strony społeczeństwa, które w wielkiej części w tej kwestyi nie mało zawiniło.

Czegoż więc możnaby żądać i spodziewać się po społeczeństwie? Rzeczą nader pożyteczną i pomocną będzie tworzenie lig drugorzędnych, krajowych czy lokalnych. To też z radością musimy powitać wiadomość, że w pierwszych dniach października b. r. zawiązała się taka „Liga dla ochrony czci“ w naszym kraju. Nawiązuje ona do pięknych tradycyi, bo do otwartej walki przeciwko pojedynkowi ze strony generała Franciszka Morawskiego, a na jej czele stanęli mężowie, którzy rokują dla ligi wielkie nadzieje. Zapisywaniem się do ligi nietylko przysporzy się jej członków, ale zarazem rozszerzy jej wpływy i sfery jej działania, szczególniej, jeżeli młodzież koło niej zszeregować się zechce.

Wielką, bo kto wie, czy nie najwięcej decydującą rolę, odegra w tej piekącej sprawie prasa i znowu Galicya może się poszczycić pierwszorzędnym rezultatem, gdyż 17 października uchwalił „Wydział Towarzystwa Dziennikarzy polskich“ przystąpić korporacyjnie do ligi, a nadto odnieść się do wszystkich członków Towarzystwa z prośbą o przystąpienie do tejże. To gromadne przystąpienie może być bogate w zbawienne następstwa. Prasa urabia opinię; jeżeli ona wypowie walkę pojedynkowi, jeżeli nie słowa uznania, ani krótką kronikarską notatkę, ale słowa potępienia poświęci jakiemuś odbytemu pojedynkowi, jeżeli będzie uświadamiać jakimkolwiek sposobem społeczeństwo o zgubnych pojedynku skutkach, odda wielką przysługę nietylko lidze, lecz społeczeństwu całemu.

Między czynnikami, decydującymi wreszcie o przyszłych

losach ligi, nie możemy pominąć milczeniem i kobiety. Wpływ jej w dobrem i złem był zawsze wielki, to też sfera jej działania nie mało zaważyć może na szalach tej całej walki. Jeżeli słowem i czynem pokaże, że dla pojedynku ma jedynie wyrazy potępienia, jeżeli wpoi w towarzystwo społeczne przekonanie, że nie można jej większej wyrządzić zniewagi, jak chwytając za broń w obronie jej czci, jeżeli nie okaże, choć to u nas, Bogu dzięki, rzadko się zdarza, że schlebia jej próżności, gdy będzie pośrednią lub bezpośrednią przyczyną pojedynku, jeżeli zamknie swe salony przed pojedynkowiczami, których postępowanie na wszystko najczęściej, tylko nie na uszanowanie zasługuje, jeżeli wykluczy ze stosunków towarzyskich ludzi w gruncie rzeczy na utrzymywanie takich stosunków nie zasługujących, to bez wątpienia w znacznej mierze przyczyni się do radykalnego wytępienia tej hańby naszego stulecia.

Zadziwi to pewnie niejednego, że mówiąc o czynnikach, które mogą się przyczynić do zniesienia pojedynku, nie wspomnieliśmy nic o Kościele. Stanowisko Kościoła względem pojedynku jest jasne i ściśle określone. Jeżeli jednak duchowieństwo nie weźmie w lidze bezpośredniego udziału, uczyni to dlatego jedynie, aby nie zrażać do ligi tych, którzy wpływowi Kościoła niechętnie się poddają.

Ks. Wiktor Wiecki.

i wybitni znaczeniem lub zasługą. Istotnie za staraniami p. du Bourg ukonstytuował się 10 marca 1901 r. komitet centralny w Paryżu, liczący w swem gronie dużo poważnych osobistości. W krótkim czasie wiele miast francuskich posiadało swoje komitety drugorzędne, a do względnie szybkiego rozrostu ligi przyczyniła się nie mało okoliczność, że wielu wojskowych z ligą się solidaryzowało i do niej wstęp swój zgłaszało [1]. Liga rozszerzyła się dziś na Niemcy dzięki energicznej inicyatywie księcia Karola Löwensteina, na Włochy i Węgry (Wielki Waradyn), zapuściła swe korzenie do Hiszpanii i Rosyi, a w dniu 4 grudnia 1902 r. powstała we Wiedniu „Generalna liga antypojedynkowa dla Austryi"; znalazła ona przygotowany teren przez zwołane w tym samym celu zgromadzenie z dnia 6 grudnia 1901. Że liga ta jest bardzo na czasie i odpowiada wewnętrznym pragnieniom ogółu, dowodzi choćby lista członków, znajdujemy bowiem między nimi ludzi, zajmujących pierwsze w państwie stanowiska i przodujących znaczeniem i nauką.

Jakiż jest jednak bliższy cel tej ligi i jakiemi drogami do niego dążyć, a raczej dojść pragnie?

Celem ligi, jak sama już jej nazwa wskazuje, jest walka z pojedynkiem, a środki do tego celu wiodące zawiera w sobie paragraf drugi statutu. Odnośnie do dwóch wyżej wspomnianych przyczyn, dla których pojedynek dziś jeszcze w pewnych kołach ma wielkie znaczenie, podwójnym sposobem chce go zwalczać liga: teoretycznie i praktycznie. Pierwszy rodzaj walki ma się zwrócić przeciwko ustalonym a fałszywym przesądom społeczeństwa, drugi przeciwko brakom, jakie w tym względzie znachodzą się w ustawodawstwie nowożytnych państw; oba jednak te sposoby mają na siebie nawzajem oddziaływać i barbarzyńskiemu zabytkowi minionych wieków, choć może w dalekiej dopiero przyszłości, kres położyć.

Początkowym więc na drodze zwalczania pojedynku krokiem będzie uświadamianie społeczeństwa o moralnej jego wartości; do tego posłużą zgromadzenia, odczyty, ogłaszanie dru-

[1] *Przegląd Powszechny*, r. 1901, t. LXX. str. 297.

kiem broszur i pism do tej sprawy się odnoszących. Sposób ten nie przedstawia zbytnich trudności, i jeżeli tylko ta akcya będzie prowadzona systematycznie, konsekwentnie i wytrwale, będzie się mogła u ludzi obracających się wprawdzie we więzach długowiekowego przesądu, lecz posiadających choćby odrobinę dobrej woli, poszczycić pewnymi rezultatami, gdyż opinii przeciwstawi opinię, a nie będzie tak trudno wykazać, że za tą drugą opinią przemawia prawo przyrodzone, prawo kościelne, a co u wielu najważniejsza, i prawo zdrowego rozumu. Jeżeli zaś te poglądy podzielą sfery decydujące i miarodajne, nic już ich szerzeniu się w społeczeństwie nie stanie na przeszkodzie.

Na większe za to trudności napotka zastosowanie drugiego środka. Tu oczekuje ligę podwójne zadanie. Z jednej strony będzie musiała dążyć do wywołania pewnych i to nawet dość gruntownych zmian w ustroju dzisiejszego sądownictwa, z drugiej znowu zamiast pojedynku wymyśleć inny jakiś środek, któryby obrażonemu dał to samo zadośćuczynienie, jakie w opinii publicznej dotąd dawał wyłącznie pojedynek.

O cóż więc chodzi w pierwszym wypadku? Nadmieniliśmy powyżej, że aktualne sądownictwo nie daje przynajmniej zwykle dostatecznego zadośćuczynienia za obrazę honoru; te braki potrzeba uzupełnić. Nie myślimy się tu zagłębiać w czysto prawniczą kwestyę[1], dlatego w streszczeniu tylko podajemy wywody gruntowego referatu profesora Lammascha:

1. Kara pieniężna jako ekspiacya za cięższą obrazę czci nie wystarcza; przeciwnie, powinnyby istnieć areszty celkowe dla winnych obrazy honoru, jak długo ich jednak mieć nie będziemy, tak długo kary pieniężnej znieść nie można. Dobrowolne za to oszczerstwo zasługuje bezwzględnie na więzienie nawet dłuższe, w pewnych zaś wypadkach możnaby nadto pozbawić winowajcę niektórych przywilejów, jak np. prawa głosowania. Gdyby znów kto był obrażony czy to w jakiemś piśmie,

[1] Artykuł socyologa-prawnika w tej sprawie zamieści *Przegląd* w niedalekiej przyszłości.

czy też na publicznem zgromadzeniu, wyrok zasądzający powinien być ogłoszony w gazetach [1].

2. Ukaranym ma być także ten, który drugiego obraził nie publicznie i wobec mniejszej nawet liczby świadków; tak samo na karę zasługuje ten, kto zarzucił drugiemu, że pojedynku nie wydał lub nie przyjął [2].

3. Skargi o obrazę honoru nie powinny podpadać pod kompentencyę sądów przysięgłych; przeciwnie życzyćby wypadało, by sądzili je sędziowie pojedynczy, wyżej ukwalifikowani, a więc cieszący się większem zaufaniem i poważaniem, np. sędziowie powiatowi w siedzibie sądu kolegialnego pierwszej instancyi, lub by na życzenie poszkodowanego utworzono sąd ławniczy, składający się z sędziego zawodowego i dwóch ławników. Publiczny zaś dowód prawdy, czyli dowód, w którym oskarżony chce wykazać słuszność swego zarzutu, na życzenie oskarżyciela powinien być pominięty, chyba że sama obraza była publiczną [3].

Nieprawnikowi postulata te wydają się rozumne i umiarkowane; łatwo też wyrozumieć, że zmniejszyłaby się ilość występków przeciwko czci, a tem samem i liczba pojedynków, gdyby dały się przeprowadzić. Wystarczy tu na trzy tylko rzeczy zwrócić uwagę. Ile razy sąd przysięgłych sądzi jakąś sprawę honorową, kończy się ona prawie z zasady uwolnieniem oskarżonego, ta jednak okoliczność wielkiego zaufania do tych sądów wzbudzić nie potrafi. Z drugiej znów strony każdorazowe publiczne przeprowadzanie dowodu prawdy jest okazyą do wyciągania różnych brudów z przeszłości, stąd i ono od sądów odciąga; nieprzeprowadzanie zaś jego, jak się to np. we Francyi częściowo dzieje, nie daje rehabilitacyi; dlatego we Francyi w takim wypadku raczej i chętniej do pojedynku się uciekają. Ileby wreszcie przymusowe więzienie za grubsze wykroczenia przeciwko czci wpłynęło na zmniejszenie liczby wykroczeń w tym względzie, dość łatwem do przewidzenia.

---

[1] Lammasch l. c. str. 9. [2] Lammasch l. c. str. 13. [3] Lammasch l. c. str. 21 sq. i 18.

W zastosowaniu jednak tych postulatów dopiero występują najrozmaitsze trudności. Jest wielką kwestyą, czy państwo, od którego ostatecznie wszystko zależy, zgodzi się na tak głęboko sięgające zmiany, które się łatwo bynajmniej uskutecznić nie dadzą. W zaprowadzeniu systemu celkowego więzień p. Lammasch nie widzi nieprzezwyciężonych trudności, inni za to słuszniej nazywają ten postulat „pobożnem życzeniem“, słuszniej, jeżeli się uwzględni niebywale wielką ilość procesów honorowych[1]. Zresztą możnaby wątpić, czy zastosowanie tego systemu dałoby pożądane i oczekiwane rezultaty. Te same przeszkody napotka również projekt, dotyczący zmiany sędziów. Wystarczy tu wspomnieć tylko o tem, że od powagi, taktu, wpływu, znaczenia i zachowania się sędziego w tej kwestyi wszystko zależy — to jednak, jak każdy widzi, tyle przedstawia do urzeczywistnienia trudności!

Twórcy ligi antypojedynkowej dobrze zdawali sobie sprawę z tego stanu rzeczy, dlatego też główny nacisk kładą oni na wynalezienie i ustalenie innego środka, któryby obrażonemu dał to samo zadośćuczynienie, jakie mu dotychczas w opinii ludzkiej dawał pojedynek, a któryby od władzy państwowej był o tyle tylko zależny, o ileby go ona popierała. Takim środkiem mają być sądy honorowe.

Dążności do ustanowienia sądów honorowych pojawiały się od czasu do czasu w historyi. Pewną rolę odegrały tu zorganizowane ostatecznie w 1643 r. francuskie *tribunaux du point d'honneur*, których celem było nie sądzić, lecz uprzedzać pojedynki. Obrażający musiał dać zadośćuczynienie obrażonemu, nadto nakładano na niego czasami kary pieniężne lub więzienne, a nawet i banicyę; karano dotkliwie i tych, którzy na wezwanie nie stawili się. Instytucya ta przestała istnieć w cza-

[1] W r. 1895 sądzono w Austryi 337.768 spraw honorowych; w 1896: 346.105; w 1897: 344.467; w 1900: 366.249. Szczególniej niekorzystnie przedstawia się ta sprawa u nas i tak sądzono: W Kołomyi w 1895: 12.708; w 1896: 12.429; w Przemyślu: 14.914 i 17.159; w Samborze: 27.901 i 25.165; w Stanisławowie: 20.178 i 19.389; w Tarnopolu: 17.249 i 18.453. Lammasch l. c. str. 15 i 16.

KONKURS „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

W całym świecie katolickim rozpoczęły się na szerokie rozmiary przygotowania do wielkiej uroczystości ku czci Matki Bożej. Dnia 8 grudnia 1904 r. upływa 50 lat od chwili, w której ogłoszonym został dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi.

Charakterystycznem znamieniem tych przygotowań, tak zagranicą, jak u nas, jest to, że bynajmniej nie zacieśniają się one do jednostkowego objawu czci religijnej, ale chcą nadto zostawić trwały ślad w różnych kierunkach życia publicznego, w życiu społecznem, w nauce i t. d.

W tym duchu, chciałaby Redakcya *Przeglądu Powszechnego,* do obchodu tej uroczystej chwili, w swoim zakresie, przyczynić się. Chcielibyśmy spowodować ogłoszeniem konkursu literackiego, ażeby nowa a trwała pamiątka czci Matki Bożej w naszym kraju, czci w narodzie tak powszechnej i z tyloma faktami dziejowymi związanej, pozostała, z okazyi tej uroczystości, w skarbcu naszej literatury.

Pewne powody przemawiają za tem, aby z różnych dziedzin twórczości umysłowej, wybrać ku temu celowi dziedzinę literatury pięknej. Będzie to przedłużeniem tej wielkiej tradycyi naszego piśmiennictwa, która zaczyna się pierwszym zabytkiem naszym „Bogurodzicą", przesnuwa się jak nić złota przez wszystkie epoki, przez utwory największych naszych mistrzów, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza (epos obrony Jasnogórskiej tak silnie odnowiła w pamięci ogółu obecna rocznica Kordeckiego), aż po najnowsze czasy, przez utwory Rydla i Wyspiańskiego.

W zakresie literatury pięknej nie zacieśniamy się naszym konkursem do żadnego określonego rodzaju, przyjmujemy wszystkie rodzaje i formy tak zwanej belletrystyki, czy będzie to rodzaj powieściowy, czy utwór poetyczny, czy dramatyczny.

Treścią tego utworu, albo przynajmniej głównym jego motywem, ma być temat związany z postacią Najświętszej Panny a związany jakkolwiek, czy z Jej życiem, działalnością, znaczeniem, czy z Jej wpływem na losy Kościoła, narodów i jednostek, czy z objawami Jej kultu... i t. d.

Prócz talentu, który jest rozstrzygającym warunkiem, stawiamy drugi, niezbędny, z samej natury tematu już płynący, warunek: zgodność w pojęciach i uczuciach z zasadami katolicyzmu.

Co do rozmiarów, wymaganą przez konkurs granicę stanowi pół arkusza druku (288 wierszy druku). Granicę wyższą zostawiamy do woli autorów, ażeby nie krępować twórczości.

Nagrody konkursu są dwie: najlepszy utwór otrzyma w nagrodę 1000 koron, następny pod względem wartości 500 koron. Pozostające wybitne utwory zostaną chlubną wzmianką odznaczone.

W wypadkach, tenorem niniejszym nieokreślonych, rozstrzygnięcie zależy od sądu konkursowego.

Redakcya zastrzega sobie prawo pierwszego druku utworów nagrodzonych i odznaczonych, za co zapłaci autorom zwykłe swoje honoraryum.

Sąd konkursowy składają PP: Julian Klaczko, Kazimierz Morawski, Józef Kallenbach, Antoni Mazanowski i ks. Jan Pawelski T. J. Gdyby się okazało, że liczbę członków sądu należy powiększyć, uczyni to Redakcya *Przeglądu Powszechnego* w porozumieniu z członkami sądu konkursowego.

Czas konkursu kończy się z dniem 15 września 1904 roku. Wynik będzie ogłoszony w pierwszych dniach grudnia 1904 r., w grudniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego.*

Rękopisy zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą temże godłem naznaczoną, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcya *Przeglądu Powszechnego*, Kraków, Grodzka 43.

Wszystkie pisma uprzejmie upraszamy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Redakcya „Przeglądu Powszechnego“.

DOKTRYNA ETYCZNA Z OBOZU WSZECHPOLSKIEGO.

Chwila obecna w Polsce, z wielu powodów ważna, pod jednym względem ma pierwszorzędne, daleko sięgające, znaczenie. Oto, w obecnej chwili dokonywa się głęboka przemiana narodowego charakteru. Resztki dawnego typu polskiego znikają z dniem każdym, a nowy typ jeszcze nie powstał. Gdzież dzisiaj szukać postaci, już nie wedle wskazówek „Dworzanina“ Górnickiego, ale choćby zbliżonych do typów „Pana Tadeusza“ — a z drugiej strony, czyż można dziś przeciwstawić tamtym typom, nowy, już skrystalizowany, typ Polski dzisiejszej? Nie jest tak tylko u nas, bo nowoczesne życie rozłożyło dawne wartości w całej Europie, ale u nas, wskutek szczególniejszych warunków, jest to w szczególniejszy sposób.

Chwila taka jest niezwykle ważną, bo od szczęśliwych lub niepomyślnych jej warunków, zależy w wielkiej mierze, dodatni lub ujemny kierunek tegoż charakteru, co za tem idzie, całe życie i cała przyszłość społeczeństwa.

Tworzenie się takiego typu jest przedewszystkiem kwestyą etyczną. Chodzi tu o zbiór przekonań, dążności, o siłę woli, o harmonię władz duszy — jednem słowem, o charakter. Zabarwienie tego typu lokalnymi warunkami stwarza typ narodowy — istotą jednak rzeczy jest typ etyczny.

Typ taki etyczny tworzy się powoli, ale stale. Na tworzenie to wpływają same warunki codziennego życia, główną jednakże rolę odgrywają tu etyczne teorye.

Zbytecznem byłoby uzasadniać ten wpływ teoryi etycznych na urabianie się charakterów. Płynie to już z najgłębszej istoty natury ludzkiej, że człowiek musi mieć jakąś normę działania, i że ta norma, stosowana przez dłuższy czas w życiu, ryje niezatarte swoje ślady w charakterze. Ciekawem jednak, a dla naszej sprawy, jak to poniżej zobaczymy, bardzo objaśniającem jest, obserwować, jak teorye te powstają i jak wpływ wywierają w epokach albo narodach, które albo częściowo, albo całkowicie wykoleiły się z normalnej drogi. Widzi się wtedy, jak same otaczające warunki życia wpływają na powstawanie teoryi etycznych, jak nadają im kierunek i wyciskają na nich znamię bieżącej chwili, i jak następnie te teorye, przy współdziałaniu tychże otaczających warunków, urabiają na swoją modłę całe pokolenia, jak sprawiają, że całe pokolenie przedstawia jeden typ etyczny. Wystarczy w tej mierze rzucić okiem na ostatnią dobę historyi nowoczesnej, w której zaraniu usunięto z gruntu ostateczne podwaliny etyki chrześcijańskiej. Kiedy w całej Europie burzyć się począł ferment nierówności społecznych, opanowuje widownię typ etyczny Rousseau'a, człowiek zniechęcony ciemiężeniem absolutyzmu, a marzący namiętnie o jakimś stanie pierwotnej natury, i jakąś nieokiełznaną wolność i równość stawiający za drogowskaz działania. Kiedy później przycichać zaczęły grzmoty rewolucyi, i rozczarowane, niespełnieniem się wielkich obietnic, umysły owładnął pesymizm, występuje na widownię typ etyczny Schoppenhauera. Ale pesymizm niema przed sobą dalekiej drogi. Prawie też równocześnie począł z poza mgły zapomnienia wychylać się ponury pomnik wieku XVIII; przyćmione na chwilę, łuną wojen napoleońskich i blaskami romantycznej poezyi, filozoficzne teorye Oświecenia, nie wyczerpawszy poprzednio swoich sił rozkładowych, wracają w odmiennej formie do życia, i wtedy to przychodzi na świat słynny typ Comte'a, stworzony przez pozytywizm i kolegujące z nim systemy, ewolucyonizm i eudemonizm, suchy racyonalista, który na ołtarzu ludzkości, podniesionej do godności bóstwa, składa swoje wierzenia i przekonania, wszystkie swoje cele i czyny. A kiedy ta etyka zaczęła na całej linii

zawodzić, gdy doprowadziła do szczytu rozstroju, powstał jako ostatni wyraz tego rozstroju, nowy, tym razem na szczęście nieliczny, typ, znany powszechnie, nadczłowiek Nietzschego. A i dziś, choć wszystkie te doktryny, jako systemy etyczne, upadły, po każdym z nich ślady w poglądach obyczajowych pokutują.

U nas teoryi etycznych namnożyło się w tej epoce wiele. Pomijając przebrzmiałą już etykę ewolucyonizmu i pozytywizmu, którą tak gorliwie szerzyli u nas ongi pozytywiści warszawscy, pomijając słabo wegetującą w Warszawie kulturę etyczną Adlera, pomijając również i etykę Stirnera i Nietzschego, uprawianą przez nielicznych indywidualistów, jak i na przeciwnym biegunie stojącą etykę socyalizmu, obie etyki nie mające przystępu do szerszego ogółu, i wytwory obce, widzimy jak w ostatnich latach na gruncie narodowego charakteru zjawiają się etyczne dążności i teorye Szczepanowskiego, Prusa, Lutosławskiego, i już nie jednostkowe wysiłki, ale praca całego stronnictwa — wszechpolskiego. Sam ten ożywiony na tem polu ruch świadczy między innemi i to, że charakter polski przechodzi przełomową chwilę.

O niektórych z tych objawów pisaliśmy już kiedyindziej, dziś przypatrzymy się etyce wszechpolskiej.

Z etycznemi kwestyami można się było spotkać w wszechpolskich czasopismach nieraz, a w przedstawianiu tych kwestyi tkwiło zawsze to trafne zrozumienie, że kwestya etyczna jest podwaliną całej społecznej i politycznej budowy, że od niej więc rozpocząć budowę trzeba. To też dwa pierwsze dziełka, jakie z tego stronnictwa wyszły, mają głównie etykę przed oczyma. Pierwsze p. Balickiego: „Egoizm narodowy wobec etyki“ [1] należy wyłącznie do dziedziny etyki i tylko tu i ówdzie z zagadnienia etycznego wysnuwa wnioski polityczne i społeczne — drugie „Myśli nowoczesnego Polaka“ p. Romana Dmowskiego [2], zakrojem i celem pracy należy do traktatów społeczno-

[1] Zygmunt Balicki: „Egoizm narodowy wobec etyki“. Wydanie drugie uzupełnione. Lwów 1903.

[2] Roman Dmowski: „Myśli nowoczesnego Polaka“. Lwów 1904.

politycznych, tem jednak, co jest najistotniejsze w jego osnowie i co jest najlepiej przeprowadzone, zalicza się do filozofii życia, do etyki.

Oba te dzieła rozpatrzymy przedewszystkiem z punktu widzenia, nadmienionego poprzednio. Wobec tego, że nowy typ charakteru polskiego jest w dobie tworzenia się, że dalej doktryny etyczne są głównym czynnikiem, na kierunek tego tworzenia wpływającym, nadzwyczaj ważną jest rzeczą zbadać i rozpatrzyć każdą nową doktrynę. Okoliczności, towarzyszące tej doktrynie, a więc genezę, historyę, objawy ruchu wszechpolskiego, zostawiamy na boku. Są to rzeczy, z jednej strony, zbyt znane z pism codziennych, z drugiej, zbyt świeże i nieskrystalizowane, żeby o nich ostatnie słowo już dziś wypowiedzieć można. Omawiając jednak zasady etyczne, gdzie to ostatnie słowo jest możliwe, omawiamy zarazem wiele z tych objawów pośrednio, wszystkie bowiem objawy duchowego życia do zasady etycznej się ściągają.

I.

Samo wejście w etykę wszechpolską sprawia na każdym Polaku nadzwyczaj pociągające wrażenie. Cały system obraca się tylko około idei narodowej, a przyświeca mu daleki, czarujący swoją wielkością, plan.

Rozpatrzmy się najpierw w tem wejściu, w idei wstępnej systemu. Będzie ta część naszej pracy miała charakter więcej sprawozdawczy.

Stronnictwo polityczne, a więc mające przedewszystkiem na oku cel polityczny, z natury rzeczy będzie uwzględniało te prawdy etyki, które do tego celu prowadzą. Taką prawdą jest stosunek jednostki do społeczeństwa, innemi słowy, przymioty społeczne, jakie jednostka mieć powinna — w dalszym ciągu, ponieważ z jednostek składa się społeczeństwo, z natury rzeczy, związane jest z tą sprawą i to, jakie przymioty powinno mieć dobrze ustrojone społeczeństwo. Oczywiście i w jednym i drugim wypadku, tak, co do przymiotów jednostki, jak i społeczeństwa, nie będzie chodzić o przymioty już wyspecyalizowane,

rozciągające się do wszystkich, choćby nawet ważniejszych szczegółów narodowej idei, ale o pewne zasadnicze przymioty, z których te dalsze, jako następstwo płyną.

Ta prawda o stosunku jednostki do swego społeczeństwa jest podstawą wszechpolskiej etyki — to jest punkt wyjścia obu omawianych dzieł. Krótko tę ideę wyrażając słowami p. Dmowskiego, stosunek ten „polega na ścisłym związku jednostki ze swem społeczeństwem", lub, jak p. Balicki określa, stosunek ten wymaga, „aby każdy czuł się członkiem swego narodu i nietylko solidaryzował się z jego interesami, ale zlał całą swą społeczną istotę z jego istotą i żył jego życiem".

Jak wobec tej zasady przedstawia się w oczach obu autorów charakter polski.

O charakterze polskim, zwłaszcza o jego wadach, pisano już u nas wiele, tak wiele, że trudno nawet coś nowego do tej sprawy dorzucić. Był czas, że charakter ten, jak wogóle i wszystko, co polskie, myśliciele nasi idealizowali. Dziś wszystkie wady nasze poddaje się ostrej krytyce, a robi się to tak często, że aż zachodzi obawa, by środek leczniczy, zbyt często stosowany, nie przestał skutkować.

Tą razą nie można jednak zarzucić, aby krytyka nie rzucała nowego światła, kilka przynajmniej nowych promieni, na sprawę, i choć brzmi na ogół ujemnie, jednak nie beznadziejnie.

Spotykamy się i tu z całym szeregiem uwag o charakterze polskim ujemnych, a już wielokrotnie omawianych, jak uwagi o słabości, kobiecości społeczeństwa i braku w niem moralnego przymusu, o niezdrowej bezinteresowności w sprawach narodowych, zwłaszcza szeroko rozprowadzone spostrzeżenia o tradycyjnej słowiańskiej bierności i bezczynności. Nową jednak, a wiele do myślenia dającą ideę, nasuwa szeroki wywód p. Dmowskiego, że wady te nie należy uważać za coś, co z głębi i z samej istoty charakteru polskiego płynie, co wskutek tego trudno wykorzenić, bo to, co uważamy za charakter polski, charakterem polskim nie jest. Przyjęliśmy, pisze p. Dmowski, typ szlachecki za przedstawiciela charakteru narodowego, tymczasem typ ten jest przemijającym wytworem minionego już ustroju społeczno-

politycznego. Warunki społeczne, w których wyrósł i psychicznie się wykończył typ szlachcica polskiego, były tak anormalne, że nic dziwnego, iż i typ ten pod względem społecznym jest także anormalny. Warunki te jednak znikły, a w następstwie znika powoli i typ charakteru, przez nie wytworzony; nigdy się one na naszej ziemi nie powtórzą, więc i typ nigdy nię nie odrodzi. To zaś, że ludzie z warstw innych, gdy tylko wybiją się w życiu społecznem, te same wady charakteru wykazują, świadczy tylko, że panująca u nas atmosfera jeszcze jest wpływem szlacheckiego typu owładnięta.

Przechodzimy teraz do tego, co nas najbardziej w tej sprawie obchodzi, do poglądu, omawiającego bezpośrednio stosunek naszej jednostki do naszego społeczeństwa.

Cała nasza przeszłość — pisze w różnych miejscach swej książki p. Dmowski — była tego rodzaju, że tylko mogła ten stosunek jednostki do społeczeństwa z normalnej wykoleić drogi. Za czasów Rzeczypospolitej patryotyzm polegał przeważnie na zamiłowaniu swobód i przywilejów, jakiemi, kosztem normalnego rozwoju całego narodu i państwa, cieszyła się jedna klasa. Później, gdy naród jako niepoczytalny marnotrawca, któremu odmawiają praw człowieka, po długiem z nich korzystaniu dostał się pod upokarzające rządy obcych, cała siła tego stosunku jednostki do społeczeństwa skupiła się tylko w jednej idei: w odzyskaniu wolności i niezawisłości. Znowu nienormalny stosunek, bo zapominający o tylu innych kierunkach społecznej idei i pracy, kierunkach, które pozwoliłyby wejść narodowi na drogę stopniowego powrotu do dawnej siły. Gdy później to dążenie do niezawisłości urzeczywistniło się w powstaniach, nastała dla idei społeczno-narodowej najgorsza doba. „Po ostatniem powstaniu taka zjawiła się przepaść między tem, czego naród pragnął, a tem, co mu los zgotował, że siły mózgowej ludzi nie starczyło na przerzucenie przez nią mostu. Zbyt bolesnem było zestawiać to, co się działo w życiu, z tem, co myśl wykołysała. Siły zewnętrzne stworzyły rzeczywistość tak daleką od ideałów narodowych, że one nie mogły się do niej zbliżyć i z nią mierzyć: życie poszło naprzód, a myśl narodowa pozostała bez-

władna, nieruchoma, przyczepiona do dawnych ideałów, i, gdy nawet je zatraca, pozostała przy dawnych koncepcyach".

Trzeba było potem znaleźć jakiś sposób życia, więc „w swem wzrastającem coraz bardziej usiłowaniu pogodzenia się z tym nędznym losem, stworzył sobie naród powoli sposób myślenia, ułatwiający ostateczną abdykacyę z dziejowej roli". „Wszystkie niemal pojęcia polityczne wywrócił, zaczął żyć w świecie moralnych urojeń". Dziś ta idea społeczno-narodowa dla niejednego przestała zupełnie istnieć, u innych gra rolę jakiejś idei oderwanej, dalekiej od życia, albo idei mesyanistycznej, dla której naród jest wybrańcem ukrzyżowanym dla dobra ludzkości, albo idei literackiej, nie umiejącej „wybrnąć poza Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego", albo polega na jakiemś idealistycznem kochaniu Polski cierpiącej, jak to ma miejsce u Królewiaków, „którzy rodaków swoich w Galicyi prawie nienawidzą za to, że ci nie są prześladowani pod względem narodowym". „I jest cały szereg innych jeszcze patryotyzmów, sprowadzających się do danych warunków czasu, miejsca i stanowiska społecznego, poza nimi zaś tracących swą siłę i wartość". Wogóle „nasza moralność narodowa, przy pewnym jałowym sentymentalizmie, dziś polega przeważnie na braku zupełnym czynnej miłości ojczyzny, a poglądy polityczne naszego oświeconego ogółu, tem są niezwykłe, tem się różnią od polityki innych narodów, że brak im podstawy wszelkiej zdrowej polityki, mianowicie, narodowego instynktu samozachowawczego".

Jakżeż więc tę moralność narodową pojąć należy — jaki powinien być ten patryotyzm?

„Przedmiotem tego patryotyzmu — pisze p. Dmowski — jest sam naród, jako żywy organizm społeczny, mający swą na podstawie rasowej i historycznej rozwiniętą odrębność duchową, swą kulturę, swe potrzeby i interesy. Polega on na przywiązaniu do tej narodowej indywidualności, do języka, kultury, tradycyi, na odczuciu potrzeb narodu, jako całości, na zespoleniu się z jego interesami. Jego rola nie kończy się z bliższą lub dalszą chwilą odzyskania niepodległości — ta jest dla niego jedynie etapem, poza którym praca i walka trwa dalej, posił-

kując się nowemi narzędziami, nową bronią. Jednostka tu nie występuje jako walcząca o wolność jedynie — głównym jej celem jest rozszerzenie zakresu narodowego życia, pomnożenie materyalnego i duchowego dobra narodu, zdobycie dla tej całości społecznej, do której należy, możliwie wysokiego stanowiska w szeregu lndów. W tem nowoczesnem pojmowaniu patryotyzmu zmienia się całkowicie stosunek jednostki do narodu. Polega on na ścisłym związku jednostki ze swem społeczeństwem, na traktowaniu wszystkich jego spraw i interesów, jako swoje, bez względu na to, czy osobiście są one nam blizkie, na odczuwaniu jego krzywd nie tylko tam, gdzie one nam osobiście dolegają. Patryotyzm ten nie tylko obowiązuje do określonego stanowiska względem rządów zaborczych, ale nakazuje bronić dobra moralnego od uszczerbku przeciw wszystkim, którzy na nie czynią zamachy; równolegle zaś przejawiać się musi w pracy twórczej, podnoszącej wartość narodu na wszystkich polach, przedewszystkiem w pracy około zdobycia nowych sił narodowych, przez wciągnięcie w sferę narodowego życia tych warstw, które w niem dotychczas udziału nie brały, około podniesienia wartości i wytwórczości narodu na polu ekonomicznem, cywilizacyjnem, około pomnożenia sił jego umysłowych, podniesienia poziomu moralnego".

Przy przedstawieniu powyższych idei chodziło nam tylko o to, aby zarysowała się wyraziście sama zasada. Pewne wnioski autorów obydwu, które z tej zasady niekoniecznie płyną, pewne pojęcia, które ci autorzy z tą zasadą ściśle łączą, a które jednak doskonale dadzą się od niej oddzielić, będziemy mieli sposobność omówić poniżej. Rozdział taki pojęć jest dla jasnego sądu o rzeczy niezbędny.

O tak ustawionym poglądzie nie może być dwu zdań. Można zarzucić p. Dmowskiemu, że przy krytyce dotychczasowego stanu rzeczy nie uwzględnił dosyć faktycznych stosunków, ale to już należy do krytyki historycznej. Co się jednak tyczy programu moralności narodowej, o który nam chodzi, to z wyjątkiem idei niezawisłości, o której, przy dzisiejszych warunkach, nic określonego na trzeźwo powiedzieć nie można, zwłaszcza

w poważnym programie, resztę z uznaniem tylko należy powitać. Obowiązki społeczne, ścisły, a czynny związek jednostki ze swoim narodem, to jedno z kardynalnych nakazań etyki. Tą też zasadą, tem ożywieniem idei społeczno-narodowej, tłumaczyć należy tę sympatyę, jaką cieszy się u wielu ruch wszechpolski.

Chodzi teraz o to, czy ta zasada jest należycie w całość systemu etycznego wstawioną, czy nie przekracza granic samą naturą rzeczy wskazanych? Najlepsza rzecz, kiedy przechodzi granicę, kiedy przebiera miarę, zwyradnia się, a w skutkach zamiast przynosić korzyści, staje się szkodliwą. Rewizya taka systemu jest nawet w interesie samego stronnictwa.

II.

Książka p. Dmowskiego ma charakter przeważnie psychologiczno-refleksyjny, w tym też kierunku posiada autor wybitny talent. Kierunek ten książki ułatwia niezmiernie samo wejście w przedmiot, dlatego też dotąd opieraliśmy się przeważnie na niej, mniej jednak nadaje się do ścisłego ujęcia całości systemu. To zadanie ma spełnić dziełko p. Balickiego.

Niestety, rzadko kiedy zdarzy się spotkać z broszurą, którąby przy całej wytężonej dążności do ścisłości była równie nieścisłą, jak ta, a przy chęci jasności, równie zawiłą. Znać oczytanie w różnych systemach, ale brak przenikliwej myśli, którąby za istotę rzeczy ujęła i ją przeprowadziła. Autor przywiązuje swoje niepotrzebnie zawiłe pojęcia do obfitej terminologii: egoizmu zmysłowego, egoizmu samowiednego, altruizmu zmysłowego, altruizmu samowiednego, etyki ideału, etyki idei — wznosi na tej terminologii z trudem budowę — wkońcu pokazuje się, że to wszystko zbyteczne, że wystarczało jedno proste jasne i niepotrzebujące żadnych wstępnych terminów, pojęcie egoizmu narodowego, bo ten jest jedynem słowem broszury. Tam zaś, gdzie autor, dla uzasadnienia tego egoizmu, powołuje się na wstępne terminy, powoływanie się to jest nic nie wyjaśniającem kołowaniem, bo autor *a priori* te terminy odpowiednio do naczelnej idei ustawił, bez uzasadnionego ich powiązania

z całością systemu. Pomijamy już pewne sprzeczności, jak też i wiele wprost błędnych pojęć w najelementarniejszych sprawach obyczajowych.

Z broszurą taką jest ta trudność, że trudno ją brać w całości, jako wyraz przekonań pewnego stronnictwa; zawiele w niej broi indywidualność autorska. Niema innej drogi, jak wybrać kilka najistotniejszych pojęć, o ile te są zgodne z różnemi enuncyacyami innych tegoż stronnictwa autorów, zwłaszcza w tym wypadku, z pracą p. Dmowskiego. W decydującem miejscu wypadnie nam jeszcze raz do p. Dmowskiego powrócić, który zawsze jasno wypowiada swoje myśli.

Pierwszym, stanowczym krokiem w broszurze p. Balickiego jest to, że odrzuca on etykę ideału. Niebyśmy nie mieli przeciw takiemu przedsięwzięciu, zwłaszcza, że autor ma głównie przed oczyma prześrubowaną etykę Tołstoja, gdyby nie to, że autor potępia wszelkie dążenie jednostki do osobistej doskonałości, że odrzuca wszelką etykę, której nakazem jest cnota. W takiem pojęciu, biorąc rzecz praktycznie, byłaby wszelka dążność etyczna niemożliwą, a już najmniej jest to zgodne z etyką katolicyzmu, jak się łudzi autor.

Odrzuciwszy w tem rozumieniu etykę ideału, stawia autor na jej miejsce „etykę idei“. „etykę społeczną“. Zasadą tej etyki przewodnią „jest r e a l n e d o b r o k o n k r e t n e g o s p o ł e c z e ń s t w a, d o k t ó r e g o d a n a j e d n o s t k a n a l e ż y“. „Etyka idei przyjmuje z góry, że doskonałość ludzka może być tylko względną i, zamiast ubiegać się o podniesienie jednostek na wyżyny tej względnej choćby doskonałości, troszczy się przedewszystkiem o to, aby ogół osiągnął poziom moralności, niezbędny do prawidłowego układu stosunków społecznych. Woli ona podnieść ten poziom o jeden stopień skali etycznej, niż widzieć garstkę ludzi, pnących się na szczyty owej skali i przerywających przez to wszelką łączność moralną z resztą. K a ż d y j e j n a k a z d o t y c z y t e g o t y l k o, c o j e s t k o n i e c z n e m d l a d o b r a o g ó l n e g o“. Etyka ta, jak czytamy w innem miejscu, „n i e p o l e g a n a s t o s u n k u c z ł o w i e k a

do własnego sumienia, ale na stosunkach ludzi do ludzi wewnątrz jednej grupy i na stosunkach grup pomiędzy sobą. Sumienie człowieka jest tylko odbiciem w jego duszy nakazów moralnych z wyższego źródła, ze środowiska społecznego płynących".

W przytoczonych zdaniach mieści się już cały system. Społeczeństwem, do którego dana jednostka należy i którego dobro konkretne jest jej najwyższą zasadą etyczną, jest naród — zachowanie zaś, niezależność, rozwój i potęga narodu ma za podstawę samowiedny, opierający się na poczuciu godności własnej, egoizm narodowy. Egoizm narodowy jest najwyższem wskazaniem etycznem, któremu wszystkie dążności indywidualne poddać się winny.

Przypatrzmy się bliżej całej tej budowie. Najpierw nic nowego pod słońcem. Teorya taka, oczyszczona tylko z zastosowań do polskich stosunków, płynęła w naszym wieku dwoma korytami: w Niemczech, o czem później, miała więcej charakter polityczno-państwowy — *Staatsomnipotenz*, — w Anglii, a potem zależnie od Anglii znowu w Niemczech, miała charakter etyczny. Etyka ta, nosząca nazwę eudemonizmu lub utylitaryzmu społecznego, stawia zasadę, że dobrem jest to tylko, co rozszerza życie społeczne, co sprzyja jego rozwojowi, co dopomaga mu do osiągnięcia pełni jego najwyższej — złem przeciwnie wszystko, co ten rozwój tamuje i niszczy.

Już w XVII stuleciu głosili w Anglii w tym duchu zasady Cumberland i Chaftesbury, a w naszym wieku, pod wrażeniem Comte'owskiego *Vivre pour autrui* zabrał się do nich Stuart Mill. Rozprawa Milla o utylitaryzmie zyskała teoryi tej wielu zwolenników, jak Bain, Sigdwick, Fechner, Lotze, Ihering, Paulsen.

Teorya ta, jak już oddawna istnieje, tak też i dawno już znalazła całkowitą odprawę. Sam pierwszy rzut oka nawet niewtajemniczonemu w sprawy etyki mówi, że ta norma moralności, unosząca się nad sumieniami całego rodzaju ludzkiego i decydująca o każdym czynie ludzkim, że jest złym, czy dobrym, musi być czemś jednem, istotnem i bezwzględnem — gdy

tymczasem, jeżeli tą normą jest dobro danego narodu, powstaje tyle norm, ile jest różnych pojęć o tem, jakiem to dobro być powinno. Przecież nieraz wraz ze słupem granicznym państwa zaczyna się zupełnie inny świat cywilizacyi, innych przekonań i dążeń, a co za tem idzie, i inne pojmowanie pomyślności społecznej. Co więcej. Gdzież pozostaje ta jedność normy wtedy, gdy wchodzą w grę sprzeczne interesy dwu narodów? Cóż powiedzieć dzisiaj o gwałcie dokonywanym na nas w Poznańskiem przez Prusaków? przecież oni, niosąc nam zagładę, mają tylko dobro swego narodu na oku, a więc tem samem, wedle tej teoryi, działaliby moralnie i słusznie. A nawet w łonie jednego narodu tyle prawie byłoby norm moralności sprzecznych, ile stronnictw — każde stronnictwo ma jak najlepszą chęć służenia sprawie ojczystej, ale do tego celu dążą nieraz zupełnie sprzecznemi drogami. Co jedno stronnictwo uważa za dobre dla narodu, w tem inne stronnictwo upatruje narodu zgubę, gdzie konserwatyzm w najlepszej myśli stawia, tam radykalizm w najlepszej myśli burzy — cóż będzie, czy stawianie, czy burzenie, czynem moralnie dobrym?

Teorya ta ma swój idealny urok, o ile dobro społeczne stawia przed oczy. Każdy człowiek ma obowiązki względem swego społeczeństwa, a obowiązki te określają się z natury rzeczy przez społeczne warunki istnienia i pomyślności; stąd każdy powinien przyczyniać się do powszechnego dobra, a chronić się tego wszystkiego, co może mu szkodzić. I dlatego też pierwszą część niniejszej pracy poświęciliśmy z uznaniem tej części programu wszechpolskiego, która żąda ścisłego związku jednostki ze swem społeczeństwem i wytężonej pracy dla narodowego dobra. Ale też dodaliśmy, że ten obowiązek społeczno-narodowy musi zająć należyte miejsce w całości systemu etycznego, bo inaczej, choć najsłuszniejszy, stanie się karykaturą.

Otóż, co do tego miejsca, zauważyliśmy już mimochodem poprzednio, że p. Balicki, odrzucając razem z etyką ideału także dążenie jednostki do osobistej doskonałości, uniemożliwia w praktyce wszelką dążność etyczną. Wyrażenie to p. Balickiego po-

chodzi częściowo z braku ścisłości w rozdzielaniu pojęć, chciał przez nie wykluczyć taką osobistą doskonałość, która odgranicza się murem od wszelkich obowiązków społecznych — ale też z drugiej strony mieści się w tem wyrażeniu i ogólna myśl całego systemu, aby tylko o tyle uznać dążności etyczne jednostki, o ile one urabiają z niej pożyteczny dla narodowego dobra typ społeczny. Człowiek, jako człowiek, jako jednostka, w tym systemie niknie, istnieje tylko, jako kółko w maszynie społecznej. System taki głosi się oczywiście z najlepszej chęci, aby wszystkie siły psychiczne obrócić na młyn narodowy, ale, ani dusza ludzka, ani etyka, nigdy bez straty nie dadzą się, wbrew swoim istotnym prawom, podporządkować pod jakiekolwiek cele.

Faktycznie, co do tego porządku w obowiązkach jednostki i w całym systemie etycznym, sprawa przedstawia się tak, że człowiek ma w życiu cały szereg odnośni i stosunków. Najpierw stosunek do samego siebie, następnie do drugich ludzi, bliższych i dalszych, do jednostek i grup społecznych, do narodu swego i innych narodów, wreszcie stosunek do Boga. Nad wszystkimi tymi stosunkami unosi się norma moralności, a jest nią sama rozumna natura ludzka; norma ta rozstrzyga, czy dany czyn jest dobry, czy zły — zgadza się z nią, jest dobry, nie zgadza się, jest zły. Czy ten czyn odnosi się do jednostki, czy do narodu, to samo przez się jeszcze nie rozstrzyga o moralności, lub niemoralności, rozstrzyga tylko zgodność lub niezgodność czynu z normą. Obowiązek społeczny płynie stąd, że człowiek ma w swą naturę włożoną odnośnię do drugich ludzi, dobrowolne więc zaniedbywanie tej odnośni, jest zaniedbywaniem praw, jakim natura ludzka podlega i dlatego jest niemoralne. Gdyby jednak ktoś, bez własnej winy, popadł w jakieś kalectwo fizyczne, któreby go zupełnie odcięło od całego świata, to to, że nie spełnia żadnych obowiązków społecznych, nie byłoby u niego niemoralnością. A trzebaby to, chcąc być konsekwentnym, powiedzieć w systemie, który dobro narodu stawia za normę moralności. Co więcej, konsekwencya nakazywa-

łaby, aby wyznawcy tego systemu wrócili do wniosku greckiego filozofa, który w imię dobrobytu społecznego żądał, aby zabijano słabe dzieci, a lekarzom radził, aby chorych, nieużytecznych już dla społeczeństwa, pozostawili ich losowi.

Tak przedstawia się sprawa co do uporządkowania normy moralnej i odnośni, jakie zachodzą w życiu człowieka. Jeżeli ktoś teraz tę właściwą normę moralności odsuwa na bok, a w jej miejsce stawia jedną z odnośni, to wywraca cały etyczny porządek. Postawi jako normę odnośnię człowieka do samego siebie, a więc, że to tylko dobre, co człowiekowi przynosi egoistyczną przyjemność i korzyść, wskrzesi wtedy teoryę epikureizmu; postawi jako normę stosunek człowieka do drugich ludzi, wskrzesza na nowo rozliczne błędy etyczne, między niemi i teoryę eudemonizmu społecznego.

Tak przedstawia się ta teorya we właściwem oświetleniu. Zapytajmy się teraz, jakie płyną z niej następstwa w tym zakresie, o który głównie tu chodzi, w zakresie publicznego życia narodów.

W stosunku do spraw wewnętrznych, teorye podobne tem się tylko utrzymują na powierzchni ziemi, że nikt nie myśli, i nawet nie może wcielić je w całości w życie. Ale, gdyby tak, *per absurdum*, urzeczywistnione w życiu zostały, to własny naród, własne państwo byłyby największym tyranem, jaki tylko istnieć może. To też widzimy w historyi, że tam, gdzie idea państwa doszła do absolutnej swojej afirmacyi, na koszt indywidualności ludzkich, wybuchały prędzej, czy później rewolucye, usiłujące nieznośne jarzmo strząsnąć.

A w stosunkach na zewnątrz, do drugich narodów? Jak będą przedstawiały się te stosunki, gdy najwyższym nakazem etyki będzie egoizm narodowy?

To pytanie zadaje sobie sam autor. „Opierając — pisze — etykę społeczną na egoizmie narodowym, czy tem samem nie otwieramy naoścież wrót dla wszelkiego rodzajn międzynarodowego bezprawia? gdzie znajdziemy hamulec na rozpasane instynkty narodowego samolubstwa, żądzy zaborów i panowa-

nia? Dla jednostki wędzidłem na okiełznanie szkodliwych przejawów zmysłowego egoizmu może być obawa kary, wzgląd na opinię, poczucie honoru i godności swego powołania, nakoniec etyka narodu, która mu każe trzymać osobisty egoizm na wodzy w imię dobra całości. Narody i państwa takich hamulców nie znają: niema na nich ani sądów, ani policyi, miarodajną dla nich opinią, będzie przedewszystkiem ich własna". I cóż na to odpowiada? Odpowiada, że egoizm narodowy, jeżeli jest samowiednym, ma sam hamulec w sobie, bo opiera się na poczuciu godności własnej i poszanowaniu indywidualności innych narodów, że narody, które ten samowiedny egoizm mają, jak Anglia, nie splamią barbarzyństwem nigdy swego sztandaru, że czynów niemoralnych zdolne są tylko takie państwa, jak Rosya i Prusy. Najpierw, tem zdaniem, co do niemoralnych czynów Rosyi i Prus, wpada autor nieopatrznie w pułapkę, bo sam wyznaje, że ponad dążeniami narodowemi do rozwoju i dobrobytu, które miały być wedle niego zasadą przewodnią etyki, potrzeba postawić wyższą normę, któraby mówiła, co jest moralnem, a co niemoralnem. Co się zaś tyczy szlachetności samowiednego egoizmu narodowego, to najlepszem jest to, że przykład Anglii przychodzi świeżo po okrucieństwach angielskich w wojnie transwaalskiej. I nie jest to wyjątkowy wypadek w historyi Anglii, narodu jeszcze jednego z najbardziej humanitarnych. Wystarczy przypomnieć, jak w początkach zeszłego wieku, dla zajęcia kawałka ziemi, szczuła Anglia dwa dzikie plemiona na siebie póty, póki, jak w bajce o walce szczurów, nie pozostało po obydwu śladu. Zresztą czem jest egoizm narodowy, zostawiony samemu sobie, wskazuje dziś najlepiej rozszalała w dziki szowinizm walka narodowościowa w całej Europie.

Pan Balicki usiłuje jeszcze wykrzywione to oblicze zwyrodniałego patryotyzmu pokryć pozorami szlachetności. Pan Dmowski w swojem dziełku, które wyszło po „Egoizmie narodowym" p. Balickiego, idzie dalej, w czem jest tylko logiczny i konsekwentny. Napełnia go respektem „bezwzględna polityka Prus, posługująca się fałszem i wiarołomstwem, nie cofająca się

przed najbrutalniejszym gwałtem", i robi nawet stąd zarzut słabości polskiemu charakterowi i naszemu politycznemu myśleniu, że tę politykę potępiamy. „To świadectwo historyi — pisze w dalszym ciągu p. Dmowski — że wszelka zdobycz, bez względu na to, jaką drogą osiągnięta, może stać się podstawą pomyślności narodu i jego postępu, że zatem w stosunkach między narodami niema słuszności i krzywdy, ale tylko jest siła i słabość, to nam nie przeszkadza powtarzać, że zbudowane na cudzej krzywdzie Prusy, zatruły ducha niemieckiego, zdemoralizowały go, zabiły w narodzie niemieckim wielką myśl i szlachetne uczucie, i wróżyć, że wszystko to stanie się źródłem zguby całych Niemiec".

Za dalekoby nas odwiodło od przedmiotu, gdybyśmy chcieli wykazywać całą moralną nicość, jaka w tej idei „siła przed prawem" się mieści. Pisali zresztą o tem inni. Ale już pierwszy rzut oka na dzisiejsze stosunki europejskie, czyż nie mówi jasno, jakie fatalne skutki ta idea wprowadzona w życie wydała. Cały rozwój cywilizacyi, której istota ostatecznie na tem polega, aby nie pięść, ale słuszność i prawo panowały wszędzie, cofnął się wstecz, jedynym kierownikiem dzisiejszych międzynarodowych stosunków stała się siła — stan to pierwotnej barbaryi, w jakim znajdują się dzikie, dalekie od wszelkiej cywilizacyi narody. Na całym świecie zapanował pokój zbrojny, objaw gorszy od wojny najkrwawszej, bo niszczący systematycznie siłę państw i narodów. Z tem wszystkiem jutro coraz bardziej niepewne, tem niepewniejsze, że już zjawił się robak, który ma podgryźć korzenie dzisiejszego państwa, robak, który właśnie z dzisiejszych zgniłych stosunków społecznych wyrósł, ich niezdrowymi sokami coraz bardziej się tuczy i rozrasta — socyalna demokracya. W tej właśnie sprawie siły przed prawem powiedział Bismarckowi Windhorst: Młyny Boże mielą powoli, ale stale.

Tem olśnięciem wobec potęgi Prus — którą, zasadniczo rzecz biorąc, upatrywać należy w niezużytej jeszcze sile młodego organizmu narodowego, a nietylko w nadużywaniu tej siły — wyjaśnił nam p. Dmowski, jak należy rozumieć psychologię etycz-

nego typu wszechpolskiego. Powstał on oczywiście na naszym gruncie i wskutek własnych naszych potrzeb, ale wykształtował się na obcym typie. Boleśnie to powiedzieć, ale sam autor nas do tego zmusza: typem tym jest typ państwowej filozofii pruskiej. Prusy takie, jakie dzisiaj są, powstały nie tylko wskutek naturalnej ewolucyi, wpłynął na ten stan cały szereg doktryn filozoficznych. Począwszy od Schellinga, który głosił, że państwo jest samo sobie celem, przez Hegla, który to państwo ubóstwił i wobec niego jednostkom wszelkich praw odmówił, przez Schoppenhauera, który dodał, że pożeranie się wzajemne wszystkich istot jest zasadniczem prawem wszechświata, aż do Hartmanna, który już zeszedł do szczegółów i resztki Słowian, zostające pod panowaniem niemieckiem, radził germanizować bez przebierania w środkach — ciągnęła się jedną ławą ta filozoficzna podwalina dzisiejszego pruskiego typu. W tem tylko oświetleniu można zrozumieć tę animozyę, z jaką ci wszechpolscy pisarze narzucają narodowi skrajnie egoistyczne zasady — to potępienie w naszej przeszłości wszystkiego, co nie pochodziło z egoistycznego wyrachowania, ale z idealnych pobudek, jak odsiecz Wiednia, jak pewne humanitarne objawy względem Litwy i Rusi, jak stworzenie kościelnej Unii ruskiej (p. Dmowski wolałby nawet, abyśmy byli zatrzymali schyzmę, bylebyśmy umieli ją upaństwowić) — to wreszcie podporządkowywanie pod ideę narodowo-państwową nawet i religii i etyki. Jak się sprawa w dwu omawianych przez nas dziełkach przedstawia, eudemonizm angielski dał doktrynie etycznej wszechpolskiej tylko ramy systemu, na obrazie w tych ramach rozpiera się typ Hegla.

Więc, jak z uznaniem podnieść należy, dążność ruchu wszechpolskiego do rozbudzenia w naszym narodzie poczucia przynależności społecznej — dążność, by wykorzenić kiepski indywidualizm, polegający tylko na wysunięciu się poza karby społeczne — by poprawić niemoralne, albo przynajmniej sentymentalne wychowywanie dzieci, po to tylko, by kiedyś stanęły przy żłobie, w którym owsa dużo — by wykorzenić bierność, bezczynność, płytką bezinteresowność, bo maskującą tylko sła-

bość i lenistwo — dążność wreszcie, by to wszystko zastąpić czynną i silną miłością ojczyzny — tak z drugiej strony tem silniej potępić trzeba wszelkie zboczenia od prawdy.

Tak etyka jak i religia, z samej natury rzeczy, najskuteczniej zawsze wzmacniają i popierają słuszne ideały i dążności narodowe. Chcieć je jednak pod te dążności narodowe podporządkować, zaprządz je w ich służbę, to znaczy: zabić w nich ich żywotność i właściwą siłę, a dla samych narodowych celów, prędzej czy później, po chwilowej pozornej korzyści, cierpkie z tego posiewu zebrać owoce.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Najnowsze wykopaliska na Krecie. (Dok.) Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.*	1 221
Organizacya i zasady dobroczynności w pierwotnem chrześcijaństwie. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	18
Dzieje literatury polskiej w opracowaniach profesorów Brücknera, Chmielowskiego i Tarnowskiego. (Dok.) Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego*	38 207
Kulturalne stosunki wsi zachodnio-galicyjskiej. Przez *d-ra Fr. Bujaka*	56
Jezuici w Królewcu. (Dokończ.) Przez *ks. St. Załęskiego T. J.*	79
Liga antypojedynkowa. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.*	1*—14*
W obronie narzeczy ludowych przed szkołą wiejską. Przez *Lucyana Rydla*	169
Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	182 388
Nowiny z historyografii polskiej. VI. Przez *d-ra Feliksa Koneczneg*o	235
Konkurs „Przeglądu Powszechnego“	1*
Doktryna etyczna z obozu wszechpolskiego. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.*	3*—20*
Alkoholizm i antyalkoholizm. Przez Przez *d-ra Karola Kleckiego*	321
Wśród ruin Efezu. Przez *ks. M. Czermińskiego T. J.*	356
Najdawniejsze kolędy polskie. Przez *d-ra St. Dobrzyckiego*	373

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Pisma polityczne. Stanisław Koźmian. *(Dr. Bron. Łoziński)* 94
Słowacki i nowa sztuka (modernizm). Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Ignacy Matuszewski. *(Dr. St. Dobrzycki)* 106
Słownik geograficzny Królestwa Polskiego wydawany pod redakcyą B. Chlebowskiego. *(Wołyniak)* 113
Geschichte des allmäligen Verfalls der unirten ruthenischen Kirche im XVIII und XIX Jahrh. Von Bischof Eduard Likowski. *(Wołyniak)* 114
Z filozofii. *(Prof. dr. Maurycy Straszewski)* 254
Dziwny człowiek. Przez Stanisława Witkiewicza. Aleksander Gierymski. Przez tegoż. *(Ks. Aleksander Pechnik)* 265
Podatki domowe w Austryi. Franciszek Szymusik. *(Dr. Józef Mazurkiewicz)*. 270
Psałterze polskie do połowy XVI wieku. Aleksander Brückner. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 413
Wykłady o wychowaniu. Tom L. Zakład Kórnicki. *(J. R.)* 419
Konfederacya Targowicka. Władysław Smoleński. *(Wołyniak)*. . . 423
Zaręczyny Jana Bełzkiego. Józef Weyssenhof. Za błękitami. Józef Weyssenhof. *(T. Wodzicka)* 423

Z piśmiennictw obcych.

Czego nas uczą dzieje sztuki? Przez Karola Woermana. Przekład J. Kasprowicza. *(Ks. dr. Aleks. Pechnik)* 119
Zette (Histoire d'une petite fille). Paul et Victor Margueritte. *(T. Wodzicka)*. 123
Lettres de Mme Julie Lavergne, publiées par son fils, Joseph Lavergne. *(M.)* 124
Die Weltsprachen des Altertums in ihrer geschichtlichen Stellung. E. Schwyzer. *(M. B. T. J.)* 127
Joseph Spillman S I. Die Wunderblume von Woxindon. Hist. Roman. Wolken und Sonnenschein. Nov. u. Erzählungen. Ein Opfer des Beichtgeheimnisses. Frei nach einer wahren Begebenheit erzählt. Aus fernen Landen. Eine Reihe illustrierter Ezählungen für die Jugend. J. Spillmann S. I.—A. v B.—A. Geyser S. I.—A. Huonder S.I.—A. Baumgartner S. I.—J. S. *(Ks. W. W. T. J.)* 129
Heinrich von Kleist. Dr. Franz Servaes. *(J. Flach)* 133
Ze studyów nad literaturą turecką. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* . . 272
Institutiones iuris ecclesiastici, quas in usum scholarum scripsit Ios. Laurentius S. I. *(Ks. Wł. Szczepański T. J.)* 281
Dubois Cardinal et premier ministre. Par le Père P. Bliard S. I. *(Ks. Aleksander Mohl T. J.)* 183
La transformation de l'Égypte. Par Albert Metin. *(Ks. Aleksander Mohl T. J.)* 284
Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters von Ludwig Pastor. I Band: Geschichte der Päpste im Zeitalter der Renaissance bis zur Wahl Pius' II. *(Wi T. J.)* 285
Das Leben der Wörter. Kristoffer Nyrop. Autorisierte Übersetzung aus dem Dänischen von Robert Vogt. *(Dr. J. Flach)* 286

Str.

Les infiltrations kantiennes et protestantes et le clergé français. Abbé J. Fontaine. *(Ks. Józef Gliwa T. J.)* 428
En pénitence chez les Jésuites. Correspondence d'un lycéen. Paul Ker. *(M. B. T. J.)* 430
Życie hodowców amerykańskich. Przez Th. Roosewelta, Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. *(M. Harsdorf)* . . 431
Idle thoughts of an idle fellow. I v. — Second thoughts of an idle fellow. I vol. Jerôme K. Jerôme. *(T. Wodzicka)* 434

Zapiski bibliograficzne.

Wydawnictwo T-wa „Polska Sztuka Stosowana": Materyały, nr. 2. *(Dr. Z.)*. 134
Huculszczyzna. Napisał Szuchiewicz Włodzimierz. Tom II. *(Dr. Z.)* 135
Juliusz Słowacki. Odczyt wygłoszony na zjeździe „Ogniwa". Dr. Kazimierz Jarecki. *(wi)*. 136
Z dziejów państwa kościelnego. 755 — 1846 — 1870. Skreślił prof. Alojzy Szarłowski. *(R. J.)* 137
Editionum collegii historici Academiae Lit. Crac. Nr. 61. Tomus IX. *(Dr. A. B.)* 288
O stylu urzędowym i terminologii prawniczej. Napisał dr. Julian Morelowski. *(B.)* 289
Wydawnictwa Akademii Umiejętności: Obraz dawnego powiatu kamienieckiego. M. Gozdawa. *(A.)* 289
Reprodukcya w nauczaniu. Napisał Józef Dobrowolski. *(K.)* 290
Kościół i klasztor po-dominikański w Lublinie. Spisał i ułożył O. S. — Cmentarz parafialny rzymsko-katolicki w Lublinie. Opisał i ułożył O. S. *(K. I.)* 290
Poszukiwania archeologiczne w XIX wieku. Dr. Wincenty Smiałek. *(W. Z.)* 290
Kobieta i wiedza. Stefan Lamy. *(K. S.)* 291
Die fahrenden Leute in der deutschen Vergangenheit. Theodor Hampe. *(Dr. J. F.)* 291
Verrohung in der Theaterkritik. Hermann Sudermann. *(J. F.)* . . 291
Lehrbuch für den Unterricht in der Naturbeschreibung bearbeitet von Dr. M. Kraus u Dr. H. Landois. I Theil: Zoologie. II Theil: Botanik. III Theil: Mineralogie. *(W. S. T. J.)* 292
Leitfaden der mathematischen und phisikalischen Geographie. Von Dr. Michael Geistbeck. *(W. S. T. J.)* 293
Święto słońca. D-moll (Maryla Wolska). *(Dr. St. Z.)*. 439
O poezyi ludowej na Śląsku cieszyńskim. Dr. Ernest Farnik. *(St.)* 442
Skarby zaklęte w Tatrach. St. E(liasz) R(adzikowski). *(Z.)* 442
Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Rok 1901. *(K. R.)* 443
Szwargot więzienny. Zestawił K. Estreicher. *(B. U.)* 444
W. L. Anczyc jako dramaturg ludowy. Jan Magiera. *(Dr. St. Zd.)* 444
Z myśli i marzeń. Poezye. Ludgard hr. Grocholski. *(L. P.)* 445

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Pius IX, Leon XIII i my. Przez *ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.* 138

Str.

Z ruchu społecznego: XIII zjazd kat. stowarzyszeń robotniczych Niemiec w Ingolstadzie. — Zjazd socyalistów w Dreźnie. Przez *M. B. T. J.* 157
O biskupów polskich w Ameryce. Przez *ks. W. W. T. J.* 163

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Oczekiwana encyklika Piusa X. — Groźny opis świata w encyklice Piusa X. — Niebezpieczeństwa nie zażegna stronnictwo porządku bez powrotu do Boga. — Duchowny stan ma innym przewodniczyć w drodze z powrotem do Boga. — Cały Kościół ma nawracać niewiernych wzorem cnót. — Pius X w związku ze swoimi poprzednikami. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 295
Kronika ekonomiczna. Przez *A. M.* 302
Z pod Krakowa Przez *Lucyana Rydla* 313

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Nieproszeni doradcy Piusa X w sprawie jego świeckiej władzy. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 446
Pierwszy zjazd „robotników niemieckich". Przez *M. B. T. J.* . . . 456

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.